PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO“ *Ps. 143.*

ROK XLVIII. Tom 192.

PAŹDZIERNIK — LISTOPAD — GRUDZIEŃ

1931

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO“

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

O odnowieniu porządku społecznego.

Encyklika *Quadragesimo anno* „o odnowieniu porządku społecznego i dostosowaniu go do prawa ewangelicznego na czterdziesty rok po wydaniu przez Leona XIII encykliki *Rerum Novarum*", jest niezmiernie bogatą w treść.[1]) Z tego względu streszczenie jej i omówienie przedstawia sporo trudności, gdy chodzi o niewielką rozprawkę. Należy ją czytać często aż do całkowitego przyswojenia sobie jej treści, a nawet dosłownego wielu wyrażeń i zwrotów dosadnych, lapidarnych, wprost rewelacyjnych, jak np. że naturalny porządek polega na tem, aby każda rzecz miała swego właściciela.

Pod względem formalnym encyklika, ułożona według doskonałego i przejrzystego planu, dzieli się na następujące części: Wstęp, Dobrodziejstwa, które spłynęły z *Rerum Novarum* (s. 6), Nauka Kościoła w rzeczach społecznych i ekonomicznych (s. 12), Stosunki od czasu Leona XIII uległy wielkiej zmianie (s. 28) i Zakończenie. Każda z tych części dzieli się na poddziały.

W niniejszym wykładzie poprzestanę na przedstawieniu i podkreśleniu niektórych tylko momentów.

Pius XI zaznacza najpierw, w jakim charakterze przemawiał Jego Wielki Poprzednik. W RN „najlepszy Pasterz,

[1]) Encyklika Jego Świątobliwości Piusa XI z Boskiej Opatrzności Papieża do Czcigodnych Braci Patrjarchów, Prymasów, Arcybiskupów, Biskupów i innych Ordynarjuszów, żyjących w zgodzie i jedności ze Stolicą Apostolską jako i do wszystkich wiernych całego świata katolickiego o odnowieniu i t. d. Drukarnia Watykańska Polyglotta. 1931 s. 48.

litując się nad tem, iż tak wielka część ludzi niesłusznie jest pogrążona w pożałowania godnym i nieszczęśliwym losie, wziął sam wielkodusznie w swoje ręce sprawę robotników, których, pojedyńczych i bezbronnych, warunki czasu oddały w ręce nieludzkich pracodawców i pełnej nieokiełznanej chciwości konkurencji" (s. 5). „Korzystając więc z pełni swego prawa, Papież, jako dobry stróż religji i szafarz tego, co ściśle z nią się łączy, a jemu jest zlecone,... jako posiadający władzę, wskazał i ogłosił, jakie są wzajemne prawa i obowiązki" (s. 5) obu stron, t. j. pracodawców i pracobiorców, oraz czem się mają przyczynić do rozwiązania sprawy Kościół, rządy świeckie i sami zainteresowani.

Nie innemi pobudkami kieruje się Pius XI. Z niemniejszą powagą głosi On: „Mamy prawo i obowiązek rozstrzygania najwyższą powagą tych zagadnień socjalnych i ekonomicznych" (s. 12). Nie jest to mieszanie porządku duchowego i doczesnego. Z wyrazistością, niepozostawiającą żadnej wątpliwości, Papież oświadcza, że „ z pewnością nie był poruczony Kościołowi obowiązek kierowania ludźmi do szczęśliwości przemijającej i nietrwałej, ale do wiecznej, owszem, Kościół uważa, że nie wolno mu mieszać się bez przyczyny do spraw ziemskich" (s. 12); w rzeczach technicznych Kościół nie posiada ani środków właściwych ani osobnego posłannictwa. Tu jednak chodzi o prawo moralne. „Depozyt prawdy, powierzony Nam od Boga i obowiązek najcięższy rozpowszechniania, wyjaśniania i głoszenia całego prawa moralnego, poddaje najwyższemu naszemu sądowi zarówno porządek spraw społecznych, jak i ekonomicznych" (s. 12) w tem, co dotyczy moralności i religji. Zapewne po raz pierwszy dokument papieski zaznacza tak wyraźnie, że to podporządkowanie ekonomiki pod prawa etyki nie znosi samodzielności ekonomiki. „Nauka ekonomiczna i dyscyplina moralna, każda w swoim zakresie rządzą się swojemi zasadami", jednak „błędnem byłoby twierdzenie, iż porządek ekonomiczny i porządek moralny tak są od siebie odległe i tak sobie obce, iż pierwszy pod żadnym względem nie zależy od drugiego" (s. 13).

Znamiennym jest przedmiot QA: „odnowienie porządku społecznego i dostosowanie go do prawa ewangelicznego".

Istnieje bowiem chrześcijański porządek ekonomiczny i społeczny, t. j. taki porządek, w którym jest zachowane prawo przyrodzone i prawo Boże, innemi słowy, porządek, całkowicie odpowiadający prawu moralnemu albo przynajmniej jest z nim zgodny, jeśli ta sama zasada moralna może się wcielić w różne instytucje ekonomiczne i prawne.

Źródłem zaś tego prawa moralnego w sprawach gospodarczych i społecznych jest „zdrowy rozsądek i skarbnica Bożego Objawienia" (s. 5). O tym zdrowym rozsądku mówi QA w innem miejscu: „Konieczną jest rzeczą, aby odnośnie do kapitału i pracy i ich wzajemnego stosunku były uznane w praktyce stosowane zasady zdrowego rozumu czyli zasady chrześcijańskiej filozofji społecznej" (s. 30).

Zagadnienie stosunku kapitalizmu do nauki katolickiej zawsze było aktualne. RN tylko jakgdyby mimochodem wskazało parę ujemnych cech ustroju kapitalistycznego. Na tem tle, zwłaszcza w okresie powojennym na skutek dokonywujących się przemian i wzrastającej nędzy bezrobocia z jednej strony, a nadużyć spekulacji i chciwości, z drugiej, zagadnienie moralnej a nawet gospodarczej oceny kapitalizmu stało się bardzo żywotnem.

Osłabł nieco kierunek przychylny dla kapitalizmu, głoszący, że kapitalizm sam w sobie jest systemem godziwym, a jest chory jedynie wskutek tego, iż nie ożywia go zdrowa myśl chrześcijańska, że przeto katolicy powinni dążyć do zajęcia w życiu gospodarczem takich stanowisk, aby do ustroju kapitalistycznego wprowadzić ducha katolickiej moralności (por. Keller, Pieper i in.). Wzmógł się natomiast kierunek, niechętny dla kapitalizmu. Wielu (np. Eberle, Lugmayer i in.) twierdzą, że kapitalizm nietylko gospodarczo się przeżył, ale jest w istocie swej niemoralny, gdyż opiera się na lichwie i wyzysku pracy ludzkiej, uprawnia dochód bez pracy i najem pracy zamiast współpracy i t. d. Do tego kierunku, choć nie w tak jaskrawej formie, zaliczyć należy Ks. Biskupa Kubinę, prof. Caro.

QA podaje szczegółowszą ocenę kapitalizmu, niż to uczyniło RN

Uznaje, najpierw, rozdział kapitału i pracy, gospodarkę kapitałową i kredytową, postęp techniczny i racjonalizację

(s. 39). Co więcej, również wyraźnie, jak może żaden inny dokument papieski — i to nie sama nauka, stanowi nowość — uznaje godziwość zysku. „Nie zabrania się wytwórcom w sposób godziwy i sprawiedliwy powiększać swego majątku; owszem, słuszną jest rzeczą, aby ten, kto społeczeństwu służy i wzbogaca je, z pomnożonych dóbr społeczeństwa sam także stawał się bogatszym, byleby do tego wszystkiego z należnem posłuszeństwem względem praw Bożych i bez pogwałcenia praw innych zdążał i podług wzkazań wiary i zdrowego rozsądku używał" (s. 39).

System więc rozdziału kapitału i pracy, jak już podaje RN (s. 28), nie jest sprzeczny z moralnością, gdyż ta nie wymaga, aby jeden i ten sam człowiek był właścicielem i jednocześnie wykonywał pracę, i gdyż w systemie tym można zrealizować zasady sprawiedliwości i miłości. Choć przeto system podziału kapitału i pracy „sam w sobie nie jest godzien potępienia" (s. 28), jednak współcześnie doprowadził on do niesłusznego podziału dochodu społecznego. Już RN zarzuca, że kapitalizm oddał bogactwa garstce ludzi a wielkie masy ludności trzyma w niedostatku, a nawet biedzie i nędzy. Pius XI ponawia ten zarzut i powtarza go kilkakrotnie, jakby chciał, aby go nikt nie mógł nie dostrzec. Wprawdzie QA nie przeczy, że „położenie robotników niewątpliwie polepszyło się i stało się bardziej znośnem, zwłaszcza w krajach o większej kulturze i większej ludności, w których nie można powiedzieć, by wszyscy robotnicy byli dotknięci nędzą lub trawieni niedostatkiem" (s. 18). Ale zło zasadnicze nie jest usunięte. „Pod koniec XIX w. nowy porządek spraw gospodarczych i silny rozwój przemysłu w wielu narodach doprowadziły do tego, że społeczność ludzka coraz bardziej poczęła się dzielić na dwie klasy, z których jedna, liczebnie wprawdzie mała, korzystała z wszystkich prawie wygód, jakich nowe wynalazki tak obficie dostarczały; druga zaś, ogarniająca przeogromną masę robotników, przygnieciona dręczącym niedostatkiem, napróżno starała się wyjść z ucisku, w którym się znajdowała" (s. 3—4). QA chwali tych katolików, „których podziwu godne miłosierdzie już oddawna zachęcało do niesienia ulgi niezasłużonej nędzy proletarjatu, a którzy w żaden

sposób nie mogli się przekonać, aby tak wielka a niesłuszna różnica w rozdziale dóbr doczesnych mogła być rzeczywiście zgodna z wyrokami Najmędrszego Stwórcy" (s. 4, por. s. 8). „Należy tak wszystko urządzić, by rozdział dóbr stworzonych był dostosowany i dostrojony do reguł ogólnego dobra, czyli sprawiedliwości społecznej, która, co każdy rozumny człowiek widzi, bardzo jest dzisiaj naruszona z powodu ogromnej różnicy między garstką bogaczy a nieprzeliczoną rzeszą ubogich" (s. 18). „Aczkolwiek wielce prawdziwem jest, że należy dobrze odróżnić stan proletarjacki od pauperyzmu, to jednak, z jednej strony, ta olbrzymia ilość proletarjuszy, a z drugiej, przeogromne bogactwa garstki bogaczy, są niezbitym dowodem, że bogactwa, które tak bardzo wzrosły w naszej tak zwanej epoce przemysłowej, nie są sprawiedliwie rozdzielone i dostosowane do różnych warstw społeczeństwa" (s. 19).

Ten stan rzeczy szczególnie się odczuwa w krajach, w których kapitalizm powstaje, tworzy się (s. 18), jak i wśród „nieprzeliczonych szeregów robotników rolnych, skazanych na jak najcięższe warunki życia, pozbawionych wszelkiej nadziei otrzymania kawałka ziemi, i przeto podległych na zawsze warunkom proletarjatu, jeżeli nie będą zastosowane środki odpowiednie i skuteczne" (s. 19).

Drugie zjawisko, które QA potępia w kapitaliźmie, to nastawienie życia gospodarczego nie w kierunku zaspokojenia potrzeb, lecz w kierunku bezwzględnego zysku, to danie przewagi rzeczom nad człowiekiem, uznanie człowieka i jego zdolności fizycznych i umysłowych jedynie za środek powiększenia bogactwa. System gospodarczy „wtedy narusza właściwy porządek, jeśli kapitał wynajmuje robotników, czyli proletarjuszy, w tym celu i pod takiemi warunkami, żeby interesy, a nawet całe życie gospodarcze obracały się według jego woli i na jego własny użytek, bez oglądania się na godność ludzką robotników, jak i na społeczny charakter życia gospodarczego, depcąc nawet sprawiedliwość społeczną i dobro ogólne" (s. 28). Takie zmaterjalizowanie pobudek i wogóle życia gospodarczego nietylko doprowadza do wywyzysku pracobiorców, ale także stwarza dla nich wielkie niebezpieczeństwa i przeszkody na drodze życia moralnego.

„Doprawdy, umysł się wzdryga, jeżeli się zważy owe wielkie niebezpieczeństwa, na które są narażone w nowoczesnych warsztatach pracy obyczaje robotników, zwłaszcza młodszych, podobnie jak wstydliwość dziewcząt i kobiet; jeżeli wspomnimy, jak często dzisiejsza gospodarka a zwłaszcza niemądry sposób urządzania mieszkań, stwarza przeszkody węzłom rodzinnego pożycia; jeżeli na pamięć sobie przywiedziemy, ile i jakie trudności stawia się należytemu święceniu dni świątecznych" (s. 38). Tym sposobem wytwarza się taki tragiczny stan rzeczy, że „bezwładna materja z warsztatu wychodzi uszlachetniona, ludzie zaś psują się tam i stają się gorszymi" (s. 38).

Od czasów, gdy była wydana enc. RN, wiele się zmieniło w gospodarstwie kapitalistycznem, w szczególności nieograniczona i nieokiełznana wolność konkurencyjna, tu i ówdzie zamieniła się na monopolistyczną przewagę silniejszych i bardziej zdecydowanych. Jak RN potępiło taką wolność gospodarczą, tak QA potępia taką nieograniczoną i niczem nie okiełznaną przewagę ekonomiczną jednych nad drugimi. „W naszych czasach nietylko bogactwa, ale także olbrzymia władza i despotyczna przewaga ekonomiczna gromadzą się w rękach niewielu. Ta garstka ludzi, nie będąc nawet po największej części właścicielami, ale tylko stróżami i zarządcami złożonego kapitału, rozporządza nim według swojej woli i sądu. Tę przewagę wyzyskują najdespotyczniej ci, którzy, mając pieniądz w swoim ręku i nim rozporządzając, biorą także w swoją moc kredyt i rządzą pożyczkami. Tak więc poniekąd rozdzielają krew, którą żyje życie gospodarcze, i posiadają niejako jego duszę w swych rękach, tak iż wbrew ich woli nikt nie może oddychać" (s. 29). W taki despotyzm zamieniła się „nieograniczona wolność walki konkurencyjnej", gdyż „pozostawia ona przy życiu tylko tych, którzy są najsilniejsi, co często jest równoznaczne z powiedzeniem: którzy ze wszystkich najgwałtowniej walczą i najmniej liczą się z sumieniem" (s. 29).

Następstwa takiego „nagromadzenia bogactw i potęgi" są bardzo bolesne. „W miejsce wolności handlu weszła przewaga ekonomiczna, za żądzą zysku poszła nieokiełznana

żądza przewagi ekonomicznej, cała ekonomja stała się strasznie twardą, nieprzebierającą w środkach i okrutną" (s. 30). Nie koniec na tem. „Następnie walczy się zacięcie o przewagę w państwie, aby można było dowolnie nadużywać jego siły i wpływów w walce konkurencyjnej" (s. 29). Państwo nie może się dostatecznie skutecznie bronić od tej chęci opanowania go przez kapitalistów i finansistów, gdyż ono samo weszło w szeregi przedsiębiorców i nieraz ulega w walce albo sprzyja napierającym. „Do tego dołączają się bardzo wielkie szkody, które płyną z pomieszania i pożałowania godnego złączenia zadań i obowiązków władzy publicznej z zadaniami i obowiązkami samej ekonomji. Jedną z takich największych szkód jest upadek powagi państwa, które, wolne od wszelkiej stronniczości i zajęte jedynie dobrem ogółu i sprawiedliwością, powinnoby zasiadać niejako na wysokim tronie, jako władza i najwyższy rządca, a tak staje się niewolnikiem, wydanym na łup żądzy i namiętności ludzkich" (s. 30). Obok tych ujemnych następstw w dziedzinie gospodarczej i państwowej spotykamy ujemne także na międzynarodowej: „Walczą między sobą państwa, czy to w ten sposób, iż używają siły i polityki do uzyskania korzyści ekonomicznych dla swoich obywateli, czyto posługując się przewagą swoich sił gospodarczych, usiłują rozstrzygnąć międzynarodowe spory polityczne" (s. 29). Tak to z tego samego źródła siły i despotyzmu gospodarczo-finansowego „wypłynęły dwa różne prądy: z jednej strony, nacjonalizm", albo także „imperjalizm" gospodarczy, z drugiej zaś, niemniej szkodliwy i potępienia godny „międzynarodowy kapitalizm" czyli „międzynarodowy imperjalizm pieniądza", dla którego ojczyzna jest tam, gdzie jest dobrze (s. 30).

Odwiecznem i ciągle odradzającem się źródłem niesprawiedliwości społecznych są nieuporządkowane namiętności, owo smutne następstwo grzechu pierworodnego, który zburzył harmonję władz ludzkich, wyzwolił niższe z pod panowania wyższych, skutkiem czego człowiek czuje gwałtowny pociąg do przekładania dóbr ziemskich i doczesnych nad duchowe i wieczne.

Oczywiście, system gospodarczo-prawny może sprzyjać

tej dysharmonji i powiększać skłonności do chciwości, lub przeciwnie, dopomagać do opanowania wewnętrznego nieopanowania w psychice ludzkiej.

Jakie znaczenie pod tym względem ma współczesny kapitalizm? Zdecydowanie szkodliwe, odpowiada QA. „Stąd to nienasycone pragnienie bogactw i dóbr doczesnych, które, chociaż zawsze pchało ludzi do łamania prawa Bożego i deptania praw bliźnich, to przecież przy dzisiejszym systemie gospodarczym, na ułomność ludzką daleko częściej zastawia sidła. Bo gdy niepewny stan spraw gospodarczych, a zwłaszcza ich powikłana organizacja, wymaga wysokiego i ustawicznego napięcia sił od tych, którzy się niemi zajmują, niektórzy tak stępili swoje sumienie, iż przyszli do przekonania, że im wolno i zyski swoje w jakikolwiek sposób powiększać, i bogactw z wysiłkiem i pracą zdobytych, strzec wszelkiemi środkami przed nagłemi zmianami losu. Łatwość zysku, do którego droga w handlu, żadnem prawem niekrępowanym, przed każdym się otwiera, popycha do wymiany i sprzedaży towarów wielu takich, którzy, tego jedynie pragnąc, by przy jak najmniejszym nakładzie pracy przez bezczelną spekulację zaraz ciągnąć zyski, tak często to podnoszą, to obniżają ceny towarów, stosownie do swego upodobania i chciwości, iż wniwecz obracają wszelkie rozumne przewidywania wytwórców.

Postanowienia prawne, mające na oku rozwój współpracy kapitałów, dzieląc między wielu i zmniejszając ryzyko przedsiębiorstwa, dały okazję do najszkaradniejszej samowoli. Widzimy bowiem, że ze zmniejszeniem się odpowiedzialności zmniejszyło się i jej poczucie. Nadto, pod bezpiecznym płaszczykiem jakiejś anonimowej spółki akcyjnej dokonują się najgorsze krzywdy i oszukaństwa, a kierownicy tego rodzaju zrzeszeń gospodarczych, niepomni swych obowiązków, zdradzają sprawę tych, których oszczędnościami podjęli się zarządzać.

Nie można wreszcie nie napiętnować tych chytrych ludzi, którzy, nie poprzestając na godziwych korzyściach, płynących z ich zajęcia, nie wstydzą się podniecać ludzkich namiętności i wyzyskiwać ich następnie do własnych celów (s. 37).

Z tych wszystkich względów ostateczny sąd jest potępieniem: „Nie bez podstawy można powiedzieć, że dzisiejszy ustrój społeczny i gospodarczy stawia niezmierne przeszkody ogromnej większości ludzi w trosce o to jedno niezbędne dobro zbawienia wiecznego“ (s. 36).

To jest też powód, dlaczego Ojciec św. wchodzi na teren spraw społecznych i ekonomicznych: zmusza Go do tego pasterski obowiązek, ojcowska troskliwość o zbawienie dusz.

Pius XI nie poprzestaje na opisie i analizie zła, ale zarazem podaje sposoby naprawy. Oczywiście, nie będą to rozważania techniczne, ani prawne, lecz moralne i filozoficzno-społeczne. „Celem uniknięcia niebezpieczeństw zarówno indywidualizmu ekonomicznego, jak i kolektywizmu, trzeba przedewszystkiem rozważyć podwójny charakter indywidualny i społeczny, tak kapitału, czyli własności, jak i pracy. Obustronne stosunki muszą najściślej opierać się na prawach sprawiedliwości, którą zowią zamienną, z powołaniem na pomoc miłości chrześcijańskiej. Konkurencja ujęta w pewne i należyte granice, a jeszcze bardziej supremacja ekonomiczna, muszą skutecznie być podporządkowane pod władzę państwową w tych sprawach, które należą do jej zakresu. Same zaś publiczne. instytucje poszczególnych narodów powinny wychowywać całe ludzkie społeczeństwo zgodnie z wymaganiami dobra ogólnego, t. j. zgodnie z prawami sprawiedliwości społecznej. Stąd zaś wyniknie, że i ten najważniejszy odcinek życia społecznego, jakiem jest życie gospodarcze, powróci do zdrowego i właściwego porządku“ (s. 30).

Przypatrzmy się po szczególe tym sposobom naprawy.

1. Na pierwsze miejsce wysuwa się reforma moralna, polegająca przedewszystkiem na tem, „aby wszystko do Boga, jako do pierwszego i najwyższego kresu, było kierowane“ (s. 39). To skłoni do zarzucenia „nikczemnej chciwości, jedynie zabiegającej o własne korzyści a będącej hańbą i wielkim grzechem naszego wieku“ (s. 39), oraz do kierowania się sprawiedliwością i miłością. „Wtedy bogaci i inni zwierzchnicy dawne swoje niedbalstwo względem braci bied-

niejszych zmienią na troskliwą skuteczną miłość, ich słuszne żądania otwartem sercem przyjmą, a także ich winy i błędy chętnie przebaczą. Pracownicy natomiast, szczerze w sobie tłumiąc wszelkie uczucie nienawiści i zazdrości, którego poplecznicy walk klasowych tak podstępnie nadużywają, nietylko swoim stanem, jaki im Opatrzność Boża w społeczności ludzkiej wyznaczyła, nie będą gardzili, lecz wielce cenić go będą" (s. 40).

2. Sama reforma obyczajów nie wystarcza, ponieważ człowiek nie żyje w odosobnieniu, lecz w formach ekonomicznych, prawnych i społecznych. Aby osiągnąć cele, do których zmierzał Leon XIII w RN, „dwie rzeczy są przedewszystkiem konieczne: przekształcenie istniejących urządzeń i poprawa obyczajów" (s. 23).

W pierwszym zakresie należy wysunąć na czoło odbudowę organizacji zawodowej. „Jest rzeczą konieczną, aby polityka społeczna zajęła się z całą usilnością rekonstrukcją organizacyj zawodowych" (s. 25). Dlaczego?

Rewolucja francuska, burząc i znosząc organizacje cechowe i inne, kierowała się zasadą, że społeczeństwo składa się z jednostek, jest ich liczbą, podsumowaniem. Miała ona zrozumienie dla wolności jednostkowego działania, i ideę tę wprowadzała siłą w życie, ale nie miała żadnego zrozumienia dla wolności zbiorowego działania, dla zrzeszeń społecznych i gospodarczych. Pod tym względem indywidualizm pozostaje w sprzeczności z katolicką filozofją społeczną, która pojmuje społeczeństwo jako zespół, jako organizm moralny.

Indywidualistyczne pojmowanie życia zbiorowego prowadzi do walki konkurencyjnej bez ograniczenia i do walki klasowej, a społeczne, jak się dzisiaj często mówi, uniwersalistyczne, do współpracy.

„Społeczność ludzka znajduje się obecnie w położeniu burzliwem, i dlatego niepewnem i wahającem się, ponieważ opiera się na klasach o przeciwnych tendencjach a stąd skłonnych do nieprzyjaźni i walki" (s. 24). Skutkiem tego, w dziedzinie gospodarczej wytworzył się taki stan rzeczy, że pracę, choć ona nie jest towarem, kupuje się i sprzedaje na rynku pracy, który stał się, „jakoby placem boju, gdzie na przeciwnych frontach zawzięcie walczą te obozy" (s. 24)

pracodawców i pracobiorców. Jest „to największe zło, które całe społeczeństwo ludzkie pcha ku zgubie“ (s. 24), nietylko dlatego że walka ta marnuje siły i na miejsce uzgodnienia interesów w imię sprawiedliwości i miłości stawia przewagę siły, ale i dlatego że walka ta jest sprzeczna z istotą życia gospodarczego, które wymaga współpracy i zgody. Organizacji klas i ich walce należy przeciwstawić organizację zawodów gospodarczych. „Zupełne uzdrowienie wtedy tylko będzie można osiągnąć, gdy po usunięciu tego przeciwieństwa między niemi, będą utworzone dobrze zorganizowane człony społecznego organizmu, do których będą zaliczeni ludzie nie według stanowiska, jakie ktoś zajmuje na rynku pracy, lecz według zawodu, który wykonywa. Albowiem z natury to już wynika, że tak, jak ci, którzy sąsiedztwem miejsca są złączeni, tworzą gminy, tak również ci, którzy ten sam zawód wykonują, czy to ekonomiczny, czy innego rodzaju, tak dalece łączą się w pewne organizmy, czyli związki, że przez wielu ludzi te związki, posługujące się własnem prawem, są nazywane i uważane, jeżeli nie za istotne społeczności państwowe, to przynajmniej za naturalne“ (s. 24).

Zorganizowane zawody muszą być połączone silnym węzłem w jedną całość. „Ta siła kojarząca poszczególne zawody tkwi w tożsamości dóbr produkowanych i obowiązków spełnianych, które mają na celu we wspólnym wysiłku pracodawcy i pracownicy tej samej kategorji, a także w owem dobru powszechnem, do którego wszystkie zawody, każdy w swoim zakresie, łącznie i zgodnie powinny się przyczyniać“ (s. 25).

Z tego wynika, że organizacja zawodu jest podwójna. Jedna, powszechna, obejmuje „sprawy, które są wspólne dla całego zawodu, a przedewszystkiem tę, oby jak najbardziej godną pieczy, wspólną dążność każdego zawodu do powszechnego dobra państwa“ (s. 25). Druga szczegółowsza: „Te sprawy, które dotyczą szczególnych korzyści lub strat, czyto panów, czy robotników, i wymagają specjalnej troski i starań, mogą jedni i drudzy osobno rozważać i zależnie od wypadku decydować“ (s. 25).

O tych zrzeszeniach i budowie szeroko mówił Leon XIII

w RN i do tego się odwołuje QA. Nie ulega jednak wątpliwości, że gdy RN mówiło przedewszystkiem o stowarzyszeniach, to QA mówi o organizacji zawodu. Niema tu sprzeczności, lecz jest ewolucja, będąca wyrazem pracy katolików społecznych. Gdy się ukazała enc. RN, myśl organizacji zawodów była jeszcze tak obca umysłom katolików, pozostających pod wpływami liberalizmu i indywidualizmu, że RN nie znalazłoby dla niej zrozumiemia, gdyby była podana w takiej formie, jak w QA.

QA nie wchodzi w szczegóły tej organizacji zawodów, które niezawodnie będą różne w różnych narodach i które nie są wewnętrznie związane z katolicką filozofją społeczną. Jednakże poświęca trochę miejsca organizacji faszystowskiej. Widzi jej dobre strony: „zgodna współpraca różnych klas, podcięcie organizacyj socjalistycznych i powściągnięcie ich knowań, osobna wreszcie władza, wywierająca wpływ miarkujący" (s. 27). Wszakże QA przyłącza się do wątpliwości wypowiadanych, „czy państwo, zamiast ograniczyć się do niesienia koniecznej i wystarczającej pomocy, nie wchłania inicjatywy prywatnej", oraz, „by nowa organizacja związków i spółdzielni nie miała zbyt biurokratycznego i politycznego charakteru i by, poza wymienionemi korzyściami ogólnemi, nie służyła raczej partykularnym celom politycznym zamiast przyczynić się do wprowadzenia i rozwoju lepszego porządku społecznego" (s. 27). Od siebie zaś dodaje, że dla osiągnięcia tego szlachetnego celu potrzeba przedewszystkiem błogosławieństwa Bożego, a następnie współpracy wszystkich ludzi uzdolnionych i dobrej woli (s. 27). „Im liczniejszy będzie zastęp ludzi, którzy są gotowi służyć tej sprawie swem doświadczeniem technicznem, zawodowem i społecznem, oraz, co jeszcze ważniejsze, im szerszy będzie w tem dziele wpływ zasad katolickich i ich zastosowanie, nie ze strony Akcji Katolickiej (która wyrzeka się wszelkiej działalności, ściśle odnoszącej się do związków i polityki), lecz ze strony tych synów Naszych, w których Akcja Katolicka owe zasady wszczepia i których przygotowuje do wykonywania apostolstwa pod przewodnictwem i w myśl nauki Kościoła" (s. 27).

Mamy tu bardzo szczęśliwe sformułowanie myśli, która nie dla wszystkich jest jasna. Akcja Katolicka, do której

wstępują katolicy jako katolicy, nie tworzy organizacyj zawodowych, technicznych i t. d. ale wyrabia zawodowców, techników, polityków i t. d. mających sumienie katolickie. I dlatego jeśli powstają związki przymusowe, jak naprz. zawodowe faszystowskie albo izby przemysłowe, rolne, rzemieślnicze, z natury swej pod względem religijnym mieszane, zatem niepodległe wpływowi Kościoła, Kościół dba o moralność ich działania przez katolików, których do tej pracy przygotowała Akcja Katolicka. Na tem polega znaczenie współczesnej Akcji Katolickiej, że wyrabia katolików bez żadnego dodatku w nazwie, zdolnych do ugruntowania i obrony zasad moralności katolickiej we współczesnem życiu zbiorowem, rozbitem, często neutralnem, ujętem w formy organizacji przymusowej pozareligijnej.

3. Wielką jest rozbieżność poglądów na zadania władzy państwowej. Państwo demokratyczno-liberalne, oparłszy się na filozofji indywidualistycznej, dążyło do zmiejszenia jak największego działalności państwa i doprowadziło do zaniku tak bogato rozwiniętego w organizacjach życia społecznego. Skutkiem tego „pozostali prawie że jedynie ludzie i państwo" (s. 23), jako dwa przeciwieństwa. Ponieważ niezorganizowane jednostki nie mogły podołać wielu zadaniom, przeto liberalne państwo musiało się podjąć zadań tych, które przedtem były spełniane przez różne organizacje i organizmy pośrednie między jednostką a państwem. Dążnościom tym sprzyjał socjalizm, który jest także indywidualistyczny w zakresie filozofji, a centralistyczny jako reakcja przeciw państwowemu i gospodarczemu liberalizmowi.

Katolicka filozofja społeczna nie opiera się tylko na empiryzmie, jak przeważnie czynią przeciwnicy liberalizmu, a nawet etatyści, lecz na głębszych zasadach, na uniwersalistycznem pojmowaniu społeczeństwa. Skoro społeczeństwo jest pewną całością, przeto musi być dobro powszechne, będące warunkiem prywatnego dobra jednostek, bo jednostka bez pomocy społeczeństwa nie może ani żyć, ani się doskonalić. Otóż pierwszem zadaniem państwa jest troska o to dobro powszechne, o stworzenie takich ram i warunków egzystencji, aby obywatel mógł łatwo, spokojnie i bezpiecznie osiągnąć dobrobyt materjalny i duchowy. Tego nie

uznaje liberalizm indywidualistyczny. To dobro powszechne osiąga się przedewszystkiem przez zachowanie sprawiedliwości społecznej, której przestrzeganie należy do wszystkich obywateli, ale w pierwszym rzędzie do władzy państwowej. Enc. QA jest encykliką dobra powszechnego i sprawiedliwości społecznej. „Leon XIII, czytamy w QA, przekraczając śmiało granice, postawione przez liberalizm, odważnie poucza, że nie jest ona tylko stróżem praw i słusznego porządku, lecz że wszelkiemi siłami winna zabiegać, aby z całego zespołu praw i urządzeń, z układu i ustroju państwa wypływał dobrobyt, tak ogólny, jak i poszczególny. Poszczególnym obywatelom i rodzinom powinna być przyznana sprawiedliwa wolność działania; jednakże tak, by zachowane było dobro społeczne, a wyłączona czyja bądź krzywda. Kierowników zaś państwa rzeczą jest, by strzegli całości i jej części; lecz przy ochronie praw poszczególnych obywateli powinni mieć przedewszystkiem na względzie słabych i biednych. Rodzaj bowiem bogatych, własną mający obronę, mniej potrzebuje ochrony publicznej; rzesza zaś ubogich, niemająca oparcia o własne siły, opierać się musi z konieczności na opiece państwowej. Dlatego robotnikami, zaliczającymi się do wielkiej gromady biednych, winno się zająć zapobiegliwie i usilnie państwo“ (s. 8). Te zadania państwa można, zgodnie ze św. Tomaszem, podzielić na ogólne, mające na celu dobro powszechne, i dwa szczegółowe: negatywne, ważniejsze, poszanowanie praw i ich ochrona, oraz pozytywne, pomoc obywatelom w miarę potrzeby i stosownie do wymagań dobra powszechnego.

Broniąc tak przeciw liberalizmowi działalności władz publicznych na podłożu sprawiedliwości społecznej, katolicka filozofja społeczna uzasadnia, z drugiej strony, przeciw socjalizmowi i etatyzmowi, wolność jednostkowego i zbiorowego działania. „Niewzruszoną i niezmienioną pozostaje arcyważna filozofji społecznej zasada, że, jak niegodziwością jest zabraniać pojedyńczym ludziom i przekazywać organizacjom to, co oni na własną rękę i własnym przemysłem mogą wykonać, tak również jest wielką krzywdą i zakłóceniem słusznego porządku odmawiać niższym i mniejszym związkom prawa wykonywania tego, co leży w ich siłach,

a przekazywać je jakiejś większej i wyższej organizacji; albowiem społeczność w każdem swem zamierzeniu z natury przeznaczenia swego winna nieść pomoc członkom organizmu społecznego, nigdy zaś nie niszczyć ich i nie wchłaniać w siebie" (s. 23).

4. Przyjęty w nauce podział kierunków społecznych na indywidualistyczne i kolektywistyczne, zależnie od tego, czy się za podstawę bierze jednostkę, czy kolektiwum, zbiorowość, jest błędny i nie ma zastosowania do nauki katolickiej. Obok bowiem jednostki - osobnika i społeczeństwa, które w gruncie rzeczy są fikcją, istnieje człowiek, jako rzeczywistość realna, osoba, jednostka społeczna, człowiek, posiadający znamiona jednostkowe i społeczne. Niema więc przeciwstawienia jednostkowości i społeczności, lecz ich uzgodnienie. I dlatego katolicka filozofja społeczna jest uniwersalna, a natomiast socjalizm i indywidualizm są jednostronne.

Ten społeczny charakter nauki katolickiej bardzo silnie podkreśla QA niezawodnie ze względu na przewagę w umysłowości współczesnej pierwiastków indywidualistycznych. O tem znamieniu społecznem mówi nietylko wtedy, gdy chodzi o jednostkę, ale także gdy rozważa zagadnienie własności, pracy, zadań państwa, podziału dochodu społecznego i t. d. I to stanowi jej nowość i oryginalność. RN uzasadnia konieczność własności prywatnej przeciw socjalizmowi, ale nie rozwiązuje wszystkich zagadnień, związanych z istnieniem własności prywatnej. W nowszych czasach niektórzy wśród demokratów chrześcijańskich (naprz. Naudet), wśród t. zw. szkoły austrjackiej (Eberle, Lugmayer i in.) zarzucali niektórym prawnikom i moralistom, że, uległszy zanadto prądom liberalno indywidualistycznym, zbyt jednostronnie podkreślali uprawnienia własności, zapominając o jej obowiązkach. Wpadając w drugą krańcowość byli skłonni widzieć w własności prywatnej tylko funkcję społeczną, którą się tak długo prawnie posiada, jak długo dobrze się ją spełnia. Stało się też aktualnem zagadnienie tytułów własności, wielu bowiem uznawało tylko jeden, mianowicie pracę, oraz problemat dochodu bez pracy.

QA nie rozstrzyga wszystkich tych i innych jeszcze

zagadnień, które są przedmiotem dyskusji, ale daje niektóre rozstrzygnięcia, stanowiące nadto wskazówkę dla dalszych rozstrzygnięć.

Najpierw z oburzeniem odrzuca sromotną obelgę, „jakoby Kościół pozwolił na wprowadzenie do nauki teologicznej pogańskiego pojęcia własności" (s. 14). Oczywiście, Kościół i teolodzy, mający w nauczaniu za przewodnika i nauczyciela Kościół (s. 13), zawsze uczyli, że „prawo posiadania prywatnego płynie z natury, od samego Stworzyciela, jużto, ażeby siebie i swoją rodzinę mogli zaopatrzyć, jużto, aby mocą tego ustanowienia, dobra, które Stworzyciel całej rodzinie ludzkiej przeznaczył, rzeczywiście temu celowi służyły; czego wszystkiego osiągnąć nie można, jak tylko zachowując pewien określony porządek" (s. 14).

QA przypomina tedy prawdę zasadniczą, pierwszą, o której tu i ówdzie zapominano, choć jej nie zaprzeczano, tę mianowicie prawdę, że dobra przyrodzone są przeznaczone przez Pana Boga na zaspokojenie potrzeb wszystkich ludzi, że podział tych dóbr między prywatnych właścicieli, czyli wprowadzenie własności prywatnej, ma na celu lepsze i spokojniejsze osiągnięcie tego celu głównego, że zatem podział dóbr nie może przeszkadzać osiągnięciu zaspokojenia potrzeb wszystkich ludzi, lecz przeciwnie powinien do tego dopomagać.

Prawo przyrodzone wymaga, aby każda rzecz miała swego właściciela, o ile aktualnie służy do zaspokojenia potrzeb. „Wymaga prawo natury, czyli wola Boża, przez nie ogłoszona, aby zachowywanym był należyty porządek w zastosowaniu kapitału naturalnego do potrzeb ludzkich, porządek ten jednak polega na tem, by każda rzecz miała swego właściciela" (s. 16). Ale to nie wyklucza pierwszego celu dóbr, wprost przeciwnie, ma ułatwić jego osiągnięcie. „Należy bogactwa, które na skutek wzrostu ekonomiczno-społecznego słusznie powiększają się, tak rozdzielić pomiędzy poszczególne osoby i warstwy ludzi, by zachowany został wychwalany przez Leona XIII ogólny pożytek wszystkich, czyli innemi słowy, aby zachowane zostało nietknięte wspólne dobro całego społeczeństwa. Na podstawie sprawiedliwości nie może jedna warstwa wykluczać drugiej od

uczestnictwa w korzyściach. Nie mniej gwałci to prawo klasa bogatych, gdy, prawie wolna od trosk wśród swoich bogactw, uważa ów porządek rzeczy za słuszny, według którego wszystko przypada im, nic robotnikowi, Nie mniej prawo to przekracza i klasa robotnicza, gdy naruszeniem sprawiedliwości mocno rozdrażniona, a zbyt skwapliwie i w zły sposób dochodząc swego tylko prawa, którego jest świadoma, żąda wszystkiego dla siebie jako wytworu własnych rąk i stąd zwalcza i chce znieść własność, dochody i zyski, pracą niezdobyte, jakiegokolwiek byłyby rodzaju i jakąkolwiek odgrywałyby rolę w społeczeństwie, nie dla innej przyczyny, jak ta, że się do nich pracą rąk nie doszło" (s. 18).

W tem przypomnieniu powszechnego przeznaczenia dóbr materjalnych występuje z całą jasnością społeczny charakter prywatnej własności. Występuje on również i w drugiej doktrynie, którą QA nazywa „fundamentem" katolickiej nauki o własności, w nauce o „odróżnieniu prawa własności od jego używania" (s. 14).

Prawo własności, które płynie z zakonu przyrodzonego, podlega sprawiedliwości zamiennej we wzajemnych stosunkach. „Sprawiedliwość, którą zowią zamienną, nakazuje święcie zachować podział posiadania i nie przekraczać granic własnego posiadania przez naruszenie cudzego prawa" (s. 14).

Natomiast używanie własności przez właściciela nie podlega tej sprawiedliwości, jak to niektórzy suponowali, przeceniając społeczny charakter własności. „Że właściciele mają ze swej własności czynić użytek właściwy, nie należy to do cnoty sprawiedliwości (zamiennej), lecz do innych cnót, których wypełnienia nie można domagać się na drodze prawa" (s. 14).

Wykonywanie prawa własności, gdy chodzi o potrzeby własne lub inne cele, nie podlega sprawiedliwości zamiennej, ale nie może być samowolne, kapryśne, lecz powinno być rozumne, zgodne z przeznaczeniem samej rzeczy, podległe cnotom, które regulują stosunki między ludźmi, poza sprawiedliwością zamienną, a przedewszystkiem podległe sprawiedliwości społecznej. Mówiono naprz. — właściciel może według własnej woli zniszczyć swoją rzecz, wywieść zagra-

nicę, pozostawić odłogiem i bez użytku i nikomu krzywdy nie czyni, nie jest obowiązany do restytucji na mocy sprawiedliwości zamiennej, państwo też nie ma prawa wtrącania się do tych rzeczy. Tak, nie narusza sprawiedliwości zamiennej, ale narusza inne cnoty, które są niemniej ważne i których naruszenie pociąga odpowiedzialność przed Bogiem. Czy także przed państwem, o tem będzie mowa niżej.

Obok tego uczciwego wykonywania prawa własności, które zresztą obejmuje wszystko to, co własność daje albo czem jest, również „i wolne dochody nie są pozostawione całkowicie do dyspozycji człowieka, mianowicie te, których nie potrzebuje do urządzenia życia odpowiednio i godnie do swego stanowiska. Owszem, Pismo św. oraz Ojcowie Kościoła wyraźnemi słowy ustawicznie bogaczom przypominają, że są obowiązani, na mocy ciężkiego przykazania, do praktykowania jałmużny, dobroczynności i wspaniałomyślności" (s. 15).

W dotychczasowej nauce katolickiej mówiło się o przeznaczeniu tego, co zbywa, na jałmużnę, na cele religijne, oświatowe, dobroczynne. Niektórzy socjolodzy (naprz. Hitze, Garriguet, niżej podpisany) dowodzili, że współcześnie nadwyżkę należy przeznaczać przedewszystkiem na powiększenie warsztatów pracy, aby każdy człowiek, zdolny do pracy, mógł utrzymać się ze swej pracy, a nie z jałmużny lub dobroczynności publicznej. QA podziela to stanowisko. „Z zasad, postawionych przez Doktora Anielskiego, dowodzimy, że wydawanie większych dochodów na dzieła, dające szerszą możność pracy, byle tylko taka praca popierała sprawy naprawdę pożyteczne, jest rzeczą szlachetną, do potrzeb czasów dzisiejszych szczególnie dostosowaną i jest spełnieniem cnoty wspaniałomyślności" (s. 16).

Z powyższego wynika, jakie doniosłe znaczenie dla dobrego użycia własności ma dobra wola właściciela, jego wartość moralna. Czy stąd wynika, że wszystko pozostawia się tej dobrej woli, że tylko od niej zależy ustrój własności i jej użytkowanie? Byłoby to zbyt niebezpieczne, skoro się wie, jak bogactwo i pieniądz zaślepiają i że wielu nic sobie nie robi z przykazań, których nie popiera przymus prawny.

Przypominamy, że zadaniem władz państwowych jest

troska o dobro powszechne, pospólne, oraz, z drugiej strony, to, że „rzeczywiście, z samego charakteru własności prywatnej, który nazwaliśmy indywidualnym i socjalnym, wynika, że w tej sprawie powinni mieć ludzie na względzie nietylko korzyść osobistą, lecz także dobro ogólne" (s. 15). Z tych dwóch przesłanek wynika wniosek, będący dalszym ciągiem tylko co przytoczonego ustępu: „Określenie zaś tych obowiązków, w szczególności, kiedy konieczność tego wymaga, a samo prawo naturalne tego nie czyni, należy do tych, którzy stoją na czele Rzeczypospolitej. Dlatego władza publiczna, mając na względzie rzeczywistą konieczność dobra publicznego (a nie tylko pożytek lub wygodę lub jaki inny motyw) może bliżej określić, w świetle prawa naturalnego i Bożego, jak właściciele godziwie mogą lub nie mogą używać swych dóbr" (s. 15).

Władze publiczne mają więc prawo ingerencji w zakresie używania dóbr, mają je też względem samego ustroju własności. „Leon XIII mądrze nauczał, że Bóg pozostawił staranności ludzkiej i urządzeniom narodów określanie własności prywatnej. Albowiem, jak i inne składniki życia społecznego, tak i posiadanie nie jest wcale niezmienne" (s. 15). Oczywiście, że ingerencja władz publicznych nie może być samowolna. Musi się kierować dobrem powszechnem i sprawiedliwością społeczną oraz samą naturą i celem własności. „Jasną jest rzeczą, że Rzeczpospolita nie może dowolnie posługiwać się tą władzą. Zawsze bowiem musi pozostać nietknięte i nienaruszone prawo naturalne posiadania prywatnego i przekazania dóbr drogą dziedziczenia, czego państwo usunąć nie może" (s. 15).

Pożyteczna to jest działalność. „Skoro państwo uzgadnia prywatną własność z koniecznościami dobra ogólnego, nie staje się wrogiem, ale przysługę oddaje właścicielom, w ten bowiem sposób skutecznie przeciwdziała, aby prywatne posiadanie własności, które najopatrzniejszy Twórca natury dał jako podporę dla życia ludzkiego, nie rodziło ciężkich szkód i w ten sposób nie wiodło na zatracenie; ani też prywatnej własności nie znosi, lecz ją strzeże, a prywatnego posiadania nie osłabia, ale je wzmacnia" (s. 15).

5. W dziedzinie podziału QA odrzuca zarówno rze-

kome prawo ekonomiczne, według którego wszelkiego owoce pracy przypadają kapitałowi, a robotnikowi zaledwie tyle, ile potrzeba koniecznie na wzmocnienie i odnowienie sił, jak i urojone prawo moralne, „że wszystkie produkty i dochody, po potrąceniu jedynie tego, co potrzebne do zasilenia i odświeżenia kapitału, należą się z samego prawa robotnikowi" (s. 17).

Nie zajmując się techniczną stroną podziału, QA przypomina zasadę główną, że podział nie może być bylejaki, ale taki, by odpowiadał „zamierzonemu przez Boga celowi" (s. 18), to znaczy, by uwzględniał pożytek wszystkich ludzi, by zachował nietknięte dobro wspólne całego rodzaju ludzkiego, jak to już wyżej było zaznaczone (s. 18). „Każdemu należy oddać część dóbr i należy tak wszystko urządzić, by rozdział dóbr stworzonych był dostosowany i dostrojony do reguł ogólnego dobra czyli sprawiedliwości społecznej" (s. 18).

Co do t. zw. dochodów bez pracy QA poprzestaje na odrzuceniu poglądu, że dochody takie, niezdobyte pracą zawsze i wszędzie są niegodziwe, że Apostoł, mówiąc: kto nie pracuje, niech też nie je, jakoby nauczał, iż praca sama jest wyłączną podstawą otrzymywania pożywienia i dochodu (s. 18), ale nie określa, kiedy i w jakich warunkach jest godziwa lub nie.

Nie wchodząc w dziedzinę technicznych zastosowań i cyfrowych pozycyj podziału, bo zależy to także od takich czynników, jak siła organizacyjna, umiejętność poparcia swego prawa i t. d., QA wygłasza kierowniczą i orjentacyjną zasadę: „Należy usilnie dążyć do tego, by w przyszłości uzyskane kapitały gromadziły się w słusznym stosunku w rękach bogaczy i rozdzielane bywały w dostatecznej mierze pomiędzy robotników, nie poto, żeby ci zaniechali pracy... lecz żeby oszczędnością powiększyli swój majątek, jego zaś powiększenie i mądra administracja ułatwiłaby im i zapewniła dźwiganie ciężarów rodzinnych. Wybrnąwszy tak z niepewności losu, który proletarjuszy i tam i sam rzuca, nie tylko będą mogli znosić przykrości życia, lecz będą mogli ufać, że w razie swej śmierci odpowiednio zabezpieczyli tych których po sobie pozostawili" (s. 19).

Wszystko to ma być miarą odpowiedniej, sprawiedliwej płacy. Jak już parokrotnie było wspomniane, współczesny podział nie czyni zadość tym postulatom sprawiedliwości społecznej; stąd wniosek, że należy ten stan rzeczy zmienić, że należy podnieść proletarjat. „Taki bowiem jest istotnie cel, do którego Poprzednik Nasz polecił usilnie zdążać — podniesienie proletarjatu. Co tem silniej należy podkreślić i tem częściej powtarzać, że zbyt często zapomina się o tych zbawiennych poleceniach Papieża, czyto celowo zamilczając o nich, czyto uważając je za niemożliwe do przeprowadzenia, gdy tymczasem mogły i powinny być wykonane. Nie utraciły one w naszych czasach na sile swej i mądrości" (s. 18).

6. Roztrząsając zagadnienie słusznej płacy, QA znowu powraca do podkreślenia strony społecznej. „Gdyby nie istniał organizm prawdziwie społeczny, gdyby ustrój społeczny i prawny nie bronił wykonywania pracy, gdyby różne zawody, wzajemnie od siebie zależne, nie łączyły się ze sobą i wspólnie sobie nie pomagały, gdyby, co ważniejsza, nie połączył się i nie zlał jakgdyby w jedno rozum, kapitał i praca, — działalność ludzka byłaby niezdolną do wydawania owoców. Niemożliwą przeto jest rzeczą słusznie ocenić i sprawiedliwie wynagrodzić pracy, jeżeli nie zwróci się uwagi na jej charakter społeczny i indywidualny" (s. 20). Z tej podwójnej cechy wypływają następstwa, które powinny być normą dla regulowania płacy: *a)* utrzymanie robotnika i jego rodziny, *b)* stan warsztatu pracy i *c)* wzgląd na dobro ogólne.

„Przedewszystkiem robotnikowi należy dać takie wynagrodzenie, któreby było wystarczające do utrzymania jego i jego rodziny" (s. 21), co oczywiście nie wyklucza odpowiedniej pomocy i pracy innych członków rodziny. Wygłoszeniem tej zasady został zakończony długotrwały spór o to, czy sprawiedliwa zapłata powinna być jednostkowa czy rodzinna. Co więcej, Ojciec św. czyni aluzję do zapłaty rodzinnej zmiennej. „Nie od rzeczy oddać tu zasłużoną pochwałę tym wszystkim, którzy, bardzo mądrze i pożytecznie postępując, różnych doświadczyli i próbowali dróg, żeby wynagrodzenie za pracę dostosować do ciężarów utrzymania rodziny, tak iżby w miarę zwiększania się ich

i zapłata była większa, a nawet, gdyby zaszła konieczność, żeby i na nadzwyczajne potrzeby wystarczyło" (s. 21).

Przy tej sposobności Ojciec św. bardzo ostro występuje przeciw nieracjonalnej zarobkowej pracy kobiet. „Niegodziwością jest nadużywać wieku dziecięcego lub słabych sił kobiecych. Największem zaś nadużyciem, które za wszelką cenę winno się usunąć, jest to, że matki rodzin z powodu szczupłości ojcowskiego zarobku zmuszone są zajmować się pracą zarobkową poza obrębem domu z zaniedbaniem właściwych sobie trosk i obowiązków, a zwłaszcza wychowania dzieci. Wszelkiemi przeto siłami należy się starać, aby ojcowie rodzin otrzymywali zapłatę dość wielką, któraby wystarczała na zaspokojenie wszystkich zwyczajnych potrzeb domowych" (s. 21).

Następnie należy wziąć pod uwagę stan warsztatu, „niesprawiedliwem bowiem byłoby domagać się wygórowanych zapłat, których warsztat nie może dawać bez swego upadku i wynikającej stąd klęski robotników" (s. 21). Musi to jednak być stan niezawiniony. „Nie można tego uważać za wystarczającą przyczynę do zmniejszenia zarobków robotniczych, jeżeli warsztat mniejsze daje zyski z powodu niedbalstwa lub opieszałości, lub też braku starania o techniczny i ekonomiczny postęp" (s. 21). Prawo posiadania majątku i warsztatu pracy łączy się z obowiązkiem mądrego zarządzania nim. Trudno zaprzeczyć doniosłości tego przypomnienia, jeśli się wie, jak mało ten obowiązek jest znany i przestrzegany przez właścicieli. Nie na tem koniec. Jeśli zakład pracy nie rentuje się, gdyż naprz. obarcza się go niesprawiedliwemi ciężarami lub zmusza do sprzedawania wytworów poniżej cen słusznych, wtedy należy wszystko zrobić, ażeby ten stan rzeczy zmienić, a dopiero w ostateczności rozważyć, czy warsztat może wytrwać w zaczętem dziele czy należy w inny sposób dopomóc robotnikom; w każdym razie ci, którzy do takiego stanu doprowadzają zakład pracy, „są winni wielkiej zbrodni, albowiem słusznej zapłaty pozbawiają robotników, którzy z konieczności muszą przyjąć mniejszą płacę, niż ta, która im się należy" (s. 21).

Wreszcie wzgląd na dobro ogólne, to, aby robotnik

mógł zrobić oszczędności, a współcześnie przedewszystkiem to, aby wszyscy mogli znaleźć pracę (s. 22).

Na zakończenie te mądre słowa Ojca św.: „Wtedy dopiero zagadnienie ekonomiczno-społeczne będzie prawdziwie rozwiązane i cele swoje osiągnie, jeżeli wszystkim i poszczególnym ludziom będą dostępne te wszystkie dobra, które mogą być zdobyte bogactwy i środkami natury, sztuką techniczną i społecznem zorganizowaniem życia gospodarczego. Tyle zaś powinno być tych dóbr, wiele potrzeba do zadośćuczynienia koniecznym potrzebom i słusznym wymogom ludzkim, jak również do zbliżenia ludzi do tego szczęśliwego sposobu życia, który, byle roztropnie rzecz pokierować, nietylko nie przeszkadza cnocie, lecz przeciwnie wiele jej pomaga" (s. 23).

Drugiem głównem zagadnieniem, którem się zajmuje QA, jest określenie stosunku między katolicyzmem a socjalizmem. Po wojnie bowiem wielu mniemało (naprz. Steinbüchel), że jest możliwość dojścia do porozumienia z socjalizmem, który się przeciwstawił komunizmowi i zaczął podkreślać momenty moralne i religijne.

QA odróżnia socjalizm i komunizm, ale jako dwa odłamy tego samego prądu, a nie jako dwa odrębne prądy.

Komunizm usiłuje wprowadzić w życie, nie kryjąc tego wcale, najzaciętszą walkę klas i całkowite zniesienie własności prywatnej. Jest zdecydowanym wrogiem Kościoła i Boga. Nie liczy się z niczem, jest okrutny i nieludzki. Dla każdego jasne, że nie może być zgody z tak przewrotnym i bezbożnym komunizmem. Tego niema potrzeby dowodzić. Ojciec św. korzysta jednak ze sposobności, aby powiedzieć, że „nie możemy, bez głębokiego bólu spoglądać na nieopatrzność i obojętność tych, którzy zdają się lekceważyć te grożące niebezpieczeństwa i z bezpieczną opieszałością pozwalają szerzyć się błędnym hasłom, których następstwem będzie zniszczenie gwałtem i rzezią całego społeczeństwa; a tem bardziej należy potępić gnuśność tych, co nie dbają o to, by usunąć albo zmienić warunki, które rozjątrzają narody i torują drogę do przewrotów i zagłady społeczeństwa" (s. 31).

Co do socjalizmu to powstrzymuje się on od użycia gwałtu, nawet samą walkę klas i zniesienie własności prywatnej, jeżeli nie całkiem odrzuca, to przynajmniej osłabia i łagodzi. Mogła więc powstać myśl o współpracy czy połączeniu socjalizmu i katolickiej działalności społecznej. Nie da się to jednak osiągnąć. „Socjalizm, jako nauka, czy jako zjawisko historyczne, czy jako akcja, jeśli pozostaje prawdziwie socjalizmem, nawet wtenczas, kiedy poczyni ustępstwa na rzecz prawdy i sprawiedliwości, nie da się pogodzić z dogmatami Kościoła katolickiego, gdyż jego pojęcia o społeczeństwie przeciwstawiają się zasadniczo prawdzie chrześcijańskiej" (s. 33). Socjalizm, odrzucając cele wieczne, utrzymuje, że ludzkie społeczeństwo istnieje jedynie dla zapewnienia sobie materjalnego dobrobytu. Z tej materjalistycznej zasady wypływa, że społeczeństwo socjalistyczne nie może istnieć bez nadmiernej władzy, a zarazem sprzyja, bo znosi prawdziwą władzę, pochodzącą od Boga (s. 34). Tym zaś, którzy mniemają, że przez pewne złagodzenie nauki katolickiej, podobnie jak to zrobili socjaliści, można socjalistów pociągnąć do prawdy, Ojciec św. odpowiada, że: „Próżna to nadzieja. Kto chce być apostołem wśród socjalistów, powinien otwarcie i szczerze wyznawać pełną i nieskażoną prawdę chrześcijańską i żadną miarą nie przechylać się ku ich błędom. Jeżeli chcą być prawdziwymi głosicielami Ewangelji, muszą wykazywać socjalistom, że ich postulaty, o ile są słuszne, obronią się daleko lepiej, wychodząc z zasad wiary chrześcijańskiej i że daleko skuteczniej sprawę posunie się naprzód, czerpiąc siły z miłości chrześcijańskiej" (s. 33).

Zasługuje na uwagę i zastanowienie, jak wiele razy Ojciec św. chwali tych katolików, którzy się gorliwie oddali pracy społecznej, chociaż ich za to nieraz spotkały przykrości i zarzuty, że są socjalistami i t. d. Oddaje też pochwały tym, którzy teoretycznie pracowali nad pogłębieniem katolickiej nauki społecznej. „Pod przewodem i kierunkiem Kościoła liczni uczeni, duchowni i świeccy, gorliwie jęli rozwijać naukę społeczną i ekonomiczną w myśl potrzeb naszych czasów, kierując się przedewszystkiem tym wzglę-

dem, by niezmienną i niezmienioną nauką Kościoła skutecznie zaradzić nowym potrzebom" (s. 7). Tak to pod przewodnictwem encykliki Leona XIII powstała „katolicka wiedza społeczna". Do dalszej pracy w tym kierunku zachęca Ojciec św. „Zbawienne i wszelkie pochwały godne dzieło pełnią ci, którzy, zachowując zgodę umysłów i nienaruszalność nauki, podawanej zawsze przez Kościół, starają się określić wewnętrzną tych obowiązków (w danym wypadku, wynikających z własności) naturę oraz granice" (s. 14).

Z drugiej strony, Ojciec św. gani, i nieraz bardzo mocno tych, którzy nie spełniają tych obowiązków społecznych, choć są do tego obowiązani, albo nawet stawiają przeszkody. Wzywa więc tych, do których to należy, aby przeprowadzili odpowiednie zmiany. „Taki układ (niesłusznego podziału) z łatwością znosili ci, którzy, opływając w dostatki, sądzili, że wynika on z koniecznych praw społecznych, a stąd całą troskę o pomoc dla biednych pragnęli pozostawić jedynie miłosierdziu, jakgdyby miłosierdzie mogło pokrywać naruszenie sprawiedliwości, przez pracodawców nietylko tolerowane, lecz nawet zatwierdzone" (s. 4). Ojciec św. boleje, że wielu katolików należy do socjalizmu. „Przepełnieni troską ojcowską, rozważamy i staramy się zbadać, jak to się stać mogło... i zdaje się Nam, że słyszymy to, co wielu z nich na swe wytłumaczenie odpowiada: Kościół i ci, co głoszą, że mu są oddani, popierają bogatych, zaniedbują robotników, o nich się nie starają; dlatego też, by sobie łatwiej w życiu zaradzić, musieli się zapisać i wciągnąć w szeregi socjalizmu" (s. 35). Uderza powaga postawy Papieża. Czy zarzut odrzuci? Niestety, z tą samą powagą, możnaby nawet powiedzieć patosem, gdyby ten wyraz nie miał wyświechtanego znaczenia, Ojciec św. potwierdza ów zarzut. „Rzecz to naprawdę opłakana, Czc. Bracia, że byli owszem i teraz jeszcze są tacy, co uważają się za katolików, a prawie że zapomnieli o wzniosłem owem prawie sprawiedliwości i miłości, które nas obowiązuje nietylko do oddania każdemu, co mu się należy, ale i do wspomagania będących w potrzebie braci, jako samego Chrystusa Pana, a nawet co gorsza, nie wstydzą się dla żądzy zysku robotników gnębić. Owszem, nie brak i takich, którzy nadużywają sa-

mej religji i jej pozorem starają się pokryć niesprawiedliwe swe wymagania, by się uchronić przed słusznemi całkiem żądaniami robotników" (s. 35). Z żalem przeto, bo przez nich cierpią nietylko pracobiorcy, ale i Kościół sam, najwyższe dobro na ziemi, zwraca się Pius XI do takich katolików: „Nigdy nie przestaniemy gorzko im wyrzucać tego sposobu postępowania. Oni bowiem są przyczyną, dlaczego, choć niesłusznie, zarzuca się Kościołowi, że trzyma z bogatymi i że się nie wzrusza potrzebami i trudnościami tych, którzy są jakoby pozbawieni należnego im z natury dziedzictwa" (s. 35). I gdy znowu rozważa sprawę walki z komunizmem, nie waha się powiedzieć, że „potępić należy gnuśność tych, co nie dbają o to, by usunąć albo zmienić warunki, które rozjątrzają narody i torują drogę do przewrotów i zagłady społeczeństwa" (s. 31).

Ojciec św. wzywa więc wszystkich do pracy. Zwraca się do Biskupów, „którzy z rozkazu Ducha Św. razem z Nim rządzą Kościołem Bożym" (s. 40): „Chwała Wam! a razem z Wami tym wszystkim, czyto duchownym, czyto świeckim, których z radością uważamy za dzielnych współpracowników, za codziennych uczestników tego wielkiego dzieła, za ukochanych synów naszych, którzy, oddając się Akcji Katolickiej, ze szczególnym wysiłkiem łącznie z nami zajmują się kwestją społeczną, która z samego ustanowienia Bożego należy do Kościoła i jemu została powierzona. Ich wszystkich gorąco zachęcamy w Panu, aby żadnych nie szczędzili prac, żadnemi nie dali się pokonać trudnościami, ale coraz bardziej i bardziej niech wzrastają w gorliwości i mocy. Zaiste, do spełnienia trudnego dzieła ich zachęcamy; dobrze bowiem wiemy, że wszędzie, tak wśród klas wyższych społeczeństwa, jak i niższych, napotykają rozliczne trudności i przeszkody do przezwyciężenia. Jednakże niech ducha nie tracą, albowiem staczanie zaciętych walk jest cechą chrześcijan, znoszenie zaś ciężkich trudów jest właściwością tych, którzy jako dobrzy żołnierze Chrystusa, zbliska za Nim kroczą" (s. 41).

Encyklika QA powinna mieć decydujące znaczenie dla stanowiska katolików we współczesnym świecie, i to

w zakresie teorji, jak i w dziedzinie praktyczno-gospodarczej i praktyczno-społecznej.

Encyklika chroni katolików od błędu, jaki już nieraz popełniali, przywiązywania się do form gospodarczych, które nie są nawet doskonałe, a często są wadliwe, i bronienia ich. Wprost przeciwnie, wzywa do krytycznego stosunku do kapitalizmu i pracy nad jego naprawą, a dokładniej przemianą, zwłaszcza przez rozbudowę organizacyj zawodowych. Ustawodawstwo pracy, tak pożyteczne, jest niedostateczne; może niezadługo nadejdzie okres, w którym ustawodawstwo pracy będzie ściślej związane z organizacją zawodu.

Praca społeczna dozna niezawodnie wzmocnienia we wszystkich krajach, dałby Bóg, aby się to dokonało także w Polsce, gdzie, zwłaszcza w środowiskach robotniczych, wiejskich i miejskich, są tak wielkie braki. Oby rozszerzyła się po całym kraju i znalazła w nim zrozumienie sama myśl katolicko-społeczna, tak dla wielu zupełnie obca, tak wyparta przez inne poglądy i zainteresowania, zwłaszcza polityczne, gdy tymczasem świadomość katolicka powinna się ujawniać przedewszystkiem w działalności społecznej, jako głębszej i donioślejszej.

Ks. Dr. A. Szymański.

Na przełomie.

(Do historji szkolnictwa jezuickiego w Polsce).[1])

Jezuici polscy nie zatracili nigdy, że się tak wyrazimy, ambicyj naukowych. Nawet w czasie największego osłabienia kulturalnego o nauce, jej wzniosłości i potrzebie mówi się ciągle, zachęca młodzież do pracy, przedstawia wzory polskich wielkości wieków ubiegłych.

Na początku każdego roku szkolnego profesor retoryki wygłaszał mowę inauguracyjną: *Oratio in renovatione scholarum*; otóż większość tych mów, zbadanych przez nas, a zbadaliśmy wszystko, co tylko było dostępnem, poświęcona jest właśnie temu tematowi lub innym z niem ściśle związanym. Rzućmy kilka przykładów!

W Kaliszu w r. 1699 Kazimierz Kwolek głosi potrzebę różnicy zdań i dyskusji w sprawach naukowych celem wyjaśnienia zagadnień. Jakób Chrząstowski w r. 1701 występuje z wcale umiarkowanie, jak na te czasy, napuszystym, panegirykiem na chwałę wiedzy, zwłaszcza polskiej. Wielbi Kazimierza W., Jagiełłę zwłaszcza za założenia Akademji Krakowskiej. „Na szeroki świat wyprowadził mądrość Wła-

[1]) Artykuł ten jest fragmentem przygotowującego się do druku studjum o szkołach jezuickich w ostatnich 30 latach przed zniesieniem zakonu. Autor, przedstawiwszy uprzednio przyczyny zarówno załamania się kulturalnej intensywności zakonu, jak i upadku szkół, przedstawiwszy dalej dzieje prób obrony przed tym upadkiem, w obecnym urywku zbiera powody bezskuteczności tych prób, oraz czynniki, które ostatecznie spowodowały przełamanie martwoty kulturalnej. Bardzo liczne przypisy zostały tutaj opuszczone, wymagałyby bowiem wielu wyjaśnień, dotyczących źródeł.

dysław Jagiełło, który w metropolji, t. j. w stolicy miast i świata polskiego, niby w głowie Jowisza, usłał kolebkę sarmackiej Minerwie i wśród triumfalnych łuków swych zwycięstw, otworzył także i złotą bramę mądrości". Jako pierwszych, którzy próg mądrości ojczystej przeszli, wymienia Kadłubka, Hozjusza, Sokołowskiego, Kopernika, Orzechowskiego, Kochanowskiego, Modrzewskiego *(Fritius politicus)* i innych.

Bardzo charakterystyczną jest mowa wygłoszona rok później (1702), w której mowca udowadnia potrzebę tworzenia nauki polskiej, o polskich rzeczach i ludziach. Treścią nauki naszych szkół, narzeka, jest w ogromnej przewadze świat grecko-rzymski. A przecież nie brak nam ani wielkich bohaterów na miarę herosów starożytnych, ani uczonych, ani mowców, statystów, polityków; wymienia ich długą litanję, a każdemu dodaje jakieś starożytne nazwisko. Kończy gorącym apelem do młodzieży polskiej, „tych iskier wielkiej nadziei, jutrzenki polskiej szczęśliwości, aby gdy taki niedostatek mężów uczonych, iż ze śmiercią każdego z nich zdaje się umierać sama wiedza i zdają się umierać nauki, aby starali się wskrzesić dawną chwałę przodków".

W r. 1734 Kazimierz Wierzbicki profesor retoryki Akademji Wileńskiej wygłasza i drukuje entuzjastyczną mowę na cześć wiedzy, wiedzy nieśmiertelnej, nie ginącej wśród wojen, wiedzy, która sama jest wieczystą walką o zdobycie prawdy. Placem boju — to uniwersytety, wodzami — uczeni, a wrogiem — próżniactwo i nieuctwo.

I nietylko w wielkich kolegjach podobnemi myślami i pochwałami zaczynano rok szkolny! Te same tematy porusza się po szkołach mniejszych, rozrzuconych po zapadłej prowincji. W takim np. Krasnymstawie rok po roku na różne sposoby ten jeden temat brany jest za treść przemówień.

Ta zgodność, tem bardziej dziwna, że po roku 1740 mowy inauguracyjne poświęca się już innym zagadnieniom naukowo-szkolnym, wydaje się być na pierwszy rzut oka poprostu wynikiem umowy, rozkazu zgóry, lub mody. Tymczasem była to tylko samorzutna reakcja umysłów ludzi, którzy rozumieli wielkość i potrzebę wiedzy i swoje wzglę-

dem niej obowiązki, a pogrążeni w niemocy, nie mogąc się z niej podnieść, tym przynajmniej sposobem protestowali głośno, że nie rezygnują z aspiracyj naukowych.

Że te aspiracje były mimo tylu mądrych i szumnych, nieraz za szumnych i za patetycznych słów, jakie o nich wypowiadano, bezpłodne, — wina leżała w atmosferze najbliższego otoczenia, a przedewszystkiem w warunkach zewnętrznych.

Najważniejszą przyczyną jałowości deklamacyj o wiedzy, bezpłodności tych pięknych słów, a zarazem bezskuteczności tych licznych napomnień, nakazów i pierwszych prób naprawy, były warunki, w jakich znajdowała się Polska w tych czasach; wojny, zniszczenia przez nie sprowadzone, pożary, głody, zarazy — oto cała litanja klęsk, uniemożliwiających pracę i rozwój kulturalny.

Nie stawiamy tutaj jakiejś nowej teorji, mającej usprawiedliwiać upadek aktywności kulturalnej tych czasów, lecz stwierdzamy tylko fakt historyczny. Te klęski zaciążyły tak silnie nad życiem polskiem, że dźwignięcie się z upadku przy całej jego — przynajmniej jeśli idzie o Jezuitów — świadomości i przy wszystkich wysiłkach podjętych, było niemożliwem, jak długo warunki te trwały. I znowu nadobfite uzasadnienie tego twierdzenia znajdujemy zarówno w cytowanych wyżej mowach inauguracyjnych, jak i w ćwiczeniach i wypracowaniach szkolnych, dialogach, prologach i t. d. W przeróżnych formach, ujęciach, kombinacjach powtarzają się tam aż do znużenia narzekania na wojny i ich skutki; czasem będą to tyrady tak napuszyste, że ledwie dla nas dziś zrozumiałe, to znowu szczere, pełne prawdy i uczucia skargi; choć i pierwsze nie są pozbawione szczerości, zasypanej tylko balastem mitologji i kwiatków zepsutej wymowy. Bolesna, wprost tragiczna rzeczywistość tak przygniatała dusze i serca, że ciągle wracają do niej myślą, szukając pociechy w Bogu, w modlitwie i pokucie, to znowu wybiegają otuchą w lepszą przyszłość, pokładają całą nadzieję w młodzieży.

W Kaliszu w r. 1702 przedstawiono, czy raczej wygłoszono na scenie przed gośćmi i szkołą wypracowanie, zatytułowane: *Sensus bonorum patriae civium in praesenti con-*

cussae Poloniae statu. Jest to zbiór siedmiu mów, treścią przypominających nieco Lamentacje Jeremjaszowe. Autor w słowach szczerych, w stylu i formie jasnej, prostej, z której odpadła prawie zupełnie modna napuszystość, tak iż poprostu wierzyć się nie chce, iż mogły takie mowy być wygłoszone w tych czasach, maluje niedolę polską. Słyszymy tam o upadku władzy królewskiej i powagi senatu, o ograniczeniu faktycznem znaczeniu sejmu, o zniszczeniu wojennem, pożarach,[1]) nędzy. *Hostis vigilat, apparet grassatur, expoliat urbes; nos sedemus, frigemus, et votis tantum optamus auxilia.* Kilka lat później na scenie tegoż kolegjum przedstawiono wielkie widowisko, osnute na koncepcji, która stała się 200 lat później podstawą *Wesela* i *Wyzwolenia* Wyspiańskiego. Oto w szeregu obrazów wskrzeszono całą umarłą minioną Polskę dla pociechy i nauki współczesnych. W Prologu śpiewa chór słowa, wedle utartych poglądów na ten okres naszej historji, wprost... nieprawdopodobne:

Dziś przodków naszych z popiołów wzbudzamy,
Niech nam pokażą jakimi być mamy.
Wstańcie z swych grobów waleczni przodkowie,
Niech was obaczą wasi potomkowie.
My was wzbudzamy z głębokiej wieczności,
Wy nas ospałych dziś wzbudźcie z gnuśności.

Otóż pierwszy obraz (inductio) tego widowiska, to żywy opis właśnie tragicznego położenia Polski, jej niedoli, spowodowanej wojnami, zarazą, pożarami.

---

[1]) Patetyczna skarga na zniszczenie i spustoszenie Wawelu. Sensus: Iam non hostis tantum, sed elementa quoque in nos conspirasse videntur, ut gemino incendio belli ac ignis pereamus. Fumat adhuc ars illa Cracoviensis et fumus ille lacrymas elicit vectigales. En quo rediit illa excelsa moles! Poloni orbis gloria, Lechiae decus, Regum deliciae, Principum receptaculum! Iam cinis est, quod stella fuit, iam fumus et funus! Cecidit, cecidit illa regia, quam plane aeternam vota nostra spopenderant! Quasi regum augustalia parum nituissent, nisi etiam cum dispendio lucis nativae populatrices flammas concepissent. Quid ergo diuturnum erit, si aeterna pereunt, si mors etiam saxis, marmoribus venit? Quorsum labores illi, quibus non unus Apelles aut Fidias insudaverat? In cinere squallent! Ossolineum. Zbiory Pawlikowskich, rękopis 204. Mowy, wiersze i intermedia szkolne z Kolegjum Kaliskiego. 1584—1703.

W kaliskiem również kolegjum profesor wymowy, opłakując w r. 1711, jak wszyscy zresztą jego poprzednicy i następcy niedolę polską, w zakończeniu z takim gorącym zwraca się apelem do młodzieży: „Ciebie polska młodzieży, jeżeli masz litość dla Ojczyzny twej, zaklinam; na twoje ręce liczy upadłe imię Polski, ty wysiłkiem umysłów twoich wzniesiesz do dawnej sławy chwałę Rodzicielki. Wierz mi, że Ojczyzna i wiedza jednego, wspólnego mają nieprzyjaciela: próżniactwo".

W Krasnymstawie w r. 1735 zaczęto rok szkolny pochwałą wiedzy i tych rozkoszy duchowych, jakie ona daje. Po wygłoszeniu tej pochwały, zatrzymuje się mowca i stawia sobie i słuchaczom takie pytanie: „Czy można oddawać się rozkoszom wiedzy (Pallady) wśród klęsk i ogólnej żałoby nieszczęsnej Ojczyzny?... Ginie już ona (o boleści) w szale wojennym. Przedmurze chrześcijaństwa niszczone jest ogniem gorszym, niż Wezuwjusza płomienie. Kwiat królestw usycha wśród spiekoty wojennej, a siedlisko, raczej Panteon wiedzy, w popiół się rozpada. Któż zatem może obiecywać naukom, że nie spotkają je te same losy, jakie są udziałem Rzeczypospolitej. Jesteśmy pisklętami Orła polskiego; Gdy Matka ginie, chyba i nam, miłośnikom wiedzy, razem z naukami zginąć przyjdzie". Pociesza jednak siebie i słuchaczy nieśmiertelnością ducha ludzkiego i nieśmiertelnością wiedzy z ducha zrodzonej.

Tych wszystkich skarg i narzekań nie wolno nam uważać za frazesy bez treści i szczerości; samo bowiem już monotonne ich powtarzanie jest najlepszem dowodem, że były wyrazem myśli i uczuć, jakie tych ludzi przejmowały i trapiły.

Dopiero względne uspokojenie za czasów Augusta III umożliwiło powolną zmianę na lepsze; anarchja i absurdalność wewnętrznych stosunków polskich zaczęły się uświadamiać jednostkom i całym grupom ludzi, a to uspokojenie i uświadomienie stworzyło warunki potrzebne do przyjęcia się i działania tych prądów umysłowo-kulturalnych, jakie szły od Zachodu.

Prądy te obejmuje się jedną nazwą Oświecenia. Jak każdy ruch tego rodzaju o charakterze przełomowym, prze-

kształcającym całe życie wedle nowych czy odnowionych czynników, nie jest nigdy zjawiskiem prostem, ale bardzo nieraz złożonem, skupiającem w sobie czynniki dodatnie o wartości trwałej, lub przemijającej, i czynniki ujemne, które życie przewartościowuje i przesiewa. Bliżej prądami Oświecenia zajmować się tutaj nie potrzebujemy, są to bowiem rzeczy znane; spróbujemy zato zbadać, jakiemi drogami szedł jego wpływ na Jezuitów polskich i jakie zajęli wobec niego stanowisko.

Najwcześniejsze ślady nie wpływu Oświecenia, ale wiadomości o niem spotykamy w podręcznikach i wykładach filozoficznych. Oczywiście, że do całej nowej filozofji polscy jezuiccy filozofowie zajmują w pierwszych dziesiątkach XVIII wieku stosunek negatywny, wrogi, uważając tę filozofję za przeciwniczkę: *adversarii*. Należy dodać i to jeszcze, że wiadomości o tej nowej filozofji czerpali przeważnie nie bezpośrednio z dzieł filozofów XVII i XVIII wieku, ale pośrednio, z podręczników filozoficznych współbraci niemieckich, a zwłaszcza francuskich. Lecz i to tak jeszcze dalekie i słabe oddziaływanie pociąga za sobą dodatnie skutki, mianowicie wprowadzenie do filozofji zagadnień nowych, o charakterze więcej życiowym, praktycznym, np. zbijanie ateizmu, obrona nieśmiertelności i duchowości duszy i t. d., któremi przedtem nie interesowano się, jako problemami nieużytecznemi, skoro nie było jeszcze przeciwników, prawdy te odrzucających.

Drugą ważną drogą, którą szedł wpływ Zachodu były g a z e t y. One to przynosiły interesujące wieści o odkryciach naukowych i wynalazkach, o akademjach, o uczonych, i filozofach, o różnych popisach i konkursach naukowych. Te wieści budziły ciekawość, a równocześnie zmuszały do refleksji, do robienia porównań z Polską i przyznania, że tego u nas jeszcze niema. Wieści, czerpane z gazet, znajdowały uzupełnienie i potwierdzenie w o p o w i a d a n i a c h n a o c z n y c h ś w i a d k ó w, przeważnie naszych magnatów, którzy zaczynają znowu więcej podróżować, a nawet wysyłać swych synów na studja, lub gwoli obtarcia się i nabrania poloru.

Nie należy również zapominać o w p ł y w i e D r e z n a,

a zwłaszcza o wpływie Francji, przez dwór Leszczyńskiego, na którym stale przebywali polscy Jezuici w charakterze spowiedników króla i jego córki, królowej francuskiej.

Już te wszystkie czynniki, połączone z napomnieniami generałów i prowincjałów, zaczęły wydawać jeszcze przed rokiem 1740, jak to zobaczymy potem szczegółowo, pewne, choć skromne bardzo owoce.

Rolę zewnętrznej podniety, która była tą ostatnią kroplą, co ostatecznie przełamała bierność Jezuitów polskich, spełniło wystąpienie Teatynów i ks. Konarskiego.

Pierwsi Teatyni warszawscy stanęli wobec społeczeństwa polskiego z programem bardzo zresztą jeszcze ubogim nowej, zreformowanej szkoły, i to stanęli wyraźnie w opozycji przeciw Jezuitom. W r. 1738 próbowali Teatyni otworzyć w Warszawie po raz drugi po dłuższej przerwie swoje szkoły. Jeden z nich napisał ulotkę propagandową, w której bardzo ostro zaatakował Jezuitów i ich szkoły, a w nich przedewszystkiem Alwara, jako zupełnie nie nadającego się do nauki szkolnej. „Piszą też dużo, opowiada historyk jezuickiego kolegjum warszawskiego, o innych naukach, a zwłaszcza o tezach Kartezjusza, zapowiadając ich nauczanie w filozofji. Geografją swoją chwalili się tak, jak kupiec zachwala towar, który chce przemocą wepchać kupującemu. Niby woźni, latając po mieście, głosili po prywatnych domach, że oni dopiero chcą naprawdę kształcić Polskę, Jezuci nigdy nie uczą szczerze i ochotnie, jak tylko tych, o których przypuszczają, że do ich zakonu wstąpią". Ulotkę tę w odpisach rozrzucali Teatyni po mieście, a nawet w niepojętej naiwności, zwrócili się do Jezuitów, by im ją w formie nieco łagodniejszej wydrukowali w swej warszawskiej drukarni. Oczywiście Jezuici nie zgodzili się na kręcenie bicza na samych siebie, prośbie tej odmówili, postarali się przytem, że żadna inna drukarnia warszawska broszury tej nie wytłoczyła.

Trzy lata później występuje ks. Konarski, wystąpienie jego jednak nie znalazło w urzędowej korespondencji jezuickiej, a nawet w historji kolegjum warszawskiego wy-

raźnego echa. Ogólne wzmianki o konkurencyjnych szkołach innych zakonów powtarzają się dość często tak przed r. 1740, jak i po nim. Powodem, dla którego założenie pijarskiego Collegium Nobilium nie wywarło natychmiastowej wyraźnej reakcji, była, w przeciwieństwie do Teatynów, nieagresywność ks. Konarskiego. W programowej mowie i w prospekcie nowego zakładu naukowego nie wspomina nic o Jezuitach, nie przedstawia swego dzieła jako zwróconego przeciwko nim, ale ujmuje sprawę zasadniczo. Samo zaś kolegjum pijarskie w pierwszych latach istnienia nie było czem groźnem dla Jezuitów: mały, w prowizorycznym budynku umieszczony konwikt, na dwudziestu kawalerów, nowy zakład dużo obiecujący, ale daleki jeszcze od późniejszego urzeczywistnienia tych obietnic, był dla współczesnych tylko jednym ze szczegółów budzącego się odrodzenia, a zarazem współzawodnictwa na polu wychowania. Dopiero z perspektywy dziejów założenie Collegium Nobilium pijarskiego nabiera znaczenia symbolu, jako widomy znak przełomu i przemiany, która w tym okresie czasu zarówno przed r. 1740 jak i po nim zaczęła się dokonywać.

Wogóle w całej zachowanej znanej nam korespondencji nie znajdziemy absolutnie ani jednego dowodu insynuowanej Jezuitom nienawiści i zawiści względem Pijarów, a względem ks. Konarskiego w szczególności. Polemika o nowy styl w wymowie toczyła się zarówno między samymi Jezuitami, jak i między Jezuitami a Pijarami. Nie była więc zwrócona przeciwko tym ostatnim. Walki zaś o szkoły w Piotrkowie, Wilnie i Lwowie, warte idealniejszego celu, dla obu stron niechlubne, były walką dwóch organizacyj, mimo całej zawziętości pozbawioną osobistej zawiści. Bezpłodność i niestosowność takiej walki, a zarazem pojęcie prawdziwej, twórczej emulacji przedstawił Jezuitom polskim generał Visconti (1752, 22. VII). Wychodząc z faktu istnienia pewnego jakoby monopolu szkół jezuickich, wobec braku szkół innych, który zmuszał poprostu rodziców do oddawania synów do szkół zakonu, przedstawia zmianę położenia przez powstanie szkół nowych, niejezuickich, wskutek czego rodzice mają możność porównania i wyboru. Jako wniosek z tych faktów, wysuwa konieczność wysokiego

poziomu szkół jezuickich, będącego najlepszym sposobem emulacji; „należy się wystrzegać czczych i zawiść budzących sporów, które tylko szkodę przynoszą, a za to walczyć wielkością pracy i wysiłku. Tak należy młodzież kształcić, by nie trzeba było jej za długo w szkołach trzymać i by z tych szkół wychodziła wyrobiona w naukach ponad przeciętność. Należy się starać, by nasi nauczyciele byli nietylko dobrymi, ale najlepszymi, lepszymi od innych. Gdy o tem będziemy wszyscy głęboko przekonani, kończy generał, nawet mimo naszego milczenia, nasze gimnazja będą się cieszyć uznaniem i frekwencją uczniów i wtedy nie będziemy potrzebowali się już obawiać, żeby uczniowie nie szli do innych nauczycieli".

Ks. Szymon Majchrowicz w swej bardzo interesującej książce: *Trwałość szczęśliwa królestw*, o której przyjdzie nam jeszcze nieraz mówić, w części III, wymieniając zakony, oddające się wychowaniu młodzieży wyraża się o Pijarach z pełnem uznaniem i szacunkiem: „Zakon jego (Józefa Kalasantego) święty toż samo przez wszystkie lata po różnych królestwach chwalebnie i z wielką pilnością czyni, z niemniejszym pożytkiem chrześcijańskich narodów" (t. III, str. 394).

Z tego jednak, że pierwsze wystąpienie ks. Konarskiego nie wywołało wyraźnego echa, nie wynika, że nie wywarło zbawiennego wpływu na ciągle jeszcze słabo postępującą naprawę szkół jezuickich. Za podnietą Pijarów, a na wzór innych tego rodzaju zakładów wychowawczych jezuickich, istniejących już we Włoszech i Francji, Jezuici polscy przystępują do zakładania kolegjów i konwiktów szlacheckich, nie wypierając się przytem naśladownictwa.[1]) A równocześnie przełożeni jeszcze energiczniej przykładają rękę do naprawy szkół zakonnych. Jesienią 1741 r. polski prowincjał Tomasz Lichtański bardzo ostro wystąpił przeciwko niedbalstwu nauczycieli, zwłaszcza klas retoryki i filozofji. Jego następca Tomasz Dunin pousuwał nauczycieli niedba-

[1]) Przy otwarciu kaliskiego konwiktu szlacheckiego jego regens ks. Loka wydrukował prospekt programowy, w którym najwyraźniej powołuje się na jezuickie rzymskie kolegjum i na oba warszawskie kolegja Teatynów i Pijarów i zapowiada otwarcie podobnego zakładu w Kaliszu.

łych i nie chcących zastosować się nowych rozporządzeń i potrzeb.

Te wszystkie wysiłki, zmierzające do naprawy szkół, nie były już teraz daremnymi. Wspomniany prowincjał Lichtański w roku 1743 w liście do prowincji chwali jedno z kolegjów[1]) za pomyślny wynik rocznych prac szkolnych i popisów, zwaszcza zaś ćwiczeń w stylu i w historji, przyjętych z zadowoleniem przez obcych i zachęca inne szkoły do naśladowania.

By osiągnięcie tego celu ułatwić, inicjuje się żywą akcję wydawniczą podręczników szkolnych. Brak podręczników był plagą szkół jezuickich; stałe dyktowanie zabierało zbyt wiele drogiego czasu. Prowincjał Dunin położył w roku 1744 kres tym niedomaganiom, zakazał dyktowania i rozporządził, że jezuicka drukarnia w Kaliszu ma dostarczać podręczników dla Wielkopolski i Prus, a lwowska dla Małopolski i Rusi. Równocześnie zaś zobowiązał prefektów szkół, aby nie dopuszczali do nich chłopców, nie posiadających podręczników, przepisanych na daną klasę. Prowincja litewska albo nabywała podręczniki u braci z Korony, albo wydawała swoje w Wilnie i w Warszawie, które znowu sprowadzano do domów prowincji polskiej; sprowadzano również masowo i podręczniki obce, zwłaszcza z Pragi, Wiednia i Tyrnawy.

Te wszystkie wymienione dotąd czynniki i zarządzenia wnet jednak okazały się jeszcze za słabe i niewystarczające! Jezuici spostrzegli się rychło, że temi siłami, jakiemi rozporządzali, reformy swych szkół nie przeprowadzą. Można było własnemi siłami zmienić nauczanie gramatyki, poprawić wymowę, od biedy wprowadzić czy usprawnić i rozszerzyć nauczanie historji, niepodobna jednak było rozkazem zgóry znaleźć odrazu większej liczby profosorów matematyki, fizyki, architektury, francuskiego. Profesorów tych przedmiotów należało dopiero wykształcić; w kraju oczywiście wykształcenia tego zdobyć nie mogli, bo nie było gdzie. Akademja Wileńska posiadała stale tylko

[1]) Najprawdopodobniej jest tu mowa o Kaliszu, który najwcześniej i najgruntowniej zabrał się do naprawy.

jednego profesora matematyki i to jednostki, które się w niczem nie wybiły i nie zaznaczyły swej wiedzy, ani pracami naukowemi ani przygotowaniem młodych nauczycieli. Poza Akademją Wileńską z prowincji litewskiej tylko Połock ma przed r. 1740 czasem osobnego profesora matematyki; znacznie lepiej jest w prowincji polskiej, gdzie w XVIII w. większe kolegja mają osobnych nauczycieli tego przedmiotu; myślano tam również o ich przygotowaniu, tworząc kursa przygotowawcze; w tejże prowincji w Sandomierzu już od r. 1720 jest osobny nauczyciel francuskiego, a od 1730 także i niemieckiego.

Wszystko to jednak było dużo za mało, by mogło uczynić zadość nowym potrzebom i wymaganiom. W tym celu zaczynają prowincjałowie wysyłać młodych na studja zagranicę. Początek zrobiono od teologji. Prowincja polska ma od r. 1730 stale po dwu lub trzech teologów w Rzymie, w r. 1750—51 zaczyna specjalne studja matematyki w Pradze Tomasz Siekierzyński (dwa lata). W roku następnym dostaje za towarzysza Jana Łoykę, który rok spędza w Pradze, a dwa w Paryżu, w następnych latach matematykę w Paryżu studjują Ignacy Biegański, Ignacy Trąpczyński, w Wiedniu Dominik Sędzimir, Andrzej Gawroński, Ludwik Hoszowski, Ksawery Krasicki, w Marsylji Ignacy Chmielewski, w Rzymie i w Paryżu Józef Rogaliński, w Medjolanie i Florencji Paweł Jastrzębowski, prócz tego przebywają zagranicą Grzegorz Piramowicz (w Rzymie i we Florencji) i Józef Koblański (trzy lata we Wiedniu). Z prowincji litewskiej studjują teologję w Rzymie między innymi Franciszek Bohomolec, Stefan Łuskina, Stanisław Szadurski, teologję w Lyonie Adam Naruszewicz, matematykę i fizykę studjują w Rzymie Gabrjel Lenkiewicz, w Pradze Tomasz Żebrowski, Jan Bohomolec, Kazimierz Naruszewicz, Marcin Poczobut, [1]) w Wiedniu Stefan Łuskina, w Lyonie Mikołaj Kossowski i Jerzy Koźmiński. Prócz tego dwa lata 1762—4 spędzają na studjach matematycznych we

[1]) Poczobut wyjechał z Wilna po raz pierwszy na studja zagraniczne 24. IX 1753 r. W trzy dni po nim podążył do Pragi Kazimierz Naruszewicz. Wilno. Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Rkp. 98. Diarjusz kolegjum wileńskiego 1752—66.

Włoszech i Francji (Rzym, Marsylja, Awinion, Neapol) Poczobut i Kazimierz Naruszewicz, a Poczobut wyjeżdża również dla bliższego zetknięcia się z uczonymi astronomami i dla zakupu instrumentów w r. 1768 do Francji, Niemiec i Anglji.

Nie można również pominąć milczeniem innej jeszcze grupy wyjazdów zagranicznych, które tak dla wyjeżdżających, jak i dla naprawy szkół miały doniosłe znaczenie. Wyrwicz Karol dziewięć lat kieruje wychowaniem i wykształceniem kasztelanina inflanckiego Hylzena i wyjeżdża z nim przynajmniej dwukrotnie do Wiednia i Paryża, a potem obejmuje kierownictwo warszawskiego Coll. Nob. W Paryżu i Rzymie opiekuje się trzema młodymi kasztelaninami lwowskimi Potockimi: Kajetanem, Pawłem i Janem, Grzegorz Piramowicz (1768—1770). Przynajmniej rok (około 1750—60) przebywa i słucha teologji w sławnem francuskiem kolegjum Henryka IV we Flèche Stanisław Tymiński, a potem jedzie na dalsze lata studjów teologicznych do Paryża i Rzymu.

Po tych zestawieniach musimy sobie zdać przynajmniej ogólnie sprawę, co mogły przynieść polskim Jezuitom wymienione środowiska i co oni wnieśli zarówno w umysłowy przewrót w Polsce, jak i w naprawę szkół jezuickich. Możemy wśród tych środowisk wyodrębnić trzy grupy: pierwsza—to dwa miasta sąsiednie Polsce, Wiedeń i Praga, druga Włochy, trzecia Francja. Uderza nas przedewszystkiem brak miast ściśle niemieckich. Brak ten tłumaczy się tradycyjną niechęcią do Niemców Polaków wogóle, a Jezuitów polskich w szczególności. Tej niechęci nie odczuwano jednak do obu sąsiednich prowincyj: Dolno-Austrjackiej i Czeskiej, chociaż pierwsza była całkiem niemiecka, a druga prawie całkiem zniemczała. Stolice obu tych krajów: Wiedeń i Praga, w wieku XVIII były ogniskami żywego ruchu naukowego; historja, filozofja, a zwłaszcza matematyka, fizyka doświadczalna i astronomja uprawiane były poważnie, a cały szereg znakomitych uczonych jezuickich wybił się ponad przeciętność, tworząc podstawy późniejszego rozwoju tych nauk w obu krajach.

W Wiedniu stosunek Jezuitów do uniwersytetu ułożył

się wprost przeciwnie niż w Krakowie. Po okresie tarć, dyskusyj i narad, w r. 1623 całe jezuickie kolegjum wiedeńskie zostało ostatecznie inkorporowane do uniwersytetu. Umowa zawarta między obu zakładami jest pewnego rodzaju osobliwością w dziejach zakładów naukowych; przez tę umowę emulacja i walka dwu zakładów zmieniła się na emulację jednostek w obrębie jednej tylko szkoły, co stanowczo należy uznać za korzystniejsze. Uczyli więc Jezuici austrjaccy przez stokilkadziesiąt lat razem z akademikami, wspólnie ponosząc odpowiedzialność za stan i rozwój uniwersytetu. Po okresie obniżenia się poziomu studjów, około r. 1720 zaczyna się okres reform i zmian programu. W r. 1714 zostaje urządzone muzeum matematyczne, a z latami rozszerzane, przemienia się na poważne muzeum przyrodniczo-fizyczne. W r. 1733 budują Jezuici nowe obserwatorja astronomiczne i zaopatrują je w instrumenta, 1729 r. w styczniu zostaje uroczyście inaugurowany wykład historji powszechnej, wraz z metodologją tej nauki; niedługo potem zostaje stworzona osobna katedra historji niemieckiej i geografji, wreszcie 1746 fizyki doświadczalnej. W r. 1751, kiedy Stefan Łuskina, późniejszy profesor matematyki i astronom kolegjum warszawskiego, przybywał do Wiednia, wykładał na wiedeńskim uniwersytecie O. Józef Franc (1704—1776), twórca i kierownik przez lat 20 nowego obserwatorjum astronomicznego i założyciel wiedeńskiej akademji orjentalistycznej. W tym samym czasie wykładał również matematykę O. Józef Liesganik, który w r. 1773 po pierwszym rozbiorze robił pomiary zagrabionej przez Marję Teresę Galicji. W r. 1755 przybywa do Wiednia i obejmuje kierownictwo obserwatorjum najwybitniejszy astronom austrjacki tych czasów O. Maksymiljan Hell, przyjaciel Poczobuta, autor podręczników szkolnych, używanych i przedrukowywanych także i przez polskich Jezuitów. Z tymi to uczonymi zetknęli się, ich wykładów słuchali i pod ich kierownictwem pracowali polscy Jezuicy Stefan Łuskina, Sędzimir Dominik, który ma wielkie zasługi około podniesienia kolegjum przemyskiego, Gawroński Andrzej, późniejszy lektor Stanisława Augusta, astronom królewskiego obserwatorjum, tłumacz i wydawca matematycznych podręczników

L'Huillier'a dla szkół Komisji Ed. Nar., wreszcie Hoszowski Ludwik profesor „nowej" filozofji we Lwowie.

Gdy mówimy o Wiedniu, nie wolno nam pominąć drugiego jeszcze jezuickiego zakładu naukowego w tem mieście, a mianowicie *Theresianum*. Otwarte w jesieni 1746 r., otoczone pietyzmem prowincji, kierowane przez najzdolniejsze jednostki, było wzorowym i postępowym zakładem wychowawczym i stało się wzorem dla innych podobnych instytutów. Jezuici polscy tak ci, którzy robili studja we Wiedniu, jak i inni, którzy w drodze do Rzymu na kongregacje lub w drodze na studja zatrzymali się w Wiedniu, z wszelkiem prawdopodobieństwem zwiedzali zarówno uniwersytet, jak i Theresianum.

Drugim ośrodkiem naukowym, najbliższym Polsce była Praga. I tam uniwersytet Karola IV został złączony po bitwie na Białej Górze z jezuickiem kolegjum w jeden zakład zwany *Universitas Carolo Ferdinandea*; do połączenia tego doszło jednak drogą zupełnie odmienną niż w Wiedniu, było ono bowiem surową karą na *Carolineum* za poparcie ruchu husyckiego.

Jezuici polscy przebywają w Pradze na studjach od r. 1750 do 1756, czterech z prowincji litewskiej, sami wybitni kierownicy kulturalnego odrodzenia, Jan Bohomolec, Tomasz Żebrowski, założyciel i twórca obserwatorjum wileńskiego, Kazimierz Naruszewicz, kierownik wileńskiego Kolegjum Szlachty i Poczobut. Z prowincji zaś polskiej Siekierzyński, autor podręcznika arytmetyki. W tych latach wykładają w Pradze matematykę Jan Jüngling (1705—1775) i Jakób Heinisch (1718—1771) matematykę i astronomję najwybitniejszy z tych czasów uczony czeski Jezuita Józef Stepling (1716—1798), przyjaciel Chr. Wolffa, de la Caille'a, Lalande'a nie mówiąc już o jego bliskich stosunkach z matematykami i astronomami jezuickiemi Boscovichem, Hellem i t. d. Stepling, kierownik praskiego obserwatorjum astronomicznego, które zorganizował i urządził wedle wymagań nowoczesnej nauki, autor wielu prac z zakresu astronomji i matematyki, osobistość pod każdym względem wybitna, poważny uczony o szerokich poglądach a równocześnie głęboko wierzący, był na pewno profe-

sorem T. Żebrowskiego, Siekierzyńskiego, Jana Bohomolca, Kazimierza Naruszewicza i Poczobuta. Ten ostatni przedewszystkiem Steplingowi zawdzięcza wprowadzenie w świat wiedzy matematyczno-przyrodniczej, jak i najprawdopodobniej późniejsze zbliżenie do paryskich astronomów de la Caille'a i Lalande'a,

Druga, włoska grupa ośrodków naukowych miała bezpośrednie wybitniejsze znaczenie tylko dla teologji; pośrednio jednak podróż i pobyt w Rzymie musiał na sporą gromadkę jezuickich teologów wywrzeć dodatnie wrażenie, choćby tylko przez zmuszenie ich do robienia porównań między Polską a zagranicą i przez pobudzenie myśli krytycznej. Florencko-medjolańskie matematyczne studja Pawła Jastrzębowskiego, jako bardzo późne (1765—1767), nie mogły mieć żadnego wybitniejszego wpływu na naprawę szkół polskich. [1]) Na dwa lata przed Jastrzębowskim wyjeżdża do Rzymu po 2-letnim specjalnym kursie matematyki, odbytym pod kierownictwem Tomarza Żebrowskiego w Akademji Wileńskiej i kilkuletniej praktyce nauczycielskiej Gabrjel Lenkiewicz. Za jego pobytu w Rzymie wykładał w kolegjum rzymskiem matematykę Józef Marja Asclepi, znany z kilkunastu drobnych prac przyrodniczo-astronomicznych. Po powrocie do kraju Lenkiewicz aż do kasaty uczy matematyki i architektury w Warszawie w Coll. Nob. i w Połocku. Wybrany zaś po kasacie drugim generałem na Białej Rusi, przeprowadza reformę białoruskich szkół jezuickich.

Bardzo wybitny wpływ na kulturalne odrodzenie się polskich Jezuitów wywarła Francja, i to zarówno Francja Oświecenia, jak i Francja jezuicka. Francuskie prowincje zakonne w wieku XVIII pod względem kulturalnym stały bardzo wysoko, cały szereg pierwszorzędnych zakładów naukowo-wychowawczych i wielu wybitnych uczonych, pisarzy, mowców, było chlubą zakonu. By się o tem przekonać, wystarczy przeglądnąć dzieła Cantora i R. Wolfa, traktujące o historji nauk matematyczno-przyrodniczych, i wystarczy przypomnić jansenizm, kierunki gallikańskie,

[1]) Jastrzębowski po powrocie do Polski wykłada przez 5 lat filozofję w Poznaniu, nie wydaje jednak żadnego dzieła naukowego.

nienawiść Sorbony i parlamentów, pewne prądy kwietystyczno-mistyczne, filozofję Oświecenia z jej deizmem i ateizmem, filozofję Kartezjusza, którego Jezuici wychowali; jest rzeczą jasną, że wszystkie te kierunki i prądy stanowiły w sumie pierwszorzędny zbiór czynników podniecających intensywność kulturalną francuskich Jezuitów, w przeciwieństwie do ich braci polskich, którzy tych czynników i bodźców prawie przez lat sto byli zupełnie pozbawieni. Jeżeli zaś idzie o szkolnictwo, to Jezuici francuscy bardzo szybko przystosowali się do nowych prądów wychowawczych i skutecznie przyczynili się do ich rozpowszechnienia, przy równoczesnej wierności zasadniczemu kierunkowi swojej pedagogiki i swojego szkolnictwa.

W tę atmosferę intensywności kulturalnej i umysłowej weszło i z nią bliżej zetknęło się kilku polskich Jezuitów, którzy potem stali się przywódcami kulturalnego odrodzenia tak zakonu jak i narodu; są to obaj Naruszewicze, Poczobut i Rogaliński, Piramowicz, Wyrwicz i Szadurski Stanisław. Cała ich działalność i ideologja, jak zobaczymy później wyczerpująco, nosi wyraźnie cechy francuskiego Oświecenia, przetworzonego i przefiltrowanego niejako przez Jezuitów francuskich, cechy rozumnej, na eklektyźmie opartej postępowości, dostosowującej nowe prądy, potrzeby i hasła do wiekuistych praw i postulatów katolicyzmu. Dzięki Jezuitom oświecenie polskie zostało ochrzczone, zostało oparte (konsekwentnie czy nie, w tej chwili w to nie wchodzimy) na innych założeniach ideologicznych niż oryginalne Oświecenie francuskie.

Gdy mówimy o Francji, to oczywiście przedewszystkiem i w 90 procentach rozumiemy przez to Paryż, Paryż Ludwików, Paryż salonów i prywatnych pracowni uczonych matematyków, fizyków, astronomów, Paryż z jego Akademją Nauk, poczęści z dźwigającem się z upadku College de France, no i o ile idzie o Jezuitów, z ich kolegjum Louis-le-Grand. Sorbona nie wchodzi tu w rachubę, ponieważ jak większość sławnych uniwersytetów europejskich, w pierwszej połowie wieku XVIII pogrążona była w marazmie, a cały nowoczesny rozwój nauki aż po W. Rewolucję rodził się i rozwijał poza jej dostojnemi murami.

W jakich środowiskach naukowych Paryża mogli pracować Jezuici polscy? Mówimy mogli, ponieważ brak nam prawie zupełnie źródeł, któreby dokładnie podawały, gdzie i pod czyjem kierownictwem studjowali nauki matematyczno-astronomiczne. Posiadamy jednak pewne fakta, które z dużem prawdopodobieństwem pozwolą nam na to pytanie odpowiedzieć.

Na dworze Stanisława Leszczyńskiego, a potem na królewskim dworze francuskim, jak już wspomnieliśmy, przebywają stale polscy Jezuici, jako kapelani i spowiednicy króla Stanisława i jego córki Marji, żony Ludwika XV. Jeden i drugi dwór skupiał na swoich salonach większość wybitnych uczonych, filozofów i literatów tych czasów, a Ojcowie spowiednicy, biorący udział w towarzyskich zebraniach, ułatwiali zapewne wpływem swoim przybyłym z Polski na studja współbraciom zbliżenie do kół i zakładów naukowych Paryża. To zbliżenie było w dwóch wypadkach aż za skuteczne, ponieważ dwaj młodzi Jezuici polscy, wysłani na studja matematyki do Paryża: Ignacy Biegański i Ignacy Trąpczyński po kilku latach pracy naukowej nie wrócili już do Polski, ale z rozkazu przełożonych osiedli na tych dworach i objęli funkcje spowiedników króla Stanisława i królowej po zmarłych poprzednikach: Sebastjanie Ubermanowiczu i Janie Radomińskim. Biegański i Trąpczyński, sami matematycy, ułatwiali najprawdopodobniej pracę, względnie nawiązanie stosunków najpierw Józefowi Rogalińskiemu, a potem Poczobutowi, Naruszewiczom, Wyrwiczowi i Piramowiczowi.

Z paryskich zakładów naukowych może być brane pod uwagę tylko Collège de France; wykładali tam matematykę i astronomję po r. 1750 Delisle i Lemonnier, a w r. 1760 objął po pierwszym z nich katedrę astronomji Józef Hieronim Lalande, dobry znajomy Poczobuta i Strzecokiego. W tym samym czasie, po prywatnych pracowniach, po obserwatorjach paryskich i przy Akademji Nauk pracowali matematycy i astronomowie: Aleksy Klaudjusz Clairaut (1713—1765), którego geometrję w polskim przekładzie i przeróbce wydał Poczobut, i Mikołaj Ludwik la Caille (1713—1762) profesor w Collège Mazarin, wydawca wielu

podręczników i obserwacyj astronomicznych. W kolegjum zaś jezuickiem Ludwika W. za czasów pobytu Rogalińskiego w Paryżu (1758—1762) wykładał filozofję i matematykę Noël Regnault, mniej wybitny jako badacz, bardzo jednak zasłużony jako popularyzator najnowszych zdobyczy naukowych w. XVIII i propagator nowych metod nauczania przez konwersację. Dzieła Regnault'a: *Entretiens physique d'Ariste et d'Eudoxe ou Physique nouvelle en dialoques, qui renferme précisement se qui s'est découvert de plus curieux et de plus utile dans la Nature* (3 tomy, I wyd. 1729, w wydaniu VII z r. 1755, tomów 5), *Logique en forme d'entretiens, ou l'Art de trouver la vérité* (1742) i *Entretiens mathématigues* (1744), wszystkie cieszące się wielkiem uznaniem, wywarły decydujący wpływ na powstanie pierwszego polskiego dzieła, obejmującego całokształt nauk fizycznych: *Doświadczenia skutków rzeczy pod zmysły podpadających* Rogalińskiego. W tym samym czasie w kolegjum paryskiem wykładał astronomję Jean Nicolas Cairon de Merville i na rok przed wypędzeniem Jezuitów z Francji wydał I-szy tom, na większą skalę obmyślanego, ale nie dokończonego podręcznika: *Leçons de mathématigues a l'usage des Collèges* (1761; obejmuje arytmetykę, algebrę, geometrję płaską).

Prócz Paryża dwa jeszcze prowincjonalne środowiska naukowe wchodzą w rachubę, jeśli idzie o studja polskich jezuitów: Lyon i Marsylja.

Studja matematyki, fizyki doświadczalnej i astronomji dwu litewskich Jezuitów Mikołaja Kossowskiego i Jerzego Koźmińskiego w Lyonie, pod kierownictwem matematyka Wawrzyńca Beraud, polskiej wiedzy matematyczno-przyrodniczej nie przyniosły żadnej korzyści, ponieważ Kossowski po kilku latach profesury filozoficznej został przeznaczony do pracy kaznodziejskiej, z powodu wybitnych pod tym względem zdolności, a Koźmiński wykładał wprawdzie matematykę w Połocku i pełnił funkcje prefekta szkół niższych w warszawskiem Coll. Nob., ale sam nic nie pisał z zakresu nauk matematycznych, zato po kasacie już za Komisji Ed. N. wydał *Dictionarium latino-polonum* i pracował jako bibljotekarz przy Bibljotece Publ.

W Marsylji, w tamtejszem kolegjum jezuickiem robili

studja matematyczne wspomniany już wyżej Kossowski, przedwcześnie i młodo zmarły Ignacy Chmielewski, poprzednik Rogalińskiego na katedrze matematyki i fizyki w kolegjum poznańskiem i Poczobut. Profesorem matematyki i hydrografji był w tych latach w Marsylji Jezuita Esprit Pezenas (1692—1776), twórca obserwatorjum astronomicznego, członek korespondent Akademji Nauk. Prócz oryginalnych prac i licznych obserwacyj Pezenas przyswoił językowi francuskiemu kilka dzieł przyrodników angielskich. Pezenas był drugim po Steplingu mistrzem Poczobuta; pod jego kierownictwem zaprawiał się Poczobut w astronomji, robił pierwsze obserwacje i przygotowywał pierwsze prace.

Tak się przedstawiają studja Jezuitów w Polsce i zagranicą; niewielka ich gromadka czerpała wiedzę u obcych [1]) i nie wszyscy wybili się w pracy nad odrodzeniem kulturalnem Polski. Ci jednak, którym dano pracować na niwie szkolnej i na polu kultury narodowej, wychowując i przygotowując do tej pracy młodzież i współbraci, stali się pierwszymi pionierami odrodzenia.

Pomogli im w tem bezpośrednio i współbracia francuscy, dzięki wypędzeniu Jezuitów z Francji w r. 1762 Lecz już rok wcześniej rektor Akademji Wileńskiej Stanisław Hasłowski, za zgodą generała zakonu, sprowadza dwu francuskich Jezuitów: z Lyonu Jana Fleuret na katedrę fizyki doświadczalnej, a z Marsylji Jana Rossignol na katedrę matematyki, z wyraźnym celem przygotowania młodych Jezuitów na nauczycieli tych przedmiotów. Obaj 6 listopada wygłaszają wykłady inauguracyjne, a potem przez dwa lata wykładają jezuickim Scholastykom fizykę doświadczalną i matematykę. W r. 1763, 2-go września Rossignol, nie mogąc się przyzwyczaić do ostrego klimatu, hojnie na drogę zaopatrzony, wyjechał z Wilna, by wrócić do Francji, Fleuret pozostaje w Polsce nieco dłużej, katalogi jednak r. 1764/5 już go nie podają.

Na krótko przed wyjazdem Rossignol'a z Wilna wi-

---

[1]) Od r. 1740 po 1773 teologję studjowało zagranicą 40 Jezuitów, z tego z prow. pol. 30, z prow. litew. 10,; matematykę 20, z prow. pol. 11, z prow. litew. 9.

tano tam młodych francuskich Jezuitów, wypędzonych z ojczyzny. Ogółem w czterech polskich prowincjach przebywało ich 26. Rozdzielono ich po kolegjach. Byli to w większości młodzi klerycy lub świeżo wyświęceni kapłani, nie mający jeszcze nawet pokończonych studjów teologicznych. Dziesięciu z nich pozostaje w Polsce krótko, po kilka lat zaledwie; dwu umiera przed kasatą, a reszta pracuje po kolegjach aż do zniesienia Zakonu. Nie odegrali oni jakiejś bardzo wybitnej roli, zarówno w naprawie szkół, jak i w ogólnym odrodzeniu kulturalnem; nieznajomość języka polskiego była największą ku temu przeszkodą; pomogli jednak skutecznie współbraciom polskim w przeprowadzeniu reformy szkolnej. Praca ich szła w trzech kierunkach; użyto ich jako nauczycieli języka francuskiego, matematyki i jako prefektów w kolegjach szlacheckich. Kilku z nich we Francji pracowało, a nawet przybyło do Polski wprost ze sławnego kolegjum Henryka IV we Flèche, jako więc prefekci kamer, wychowawcy i nauczyciele przyczynili się skutecznie do podniesienia polskich kolegjów szlacheckich. Kilku z tych Francuzów zasłużyło się nawet wybitnie około szkolnictwa polskiego; tak Franciszek Bessat jako wydawca znanych światłych mów, wygłaszanych do króla Stanisława Augusta w warszawskim Coll. Nob., Jan dela Borde, jako wydawca podręcznika wymowy francuskiej dla szkół polskich (1765), Piotr Gattey zasłużony w Wilnie zarówno w kolegjum szlacheckiem, jak i jako asystent Poczobuta, Aleksander Rostan, wychowawca sporej gromadki jezuickich nauczycieli matematyki, zasłużony na Coll. Nob. warszawskiego i drugi obok Poczobuta inicjator i organizator pomiarów trygonometrycznych Polski, wreszcie Paweł La Croix, który przez 9 lat w domu krakowskiego nowicjatu uczy francuskiego, geografji i historji młodych jezuickich scholastyków, uzupełniających tamże studja humanistyczne.

Przy rozważaniu czynników, które Jezuitom polskim pomogły w urzeczywistnieniu reformy szkół i podniesieniu się kulturalnem, należy jeszcze dla pełności obrazu wymienić zachęty i pomoc tak moralną jak i finansową różnych przyjaciół zakonu z pośród polskich magnatów i osobistości wpływowych. Ostatnie dziesiątki lat

niepodległości Rzeczypospolitej, to okres bardzo chlubnego wzmożenia się mecenatu. Mieli swoich opiekunów i hojnych fundatorów Pijarzy, nie brakło ich także i Jezuitom. Studja zagraniczne, obserwatorja i muzea, nowe i rozbudowane bibljoteki zawdzięczali Jezuici polscy w dużej mierze hojności możnych przyjaciół zakonu. Król Stanisław Leszczyński i królowa francuska Marja byli, dzięki zabiegom Jezuitów Biegańskiego, Trąpczyńskiego i Stefana Łuskiny, fundatorami gabinetu fizycznego w Poznaniu i Warszawie, obserwatorjum wileńskie zawdzięcza powstanie Ignacemu Ogińskiemu, kasztelanowi wileńskiemu i Elżbiecie z Ogińskich Puzyninie, kasztelanowej mścisławskiej. Naruszewicz Kazimierz i Poczobut robią studja zagranicą w dużej mierze na koszt Michała Czartoryskiego, kanclerza litewskiego, Adam Naruszewicz, Albertrandi, Piramowicz i Wyrwicz podróże swoje zawdzięczają również pomocy magnatów. Nie można również pominąć, że w tym okresie czasu kilku Jezuitów wniosło do Zakonu bardzo poważne sumy, jako swoje patrimonia, i tym sumom zawdzięczają powstanie, względnie rozbudowę kolegja szlacheckie w Warszawie i Wilnie, piękna bibljoteka Wileńskiego Kolegjum Szlacheckiego i kilka innych bibljotek. Szczerym wreszcie, ale też i wymagającym protektorem zakonu był przedewszystkiem król Stanisław August. Dowody swej życzliwości i uznania dał bardzo liczne, ostatni prowincjał mazowiecki Paszkowski Szymon nazywa go *benevolum et nostri amantissimum.* Szkołami jezuickiemi i ich stanem w całem państwie interesował się żywo, a w razie spostrzeżonych czy doniesionych mu braków, interwenjował u prowincjałów, jak tego echo spotykamy w listach. Zarządził nawet rodzaj ankiety o stanie szkół jezuickich w r. 1765. Rektorowie kolegjów z doradcami swymi mieli omówić zmiany zarówno już wprowadzone, jak i te, któreby uważali za stosowne do wprowadzenia, *ad meliorem scholarum nostrarum ordinem*; wyniki narad, zebrane z całej prowincji i odesłane prowincjałom, miały być wkońcu przekazane do kancelarji królewskiej. Ankiety tej niestety nie udało się nam nigdzie odszukać.

Ks. St. Bednarski T. J.

Emigracja polska rolna we Francji.

Po chleb powędrowali Polacy po raz pierwszy do Francji w r. 1908. Francja wówczas oddawna już cierpiała na brak rąk do pracy — podobnie jak ziemie polskie cierpiały na ich nadmiar. Emigracja polska w tym czasie kierowała się głównie na prace sezonowe do Niemiec, lub za ocean do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Francuzi świadomi tego zapragnęli część przynajmnjej tej emigracji skierować do siebie. Towarzystwo Rolnicze departamentu Meurthe i Moselle zawiązuje więc kontakt z Polskiem Towarzystwem Ludowem Emigracyjnem Galicyjskiem, za pośrednictwem posła na Sejm Galicyjski Skołyszewskiego. Powstaje pewien rodzaj układu emigracyjnego, który ustala płace, czas pracy, jakość odpoczynku, ustanawia pewnego rodzaju trybunał rozjemczy dla mogących powstać trudności — i w ten sposób udaje się Francji uzyskać jeszcze w tym i paru najbliższych latach przedwojennych około 20.000 polskich robotników. Część z tych pierwszych przedwojennych emigrantów przetrwała we Francji po dziś dzień w takich kolonjach, jak Barlin, Dechy, Auby i t. d.

Wojna nie sprzyjała emigracji do Francji, zasiliły ją jedynie szeregi polskich jeńców wojennych, zabranych państwom centralnym. Zato był to niezmiernie ważny okres z tego względu, że Francja, więcej niż kiedykolwiek cierpiąc na brak rąk do pracy, by przyciągnąć do siebie masy emigrantów cudzoziemskich, zapewniła im specjalną opiekę zawodową i społeczną, ta zaś prawie w całości znalazła się w późniejszych powojennych konwencjach emigracyjnych.

Z tych przywilejów skorzystała więc i jedna z pierw-

szych konwencyj emigracyjnych, jaką zawarła Francja z Polską dnia 7 września 1919 r. Konwencja ta, jako akt zasadniczy, została następnie uzupełniona przez szereg innych dokumentów, regulujących poszczególne dziedziny życia naszej emigracji. Szkoda tylko, że pośród tych aktów nie znalazły dotąd swego unormowania tak ważne dziedziny życia emigracyjnego, jak kwestja szkolnictwa polskiego we Francji, oraz kwestja religijna i duszpasterska.

Co się tyczy statystyki polskich robotników we Francji to sprawa nie jest niestety zbyt prosta. Dokładnej i powszechnie przyjętej niema bowiem żadnej. Jeśli zaś weźmiemy pod uwagę dwie najważniejsze z nich, przyjęte przez władze francuskie czy polskie, to i tu jeszcze odchylenia są bardzo znaczne. Różnica ta ma swe źródło w całym szeregu faktów takich, jak brak, przynajmniej w pierwszych latach emigracji, wyrobionych organizmów państwowych i to tak w Polsce jak i we Francji, które tą sprawą miały się zająć; brak odpowiednich metod pracy statystycznej; duże ilości emigrantów tajnych; wreszcie emigranci powstali z jeńców wojennych, masy górników polskich, które przeszły do Francji z okupowanych terenów westfalskich i t. p.

Poczyniwszy te zastrzeżenia, podaję cyfry, które według mego zdania, jeśli nie są pewne, to przynajmniej bliskie prawdy. Według francuskich statystyk przyjechało do Francji od 1920 do 1930 r. 336.000 Polaków. Z tej liczby do rolnictwa przyjechało 119.941, do przemysłu zaś 216.066. Ponieważ zaś w tymże samem 10-cioleciu wyjechało napowrót do Polski 43.967, na dzień 1 stycznia 1930 r. pozostało więc we Francji 292.040 emigrantów polskich.

Jasnem jest, że cyfra ta nie przedstawia bynajmniej całkowitej liczby Polaków we Francji. By ją otrzymać należałoby bowiem dodać do niej zarówno liczbę emigrantów, którzy dostali się do Francji ominąwszy centra rejestracyjne jak i liczbę przyrostu naturalnego, jako wypadkową z ilości urodzeń i zgonów zaszłych wśród tej emigracji. Niestety do tych kalkulacyj brak jest odpowiednich statystyk. To też do dalszych wyliczeń możemy pójść tylko drogą przypuszczeń. Ostatni spis ludności we Francji odbył się w 1926 r. i wykazał on, że wszystkich Polaków we Francji było wtedy

411.582. Ponieważ do chwili owego spisu, według statystyk francuskich, przybyło do Francji 191.420 Polaków, więc resztę w sumie 220.153 należałoby liczyć jako emigrantów przedwojennych, byłych jeńców, emigrantów, którzy ominęli rejestrację i wreszcie jako przyrost naturalny.

Stosując teraz tę samą mniej więcej proporcję do ogólnej liczby 336.007, otrzymamy na dzień 1 stycznia 1930 r. przypuszczalną cyfrę emigracji polskiej we Francji od 650 do 700.000.

Statystyki polskie, oparte na ilości wydanych kart emigracyjnych przez P. U. P. P. w Polsce podają na 1 stycznia 1930 r. 407.997. Byłaby to cyfra większa od tej, jaką podają statystyki francuskie o 71.990. Wprawdzie nie ulega wątpliwości, że nie wszyscy ci, którzy otrzymali swe karty emigracyjne, wyjechali potem faktycznie, niemniej jednak, choćbyśmy odliczyli jakiś procent, pozostanie pomimo wszystko jakaś nadwyżka, sięgająca 50.000. Ogólna cyfra zwiększyłaby się wtedy przy zastosowaniu obliczeń poddanych wyżej o jakie nowe 100.000. Otrzymalibyśmy wtedy według statystyk polskich na tenże dzień 1 stycznia 1930 r. w sumie od 750 do 800.000 emigrantów polskich.

Dzieląc teraz tę cyfrę pomiędzy dwa główne zawody, rolnictwo i przemysł, otrzymujemy na dzień 1 stycznia 1926 r., według francuskich statystyk, sprowadzonych do Francji 122.236 robotników przemysłowych i 69.197 robotników rolnych. Jeśli zaś przyjmiemy dane spisu urzędowego z tego samego 1 stycznia 1926 r., otrzymamy ogólną liczbę emigracji polskiej przemysłowej 379.199, a takąż ogólną liczbę emigracji rolnej tylko 32.483.

Bardzo znamiennym jest fakt tego zmiejszenia się liczby emigracji rolnej. Choćbyśmy bowiem przypuścili, że sporo z nich powróciło do kraju [1]), to jednak pozostanie jeszcze więcej niż połowa [2]) przybyłych, który zmienili swój zawód i z robotników rolnych stali się przemysłowymi, fabrycznymi lub kopalnianymi.

Biorąc zaś pod uwagę przyrost naturalny bardzo silny

---

[1]) Według przypuszczalnych obliczeń około 3.000.

[2]) Z 36.714 przynajmniej ze 33.000.

wśród polskiej ludności rolnej, owa zmiana zawodu wśród polskich robotników rolnych dałaby się bodaj podnieść od 55 do 60.

Niniejsze studjum ma dać nam uzasadnienie tego faktu. Narazie, by nie przerywać toku naszych rozważań, powracamy do naszych przypuszczalnych statystyk.

Od dnia 12 stycznia 1926 r. zaczęło we Francji obowiązywać specjalne prawo, mające na celu przeszkodzić tym gwałtownym zmianom zawodu. Zabrania ono wszelkich zmian w ciągu pierwszego roku pobytu robotnika polskiego we Francji i utrudnia je znacznie w ciągu lat następnych. Skutki większej stabilizacji dały się zauważyć, niemniej jednak ze względu na powszechny brak rąk do pracy w przemyśle, oraz ze względu na ciężki stan polskiej emigracji rolnej, jak to będziemy mieli możność skonstatowania później, rezultaty były znacznie mniejsze, niż przewidywał i pragnął je widzieć prawodawca francuski. Dość, że choć z miejszą już pewnością, nie będziemy jednak zbyt dalecy od prawdy, jeśli i dalej pójdziemy w naszej statystyce drogą analogji. I tak dopóki odpowiednie i dokładne statystyki nie określą liczb, możemy przyjąć za prawdopodobne przynajmniej, że z liczby polskich emigrantów rolnych 119.941 przybyłych do 1 stycznia 1930 r., w tymże dniu było ich w tym zawodzie mniej więcej od 60 do 75.000. Reszta śladem lat poprzednich przeszła do przemysłu.

Gdybyśmy wzięli przeciętną liczbę robotników polskich, sprowadzonych do rolnictwa od r. 1920 do 1930, otrzymamy mniej więcej 20% ogólnej liczby. Wypadałoby, że w takiej mniej więcej proporcji chciałaby ich mieć i potrzebowałaby ich Francja. W rzeczywistości stanowią oni jednak tylko mniej więcej 10%, — czyli połowę zapotrzebowania. Jeśli się zaś weźmie procent powstałych trudności, zatargów, nawet ograniczeń wzajemnych w obydwu państwach, to *gros* tego bodaj że 75% przypada na robotników rolnych.

Dlatego poznać życie polskiej emigracji rolnej, to znaczy poznać największe źródło niedomagań, źródło wiecznych zatargów. Ani zaś Francja, ani Polska zarówno jako państwa czy jako społeczeństwa nie mają żadnego interesu, aby je zaogniać. Przeciwnie, im jaśniejszy będzie sąd o sprawie

tem więcej szans zaradzenia złemu, i tem więcej danych na lepsze harmonijne zespolenie obopólnych interesów.

Wydając w ubiegłym roku studjum francuskie o polskiej emigracji rolnej w Francji [1]), starałem się przedstawić bezstronnię stan społeczeństwu i władzom francuskim. Niechże ten artykuł poda zkolei i społeczeństwu polskiemu choć parę danych, na których opierać będzie ona swój sąd — cokolwiek przynajmniej jaśniejszy, w tej tak ważnej sprawie, jaką jest sprawa emigracji.

Niedawno bo w kwietniu b. r. na posiedzeniu Rady Emigracyjnej skarżył się p. dr. Hubicki, Minister Pracy i Opieki Społecznej na zbyt sentymentalny stosunek społeczeństwa polskiego do spraw emigracyjnych. Rzeczywiście zwykło się u nas zbyt czułostkowo i może zbyt pesymistycznie patrzeć na sprawę, a potem i na dolę naszej emigracji, zwykło się następnie winę za ciężkie warunki, w jakich żyje emigracja, zwalać całkowicie na rząd polski lub na naszych przedstawicieli dyplomatycznych zagranicą. Pewnie niejedno przeoczono, niejednej okazji nie wyzyskano tak jak może można było i należało ją wyzyskać. Nie tu jednak sądzę leży sedno rzeczy. Nasza polityka emigracyjna daleko młodsza jeszcze od wskrzeszonego państwa, — tworzyła i tworzy się ciągle. Będąc paroletnim świadkiem naszej polityki emigracyjnej na odcinku francuskim, nie waham się stwierdzić rzetelnych wysiłków i równie rzetelnych rezultatów. Sądzę nawet, że nie oddalę się od prawdy, jeśli powiem, że pomimo dość ciężkiego stanu, jak to uwydatni niniejszy artykuł, emigracja polska należy do najlepiej zorganizowanych emigracyj obcych we Francji.

I dlatego, mojem zdaniem, głównem źródłem zła nie tyle są czynniki urzędowe, ile usposobienie opinji francuskiej, wogóle wrogo nastawionej do wszystkich cudzoziemców. Prawa tych cudzoziemców są wcale nienajgorzej zagwarantowane konwencjami, zawieranemi przez rządy, cóż z tego kiedy interpretacja tych konwencyj w codziennej praktyce życiowej jest zupełnie różna. Urabiać opinję dobrą dla naszej emigracji oto zagadnienie, które mojem zdaniem więcej

[1]) L. Poszwa, *L'Immigration polonaise agricole en France*, Paris 1930.

zrobi od niejednego z trudem wytargowanego tekstu. W tej jednak dziedzinie wiele mogą rządy i ich urzędowa propaganda, więcej jednak daleko same społeczeństwa. Niech więc i nasze polskie społeczeństwo zrozumie swoją rolę, a wtedy zamiast sentymentu, przesadnych skarg i żalów, losy naszej braci emigracyjnej mogą się zmienić na lepsze.

Środkiem zaś do tego to wykorzystanie każdej okazji, by w bliższy i bardziej bezpośredni kontakt wchodzić ze społeczeństwem francuskiem, które nie powinno w nas widzieć wrogów lecz przyjaciół. Realna pomoc emigrantom, wspólne i częste polsko-francuskie zjazdy, konferencje, kongresy w rodzaju dokonywanych wizyt parlamentarystów, biskupów, studentów i t. p. zrobią daleko więcej i dla emigracji i dla naszego międzynarodowego stanowiska, niż wszelkie sentymentalne żale, ubolewania i oskarżania rządu czy naszej dyplomacji.

a. Życie zawodowe polskiej emigracji rolnej we Francji.

Życie zawodowe emigracji polskiej we Francji znajduje swe zasadnicze ujęcie w artykule 2 konwencji emigracyjnej polsko-francuskiej z d. 3 września 1919 r. Artykuł ten stanowi, że polscy „robotnicy imigranci przy równej pracy otrzymują wynagrodenie równe wynagrodzeniu robotników krajowych (francuskich) tej samej kategorji, zajętych w tem samem przedsiębiorstwie, wynagrodzenie oparte na normalnej stopie płacy przyjętej w danej okolicy".

Z innych postanowień tejże konwencji na większą uwagę odnośnie do życia zawodowego zasługują artykuły 8 i 13. Zobowiązują one polskich emigrantów, pragnących oddać się pracy we Francji, do podpisania odpowiedniego kontraktu, tak żeby warunki ich przyszłej pracy odpowiadały postanowieniom konwencji i zdolne były zapewnić wymaganą pracę, płacę, przyzwoite mieszkanie i dostateczne wyżywienie.

Jakiemi zaś być winny owe warunki pracy, płacy, mieszkania i pożywienia przynajmniej wtedy, gdy robotnik polski w pierwszym roku swego pobytu niezdolen jest sam

zapewnić sobie lepszych, stanowi wspomniany przez konwencję kontrakt pracy. Ów kontrakt, z którym przed jego podpisaniem winni się dobrze zapoznać zarówno pracodawca jak i robotnik, — ten ostatni czyni to zazwyczaj w obozie koncentracyjnym pod nadzorem przedstawiciela Urzędu Emigracyjnego — jest aplikacją i szczegółowszem rozwinięciem ogólnych postanowień konwencji.

Mając takie zadanie i cel, kontrakt ów siłą rzeczy ulegać musiał zmianom i przeobrażeniom, podobnie jak ulegało im samo życie polskiego emigranta. Biorąc ostatnią jego redakcję z 1930 r., składa się on z wstępu i 16 dość szczegółowych artykułów podanych w 2 kolumnach odpowiednio do języków fracuskiego i polskiego, przeznaczonych dla dwóch stron zainteresowanych. Wstęp zawiera adres pracodawcy i robotnika, czas trwania umowy, charakter pracy, przeznaczonej dla robotnika i wreszcie warunki mieszkalne i żywnościowe robotnika, które wzamian za pracę zapewnia mu pracodawca. Płacę określa dopiero artykuł 4 kontraktu. Co się tyczy owych 16 artykułów, to artykuł pierwszy zobowiązuje pracodawcę — do zapewnienia robotnikowi na cały czas umowy pracy ciągłej, art. zaś drugi — gwarantuje pracodawcy, że jego słuszne rozkazy będą przez robotnika wypełniane z całą sumiennością i szacunkiem, robotnikowi zaś, że jego godność osobista i narodowa zostaną przez pracodawcę uszanowane. Wzamian za owe równe z robotnikiem francuskim traktowanie, pracodawca francuski będzie miał również prawo domagać się i równych świadczeń ze strony polskiego emigranta. Ta sama praca, też same przerwy odpoczynkowe, nawet prace w dni świąteczne mogą być wymagane od robotników polskich, jeśli wykonują je robotnicy francuscy. Jedynym wyjątkiem z pod tej ogólnej reguły, wprowadzonym zresztą dopiero na skutek licznych skarg wierzących i praktykujących robotników polskich, było wprowadzenie klauzuli, by owa praca świąteczna nie przeszkodziła robotnikowi polskiemu korzystać z praktyk religijnych (art. 3 i 4).

Art. 5 określa płace, rozróżniając trzy kategorje: płacę wraz z mieszkaniem, utrzymaniem i praniem; płacę wraz z mieszkaniem, a bez utrzymania i prania; i wreszcie płacę

dzieci i młodzieży do lat 16, nie objętą kontraktem, ale dobrowolnie ustaloną przez pracodawcę i rodziców względnie opiekunów dziecka. Ponadto na każdym z kontraktów figuruje jeszcze potrójna cyfra, oznaczająca płacę w gotówce mająca odpowiadać średniej płacy, pobieranej za daną pracę w trzech częściach Francji. Ważny ten artykuł uzupełniają postanowienia dotyczące możliwości ewentualnej zamiany jednej kategorji płacy na drugą, lub nawet zastąpienie każdej płacą akordową.

Artykuł 6 ustanawia sposób płatności, posiłkując się specjalnie do tego stworzoną książeczką francusko-polską. Książeczka ta jak również kontrakt pracy i dokumenty osobiste robotnika według artykułu 7 winny być w ciągłem posiadaniu robotnika. Artykuł 8 omawia sposób awansu gotówkowego, jakiego dla opłacenia kosztów podróży udziela robotnikowi jego przyszły pracodawca. Właściwie jest to jednak raczej darowizna ze strony pracodawcy, bo chociaż w ciągu pierwszych paru miesięcy pracodawca ma prawo czynić strącenia, równające się $^1/_{10}$ całkowitego zarobku robotnika aż do sumy 250 fr., to ponieważ z drugiej strony po ukończeniu kontraktu suma ta bywa robotnikowi zwracana, nie można jej nazwać inaczej.

Artykuł 9 określa bliżej warunki mieszkaniowe, wymienione we wstępie, gwarantując robotnikowi wymagane przez konwencję minimum zdrowotności i wygody. Mieszkania te, stosownie do tegoż artykułu, winny być zdrowe, oddzielne dla rodzin, oddzielne dla robotników i robotnic, ponadto zaś ogrzewane, oświetlane i zaopatrzone odpowiednio do ilości robotników w takąż ilość łóżek, poduszek, prześcieradeł i koców.

Artykuł 10 zapewnia emigrantom polskim możność korzystania z francuskiego ustawodawstwa społecznego odnośnie do choroby, śmierci i do wypadków przy pracy, z tem zastrzeżeniem, że w chorobach nieprzekraczających siedmiu dni wszystkie koszta lekarskie i farmaceutyczne będą pokrywane przez pracodawcę, w chorobach dłuższych przez gminę.

Artykuł 11 i 12 wyliczają powody, dla których dany kontrakt może być rozwiązany. I tak pracodawca ma prawo

domagać się rozwiązania kontraktu, gdy robotnik odmawia mu posłuszeństwa, gdy zachowanie się brutalne robotnika krzywdzi kogokolwiek i wprowadza zamieszanie w przedsiębiorstwie; wreszcie, gdy będąc chorym na jakąś z chorób zakaźnych, robotnik nie chce poddać się hospitalizacji. W pierwszych dwu wypadkach kontrakt bywa rozwiązany po 15 dniowem wypowiedzeniu, w innych nagłych wypadkach nawet natychmiast.

Co się tyczy możliwości rozwiązania kontraktu ze strony robotnika, to tutaj są przewidziane, jako pociągające za sobą rozwiązanie natychmiastowe, gwałty i obelgi stałe, na jakie robotnik byłby narażony tak ze strony pracodawcy jak i jego przedstawicieli, a jako powód do rozwiązania po 15 dniowem wypowiedzeniu — zatrzymanie przez pracodawcę osobistych dokumentów robotnika.

By jednak o ile możności uniknąć stronniczości przy ocenie tych przyczyn, artykuł 13 wyznacza do tego osoby, mające rozstrzygać spór. Osobami temi są mer, żandarmerja, stójkowy gminny, dwie bezstronne i wiarogodne osoby, lub wreszcie francuskie Ministerstwo Rolnictwa.

Artykuł 14 określa kary, w jakie popada strona winna rozwiązania kontraktu. Dwie z tych kar mogą dowolnie dotyczyć zarówno pracodawcy jak i robotnika — są to odszkodowanie, liczone po 3 fr. za każdy tydzień pozostały do ukończenia kontraktu, oraz kara sądowa, którą może wyznaczyć sędzia dla dopełnienia pierwszej; trzecim rodzajem kary, który jednak dotyczy już tylko robotnika, jest zapłacenie sumy fr. 250 jako odszkodowanie za poniesione przez pracodawcę koszta podróży robotnika z Polski do Francji.

Artykuł 15 powraca do sprawy rozwiązania kontraktu i dodaje przyczynę nagłą, jaką mogłaby być dla robotnika śmierć lub ciężka choroba w rodzinie robotnika, zmuszająca go do powrotu do kraju. By ustrzec pracodawcę przed dowolnością w stosowaniu tej przyczyny, artykuł ten domaga się zaświadczenia konsulatu polskiego. Świadectwo to zwalnia już wtedy robotnika od zwracania pracodawcy kosztów, związanych ze sprowadzeniem robotnika.

Ostatni wreszcie 16 artykuł kontraktu wyznacza wła-

dzę, stanowiącą kontrolę w wiernem wypełnianiu wymienionych postanowień kontraktu. Władzą tą, do której strony mogą się zwracać zarówno po francusku jak i po polsku, jest francuskie Ministerstwo Rolnictwa. Robotnicy polscy mogą tam udawać się bądź wprost bądź za pośrednictwem polskich urzędów konsularnych.

Streściłem umyślnie owe postanowienia kontraktu. Chciałem bowiem zapoznać z jego treścią tych, którym szczerze dobro naszej emigracji leży na sercu, i usunąć źródło częstych nieporozumień, jakie na tem tle powstają. We Francji, a jeszcze częściej w Polsce słyszy się bardzo często ubolewania nad losem emigracji polskiej, nad jej wyzyskiem, brakiem opieki, nad niedbalstwem rządu, przedstawicieli polskich organizacyj społecznych, nie wyłączając polskich duszpasterzy, pracujących nad emigracją. Nie przeczę, że warunki te są ciężkie, że niektóre z dziedzin życia emigracyjnego czekają dotąd na swoje załatwienie, ale co mnie zdumiewa w tych częstych ubolewaniach i oskarżaniach coraz to nowych osób i urzędów, to przedewszystkiem wielka nieznajomość źródła tych bolączek.

Abstrahując już jednak od poszczególnych analiz i inkryminacyj nawet i najogólniejsze z podawanych źródeł nie zawsze zasługują na przyjęcie. I tak naprzykład społeczeństwo francuskie, chcąc wyjaśnić je sobie, popada bardzo często w zadziwiającą jednostronność. Wielu z badaczy i krytyków życia emigracji polskiej, rekrutujących się najczęściej z pośród samych pracodawców lub pracowników społecznych francuskich, upraszczając sobie zbytnio zagadnienie, całą bodaj winę, przy wynikłych trudnościach i konfliktach składa na barki robotnika polskiego. Gdyby im wierzyć, nasi robotnicy, zwłaszcza robotnicy rolni byliby wiecznymi cyganami, co to nie umieją nigdzie zagrzać miejsca, ciągle w ruchu, przewłóczący się bezustannie z fermy na fermę, rozpróżniaczeni, pijani, złodzieje lub bandyci i t. d. Że takie pojęcie przyjęło się i zakorzeniło się we Francji, przekonać się o tem nie trudno. Wystarczy od czasu do czasu wziąć jakie pismo francuskie, wydawane w główniejszych osiedlach polskich. Bez żadnego skrupułu, ba nawet bez

zbytniej troski o prawdę, pod krzyczącym tytułem „des bandits polonais" wyczyta się najprzeróżniejsze opisy kradzieży, bijatyk i morderstw, popełnianych przez szumowiny bodaj wszystkich narodów świata. Co z tego, że sądy stwierdzają później, że chodziło tam często o portugalczyka, holendra czy serba, algerczyka czy jakiegoś azjatę, opinja publiczna uczyniła z niego „polonais" i takim zostanie pomimo sprostowań sądowych.

Nie znaczy to jednak, że zawsze i wszędzie działała premedytacja lub zła wola kolporterów. Chcąc bowiem być bezstronnym, trzeba przyznać, że różnego rodzaju rozbitków i awanturników, zwłaszcza wśród pierwszych kadr naszych wychodźców naprawdę we Francji nie brakło. Wojna z jej demoralizującemi wpływami pozostawiła swe ślady w osobnikach może nigdy zbytnio nie przywykłych do pracy i dlatego z nich to właśnie wyszedł niejeden postrach siejący polski „Władek" we Francji. Niemniej jednak niesprawiedliwą i wielce krzywdzącą rzeczą byłoby podług tych jednostek osądzać całą polską emigrację we Francji, jak to czyni wielu jednostronnych krytyków czy publicystów francuskich.

Na szczęście zdają sobie dość dobrze z tego sprawę sfery kierownicze Francji. I tak naprz. jeden z prawników francuskich pochodzenia polskiego, adwokat przy sądzie apelacyjnym w Paryżu, Palewski, [1]) pisząc o Polakach, tak ich charakteryzuje: „Polacy są patrjotami, kochają wolność, lubią wystawność, święta i hojność; często bywają niekarni i burzliwi, ale ich zręczność, łatwość przystosowania się, fantazja i żywa wyobraźnia są cennemi przymiotami. Emigranci zaś polscy wykazali się godnymi podziwu pracownikami". Podobnie charakteryzuje ich p. G. Duhamel, dyrektor francuskiego Towarzystwa Immigracyjnego, pisząc, że jest to „rasa pracowita, zdrowa, płodna", [2]) lub wreszcie p. Barot-Forlière, gdy mówi, że to pracownicy „zręczni, sumienni, trzeźwi i żądni wiedzy, przechowujący wielką miłość do ziemi, którą uprawiają".

W krańcowo przeciwnym kierunku, i często równie

---

[1]) *Les Polonais en France*, art. w nr. sp. *Illustration* z d. 28 X 1928.
[2]) *L'Immigration polonaise en France.*

jednostronnym, idą polscy krytycy i polscy publicyści. Ci znów całą winę przy wynikających zatargach gotowiby bodaj zawsze złożyć na barki pracodawcy francuskiego. Powołują się oni wtedy na niski poziom umysłowy fermera francuskiego, i dlatego niezdolnego bodaj zupełnie wyrozumieć innego, niż swoje własne zapatrywania, na jego twardy i szorstki materjalizm, z którego oddawna uleciały wszelkie ślady humanitaryzmu chrześcijańskiego, jego wyrachowane skąpstwo i nieprzebierającą w żadnych środkach żądzę jak najprędszego zbogacenia się. I tu znowu jest wprawdzie sporo racyj, ale też bodaj i tyleż przesady. Prawdą jest, że praca rolnika twarda i ciężka, jeśli tak jak to ma miejsce we Francji, nie jest wolną od czysto materjalistycznego światopoglądu, zdolna jest tem więcej uczynić twardą i niewyrozumiałą na potrzeby bliźnich duszę ludzką. Ponieważ zaś bodajże przysłowiowa stała się i oszczędność ludu francuskiego, czyniąca z Francji "bankiera świata", nic dziwnego, że i skutki smutne dla polskich robotników, a zwłaszcza już polskich robotnic, stawały się i stają się do dziś opłakane. Oszczędny aż do graniczącego ze skąpstwem wyrachowania, fermer francuski czy nawet francuski pracodawca fabryczny, o ile to będzie dlań możliwem, stanie się aż nazbyt wymagającym. Stąd zaś nie będą często pozbawionemi podstaw skargi robotników na zbyt długi dzień pracy, na lichą płacę i liche niedostateczne pożywienie. To wszystko prawda, uogólnienie jednak byłoby i niesłusznem i niesprawiedliwem.

Dlatego też, nie chcąc sobie zbytnio upraszczać odpowiedzi na postawione pytanie, czem mamy sobie tłumaczyć owe częste i obopólne skargi pracodawców i robotników polskich we Francji, pragnę wskazać na parę bardziej konkretnych i bardziej szczegółowych przyczyn.

Otóż jedną z pierwszych przyczyn trudności i zatargów są dla polskich robotników przewidziane kontraktem koszta podróży.

Jak już wspomniałem, streszczając artykuł 8 kontraktu, koszta podróży przy sprowadzaniu robotnika pokrywa pracodawca, a wzamian ma tylko prawo tytułem gwarancji za-

trzymania u siebie robotnika przez czas kontraktu czynić strącenia z jego płacy. Strącenia te mają być zwrotne przy końcu kontraktu, nie mogą przewyższać jednej dziesiątej miesięcznego zarobku, w sumie zaś nie powinny być wyższe ponad 250 franków francuskich od osoby. Prawodawca francusko-polski, układając ten tekst, żywiony był zapewne najlepszą intencją, nie chciał nawet do tego sposobu zobowiązywać stron, przeciwnie najwyraźniej nawet zastrzega się, że będzie to miało miejsce wtedy tylko, gdy robotnik nie będzie posiadał odpowiedniej sumy na pokrycie samemu kosztów podróży. Życie jednak z tego wyjątku zrobiło regułę tak, że znaczna większość tym jedynie sposobem dostaje się do Francji. Pozornie system ten zdawał się zadawalać wszystkich; korzystał z niego robotnik, bo bez pieniędzy mógł zapewnić sobie wyjazd, korzystali pracodawcy, bo w ten sposób ściągnęli większą ilość robotników, nad którymi później, po opłaceniu za nich kosztów podróży, łatwiej można uzurpować sobie prawo bezapelacyjnego posłuszeństwa. Korzystało wreszcie Towarzystwo Immigracyjne francuskie, które zająwszy się techniką selekcji i transportu przy tym systemie daleko większe ciągnąć mogło zyski. Naprawdę jednak skorzystało bodaj rzeczywiście jedynie Towarzystwo Immigracyjne. Zamiast bowiem 250 franków, jak stanowił kontrakt, za koszta podróży, selekcję, utrzymanie biur i obozów koncentracyjnych, kazało ono sobie płacić po 600 i 650 fr. od osoby.

Zarówno zaś robotnik jak i pracodawca bardzo szybko spostrzegli się, ile to trudności nastręczył ten system. Wypadek choroby robotnika, brak kwalifikacyj zawodowych, trudności wynikłe z systemu pracy, z nieodpowiadającego robotnikowi pożywienia, mieszkania czy nawet poprostu z niemogących się pogodzić usposobień pracodawcy i robotnika, słowem wszystko to, co normalnie biorąc byłoby zupełnie dostatecznem do rozwiązania krępującego strony kontraktu, zostało całkowicie sparaliżowane przez tę kwestję finansową, nie mówiąc już o samych i przeróżnych trudnościach obliczeń między ludźmi, którzy nie mogli zupełnie porozumieć się z sobą. Dobrze jeśli powstałe trudności kończą się jakąś ugodą, najczęściej jednak nie dochodzi do

niej i wtedy, albo robotnik uciekał krzywdząc pracodawcę, albo też, jak bywa częściej, pracodawca pozbywa się robotnika, ściągając mu z płacy należnej zarówno koszta podróży, przewidziane kontraktem jak i opłaty pobrane przez Towarzystwo Immigracyjne.

Drugiem źródłem trudności jest sprawa płac. Jeśli się zważy historję płac robotników cudzoziemskich we Francji, to niezbyt łatwo przyjął się tam system równości z robotnikiem narodowym francuskim. Gdyby nie wojna i wynikający stąd wielki brak sił roboczych, które za wszelką cenę chciało się ściągnąć z zagranicy, oraz gdyby nie obawa przed szkodliwą dla robotnika krajowego konkurencją i obniżką płac, biorąc pod uwagę panujące dziś jeszcze nastroje, nie prędkoby tę równość uznano. Domagały się wprawdzie równości międzynarodowe kongresy robotnicze, niemniej jednak po dziś dzień słyszy się ubolewania pracodawców francuskich na tę równość, zagwarantowaną kontraktem. Dwa główne argumenty są wytaczane przeciwko owemu zrównaniu: powoływanie się na fakt innych i nieraz całkiem różnych metod pracy i zwyczajów, z któremi musi się zapoznać robotnik cudzoziemski, powtóre niemniej doniosły fakt nieznajomości języka wśród tych robotników. Na jedno i drugie trzeba pewnego czasu, pewnej wprawy, w czasie której wydajność pracy będzie mniejsza, mniejsza więc winna być i płaca.

Kontrakt zdaje się jednak nie brać zupełnie pod rachubę tych rozważań. Ponieważ zaś zarówno obawa zniżki płac wogóle, jak i zalety polskiego emigranta, jego pracowitość, zaznaczona już łatwość przystosowywania się do warunków wraz z łatwością opanowania języka przemawiały za równością, przeważała zasada równości.

Niestety jest to jednak raczej teorja, niż praktyka. Jest rzeczą zrozumiałą, że kontrakt jeden co do swych postanowień ogólnych dla całej Francji, nie mógł być takim i co do swych szczegółowych warunków. Jak bowiem zmiennym jest tryb życia, cena artykułów spożywczych i tryb pracy tak obszernego kraju, jakim jest Francja, tak zmienną winna była być i płaca robotnika. By się do tych zmiennych warunków życia, pór roku i zależnych od nich prac jak naj-

lepiej przystosować, a z drugiej strony nie tracić wytycznych, zdolnych zapewnić i jak największe ujednostajnienie warunków, prawodawca polsko-francuski postanowił uciec się do t. zw. systemu tabeli płac. Podzielono więc najpierw okolice Francji według jednakowego mniej więcej wskaźnika drożyźnianego na trzy kategorje, następnie zaś w każdym z poszczególnych okręgów podzielono jeszcze robotników na odpowiednie zajęcia. W ten sposób wyznaczono płacę, uzależnioną jednocześnie i od okręgu i od charakteru zajęcia. Wyjątkowo, dla robotników rolnych, ustanowiono podwyżkę płac dla niektórych kategoryj robotniczych nawet w czasie specjalnie uciążliwej przy roku, jaką stanowią trzy miesiące letnie sianokosów i żniw.

I znowu tendencja szlachetna i dobra — a jej zastosowanie pozostawiające, niestety sporo do życzenia. Dwa główne zarzuty można uczynić temu systemowi tabeli płac: po pierwsze, że pomimo swych starań jest ona jednak zbyt jednostajna i ogólna, a jako taka zbyt mało giętka, by sprawiedliwie móc wynagrodzić włożony trud robotnika; powtóre zaś jest ona jednak i daleko spóźniona w ocenie wysokości płac. Tak naprzykład polscy robotnicy kontraktowi otrzymują od 50 do 100 frs. na miesiąc mniej niż nietylko już robotnicy francuscy tej samej kategorji, ale nawet niż polscy ich towarzysze, pracujący w tej samej kategorji po kontrakcie. Mnożąc tę różnicę przez 12 miesięcy, otrzymamy sumę od 600 do 1200 franków, którą pracodawca zyskuje na każdym robotniku polskim. Nie przeszkadza to jednak kontraktowi głosić, że robotnik polski otrzymuje za swą „jednakową pracę, to samo wynagrodzenie co i robotnicy francuscy tej samej kategorji", oraz, że „koszta przejazdu koleją i okrętem, selekcji i pożywienia w drodze w obozach koncentracyjnych są opłacane przez pracodawcę". Licząc mniej więcej za przeciętną odległość jaką musi przebywać robotnik polski, udający się do Francji, jako odległość Kraków-Paryż, i biorąc pod uwagę cenę biletu, wynoszącą 316 frs., łatwo nam będzie dostrzec interes, jaki na tej kalkulacji robi kosztem robotnika nietylko Towarzystwo Immigracyjne, jak to już wspominałem, pobierające za podróż, selekcję i żywność od 600—650 frs. od osoby, ale i pracodawca francuski,

który na niektórych polskich pracownikach rolnych zarabia po 600 frs. w porównaniu z tem, co musiałby zapłacić robotnikowi francuskiemu.

To też nic dziwnego, że, gdy tylko robotnik polski wyczyta zapewnienie kontraktu o rzekomej równości z robotnikiem francuskim, a faktycznie w praktyce widzi on nietylko już różne, bo znacznie gorsze traktowanie go przez pracodawcę, ale i ową krzywdzącą różnicę płac, którą pogarszają w pierwszych miesiącach jeszcze i wspominane już strącenia gwarancyjne, jego skargi stają się zupełnie uzasadnione.

Jedna z ostatnich konferencyj emigracyjnych grupy parlamentarnej francusko-polskiej z r. 1930 zwróciła już na to uwagę, zaproponowała nawet pokrywanie części kosztów podróży przez rząd francuski, by i on wzamian za korzyści natury ekonomiczno-państwowej, jakie ciągnie z emigrantów, przyłożył swoją rękę i do praktycznego rozwiązania wspomnianej trudności. Niestety do dziś pozostaje to propozycją, a robotnik polski płaci jak płacił, pewne niedociągnięcia zarówno w tekście kontraktu jak i w jego egzekucji.

Niemało trudności przedstawia dla emigrantów polskich sprawa mieszkań oraz pożywienia. Rozumie się, że nie jest to jakieś źródło, ani powszechne ani nawet jednostajne. Zależy bowiem w daleko większym stopniu od warunków i upodobań indywidualnych. Niemniej jednak skargi i wzajemne trudności z tego źródła płynące są dość częste. Tutaj specjalną trudność nastręczają zwykle fermy mniejsze, które nie znajdując dostatecznej ilości rąk do pracy, zmuszone są sprowadzać, jak i duże majątki, robotników cudzoziemskich. Ponieważ jednak ta konieczność wystąpiła na dobre dopiero po wojnie, a w tak względnie w krótkim czasie wielu z tych pracodawców nie było jeszcze w możliwości swych budynków rozszerzyć, dla robotników pozostały ubikacje, które nieraz bardzo wiele pozostawiają do życzenia. Są zazwyczaj różnego rodzaju strychy, przybudówki, przeróbki spichlerzy, jeśli nie stajen i obór. W okolicach zniszczonych przez wojnę bywało, a w wielu miejscowościach do dziś jeszcze bywa daleko gorzej: mieszkania

robotnicze mieszczą się w prowizorycznych barakach drewnianych z desek lub blachy, w których zależnie od pory roku panują wilgoć, upał, lub zimno nie do wytrzymania. Ten niski stan higjeny i wygody w porównaniu z daleko lepiej wyposażonem w te warunki miastem jest też jedną z przyczyn katastrofalnej urbanizacji, jaka owładnęła społeczeństwo francuskie. Jak widzieliśmy ze statystyk emigracji polskiej, nie lepiej ma się sprawa i z emigracją polską. Widząc to, spostrzegając jak wieś francuska zamiera, społeczeństwo francuskie zaczyna coraz większą uwagę zwracać na te higjeniczne warunki wsi. W parlamencie złożono już nawet specjalny projekt prawa o uchwalenie odpowiednich na to kredytów, realizacja nie będzie zapewne jednak prędka, to też sporo skarg i zatargów będzie i nadal uzasadnionych.

Pewne trudności nastręcza i pożywienie dawane robotnikom polskim. Spożywanie bardzo często sałaty, używanie jako przyprawy oliwy, a jako specjalnych przysmaków produktów morskich, jak ostryg, ślimaków czy krewetek, jak to czyni ludność francuska, budzi częstokroć wstręt wśród robotników polskich. Jasnem jest, że przy pewnej dozie dobrej woli z obydwu stron o porozumienie się wzajemne nie trudno. I tak się też dość często sprawy układają. Poza tem istnieje również wyraźna tendencja, by robotnicy polscy, zwłaszcza jeśli są z rodzinami, żywili się sami. Unika się wtedy tych trudności, a ponadto i życie rodzinne wśród takich robotników rozwija się normalniej i lepiej. Niemniej jednak jeśli chodzi o stan obecny, ciągle jeszcze są prawdziwe słowa p. Bonnet'a, Dyrektora Centralnego Urzędu Robotników Rolnych, stwierdzające, że „bardzo często przyczynami zrywania kontraktów, obciążającemi pracodawcę są: niedostateczna płaca, liche mieszkanie i złe przyrządzanie pożywienia, jakie otrzymują robotnicy".

Z pośród trudności, specjalnych niektórym kategorjom polskich pracowników rolnych we Francji, na wyróżnienie zasługują samotnie pracujące kobiety i dziewczęta.

Praca kobiet w gospodarstwie rolnem jest pomimo swych trudów bodaj niezbędną. Ponieważ zaś z pośród ko-

biet i dziewcząt francuskich bardzo niewiele chce oddać się tej pracy, a nawet i w służbie jest ich coraz mniej, pracodawcy francuscy bardzo chętnie sprowadzają je z Polski. Zapotrzebowania na nie przewyższają zawsze po kilkakroć ich faktyczną ilość, nawet pomimo tego, że oddawna już służące polskie, które przebyły po parę lat we Francji, są nieraz lepiej płatne od ich towarzyszek francuskich. Taki stan rzeczy nie jest jednak bez swego ale. Ciągłe obcowanie ze służbą męską lub robotnikami w polu, wiele pozostawiające do życzenia mieszkania dawane tym pracownicom polskim, powszechnie znana rozwiązłość i rozpusta, panujące wśród pracodawców, a zwłaszcza wśród bezbożnych i ateistycznych robotników francuskich, sprawiają, że życie ich staje się jednem pasmem heroizmu lub występków. W wielu wypadkach strzeże je od złego ich wrodzona uczciwość i wiara żywa, ale ponieważ bardzo rzadko mogą one je odświeżyć w ożywczem źródle sakramentów świętych, faktycznie upada moralnie bardzo wiele. To też bardzo często życie tych samotnych kobiet staje się prawdziwą tragedją. Skrępowane kontraktem, a często i nielegalnie zrodzonemi dziećmi, których nie mogą przecież się wyrzec, dręczone wyrzutami sumienia, wstydem, a nieraz i wielką nędzą, gdy razem z dzieckiem pracy znaleźć nie mogą, stacżają się na dno rozpaczy, z której wyjście prowadzi albo do całkowitej już ruiny moralnej, albo też do szpitalów umysłowo chorych.

Na szczęście dziś już zwróciły te sprawy powszechną uwagę. Wspólny zaś wysiłek władz i organizacyj społecznych tak polskich jak i francuskich sprawiły, że wkroczono na drogę poprawy. Oby one jak najprędzej przyniosły spodziewane rezultaty.

Tymczasem zaś najpilniejszem staraniem władz tak polskich jak i francuskich winno być ulepszenie procedury likwidacji powstałych zatargów, która również pozostawia wiele do życzenia. Według cytowanego już powyżej artykułu 16 kontraktu pracy, „o wszelkich nieporozumieniach, mogących wyniknąć pomiędzy pracodawcą i robotnikami, należy niezwłocznie powiadomić Ministerstwo Rolnictwa w języku polskim czy też francuskim, bezpośrednio lub za

pośrednictwem polskich władz konsularnych. Jeśli chodzi o praktykę, to spowodowała ona powstanie jednego jeszcze rodzaju pośrednika półurzędowego, jaki stanowią t. zw. Opieki Polskie, lub francuskie „Comités de protection". Na nieszczęście prawną moc, a co za tem idzie i egzekutywę władz, mają tylko decyzje Ministerstwa. Wszystkie inne czynniki, nie wyłączając konsulatów polskich, mają tylko rolę pośredników. Jest to zaś o tyle niewygodne, że na wszelkie interwencje Ministerstwa trzeba zwykle wyczekiwać tygodniami. Przez ten czas zaś spór albo się jakoś układa, albo też — co niestety zdarza się daleko częściej — zaognia się do tego stopnia, że kończy się zerwaniem umowy lub kontraktu. Widzieliśmy już ze streszczenia kontraktu, jakie to przyczyny zdolne są spowodować rozwiązanie kontraktu, przypomnę więc tylko, że robotnikowi przysługuje to prawo tylko w dwóch wypadkach: gdy pracodawca tyranizuje go swem postępowaniem lub ciągłemi obelgami, lub też gdy po uprzedniem zażądaniu pracodawca przez 15 dni nie wydaje mu jego dokumentów osobistych. Jedno ani drugie nie będzie miało mocy prawnej, jeśli — jak chce prawo z dn. 12 VIII 1926 — robotnik nie wykaże się świadectwem, że albo jego roczny kontrakt został rozwiązany za zgodą obopólną, albo sądową, albo że kontrakt został przeniesiony do innego pracodawcy przez urzędowe biuro pośrednictwo pracy.

Inaczej mówiąc, na wypadek zatargu pracodawcy i robotnika francuskiego dotyczącego ich spraw objętych kontraktem pracy, uprawnieni do interwencji będą Ministerstwo Rolnictwa, sąd i urzędowe pośrednictwa pracy. Przyjrzawszy się jednak bliżej tym trzem pośrednikom, odpada najpierw, jako nieistniejąca w praktyce, interwencja urzędu pośrednictwa pracy, który zależny od Ministerstwa Pracy a nie Rolnictwa, z zasady nie chce się mieszać do spraw robotników rolnych; niemożliwa do przeprowadzenia w praktyce stanie się i interwencja sądu. Wspomniane bowiem prawo zabrania pracodawcom pod karą od 500 do 1000 frs. przyjąć do pracy robotnika, któryby bez wspomnianych świadectw w czasie trwania swego pierwszego kontraktu chciał przejść do innego pracodawcy. Robotnik, chcący

skarżyć do sądu lub do Ministerstwa swego pracodawcę, musi więc nadal pozostać u niego, a więc u niego mieszkać, pracować pod jego rozkazami, jeść przy jednym stole i t. d. a ponadto tygodniami wyczekiwać decyzji. Jest więcej niż jasnem, że taka pozycja jest niemożliwa. Robotnik w wypadku przedłużenia się, a często i zaostrzenia się sytuacji rzuca więc najczęściej pracę, ucieka na skargę do Opieki, konsulatu lub wprost do Ministerstwa, tracąc czas i swe mizerne oszczędności. Dobrze zaś jeszcze dla niego, jeśli pracodawca nie zatrzymał mu przytem dokumentów, oraz jeśli nie wpadł w ręce żandarmerji. Wtedy bowiem jako „włóczęga", „polski bandyta" wędruje najpierw do więzienia, a później napowrót do pracodawcy od którego uciekł.

Nie mogę się powstrzymać od wskazania jednego bardzo ogólnego środka zaradczego, zdolnego usunąć odrazu wiele z tych niedomagań. Jest to sprawa emigracji indywidualnej zamiast praktykowanej dotąd powszechnie emigracji kolektywnej. Przez tę emigrację indywidualną rozumiem zaś taki wyjazd, gdy przebywający już we Francji jakiś krewny lub znajomy sprowadza ściśle określoną osobę do ściśle określonego pracodawcy, pokrywając sam koszta podróży. Korzyści z takiego sprowadzenia są bardzo znaczne. Nie mówiąc już o tem, że w ten sposób łączą się porozrywane rodziny, że członkowie tych rodzin unikają wielu niebezpieczeństw moralnych, zmiejsza się w ten sposób bardzo znacznie ilość możliwych zatargów, robotnik otrzymuje sprawiedliwą zapłatę, za pośrednictwem zaś swych znajomych czy krewnych inicjuje się również do pracy.

I znowu z zadowoleniem należy stwierdzić, że statystyki tej emigracji indywidualnej wykazują coraz znaczniejszy jej wzrost kosztem emigracji zbiorowej. Popierać ją — to pracować jednocześnie zarówno dla poprawy losów robotnika polskiego, jak i dla poprawy ogólnych francusko-polskich stosunków emigracyjnych.

(Dokończenie nastąpi)

Ks. Dr. L. Poszwa.

Echa „Anhellego“ w prozie „Quo Vadis“.

W tym wspaniałym odłamie kararyjskiego marmuru, jakim jest w naszem piśmiennictwie klasyczna proza Sienkiewiczowska, bystrzejsze oko snadnie dojrzeć może złote żyłki magicznego cudotwórstwa i owej tajemnej alchemji słowa, którą szerzył i uprawiał czarodziej nad czarodzieje, Juljusz Słowacki.

Sienkiewicz temu czarodziejstwu złożył należny hołd w mowie wygłoszonej u stóp popiersia wieszcza w Miłosławiu (1899 r.). Hołd ów to jedna z przedziwności stylowych, to klejnot prostoty, mocy i powagi. Rzymska tu włada treściwość i rzymska krasomówcza ozdoba. Nadto mamy tu doskonałe uświetnienie zasług twórcy, ku któremu sam rym się miłośnie przyginał, podane słowem artysty, co wyrzeźbił nowoczesną prozę ojczystą. Sienkiewicz bardzo często wracał myślą do Słowackiego. Obok wspomnianej mowy napisał jeszcze pyszny szkic p. n. *Słowacki-Heljos*, gdzie zastanawia się nad świetlistością określeń, porównań, przenośni i obrazów, tak szczodrze rozsianych w *Beniowskim*, *Anhellim*, *Ojcu Zadżumionych* i wielu innych arcydziełach poety.

Krytyka polska już dawno zwróciła uwagę na odblask niektórych pomysłów Słowackiego w twórczości Sienkiewicza. Wspominają o tem dwaj tak całkowicie różni pisarze jak Tarnowski i Chmielowski. Pierwszy z nich pisze: „czy eteryczność tej Liljan, która także była „jak z tęczy i z potoku piany“; czy jej śmierć może i żal tego męża, który także czeka, aż dusza „stęskni się i wyjdzie ze mnie“, nie-

wiedzieć czem przypomina to Słowackiego *Szwajcarję*; ale *Szwajcarja* rozciągnięta na długą powieść i pisana prozą, pomimo bardzo ładnych ustępów, choć może tamte przypomnieć, to na przypomnieniu tem stracić musi". [1]) Chmielowski zaś podkreślał jeszcze mocniej, że „Idealizm potężniał w Sienkiewiczu pod wpływem Słowackiego, w którym namiętnie się rozczytywał. Jak w opowiadaniu *Przez stepy* były mu zasiłkiem w *Szwajcarji* i *Ojciec zadżumionych* tak *W niewoli tatarskiej* przypomina śliczny przekład *Księcia niezłomnego*". [2])

Echa wpływów Słowackiego błądzą jeszcze w *Krzyżakach*, to jest u schyłku Sienkiewiczowskiej potęgi twórczej. Tu np.: ślepy Jurand nad zwłokami Danuśki przywodzi na myśl Derwida przy cedrowej skrzyni, gdzie zamiast harfy leży martwa Lilla Weneda. A powieść *W pustyni i w puszczy* maluje niezłomność Stasia wobec pogróżek Mahdiego barwami, które znamy z *Niewoli tatarskiej*, a więc i z *Księcia niezłomnego*. Wszystkie te podobieństwa dotyczą treści. Należy jednak przypuszczać, że Słowacki wpłynął również na język Sienkiewicza, że przesączył weń swoją czarnoksięską muzykę, swój niezrównany rytm i harmonję.

Autor *Beniowskiego* był wielkim smakoszem stylu, lubił w wyobraźni przegarniać słowa, jak skąpiec przegarnia w zamczystej skrzyni talary i dukaty. Ostro sądził własne i obce utwory, nie pobłażając najdrobniejszym skazom wysłowienia i obrazowania. W X rozdz. *Pamiętnika* zapisał takie spostrzeżenie o Ludwiku Szpitznaglu: „Mam i chowam religijnie jego tłumaczenie poematu arabskiego pod tytułem *Szanfary*, lepsze daleko od tłumaczenia Mickiewicza". Popisem dobrego smaku i wytworności estetycznej jest niewątpliwie ułamkowa rozprawka *O poezjach Bohdana Zaleskiego*. Wśród wielu trafnych uwag uderza nas zwłaszcza ta, w której Słowacki określa znamiona harmonji, bogactwa, powagi i dźwiękowej pełni języka. Bez tych przymiotów poezja nie jest szczerą poezją: „Bogactwo zależy na śmiałych i pięknych wyrażeniach, a harmonja na poważnych

[1]) *H. Sienkiewicz.* Kraków 1897, str. 19.

[2]) *Henryk Sienkiewicz w oświetleniu krytycznem.* 1901, str. 35.

i szerokich wyrazach i na otwartych samogłoskach, nie zaś na skupieniu krótkich jednosylabowych słów i na sprowadzeniu razem tętniących spółgłosek, tak, ażeby każda miara wierszowa była garstką, zbitych razem w jedne, dźwięków. Cudowny jest język Kochanowskiego Jana i Piotra, cudowny Mickiewicza, kiedy unikają słów maleńkich, a obrotem mowy tak władną, że cała rzecz bez przyimków i zaimków wymalowana jest obszernemi, błyskawicowemi słowy... Piękność języka zależy na świeżości wyrażeń, nie na indywidualnym i ekscentrycznym toku mowy; ta jest manierą". [1])

Cały ten pogląd możemy bez wahania uznać za pochwałę szlachetnego klasycyzmu. Słowackiemu przyświeca ideał mowy białej jak alabaster, dźwięcznej jak srebro, promiennej jak skąpana w morzu jutrzenka, giętkiej jak damasceńska klinga, a zarazem prostej, umiarkowanej, powściągliwej, statecznej. Kaleczą mu ucho Bohdanowe „achy" i „ochy", Bohdanowa taradejka słów krótkich, świszczących, urwanych. Drażni go maniera, jednostajność, silenie się, barok.

Otóż uwagi godne, że te same upodobania i wstręty żywił H. Sienkiewicz. Gdy go pytano jak pisze? — szybko czy powoli, łatwo czy z trudem, wyznał, że pisze mozolnie i dużo zapisanych kartek drze, chociaż mało robi przekreśleń, bo zgóry obmyśla tok i porządek okresów. Przyczem unika zadymki słów nad treścią, wystrzega się literackiego baroku. Poza tem widocznie był także bardzo czuły na harmonję słów, które winne zestrajać się ze sobą w poszczególnych zdaniach, jak struny w narzędziu muzycznem, albowiem nader rzadko spotkamy u niego syczące wiry krótkich, jednosylabowych, tętniących dźwięków, jakie potępia Słowacki. Niekiedy tylko używa ich dla oddania głosów, przyrody lub zgiełku bitwy.

Wszelako łączenie prozy Sienkiewicza z fakturą stylistyczną Słowackiego może się wydać dziwne i niespodziewane. Naogół proza Sienkiewicza ma tok spokojny, rozlewny, epopeiczny. Prof. Kleiner w *Sztychach* wysoko podnosi język *Quo Vadis*, twierdząc, że autor osiągnął w nim

[1]) *Pisma* J. Słowackiego, wyd. Kallenbacha III, 392, 393.

pełny klasycyzm mowy niewiązanej, podobnie jak w *Panu Tadeuszu* rozbłysnął całą swą urodą klasycyzm mowy wiązanej. Niesposób odmówić racji temu spostrzeżeniu. Aby wyczuć tę o s o b l i w o ś ć k l a s y c z n ą obu pisarzy, tę ich rzymską, spiżową miarę w rozkładzie wyrazów i zdań, odczytajmy np. głośno dwa następujące wyjątki:

Pogoda była prześliczna, czas ranny,
Niebo czyste wokoło ziemi obciągnięte,
Jako morze wiszące, ciche wklęsło-wgięte;
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
Przez fale; z boku chmurka biała, sama jedna,
Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,
Podobne do niknących piór Anioła stróża,
— — — — — — — — — — — —
Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły, i na dnie
Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie,
Prawą skronią złożone na wezgłowiu cieni
Jeszcze smagławe, lewa coraz się rumieni;
A dalej okrąg jakby powieka szeroka
Rozsuwa się w środku widać białek oka,
Widać tęczę źrenicę — już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął,
I w białej chmurce, jako złoty grot zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,
Tysiąc rac się krzyżuje po okręgu świata
A oko słońca weszło [1])

Czujemy odrazu, że w wierszach tych ani razu nie zadrasnął nam ucha wężowy syk kłócących się nawzajem spółgłosek lub zgłosek, przeciwnie godzą się one wyśmienicie i napływają kolejno jedne po drugich, niby łagodnie rozkołysane fale. Ich rytmiczną chwiejbą rządzi jakiś ruchomy spokój, kojarzący się ze wspomnieniem jezior górskich, spokojnych, bo obrębionych skałami a ruchomych, bo odzwierciadlających w sobie wiekuistą przemienność świata: zmierzchy i świty, cisze i burze, pogody i wichry. I gdy się rozkoszujemy tą kryształowością słów Mickiewiczowych, tym ich umiarem i równowagą, bezwiednie pada z ust określenie: jakiż to k l a s y c z n y opis!

Klasycyzm, jako pewien styl, ma to do siebie, że najsilniej działa prostotą i umiejętnem podporządkowaniem

[1]) *Pan Tadeusz* ks. XI.

części — zarysom całości. Poeta - klasyk unika rzeczy zbędnych, strzeże się nadmiaru piękności, tłoku określeń i porównań. Jest bogaty, ale i oszczędny. Sienkiewicz — trzeba powiedzieć — celował temi właśnie zaletami, celował jako stylista; bo np. w układzie powieści, w rozwijaniu zdarzeń, jego klasycyzm chromał. Zjawiał się tutaj często niepożądany bezład, dorywczość, czasem zgoła niedbalstwo. Ale język Sienkiewicza musuje najprzejrzystszym klasycyzmem. Posłuchajmy, ile czarownego dźwięku zawiera podany niżej ustęp, stanowiący do pewnego stopnia odpowiednik do przytoczonego dopiero co opisu Mickiewicza:

> Niebo na wschodzie przybierało już leciuchny odcień zielony, który zwolna coraz wyraźniej bramował się u dołu barwą szafranną. Drzewa o srebrnych liściach, białe marmury willi i łuki wodociągów, biegnące przez równinę ku miastu, wychylały się z cienia. Rozjaśniała się stopniowo zieloność nieba, nasycając się złotem. Zaczem wschód zaczął różowieć i rozświecił góry Albańskie, które ukazały się cudne, liljowe, jakby z samych tylko blasków złożone; świt odbijał się w drżących na liściach drzew kroplach rosy. Mgła rzedła odkrywając coraz szerszy widok na równinę, na leżące na niej domy, cmentarze, miasteczka i kępy drzew, między któremi bielały kolumny świątyń... Poczem słońce wychyliło się przez przełęcz gór...[1])

Słowacki tymczasem częściej bywał w stylu gotycki niźli klasyczny. Leciały mu na wichrze szalejącej wyobraźni jakoweś tęcze, potopy pian, ognie, błyskawice, szklanne twarze widm, ćmy sakramentalne, paliła się na hełmie tego „króla-ducha" zawieja gwiazd, słońc i komet. Rzucał słowa bez rachuby. Jeden obraz wzmacniał drugim, a ten jeszcze trzecim opłomieniał. „Sypnął — powiada o nim Sienkiewicz, — na harfę ojczystą perły, szmaragdy, topazy, opale i rubiny, aż stanęła przed nim w całej swej ozdobie piękna jak harfa Dawida". Gotyckość Słowackiego charakteryzuje się głównie natłokiem przenośni, obrazów i porównań. „Duch rewolucjonista" burzy się pod skorupą słowa, wylatując nawierzch, jako anioł z wichru i płomieni, lub jako anioł z jutrzenek i błękitu ulany. „Styl Słowackiego — pisał Krasiński — to on sam, to ducha jego kierunek, to roz-

[1]) *Quo Vadis*, Warszawa. 1902, str. 508 i n.

tapianie się nieustanne na wszystkie strony i ku wszystkim stronom. Stylem tym bije ciągle, jakby falami, o granicę wszechrzeczy, ciągle je podmywa i stara się odsunąć". [1])

O ile styl Mickiewicza był poniekąd jednością w różnorodności, o tyle styl Słowackiego jest raczej różnorodnością w jedności; to nie jezioro górskie, zamknięte w pierścieniu skał, to wodospad szumiący, gwałciciel kształtów i kolorów. Pochwały oddane Mickiewiczowi i Kochanowskiemu w piśmie *O poezjach Bohdana Zaleskiego,* są wprawdzie przeniknięte duchem klasycyzmu, lecz w samodzielnej twórczości Słowacki łamał się z innym jeszcze duchem, z duchem gotyckiego nadmiaru. A ten ostatni „wyrzucał" mu we snach mistycznych naprawdę „straszne twarze", upowite ogniem, owiane szelestem, często sine „jak miesiąc, gdy się przejrzy w krwawej kadzi". Mówiliśmy, że klasyk jest bogaty, lecz oszczędny; owóż Słowacki jest bogaty i rozrzutny. Ileż to drogocennych porównań kładzie w usta prostej żydówki, Judyty, córki rabina:

Byś wiedział, że judzka niewiasta,
Będąc w usprawiedliwieniu
Przed Bogiem swego zakonu
Zemstą ojcowskiego zgonu,
Jest jak noc, cała w płomieniu,
Jest jak burza, cała w mocy,
Jest jak siła, cała w ciszy,
Jest jak głaz z Dawida procy,
Jest jak płacz, który Bóg słyszy,
Jest jak grad, co bije w twarze,
Jest jak strach, co serca napełnia,
Jest jak sąd, który Bóg spełnia.
Ten sąd macie, chrześcijany,
Ja go na was trzęsę z rąk. [2])

Tam, gdzie poeta więcej się hamuje i więcej się o liczbę słów troszczy, tam często klasycyzm jest obalany patosem wyogromniania, nie dopuszczającym umiaru i równowagi zarówno w cieniach jak w światłach, zarówno w dźwiękach jak w barwach. By to sobie należycie uzmysłowić, przeczytajmy z *Króla Ducha* opis świtu, przeczytajmy pełnym gło-

[1]) *Pisma* Z. Krasińskiego (1912), VII, 20.
[2]) *Ksiądz Marek* (IV, 74).

sem i przywiedźmy przytem na pamięć oba poprzednie opisy analogiczne:

Gwiazdy na polach czystego bławatu
Oczy otwarte i słuch miały pilny;
Na wschodzie wstęga smętnego szkarłatu
Świeciła, szarym równinom omylny
Kształt nadawając, że pod owe zorze
Tak się zdawały płynące, jak morze.

Dyana, jak liść wierzby, już zielona,
Już jako róży liść, różano-złota,
W ognistych mgieł się zanurzała łona,
Zmienna, jak w sercu młodzieńczem tęsknota.. [1])

Te same barwy: złocistość, zieloność, szkarłat, inaczej grają na mistycznych witrażach Słowackiego niż na palecie dwóch przytoczonych wyżej, klasyków-realistów. Wogóle realizm, określany przez Hennequin'a w książce *Ecrivains français* jako szczególnie wszechstronny sposób estetycznego przetwarzania rzeczywistości, bardziej zdaje się ciężyć ku klasycyzmowi, niż prądy nierealistyczne. W oktawach Słowackiego czuć zachwianie umiaru w słowach i obrazach. Podmiotowy nastrój rozmywa ich zawartość przedmiotową. Aby dociągnąć zjawisko do poziomu swego jasnowidzenia, poeta nie szczędzi określeń przesadnych („ogniste mgły“ „równiny morza“) lub niespodziewanych („smętny szkarłat“, „otwarte oczy, i słuch pilny“ — gwiazd). Przypomina się, co o Słowackim powiedział Krasiński: „Nikt tak smukle, gibko, fantastycko po polsku nie pisał“. I nikt tak po gotycku nie rozstrzelił się w koronkowe wieżyce, tęcz pełne witraże, gadające echami sklepienia, misterne rozety i dziwaczne chimery.

Wszystko to prawda. Niemniej jednak i wśród utworów Słowackiego jest jeden, którym zasilić mógł się do pewnego stopnia wielki, klasyczny prozaik polski z pogranicza XIX i XX w.

Z pośród dzieł Słowackiego ukończonych i całkowicie opracowanych *Anhelli* bodaj najwięcej zbliża się do klasycznej prostoty wysłowienia. Autor zdawał sobie z tego sprawę

[1]) *Dzieła*, wyd. T. Pini I, 300.

należycie, skoro pisał o nim, że „melancholiczną i trochę Chrystusową ma twarz, wielką prostotę w ubiorze i niepodobny jest do niczego". Prozą *Anhellego*, białą jak śniegi sybirskie, zachwycał się Krasiński. Ona też zapewne czarowała Sienkiewicza, skoro — jak zobaczymy — jej echa rozbrzmiewają tu i ówdzie w *Quo Vadis*.

Apostołowie, Piotr i Paweł, musieli przemawiać w powieści stylem ewangelicznym, a gdzież autor mógł znaleźć bardziej szlachetną, podniosłą i nowożytną prozę ewangeliczną niż nie w *Anhellim*? Wujek zbyt mu był archaiczny. Brać stamtąd wyrazy i zwroty, znaczyło tyle, co wpadać w sztuczną archaizację, czego Sienkiewicz nie cierpiał, jak wogóle nie cierpiał przesady. Dobrą szkołą stylu biblijnego są *Księgi Pielgrzymstwa*. Słowacki wiele z nich korzystał. Umiał jednakże wytopić z prozy Wujka i z Mickiewicza styl własny, bardzo jednolity, bardzo swoisty, o szczególnym rytmie melodji i dźwięczności. I zdaje się, iż Sienkiewicz, pisząc *Quo Vadis*, zwłaszcza jego części smutniejsze, poddał się bezwiednie urokowi prozy anhelicznej.

Zestawmy ze sobą trzy urywki: jeden z *Ksiąg Pielgrzymstwa* drugi z *Anhellego*, trzeci z *Quo Vadis*. Wspólny im jest charakter p r z e m ó w i e n i a. Różnice wypłyną same przez się w głośnem czytaniu.

> Pielgrzymie Polski, byłeś bogaty, a oto cierpisz ubóstwo i nędzę, abyś poznał, co jest ubóstwo i nędza, a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: ubodzy i nędzarze współdziedzicami moimi są.
>
> Pielgrzymie, stanowiłeś prawa i miałeś prawo do korony, a oto na cudzej ziemi wyjęty jesteś z pod opieki prawa, abyś poznał bezprawie, a gdy wrócisz do kraju, abyś wyrzekł: cudzoziemcy razem ze mną współprawodawcami są.
>
> Pielgrzymie, byłeś uczony, a oto nauki, któreś cenił, stały ci się nieużyteczne, a te, któreś lekceważył, cenisz teraz, abyś poznał, co jest nauka świata tego, a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: prostaczkowie współuczniami mymi są.

Teraz przejdźmy do *Anhellego*. Zważmy odmienność rytmu i melodji, tudzież odmienne wiązanie okresów, inny tok wewnętrzny poszczególnych zdań.

> A podniósłszy Szaman oczy błyszczące, zaczął mówić, zapalając się w smutku. Cóżeście uczynili, rzekł, beze mnie? Widziałem waszą Golgotę. Biada Wam!

A nie zostanę z wami, lecz to, co powiem, zostanie z wami. Bądździe potępieni, kłótliwi ludzie.

Wichry rozsiewają dębu nasiona i roznoszą je po ziemi, lecz wichry te będą przeklęte, co wasze mowy i rady do Ojczyzny zaniosą. Pomrzecie.

Zbliża się wielki dzień, a żaden nie dożyje wieczora dnia tego! Zbliża się dzień sybirski i słońce zatracenia.

Dlaczegożeście nie słuchali rad moich i nie żyli spokojnie w zgodzie i miłości braterskiej, jak przystoi na ludzi, którzy nie mają Ojczyzny.

Nakoniec wyjątek z *Quo Vadis*:

Czemu się skarżycie? Bóg sam poddał się męce i śmierci, a Wy chcecie, by was przed nią osłonił? Ludzie małej wiary! zaliście pojęli jego naukę, zali On wam to jedno życie obiecał?

Oto przychodzi do was i mówi wam: Pójdźcie drogą moją, oto podnosi was ku sobie, a wy czepiacie się ziemi rękoma, wołając: Panie ratuj!

Ja proch przed Bogiem, lecz wobec was Apostoł Boży i namiestnik, mówię wam w imię Chrystusa: Nie śmierć przed wami, lecz życie, nie męki, lecz nieprzebrane rozkosze, nie łzy i jęki, lecz śpiewanie, nie niewola, lecz królowanie.

Siejcie w płakaniu, abyście zbierali w weselu. Czemu lękacie się mocy złego?

Nad ziemią, nad Rzymem nad murami miast jest Pan, który zamieszkał w was.

Kamienie zwilgną od łez, piasek przesiąknie krwią, pełne będą doły ciał waszych, a ja wam powiadam: wyście zwycięzcy!

Niechże czytelnik wsłucha się pilnie w muzykę tych trzech zespołów wersetów biblijnych. Czy Sienkiewicz nie jest bliższy Słowackiego, niż Mickiewicza? Istnieje jakieś ukryte powinowactwo rytmu prozy *Quo Vadis* i *Anhellego*. Ta sama w obu płynność, miękkość, to samo zamiłowanie do formy pytającej, ta sama względna krótkość okresów. Tak samo wzmocnienie tonu przełamuje się w połowie zdania, aby w drugiej jego części rozpłynąć się łagodną falą uciszenia. Niekiedy zaś spotykamy pokrewne zamknięcia pewnych całości treściowych, zamknięcia i tu i tam ciche, a w swojej cichości niewymownie nastrojowe. Oto naprzykład obraz śmierci Anhellego, kończący się matowo, spokojnie, z naciskiem, położonym na ostatniem zdaniu, które jed-

nak otwiera przed nami jakiś widok dalszy, nieokreślony i pełen smutku:

> Taki był głos ptaków i rozkruszyło się serce w Anhellim i upadł.
>
> A słońce utonęło pod ziemią i tylko jeszcze najwyżej lecące ptaki świetniały na szafirowem niebie, jak róż białych girlandy, ulatujące ku południowi.
>
> Anhelli był umarły.

Taką samą spokojną matowość i takie same zaniepokojenie czytelnika nastrojem końcowego zdania czujemy u Sienkiewicza w obrazie sennych widzeń Marka Vinicjusza i budzących się w nim pierwiastków chrześcijańskich:

> Wówczas zdumiał się i sam nie wiedział, co się z nim dzieje, albowiem spostrzegł, że i w nim poczynają powstawać jakieś nowe uczucia i nowe upodobania, obce światu, w którym żył dotąd.
>
> Tymczasem ona otworzyła oczy, i widząc, że Vinicjusz na nią patrzy, zbliżyła się ku niemu i rzekła: Jestem przy Tobie,
>
> A on odpowiedział: Widziałem we śnie Twoją duszę.

Widział we śnie, podobnie jak niewierni rybacy widzieli duszę Anhellego na jawie.

Istnieją też podobieństwa w drobiazgach, w częstem używaniu spójników: *a*, *oto*, *więc*, na początku zdania, *i* wielokrotnie przy wyliczaniu, *ale*, *lecz*, jako łącznika, łagodzącego przejście od zdania do zdania. Weźmy na chybi-trafi kilka przykładów, a pamiętajmy, że możnaby je mnożyć bez liku:

> *Anhelli*:
>
> Oto ja polecę do krainy rodzinnej. — Oto są kopalnie Sybiru — Oto połóż Twe rączki.
>
> *Quo Vadis*:
>
> Oto przychodzi do Was i mówi Wam (str. 399). — Oto pokorny i gotowy na śmierć Lig (str. 494). — Oto wybiera się znów do Achaj (str. 486).
>
> *Anhelli*:
>
> I poddał się rozpaczy i sechł. — I przyszedł wiatr podziemny i wywrócił. — I obejrzał się Duch jasny... i powrócił.
>
> *Quo Vadis*:
>
> I widziałem, jak mu bok otworzyli i jak umarł (str. 399). — I drżał z bólu, jak liść i bił czołem (str. 401). — I zaklinała Go, bo jej nie żałował i nie dał się opanować bólowi (str. 409).

Ciągłe powtarzanie się u Sienkiewicza tego rodzaju spójnikowych połączeń i zahaczeń sprawia, że skłonni jesteśmy widzieć w nich coś więcej niż przypadek. To już raczej właściwość stylu, nabyta może wskutek zgłębiania uroku prozy *Anhellego*, poza tem właściwość przekazana i Słowackiemu i Sienkiewiczowi przez tok prozy Wujkowej. Sienkiewicz musiał go bezwarunkowo poznać dokładnie, zabierając się do odtwarzania dwu naczelnych postaci apostolskich, św. Piotra i św. Pawła. I wtedy zszedł się ze Słowackim w punkcie wyjścia, który był dla obu jednakowy.

Zygmunt Falkowski.

Obłąkany poeta, Michał Eminescu.

Michał Eminescu urodził się 20 grudnia 1849 w Dumbraveni. Ojciec poety z chłopskiej rodziny bukowińskiej osiadłej, w Kalineszti koło Ickan, ożeniony z szlachcianką mołdawską z domu stolnika Bazyla Jurascu z Joldeszti, sprawował podówczas zarząd dóbr bojarskiej rodziny Balsów. Po latach dorabia się własnego majątku, kupuje, płynącą mlekiem i szumiącą nieprzejrzanemi łanami zboża, słoneczną wioskę Ipoteszti koło Botoszani, w której przychodzi na świat syn i przeżywa okres swojego dziecięctwa. Ślad tych szczęśliwych i niczem niezmąconych lat łatwo odnaleźć w późniejszej twórczości poety.

Oderwijmy się na chwilę od tematu, aby spojrzeć na ważniejsze przejawy życia politycznego i kulturalnego narodu rumuńskiego w latach 1849—1889. Właśnie w tym okresie zaczyna się wysuwać Rumunja na czoło kulturalniejszych i nowocześniejszych państw ówczesnego Bałkanu. Równocześnie z tem poczyna się rozwijać wewnętrzne polityczne życie narodu. W zabagnionej dziedzinie literatury panują wszechwładnie wyniesieni na piedestał nieomylności i spełniający rolę bogów poeci: Basil Alexandri, Volintineanu i Alexandrescu, pozostający pod wpływami literatury francuskiej i francuskiego romantyzmu. Prawdziwym i wielkim jest jedynie stosunek ich do przyrody, znajdujący swe ujście w mistrzowsko opanowanych formach i niezamącony oddziaływaniem obcej twórczości. Celuje w tem szczególnie Alexandri. Inni wysilają się na górną nutę patrjotyczną, brzmiącą zresztą dość fałszywie, bo sztucznie; inni toną i grzebią się w romantyce, której nadomiar sami nie rozumieją. Francja, nietylko gdy chodzi o dobry ton w towarzystwie, ale i w literaturze, jest decydującą ostatnią instancją i bezapelacyjną wyrocznią. Tę po-

wagę Francji utrwalali wracający z nad Sekwany nieraz o żebraczym kiju synowie bojarów, kultura francuska oto bezwątpienia chakterystyka czasu w okresie Eminescu.

Tymczasem w roku 1855 ojczyzna poęty stała się księstwem. W trzy lata później Eminescu jako ośmioletni chłopiec zaczyna uczęszczać do szkoły elementarnej w Czerniowcach, głównem mieście Bukowiny. Tu przepędza nieprzerwanie cztery i pół lat, tu w otoczeniu pomników mówiących o niesłychanych, omal że legendarnych czynach bohaterów, w siedzibie wielkiego księcia Mołdawji Stefana, rodzi się świadome umiłowanie kraju rodzinnego i jego ludu.

W ślad zatem jego uwagę w szkole absorbują głównie jedynie dwa, względnie trzy przedmioty: nauka języka rumuńskiego, geografja i historja, w których czyni wielkie postępy, podczas gdy pozostałe traktuje mniej lub więcej pobieżnie. Skutek tego był taki, że młody Michał Eminescu, mimo że z języka i historji miał zawsze noty celujące, zaczynające się nawet od wielkich liter początkowych, to jest najlepsze noty, jakie wogóle w ówczesnem szkolnictwie istniały, nie mógł być dobrym, *nota bene* według dawnych pojęć, uczniem. Pilność jego we wspomnianych przedmiotach była zawsze znaczona jako bardzo chwalebna.

Warto też wspomnieć, że kierownikiem jego nauki języka rumuńskiego był rewolucjonista z roku 1848, Aron Pumnul, który po stłumieniu powstania rumuńskiego przeciw Węgrom schronił się do Czerniowiec i tam poparty przez braci Hurmuzachi został zamianowany profesorem gimnazjum państwowego. On to stał się wkrótce ojcem i kierownikiem duchowym młodego Eminescu, a w zrozumieniu jego nadzwyczajnych we wspomnianych kierunkach zdolności oddał mu całą swą bibljotekę łącznie ze swemi manuskryptami do użytku.

Po przejściu do gimnazjum zapoznaje się Eminescu z literaturą i filozofją niemiecką i staje się jej gorącym zwolennikiem.

Wszystko to, a także i wspomnienia niezapomnianych czasów swobody z Ipoteszti, odciąga go od szkoły.

W roku 1864 opuszcza Czerniowce, przyłączając się jako sufler do grupy teatralnej Fanny Tardini. Z tym rokiem rozpoczyna się jego niespokojne, koczownicze życie aktora. Jeżdżąc z teatrem poznaje znany dotąd jedynie z literatury kraj swój i lud; już wtedy rozmiłowany w pięknie pieśni i baśni ludowej

zbiera pracowicie materjał, przechowywany w przechodzącem z pokolenia na pokolenie i podawanem ustnie słowie. Młody, przedwcześnie dojrzały chłopiec, palony gorączką poznania, od zarania swych lat uczy się patrzeć w ciemną i nieznaną duszę chłopa, uczy się ją rozumieć.

Podczas tej łazęgi, która z małemi przerwami trwała z górą pięć lat, raz tylko wraca do Czerniowiec po otrzymaniu wiadomości o śmierci swego ukochanego mistrza, Arona Pumnula. Cios ten dotyka go głęboko. Nie miał i nie ma już nikogo, któryby był mu tak bliskim jak zmarły. Ojciec bowiem wyrzekł się syna dawno, dowiedziawszy się o jego ucieczce ze szkoły z podejrzaną trupą teatralną.

Po śmierci Pumnula postanawia Eminescu podjąć na nowo swe studja i w tym celu udaje się do Blaj w Siedmiogrodzie, gdzie wstępuje do szkoły jako prywatysta. Złamany i wyniszczony fizycznie, nie może jednak nagiąć się do przepisanego programu. Czyta i studjuje wszystko, co możliwe, tylko nie uczy się tego, czego szkoła od niego wymaga. Zamiłowanie do języka i historji narodu nie może mu zapewnić bytu, rozległa wiedza w tych kierunkach nie przynosi mu materjalnych, koniecznych do życia środków. Wycieńczony nędzą organizm nie może podołać sumiennej pracy obowiązkowej. Czytanie w tym okresie jest jego jedynym wypoczynkiem, jedynem zapomnieniem. Jest z nim tak źle, że dopiero ofiarność i współczucie kilku kolegów ratuje go od śmierci głodowej.

Zgorzkniały, przepojony wstrętem do ludzi, gryziony powoli zaczynającemi występować objawami późniejszej ciężkiej melancholji, bierze się do pisania, a pierwsze jego utwory drukuje z zapałem czasopismo *Familia*. Warto wspomnieć, że pierwszy wiersz Eminescu „De aszavea", przyjęty przez wspomniane czasopismo, zostaje zaopatrzony przez dyrektora gazety Józefa Vulcana notatką: „Z radością otwieramy szpalty naszego czasopisma temu prawie szesnastoletniemu chłopcu, który potrafił nas tak przyjemnie zadziwić swemi pierwszemi poszukiwaniami poetyckiemi".

W niedługi czas po przybyciu do Blaj, opuszcza Eminescu miasto i udaje się znowu na nędzę i głód, na niepewne do Hermanstadtu w Siedmiogrodzie. Stamtąd udaje się do Rumunji i znowu jako sufler w teatrze grupy Pascalis tłucze się przez dwa lata po Rumunji, Siedmiogrodzie i Węgrzech. Poza swem cięż-

kiem codziennem zajęciem zajmuje się nadal swą pracą umysłową, korzystając skwapliwie z przychylnego stanowiska redakcji *Familii*.

W roku 1869 znajduje się z teatrem w Botoszani, gdzie spotyka się z ojcem, który, ogarnięty współczuciem wywołanem pożałowania godnym widokiem syna, zapomina o swej niechęci do niego i przebacza mu wszystko.

Eminescu liczył wtedy dwudziesty rok życia, a nie osiągnął żadnego realnego gruntu, na którym mógłby budować swą przyszłość. Długie lata włóczęgi poza pogłębieniem znajomości ludzi, poznaniem narodu, jego mowy, umysłowości i ducha, zapewnić mu mogły co najwyżej śmierć z nędzy i głodu.

Po spotkaniu się z ojcem porzuca Eminescu Rumunję i udaje się do Wiednia, gdzie rozpoczyna swe studja nad filozofją Kanta i Schopenhauera, mitologją północy i literaturą wschodu — studja stojące coprawda poza dziedziną użyteczności w znaczeniu materjalnem, lecz brane bardzo poważnie i uprawiane z głębokiem przejęciem, studja, których ślad jest wyraźnie widoczny na twórczości i dorobku poetyckim owego okresu. Niektóre z nich poświęcone są aktorowi Bandiusowi, gdyż mimo wszystko lata wędrówki z teatrem kazały mu pokochać scenę i jej ludzi.

Jesienią roku 1871 wraca Eminescu ciężko chory do ojczyzny. Nieregularny tryb życia, nadużywanie tytoniu i kawy, któremi wydawało się, że żyje wyłącznie, zniszczyły do reszty jego i tak wątły organizm, odziedziczony zdaje się po matce, która w młodym wieku umarła na suchoty. Po dźwignięciu się z choroby, zmuszony warunkami, przyjmuje Eminescu stanowisko bibljotekarza w centralnej bibljotece w Jassach. Tu poznaje poetkę Weronikę Micle, tę, którą opiewa później w swych wierszach, tę, którą kocha i uwielbia gorąco, podobnie jak nieszczęśliwy wielki poeta niemiecki Hölderlin swą Diotimę.

W roku 1872 wstępuje Eminescu jako zwyczajny słuchacz na uniwersytet w Berlinie, poświęcając się nauce historji i filozofji. Studjuje aż do lipca 1873. W tym czasie pod wpływem potężnych walk i tarć warstw społecznych dojrzewa politycznie, a jako syn zbogaconych chłopów, nieobojętny na głos tętniącej w nim krwi, ujmuje się gorąco i staje po stronie klas wydziedziczonych. Ale w swoim narodzie widzi przyszłość swego kraju. W lecie 1874 wraca na otrzymane stanowisko dyrektora bibljoteki w Jassach i na ten czas przypada jego najpłomienniejsza miłość do Wero-

niki Micle. Urodziła się ona w r. 1850, a mając lat 18 wyszła zamąż za starszego od siebie o 34 lat profesora uniwersytetu Stefana Micle. Pięknością swoich rysów i postaci zachwyca wszystkich. Jest poetką, a dziś tom jej wierszy, obejmujący około 100 stron druku, wymieniany jest obok czołowych dzieł poetyckich autorów rumuńskich. Eminescu należał do codziennych gości domu Miclów. Tam też rozwijała się z dnia na dzień ich obopólna miłość, a tej zawdzięcza naród rumuński najpiękniejszą i prawdziwie wielką lirykę, lirykę nieśmiertelną, której blasku do dziś dnia nie zdołał przytłumić żaden z rumuńskich poetów.

Romantyzm Eminescu dosięgnął w tym okresie swego punktu kulminacyjnego, z którego miał zapaść się następnie w otchłań chorobliwego pesymizmu. W roku 1879 umiera prof. Micle. Weronika wyjeżdża do Bukaresztu. Od tej daty aż do roku 1883 trwa najwyższy rozkwit twórczości Michała Eminescu.

W tym ostatnim pisze „Doinę", pieśń narodową. Przyjaciele, którym ten poemat czyta, rzucają mu się na szyję, płacząc z radości.

5 czerwca tegoż roku, podczas zainicjowanej przez poetę uroczystości o charakterze manifestacji narodowej — odsłonięcia pomnika Stefana Wielkiego, ucieka Eminescu do jakiegoś podejrzanego szynku na przedmieściu, nie chcąc słyszeć recytacji swojego wiersza. Występują pierwsze symptomy obłędu. List jego z tych dni wyraża dosadnie stan, w jakim się poeta znajduje: „I przy tem wszystkiem ja zostałem tym oszukanym, bowiem pracowałem wierząc, że potrafię utrwalić swe poglądy — pracowałem z wiarą i nadzieją lepszej przyszłości. Lecz nie! Nie idzie!! W latach, zanim tu wróciłem, spadało na mnie rozczarowanie za rozczarowaniem, zawód za zawodem i dziś po tem wszystkiem czuję się tak stary i zmęczony, że prawie pióra nie mogę utrzymać w ręce".

A na ten właśnie okres dziwnem zrządzeniem losu przypada największe powodzenie poety. Wszyscy, począwszy od królowej a skończywszy nawet na literatach, są mu przychylni. Niezależnie od tego jasny umysł Michała Eminescu zapada coraz to głębiej w nieogarniony mrok obłędu, objawiający się początkowo melancholją. Nie pomaga obrona przeczuwającego nieszczęście organizmu. Wkrótce po ogłoszeniu poematu p. t. „Gwiazda wieczorna" z elementarną mocą wybucha obłęd. Spieszący do ką-

pieli poeta strzela z rewolweru do swego najlepszego przyjaciela, spotkanego na drodze. Po całym szeregu niesłychanych ekscesów internują go przymusowo w bukareszteńskim szpitalu „Caritator".

Po dłuższej kuracji następuje chwilowe polepszenie się stanu chorego. Rekonwalescencja we Włoszech, lecz działanie słońca i klimatu boskiej Italji nie może już wywrzeć żadnego skutku na mistrzu słowa i formy. Wkrótce powraca do kraju, apatyczny, złamany na duchu, z niegasnącem na ustach westchnieniem: O Boże, Boże!

W roku 1885 wychodzą jego ostatnie wiersze, pisane w chwilach jaśniejszych.

W roku 1888 wyjeżdża do Bukaresztu celem ponownego uregulowania swych warunków bytu i tu następuje pełne tragizmu spotkanie z Weroniką. Szpalty gazet biją w rozradowany tłum salwami wiadomości, zwiastującemi ozdrowienie poety.

W grudniu tegoż roku wychodzi pierwszy numer redagowanej przez niego gazety *Fontana Blanduzieli.* Lecz już w następnym roku wraca choroba, a dnia 15 czerwca król poetów rumuńskich składa swą utrudzoną duszę w ręce Stwórcy. Zmarł w domu dla obłąkanych. Śmierć nastąpiła na skutek ciosu, zadanego poecie w głowę przez błąkającego się po zakładzie bez należytej opieki szaleńca.

Pogrzeb odbył się na koszt państwa.

W 48 dni później odbył się pogrzeb Weroniki Micle.

Dusza Czara.

Z poezyj Michała Eminescu.

Melancholja.

W skostniałym przepychu śmierci wyszedł wolno z chmur,
rozwartych jak bramy, blady majestat nocy.
O — spoczywaj łagodnie i szczęśliwie, miljon gwiazd za-
wisło nad twym grobem olbrzymim; w Twojem mau-
zoleum i dla Ciebie, Władco spokoju, nocnem Te
Deum zamiast pochodni płoną słońca na ciemnym
firmamencie niebios.
Spowity w srebro mgieł ciągnie się nieskończony kraj gór
i dolin, lasów i pól.

Iskrzą się błyskawice podniebne. Widmo ruin oparło się o urwisko.

Stamtąd nocny krzyk sowy odbija się echem od nowych i starych cmentarnych krzyży i wpółrozbitych grobów.

W mrocznej wieży trzeszczą stare zręby — rozkołysały się brązowe dzwony, bijąc mocą spiżu Demona, grabiącego spokój umarłych północną godziną.

Spopielały kościół w gruzach przystanął pełen zadumy. W nim mieszka nocny pojęk wiatru.

Świątynia, której okna i drzwi dawno zniszczyła burza, stała się schronem widm.

Ze ścian, przy świetle księżyca, szczerzą zęby wyblakłe figury świętych w słabych półtonach farby.

Zamiast śpiewu mszy, słychać świerszczenie świerszczy w takt zgrzytu robaka toczącego dyle.

Wiara maluje postacie świętych i męczenników (jeszcze dziś czuję ich dziwną władzę nade mną) — gdy z burz bytu przeżytych przez serce pozostał tylko cień chylący się teraz do grobu.

Zatarte obrazy młodości i więcej nic. Wyzieram napróżno. Ponury śpiew świerszczy przypomina o pieśni życia.

Serce puste. Bicie jego słabe jak szmer kornika, który tam toczy od tygodni drzewo.

Zdaje się, jakoby wolno ściekała weń reszta mego życia, opowiadaną bajką, w której ja jestem bohaterem, jakgdybym nie był wcale, tak jakgdyby życie to nie było życiem mojem.

Przegląd polskiej literatury historycznej 1929—1930.

(Dokończenie).

b) Historja polityczna.

Powyższy dział dziejów naszych może się poszczycić paroma większemi pracami syntetycznemi. Najpierw wymienić trzeba wielkie dzieło zborowe *Polska, jej dzieje i kultura od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej.* Współudział w opracowaniu wzięły wybitne siły naukowe, to też wydawnictwo prezentuje się okazale co do strony zewnętrznej, a również treść wewnętrzna stoi wysoko. Księga pierwsza, obejmująca dzieje polityczne, jest trzeciem w latach powojennych ujęciem syntetycznem powyższego tematu, rozmiarami mniejszem od dwóch poprzednich (Encyklopedja polska t. V. i Grodecki-Dąbrowski: *Dzieje Polski średniowiecznej.* — Interesującą nowość stanowi między innemi opracowanie XIII w. pióra prof. Grodeckiego, gdzie zwraca uwagę odmienne oświetlenie pierwszych poczynań zakonu krzyżackiego w Polsce [1]). Jako dotkliwą lukę odczuwa się w omawianem dziele, podobnie jak w poprzednich dwóch opracowaniach syntetycznych, brak dłuższego ustępu poświęconego dziejom Litwy pogańskiej. Uszczerbek ten wynagradza publiczności polskiej osobna książka wybitnego znawcy przedmiotu, St. Zajączkowskiego, która w sposób jasny i przystępny przedstawia losy naszego północno-wschodniego sąsiada aż do zawarcia unji z Polską.

Dalsze *Dzieje W. Księstwa Litewskiego za Jagiellonów* po koniec wieków średnich opracował ze znawstwem, gruntownością

[1]) Obszerniejsza ocena powyższego dzieła ukazała się w *Przeglądzie Powszechnym* lipiec—sierpień 1929.

i rozmachem L. Kolankowski. Jest to niewątpliwie jedna z najlepszych prac medjewistycznych, jakie się ukazały u nas w ciągu ubiegłych dwóch lat. Ujęcie przedmiotu nawskróś oryginalne, szczególnie zapatrywania autora na prawne stosunki Litwy i Korony odbiegają od przyjmowanych dotychczas poglądów, wątpliwem się jednak wydaje, czy dotyczące tezy utrzymają się w całości wobec krytyki naukowej. Zdaniem prof. Kolankowskiego pierwotna idea inkorporacji ziem litewskich do Korony została podważona dopiero przez tendencje elekcyjne możnowładztwa polskiego (w latach 1425—1430). Jagiellonowie, chcąc ratować pozycję dynastji w obu krajach, musieli dążyć do utrzymania odrębności państwowej Litwy, wreszcie w przełomowym roku 1447 stanął kompromis. Dynastja pogodziła się z elekcyjnością polskiego królestwa, a Korona uznała dziedziczność tronu na Litwie. Prof. Kolankowski odnosi się z wielką sympatją do dynastji Jagiellońskiej, traktuje pobłażliwie nawet jej błędy. Wywyższa wybitnie Jagiełłę, któremu przypisuje inicjatywę wszystkich ważniejszych poczynań politycznych, a obniża nadmiernie znaczenie Witolda. Podobnież rehabilituje Kazimierza Jagiellończyka, usprawiedliwiając jego niepowodzenia niezmiernie trudnem położeniem państwa. Sprawy wewnętrzne potraktowane są dość pobieżnie, główny nacisk położono na zagadnienia polityki zagranicznej. Szczególnie cennym jest gruntowny obraz stosunków Litwy z światem tatarskim, mało znanych ogółowi naszych historyków.

Przechodząc w porządku chronologicznym szczegółowe monografje z dziejów politycznych, zaczniemy od interesującej rozprawy M. Gumowskiego: *Sprawa braniborska XII wieku* [1]). Autor przedstawia walkę dwóch pretedentów do tronu braniborskiego, Jaksy i Przybysława (Henryka). Ten ostatni zwyciężył przy poparciu Albrechta Niedźwiedzia, który też uzyskał ogromny wpływ na rządy kraju. Jaksa, słynny później fundator i dobroczyńca instytutów duchownych w naszej ziemi, musiał zrazu (1127) uchodzić do Polski. Gdy zawiodły próby odzyskania ojcowizny przy pomocy Bol. Krzywoustego, Jaksa stara się zdobyć sobie w Polsce silne podstawy majątkowe i wchodzi w bliższe stosunki z potężnemi rodami rycerskiemi. W r. 1154, korzystając z nie-

[1]) *Slavia Occidentalis* 1928 i 1929.

obecności Albrechta Niedźwiedzia, opanował Branibor przy pomocy przyjaznych rodów polskich, stracił go wprawdzie po trzech latach, ale utrzymał się do końca życia przy wschodniej części księstwa ze stolicą w Kopytniku. Dziejów zachodniego Pomorza dotyczy rozprawka Br. Włodarskiego: *Rzekomy dokument Świętopełka Pomorskiego z 1189 r.*[1]); przyjmuje on krótkotrwałe rządy opiekuńcze Władysława Laskonogiego w ziemi słupskiej, które mu odebrał Świętopełk w roku 1223. J. Karwasińska omawia *Rolę polityczną biskupa Wolimira 1259—1278*[2]). Ten energiczny pasterz włocławskiej diecezji był niewzruszonym bojownikiem o wolność Kościoła i dlatego wystąpił przeciw ks. kujawskiemu Ziemomysłowi, powołując naprzód na Kujawy ks. wielkopolskiego Bolesława Pobożnego, później zaś oświadczył się za starszym bratem Ziemomysła, Leszkiem Czarnym. Nowe interesujące wyniki przynosi rozprawa St. Górskiego: *Śmierć Przemysła II*[3]), która rozwiązuje z wcale dużem prawdopodobieństwem tajemnicę tragedji w Rogoźnie. Za moralnego sprawcę zamachu uznaje autor króla czeskiego Wacława, który zamierzał porwać Przemysła i wymusić na nim pożądane dla siebie ustępstwa polityczne. Jako narzędzie użył margrabiów brandenburskich, którym Przemysł przeszkadzał w ich dążeniach do zaboru Pomorza. Drogą intryg pozyskano też współudział, względnie poparcie Henryka głogowskiego i jego wielkopolskich popleczników (rody Zarembów i Nałęczów). Plan powiódł się tylko częściowo, gdyż wskutek oporu ze strony króla i obawy przed pogonią zabito Przemysła w drodze, zapewne we wsi Sierniki.

Pomijając pobieżną pracę St. Warcholika: *Duchowieństwo Śląskie XIII w. w walce o jedność państwową z Polską*[4]), należy zatrzymać się dłużej przy pokaźnem rozmiarami i wysoko wartościowem co do treści studjum St. Zajączkowskiego p. t. *Polska a Zakon krzyżacki w ostatnich latach Władysława Łokietka*[5]); obejmuje ono całokształt zatargu polsko-krzyżackiego za rządów tego monarchy i wprowadza dość znaczne zmiany w dotychczasowych poglądach co do chronologji i oceny wypadków. Między

[1]) *Roczniki Hist.* t. V.
[2]) *Ateneum Kapłańskie* zesz. 140.
[3]) *Roczniki Hist.* t. V.
[4]) *Rocz. Tow. Przyj. Nauk na Śląsku* t. I.
[5]) *Archiwum Tow. Nauk. we Lwowie.* Dział II, t. VI, zesz. 2.

innemi autor przypisuje pomyślny wynik wyprawie na Brandenburgję w r. 1326, a wybuch wojny polsko-krzyżackiej przesuwa na rok 1327. Trwała ona zrazu krótko, bo zaraz zawarto rozejm. Dopiero w latach 1329—1330 rozpaliły się na dobre walki, prowadzone ze strony krzyżackiej początkowo pod egidą króla czeskiego Jana Luksemburczyka. Przebieg ich był naogół niekorzystny dla Polaków. W pamiętnym roku 1331 odbyły się dwie wyprawy krzyżackie na Polskę. Pierwsza przy końcu lipca o charakterze łupieskim trwała wszystkiego 10 dni, a skierowana była na Wielkopolskę, druga we wrześniu szła przez ziemię łęczycką i sieradzką na Kalisz, podjęta zaś była z większemi siłami i obliczona na współdziałanie z Janem Luksemburskim, który jednak celowo się spóźnił, zmieniwszy w międzyczasie swe plany polityczne. Wynik bitwy pod Płowcami, stoczonej podczas odwrotu Krzyżaków, ocenia autor naogół zgodnie z najnowszą literaturą polską. W pierwszej fazie Polacy odnieśli zwycięstwo, niszcząc straż tylną krzyżacką, ale gdy nadciągnął główny korpus nieprzyjacielski, musieli się cofnąć. Krzyżacy odzierżyli pole walki, nie czuli się jednakże bezpiecznymi, bo natychmiast rozpoczęli dalszy odwrót, nie pogrzebawszy nawet trupów. Co do oceny tej bitwy Zajączkowski zgadza się naogół z autorem najnowszej monografji o Płowcach, M. Małuszyńskim [1]), obalając tylko jego niefortunną hipotezę o trzech fazach bitwy i zdobyciu taboru krzyżackiego.

Z epoki Jagiellońskiej pojawiło się parę monografij wybitniejszych osobistości. Przypadająca w r. 1930 rocznica 500 letnia śmierci Witolda wywołała u historyków nową falę zainteresowania potężną postacią wielkiego księcia Litwy. Na uwagę zasługuje sumienne studjum H. Łowmiańskiego, a zwłaszcza krótki, lecz niezmiernie instruktywny referat prof. Haleckiego na Zjeździe historyków [2]). Autor zajmuje stanowisko pośrednie wobec sprzecznych charakterystyk Witolda w najnowszych dziełach Kolankowskiego i Pfitznera, które nadmiernie umniejszają lub powiększają jego zasługi i znaczenie. Witold zdaniem Haleckiego dążył nie do zerwania, lecz rozluźnienia Unji polsko-litewskiej, by uczynić Litwę państwem równorzędnem z Koroną. Główny nacisk kładł na sprawy wschodnie, zaniedbał natomiast problemu opanowania ujść Niemna. Ciekawe, a nieznane szczegóły o roli

[1]) Próba analizy bitwy pod Płowcami. *Przegląd histor.-wojsk.* 1929.
[2]) Pam. Zjazdu hist. 1930.

politycznej wybitnych mieszczan przynosi rozprawa prof. Semkowicza p. t. *Hanul namiestnik wileński*[1]). Na czele niemieckiego mieszczaństwa dopomógł on Jagielle do opanowania Wilna w r. 1382, później prowadzi kancelarję wielkoksiążęcą i bierze udział w negocjacjach dyplomatycznych; potomstwo jego wsiąkło w stan ziemiański Małopolski. Schyłkowy okres średniowiecza obejmuje obszerna praca prof. Koneczn ego *Litwa a Moskwa w latach 1449—1492.* Książka powyższa stanowi ciąg dalszy I tomu *Dziejów Rosji*, wydanego w r. 1917, który sięgał po r. 1449. Drugiego tomu z powodu trudności wydawniczych nie dało się drukować w całości, autor rozłożył go zatem na kilka artykułów, a główną część wydał pod podanym wyżej tytułem. Poza stosunkami litewsko-moskiewskiemi omawia autor sprawy wewnętrzne rosyjskie, zwłaszcza wyznaniowe. Książka jest pożyteczna przez to, że przyswaja publiczności polskiej wyniki badań nauki rosyjskiej (nie opanował jej autor całkowicie), ale nie przynosi prawie nic ponadto nowego, a poprawki autora niekoniecznie bywają szczęśliwe. Zbyt wiele jest ogólników, twierdzeń niedostatecznie udowodnionych i refleksyj historjozoficznych. Dlatego przy korzystaniu z książki zaleca się pewną ostrożność.

Poniekąd kontynuację książki Konecznego tworzy niedokończone jeszcze studjum W. Białowiejskiej, *Stosunki Litwy z Moskwą w I poł. panowania Aleksandra Jagiellończyka*[2]), w którem autorka stara się oczyścić postać Aleksandra ze stawianych mu dawniej zarzutów, zgodnie z tendencją najnowszej literatury (Halecki).

c) Dzieje kultury i oświaty.

Powyższy wycinek dziejów naszych doczekał się nareszcie syntezy. Podjął się jej uczony o europejskiej sławie, jedna z największych powag naukowych, jakie wydała ziemia polska, Aleksander Brückner. Jego *Dzieje kultury polskiej* jest właściwie pierwszem opracowaniem, ogarniającem całość powyższego tematu, niezwykle rozległego, gdyż wszystkie niemal działy historji poza polityczną dadzą się podciągnąć pod powyższe określenie w większej lub mniejszej mierze. Opanowanie tego olbrzymiego tematu wymaga tak ogromnej wiedzy i kolosalnej erudycji,

[1]) *Ateneum Wileńskie* 1930.
[2]) *Ateneum Wileńskie* 1930.

że wydaje się prawie niemożliwem dla poszczególnego człowieka, zwłaszcza jeżeli grunt nie jest jeszcze dostatecznie przygotowanym przez prace monograficzne. To też nie można się dziwić, że nawet prof. Brückner, któremu mało który uczony w Europie dorówna głębokością wiedzy i wszechstronnością erudycji, nie zdołał całkowicie wyczerpać i zgłębić tematu. W każdym razie dał pierwszy całokształt dziejów kultury narodowej w jednolitem ujęciu i oświetleniu, spożytkowując w ten sposób dla szerszego ogółu wyniki swych półwiekowych przeszło studjów.

Rozległość tematu spowodowała z natury rzeczy nierównomierne potraktowanie poszczególnych części. Tak w pierwszym tomie, obejmującym średniowiecze, najobszerniej stosunkowo omówione są pierwsze rozdziały, dotyczące czasów przedhistorycznych, bo tu autor mógł w szerokiej mierze operować materjałem filologicznym, czuł się więc w swoim żywiole. Wogóle specjalność autora jako filologa i historyka literatury daje się wyczuć w całem dziele, ale też te właśnie partje, gdzie autor mógł rzucić na szalę swój autorytet fachowy, przedstawiają największą wartość naukową, inne części, sięgające poza zakres zainteresowań naukowych autora, jak np. kwestje ustrojowo-prawne, historja sztuki, muzyki i t. p., skreślone są bardziej pobieżnie i wypadły też słabiej co do treści. Ciekawe są opisy obyczajowe, które częstokroć, zwłaszcza dla XV wieku, czerpane są wprost ze źródeł. Szerokie tło porównawcze podnosi niezwykle wartość dzieła. Autor omawia głównie stosunki polskie, kulturę Litwy i Rusi charakteryzuje krótko, ale dosadnie. Ocena działalności Kościoła naogół rzeczowa i spokojna, czasem tylko sceptycyzm religijny autora lub pewien odcień antyklerykalizmu daje się odczuć w pewnych wyrażeniach lub całych zdaniach, które rażą czytelnika katolickiego. Wybitny indywidualizm znakomitego uczonego wyciska również swe piętno charakterystyczne na całem dziele. Nietylko podtrzymuje on swoje poglądy, ale folgując swemu bujnemu temperamentowi wdaje się nieraz niepotrzebnie w polemikę, która może być sama w sobie cenna i ciekawa, ale w syntetycznem dziele jest nie na miejscu. Choć jednak nie wszyscy zgodzą się z różnemi poglądami prof. Brücknera, choć samo dzieło nie jest wolne od pewnych usterek stylistycznych i nieścisłości w działach mniej znanych autorowi, to jednak jako całość posiada dużą wartość, zaspakaja potrzeby przeciętnego czytelnika, a uczonemu

może posłużyć za drogowskaz do dalszych badań. Dobre uzupełnienie dla książki Brücknera stanowi druga księga wspomnianego już dzieła *Polska, jej dzieje i kultura,* w której właśnie wybitni fachowcy przedstawili obszernie rozwój architektury, rzeźby, malarstwa i muzyki średniowiecznej, a liczne doborowe ilustracje, których brak daje się dotkliwie odczuwać w pracy Brücknera, ułatwiają czytelnikowi zrozumienie treści.

Ubiegłe dwulecie nie wydało wiele prac monograficznych z zakresu historji kultury. Rozprawa K. Dobrowolskiego: *Z dziejów książki polskiej na obczyźnie w wiekach średnich* [1]) przedstawia losy czterech kodeksów pochodzenia polskiego, znajdujących się dziś w zbiorach zagranicznych. Jedna z ostatnich prac prof. J. Ptaśnika: *Codex pictoratus Baltazara Behema* [2]). *Problem autorstwa* przynosi ciekawe szczegóły do życia twórcy tego słynnego rękopisu oraz stara się wyśledzić autora cennych minjatur, znajdujących się tamże i ustala, że było ich kilku, a wszyscy pochodzili z krakowskiego środowiska artystycznego. J. Skoczek skreślił *Dzieje lwowskiej szkoły katedralnej* od założenia w XIV w. aż po rok 1608, t. j. datę otwarcia szkół jezuickich we Lwowie. Praca ma zasługę ujęcia całości tematu, ale jest nazbyt rozwlekła i w proporcji do swych rozmiarów przynosi stosunkowo mało oryginalnych i trwałej wartości wyników. Wkońcu wymienić należy rozprawkę M. Szczepańskiej: *Do historji muzyki wielogłosowej w Polsce w końcu XV w.*, która omawia kilka rękopisów muzycznych krakowskich z tego czasu.

d) Historja Kościoła.

Nauka polska dotychczas nie zdobyła się na syntezę dziejów kościelnych na ziemiach naszych, nie brak za to w ostatnich latach prac monograficznych czasem niepośledniej jakości. Do najlepszych może zalicza się rozprawa ks. M. Wyszyńskiego: *Ze studjów nad historją dziesięciny w Polsce średniowiecznej.* [3]) Autor opracowuje gruntownie całokształt skomplikowanego zagadnienia dziesięcinnego w Polsce z prawniczego punktu widzenia, dochodząc chronologicznie do czasów Kazimierza W. włącznie. Praca wymaga uzupełnienia od strony historji gospodarczej, nie jest też

[1]) *Przegląd Bibljoteczny* t. III.
[2]) *Kwart. Hist.* 1930.
[3]) *Pam. Histor.-Prawny* t. VIII, zesz. 1.

wolna od błędów, niemniej stanowi cenny nabytek naszej historjografji kościelnej i historyczno-prawnej. Ciekawe wyniki daje rozprawa prof. T. Modelskiego: *Spory o południowe granice diecezji krakowskiej od strony Spisza.* Stwierdza ona, że terytorjum Podolińca, Lubowli i Gniazda wchodziło aż do początku w. XIV w skład ziemi sądeckiej, a biskup krakowski sprawował nad niem pierwotnie jurysdykcję kościelną, ale już przed r. 1235 rozpoczął się spór o nią między dotychczasowym posiadaczem a proboszczem spiskim. Gdy pomienione terytorjum dostało się około r. 1310 pod panowanie Węgier, przeszła wtedy władza duchowna nad niem faktycznie w ręce proboszczów spiskich pomimo oporu ze strony biskupów krakowskich. Dopiero około r. 1604 ci ostatni, korzystając z zamieszek religijnych na Spiszu, zagarnęli jurysdykcję nad powyższym obszarem i sprawowali ją do ósmego dziesiątka lat XVIII w.

Kilka mniejszych i większych prac zajmuje się życiem zakonnem. Krótka rozprawka prof. Wł. Semkowicza: *Zabytki romańskie na Górze Sobótce* [1]) stanowi interesujący przyczynek do początkowych dziejów późniejszego klasztoru kanoników regularnych N. P. Marji na Piasku we Wrocławiu. A. Bachulski pisze o założeniu innego klasztoru tejże reguły w Czerwińsku na Mazowszu [2]), M. Niwiński daje obszerną monografję opactwa cysterskiego w Wąchocku [3]). O. Ł. Wołek w *Studjach z dziejów Zakonu kaznodziejskiego w Polsce w XIII w.* [4]) przedstawia początkowe dzieje Dominikanów polskich i ich pierwsze misje na Rusi, Litwie i w Prusach. Autor zebrał wiele materjału nieraz wcale cennego, bo pochodzącego z niewyzyskanych przez naukę źródeł zakonnych, ale nie umiał go należycie krytycznie wykorzystać, na czem cierpi siła dowodowa jego wywodów. Ciekawa rozprawa ks. K. Kantaka: *Życie wewnętrzne Bernardynów w dobie przedreformacyjnej* [5]) oświetla tę stronę dziejów klasztornych, która dla innych zakonów w Polsce średniowiecznej da się przedstawić tylko w ułamkowej formie z powodu braku materjałów. Interesujące przyczynki do początkowych dziejów biskupstwa oraz

[1]) *Przegląd Historyji Sztuki* rocz. I.
[2]) Księga ku czci prof. Handelsmanna.
[3]) Rocz. Wydz. histor.-fil. A. U. t. 68.
[4]) *Pam. histor.-prawny* VIII. zesz. 2.
[5]) *Przegląd Teolog.* 1929.

najstarszych kościołów w Płocku przynosi artykuł Z. Kozłowskiej-Budkowej: *Płockie zapiski o cudach z r. 1148*[1]) oraz recenzja M. Niwińskiego dawniejszych prac K. Potkańskiego i St. Arnolda, zajmujących się powyższym tematem[2]). Rozprawka M. Friedberga p. t. *Założenie i początkowe dzieje kościoła Najśw. Panny Marji w Krakowie*[3]) dostarcza nowych szczegółów do historji jednej z najpiękniejszych i najczcigodniejszych świątyń na ziemiach polskich. Wreszcie zwrócić należy uwagę na słuszną naogół polemikę, jaką prof. R. Grodecki podjął w artykule p. t. *O charakterystykę Kietlicza*[4]) przeciw ks. J. Umińskiemu, który przed paru laty w monografji wielkiego arcybiskupa wyidealizował zanadto swego bohatera.

e) Prawo i ustrój.

Powyższa dziedzina w zakresie medjewistyki należy u nas do najbardziej ożywionych. Również ostatnie dwulecie wykazało aktywność na tem polu szeregiem poważnych prac i mniejszych cennych przyczynków. Niezmiernie interesująca rozprawa prof. Grodeckiego: *Początki immunitetu w Polsce* składa się z dwóch części, bo wstępny rozdział, traktujący o gospodarczem znaczeniu immunitetu, tworzy zamkniętą całość dla siebie. W drugim rozdziale wysuwa autor odmienną interpretację postanowień zjazdu łęczyckiego z r. 1180; nie stanowiły one wedle G. pierwszego immunitetu, gdyż częściowo były lokalnym przywilejem dla diecezji krakowskiej (zrzeczenie się *ius spolii*), częściowo usuwały resztki uprawnień (podwody) na rzecz zmedjatyzowanych rodów dawnych książąt plemiennych. Następnie zajmuje się autor właściwą genezą immunitetu i cofa ją głęboko wstecz do przełomu XI na XII wiek, wykazując, że w tym czasie i później w ciągu XII stulecia szereg biskupstw, kapituł i klasztorów otrzymał rozległe zwolnienia od ciężarów prawa książęcego, a również uprawnienia sądowe nad własną ludnością niewolną w zakresie spraw drobniejszych. Powyższe przywileje odnosiły się początkowo tylko do dóbr fundacyjnych, to też wśród duchowieństwa zrodziła się tendencja do rozszerzania tych wolności również na późniejsze na-

[1]) *Kwart. Hist.* R. XLIV, t. I, str. 341 n.
[2]) *Kwart. Hist.* XLIII, str. 419 n.
[3]) *Rocznik krakowski* t. XXII.
[4]) *Kwart. Hist.* XLIV, t. II.

bytki. W dobrach prywatnych spotykamy przykłady immunitetu skarbowego i sądowego już w pierwszej połowie XII w.; były to wszakże wyjątki w stosunku do ogółu rycerstwa, wśród którego immunitet zaczął się szerzyć na większą skalę dopiero w 2 poł. XIII w. W ogólnym rezultacie przesuwa prof. G. genezę immunitetu o całe stulecie dalej wstecz, niż to przyjmowała dotychczasowa opinja naukowa (Kutrzeba). Podobnież oryginalne poglądy wypowiada tenże autor w referacie: *Instytucja wieców w Polsce piastowskiej* [1]). G. przyznaje wiecom określone kompetencje i wcale rozległe uprawnienia oraz uważa je za normalny organ współrządów przedstawicieli społeczeństwa z monarchą, którego władza znajduje dla siebie granice w ramach przyzwolenia dostojników zebranych na wiecu. Wiece rozwijały się nierównomiernie w poszczególnych dzielnicach, ale w niektórych przynajmniej przybrały charakter stałej instytucji.

Drugą poważną pozycję w najnowszej literaturze historyczno-prawniczej stanowi prof. Z. Wojciechowskiego: *Prawo rycerskie w Polsce przed statutem Kazimierza W.* „Ius militare" ustaliło się zdaniem autora pod koniec XIII w., a obejmowało następujące uprawnienia, przysługujące członkom stanu rycerskiego: 1) prawo dziedziczenia ziemi, 2) większą główszczyznę i nawiązkę za zabicie lub zranienie rycerza, 3) dziesięcinę swobodną (t. zn. na rzecz dowolnie wybranego kościoła), 4) wynagrodzenie pieniężne za służbę wojskową, 5) zwolnienie samego rycerstwa i jego poddanych od ciężarów prawa książęcego i jurysdykcji urzędników książęcych. Wywody prof. Wojciechowskiego poddał krytycznej ocenie M. Friedberg, redukując zakres prawa rycerskiego do skromniejszych granic [2]). W drugiej obszernej pracy odtwarza prof. Wojciechowski *Sądownictwo prawa polskiego w dobie przedimmunitetowej,* wyróżniając kilka typów sądownictwa. Sąd księcia jest kompetentny we wszystkich sprawach, niektóre zaś były wyłącznie dla niego zastrzeżone, jako to sprawy sporne i niesporne o dobra ziemskie, zbrodnie przeciw państwu i dynastji, spory o ciężary publiczne i t. p. Obok księcia samodzielną jurysdykcję o wcale rozległych kompetencjach, zwłaszcza w sprawach karnych posiadał kasztelan, natomiast zastępczy przeważnie lub wyłącznie charakter miała jurysdykcja

[1]) Spraw. Ak. Um. 1929.

[2]) *Rocznik Herald.* t. IX.

wojewody oraz sędziów nadwornego i targowego. Pierwsi dwaj zastępowali księcia, sędzia targowy wyręczał w pewnej mierze kasztelana.

Dysertacja doktorska W. Sawickiego p. t. *Assesorowie w sądach ziemskich i grodzkich na Rusi w XV wieku* przedstawia wyczerpująco tę instytucję, opisaną dotychczas dokładniej tylko w dziele prof. Rafacza „Dawny proces polski". S. rozróżnia assesorów stałych (dygnitarze), niestałych koniecznych (zastępcy dygnitarzy) i niestałych przygodnych; takim zostać mógł każdy szlachcic, który przybył na roczki sądowe lub sejmiki. W sądach grodzkich, przeznaczonych dla wszystkich stanów, spotykamy w charakterze assesorów nawet mieszczan, Ormian, Żydów i kmieci na prawie wołoskiem. Assesorowie jako organ kontroli społeczeństwa wywierali znaczny, przeważnie dodatni wpływ na wymiar sprawiedliwości, nie pobierając przytem, przynajmniej o ile chodzi o assesorów przygodnych, żadnego wynagrodzenia za swe funkcje. Obydwie prace, Wojciechowskiego i Sawickiego, mimo pewnych błędów w szczegółach posuwają wiedzę poważnie naprzód. Przeżytków dawnego ruskiego ustroju społecznego, jakie występują na Rusi halickiej jeszcze w XV stuleciu, dotyczy ciekawa rozprawa W. Hejnosza: *Ius Ruthenicale.* Autor wiąże powyższy termin z trzema grupami ludzi, pozostających w zależności od króla, mianowicie służków, sotnych i kalannych — ordyńskich.

Nowe, niezmiernie ciekawe wiadomości dla prawa bartnego, uzupełniające i prostujące wyniki dotychczasowych badań (Potkański „Pisma pośmiertne" t. I) przynosi praca A. Wójtowicza: *Obelść, obelnicy i prawo obelne* [1]). Autor na podstawie obfitych materjałów archiwalnych przedstawia prawo i stosunki obelne w Jedlnej i okolicy. Późniejsze terminy obelść, obelnicy wywodzi od wyrazu *oblina* (*mellificium*) t. j. obszar puszczy z wydzianemi sosnami, barciami. Od takiej obliny opłacało się oddawna w charakterze daniny jedną pokowę miodu, co stanowiło około 10% produkcji. Większa liczba oblin tworzyła okręg (obelść), którego członkowie składali daninę w siedzibie obelści. W sprawach zawodowych podlegali bartnicy-obelnicy własnemu sądowi, który sądził wedle prawa bartnego-obelnego, mieli też własnego wójta i starostę obelnego. Ta swoista organizacja mieszkańców puszczy

[1]) *Rocznik Bibl. Wyż. Szkoły Handl. w Warszawie* 1930.

radomskiej przetrwała do końca XVIII w. Stanowisko prawne i położenie gospodarcze ludności wiejskiej w Wielkopolsce oświetla prof. Tymieniecki w referacie: *Kmieć wielkopolski w zapiskach sądowych średniowiecznych* [1]).

Kwestja istnienia feudalizmu w Polsce budzi od niedawnego czasu zainteresowanie wśród badaczy. Objawem jego jest artykuł prof. Grodeckiego: *Zagadnienie feudalizmu w Polsce* [2]). Zdaniem autora, Polska nie wytworzyła u siebie samoistnie feudalizmu, ani go nie recypowała w gotowej formie z zachodu Europy, ale wybrała jedynie z ustroju feudalnego pewne instytucje i urządzenia, które odpowiadały jej potrzebom. Jedną taką instytucję, mianowicie lenno, którem posługiwano się we wzajemnych stosunkach prawnych między Koroną a Mazowszem, omawia E. Maleczyńska w rozprawie: *Książęce lenno mazowieckie*. Autorka wykazuje, że zakres władzy książąt mazowieckich przewyższał przeciętne uprawnienia odpowiadających im stanowiskiem wielkich lenników korony w Niemczech, czy we Francji. Przyczyną tego było przyrodzone prawo książęce piastowskie, przeciwstawiane w miarę potrzeby przez władców Mazowsza skutecznie zasadom prawa lennego. To też prawo lenne stosowane na Mazowszu wykazuje pewne lokalne odrębności. Dopiero pod koniec XV w. pozycja książąt zaczyna słabnąć na korzyść władzy królewskiej. Stosunków mazowieckich głównie dotyczy rozprawa A. Wolffa p. t. *Starszeństwo urzędów*. Odrzucając słusznie dawną metodę określania starszeństwa urzędów wedle porządku świadków w dokumentach, próbuje autor osiągnąć ten cel nową metodą ustalania awansu przy przechodzeniu z urzędu na urząd. Następnie według tej nowej metody układa hierarchję urzędów ziemskich na Mazowszu w latach 1370–1526.

Mniejszy plon przyniosło ostatnie dwulecie w dziedzinie historji ustrojowej Litwy. Poza dwoma drobnemi przyczynkami H. Paszkiewicza: *Z zagadnień ustrojowych Litwy przedchrześcijańskiej* [3]) (o kunigasach) i J. Adamusa: *O tytule panującego i państwa litewskiego parę spostrzeżeń* [4]), mamy tylko rozprawkę J. Jaworskiego: *Przywileje miejskie na prawo niemieckie*

[1]) Spraw. Pozn. Tow. Przyj. Nauk. 1929 i 1930.
[2]) *Przegląd Współczesny* 1930.
[3]) *Kwart. Hist.* 1930.
[4]) Tamże.

w W. Księstwie Litewskim [1]), pożyteczne przygotowawcze studjum dla dalszych badań na tem polu. Porównując stanowisko prawne miast litewskich i koronnych, stwierdza autor, że na Litwie obowiązki względem państwa, ciążące na miastach, były większe; również ustrój wykazuje pewne różnice ze względu na pomieszanie wyznań.

Studja nad historją prawa uzyskały świeżo własny organ w postaci kwartalnika p. t. *Przewodnik Histor.-Prawny,* który zaczął wychodzić zeszłego roku we Lwowie, a obejmuje kręgiem swego zainteresowania badania nad przeszłością prawa w Polsce i zagranicą.

f) Historja gospodarcza.

Już niektóre omówione poprzednio prace (Grodeckiego, Hejnosza, Niwińskiego, Wójtowicza) zajmują się w szerokiej mierze zagadnieniami gospodarczemi i z tej racji możnaby je poniekąd zaliczyć do powyższego działu. Poza tem mamy tu do zanotowania kilka większych rozpraw. Przedewszystkiem zwraca na siebie uwagę niezmiernie interesujące studjum T. Ladenbergera: *Zaludnienie Polski na początku panowania Kazimierza W.* Opierając się na rejestrach świętopietrza oblicza L. ludność Polski ówczesnej łącznie z Pomorzem na 1,360.000 głów, z czego wypadało na Wielkopolskę 457.000 mieszkańców, na Małopolskę 251.000, Śląsk 326.000, Mazowsze 134.000 i Pomorze 192.000. Największa gęstość zaludnienia występuje w Sandomierskiem, na Kujawach i w ziemi chełmińskiej, najmniejsza na Mazowszu. Nadto autor wykazuje, że aż do reformy w r. 1318 poszczególne ziemie polskie składały świętopietrze niejednolicie, mianowicie Małopolska, Śląsk i Pomorze płaciły po denarze od głowy, reszta po denarze od dymu. J. Warężak przedstawia *Rozwój uposażenia arcybiskupstwa gnieźnieńskiego w średniowieczu z uwzględnieniem stosunków gospodarczych w XIV i XV w.* Pierwsza to monografja obejmująca całokształt dziejów ogromnych dóbr arcybiskupich (315 osad w r. 1512) w przeciągu kilku wieków; opracowuje ona sumiennie metodą historyczno-statystyczną różne problemy gospodarcze, posiada jednak pewne braki i niedociągnięcia. Prof. Dąbkowski maluje *Stosunki gospodarcze ziemi*

[1]) *Rocznik Prawniczy Wileński* 1929.

halickiej w XV wieku, dorzucając wiele ciekawych szczegółów obyczajowo-kulturalnych.

W dziedzinie kredytu wybija się świetnie opracowana, obszerna monografja M. Ungeheuera p. t. *Stosunki kredytowe w ziemi przemyskiej w połowie XV wieku,* przedstawiająca wyczerpująco niezorganizowany kredyt rolniczy, zato w ciasnych granicach chronologicznych i terytorjalnych. Ze względu na treść stanowi ta praca unikat nietylko w literaturze polskiej, ale wogóle europejskiej, to też autor musiał sam ułożyć metodę badań. W ich rezultacie okazuje się, że z omówionego kredytu korzystała niemal wyłącznie szlachta, inne stany występują nielicznie, przeważnie w charakterze wierzycieli. Kredytu dostarczają przeważnie koła średniej i drobnej szlachty oraz sołtysi magnatom i bogatszej szlachcie, która zużywała go częściowo na cele produkcyjne (w szerszem rozumieniu), przeważnie jednak na cele konsumpcyjne. Stopa procentowa wynosiła przeciętnie 10% w stosunku rocznym.

W dziedzinie handlu nie zdobyło się ostatnie dwulecie na żadne dzieło w większym stylu, jak monumentalna praca prof. Rybarskiego o handlu Polski w XVI stuleciu; ukazało się wszakże parę niezłych monografij lokalnych. Pierwsze miejsce między niemi dzierży sumienne i pokaźne rozmiarami studjum L. Koczego p. t. *Handel Poznania do połowy wieku XVI.* Stwierdza ono, że Poznań leżał zdala od głównych szlaków średniowiecznego wielkiego handlu tranzytowego, prowadzącego przez ziemie polskie od morza Czarnego ku wybrzeżom Bałtyku i dalej do Flandrji. To też handel Poznania rozwija się na większą skalę dopiero w 2 poł. XV i w XVI stuleciu, kiedy to miasto stało się pośrednikiem w wielkim handlu lądowym między Zachodem niemieckim a Wschodem litewsko-ruskim. Najżywsze stosunki handlowe utrzymywał Poznań z Wilnem, Lublinem i Gdańskiem, Wrocławiem, Lipskiem i Norymbergą. Przywóz obejmował sukno, korzenie, śledzie i wyroby przemysłowe; wzamian za to wywożono przeważnie surowce, jako to bydło, wosk, futra, skóry, czerwiec, wełnę, łój, pierze i puch. Znacznie mniejszą wartość przedstawia obszerna, lecz dyletancka książka J. Leitgebera: *Z dziejów handlu i kupiectwa poznańskiego za dawnej Rzeczypospolitej*; zbiera ona pracowicie cenne materjały, zwłaszcza dla dziejów związków zawodowych kupców, kramarzy, aptekarzy i t. p. Ciekawe rezultaty natomiast przynosi drobna, lecz wartościowa rozprawa

A. Wagnera p. t. *Handel dawnego Jarosławia* [1]), która podkreśla między innemi znaczenie słynnych jarmarków jarosławskich, rozwiniętych już w XV stuleciu, jako dogodnego ośrodka, pośredniczącego w wymiarze towarów między konkurencyjnemi miastami, Krakowem i Lwowem.

Podobnie jak w dziedzinie handlu, nie wyszło też żadne ogólniejsze dzieło w zakresie pracy przemysłowej. Nie brak natomiast monografij, obejmujących całość organizacji cechowej w pewnem mieście lub dzieje poszczególnych cechów. Palma pierwszeństwa w tym resorcie należy się bezsprzecznie doskonale ujętej książce Ł. Charewiczowej, która opisuje *Lwowskie organizacje zawodowe za czasów Polski Przedrozbiorowej* na szerokiem tle porównawczem stosunków polskich i zachodnio-europejskich oraz ogólnej sytuacji gospodarczej miasta, maluje rozkwit rzemiosła lwowskiego w XVI i XVII w. tudzież jego upadek w XVIII stuleciu, wreszcie przedstawia udział cechów w administracji i obronie miasta. Cechy lwowskie były aż do roku 1525 podporządkowane cechom krakowskim, potem zrzuciły tę zależność, a nawet same uzyskały pewne prawa zwierzchnictwa i kontroli nad cechami mniejszych miast Rusi Czerwonej i Podola. Cechy starały się utrzymać bez zmiany stałą cyfrę stanowisk mistrzowskich, to też musiały staczać ciężką walkę z rzemieślnikami, stojącymi poza organizacją, zarówno katolikami, jak schizmatyckimi Rusinami i Ormianami. Żydzi tworzą w XVIII wieku swe osobne cechy.

Drugie poważne studjum monograficzne w omawianym dziale, to dyr. A. Chmiela: *Rzeźnicy krakowscy*, opracowujące gruntownie historję tego zawodu w Krakowie, a częściowo też na Kazimierzu i Kleparzu. Autor przedstawia topografję i urządzenie jatek rzeźniczych i domu cechowego oraz udział cechu w obronie miasta, omawia kwestję handlu bydłem i mięsem, przyczem opisuje walkę konkurencyjną z „kijakami" i żydami, następnie daje obraz organizacji cechu, który istniał już na pocz. XIV w., wkońcu prawi szeroko o zabytkach i zwyczajach cechowych. Krótka rozprawa tegoż autora: *Introligatorzy cudzoziemcy i zamiejscowi w Krakowie w latach 1579—1646* [2]) wykazuje silny napływ

[1]) Prace historyczne wydane ku uczczeniu 50-lecia Akad. Koła Historyków U. J. K. we Lwowie.

[2]) *Exlibris* 1929.

obcokrajowców do krakowskich oficyn drukarskich w podanym czasie. B. Bogusławska pisze o *Kongregacji towarzyszy kunsztu drukarskiego w Krakowie w XVII i XVIII wieku*, która zastępowała drukarzowi organizację cechową, ponieważ nie tworzyli oni osobnego cechu. Drukarze byli zwolnieni od jurysdykcji grodzkiej i miejskiej, podlegali natomiast sądownictwu rektora Akademji.

g) Urbanistyka i historja lokalna.

Z monografjami o handlu i cechach poszczególnych miast weszliśmy już właściwie w dziedzinę urbanistyki oraz historji regjonalnej i miejscowej. Powyższy dział historjografji naszej rozwija się bujnie i wykazuje znaczną liczbę prac, tylko że w znacznej części nie przedstawiają one wielkiej wartości naukowej, ponieważ są pisane niejednokrotnie przez dyletantów, pełnych najlepszych chęci, ale nie posiadających przygotowania naukowego. Niektóre rzeczy mają już w założeniu charakter popularny (przewodniki). Opracowania powyższe nie są wszakże pozbawione wartości dla nauki, gdyż gromadzą zazwyczaj cenny materjał, czasem trudno dostępny. Nie wchodząc w szczegółowy rozbiór tych wszystkich większych i mniejszych studjów z historji poszczególnych okolic, miejscowości, miast, cechów miejskich i t. p., omówimy tylko rzeczy bardziej wartościowe. W ostatniem dwuleciu nie pojawiło się żadne dzieło, obejmujące całokształt rozwoju miast w Polsce, przybyło zato jedno wydawnictwo o ogólniejszem znaczeniu, mianowicie A. Kuncewicza: *Plany przeglądowe miast polskich*, wydane przez zakład Architektury Pol. Politechniki Warszawskiej. Pierwsza serja obejmuje 100 planów miast, głównie z b. Kongresówki i Kresów Wschodnich. Naprzód mamy wstęp i opis planów, potem reprodukcje o typie schematycznym, utrzymane w jednym tonie i sprowadzone do jednej podziałki 1:5000. Błędy i niedomagania wydawnictwa wykazał szczegółowo H. Münch w recenzji (*Przegląd Współczesny* 1930 grudzień), dając zarazem programowe wytyczne dla dalszych planowanych seryj wydawnictwa.

Z pośród monografij i dziejów poszczególnych miast na pierwszym planie trzeba postawić płody pióra Ł. Charewiczowej, niewątpliwie najlepszej obecnie po śmierci prof. Ptaśnika znawczyni urbanistyki w Polsce. Jej monografja Złoczowa może służyć za wzór dla podobnych prac. Dzięki jasnej konstrukcji oraz postawieniu zagadnienia na szerokiem tle porównawczem

zdołała autorka przezwyciężyć szczęśliwie trudności spowodowane ubóstwem źródeł i dała barwny oraz zaokrąglony obraz rozwoju tej kresowej osady od XV w., aż po czasy dzisiejsze. Te same zalety naukowe i literackie wykazuje jej interesujące studjum: *Klęski zaraz w dawnym Lwowie,* w którem autorka ujmuje zjawisko chorób epidemicznych z punktu widzenia historji kultury, obserwując towarzyszące im skutki społeczne oraz omawia fatalne stosunki higjeniczne w dawnym Lwowie, wysiłki miasta w walce z zarazami, tudzież ówczesne metody leczenia. Okazale prezentuje się obszerna i gruntowna praca R. Zubyka: *Gospodarka finansowa Lwowa w latach 1624—1635,* oparta na zachowanych z tego okresu niemal w komplecie księgach miejskich. Przedstawia ona szczegółowo przy pomocy licznych tablic statystycznych stan finansów miejskich, daje zarys ustroju władz miasta i przynosi wiele ciekawych szczegółów obyczajowych. Dochody miasta były przeważnie mniejsze od wydatków, ratowano się pożyczkami. Dużą pozycję w dochodach stanowiły wpływy przedsiębiorstw miejskich i czynsze gruntowe. W wydatkach duży procent przypadał na warownię (na ten cel posiadało miasto osobne fundusze, przekazane przez króla), dalej na obronę prawną, poselstwa, przyjęcia i t. p. W schyłkowy okres średniowiecza sięgają dwie prace J. Skoczka. Pierwsza: *Ze studjów nad średniowiecznym Lwowem* obejmuje cztery szkice, z których dwa pierwsze zajmują się sprawami kościelnemi Lwowa w XIV i XV wieku (głównie spory na tle majątkowym między miastem a arcybiskupem, proboszczem i kapitułą), trzeci szkic dotyczy szpitalnictwa, czwarty porusza zagadnienia ustrojowe. W następnej pracy: *Studja nad patrycjatem lwowskim wieków średnich* obrobił tenże autor krótkie zarysy dziejów 18 wybitnych rodzin mieszczańskich (Stecherowie, Sommersteinowie, Steynkelerowie, Templowie, Klopperowie i t. d.). Potwierdzają one znany fakt masowego przenikania w XV w. bogatych rodzin mieszczańskich w szeregi szlachty drogą małżeństw i nabywania majątków ziemskich, przyczem częstokroć zmieniano nazwiska.

Z dziejów Krakowa wspomnieć należy najpierw ciekawą rozprawkę prof. Ptaśnika p. t. *Walki o demokratyzację Krakowa w XVII—XVIII w.*[1]); przedstawia ona rywalizację o władzę

[1]) *Kwart. Histor.* 1929.

i wpływy w mieście między radą miejską, reprezentantką bogatego patrycjatu, a ogółem mieszczan, który wykonywał wprawdzie pewną kontrolę nad radą bezpośrednio lub pośrednio przy pomocy swego organu, korporacji 40 mężów, ale nie zdołał uzależnić rady od siebie. Monografja K. Pieradzkiej: *Garbary przedmieście Krakowa (1363—1587)* kreśli obraz rozwoju obecnej dzielnicy IV (Piasek) niemal po schyłek XVI w., bada szczegółowo topografję przedmieścia i opisuje życie jego mieszkańców, wzbogacając nasze wiadomości niejednym cennym dla historji lokalnej szczegółem; natomiast rozdział, dotyczący ustroju władz i stosunków prawnych na przedmieściu, wypadł słabiej. Interesujące szczegóły z przeszłości stolicy oświetla rozprawa M. Barucha: *Warszawa średniowieczna,* która odtwarza przebieg murów starej Warszawy. Najdawniejszy mur wzniesiono około roku 1280, sto lat później uzupełniono go, zamykając linją murowanych obwarowań cały okrąg starego miasta. Po roku 1413 zbudowano drugą zewnętrzną linję murów; fortyfikacje miejskie i dworca książęcego łączyły się ze sobą. Sędziwy dziejopis Warszawy, M. Kraushar przedstawia szczegółowo w obszernej monografji dzieje stanu kupieckiego stolicy w ostatniem stuleciu (1817—1917). Wilno poza krótkim szkicem J. Jaworskiego może się pochlubić pierwszą dobrą monografją w języku polskim pióra M. Łowmiańskiej, obejmująca najdawniejsze dzieje miasta aż po najazd moskiewski w r. 1655, który stanowi w dziejach Wilna datę przełomową; odtąd kończy się okres świetności i zaczyna dość szybki upadek. Autorka daje pełny obraz spraw miejskich, głównie z pierwszej poł. XVII w., opisuje topografję, fortyfikacje miejskie, gród, kościoły, stosunki narodowościowe, wyznaniowe i obyczajowe, dalej omawia handel wileński, po raz pierwszy opracowany, cechy, ustrój władz miejskich, gospodarkę finansową miasta i t. p. Z innych cenniejszych monografij miejskich wymienić należy obszerne *Dzieje miasta Krotoszyna,* napisane przez K. Krotoskiego, który wydał narazie część pierwszą (1415—1779), zajmując się wszakże więcej historją rodzin właścicieli miasta i ich dóbr, niż losami samego Krotoszyna. A. Hanyż przedstawia średniowieczne dzieje innego wielkopolskiego miasteczka, Krzywinia [1]). Osada ta rozciągająca się u stóp grodu, była pierwotnie własno-

[1]) *Roczniki Hist.* VI.

ścią rodu Awdańców, poczem przeszła na własność klasztoru lubińskiego, za którego rządów zmieniła się w osadę targową, a następnie w miasto. Ks. J. Fijałek w interesującym szkicu daje zarys dziejów parafji Dorsuniszek na Żmudzi [1]). Wreszcie zanotować należy drugie, znacznie powiększone i ulepszone wydanie monografji Płocka, pióra ks. biskupa Nowowiejskiego, rzecz nie napisana wprawdzie przez fachowego historyka, ale cenna dzięki obfitym materjałom, nagromadzonym z pietyzmem i starannością przez wielce czcigodnego autora.

* * * *

Przy końcu wypada zestawić bilans aktywów i pasywów. Z zadowoleniem powitać należy trzy większe, syntetyczne opracowania, jedno dotyczące ogólnych dziejów Polski, drugie jej rozwoju kulturalnego, trzecie dziejów Litwy za Jagiellonów. Największe ożywienie znać w dziedzinie historji ustrojowej i gospodarczej tudzież w zakresie niektórych nauk pomocniczych (heraldyka, archiwistyka). W urbanistyce duża produkcja na ilość, ale poziom nie zawsze dość wysoki. Historja kultury poza dziełem Brücknera słabo reprezentowana. Również studja nad historją Kościoła poza dziejami zakonów i zagadnieniami gospodarczemi i histor.-prawnemi nie zaznaczyły się nazbyt silnie. Najwięcej do życzenia pozostawia dział wydawnictw. W zakresie dziejów politycznych mniejsze zainteresowanie okazywano epoce najdawniejszej, najwięcej zaś stosunkowo historji politycznej Litwy, natomiast zagadnienia gospodarcze, kulturalne i ustrojowo-prawne odnośnie do ziem litewsko-ruskich leżały przeważnie odłogiem. Wszystkie te problemy rozstrząsano gruntownie w ograniczeniu terytorjalnem do ziem etnograficznie polskich i Rusi Czerwonej. Ta ostatnia cieszy się w naszej literaturze medjewistycznej uprzywilejowanem stanowiskiem, które zaznaczyło się również w ostatniem dwuleciu, a tłumaczy się tem, że średniowieczne materjały źródłowe do dziejów Rusi Czerwonej są niemal w zupełności wydane. Okoliczność powyższa świadczy najlepiej, jak wielkie znaczenie przedstawiają wydawnictwa źródłowe dla twórczej produkcji historycznej.

Na podstawie powyższego, ogólnego zestawienia wyników pracy na polu średniowiecznej historji polskiej w ostatnich dwóch

[1]) *Kwart. Hist.* 1930.

latach można teraz wysunąć pewne postulaty i dezyderaty na przyszłość. Naprzód koniecznem wydaje się dokończenie rozpoczętych i podjęcie nowych wydawnictw źródłowych. Następnie należałoby zwiększyć produkcję naukową w zakresie historji kultury i Kościoła tudzież dziejów wewnętrznych Litwy.

W szczególności przydałoby się ujęcie dziejów zakonu krzyżackiego z punktu widzenia polskiego i katolickiego, dotychczas bowiem istnieje tylko poważne wprawdzie, ale dość przestarzałe opracowanie Voigta w duchu niemiecko-protestanckim. Studja nad urbanistyką trzeba pogłębić, rozszerzyć na zagadnienia ustrojowo-prawne (dotychczas tylko handel i cechy cieszą się względnem powodzeniem) i wogóle powinno się postawić naszą literaturę regjonalistyczną na wyższym poziomie naukowym. W szczególności byłyby pożądane głębsze badania nad historją Pomorza pod panowaniem krzyżackiem. Pomorze posiada już wprawdzie dość krótkie, zbiorowe opracowanie swych dziejów,[1]) wszelako poważne względy naukowe i państwowej racji stanu domagają się, aby ta kresowa kraina, najbardziej zagrożona przez rewizjonistyczną propagandę niemiecką, doczekała się również podobnie wszechstronnej, historycznej monografji, jaką w niedalekiej przyszłości będzie mógł pochlubić się Śląsk dzięki pomnikowemu wydawnictwu Pol. Akademji Umiejętności, którego pierwszy tom opuści prasę drukarską.

[1]) *Roczniki Histor.* t. III (1927).

Mieczysław Niwiński.

Przegląd piśmiennictwa.

Jan Kucharzewski: O d b i a ł e g o c a r a t u d o c z e r w o n e g o. Tom IV. Wyzwalanie ludów, str. 509. Tom V. Terroryści, str. 479. Warszawa. Wyd. Kasy im. Mianowskiego. 1931.

Z niesłabnącą energją ciągnie dalej p. Kucharzewski wspaniałe dzieło, które w tej chwili zbliża się już wyraźnie do końca. Jakkolwiek bowiem oba tomy, świeżo wydane nie przechodzą poza tragiczny zgon Aleksandra II., czuć, że Autor wprowadził już na scenę wszystkie czynniki potężnego dramatu, który immanentną swą siłą zmierza fatalnie do ostatecznej katastrofy. Ponowią się jeszcze daremne wysiłki reakcji pod Aleksandrem III, a potem poprzez słabe, rewolucją i wojną wstrząsane rządy Mikołaja II carska Rosja potoczy się szybko do wywróżonej przez Lermontowa ruiny.

Jeżeli tom III miał za przedmiot te niejasne pierwsze lata „Cara Oswobodziciela", w którym skłębił się na chwilę i zawahał prąd dziejów niosący Rosję do zguby, to z tomem IV a bardziej jeszcze z V wchodzimy w okres zdecydowanych kierunków: u góry zawzięta walka z każdym objawem czy pragnieniem swobody; u dołu podziemna praca wolnościowa, posuwająca się w swych metodach i dążeniach do najradykalniejszego terroru.

Zaczyna się rzecz od „fatalnej sprawy", t. j. od sprawy polskiej, która około czasu powstania styczniowego z jednej strony rozbudza reakcyjne żywioły Katkowych i Samarynych w literaturze, Murawjewów, Milutinów, Czerkaskich na kartach rzeczywistej historji, z drugiej strony dopomaga do wyodrębnienia polskich i rosyjskich rewolucyjnych dążeń. Potem wśród potęgującej się represji i formalnego szału nacjonalistycznych rojeń pada z ręki Karakozowa „pierwszy strzał", jako groźna zapowiedź zbliżającej się przyszłości. Potem znowu podnosi się zasłona od strony Zachodu, ukazując nam przy pracy „podpalania Europy" tak starego wichrzyciela, Bakunina, jak młodych „biesów", którzy na grunt krajowy przenoszą burzycielskie metody, zaczerpnięte w szkole „czerwonego Ahaswera" rewolucji, zstępującego powoli z widowni. A dalej, już w tomie V zaczyna się na

dobre robota w podziemnej Rosji. Przesuwają się przed naszemi oczyma całe szeregi stowarzyszeń i „działaczy", począwszy od tych, którzy w nadziei poruszenia mas, szli między lud składać ofiary „nieznajomemu bogu", skończywszy na tych, co stracili już wiarę we wszystko, prócz w doraźne działanie sztyletu i bomby. Od „szczytów monarchji" spadają w dół coraz to nowe akty gwałtu; rozpinają się coraz silniej złowrogie sieci III Wydziału; następują po sobie coraz głośniejsze procesy i egzekucje. Ale kiedy jeszcze „sprawa wschodnia" t. j. wojna turecka, zakończona niefortunnym traktatem berlińskim, ujawni całą słabość olbrzymiego imperjum i jego wnętrzną zgniliznę, już żadna siła nie wstrzyma wymiaru sprawiedliwości dziejowej: zdziesiątkowani zresztą przez rząd, terroryści, rzucą rękoma Hryniewieckiego tę bombę, od której zginie przy Jekaterynieńskim kanale syn Mikołaja I, osławiony „car reform włościańskich".

Rzecz zupełnie prosta, że ani to, zupełnie pobieżne, ani żadne podobne recenzyjne streszczenie nie może dać pojęcia o bogactwie treści nowych dwóch tomów dzieła p. Kucharzewskiego. Dość powiedzieć, że chociaż z jednej strony, ze względu na samą poczytność pracy, chciałoby się, żeby to wszystko nie było tak obszerne, to z drugiej strony nie chce się opuścić nietylko żadnej strony, ale nieomal żadnego przypisku, bo każdy szczegół tego ogromnego dramatu budzi najżywsze zainteresowanie, dochodzące nieraz do formalnego naprężenia. Z obfitych, ale bardzo skomplikowanych źródeł, które w wielkiej mierze ujawniła dopiero rewolucja, wydobywa pracowita ręka badacza całe mnóstwo, przeważnie świetnie scharakteryzowanych, postaci, czy to szermierzy o wolność, czy najróżniejszych sług caratu, począwszy od wysokich urzędników, do najpodlejszych prowokatorów i zdrajców, wydobywa coraz to nowe, poczęści nieznane lub źle znane epizody tego tak ważnego rozdziału dziejów, rozplątuje cierpliwie pogmatwane nici krzyżujących się zamiarów i działań, nawiązuje wątek wzajemnych wpływów nawet tam, gdzie luki dawniej dostępnych źródeł nie pozwalały odkryć przyczynowych związków. Praca p. Kucharzewskiego daje chyba pełny obraz prądów duchowych, które poruszały Rosją za Aleksandra II, a daje go, wedle głębokiego naszego przekonania w sposób zupełnie objektywny. Bo chociaż niewątpliwie kieruje swą pracę do udowodnienia tezy, którą tak wymownie nakreślił w tomie I (str. 142 i n.), nie widać żadnego, nietylko naginania, ale przemilczania faktów. Autor tylko umiejętnie, pracowicie zestawia; najczęściej pozwala mówić samym Rosjanom, ale z tego zestawienia rodzi się całość nosząca tak wybitne cechy rzeczywistości dziejowej, że żaden historyk nowożytnej Rosji nie będzie mógł tej książki pominąć a wątpliwe jest, żeby kto mógł w czem ważniejszem wyniki jej sprostować.

Jak dla nas, nasuwa się tylko jedno głębsze, do dziedziny historjozofji należące już pytanie. P. Kucharzewski oskarża o zbrodnię zguby rosyjskiego narodu przedewszystkiem carski despotyzm. Sądzi on, że Rosję upodlił, zniszczył, na nieuchronną zagładę skazał ten system rządów, który wypracowany oddawna znalazł najpełniejszy swój wyraz w Mikołaju I. I podoba sobie w tem, żeby wykazywać — wspaniale tę myśl rozwija w rozdziale „Tatarski Grakchus" — jak dalece burzycielski charakter miał rzekomy konserwatyzm rządowy i społeczny, jak despotyzm, przez swe lekceważenie godności ludzkiej stanowił formalną szkołę i gotowy przykład dla komunistycznej tyranji przyszłości. Ale nie przecząc bynajmniej, że carat przygotował rewolucję i przekazał jej w całym szeregu rysów swój własny obraz i podobieństwo, można zapytać, czy ostatni przynajmniej przedstawiciele tego caratu byli rzeczywiście i całkowicie odpowiedzialni, nie za poszczególne zbrodnie, ale za ogólny kierunek jego rządów. Innemi słowy: Czy charakter i dzieje caratu wraz z ich tragicznym epilogiem mogły wypaść dużo inaczej jak wypadły, jeśli bierze się w rachubę te czynniki, które złożyły się na urobienie rosyjskiej duszy i rosyjskiego świata? Nam się wydaje, że wtedy już zaplotły się zasadniczo w jeden deseń nici składające się na wątek tych dziejów, kiedy zdala od ognisk prawdziwej kultury, na bezmiernych przestrzeniach Wschodu, zaszczepiały się na miękkiej słowiańskiej duszy waregskie i tatarskie wpływy, a przedewszystkiem wtedy, kiedy ta dziwna mieszanina narodowa otrzymywała chrześcijaństwo w tej spaczonej formie, pełnej fałszu, jaką wytworzyła u siebie schizma grecka. Mamy wrażenie, że gdyby był wziął Wschód za przedmiot swych rozważań, wielki autor *Discours sur l'histoire universelle*, tutaj znalazłby punkt wyjścia i wskazałby prawie na wszystko, co przyszło potem, jako na logiczny rozwój pierwszych założeń. I w tem znaczeniu „świeca Iwana Kality", o której tak ładnie pisał P. Kucharzewski w pierwszym tomie, stałaby się jeszcze wyraźniej symbolem i wróżbą.

Ale jakkolwiek możnaby się zapatrywać na ten wielki problem, wskazując główne korzenie i caratu i rewolucji w oderwaniu od Rzymu, jedno jest faktem, że p. Kucharzewski w całem swem wielkiem dziele a zwłaszcza w dwóch najświeższych tomach namalował prawdziwe oblicze Rosji i do samej głębi zanalizował jej ducha. Przez to zaś położył ogromne zasługi nietylko w dziedzinie spekulatywnej wiedzy. Książka jego jest potężnem memento, że można wprawdzie i trzeba nad uchrześcijanieniem i kulturalnem podźwignięciem Rosji pracować, że należy bezwątpienia myśleć o naszem w tej mierze dziejowem posłannictwie, ale że wszelka polityka, która pragnie Polskę o Rosję oprzeć i jej siłami duchowemi wspomagać, stoi w zasadniczej sprzeczności z najgłębszą myślą przewodnią naszej historji. A to

przypomnienie cenne jest zwłaszcza wtedy, gdy podejmują się nowe a niefortunne próby rehabilitacji tak Rosji, jak orjentacji rosyjskiej w odradzającej się Polsce.

Ks. Jan Rostworowski.

Marjan Tyrowicz: Jan Tyssowski dyktator krakowski r. 1846. Działalność polityczna i społeczna 1811 – 1857. Warszawa 1930, str. IV+247 i 9 rycin.

Fakt odzyskania niepodległości państwowej przez naród polski zmienił znacznie zapatrywania i pogląd uczonych i historyków na działalność niepodległościową pokoleń, żyjących w niewoli. Do podziwu dla ich bohaterstwa i męczeństwa, do czci należnej ich czynom, wynikającym z reguły z najszlachetniejszych pobudek dodano ostry i bezwzględny skalpel historyczny, odcinający to wszystko, co potrzebnem było w czasach niewoli ku pokrzepieniu serc, umęczonych współbraci-rodaków. To zamienienie patrjotycznego uczucia na dążenie do trzeźwej oceny stosunków, czynów i dążeń wyszło na korzyść prawdzie i nauce, — otrząsnęło niedomówienia, okazało błędy nie ku potępieniu błądzących, lecz ku nauce potomnych służące. Równocześnie otwarły się zamknięte dawniej bramy tajnych i sekretnych archiwów, więżące w swych murach tajemnice martyrologji polskich bojowników o wolność, — wykazujące otwarcie gwałt, przemoc i perfidję zaborcy, skrywaną dotąd zgrabnie pod płaszczykiem wzajemnego, oficjalnego lojalizmu. O tem pamiętać trzeba, przystępując do oceny monografji p. Marjana Tyrowicza.

Jan Tyssowski, dziewięciodniowy dyktator Krakowa, to postać nadzwyczaj ciekawa tak jako jednostka, jak i jako główna osoba nieudanego powstania 1846 roku, zakończonego tragicznie dla Polaków zaboru austrjackiego. Autor przystąpił do pracy z pełnym nakładem sił, energji i pracowitości, starając się wniknąć w atmosferę i ducha ówczesnych stosunków i skreślić na tem tle postać żywego człowieka, tak żywego, by czytelnik odczuł — niejako bezpośrednio — psychikę nieszczęśliwego dyktatora. Praca — oparta na gruntownem przygotowaniu archiwalnem, materjałów dotąd, jako „ganz geheim", niedostępnych badaczom, — daje gwarancję, przy wnikliwej i sumiennej metodzie autora, trwałych wyników. Omówiwszy źródła i skąpą dotąd literaturę dziejów 1846 r. (rozdział I), kreśli autor postać Tyssowskiego, działacza rewolucji i zwolennika reform społecznych, w latach 1831—1845 (rozdział II). Na wezwanie Mierosławskiego staje Tyssowski w Krakowie. Wciągnięty do rządu rewolucyjnego, przeżywa pięciodniową okupację wojsk austrjackich, by opanowawszy sytuację stanąć na czele narodu, jako jego dyktator. Dziewięciodniowa dyktatura przedstawiona jest przez autora z nadzwyczajną drobiazgowością (rozdział IV). Niemniej dokładnie

i barwnie kreśli autor dalsze losy Tyssowskiego, jego ucieczkę, uwięzienie, proces, a wreszcie ostatnie chwile życia, spędzone na wolnej ziemi Stanów Zjednoczonych. W rozdziale ostatnim stara się autor dać pogląd na charakter wypadków 1846 roku i rozwiązać szereg pytań, natury raczej historjozoficznej. Wykaz źródeł literatury i indeks osobowo-geograficzny są koniecznem uzupełnieniem książki, ozdobą jej pod względem zewnętrznym jest dziewięć rycin, przeważnie współczesnych sztychów, przechowanych głównie w lwowskich zbiorach archiwalnych. Książka p. Tyrowicza wzbogaciła naszą literaturę biograficzno-monograficzną o cenną pozycję, którą ze względu na jej walory treściowe, lekkość i barwność stylu czytać będą nietylko fachowi historycy.

Dr. M. Pelczar.

Ks. prof. Paweł Siwek T. J.: Konnersreuth w świetle nauki i religji. Str. 276 in 80. Wydawnictwo Księży Jezuitów. 1931. Cena egz. brosz. 4·—zł.

Problem interesujący od lat kilku cały świat katolicki znalazł w tej książce bardzo gruntowne oświetlenie. Przygotowany do należytego zrozumienia tej sprawy przez cały kierunek długich swych studjów psychologicznych i przez osobiste badania, podejmowane dwukrotnie na miejscu, Ks. Siwek przystępuje do analizy zjawisk pojawiających się u słynnej stygmatyczki, z zupełną bezstronnością. Zarówno wolny od tego przesadnego kultu dla Teresy Neumann, któremu tylu innych bezkrytycznie ulega, jak od upartego sceptycyzmu, odrzucającego zgóry wszelkie argumenty na rzeczywistość faktów nadprzyrodzonych, przedstawia on najpierw krótką lecz dokładną historję wszystkich niezwykłych zdarzeń, których Konnersreuth jest widownią, a potem jeden fakt po drugim poddaje sumiennemu badaniu. A w badaniu tem postępuje bardzo metodycznie i ostrożnie. Jak długo charakter nadprzyrodzony zjawiska nie dochodzi do zupełnej oczywistości, tak długo zawiesza sąd i poprzestaje na prostem: *non constat*. Nie przeczy, nie odrzuca zgóry specjalnej interwencji Bożej, ale opierając się na przeróżnych przykładach z dziejów psychologicznych doświadczeń, bądź to wskazuje możliwość naturalnego wyjaśnienia, bądź przynajmniej odsłania słabe punkty teorji tych, co patrzą na Konnersreuth jako na krainę oczywistych cudów. Że takim bezwzględnym admiratorom Teresy Neumann praca Ks. Siwka podobać się nie będzie, to łatwo pojąć. Za wyjątkiem bowiem jednego faktu, życia bez przyjmowania pokarmu, uważa on i wizje i stygmaty i wszystkie inne, rzekomo nadprzyrodzone objawy, za możliwe do wytłumaczenia na przyrodzonej psychologicznej drodze. Nie posądza stygmatyczki o żadne udawanie, owszem odnośne hipotezy z całą stanowczością odrzuca, ale nie sądzi, żeby te fakta, o ile są z całą pewnością stwierdzone, wymagały koniecz-

nie tego wkroczenia wszechmocy Stwórcy, które jest właściwą cechą cudu. Może tak, ale może i nie: zanim będzie można wydać ostateczny sąd, trzeba jeszcze dużo przestudjować a przedewszystkiem około Teresy Neumann wytworzyć atmosferę i warunki poważnym badaniom sprzyjające. — Książkę Ks. Siwka przeczyta każdy z prawdziwym pożytkiem. Wskazuje ona bowiem właściwą drogę do oceny nietylko tego problemu, którym *ex professo* się zajmuje, ale różnych podobnych zagadnień z pogranicza przyrodzonego i nadprzyrodzonego porządku. Co zaś dla niejednego będzie niespodzianką, to to, że poglądy wielkich mistyków i mistrzów duchownego życia, których Ks. Siwek dość obficie cytuje, niezbyt daleko odbiegają od zapatrywań przedstawicieli współczesnej psychologicznej wiedzy. To też należy pragnąć, by mnożyły się w tej dziedzinie tego rodzaju, ściśle metodyczne studja, bo one mogą tylko dopomóc zarówno postępowi nauki, jak głębszemu pojmowaniu wiary.

Ks. Jan Rostworowski.

Adam Bochnak: Ze studjów nad rzeźbą lwowską w epoce Rokoka. Kraków 1931. Nakład. Polskiej Akademji Um. str. 184.

Zwiedzającego kościoły lwowskie musi uderzyć wielkie bogactwo i obfitość rzeźb, zwłaszcza w kościołach Dominikanów, św. Marcina, Matki B. Śnieżnej, Marji Magdaleny, św. Antoniego i cerkwi św. Jura. Jeszcze przed wojną J. Bołoz-Antoniewicz zwrócił uwagę na pewne wspólne podobieństwo rzeźb z wymienionych kościołów, Ks. Żyła zaś w pracy: *Kościół i klasztor Dominikanów w Lwowie*, poszedł dalej i próbował stawiać pewne przypuszczenia co do autorstwa tych rzeźb, wyczerpująco jednak dopiero p. Bochnak zajął się niemi w pracy wydanej przed wakacjami przez Akademję Umiejętności. Autor przedewszystkiem rozszerzył znacznie zakres materjału, objętego swojem studjum, i związał z rzeźbą lwowską cały szereg zabytków zarówno z najbliższych okolic Lwowa (Nawarja i Hodowice), jak i z dalszych (kościół Franciszkanów i cerkiew w Przemyślu, kościół Dominikanów w Tarnopolu, ratusz i kościół parafjalny w Buczaczu i w Dukli). Przeprowadziwszy analizę stylistyczną i estetyczną wszystkich rzeźb, podkreśla silnie wzajemne podobieństwa i na podstawie tych podobieństw skłonnym jest związać je, jeśli nie wszystkie, to przynajmniej ich większość z jednym artystą lub z jednym warsztatem. W oznaczeniu nazwiska artysty natrafia na wielkie trudności, z powodu braku źródeł archiwalnych i z powodu pewnych sprzeczności w relacjach tych źródeł, które autorowi były znane i dostępne. Dlatego ostateczne wnioski wysnuwa w formie hipotez i uważa je za pierwsze stadjum badań nad rzeźbą lwowską, badań mających wywołać dyskusje i pobudzić dalsze studja. Właśnie w tem umiejętnem i inteligentnem, w ściśle

naukowej, a przecież i niespecjalistom zrozumiałej formie podanem narzuceniu czy postawieniu nowych zagadnień z zakresu polskiej sztuki kościelnej leży wielka wartość i znaczenie pracy p. Bochnaka.

Ks. St. Bednarski.

Wierchy. Rocznik poświęcony górom i góralszczyźnie. Rok ósmy. Kraków 1930, str. VIII+248+LXXVIII i 6 tablic.

„Polskie Towarzystwo Tatrzańskie", tak zasłużone dla rozwoju ruchu turystycznego w Polsce, szerzyło od początku swego istnienia propagandę miłośnictwa gór, nietylko przez racjonalne popieranie turystyki, lecz również przez informowanie szerokiego ogółu polskiej inteligencji o znaczeniu, przyrodzie, historji, geografji najbardziej uroczego zakątka ziem polskich — Tatr. Temu celowi służył „Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego", który — wychodząc jako rocznik przez lata 1876 do 1920 stał się przepięknym i wartościowym zbiorem materjałów i prac do dziejów tatrzańskiego regjonalizmu. W zmienionych warunkach, wytworzonych powstaniem niepodległego Państwa Polskiego — zmieniła się nieco rola „Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego". Stanęły obok niego inne związki turystyczne i krajoznawcze, otworzyły się nowe problemy turystyki na całym obszarze ziem polskich. Tatry jednak zachowały naczelne i pierwsze miejsce, — a „Polskie Tow. Tatrzańskie" stanęło na czele ogólno-polskiego ruchu turystycznego i wycieczkowego. Kiedy od r. 1920 przestał ukazywać się „Pamiętnik Tow. Tatrz.", liczne rzesze miłośników gór uczuły brak, któremu trzeba było jak najrychlej zapobiec kontynuacją godną zasłużonego rocznika. Energiczny Oddział Lwowski P. T. T. przystąpił wtedy do wydania w r. 1923 pierwszego rocznika „Wierchów". Po trzyletniej przerwie ukazało się więc nowe periodicum dla miłośników gór i góralszczyzny. W trudnych warunkach finansowych wydał Oddział Lwowski trzy dalsze tomy, aż wreszcie z tomem V w 1927 roku wydawnictwo „Wierchów" przejęło na siebie Polskie Towarzystwo Tatrzańskie (Zarząd Główny), tworząc w ten sposób swój urzędowy organ.

Ostatnio ukazał się tom VIII rocznika pod redakcją prof. dr. Jana Gwalberta Pawlikowskiego, prof. dr. Walerego Goetla. Rocznik ten, poświęcony — w dziesiątą rocznicę działalności plebiscytowej — Spiszowi i Orawie, zawiera na naczelnem miejscu „garść wspomnień i materjałów z lat 1919—1920" p. t. „O Spisz, Orawę i Czadeckie", skreślonych piórem prof. Władysława Semkowicza, jednego z niezmordowanych pracowników akcji przyłączenia tych polskich, pogranicznych ziem do swej, prawowitej macierzy. Znaczenie zagadnienia spisko-orawskiego omawia prof. W. Goetel, w szkicu: „Dziesięciolecie przyłączenia i zagadnienie przyszłości Spisza i Orawy". Językoznawców zainteresuje gwarowe, góralskie opowiadanie „Jako se Morcinek

Tadzidców z Krzysiowym Symkiem o starzeckik ludziak i dawnych casak ukwalowali", które „spisał" Wojciech Brzega. Problemy turystyki wysokogórskiej porusza jeden z pierwszych i najgłośniejszych, polskich taterników gen. Marjusz Zaruski, dochodząc do sformułowania poglądu „O istocie alpinizmu" — poglądu, wykluczającego wszelki wyczyn sportowy z taternictwa, a czyniący je wewnętrzną potrzebą człowieka, opartą na psychicznych i fizycznych pierwiastkach. Z dalszych prac wymienić należy dwie rozprawy naukowe, — są to geologiczna praca prof. Stefana Kreutza „O tatrzańskim trzonie krystalicznym", oraz Zofji Hołub-Pacewiczowej „Z badań nad pasterstwem karpackiem i alpejskiem". Dziedziny opowiadań dotyczą szkice „Z wrażeń alpejskich" Marji Sandoz i „Wycieczka — jak się o niej nie pisze" pióra Ferdynanda Goetla. Na podkreślenie zasługuje apel prof. Walerego Goetla „Do Braci Turystów w Czechosłowacji" — apel, wzywający do szanowania majestatu, nienaruszalności i piękna Tatr po stronie czechosłowackiej, — tak bardzo na czasie, wobec lekkomyślnego „uprzystępniania" gór przez betonowe drogi, linowe kolejki i hotele, jakie projektują nasi południowi sąsiedzi w Tatrach. Bogata „Kronika" porusza niemal wszystkie problemy, związane z górami, Podhalem i ochroną przyrody. Na specjalną uwagę zasługuje wydanie po raz pierwszy z oryginału aktu zastawu XVI miast spiskich Polsce w r. 1412 przez prof. Władysława Semkowicza. Przedruk dokumentu uzupełniony jest tłumaczeniem na język polski i zaopatrzony fotograficzną reprodukcją dyplomu na osobnej tablicy.

Rocznik uzupełnia obszerne, bo 78 str. liczące, sprawozdanie z działalności P. T. T. za rok ostatni, tak Zarządu Głównego, jak jego sekcyj i oddziałów, łącznie z wiadomościami o innych słowiańskich towarzystwach turystycznych. Tak rozmaitość treści, jak i wysoki poziom naukowy artykułów i szkiców stawiają nowy rocznik „Wierchów" wśród pierwszorzędnych pozycji naszej górskiej i turystycznej literatury.

Dr. Marjan Pelczar.

Martin Hürlimann: Die Schweiz. Landschaft und Baukunst. Orbis Terrarum, Atlantis-Verlag. Berlin, str. tekstu LIV i 288 tablic rotograwiurowych.

Każdy nowy tom wydawnictwa *Orbis Terrarum* przyjmuje się i otwiera z wielkiem zainteresowaniem dla znanych, nieprzeciętnych graficznych i estetycznych zalet tej publikacji, a zainteresowanie wzrasta, zwłaszcza wtedy, gdy karta tytułowa oznajmia, że twórcą tomu jest mistrz fotografji artystycznej M. Hürlimann, który umie wyczarowywać kompozycje wprost przepiękne i niezrównane. Szwajcarja, kraina gór, jezior i starych miast związkowych, dała fotografowi-artyście pierszorzędne pole do popisu.

Może niejeden alpinista czy taternik, po przeglądnięciu tomu, doznał lekkiego zawodu, że zamało gór, zamało zwłaszcza dzikich romantycznych turni, urwistych, nachylonych przepaści. Ale ten zarzut można i trzeba nawet, patrząc na sprawę z szerszego punktu widzenia, uznać za zaletę. Autor nie chciał być jednostronnym, pokazał nam całą Szwajcarję, a więc nie tylko Szwajcarję gór, ale i Szwajcarję miast i miasteczek rozrzuconych po dolinach, Szwajcarję starych zamków, poprzyczepianych na zboczach gór; niema tylko — na szczęście — Szwajcarji międzynarodowych snobów, próżniaków i łazików, z których wprawdzie kraj ten żyje i jest przez nich bogatym, co jednak wcale nie zmienia tej smutnej rzeczywistości, że przez nich też Szwajcarja dużo straciła z dawnego uroku, została zbyt ucywilizowaną i ... zaśmieconą.

S. B.

Bogdan Nawroczyński: Uczeń i klasa. Zagadnienia pedagogiczne związane z nauczaniem i organizowaniem klasy szkolnej. Lwów — Warszawa 1931, Książnica-Atlas. Str. 392.

W ostatnich miesiącach pojawiła się na półkach księgarskich książka p. t. *Uczeń i klasa*, która jasno i otwarcie wysunęła najbardziej palące zagadnienie pedagogji nowoczesnej: skierowania właściwych zdolności ludzkich na właściwe tory. Rzuciwszy okiem wstecz na rozwój pedagogiki oraz jej nauk pomocniczych, autor przedstawił bezstronnie i zanalizował dwa prądy nurtujące umysły ludzkie: indywidualistyczny i socjalny. Jak pogodzić te dwa kierunki, jak je sharmonizować, odpowiedź na te pytania jest treścią książki Nawroczyńskiego.

Szkoła obok nauczania i wychowania poszczególnych jednostek musi rozwiązać drugie jeszcze niezmiernie doniosłe a z poprzedniemi ściśle złączone zagadnienie społecznego życia szkoły i klasy. Praktyczne rozwiązanie tych zagadnień musi być skoordynowane i sharmonizowane, lecz właśnie ta koordynacja przedstawia największe, wprost ogromne trudności.

Klasa stanowi społeczną grupę, której rozbijać nie można, a właśnie jako grupa i masa przy dawniejszym i obecnym systemie nauczania niweluje różnice indywidualne poszczególnych osobników. Masa zawsze działa niwelująco i obniżająco, ten fakt trzeba przyjąć jako niezbity pewnik. Ta niwelacja nie jest pozbawiona pewnych wartości, przytępiając różnice indywidualne uspołecznia klasę, pośrednio całe społeczeństwo.

Z drugiej jednak strony, tak poszczególnym jednostkom jak i pośrednio całemu społeczeństwu przynosi wielkie szkody przez nadmierną niwelację czyli obniżenie. Przy masowem nauczaniu i wychowaniu jednostki wybitnie zdolne nie mogą się należycie

rozwinąć, jednostki słabsze z powodu braku potrzebnej im opieki nie mogą osiągnąć tego stopnia, któryby mogły zdobyć, gdyby im poświęcono więcej troski. Dlatego hasłem współczesnej szkoły staje się indywidualizowanie zbiorowego nauczania i uwzględnianie potrzeb jednostek wybitnie, mniej i słabo zdolnych. System daltoński naprz. poszedł za daleko, posunąwszy indywidualizację do skrajności, rozbił przez to społeczność — klasę. Zaczęto myśleć o znalezieniu sposobów, aby przy masowem zindywidualizowaniu nauczania, nie rozbić klasy, jako społeczności.

Autor przedstawia wszystkie dotychczasowe próby rozwiązania tego zagadnienia, między innemi mówi o ciekawem doświadczeniu dokonanem w Batawji (Stany Zjednoczone, stąd system batawski, polegającem na tem, że do klasy, obok nauczyciela(ki) zajmującego(ej) się masowem nauczaniem wprowadzono drugą siłę, której szczególnej trosce została powierzona część dzieci słabszych. Metodą tą osiągnięto wyniki bardzo dodatnie; praca drugiej siły wyrównała braki słabszych i podniosła ogólny poziom klasy. Podobne metody oparte na doborze pedagogicznym wprowadziły Niemcy, Francja, Belgja.

Autor omawianej książki idzie po tej samej linji, odrzuca z jednej strony system skrajnie indywidualistyczny, z drugiej broni, przyznać trzeba bardzo szczęśliwie i wymownie, zasady doboru pedagogicznego, proponując przyjęcie przez siebie zbudowanej organizacji szkoły polskiej.

Istnieje już zróżnicowanie polskiej szkoły średniej wedle typów, stosowane dotąd w większości przypadków zupełnie przypadkowo i dowolnie. Nawroczyński, chce je oprzeć na prawdziwym doborze pedagogicznym, a równocześnie rozszerzyć i na szkołę powszechną. Rozróżniając dzieci normalnie uzdolnione normalne słabo uzdolnione i całkowicie anormalne (niedorozwinięte), dla każdej grupy przewiduje osobne klasy i programy, aby na wyższych stopniach nauczania wśród normalnie uzdolnionych wyodrębnić jeszcze wybitniej zdolnych od średniaków.

Zdaje sobie oczywiście autor sprawę, że tak zorganizowane szkolnictwo jest ideałem niełatwo osiągalnym, ideałem od którego przez dzisiejszy kryzys ekonomiczny i system redukcyj i cofania oddaliliśmy się bardzo, mimo to przez swoje głęboko przemyślane a ogromnym szacunkiem dla indywidualnej umysłowości ludzkiej natchnione studjum pragnie wywołać dyskusję, podając teoretyczną podstawę przyszłej organizacji szkoły.

Przy całym idealiźmie swojej tezy wykazuje trzeźwy sąd odrzucając zarówno skrajnie indywidualistyczny, a przez to i arystokratyczny system daltoński, jak egalitarystyczny system szkoły jednolitej przez socjalizm i komunizm popierany.

M. Piasecka.

Eberhard Strauss: Wolf Hagenreuter. Eine fröhliche Lausbubengeschichte. Mit Bildern. Freiburg im Breisgau 1931. Str. VI+182 (brosz. 2 Mk, opr. 3 Mk).
Karlchen Zack: Wir unter uns... Ein Jungenbuch. Mit Bildern. Tamże. Str. VI+140 (brosz. 2 Mk, opr. 3 Mk).
Georg Lutz: Ruf um Mitternacht. Die Schicksale Joannes des Findlings. Tamże. Str. VI+230 (br. 2·80 Mk, opr. 4·20 Mk).

Pierwsze dwie z wymienionych powyżej książek, których autorani są E. Strauss, doświadczony kierownik młodzieży i K. Zack, sam jeszcze młodzieniec, stanowią 3 i 4 tom zbiorowego wydawnictwa, zapoczątkowanego niedawno przez Herdera dla młodzieży męskiej. Pełne humoru i życia starają się oddać wiernie dusze młodzieńcze, w całej ich naturalności i żywiołowym rozmachu, a przytem moralnie zdrowe.

Dla szerszych sfer, zarówno młodzieży jak dorosłych, przeznaczona jest książka G. Lutz'a. Autor cofa się do początków XVI wieku i na tle tego okresu przełomowego, wśród pełni przygód, kreśli piękny i zachęcający do naśladowania przykład ducha społecznego, bezinteresownego poświęcenia i miłości bliźniego.

S.

Instrukcja dla Opiekunów Społecznych. Nakł. Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Warszawa 1931. Str. 54.

W celu należytego wykonania przepisów o Opiece społecznej i wciągnięcia do czynnej pracy szerszych sfer społeczeństwa, wprowadzono u nas Rozporządzeniem Prezydenta Rzpltej z dnia 6 marca 1928 r. instytucję „opiekunów społecznych". Wybrani z pośród obywateli danej gminy mają czuwać, żeby pomoc dostawała się osobom rzeczywiście jej potrzebującym, oraz porozumiewać się w tych sprawach z zarządem gminy, za pośrednictwem specjalnych Komisyj opieki społecznej. Z tego charakteru pracy wynika naturalnie możliwość różnorodnego ukształtowania jej w praktyce. Żeby jednak utrzymać pewną jednolitość i zarazem udzielić bliższych wyjaśnień, wydało świeżo Ministerstwo Pr. i Op. Społ. dla użytku opiekunów społecznych wymienioną powyżej „Instrukcję", w której obok przepisów zawartych w ustawie, uwzględniło spostrzeżenia własne oraz uwagi, zgłoszone przez urzędy wojewódzkie i organizacje samorządowe. Przepisy tu zamieszczone, ogólne i szczegółowe, nie wykluczają oczywiście pewnych modyfikacyj w praktyce, wymaganych przez warunki miejcowe.

S. Podoleński.

John Galsworthy: Saga rodu Forsytów, 3 tomy, tł. Cetnerszwerowa. Rychliński, Birkenmajer. Biała małpa, tłum. Zofja Lasocka, Srebrna łyżka, tł. Tadeusz Jakóbowiec. Łabędzi śpiew tł. Wanda Kragen. Wyd. „Rój", Najl. dzieła XX wieku.

Powieści angielskie odznaczają się naogół wielką wyrazistością konturów i wielką plastycznością tła, na którem się roz-

grywają. Nic w nich niema z tak częstej w powieściach skandynawskich mglistości i nieokreśloności, z tej niepewności w jakiej często pozostaje czytelnik czy ma do czynienia z chłopem czy z inteligentem, nic z przesadnego nieraz erotyzmu powieści francuskich, w których ma się wrażenie, że zawikłania erotyczne i zdrady małżeńskie są jedynym fachem i zajęciem opisywanych ludzi. Trzeźwi synowie Albionu wiedzą, że oprócz miłości zajmują ludzi kwestje polityczne i ekonomiczne, że dla każdego człowieka ważną jest rzeczą jego sytuacja majątkowa, dom, mieszkanie, rodzina, sposób życia, rozrywki, sporty, przyjemności. To też w powieściach angielskich zawsze wiemy dokładnie z kim mamy do czynienia. Wiemy do jakiej klasy społecznej należy bohater powieści i przedewszystkiem wiemy zawsze z całą ścisłością, ile i z jakich źródeł ma rocznego dochodu i w jakiej ramie zewnętrznej odgrywają się jego perypetje duchowe i miłosne.

Ten dar plastyki, trzeźwości i jasności wizji życia posunął Galsworthy w swojej epopei (Saga rodu Forsytów, 3 tomy, Biała małpa, Srebrna łyżka i Łabędzi śpiew) wprost do doskonałości. Przeczytanie sześciu tomów jego powieści równa się podróży do Anglji i gdyby Wielka Brytanja w jakimś katakliźmie zapadła się w morze to tylko z tego dzieła moglibyśmy odtworzyć sobie jej wygląd, krajobraz i całe życie ostatnich lat 70, napewno dokładniej niż z ruin Pompei odtwarzamy sobie życie starożytne. Bo z „Forsytów" wiemy wszystko: wiemy jak wygląda angielska wieś i Londyn, wiemy jak Anglicy mieszkają, co jadają, jak się ubierają, jak się bawią, jak dbają o zdrowie i higjenę, jak wychowują dzieci, jakie są ich zapatrywania polityczne i społeczne, jakie mają majątki, jak swoje pieniądze lokują, jak piszą testamenty, jak się kłócą, jak załatwiają sprawy honorowe, jaka jest struktura społeczna ich narodu, jakie koterje i zwyczaje towarzyskie, jak wygląda kwestja ekonomiczna, jak bezrobocie. Wiemy wszystko o ich zamiłowaniach, zwyczajach, uprzedzeniach, narodowej dumie. Wiemy, jakie lubią kwiaty i jakie prądy polityczne nurtują ich społeczeństwo; widzimy całą przemianę i ewolucję angielskich ludzi, zwyczajów i zapatrywań od roku 1886 do czasów wielkiego strajku z roku 1927.

A te niezliczone kwestje są poruszone w dziele Galsworthyego nie w jakichś specjalnych opisach czy wyjaśnieniach; dowiadujemy się o nich z toku powieści, z życia bohaterów tak naturalnie, jak wiemy wszystkie rzeczy w naszem własnem życiu, choć ich specjalnie nie studjujemy.

I śmiało można twierdzić, że od czasów Tołstojewskiej „Wojny i Pokoju" nie było w literaturze europejskiej dzieła o tak szerokim i bogatym przekroju życia, nie było obrazu epoki i kraju tak kompletnego, tak ujmującego człowieka we wszystkich jego zainteresowaniach, zamysłach i sprawach, w całym splocie ota-

czających go warunków życia, jak to otrzymujemy w powieści Galsworthyego.

A książka ta przy całem swojem bogactwie, skomplikowaniu, barwności i wielostronności jest jednak w swej konstrukcji zewnętrznej (tak jak prawie wszystkie arcydzieła) niezmiernie prosta i jasna. Historja jednej rodziny Forsytów, a właściwie historja jednego jej członka Soamsa. Fascynująca, przekonywująca fabuła toczy się z prostą nieubłaganą logiką życia, tłum zapełniający 6 tomów tej powieści jest tak zróżniczkowany, tak żywy, tak prawdziwy, że nie wydaje się być tłumem, tak jak nie wydaje nam się być tłumem tych kilkadziesiąt czy nawet kilkaset osób, o które się w życiu naszem ocieramy.

Postacie epopei Galsworthyego wchodzą w nasze życie z taką siłą, są tak rzeczywiste, że musi nas ogarnąć podziw dla twórczej potęgi człowieka, który potrafił w książce stworzyć życie tak realne, że czasami od życia prawdziwego odróżnić go nie możemy. Aby taki wynik osiągnąć, trzeba mieć dar i talent pisarski Galsworthyego, bogatą instrumentację jego środków. I rzeczywiście Galsworthy w swojem wiekopomnem dziele ukazuje się nam jako cudowny poeta liryczny, w takiej naprz. śmierci starego Joljona lub w opisach angielskiej wsi w części ostatniej, jako satyryk i myśliciel w oddaniu całego życia politycznego, jako humorysta w wielu bardzo komicznych epizodach powieści, jako subtelny psycholog a przedewszystkiem jako niezrównany obserwator, który potrafił zobaczyć życie w wielkich jego linjach ogólnych i w drobnych charakterystycznych szczegółach, a zobaczywszy wszystkie jego elementa potrafił stworzyć z nich książkę tak piękną, barwną i wzruszającą jak samo życie.

Jeżeli zkolei przejdziemy do omówienia wartości etycznych i moralnych tej znakomitej powieści, to sąd nasz musi wypaść mniej entuzjastycznie. Nie żeby dzieło Galsworthyego było złe, czy szkodliwe; przeciwnie, pod względem obyczajowym jest bardzo porządne, pozbawione wszelkich scen czy opisów drastycznych, oparte na zasadach zdrowej moralności przyrodzonej, nawet jeśli chodzi naprz. o kwestję pojedynków, to może być pouczeniem jak społeczeństwo tak kulturalne, jak angielskie, wyzbyło się zupełnie tego barbarzyńskiego zwyczaju — ale jednak jest w niem pewien bardzo uderzający brak jakiegoś wyższego, bardziej nadprzyrodzonego światopoglądu. Jest to, jeśli się wolno tak wyrazić, najbardziej „doczesna" książka, jaką czytałam. W tym pełnym obrazie ludzkiego życia, ludzkich zainteresowań, walk, trudności i zmagań niema miejsca na kwestję religijną, a jeśli jest przelotnie wspomniana, to tylko na to, aby stwierdzić najzupełniej materjalistyczny światopogląd bohaterów, jako rzecz samą przez się zrozumiałą. Nigdzie żadnej najmniejszej perspektywy poza doczesność. Życie wszystkich Forsytów ma cel samo w sobie, kończy się definitywnie i bezapelacyjnie z chwilą śmierci

i poza śmierć nikt nawet myślą nie wychodzi. To też tych kilka po mistrzowsku zresztą w powieści opisanych śmierci, mają w sobie coś nad miarę tragicznego. Są zapadnięciem się w nicość tych ludzi, których jedynym celem było zrobienie majątku, zabezpieczenie rodziny, użycie życia.

Ten brak elementu wiecznego w epopei Galsworthyego sprawia, że jakkolwiek jest ona arcydziełem, nie osiąga jednak tej wyżyny, na jaką wzbiła się naprz. epopeja Sygrydy Undset „Krystyna córka Lawransa". Ta ostatnia pozostanie na zawsze historją zawsze tej samej niezmiennej duszy ludzkiej w jej wiecznych i niezmiennych konfliktach, książką obejmującą sprawy człowieka doczesne i wieczne w ich tak często tragicznem zazębieniu i konflikcie. „Saga rodu Forsytów" zaś, będzie zawsze tylko genjalnem obrazem życia Anglji w ostatnich latach 70. „Krystyna" pozostanie po wszystkie czasy dokumentem duszy ludzkiej — „Forsyty" dokumentem jednego kraju i jednej epoki.

Polskie tłumaczenie, choć nie rażące, pozostawia jednak wiele do życzenia, przedewszystkiem zaś ponieważ każdy z sześciu tomów jest tłumaczony przez kogo innego, trudno mówić o jakiejkolwiek jednolitości stylu i o jakimkolwiek świadomym siebie wysiłku artystycznym do odtworzenia po polsku w formie możliwie dobrej angielskiego arcydzieła.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Józef Roth: H i o b, tł. Józef Witlin, wyd. „Rój".

Omawiając książkę Rotha „Hiob", należy zacząć od tego, na czem się zwykle recenzję kończy, a mianowicie od zwrócenia uwagi na przepiękne tłumaczenie Józefa Witlina. Jest ono tak wyjątkowo dobre, że czytelnik, zanim oceni jeszcze wartość samej książki, jest już oczarowany ślicznym, bogatym i prostym językiem tego tłumaczenia. Witlin zrobił to, co prawdziwy tłumacz robićby zawsze powinien. Stworzył doskonałą polską formę dla dzieła niemieckiego autora. Prawdziwie artystyczne tłumaczenia są u nas taką rzadkością, że zasługę Witlina trzeba specjalnie podnieść.

A tłumaczowi należy się tem większa wdzięczność, że przełożył doskonale książkę prawdziwie piękną, książkę pełną poezji i wdzięku, książkę o jakimś specyficznym uroku.

Historja o małym półgłupim, chorym żydku Menuchimie, który zczasem staje się wielkim artystą, o starym prawowiernym żydzie Mendlu Singerze, który jak prawdziwy Hiob spada na dno nędzy i opuszczenia, a potem odnajduje szczęście, sławę i dobrobyt, nie jest może bardzo prawdopodobna (chyba że może jest prawdziwa?) Ale cóż to właściwie szkodzi? W opowiadaniu Rotha, oddającem z całą prawdą życie żydowskiego ghetta, tak łączy się realizm opisów i prawda szczegółów, z jakiemś dziwnem

mistycznem tchnieniem cudu, że wierzymy we wszystko. Bo historja ta odbywająca się w żydowskiej mieścinie Zuchnowie, a potem wśród żydowskiej emigracji w Ameryce, to właściwie historja łaski i cudu, okazanego przez wielkiego Jehowę swemu pokornemu i ufającemu słudze Mendlowi.

Jakaś wielka powaga starozakonna wieje z kart tej religijnej książki, mówię religijnej, bo choć oczywiście religijność jej nie jest katolicka, jest jednak poważna i wzniosła i nic przeciwnego pojęciom katolickim nie zawiera. Religja ta opiera się na pełnym ufności i pokory stosunku człowieka do Boga, Stworzyciela i Pana, i choć autor uwzględnia w swoich opisach wszystkie zabobony i przesądy, które się wkradły w religję żydowską, widać jednak, że pod tym nalotem rozumie co było i jest wielkiego w judaiźmie, religji prawdziwej przez Boga Żydom objawionej, w tej religji starozakonnej, matce i poprzedniczce chrześcijaństwa.

I dlatego, choć może „Hiob" nie jest tem, co dawniej nazwano „książką dla panienek" — jest jednak książką nietylko wyjątkowo piękną, ale i dobrą.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Ks. J. Białecki: Rozmyślania dla kleryków. Część I. Credo. Kielce 1931, str. 620.

W każdą modlitwę wchodzi pierwiastek objektywny i subjektywny — w nierównym jednakowoż stopniu. W liturgicznej modlitwie przeważa objektywizm, w rozmyślaniach bierze górę subjektywizm, osobista dusza każdego w jej stosunku do Boga. Stąd dążność, żeby nawet w „punktach", służących jako substrat do medytacji, ten pierwiastek osobisty był uwzględniany. Z tej właśnie dążności zrodziły się „punkta" do rozmyślań nietylko dla ogółu wiernych, ale i dla poszczególnych stanów, a więc dla zakonników i zakonnic, dla kapłanów, dla matek, dla stanu nauczycielskiego. Za arcydzieło w uwzględnieniu tego właśnie pierwiastka osobistego możnaby uważać krótkie ale wyborne rozważania dla duszpasterzy O. Huondera, pod tyt.: *U stóp Mistrza.*

Ks. Białecki chce w swoich „Rozmyślaniach" uwzględnić alumnów, gotujących się do kapłaństwa. Życie seminaryjskie jest wprawdzie stanem przejściowym, obejmuje jednak dość pokaźny odcinek życia, bo 5 do 6 lat, odcinek intensywnej pracy umysłowej i duchownej. Ma też właściwą sobie psychologję, która z nastrojów gimnazjasty winna się przerodzić w usposobienie kapłańskie. Do tej psychologji stara się autor nawiązać swoje punkta. W pierwszym atoli tomie czyni to dość ogólnikowo. Jeden z recenzentów uważa to za ich zaletę, wskutek której będą mogły równie dobrze służyć i kapłanom na rozmyślanie i jako materjał na ambonę. Czy jednak nie byłoby to wyższą jeszcze zaletą, gdyby były bardziej „kleryckie", czyli silniej i wyraziściej uwzględ-

dniające trudności i potrzeby duchowe tego właśnie okresu, jakiem jest życie seminaryjskie? Poza tem „Rozmyślania" odznaczają się materjałem gruntownym, treściwie ujętym.

J. A.

Ks. Stan. Kolipiński: Krótkie rozmyślania różańcowe, Lwów 1931. Wydawnictwo OO. Dominikanów, str. 120.

Celem zyskania odpustu przy odmawianiu Różańca konieczne jest rozważanie tajemnic. By je ułatwić, autor podaje szereg myśli, których tematem są najważniejsze momenty życia duchowego, jak grzech, pokuta, wiara, miłość Boga i bliźniego, Najśw. Sakrament i t. d. Rzecz napisana treściwie, udana i pożyteczna.

J. A.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie 1931.

Emil Chroboczek: Badania nad dziedziczeniem niektórych cech u pszenicy. Str. 49 z tablicami.

Marjan Grzybowski: Badania nad zachowaniem się lipaz w surowicy krwi u kiłowych. Str. 26.

Stefan Sterling-Okuniewski i Zofja Pęska: O wpływie emanacji radowej na pewne właściwości biologiczne surowic ludzkich. Str. 4.

Stefan Sterling-Okuniewski i Tad. Kawecki: O wpływie emanacji radowej na właściwości zlepne surowic wysokowartościowych. Str. 6.

J. Jodłowski: O budowie histologicznej gruczołów przędnych larw mrówek. Str. 21.

Adam Straszyński: O zmianach histologicznych w skórze i w tkance podskórnej niemowląt w przypadkach daleko posuniętego samowyniszczenia. Str. 16.

Mémoires... Sciénces naturelles, N 4, 1931. Str. 110 i ilustr.

Atlas historyczny polski. I. Mapa Wojew. Krakowskiego z doby sejmu czteroletniego. Str. 140 i mapa.

Wydawnictwo Zakładu Narod. im. Ossolińskich we Lwowie.

Juljusz Słowacki: Dzieła wszystkie. Pod redakcją Juljusza Kleinera. T. VI. Str. 407.

Jan Szczepański: Kultura klasyczna w zarysie. Wyd. nowe, opracowane przy udziale Jana Parandowskiego. Tekst (str. VIII+466) i atlas (360 rycin i 2 plany) (Zł. 12.—)

Dr. Tadeusz Bętkowski: Chirurgja ćwiczeń fizycznych i sportu. Dla lekarzy sportowych i wojskowych. Str. 172 z licznemi rycinami. (zł. 7.—)

Marjan Auerbach: Gramatyka łacińska. Do użytku szkół średnich. Wyd. 2. Str. 253. (zł. 6.—)

Adam Bar: Zapomniany powieściopisarz lwowski. Str. 105. (zł. 6.—).

Seweryn Sotnicki: Obrazki z dziejów Polski. Czytanki dla dzieci. Str. 138 z ilustr. (opr. zł. 3.—).
Alexander Dąbrowski: Praktische Grammatik der deutschen Sprache. Aufl. 3. Str. 164. (zł. 5.—).

Nakł. Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, Warszawa:

Opieka Społeczna w województwie Śląskiem. Zbiór ustaw i rozporządzeń, z wyjaśnieniami, w opracowaniu Dr. Stanisława Grocholskiego i Edwarda Chwalewika In 8⁰. Str. 852.
Rocznik Pracowniczych Związków Zawodowych w Polsce. Rok 1928. In 4⁰. Str. 103.
Instrukcja dla Opiekunów Społecznych. Str. 54.

Nakładem różnych:

Ks. Dr. Ildefons Bobicz: Na niedziele. Rozważania niedzielne na tle perykop ewang. Kielce, Księg. „Jedność", 1931, str. 122.
Sprawozdanie z działalności Komitetu budowy gmachu dla Wydziału farmaceutycznego Uniw. Warszawskiego w r. 1930, Warszawa 1931, str. 24.
Pięć lat na froncie gospodarczym. Wyd. „Drogi", Warszawa 1931, tom I str. 719; tom II str. 665.
Antoni Hniłko: Wyprawa cudnowska w 1660 r. Warszawa, Wojskowy Instytut naukowo-wydawniczy, 1931, str. 189.
Sprawozdanie z działalności Towarzystwa wymiany literacko-artystycznej między Francją a Polską. Paryż, 1931, str. 20.
Wiadomości numizmatyczno - archeologiczne. Organ Tow. Numizmatycznego w Krakowie pod red. L. Piotrowicza i Wład. Semkowicza, Tom XII, rocznik 1928 i 1929, str. 164; Tom XIII, rocznik 1930 pod red. M. Gumowskiego, str. 128.
Dusza Czara Rozenkranz: An jeden Menschen, der mir Bruder ist. Verlag Die Arche, Hirsau (Württemberg) 1931, str. 35 (poezje).
Kronika mieszczanina Krakowskiego z lat 1575—1595. Wydał H. Barycz („Bibl. Krakowska" N. 70), Kraków 1930, Str. 182.
Krystyna Pieradzka: Garbary, przedmieście Krakowa. (1363—1587) („Bibl. Krakowska" N 71), Kraków 1931, str. 154.
Dr. Stan. Kossowski: O poemacie Słowackiego „W Szwajcarji". Odb. z *Przeglądu Humanistycznego*. Lwów 1931, str. 38.
M. B. Lepecki: Z marszałkiem Piłsudskim na Maderze. Główna Księg. Wojskowa, Warszawa 1921, str. 135.
Ks. biskup St. Adamski: Przemowa na obchodach jubileuszowych encykliki „Rerum novarum". Nakł. Instytutu Akcji Katolickiej. Katowice 1931, str, 24.
Ty przynajmniej kochaj mnie! Nabożeństwo ku czci Najśw. Serca Jez. Wyd. Karmelitanek w Poznaniu. Str. 104 in 16⁰.
Johannnes Mumbauer: Die deutsche Dichtung der neuesten Zeit. I Band. Wyd. Herdera w Fryburgu, str. 623 z 19 ilustr.
Ks. Nikodem Cieszyński: Pod błękitami Włoch i Afryki. Zapiski — wrażenia — wspomnienia. Poznań, nakł. autora, str. 134.
Antoni Chołoniewski: Tadeusz Kościuszko. Warszawa, „Księgarnia Polska" Tow. Polskiej Macierzy Szkol. 1931, str. 182.
Ludwik Czerniewski: Jan Matejko nauczyciel narodu. Warszawa, „Księgarnia Polska" Tow. Polskiej Macierzy Szk., 1931, str. 60 ilustracje.
Ks. Dr. Emil Szramek: Ks. Jan Kapica. Życiorys, a zarazem fragment z historji Górnego Śląska. Katowice 1931, nakład. Komitetu uczczenia pamięci ks. Kapicy. Str. 94 i ilustracja.

Stefan Flukowski: Pada deszcz. Bibljoteka „Kwadrygi", Warszawa 1931, Dom Książki Polskiej. Str. 243.

Karl Boeckl: Die sieben Gaben des Heil. Geistes in ihrer Bedeutung für die Mystik nach der Theologie des 13 und 14 Jahrhunderts. Freiburg im Breisgau 1931, Herder. Str. XVI+182.

Encyklika Papieża Piusa XI o „Akcji Katolickiej". Warszawa 1931, Katolicka Ajencja Prasowa. Str. 24.

Nauka Polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój. T. XIV. Wyd. Kasy Im. Mianowskiego. Warszawa 1931. Str. X+404.

Ks. Józef Umiński: Bolesław Chrobry i Święty Wojciech. Lwów 1931, nakł. autora, str. 22.

Marjan Hełm-Pirgo: Podanie o Hełmie. Z czasów walk o Pomorze w XII w. Warszawa 1931, skład gł. Gebethner i Wolff, str. 45.

Wiktor Przecławski: Samotny naród. Powieść. Warszawa 1931, nakł. tyg. *Wiarus*. str. 403.

Cecylja Walewska: W walce o równe prawa. Nasze bojownice. Warszawa 1930, wyd. red. *Kobiety Współczesnej*, str. 277 i 3 ndl.

Kazimierz Twardowski: Przemówienie na obchodzie 25-lecia Polskiego Tow. Filozof. we Lwowie 12 lutego 1929. Lwów 1931, skład główny w księg. „Książnica Atlas", str. 15.

Ks. Dr. Paweł Kirstein: Argue, obsecra, inscrepa, czyli Słowo Boże na ambonie. Tom II: Kazania świąteczne z dod. Kazań pasyjnych i eucharystycznych. Pelplin 1931, nakł. autora, str. 340.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Zlikwidowanie konfliktu włoskiego. — Niepewności i obawy w Hiszpanji.

Za najważniejsze zdarzenie w życiu wewnętrznem Kościoła ostatnich letnich tygodni należy chyba poczytać zlikwidowanie konfliktu między rządem włoskim a Stolicą Apostolską. Jak wiadomo, konflikt został wywołany przez faszystów, podejrzliwych co do działalności Akcji katolickiej i zwłaszcza zazdrosnych o monopol wychowania duszy młodego pokolenia Italji. Te dwa punkty niezgody, korzeniami tkwiące w odmiennych zapatrywaniach Kościoła a faszyzmu na istotę, cel i kompetencje organizacji państwowej, stały się też przedmiotem nowego układu, sfinalizowanego w dniu 2 września b. r.

Niektórzy w treści zawartej ugody dopatrzyli się triumfu faszyzmu, a nadmiernej ustępliwości, niemal kapitulacji Watykanu. Dla jednych było to źródłem złośliwej radości, dla drugich powodem do melancholji. Naszem zdaniem, zarówno pierwsze jak drugie uczucie nie znajduje dostatecznego usprawiedliwienia. Bo kto, komu i w czem ustąpił? Każda, po dłuższym trwaniu konfliktu zawierana ugoda musi mieć charakter pewnego kompromisu, już choćby dla zaoszczędzenia miłości własnej stronie, która zasadniczo przegrywa. Taki charakter nosi na sobie ugoda wrześniowa. Nie znajdujemy w niej wyraźnego zadośćuczynienia za zniewagi, wyrządzone przedstawicielom Kościoła i samej osobie Ojca św. przez buszujących w czerwcu młokosów faszystowskich, ani wynagrodzenia za zdemolowane lokale. Trzeba tu widzieć nie tyle ustępstwo Stolicy św., ile jej mądrość i pojednawczość, które doradziły pominąć drugorzędną kwestję prestiżu czy też materjalnych strat, by tem łatwiej osiągnąć to, co ważniejsze. Czyż zresztą uliczne wybryki i gwałty

nie potępiają dosyć same siebie? Jeżeli dalej, Stolica św. stwierdziła w zawartej ugodzie, że Akcja katolicka jest organizacją ściśle apolityczną, stojącą pod bezpośrednią władzą biskupów i papieża, to czyż nie powiedzianem zostało tylko jeszcze raz to samo, co tyle razy słyszało się ze strony Piusa XI? A obietnica, iż na naczelne stanowiska w Akcji katolickiej nie będą dopuszczani świeccy katolicy, należący do stronnictw opozycyjnych, czyż jest jakiemś nadmiernem ustępstwem w porównaniu do stanu dotychczasowego, jeśli stwierdzono, że na przeszło 9.000 organizacyj Akcji katolickiej dawni *popolari* — bo o nich Mussoliniemu chodziło — odpowiedzialne i kierownicze stanowiska zajmowali tylko w czterech wypadkach? Czy o to warto było wszczynać taki konflikt takiej potędze politycznej, za jaką się uważa faszyzm? W sprawie stowarzyszeń młodzieży zasadniczo ustąpił rząd stanowisku Kościoła. Rozwiązane stowarzyszenia zostały przywrócone, majątek sekwestrem obłożony został im zwrócony. Uznano także ich charakter wychowawczo-kulturalny, przez co faszyzm czyni wyłom w swej ideologji, według której uważał siebie za jedynego wychowawcę młodzieży, Kościołowi pozostawiając jedynie dziedzinę ściśle religijną. Tę zdobycz Stolica św. okupiła ustępstwem w sprawie chorągiewek i nazw i skreśleniem z programu stowarzyszeń katolickich młodzieży uprawiania sportów i wszystkiego, co się z wychowaniem fizycznem łączy. Uznano zatem w zasadzie dla młodzieży włoskiej możność równoczesnego należenia do stowarzyszeń katolickich i związków faszystowskich. Nie trudnem wreszcie było dla Stolicy św. zrzeczenie się organizowania przez Akcję katolicką związków zawodowych wobec istnienia we Włoszech ustroju korporacyjnego, w głównych swych zarysach odpowiadającego ideałom katolickim i z pewnem uznaniem zaznaczonego w encyklice *Quadragesimo anno.*

Streszczając, w świeżo zawartej ugodzie należy widzieć zwycięstwo Stolicy św. w tem, że obroniła legalne istnienie Akcji katolickiej, tudzież prawo Kościoła do duchowego wychowania młodzieży w swoich stowarzyszeniach — oczywiście w duchu swoich katolickich zasad. A jakiemi są te zasady w dziedzinie poglądów na istotę i cel państwa, dowiedział się faszyzm właśnie w czasie rozpętanego przez się konfliktu z encykliki *Non abbiamo bisogno,* w której jeden z ważnych punktów ideologji faszystowskiej, nauka o omnipotencji państwa, został określony mianem bałwochwalstwa — *statolatria.* Tego potępienia Pius XI w wrześniowej ugodzie nie przekreślił — przekreślić nie mógł — i rząd Mussoliniego musiał rozumieć z jakim katolicyzmem ugodę zawiera i jakiego katolicyzmu wpływy na wychowanie mło-

dzieży dopuszcza. Objektywnie rzecz biorąc, jest to wielkie ustępstwo faszyzmu, które jeśli zostało uczynionem całkowicie świadomie i szczerze, przynosi faszyzmowi zaszczyt, a gdy do tego będzie lojalnie dotrzymanem, stanie się dalszym etapem uchrześcijanienia ideologji faszystowskiej przez wpływy religji katolickiej.

Mam pewne dane, że wielu czytelników *Przeglądu* pragnęłoby znaleźć w „Sprawach Kościoła" dokładne wiadomości o obecnem położeniu Kościoła w Hiszpanji. Po barbarzyńskich wypadkach majowych, kiedy to pastwą płomieni stały się setki kościołów i klasztorów, wraz z bezcennemi zabytkami nauki i sztuki, zrozumiałem jest zainteresowanie hiszpańskiemi stosunkami kościelnemi nawet w tak odległym od Hiszpanji kraju katolickim, jakim jest Polska. Co sądzić o tym narodzie, którego religijność i katolicka prawowierność była przysłowiową, a wśród którego stały się możliwe takie barbarzyńskie fakty? Czy nie stoi ten kraj w obliczu otwartego prześladowania religji, na modłę, powiedzmy, bolszewicką? Ale w takim razie jakże słabym musiał być tamtejszy katolicyzm, pomimo pozorów siły i świetności, jeśli obok niego potrafiła wyrość tak wroga potęga, iż śmiało zabiera się do jego zniszczenia?

Niewątpliwie zrozumienie wypadków w Hiszpanji jest trudne, jeśli do oceny ich przystępuje się z pewnemi tylko datami, które stanowią jedynie fasadę zewnętrzną katolicyzmu hiszpańskiego. Wiemy naprzykład, że cała ludność półwyspu iberyjskiego jest katolicką, tak że odsetek różnowierców jest wprost znikomy; wiemy, że według dotychczasowej konstytucji, tudzież konkordatu z r. 1851 religja katolicka jest religją państwową, jedynie uprawnioną do publicznego kultu; wiadomo także, że Kościół w Hiszpanji przedstawia organizację przeszło 50 diecezyj, zgrupowanych w 9 metropoljach, że rozporządza armją 30 tysięcy świeckich i 12 tysięcy zakonnych księży, co przy 22 miljonach ludności daje jednego kapłana na 530 wiernych; wiadomo, że przeważna część szkół początkowych i średnich znajduje się w rękach zgromadzeń zakonnych; znane są wreszcie wspaniałość i bogactwo wielu hiszpańskich świątyń — to wszystko wywołuje obraz narodu, od góry do dołu kipiącego żywą wiarą i gorącością wszystkich cnót chrześcijańskich. Niestety, rozpatrzenie się w historji kościelnej Hiszpanji ostatnich dwóch stuleci przekonuje nas, że poza tym imponującym frontonem cyfr i znaczenia oficjalnego nie stoi odpowiednia rozbudowa uświadomienia katolickiego i głębokiego religijnego życia w całym narodzie, a zwłaszcza w jego przodujących warstwach.

Żeby Hiszpanję jakoś zrozumieć, trzeba najpierw uprzytomnić sobie, że jest to kraj jaskrawych kontrastów. Nie mówiąc już o tej dziwnej mieszaninie etnicznej, która się złożyła na tak zw. „naród hiszpański", a która go dzisiaj rozsadza żądaniami licznych regjonalnych autonomij, pod względem ekonomiczno-społecznym jest to kraj skrajności. Klasa średnio-zamożna, mieszczaństwo, czy bogate chłopstwo, jest bardzo nieznaczna; obok wielkich magnackich fortun żyją miljony wiejskiego proletarjatu. Kontrastowo przedstawia się także religijność narodu. Hiszpan nie lubi szukać cudzych bogów, głuchy na propagandę sekt, przywiązany jest do swej katolickiej tradycji i swych wystawnych nabożeństw, ale gdy raz odwróci się od Kościoła, wpada w ostateczność, staje się ateuszem i to ateuszem wojującym. Masonerja hiszpańska liczbowo ani się nie umyła do angielskiej, a tem mniej amerykańskiej, ale zato należy do najbardziej fanatycznych odłamów wolnomularstwa. Tegoroczne świątynioburcze występy nie były dziełem jakiegoś spontanicznego odruchu ludu przeciw religji, jakeśmy już pisali i co stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, zostały one zaaranżowane przez ateistyczną centralę moskiewską, ale wykonane były rękami domorosłych fanatycznych bezbożników przy milczącej zgodzie miejscowych masonów, zajmujących wpływowe stanowiska w rządzie republiki. Trzeba tu także przypomnieć, że tegoroczne wypadki były nie pierwsze w tym rodzaju: od czasów napoleońskich Hiszpanja jest krajem perjodycznie powracających rewolucyj, zmian dynastyj, a przy każdym takim wstrząsie antyklerykalizm, czy wprost ateizm także występuje ze swojemi popisami. Jeżeli zaś masy owego pobożnego ludu nie dość reagują na te występy w obronie swej religji i świątyń, to kto wie czy nie bliskiem jest prawdy zdanie pewnego korespondenta, który niedawno bierność hiszpańskiego ludu wobec gwałtów tłumaczył zamiłowaniem do działających silnie na nerwy widowisk. Pobożny Hiszpan modli się gorąco w swym kościele, ale kiedy go widzi już w płomieniach, napawa się tym silnym widokiem, jak napawał się kiedyindziej walką byków.

Katolicyzm jest w Hiszpanji religją państwową. Nie przeszkadzało to wszakże wszystkim rządom, zarówno rządom ich królewsko-katolickich mości, jak rewolucyjnym, wydawać różne prawa, ograniczające wolność Kościoła, a przedewszystkiem dokonywać grabieży kościelnego mienia. Począwszy od kasaty jezuitów i konfiskaty ich majątków w r. 1767, można naliczyć do połowy 19 stulecia coś około dziesięciu takich grabieży. W rezultacie już przed 80 laty Kościół hiszpański był obrabowany niemal doszczętnie ze swych dawnych fundacyj i uposażeń. Jeżeli zatem

konkordat z r. 1851 przyznał ze skarbu uposażenie duchowieństwu i pewnym instytucjom kościelnym (naprz. seminarjom), to dotacje te miały charakter jedynie słusznej (a wcale niedostatecznej) rekompensaty za skonfiskowane mienie kościelne. O tem może u nas mało kto wie, a wielu mogłoby przypuszczać, że Kościół hiszpański włada dotąd jakiemiś majątkami, na które rewolucja ostrzy apetyt. W rzeczywistości poza mieniem niektórych zakonów, które z nowszych prywatnych darowizn zdołały dojść do posiadania pewnych majątków czy funduszów, stanowiących uposażenie przedewszystkiem zakładów naukowych i charytatywnych, Kościół w Hiszpanji niewiele ma, coby mu zagrabić można było. Jak dzienniki donoszą, obecny republikański rząd i radykalne Kortezy przygotowują nową niesprawiedliwość: zamierzają obrabować na nowo zakony i skreślić dotacje wypłacane na cele kultu ze skarbu państwa. Ma się to nazywać, przez dziwne zapomnienie znaczenia wyrazów, rozdziałem Kościoła od państwa.

Mówiąc już o tych rzeczach materjalnych, nie zapominajmy, że uposażenie, jakie skarb hiszpański wypłacał Kościołowi, według etatów z r. 1851, było mizerne. Stosunkowo dobrze udotowani byli biskupi i kapituły katedralne (te posiadały wielką ilość członków; liczba kanoników dochodziła w Hiszpanji do 2.000), zato duchowieństwo niższe, otrzymując ze skarbu iście głodowe pobory, a przy szczupłości parafij i ubóstwie ludu nie mając pobocznych dochodów, należało do najbardziej biednych w Europie. Tem też tłumaczy się może fakt, że naogół kler parafjalny nie stał na wysokim poziomie wykształcenia, nie mógł się także kształcić dalej, na czem cierpiało także religijne wychowanie i uświadomienie katolickie ludu. Za mało także kler ten rozwijał ruchliwości w dziedzinie pracy społecznej. Stosunkowo wielka liczba księży świadczy o religijności ludu, wśród którego znajdowało się tyle powołań, ale w takich warunkach stan ten mógł sprzyjać uświęcaniu się w ubóstwie i umartwieniu należących doń jednostek, nie mógł wszakże zyskać znaczenia wpływowego czynnika w duchowem wychowaniu narodu, w pogłębieniu jego religijności. Zwłaszcza na warstwy przodujące, na inteligencję, duchowieństwo nie miało dostatecznego wpływu. Uniwersytety państwowe w tym kraju z państwową religją katolicką oddawna stały się rozsadnikami liberalizmu i radykalizmu, domeną wpływów masonerji. Dlatego nic dziwnego, że katolicyzm w masach ludowych gorący, ale przeważnie powierzchowny i płytki, na warstwy wykształcone nie posiadający dostatecznego wpływu, pozbawiony jest wystarczającego zastępu inteligentnych obrońców. W dodatku nieszczęsna polityka, która katoli-

ków rozbija na dwa obozy, monarchistów i republikanów, osłabia jeszcze bardziej ich siły wobec zwartego frontu liberałów, masonów, socjalistów i komunistów.

Co przyniesie Kościołowi w Hiszpanji najbliższa przyszłość? Narazie przedwcześnie jeszcze prorokować o tem. Projekty reform stosunków kościelnych, złożone w Kortezach, są narazie tylko projektami i niewiadomo w jakiej mierze zostaną urzeczywistnione. Naogół wzorowane są one na prawodawstwie francuskiem; państwo pojęte jest w nich jako religijnie neutralne, rozdział Kościoła od państwa pojęty, jak widzieliśmy, przedewszystkiem jako grabież. Zdaje się, że trudno będzie przeprowadzić pełną laicyzację nauczania wobec kompletnego nieprzygotowania państwa do wzięcia na swe barki całego szkolnictwa. Obecnie toczą się jakieś rozmowy między republikańskim rządem a nuncjuszem papieskim w kwestji zmian w dotychczasowym stosunku Kościoła do państwa i wogóle w kwestji znaczenia religji. Przedstawiciele Kościoła, oczywiście, bronią jego interesów i interesów wiary, wychodząc przedewszystkiem z dogmatycznego stanowiska i odwołując się do formalnych zobowiązań konkordatu. Ich obrona byłaby niechybnie skuteczniejsza, gdyby mogła się oprzeć na fakcie powszechności i głębokości wiary religijnej w narodzie. Niestety i jednej i drugiej brak. Już przed 20 blisko laty francuski autor artykułu o katolicyźmie hiszpańskim w „Dictionnaire de théologie catholique" zauważał, że pomimo formuły „katolicyzm jest religją całego narodu hiszpańskiego" — „poważna część narodu praktycznie jest poza katolicyzmem". „Taką jest rzeczywistość brutalna" — dodawał i ta „brutalna rzeczywistość", na którą się składały stulecia, może teraz wydać swoje gorzkie owoce.

Ks. Jan Urban T. J.

Na marginesie przesilenia teatralnego.

Teatry stołeczne i prowincjonalne przeżywały w ostatnich tygodniach wojnę, jaką wywołały postulaty aktorów należących do Związku Artystów Scen Polskich i przeciwna tym postulatom postawa dyrektorów teatrów polskich. Ten zatarg wysunął kwestję teatralną na czoło spraw najbardziej aktualnych, jeśli — oczywiście — chodzi o kulturę miast, w których teatry zdobyły sobie już tradycje dziesiątek lat, i jeśli wogóle chodzi o kulturę Polski. Ale zatarg sam w sobie, oparty o podstawy natury czysto finansowej i społecznej, nie artystycznej, nie byłby tak zaabsorbował uwagi społeczeństwa, gdyby nie głębsza istotna przyczyna kry-

zysu teatralnego. Żądania aktorów pojawiają się bowiem na porządku dziennym z końcem każdego sezonu teatralnego, to jest w okresie angażowania sił i nie wychodzą one za szranki przybytków Melpomeny — są omawiane i szybko likwidowane w obrębie murów teatralnych. Z każdym rokiem, coprawda, trudności przy porozumiewaniu się aktorów z dyrektorami rosły — aż ostatnio nieustępliwa postawa dyrektorów zmusiła artystów do wystąpienia kolegjalnego, masowego, solidarnego, opartego o powagę i siłę Związku Artystów Scen Polskich, czyli t. zw. ZASP'u. Ale jakaż to jest istotna przyczyna, że postulaty aktorów natrafiły w tym właśnie roku na nieprzeparty opór dyrektorów i że walka ta przedostała się do prasy i zajęła opinję publiczną? Przyczyna prosta i zrozumiała: upadek teatru i coraz mniejsze, z roku na rok słabnące interesowanie się publiczności teatrem i wskutek tego coraz mniejsza, z roku na rok zmiejszająca się frekwencja publiczności w teatrze. To pociąga za sobą deficyty, a deficyt znowu nie pozwala dyrektorom i dzierżawcom pójść na daleko sięgające kompromisy z aktorami. Ostatni sezon był już pod tym względem katastrofalny, a ogólny kryzys gospodarczy naszego kraju zmusza na przyszłość administratorów teatrów do wielkich finansowych ostrożności, zmusza ich do daleko sięgających pod tym względem ograniczeń. Aktorzy więc bronili z siłą i konsekwencją swoich żądań — dyrektorzy zaś z ołówkiem w ręku obliczali swoje budżety i także z nieustępliwością i konsekwencją bronili swojego stanowiska. Stąd zatarg — wojna przed forum publicznem.

Nie wdaję się w krytykę postulatów jednych ani w obronę postawy drugich — chcę tylko wglądnąć w przyczynę tego zatargu i chcę rozpatrzyć drogi przyszłego, może niedalekiego odrodzenia i rozwoju teatru, zwłaszcza że wchodzą tu w grę motywy nietylko artystyczne, ale i społeczne. Zatarg minął, znalazł się sposób bodaj tymczasowego rozwiązania kwestyj spornych i zaspokojenia pretensyj jednych i obaw drugich — ale kwestja teatralna zostanie odtąd zawsze aktualną i jeśli najbliższy rok, najbliższy nadchodzący sezon nie przyniesie pewnych, choćby słabych nadziei zainteresowania się publiczności teatrem, to następny sezon może już być dla teatru katastrofalny.

Dyskutuje i mówi się dziś naogół wiele o teatrze i o jego losach na przyszłość — jednak dyskusja ta jest po większej części pesymistyczną. Odzywają się nawet głosy *(Czas)*, aby raczej teatr imienia Juljusza Słowackiego w Krakowie zamknąć i otworzyć tu małą scenkę kameralną dla garstki wybranych i łaknących pokarmu duchowego... Myśl znamienna dla dnia dzisiejszego. Realizacja takiej myśli byłaby tylko dowodem naszej kapitulacji z pretensyj kulturalnych, dobrowolnego upadku, bezsilnego, bezwładnego wprost staczania się przyspieszonego po równi pochyłej na drogach narodowej literatury i sztuki. Nic bowiem łatwiej-

szego i bardziej szkodliwego dla kultury i tradycji naszego miasta, jak opuszczenie rąk i zamknięcie Teatru Narodowego. Scena kameralna nie zastąpi nigdy wielkiej i posługującej się wszystkiemi środkami technicznemi sceny, jest ona bowiem tylko rodzajem niejako ułatwionego teatru i nie może wypełniać wielkich jego postulatów, a przez to osiągnąć wielkich jego rezultatów. Scena kameralna dobrą i piękną jest w mieście takiem jak Kraków, o wspaniałej tradycji teatralnej, ale to jedynie u boku sceny teatru wielkiego — bez niej byłaby dowodem świadomego, dobrowolnego zacieśniania horyzontów naszej twórczości teatralnej i dramatycznej, przyznaniem się do niemocy w tym kierunku i do braku inicjatywy i ambicyj artystycznych. Scena kameralna może zaspokoić chwilowo gusta nielicznej garstki smakoszów — scena wielka ma za cel wychowywać naród, porywać tłumy...

Nie pora to jednak rozpatrywać różnice i wartości jednej i drugiej sceny, kiedy stoimy przed aktualniejszym, bardziej żywotnym problemem: usunięcia, a przynajmniej zmniejszenia przesilenia teatralnego. Rozpatrzmy więc powody niezaprzeczonego dziś już upadku teatru.

Należy przedewszystkiem zdać sobie sprawę z tego, co to jest właściwie teatr. Teatr — to solidarna i konsekwentna współpraca trzech zasadniczych czynników: 1) autora, 2) ludzi realizujących przedstawienia (dyrektora teatru, reżysera i aktora) i wreszcie 3) publiczności. To są trzy zasadnicze, główne i jedyne elementy teatru. Usuńmy jeden z owych trzech boków trójkąta, a cała figura przestanie istnieć. Że obecnie ta konstrukcja geometryczna teatru współczesnego jakoś rozchodzi się, jakoś nie wiąże się — wina to z pewnością rozluźnienia boków i niedość silnego, solidarnego związania ich w punktach stycznych. Publiczność nie lubiąca dziś chodzić do teatru usprawiedliwia swoją obojętność i powiada głośno i otwarcie: niema poco chodzić do teatru, bo niema autorów, niema sztuk godnych widzenia i niema aktorów. Śmiem temu stanowczo zaprzeczyć! Przedewszystkiem są dziś autorzy polscy i są godne widzenia sztuki, począwszy od farsy bezpretensjonalnej i krotochwili, a skończywszy na szlachetnej komedji, poważnej satyrze, dramacie poetyckim i tragedji. Oczywiście — wielkich i arcydzielnych utworów scenicznych nie widać jeszcze na drogach Nieśmiertelnego Piękna, ale w każdym razie, gdy przypomnimy repertuar większych teatrów w ostatnich latach, przekonamy się, że dobre, a zwłaszcza ciekawe sztuki są. Autorom dzisiejszym chodzi niekiedy o to, aby w formie scenicznej wypowiedzieć myśl — reżyserom zaś, realizującym pomysły literackie, chodzi zawsze i przedewszystkiem o wyraz zewnętrzny dzieła, o ekspresję. I tu zachodzi pierwsze nieporozumienie: dramat jako treść nie wiąże się na scenie w organiczną całość z teatrem jako formą — innemi słowy: dramat prawie zawsze nie ma nic wspólnego z teatrem,

a zrealizowany już jako teatr, tak przytłoczony jest oryginalnemi środkami wypowiedzenia, że nie zawsze przedstawia dramat, to jest to właśnie, czego publiczność szuka w teatrze. Wynika z tego, że dzisiejszy autor nie jest człowiekiem teatru, nie jest reżyserem narzucającym własne środki wypowiedzenia artystycznego i dlatego musi tu poddać się dyrektywie innej indywidualności, ze szkodą treści dramatu — reżyser bowiem najczęściej, prawie zawsze autora „skraca o głowę", co fatalnie odczuwa publiczność. Dramat jako treść, jako pożywka duchowa, musi być — jeśli zależy nam na zainteresowaniu publiczności — respektowana w całej pełni. Sam teatr jako forma nie da widowni nigdy zupełnego zadowolenia. Tam, gdzie chodzi o reakcję szerokich mas, sztuka musi być kompromisową. Inaczej wśród widzów zauważyć się daje brak zrozumienia, rośnie oziębłość dla sztuki, obojętność — na widowni przykra i katastrofalna pustka. Zatem solidarna współpraca autora dramatycznego z reżyserem jest jednym z pierwszych warunków aktywności teatru. Odnosi się to zwłaszcza do tych wielu, bardzo wielu sztuk polskich ostatniej doby, które nasza literatura dramatyczna już posiada: ich wartość tematyczna, oparta o twórczą pomysłowość reżysera, dałaby spektakle stojące na wysokim poziomie artystycznym, interesujące publiczność.

Jeśli spojrzymy na dramat polski od strony teatru; to jest formy, przekonamy się o wielkich nawet rewelacjach artystycznych na tem polu. Jedno tylko uderza: nie robią one na widowni tego wrażenia, jakiego należałoby się spodziewać. Realizacja niektórych spektakli dowodzi, że posiadamy świetnych i pomysłowych reżyserów (Schiller, Trzciński, Wysocka, Ordyński), ale ich pomysły nie budzą reakcji i giną w zapomnieniu opinji publicznej.

Dlaczego?

Nasza aryjska natura posiada łatwą wrażliwość na objawy wszelkiej twórczości, która rodzi się przedewszystkiem z jej własnej istoty. Główną rolę odgrywa tu sentyment religijny, narodowy, patrjotyczny i dlatego wszelka tego rodzaju treść, którą wchłaniamy w siebie, pozostaje już w nas na zawsze. Nie zdajemy sobie dostatecznie sprawy z tego, jak ważnym jest tu — jeśli chodzi nietylko o temat, ale także i o formę — ten właśnie pierwiastek swoisty, rodzimy. A tymczasem dzisiejsi reżyserzy załamują często dramat, myśl polską, w pryzmacie pięknych i coprawda ciekawych, ale zgoła nie polskich, obcych nam koncepcyj artystycznych, formalnych — choćby wspomnieć tylko modę i wpływ Reinhardta, Jewreinowa lub Pirandella. Widownia, niesłychanie wrażliwy aparat odbiorczy, odczuwa w tej chwili obcość elementu wprowadzonego na polską scenę, zwłaszcza tego bezwzględnego, idącego dziś z Rosji, dostrzega ambicje reżysera — indywidualności — (a to publiczność jako środowisko zbiorowe

niewiele obchodzi) i zaraz nastawia się wobec takiej rewelacji krytycznie i odpornie. Innemi słowy: sztuka nie trafia do widowni drogą naturalną, to jest przez sentyment, ale załamuje się w jej negatywnym systemie rozumowania i — przepada. Przyznać należy, że — jak we wszystkich zresztą rodzajach sztuki, tak i w teatrze — jest pewien procent widzów, odbiorców, (nieliczna zresztą inteligencja niearyjska), którzy żyją i oddychają jedynie temi prądami wiejącemi z zagranicy. Jest to — oczywiście — rasa inna niż nasza, z natury swej mniej sentymentalna, za to więcej merkantyliczna i trzeźwa, chłonąca w siebie szybko i doraźnie wszelkie pierwiastki nowe, byle były produktem ostatniej chwili, a więc modne i łatwe do kupienia. Ta zatem część publiczności oblicza nowinkarstwo teatralne tylko na interes, i stąd nadmierna reklama zagranicznych prądów, stąd pozorna ich aktualność u nas. Nie znaczy to, aby aryjczycy mieli być mniej wrażliwi na potężne wpływy wielkiej sztuki obcej — owszem, ale ten wpływ dostaje się do nas drogą podświadomą, drogą uczucia, podczas gdy tam idzie drogą zimnego rozumowania. U nas dlatego działa popędliwie i wydaje owoce na drodze tworzenia artystycznego (naprz. Maeterlinck i dramat Młodej Polski), a tam prądy owe idą drogami racjonalistycznego osądu i tem samem przestają być wpływami, a stają się towarem. Otóż ta dzisiejsza aryjska część widowni reaguje wprawdzie cicho, ale skutecznie na objawy nowinkarstwa zagranicznego, nie przystającego żadnym bokiem do jej psychiki, reaguje w ten sposób, że do teatru, w którym tak często bezkrytycznie adoruje się dziś nowinkarstwo zagraniczne, nie chodzi.

Element dla nas obcy w teatrze polskim, narodowym, nie jest dla publiczności niearyjskiej obcym — internacjonalizm jest naturalną atmosferą jej ducha. Stąd skłócenie się dwu ras, z której aryjska, jako słabsza materjalnie, chociaż liczebnie większa, ustępuje z widowni.

Nie należy zresztą narzekać tylko na obce nowinkarstwa w dzisiejszym teatrze, jako na „ostatni styl", środek ekspresji, bo znamy przecież nasz rodzinny „teatr nowy", adorujący naprz. teorje bezsensu, absolutnej czystej formy (St. Ign. Witkiewicz) — teatr, który także stoi pustką...

Widać z tego, że formizm osamotniony nie może podnieść, nie może przyczynić się do rozwoju teatru, jeśli nie będzie się na scenie respektowało wartości tematycznych, literackich, których przecież publiczność tam szuka i wyczekuje stamtąd. Ta równowaga, ten umiar treści (dramatu) i formy (reżyserji) muszą być respektowane, jeżeli chcemy w teatrze widzieć publiczność. W przeciwnym razie widownia — jak dziś właśnie — protestuje, a protest to jest straszny, bo grozi teatrowi pustką i wali go w gruz!...

Wystawia się dziś od czasu do czasu dramaty Szekspira,

Słowackiego i Wyspiańskiego, które także — wyrażając się językiem teatru — nie idą. Gdzie powód? Oczywiście — znowu i także w tem nowinkarstwie reżyserji, którego te dramaty nie potrzebują i nawet nie znoszą, a powtóre w słabej obsadzie ról. Wielki repertuar wymaga wielkiej realizacji, wymaga wielkiej twórczej interpretacji. Modrzejewska, Wysocka, Solska, Siemaszkowa, Solski, Kamiński, Sosnowski — dowiedli tej prawdy przed zawsze wypełnianą widownią. Tajemnica ich sztuki leży w ich talencie. Aby choć częściowo ją poznać, pragnę zwrócić uwagę na jeden, pozornie nic nie znaczący, a jednak bardzo ważny, nieraz wprost decydujący szczegół. Dramaty t. zw. wielkiego repertuaru znamy wszyscy z lektury — i to zwykle pierwej, niż ze sceny. Czytając zatem dramat, stwarzamy sobie sami doraźnie przed oczyma duszy własny teatr idealny, który nazwałbym teatrem wyobraźni, niekiedy nawet wizji czytelnika — teatr, który niełatwo przewyższyć pod względem doskonałości obrazu teatrowi realnemu, teatrowi szminki i elektrycznego światła. Otóż wielki aktor i wielki dekorator (czynnik w teatrze bardzo ważny) ratują sytuację i — aby widownia nie doznała rozczarowania ze strony sceny rzeczywistej — wyczarowują przed jej oczyma sztukę, która jest niczem innem, jak tylko wielką niespodzianką artystyczną, czemś, czego czytelnik w swoim teatrze wyobraźni nie dostrzegł lub nie dopowiedział. Ale dzieła takiego może dokonać tylko aktor twórczy, rozporządzający inwencją — artysta. Wobec jego wielkiej narzucającej się kreacji gaśnie idealny teatr wyobraźni czytelnika. Jeśli zaś aktor nie jest w stanie przynieść przed oczy widowni swojej wielkiej sztuki, jeśli go nie stać na tę artystyczną niespodziankę — widz doznaje w teatrze rozczarowania, traci wiarę w aktora i do teatru przestaje chodzić. Tak jest właśnie dzisiaj — teatr lekceważy wyobraźnię widowni, sprowadza rozczarowanie i tem właśnie zraża ją do siebie.

Z tą kwestją wiąże się wogóle kwestja obsady ról, kwestja tak trudna, jak wybór sztuk do grania. Publiczność pragnie widzieć w sztukach tylko artystów, a nie urzędników sceny. Ten drugi typ nic publiczność nie obchodzi. Inwencja i zapał wrodzonego, rasowego aktora do sztuki udziela się publiczności podświadomie i z siłą bezwzględną, przekonywującą, a rezultat: aktor-artysta staje się ulubieńcem widowni, magnesem przyciągającym tłumy do teatru. Zaś aktor-urzędnik, odrabiający na scenie swój płatny obowiązek, działa na widownię demoralizująco — zniechęca ją mimowoli do teatru.

Wspomniałem, że obsada ról jest tak trudną jak dobór sztuk przeznaczonych do realizacyj scenicznych. Mam wrażenie, że powojenni dyrektorzy teatrów nie odkryli jeszcze tajemnicy, jakie to sztuki, gdzie, kiedy i jakiej publiczności można i należy pokazywać, aby niemi porwać tłum. Nie zawsze przecież np. re-

pertuar sztuk, granych z powodzeniem w warszawskich teatrach, wypełnia widownie w krakowskim teatrze — i odwrotnie. Nie powiedziałbym, aby tu odgrywały rolę jakieś prawa i obowiązki regjonalizmu. Poprostu inne — jak dotąd — jest nastawienie psychiczne publiczności w Warszawie, inne — w Krakowie, a jeszcze inne — w Poznaniu, na Pomorzu, we Lwowie lub Wilnie. Uczucia religijne i narodowe, skłonności do wybuchów patrjotycznych i obchodów wielkich rocznic, dalej — tendencje i słabostki świata burżuazyjnego, zamiłowanie proletarjatu do ładnej muzyki, śpiewki, tańca i kostjumu i t. p. — oto zasady, drogowskazy, zwrotnice na linjach repertuaru poszczególnych teatrów. Będą one prawie w każdej dzielnicy, w każdem mieście inne, odmienne — i dlatego nie wolno ich lekceważyć w obecnych latach uzdrawiania teatru. To winno się dziś stać prawem, wobec którego muszą ustąpić ambicje dyrektorów, wprowadzające na sceny prowincjonalne obowiązkowo sztuki z repertuaru scen stołecznych, nawet sztuki z repertuaru scen zagranicznych. Te postulaty społeczne dzisiejszy teatr obowiązują, bo przecież głośne nawet sztuczydła zagraniczne, w mniej lub bardziej lichych tłumaczeniach, o tendencjach wybitnie hedonistycznych lub kryminalnych, muszą wzbudzić niesmak, a może i obrzydzenie u publiczności, która chciałaby zawsze w teatrze widzieć świątynię sztuki, czasem głośną kazalnicę nad sumieniem narodu, a niekiedy radaby znaleźć w nim zabawę — zapomnienie trosk i tragedji życia...

Patrząc tak na dzisiejszą scenę, znajdziemy z łatwością kąt odbicia oświetlający widownię i dojdziemy do wniosku, że o b e c n y t e a t r n i e p o s i a d a s w o j e j p u b l i c z n o ś c i. Cóż zatem? Każdego dyrektora teatru czeka dziś przedewszystkiem ciężki a wdzięczny obowiązek w y c h o w a n i a sobie swojej własnej publiczności. Materjał — jak dotąd — jest zdemoralizowany. A dokonały tego bynajmniej nie sztuki współczesne (w etycznem, oczywiście i artystycznem pojęciu), ale dokonała w pierwszym rzędzie wojna, jako czynnik rozkładowy, odrywający młodość od pola pracy, a prowadzący ją na pola śmierci i jako czynnik narzucający swą absolutną wolę, przygniatający żołnierskim butem najidealniejsze kanony sztuki — wojna, która zmusza do milczenia muzy, a każe nam krzyczeć głośno o krew brata i o chleb codzienny — która zapala na niebie ognie szrapneli, a gasi gwiazdy genjuszu i zawieruchą sztandarów grozi słabo już tlejącym ogniskom domowym... Do zmęczonych wojną dusz i serc trafia łatwo jedna z najstraszniejszych epidemij: apatja — i rwie, jak pajęczynę, najsilniejsze nawet węzły tradycji artystycznej. Tę resztę sił ducha, która pozostała jeszcze po wojnie, ekspansuje ludzkość w walce na froncie gospodarczym, w walce o byt, która z natury swej zawsze przysłania oczy na piękno, a każe

i pozwala patrzyć jedynie na pieniądz. I oto druga straszna zaraza, która pochłania dzisiejsze społeczeństwo — to zmaterjalizowanie. Ale w naturze człowieka musi budzić się prawo reakcji — łatwej, płytkiej i taniej uciechy. I tę oto tęsknotę — jeśli tak nazwać można pragnienia idące raczej ze zmysłów, a nie z duszy — zaspakajają dziś z rekordową wprost szybkością kina i boiska sportowe. I tu leży nowa przyczyna demoralizacji publiczności teatralnej, gdyż w takich warunkach wyrabia się przekonanie, że teatr jest niepotrzebnym.

Reasumując zatem powody, i te natury artystycznej i te natury społecznej, oddalające dziś publiczność od teatru, znajdziemy sposoby wychowania nowej, powojennej widowni. Droga do tego prowadzi w pierwszym rzędzie przez r e p e r t u a r, przez dobór dramatu (w pojęciu tragedji, komedji czy nawet farsy) o wysokich wartościach tematycznych. Teatr jako forma, a więc reżyserja, gra aktora i dekoracja, winny być traktowane w zupełnej równowadze z dramatem, bez narzucającej się nad nim supremacji, która dziś nie znalazłaby jeszcze u ogółu zrozumienia i uznania, a przyćmiłaby i zagłuszyła wartości tematyczne utworu. Więc ważnym czynnikiem będzie tu wzruszenie bezpośrednie (wykluczające sposób odbierania zjawisk drogą rozumowania, który zazwyczaj daje w wyniku krytykę negatywną), idące z pobudek komedjowych albo tragicznych, a dalej — zainteresowa nie się środkiem wypowiedzenia, grą i osobą aktora-artysty, który wdziękiem i tajemnicą swojej sztuki będzie zdobywał sobie szczerą i coraz szerszą sympatję publiczności, aż stanie się jej ulubieńcem — magnesem ściągającym tłumy na widownię. Jeśli zaś chodzi o wzruszenie — to repertuar komedji czy tragedji winien być tak dobrany i pokazany, aby komizm czy tragizm nie budził refleksyj osłabiających siłę ducha i obniżających wartości moralne widza (jak to czyniły np. przerobione na scenę „Dzieje grzechu" Żeromskiego), ale przeciwnie — winien afirmatywnie sięgać psychiki jego, jego uczuć religijnych, narodowych, społecznych, osobistych... Z apatji powojennej może publiczność uleczyć jedynie sztuka afirmatywna, a zmaterjalizowanie, które tak katastrofalne ma w teatrze następstwa, usunie tylko kult idei na scenie. Społeczeństwo, zmęczone i stargane nerwowo wojną i czasami powojennemi, pragnie dziś spokoju i równowagi — znaleźć je może jedynie w sztuce, gdzie realizuje się harmonja wyrazu wewnętrznego, to jest idei i wyrazu zewnętrznego, to jest formy.

Kult idei w dramacie — to główny postulat, którego dzisiejsza publiczność ma prawo i musi od teatru żądać. Przeciwko brakowi idei protestuje — absencją na widowni. Ale publiczność chce i żąda również kultu formy. I tu nasuwa się jedna uwaga: niebezpiecznym rywalem teatru, jako formy, jest kino. Należy pamiętać, że teatr jest sztuką, kino — przemysłem (gra aktora

filmowego przed objektywem jest sztuką, ale już retusze filmu, wycinanie i zlepianie taśmy i wreszcie wyświetlanie obrazu czy sceny jest przemysłem fotograficznym) i dlatego teatr nie może wdawać się w żadne kompromisy, nie może rywalizować w swoich artystycznie bezpośrednich środkach ekspresji z kinem. Kino operuje przedewszystkiem ruchem i maską, w czem środkiem bardzo pomocniczym jest retusz fotograficzny — a następnie operuje przestrzenią. Teatr okazuje bezpośrednio człowieka żywego, nie wspartego w masce ani w ruchu żadnym retuszem fotograficznym — i dlatego może zwyciężyć na polu ekspresji jedynie tem, czego film nie daje: żywem słowem. To żywe słowo, ta poezja słowa w ustach artysty — to pierwszy i zasadniczy środek, który musi aktora teatralnego uczynić ulubieńcem publiczności — choćby tu dla przykładu wspomnieć Tarasiewicza, Mielewskiego, J. Węgrzyna, których głos zdobywał przebojem widownię... Maska zaś i gest aktora powinny być w dzisiejszym teatrze podporządkowane głosowi jego.

To wychowywanie publiczności teatralnej, wychowywanie dzisiejszej aryjskiej widowni, o którem myślę i mówię, winno się zacząć przez pokolenia przyjmujące z największą wrażliwością — ale zawsze podświadomą, idącą drogą sentymentu — wpływy wewnętrzne i zewnętrzne dzieła sztuki: przez młodzież. Pamiętamy przecież, że za czasów krakowskich dyrektorów teatru, Gliksona i Koźmiana, galerja — to jest młodzież — wyrokowała właściwie o powodzeniu lub niepowodzeniu sztuki i aktora. Tę to młodzież ówczesny mądry i konsekwentny repertuar — repertuar respektujący równowagę idei i formy — wychował zczasem na publiczność dojrzałą i godną do odświętnego przyjęcia dramatu Słowackiego i Wyspiańskiego. A dodać i pamiętać należy, że to wychowywanie publiczności teatralnej przez młodzież, to rola — zadanie i obowiązek — tych, co decydują o repertuarze: dyrektorów teatrów, a nie szkół i zakładów wychowawczych. W tej akcji pedagogicznej szkoła i krytyka publiczna (prasa) może i powinna być tylko środkiem pomocniczym. Zwłaszcza krytyka — jej rola jako wykładnika idei i formy, bywa przez samych krytyków często źle pojmowana i podawana, a wskutek tego przez czytelników bezowocnie przyjmowana. Wielkie posłannictwo krytyki, która pomija komentowanie dramatu - idei i ocenę teatru - formy, a ogranicza się zaledwie do sprawozdania z faktu, — nie jest dziś wyzyskane. Traci na tem teatr, który dla swej historji nie zostawia dokumentów, i traci na tem publiczność, która do takiej krytyki traci zaufanie i przestaje ją czytać — wymyka się z pod jej pedagogicznego wpływu.

Tak więc przez solidarną, konsekwentną współpracę wszystkich elementów stanowiących teatr — autora, ludzi realizujących

teatr (dyrektora, reżysera i aktora) i wreszcie wychowanej teatralnie publiczności — dokona się niezawodny i rychły renesans teatru polskiego, teatru narodowego.

Antoni Waśkowski.

Najmłodsze pokolenie w Stanach Zjednoczonych.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, ze swemi 123 miljonami mieszkańców, nie potrzebują się obawiać wyludnienia. Lecz to bogactwo ludzi, podobnie jak złoto w skarbcach tamtejszych banków, pochodzi w sporej części z zewnątrz, z emigracji. Gospodarka ludnościowa amerykańska, zwłaszcza o ile chodzi o rasę białą, schodzi coraz bardziej na tory Francji, która sztucznym przybytkiem z obcych krajów usiłuje zapełniać własne luki.

Niestety nie posiadamy ewidencji przyrostu naturalnego Stanów Zjedn., gdyż rejestracja liczby urodzeń nie była obowiązkową na całem terytorjum kraju i stąd brak dostatecznych danych porównawczych. Dopiero w ostatnich latach zaczęto w oficjalnych zestawieniach notować statystyki urodzeń, przyczem pokazało się, że w przeciągu kilku lat — od r. 1918 do 1924 — ilość urodzeń na 1.000 mieszkańców spadła z 24·6 na 22·6. Dziś cyfra ta będzie oczywiście jeszcze niższa — podczas gdy u nas w Polsce wynosiła ona w r. 1929 — 32·3 urodzeń.

Where are the babies? Gdzie są dzieci? — pyta nowojorski tygodnik katolicki *America* z lipca b. r. Już w r. 1928 zauważono w wielu znaczniejszych miastach Ameryki silny spadek liczby uczniów (uczennic) w szkołach elementarnych. Wynosił on gdzieniegdzie 20 % w porównaniu z r. 1915, a przyczyną jego, na podstawie badań tamtejszego *Bureau of Education*, jest zmiejszanie się liczby urodzeń. W r. 1920 uczęszczało do pierwszej klasy 4,320.000 dzieci, w sześć lat później, chociaż ludność kraju wzrosła o 10 %, liczba uczniów spadła poniżej 4,000.000.

Zniżka ta daje się najlepiej ocenić w wielkich miastach, gdzie stanowi rażący czasem kontrast z ogromnym stosunkowo przyrostem mieszkańców.[1]) W takiem naprz. Chicago cyfra uczniów pierwszych sześciu klas szkolnych w r. 1929, zmalała w porównaniu z r. 1924 o 6.206 dzieci, pomimo że ludność miasta wzrastała nadzwyczaj szybko. Podobny objaw zastajemy w mieście New York. W r. 1920 liczba jego mieszkańców wynosiła 5,620.048, w czem 560.869 dzieci poniżej 5 lat wieku; w r. 1930 cyfra mieszkańców wzrosła do 6,930.446, a tymczasem liczba dzieci

[1]) Przyrost ów jest następstwem napływu wiejskiej ludności do miast — zjawiska t. zw. urbanizacji. Znamiennem jest, że mimo olbrzymiego terytorjum ludność miejska Stanów Zjedn. przewyższała w r. 1920 o trzy miljony ludność wiejską.

w powyższym wieku spadła do 535.600. Niemowląt (do 1 roku życia) liczono tamże w r. 1920 — 108.908, a w r. 1930 tylko 100.938. Najgorzej przedstawia się naogół stan rzeczy u ludzi bogatych. „Jedna Komisja — pisał K. F. Wolff w r. 1927 w „Rassenlehre" — naliczyła w 45 pałacach bogatej 5 Av. w New York razem tylko 17 dzieci!.. A natomiast w rodzinach amerykańskich murzynów nie jest 10 do 11 zdrowych dzieci żadnym nadzwyczajnym wypadkiem".

Przyczyną tego zjawiska, które zaczyna już niepokoić wielu poważniej myślących, jest, podług samych źródeł amerykańskich, przedewszystkiem uprawiana tam na szeroką skalę *birth control*, dobrowolne ograniczanie potomstwa niedozwolonemi metodami. Na tle amerykańskich stosunków moralnych, które pod każdym względem pozostawiają dziś wiele do życzenia, rzecz ta jest zupełnie zrozumiała. Do czego jednak doprowadzi Stany Zjedn. dalsze kontynuowanie powyższych metod? — „do ruiny moralnej jednostek, a ostatecznie do ruiny społeczeństwa", odpowiada *America*.

Dla nas, jako katolików i Polaków, smutną szczególnie jest wiadomość, że i Polonja amerykańska nie stanowi podobno pod tym względem wyjątku. Jak pisał tamtejszy *Przegląd Katolicki* (Milwaukee, Wis., styczeń 1930 r.), życie rodzinne podupada wśród wielu Polaków, a liczba urodzeń spadła we wszystkich prawie parafjach o połowę, a w niektórych nawet o 75 %, w porównaniu z okresem przedwojennym.

Silny spadek urodzeń, zjawisko dziś powszechne, nie zdziwił jednak nikogo, kto wytrwale śledził rozwój stosunków w Stanach Zjedn. Ale prawdziwą niespodzianką była wiadomość o stanie tej młodzieży, której pozwolono zostać na tej ziemi. Każdy dotychczas sądził, że jeśli gdzie istnieje raj dla dzieci, to w kraju dolara, chlubiącym się z rozwoju nauk pedagogicznych, wspaniałych gmachów szkolnych i troski o wychowanie fizyczne. Tymczasem okazało się, że pod tym względem niema wielkiej różnicy między Europą a Ameryką, owszem w niejednem państwie starego kontynentu sytuacja będzie znacznie pomyślniejsza.

W r. 1930, w dniach od 19—22 listopada, otworzył prezydent Hoover w Waszyngtonie drugą zrzędu (pierwsza była w roku 1909) „Konferencję Białego Domu w sprawie zdrowia i opieki nad dzieckiem".[1]) Podkreśliwszy w przemówieniu wstępnem cele Konferencji, przeszedł do zobrazowania stanu zdrowotnego i moralnego obecnej młodzieży. Na podstawie bogatego materjału,

---

[1]) *The White House Conference on Child Health and Protection.* — U nas najdokładniejsze sprawozdanie z niej — z którego tu korzystamy — zamieścił Dr. Kaz. Górski w czasop. *Opieka nad dzieckiem*, Warszawa, maj 1931 r., str. 234.

przygotowanego przez liczne komisje i podkomisje, okazuje się, że na 45 miljonów dzieci w Stanach Zjedn. jest: [1])

35.000	tysięcy	dzieci normalnych
6.000	„	niedostatecznie odżywianych
1.000	„	cierpiących na wady wymowy
1.000	„	cierpiących na wady serca
675	„	mających wadliwy układ ciała
450	„	umysłowo upośledzonych
382	„	gruźliczych
342	„	cierpiących na osłabienie słuchu
18	„	zupełnie głuchych
300	„	dzieci kalekich
50	„	cierpiących na osłabienie wzroku
14	„	ślepych
200	„	przestępczych
500	„	opuszczonych

Jak widać z powyższego zestawienia, tak znaczna liczba dzieci w Stanach Zjed. potrzebuje specjalnej opieki i leczenia, że nawet zasobny ten kraj nie może zadośćuczynić wymaganiom. Podług jednego z referentów, samych dzieci upośledzonych, mianowicie dotkniętych ślepotą lub osłabieniem wzroku, głuchotą lub osłabieniem słuchu, kalekich i upośledzonych umysłowo, jest tam przeszło 5 miljonów. Dodajmy, że podług słów Hoovera, z liczby 10 miljonów dzieci, mniej lub więcej upośledzonych fizycznie czy psychicznie, około 80 % pozbawionych jest opieki, która mogłaby skutecznie złagodzić ich los.

Bliższe szczegóły w tych i innych zagadnieniach, w które jednak nie wchodzimy, poruszono w licznych referatach sekcyjnych. Tu zanotujemy jedynie parę spostrzeżeń co do śmiertelności dzieci w Stanach Zjedn. Pierwsze miejsce z pośród jej przyczyn zajmują choroby serca, będące następstwem infekcji reumatycznej; śmiertelność z powodu gruźlicy spadła znacznie dzięki postępom higjeny. Około 20.000 dzieci ginie nadto rocznie od różnych wypadków, a jeszcze większa liczba ulega z tej przyczyny urazom, wymagającym specjalnego leczenia.

Najsmutniejszym wszakże jest fakt, że w ostatnim roku około 200.000 dzieci przeszło przez sądy dla nieletnich, a cyfra ta, jak zaznaczyli inni referenci, jest tylko ułamkiem tej liczby dzieci przestępczych, jakie będąc opuszczonemi i zaniedbanemi, zapełnią później więzienia i domy pracy.

Obrady nad sposobami ratowania sytuacji trwały kilka dni, przy udziale najwybitniejszych znawców tego działu. Najważniejszy jednak moment, sądzimy, poruszył prezydent Hoover: „Zba-

---

[1]) Ponieważ podług spisu z r. 1920, na 106 miljonów ludności, było w Stanach Zjed. blisko 34 miljon. dzieci do lat 14-u, wnioskować więc należy, że przy obecnem zaludnieniu — 123 miljonów — liczba 45 miljon. obejmuje dzieci albo do lat 14-u, albo najwyżej do 16 u.

dawszy naukowo każdy fakt — mówił — ustaliwszy każdą formę społecznej opieki, po zorganizowaniu wszelkich instytucyj niezbędnych do wykształcenia, wychowania, leczenia lub rozrywki dziecka, przyjdziemy do przekonania, iż wszystkie te sposoby opieki są tylko surogatem tych fizycznych, moralnych i duchowych darów, któremi obdarza dziecko matka i rodzinne ognisko". Dla zabezpieczenia fizycznego i duchowego dobra dziecka koniecznem jest więc, jego zdaniem, współdziałanie wszystkich czynników — ale z pośród nich rodzina pozostanie zawsze najważniejszym, a rzeczą społeczeństwa i państwa jest pomagać jej w spełnieniu tego zadania.

Ks. St. Podoleński.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 30 września 1931.

Psychologizm religijny.

Ostatnie pięćdziesięciolecie słusznie nazywane jest „złotym okresem psychologji". Zastosowanie nowych metod badań umożliwiło nagromadzenie bogatego materjału i spowodowało niebywały rozwój psychologji. Szersze uwzględnienie momentów psychologicznych w nauce okazało się pożyteczne i przyczyniło się do spopularyzowania i ugruntowania stanowiska psychologji we współczesnej umysłowości.

Rozpoczęło się na wielką skalę psychologizowanie życia i filozofji. Odrzucono istnienie niezmiennych, potrzebnych norm, przekreślono przedmiotowość poznania, całą rzeczywistość sprowadzono do reakcyj psychicznych, a psychologję uznano za podstawę nauki i filozofji. Nawet logikę i metafizykę oparto na założeniach psychologicznych, a więc podmiotowych i względnych (M. de Biran, Jouffroy, Dilthey, Jodl, Ziehen, Müller-Freienfels i inni).

Temu samemu procesowi została poddana religja. Uznano ją tylko za refleks osobistych dążeń, za projekcję podmiotowych funkcyj psychicznych, które, nie mogąc znaleźć zaspokojenia w świecie empirycznym, tworzą świat idealny bez wartości przedmiotowej.

W tych warunkach zagadnienie prawdziwości religji nie mogło być nawet poruszane. Chodziło jedynie o ustalenie, jakie władze psychiczne biorą udział w wytwarzaniu aktów religijnych i jakim potrzebom psychiki ludzkiej religja odpowiada.

W psychologiźmie religijnym można wyróżnić trzy kierunki: indywidualno-psychologiczny, historyczny i patopsychologiczny.

I. Kierunek indywidualno-psychologiczny tłumaczy religję dynamiką psychiki jednostkowej, której dążenia objektywizują się w idealnych przedmiotach religijnych (James, Starbuck, Delacroix, Müller-Freienfels i inni).

1. Najbardziej popularne są teorje, upatrujące genezę religji w jednem z uczuć, lub w jakiejś władzy psychicznej: w strachu (Lukrecjusz), w nienawiści (Nietzsche), w potrzebach wyobraźni (pozytywizm), albo wogóle w popędach (Feuerbach).

Przedstawicielem tego kierunku jest modny dziś myśliciel Richard Müller-Freienfels (ur. 1871).[1])

Religja jest według niego „stosunkiem naszego uczuciowego i wolitywnego ja do świata transcendentnego".[2]) Ten zaś nie jest jakąś różną rzeczywistością od świata empirycznego, lecz wytworem uczucia, które, nie zadawalniając się zjawiskami zmysłowemi, stwarza sobie nowy idealny świat, gdzie „ideały ludzkie znajdują swe zaspokojenie".[3])

Dziedzina religijna jest więc indywidualnym twórczym aktem człowieka, ugruntowanym w dążeniu do udoskonalenia i rozwoju. Nie rzeczywistość przedmiotowa odbija się w świadomości i budzi akty religijne, lecz, przeciwnie, podmiotowe przeżycia objektywizują się w wyobrażeniach, które znów, przeszedłszy skombinowane przemiany, wytwarzają świat transcendentny.[4])

To przetwarzanie podmiotowych uczuć ma charakter irracjonalny i przechodzi analogiczne etapy, co twórczość estetyczna, z tą jedynie różnicą, że produkty uczucia narzucają się w religji jako przedmiotowe. Zadaniem psychologji jest analiza dogmatów religijnych i wykazanie, że „obrazy świata transcendentnego mają swe źródło w doczesności

---

[1]) *Psychologie d. Religion* t. 2. Berlin u. Leipzig 1920; *Philosophie der Individualität*. Leipzig 1921; *Metaphysik d. Irrationalen*, Leipzig 1927.

[2]) *Psychologie*, I, 11. Podobne określenie znajdujemy w najnowszej filoz. religji L. Hamburgera: „Religion ist emotionale Beziehung zur Welt". *Die Religion in ihrer dogmatischen u. reinen Form.* München 1930, s. 25.

[3]) *Psychologie*, I, 12.

[4]) I, 59, 63.

i stosunki transcendentne są jedynie zmienioną formą stosunków doczesnych". [1])

2. Od tego utartego typu odbiegają teorje, doszukujące się genezy religji w podświadomości. Przodujące miejsce zajmuje William James († 1910) przez swe dzieło *The Varieties of religious Experience*, 1902. [2])

Religję uważa James za sumę specyficznych przeżyć i dlatego bada ją wyłącznie pod kątem psychologicznym. Strona instytucjonalna religji (organizacja, prawa, kult, teologja i t. p.) posiada znaczenie drugorzędne, ponieważ jest uzależniona od czynników zewnętrznych i dlatego zmienna. [3])

Istotę tych przeżyć stanowi uczucie religijne, którem to mianem są oznaczane te wszystkie uczucia, jakie zostały wywołane przez przedmioty religijne, czyli przez pewne siły najwyższe i najpotężniejsze i dlatego wyróżniają się od innych uczuć „powagą", „charakterem uroczystym" i entuzjazmem. [4])

Najwyższym stopniem uczuć religijnych są przeżycia mistyczne, które posiadają następujące cechy: *a)* są niewyrażalne, bo nie dadzą się ani zdefinjować, ani opisać; trzeba je samemu przeżyć, by je zrozumieć. *b)* Towarzyszy im oświecenie poznawcze, które umożliwia wniknięcie w głąb duszy i zrozumienie tajemnic. *c)* Są nietrwałe, bo nie przeciągają się dłużej ponad dwie godziny. *d)* Wywołują bierność umysłu, połączoną ze świadomością „porwania i podtrzymania przez wyższą potęgę". [5]) Dzięki powyższym przymiotom uczucia religijne odgrywają ważną rolę w życiu — one głę-

---

[1]) *Psychologie* II, 95.

[2]) *Doświadczenia religijne.* Przełożył J. Hempel. Warszawa 1918. Nadto *Pragmatyzm*, przekł. W. Kozłowskiego. Warszawa 1911; *Filozofja wszechświata*, tłum. Witwicki. Lwów 1913.

[3]) *Dośw. rel.* s. 25, 400 (cyt. według tł. polskiego).

[4]) Religja oznacza „takie uczucia, czyny i odbywające się w samotności doświadczenia jednostki ludzkiej, przy których jednostka ujmuje się jako pozostająca w jakim bądź stosunku do tego, co sama uznaje za boskie", s. 27. „Aby postawa... zasługiwała na miano religijnej, musi być w niej pewna uroczystość, powaga i miłość. Jeśli jest radosna, nie może drwić, lub wybuchać śmiechem; jeśli jest smutna, nie może jęczeć, lub przeklinać", s. 34.

[5]) S. 351 n.

boko poruszają i rozszerzają nasz świat uczuciowy, wnoszą w duszę pierwiastek siły, a zarazem uszczęśliwiają człowieka, łącząc go z Absolutem i wiecznością.[1])

Zróżnicowanie uczuć, a tem samem i życia religijnego ma swą rację w dwóch rodzajach temperamentów ludzkich (once born and twice characters). Typ optymistyczny przeżywa religję jako radość życiową i pod tym kątem ujmuje wszystkie prawdy religijne — one budzą zapał życiowy, wiarę w siebie i są twórczym czynnikiem rozwoju.[2]) Typ pesymistyczny wrażliwy jest na ciemne strony bytu i z tego stanowiska ujmuje życie religijne. Zło, cierpienie, grzech, piekło, wyrzuty sumienia — te momenty przedewszystkiem wywołują jego reakcje uczuciowe i są akcentowane w osobistem życiu religijnem i urządzeniach kościelnych.[3])

Genezy uczuć religijnych dopatruje się James w podświadomości, którą nazywa sferą B. Na jej zawartość składają się, oprócz procesów fizjologicznych organizmu, te chwilowe wrażenia, akty myśli i woli, krótkotrwałe popędy i inne przeżycia, które, nie mogąc dłużej pociągnąć ku sobie uwagi, zostały zepchnięte z pola świadomości.[4]) Wszystkie te treści podświadome żyją nadal, oddziaływują na nasze ja, wykazują dążność do wydostania się na próg świadomości, a w pewnych momentach występują jako syntetyczna całość w postaci drugiego „ja" podświadomego.

Jeżeli to oddziaływanie dokonywa się z wielką siłą, wówczas rodzą się uczucia religijne. Pierwiastki podświadome występują w tych razach jako prawdy obce, narzucone przez wyższe siły i posiadające autorytatywne uprawnienia.[5]) Wprawdzie możliwy jest wpływ sił wyższych na naszą podświadomość, jednak ze stanowiska psychologicznego należy uznać akty religijne za rezultat „wdarcia się"

---

[1]) *Dośw. rel.* s. 42 n.; R. Berthelot, *Un romantisme utilitaire.* Le pragmatisme religieux chez William James et chez les catholiques modernistes. Paris 1922, s. 106 nn.

[2]) S. 70 n.

[3]) S. 116 nn.

[4]) S. 461.

[5]) S. 217.

treści podświadomych na pole świadomości. Wszelkie zmiany w życiu religijnem są następstwem oddziaływania podświadomości na nasze ja.[1])

Chociaż akty religijne wskazują na rzeczywistość transcendentną, oznaczaną mianem bóstwa, to jednak właściwym ich przedmiotem jest podświadomość w postaci tych tajemniczych treści psychicznych, które w ukryciu formują indywidualność człowieka, a na progu świadomości pojawiają się otoczone nimbem tajemniczości, autorytetu i wyższego pochodzenia. Ich nadprzyrodzoność jest tylko jednym ze sposobów określenia pewnych odcinków rzeczywistości doczesnej.[2])

Największe trudności nasuwało Jamesowi ustalenie kryterjum prawdziwości religji. Początkowo upatrywał je w poczuciu realności, jakie towarzyszy aktom religijnym. Realność przedmiotów religijnych, przebijająca przez przeżycia, jest tak przekonywująca, że one rodzą w nas pewność o ich istnieniu. Stopień tej pewności jest nie mniejszy od pewności płynącej z wrażeń zmysłowych.[3]) Później jednak, w zrozumieniu trudności, jakie niesie z sobą oparcie religji na tak niepewnem kryterjum, James wysunął moment pragmatyczny — za sprawdzian idei przyjął jej pożyteczność. Weryfikacja idei przez czyn należy do jej istoty i powinna być zastosowana do wszystkich dziedzin życia ludzkiego, nie wyłączając religji. „Wierzenia religijne są prawidłami działania i całe zadanie myślenia polega tylko na zbliżeniu nas do wytworzenia przyzwyczajeń czynnych".[4]) Te idee religijne są prawdziwe, które umożliwiają nam dostosowanie się do warunków naszego bytowania, które budzą wiarę w życie, potęgują naszą odporność i są czynnikami naszego postępu. Pod tym kątem należy oceniać ideę Boga. Jego atrybuty metafizyczne, jako nieprzydatne do ży-

[1]) Naprzykład, nawrócenie religijne polega na mniej lub więcej gwałtownem „wdarciu się" nowych wyobrażeń na pole świadomości i wyparciu przez nie dawnych dyspozycyj psychicznych, wskutek czego punkt ciężkości przesunął się gdzieindziej. s. 217 nn.

[2]) S. 431.

[3]) S. 57.

[4]) S. 412.

cia, są „bezwartościowym wynalazkiem suchego umysłu książkowego". [1]) Natomiast atrybuty moralne Boga trzeba uznać za prawdziwe ze względu na ich ścisły związek dodatni z życiem praktycznem. [2])

Z tego stanowiska oceniając religję, James uznał ją za niezmiernie pożyteczny czynnik życiowy. „Dzięki niej życie ludzkie nabiera jakby nowego smaku, przybywa mu coś, co przybiera postać bądź zachwycenia lirycznego, bądź odwołania się do dostojeństwa i bohaterstwa. Dzięki niej jawi się poczucie bezpieczeństwa, usposobienie pokojowe, a w stosunku do bliźnich przewaga uczuć miłosnych. [3]) Z ogromnem uznaniem wyraża się również o świętych — uważa ich za wielkich dobroczyńców ludzkości, za twórczą siłę społeczną, za twórców i pomnożycieli dobra, za czynnik rozwoju i zwiastunów lepszej przyszłości. [4])

Poglądy Jamesa wywarły niemały wpływ, który trwa do naszych czasów. Z tego ducha wyrosła teorja Emila Mattiesen, wyłożona w obszernem dziele p. t. *Człowiek zaświatowy*. [5]) Ten nowoczesny filozof rozróżnia podwójny typ religijny: człowieka doczesnego i zaświatowego.

U człowieka doczesnego wszystkie popędy nastawione są na opanowanie rzeczywistości ziemskiej. Taki człowiek ma swą ideologję, posiada moralność i religję, a łącznikiem pomiędzy nimi i czynnikiem, pobudzającym go do działania jest pęd do opanowania świata, do własnego rozwoju i używania. Każdy krok naprzód rodzi radość życia i pobudza do dalszych wysiłków, których cel jest również doczesny.

Odmienną strukturę psychiczną posiada „człowiek zaświatowy". Cechuje go rozdwojenie świadomości i powstanie drugiego, a nawet trzeciego ja, które pomiędzy sobą toczą walkę. Wytwarza się wówczas w człowieku dziwne ugrupowanie aktów i władz psychicznych, które oddziaływują na czyny świadome, ale które zdają się pochodzić od innej

---

[1]) S. 413.
[2]) S. 415.
[3]) S. 449.
[4]) S. 330 n.
[5]) Emil Mattiesen, *Der jenseitige Mensch* (s. 825), Berlin und Leipzig 1925.

rzeczywistości. Kompleksy uczuć, ugrupowane wokół jednego z rozdwojonych „ja", mogą występować z taką siłą, że człowiek czuje się Bogiem.

Powstałe na gruncie takiego konfliktu akty psychiczne, wskutek dołączenia się czynników metapsychologicznych (okkultyzm i t. p.) wydają się całkiem odmienne od zwykłych aktów życiowych, wskazują na sferę transcendentną, w gruncie rzeczy jednak mają charakter imanentny i tłumaczą się przyczynami psychologicznemi. [1])

W podobny sposób tłumaczy religję Jakób Hauer. [2]) Akt religijny polega według niego na przeżywaniu świętego lęku przed groźną siłą, która nas przewyższa i której łaskę chcemy sobie zaskarbić. Genezy tych przeżyć należy doszukiwać się w podświadomości. Z postępem kulturalnym wzrośnie udział twórczego ja ludzkiego, a wtedy zmieni się charakter tych przeżyć, ponieważ dotychczasowe ich pierwiastki „transcendentne" będą mogły być odniesione do przyczynowości ludzkiej.

3. Wpływ psychologizmu odbił się również na protestanckiej filozofji religji. Zachowała ona wprawdzie objektywizm i transcendentyzm świata religijnego, ale, głosząc jego niepoznawalność rozumową, musiała — z pominięciem metafizyki — ograniczyć się do analizy przeżyć religijnych, a zatem oprzeć się na psychologji religji.

Za przykład może służyć Georg Wobbermin, prof. teol. protest. w Heidelbergu. [3]) Religję uważa on za podmiotową funkcję, w której człowiek przejawia swój stosunek do przeczuwanego świata nadziemskiego. [4])

Punktem wyjścia w badaniu religji powinna być analiza przeżyć religijnych. Na ich strukturę składa się cały kompleks uczuć, z których najważniejszemi są uczucie zależności, obowiązku i pragnienia szczęścia. Te uczucia de-

---

[1]) Por. G. Niemeier, *Die Methoden und Grundauffassungen d. Religionsphilosophie d. Gegenwart.* Stuttgart 1930, s. 104.

[2]) *Die Religionen.* Ihr Werden, ihr Sinn, ihre Wahrheit. I Buch. Berlin 1923.

[3]) *Das Wesen d. Religion* Leipzig 1921; *Die religionspsychologische Methode in Religionswissenschaft und Theologie.* Leipzig 1913.

[4]) *Das Wesen* s. 139.

terminują postawę religijną człowieka, którą cechuje oczekiwanie, bierność i tęsknota za zmianą, która ma przyjść z zewnątrz — od Boga. Formuły dogmatyczne w religji są czemś dodatkowem, zmiennem, usiłującem zharmonizować wymogi uczucia, jakiem żyje religja, z prawami rozumu.[1])

Podobne poglądy głosi również Heinrich Scholz, prof. w Kilonji.[2]) Problem prawdziwości religji uważa za nierozwiązalny na płaszczyźnie rozumowej i ogranicza się do analizy przeżyć religijnych. Wyróżniają się one swą akosmicznością, wzniosłością i nieskończoną wartością. Tkwiący w nich pierwiastek uczuciowy wyodrębnia je od aktów rozumowych, a religję odróżnia od metafizyki.

Religja opiera się na pewniku, że Bóg istnieje. Choć żadne racje rozumowe nie dadzą się przytoczyć na poparcie tego sądu, to jednak dziwne uczucie potwierdzające, jakie towarzyszy doznaniom religijnym, uczucie, nie dające się usunąć żadnemi dowodami, jest gwarancją ich prawdziwości.[3]) Brak objektu realnego nie przeszkadza uznać prawdziwości aktów religijnych, — wszak często tworzymy sądy i uznajemy je, choć nie ujmujemy zmysłowo ich przedmiotów. Moment racjonalny może być przeto usunięty z religji, co uwolni ją od antynomij, jakie niesie z sobą rozum.[4])

Za ważny czynnik w życiu religijnem uznaje Scholz temperament i charakter i na tej podstawie buduje swą typologję religji (religja wolności, autorytetu, mistycyzmu, nastrojowa i stała, obrazowa, abstrakcyjna i t. d.).[5])

II. Kierunek historyczny upatruje w religji wy-

---

[1]) S. 72.

[2]) *Religionsphilosophie*, wyd. 2. Berlin 1922.

[3]) S. 307 n.

[4]) S. 441, 168. Chrześcijaństwo tak określa: „Es ist die Religion des Kreuzes, es ist die Religion, die den Ewig-Lebendigen auch da noch anbetet, wo er unerforschlich geworden ist. Und es ist zugleich die Religion, die aus den Abgründen menschlicher Sünde und Schuld zur unendlichen Hoheit des Göttlichen emporschaut". s. 200.

[5]) S. 273 nn. Nadto psychologizm relig. głoszą: Friedr. Heiler, *Das Gebet* wyd. 4. München 1924. Henri Delacroix, *Études d'histoire et de psychologie du mysticisme. Les grands mystiques modernes.* Paris 1908; *La religion et la foi.* Paris 1922. E. Spranger, *Lebensformen*, wyd. 5. Halle 1925. M. Hébert, *Le divin. Expériences et hypothèses.* Paris 1907.

twór życia historyczno-społecznego. Wprawdzie religja ugruntowana jest w psychice jednostki, ale odnośne popędy rozwinęły się dopiero pod wpływem czynników społecznych i dlatego nie można jej rozpatrywać w oderwaniu od życia zbiorowego.

Przedstawicielem tego kierunku jest Wilhelm Wundt († 1920). Źródło religji upatruje Wundt w wyobraźni i uczuciu. Uczucia strachu, nadziei i miłości, nie znajdując pełnego zaspokojenia w świecie empirycznym, objektywizują się dzięki wyobraźni w przedmiotach idealnych, które znów w rozwoju historycznym ludzkości nabierają cech religijnych.

Rozwój życia psychicznego, a tem samem i religji, rządzony jest dwoma prawami: twórczej syntezy i heterogonji celów. Prawo twórczej syntezy — to pęd, leżący u gruntu woli, który pcha ją do ciągłego rozwoju w postaci wyładowania z siebie całej potencjalnie w bycie tkwiącej energji. Stąd zarówno pojedyncze byty, jak ich skupienia wykazują nieustanne dążenie do udoskonalenia. Nic nie trwa w bierności, nic nie zatrzymuje się na miejscu. To dążenie do rozwoju rządzone jest znowu prawem heterogonji celów. Głosi ono, że osiągnięty cel idzie dalej, niż jego zamierzenie, czyli że przyczyna życiowa wywołuje podwójny skutek: główny, zamierzony i poboczny, niezamierzony, który jednak przewyższa cel główny i jest czynnikiem rozwoju.

Religja, w pojęciu Wundta, przeszła cztery stadja rozwoju: [1])

1° Wiara w demony. Człowiek pierwotny prowadził życie koczownicze, uprawiał myśliwstwo i żył chwilą. Tylko widok choroby i śmierci budził w nim wyobrażenie wyższej mocy, którą przedstawiał sobie w postaci duszy cielesnej, która po śmierci człowieka krąży w pobliżu trupa, budząc

---

Troels-Lund, *Himmelsbild und Weltanschauung im Wandel der Zeiten.* wyd. 5. Leipzig 1929 (tłumaczy genezę religji uczuciem lęku przed ciemnościami). H. Höffding, *Philosophie de la religion.* 2 wyd. Paris 1909.

[1]) Odnośne prace Wundta: *Völkerpsychologie* Eine Untersuchung der Entwicklungsgesetze von Sprache, Mythus und Sitte. Bd. IV. wyd. 3. Leipzig 1920. *Probleme d. Völkerpsychologie.* 2 wyd. Leipzig 1921. *Elemente d. Völkerpsychologie* Leipzig 1922.

grozę, albo nawet w nim przebywa. Zmarły staje się demonem, którego się człowiek żyjący obawia i przed którym broni się przy pomocy czarów (amulety, talizmany).[1])

2⁰ Totemizm jest drugim etapem rozwojowym religji. Powstaje wówczas wyobrażenie duszy cielesnej, oddechowej i duszy jako cienia. Dusza cielesna pozostaje nawet w trupie ludzkim i dlatego należy go czcić; dusza-cień krąży wokół trupa i ukazuje się we śnie; dusza zaś oddechowa przeobraża się w obłok, albo ucieleśnia się w zwierzęciu lub w ptaku, które dlatego uważane są za nietykalne (totem, tabu).[2]) Nawet rośliny i rzeczy materjalne mogą się stać przedmiotem skupienia wyższych tajemniczych sił, związanych z duszą. Takie przedmioty stają się fetyszami i uważane są za skuteczny środek czarodziejski.[3])

3⁰ O właściwej religji można mówić dopiero w okresie bogów i bohaterów. W bohaterach zostały uosobione idealne siły ludzkie, a bogowie są kombinacjami demonów i bohaterów. Bóg jest wyższy od demona, bo jest nieśmiertelny i jako osoba przebywa w niebie, na górach i w głębiach morza. Z tych wyobrażeń wytworzyło się pojęcie świata nadzmysłowego, a specjalnie nieba i piekła. W związku z tem na podłożu uczuciowem wyrósł kult, jako środek zapewnienia sobie życzliwości bogów. Kult, oraz wyobrażenie nieba i piekła spowodowały w dalszym rozwoju powstanie norm etycznych o charakterze religijnym.[4])

4⁰ Ostatniem stadjum rozwojowem będzie według Wundta t. zw. religja ludzkości, głosząca dogmat poszanowania rozwoju i praw każdego człowieka. Dwie dotychczasowe religje mogą spełnić to zadanie: chrześcijaństwo i buddyzm. Obie charakteryzuje nieosobowe, ponadziemskie, abstrakcyjne pojęcie Boga. Wprawdzie Bóg chrześcijański posiadał pierwotnie rysy osobowe, ale filozofja przetworzyła tę ideę przez dołączenie do niej przymiotu nieskończoności, co

---

[1]) *Völkerpsychologie*[3] IV, 82 nn.

[2]) IV, 125 n. 327 nn.

[3]) IV. 285 n. Późniejszy fetyszym przybrał formy manizmu, który polega na kulcie przodków, uosobionych w pewnych zwierzętach. IV, 227.

[4]) VI, 403 n.; IV[3], 342. 494 n. Ks. J. Radziszewski, *Geneza religji*, Włocławek, 1910.

pociągnęło za sobą depersonalizację Boga. Ponieważ jednak kult religijny posiada nastawienie osobowe, przeto ludzkim twórcom tych religij nadano rysy boskie i uczyniono przedmiotem kultu.[1])

Proces rozwojowy religji musi coraz bardziej uwydatnić charakter ludzki religji, która jest „uczuciem zależności człowieka i otaczającego go świata od rzeczywistości nadzmysłowej, w której spodziewa się urzeczywistnienia swych ideałów, uważanych za najwyższy cel dążeń ludzkich". [2]) Jednak ta rzeczywistość nadzmysłowa jest jedynie podmiotowym wytworem psychiki ludzkiej, zdążającej do rozwoju i dlatego zakładającej sobie cele idealne.[3])

III. Kierunek patopsychologiczny. Dążność do upatrywania w religji patologicznego przejawu życiowego, jaka dyskretnie zaznacza się u Jamesa, wystąpiła całkiem wyraźnie u późniejszych amerykańskich psychologów religji (Lemba, Coe, King) i w szkole francuskiej (Ribot, Binet, Sanglé).

Człowiek religijny wydawał się anormalny, ponieważ jego myślenie, tęsknoty i czyny, zamiast zwracać się ku otaczającej go rzeczywistości, nastawione są w kierunku transcendentnym. Powoływano się również na fakt, że w starożytności stany chorobliwe, jak manja, ekstaza, epilepsja uważane były za inkarnacje bóstwa i dlatego Heraklit nazywał wiarę świętą chorobą. Podobne oceny stosowane są u ludu dziś w Rosji i na Wschodzie.

W ostatnich czasach poglądy o psychopatologicznym charakterze religji zyskały nowe sformułowanie w psychoanalizie.

Twórca psychoanalizy Sigmund Freud (ur. 1856, lekarz wiedeński) w swych dziełach często zajmuje się re-

---

[1]) K. Kesseler, *Das Problem d. Religion.* Leipzig 1920, s. 66 n.

[2]) VI, 522.

[3]) Do poglądów Wundta zbliżony jest socjologizm religijny Durkheima (Por. Ks. Dr. Szydelski, *Studja nad początkami religji.* Lwów 1916, s. 322—346), a z pisarzy Boucher de Perthes, Spencer, Tylor i inni).

ligją,[1]) a ostatnio poświęcił temu zagadnieniu specjalną pracę p. t. *Przyszłość złudzenia.*[2])

Psychoanaliza dzieli życie psychiczne na świadome i podświadome. Na treść podświadomości składają się przedewszystkiem te przeżycia w postaci popędów i pragnień, które, kolidując z prawem moralnem, z tradycją, czy z wymogami chwili, nie mogły się utrzymać i zostały „wyparte" *(Verdrängung)* do podświadomości. Jeżeli tego rodzaju wyparcie dotyczy istotnych aktów życiowych i zostało dokonane na drodze gwałtu psychicznego, to może nawet doprowadzić do zaburzeń zmysłowych (histerja, neuroza i t. p.).

Do poznania tych nawarstwień podświadomych prowadzą nas marzenia senne, które właściwie są pragnieniami, domagającemi się wyładowania, — oraz takie fakty życiowe, jak zapominanie, zakłopotanie wobec pewnych rzeczy i osób, błędy mimowolne i t. p. Według Freuda, olbrzymia część tych podświadomych, wypartych przeżyć jest natury seksualnej w formie dawnych przytłumionych uczuć, pragnień i niewykończonych czynów, które od wczesnego dzieciństwa odgrywały ważną rolę w życiu ludzkiem. Te przytłumione akty seksualne szukają swego wyładowania z podświadomości i znajdują je w dwóch postaciach: w psychozie, która jest stanem chorobliwym, oraz w wyższych idealnych celach (filozofja, sztuka, religja i t. p.), które są właściwie sublimowanemi popędami seksualnemi.[3])

Popęd seksualny *(libido)* leży również u podstaw religji. Jej genezę tłumaczy Freud w ten sposób: W pierwotnej hordzie ludzkiej potężny i zazdrosny ojciec, idąc za głosem swych najsilniejszych popędów, zarezerwował dla siebie wszystkie kobiety, a dorastających synów, w obawie o swe wpływy, powypędzał z hordy. Ci z zemsty napadli na ojca i zamordowali go, a jego ciało podzielili pomiędzy siebie i zjedli, aby przejąć siłę i uprawnienia ojca. Uczta totemistyczna, jaka dziś jeszcze odbywa się u ludów pierwot-

---

[1]) *Über Psychoanalyse*, wyd. 7 Wien 1924; *Totem und Tabu*, 1913. *Das Ich und das Es*, Wien 1923.

[2]) *Die Zukunft einer Illusion*, wyd. 2, Wien 1928.

[3]) R. Müller-Freienfels, *Die Hauptrichtungen d. gegenwärtigen Psychologie*. 6—19 Tausend. Leipzig 1931, s. 103 n.

nych, przypomina ten akt zbrodniczy. Po spełnionym czynie zbudziły się jednak u synów dawne uczucia przywiązania, i ci, żałując ojca, uczynili z niego „totem", t. j. wybrali jakieś zwierzę i ogłosili je za nienaruszalne i święte.[1]) Nadto, ponieważ swą żądzę seksualną do sióstr uważali za przyczynę zabójstwa ojca, przeto na znak ekspiacji, zakazali stosunków z bliskiemi krewnemi. Zamiast dawniejszej hordy powstały klany braterskie, w których czczono ojca w postaci totemu.

W tem podwójnem tabu, t. j. w czci ojca i zakazaniu stosunków płciowych z najbliższem otoczeniem, dopatruje się Freud początku religji i moralności. Wspomnienie czynu ojcobójstwa na tle seksualnem zachowało się w naturze ludzkiej do dzisiejszego dnia w postaci „wypartych" uczuć nienawiści synów względem ojca, a miłości ku matce (t. zw. kompleks Edypa). Sublimowanie kompleksu Edypa jest początkiem religji.[2])

Ten fakt pradziejowy nie stworzył religji, a tylko ją ujawnił, dając możność wyładowania się i objektywizacji najtajniejszych pragnień ludzkich. „Wyobrażenia religijne nie są wynikiem naszych doświadczeń, ani rezultatem naszej pracy myśli, lecz złudzeniami *(Illusionen)*, bo spełnieniem najdawniejszego i najsilniejszego pragnienia ludzkości".[3]) Religja bowiem jest projekcją życzeń ludzkich, sięgających początków ludzkości, życzeń pożytecznych ze stanowiska biologicznego i w sobie pięknych, ale właśnie dlatego że są one zbyt piękne i ponętne, wydają się nierealne.[4]) Religja jest infekcją życia, jest ogólno-ludzką przymusową neurozą, wyrosłą na podłożu niezaspokojonych popędów seksualnych.[5]) Jest więc przejawem chorobliwym, jest iluzją, do której człowiek ucieka się, gdy nie może podołać obowiązkom życiowym, a nie mogąc zaspokoić popędów osobistych,

[1]) Specjalnie religią ze stanowiska psychoanalitycznego zajmuje się O. Pfister w pracach: *Die psychoanalytische Methode* 1913; *Zum Kampf um die Psychoanalyse* 1920.

[2]) G. Niemeier, dz. c. s. 63 n.

[3]) *Die Zukunft* s. 47.

[4]) S. 53.

[5]) K. Beth, *Die Religion im Urteil der Psychoanalyse.* Zeitschr. f. Religionspsychol. II, 1 (1929) s. 76.

sublimuje je i symbolizuje w idei Boga. Uwolnienie ludzkości od tych „złudzeń" przez wykrycie jej patologicznych źródeł stawia Freud za cel swojego życia.[1])

Przechodząc do uwag krytycznych o powyższych kierunkach, należy na wstępie zaznaczyć, że uwzględnienie psychologicznej strony w religji jest w zasadzie słuszne i pożądane. Religja bowiem to nietylko suma pewnych prawd, w jakie człowiek wierzy, ale i specyficzne przeżycia, które one budzą, przeżycia o skomplikowanej strukturze, rządzące się swojemi prawami i wywierające silny wpływ na całe życie duchowe człowieka. Ich analiza pozwala wniknąć w tajniki życia religijnego jednostki i zrozumieć jej postawę życiową, a zarazem rzuca światło na stronę dogmatyczną religji, która zrodziła tego rodzaju reakcje psychiczne.[2])

To zadanie spełni psychologja religji, jeżeli nie przekroczy swych uprawnień, czyli jeżeli ograniczy się do roli nauki pomocniczej, wyjaśniającej, a nie zechce być nauką normatywną, by, z pominięciem innych sprawdzianów, wydawać sąd o genezie i prawdziwości religji.[3])

Ten błąd popełnił psychologizm i doszedł do zaprzeczenia religji.

Psychologja postępuje z przeżyciami religijnemi w ten sposób, że rozkłada je na części, grupuje według przynależności do podstawowych form psychicznych (myśl, wola i t. p.), wskazuje na rolę tych składowych części, ustala rządzące niemi prawa, by na podstawie wniknięcia w naturę części móc wygłosić sąd o całości.

---

[1]) K. Beth, *Die Religion im Urteil der Psychoanalyse*. s. 77. Ocenę podaje P. G. Bichlmair, *Religion u. seelische Gesundheit*. Breslau 1931, (*Schönere Zukunft* 1931. Nr. 34, 35).

[2]) „Jakże tu przypuścić — mówi słusznie O. de Munnynck — żeby teolog mógł być obojętny na psychologję religji? Zrzekłby się w takim razie podrzędnej wprawdzie, ale ważnej strony przedmiotu swych badań i skazałby na bezowocność wszystkie swe wysiłki ku osiągnięciu prawowitej syntezy". W *Przedsionku psychologji religji* tł. polskie. Warszawa 1916, s. 90.

[3]) Takie postulaty postawiono psychologji religji ze strony katolickiej na ostatnim kongresie psychologji religji, odbytym w Wiedniu w maju 1931 r.

W takiem postępowaniu tkwi niebezpieczeństwo przeoczenia istoty rzeczy. Już w dziedzinie niższych przejawów życiowych droga poznawcza od części do całości niezawsze prowadzi do celu. Organizm można rozłożyć na części i w szczegółach ustalić ich naturę, a mimo to pierwiastek życiowy pozostanie nieuchwytny. Większe trudności nasuwają akty psychiczne. Można przeprowadzić dokładną analizę ich części, ale to nie daje wglądu w naturę całości. Ich kawałkowanie nie doprowadza do wykrycia istoty całości, ponieważ ta nie jest tylko sumą części, ale i tem nieznanem *x*, które w częściach się nie mieści, a jest duszą całości. Atomizowanie zjawisk ustąpiło dziś miejsca nastawieniu na poznanie struktury rzeczy, jako określonej całości („psychologja strukturalna", *Gestaltftheorie*).[1]) Im zjawisko należy do wyższej kategorji ontycznej, tem większą posiada spoistość wewnętrzną i większą niepodzielność. Skomplikowane procesy myślowe, czy wolitywne, przedstawiają większe trudności poznawcze na drodze analizy ich części, niż naprzykład obraz zmysłowy.

Te trudności zwiększają się w akcie religijnym ze względu na jego specyficzną naturę. Zawiera on w sobie pierwiastki intelektualne, obok uczuciowych i wolitywnych, nie jest wolny od wyobrażeń zmysłowych, a nawet czucia organiczne wchodzą w skład tej dziwnej całości, a przecież żaden z tych różnorodnych pierwiastków nie stanowi istoty aktu religijnego. Psychologiczne poznanie tych części nie jest równoznaczne z poznaniem samego aktu religijnego. To, co czyni dane przeżycie aktem religijnym, nie da się psychologicznie ująć, ani eksperymentalnie odtworzyć, ani włączyć do znanych nam grup psychicznych. Moment transcendentny, stanowiący istotę aktu religijnego, uchyla się z pod kompetencji psychologji. Powstaje wówczas paradoksalna sytuacja, że analiza psychologiczna została przeprowadzona prawidłowo, że wykryte przez nią składowe części aktu religijnego odpowiadają rzeczywistości, że nawet ich

---

[1]) A. Wenzl, *Der Gestalt- und Ganzheitsbegriff in der modernen Psychologie, Biologie und Philosophie und sein Verhältnis zum Entelechiebegriff* (Philosophia perennis. Regensburg 1929, II, 659 n.).

dynamika została trafnie oddana, a mimo to wyniki ostateczne wykazują niezrozumienie istoty religji. Pominięty bowiem został moment transcendentny, jako nie leżący na tej samej płaszczyźnie, a przecież on stanowi duszę aktów religijnych. [1])

Nadto, przesadne psychologizowanie aktów religijnych odziera je z pierwiastków irracjonalnych, pozbawia je piętna tajemniczości, sprowadza do poziomu zwykłych zjawisk i włącza w łańcuch związków przyczynowo-empirycznych, rządzonych prawem konieczności. W tych warunkach niema mowy o pietyźmie religijnym, który może być wywołany tylko przez rzeczywistość nadziemską, przekraczającą nasze ja. [2])

Z potrzeby wprowadzenia do aktów religijnych „czynnika wyższego", irracjonalnego, zdaje sobie sprawę współczesny psychologizm, i nie chcąc, a więcej jeszcze — w myśl założeń teorjopoznawczych — nie mogąc przyjąć rzeczywistości transcendentnej, ucieka się do podświadomości, ewolucji historycznej i t. p. Podświadomość ma być — według Jamesa — tym pierwiastkiem ponadempirycznym, który swą tajemniczością i nadzwyczajnością uzupełnia luki, powstałe w aktach religijnych przy tłumaczeniu ich przyczynami psychologicznemi, a zarazem salwuje ich podmiotowy i czysto ludzki charakter. Jest to więc wyznanie, że zjawiska religijne wykazują znamiona, nie dające się zamknąć w granicach przyczynowości naturalnej i nie leżące na jednej linji ontycznej ze świadomemi zjawiskami psychicznemi, że trzeba więc gdzie indziej doszukiwać się ich genezy.

Czy jednak ta tajemnicza „podświadomość" wyjaśnia transcendentny charakter religji? Bynajmniej. Nie jest ona rzeczywistością odmienną, lecz sumą jednostkowych aktów fizycznych i psychicznych, które stanowią podłoże życia świadomego. Mniejszy lub większy stopień uświadomienia aktów ludzkich nie zmienia ich charakteru ontycznego. To, co posiada znamiona wyższości i tajemniczości, co zdaje

[1]) E. Brunner, *Erlebnis, Erkenntnis und Glaube*, wyd. 2—3. Tübingen 1923, s. 48.

[2]) A. Liebert, *Die geistige Krisis d. Gegenwart*, wyd. 3. Berlin 1924, s. 162.

się pochodzić z wyższego świata, jest w gruncie rzeczy nieuchwytnym procesem psychicznym, powstałym wskutek ścierania się przeciwnych wyobrażeń, przyczem jedne doszły do zdecydowanej przewagi, a inne zostały zepchnięte do podświadomości. Religja jest właściwie realizacją osoby ludzkiej w jej przeżyciach irracjonalnych, jakie powstają w zetknięciu z rzeczywistością kosmiczną i otoczeniem ludzkiem, jest formą związku i wzajemnego oddziaływania na siebie sfery świadomej i podświadomej, a zarazem uczuciem harmonji, jakiej potrzebę odczuwa ludzkie ja, mimo tylu rozbieżnych pulsujących w niem sił.[1])

Ta naturalistyczna geneza przekreśla charakter transcendentny religji i sprowadza ją do poziomu zjawisk psychicznych niższej kategorji. W przeciwieństwie bowiem do wykończonych, ujętych w ramy logiczne treści myślowych i towarzyszących im aktów woli, doznania religijne są chaotyczną, niezorganizowaną masą, do której nie mogą się stosować zasady logiki, a które są wyrazem podświadomego pędu życiowego ludzkiego „ja". Takie założenie prowadzi do uznania religji za objaw patologiczny.[2])

Nowy wysunięty przez Jamesa sprawdzian religji, a mianowicie jej u ż y t e c z n o ś ć nie zmienia sytuacji, ani nie może być uznany za wystarczający. Nie ulega wątpliwości, że czyn i płynący zeń pożytek odgrywa ważną rolę w życiu. Rozwój człowieka dokonywa się przedewszystkiem przez czyn, jakim jest zarówno teorja i praktyka, pojęcia i słowa, pragnienia i działania. Również myśl ludzka posiada nastawienie aktywne — zmierzając do swej realizacji, pcha do czynu i najczęściej w nim się wyładowuje. Można mówić o siłach motorycznych myśli, które oddziaływują na

---

[1]) G. M i c h e l e t, *Dieu et l'Agnosticisme contemporain*, wyd. 4. Paris 1920, s. 155.

[2]) To niebezpieczeństwo widział jasno S c h e l e r i dlatego wogóle odrzucał psychologję religji w przekonaniu, że każda kończy na patologizacji religji. „Wenn daher die moderne erklärende Religionspsychologie, die pathologischen, anormalen Erscheinungen des religiösen Lebens offensichtlich bevorzugt, so ist dies keine zufällige Neigung, sondern beruht auf ihrem Ursprung und Wesen selbst". *Vom Ewigen im Menschen*. Leipzig 1921, s. 370.

ducha ludzkiego w kierunku wywołania odpowiadającego jej czynu. Ale aktywizm myśli nie oznacza bynajmniej, że jej wartość leży w czynie zewnętrznym i że tam należy szukać jej sprawdzianu. Już sama myśl jest w swym rodzaju czynem wykończonym, który niezawsze wymaga swego zewnętrznego odpowiednika. Prawda jest autonomiczna i sama w sobie wartościowa. Ona wprawdzie warunkuje powstanie aktów woli i czynów zewnętrznych, ale obok tego posiada własne, odrębne cele, których nie można utożsamiać z czynem. Myślimy nietylko, aby działać, ale przedewszystkiem aby poznawać. Strona teoretyczna rzeczywistości przedstawia dla ducha ludzkiego niemniejsze zainteresowanie od działalności praktycznej. „Czyste myślenie" odgrywa doniosłą rolę w naukach, a zwłaszcza w filozofji, przyczem moment korzyści nie wchodzi w grę.

Nie inaczej rzecz się przedstawia w dziedzinie religijnej. Wprawdzie prawdy religijne najściślej związane są z życiem, to jednak nie od niego otrzymują swą wartość. One kształtują życie, a nie odwrotnie. Dopatrujemy się przedewszystkiem wartości ideowej, pod tym kątem oceniamy prawdy religijne i zależnie od tego układa się nasz do nich stosunek. Czyn życiowy oceniany bywa zależnie od swego powiązania i zharmonizowania z ideą religijną. Ta jest sprawdzianem jego wartości, a zarazem siłą, która nadaje mu życie.[1]) Chcieć usunąć z czynów religijnych pierwiastek intelektualny, znaczyłoby sprowadzić religję do gry popędów. Czynnikiem kontrolującym musi pozostać myśl i w tej roli musi być czynnikiem pierwszym i niezależnym.

Doszukiwanie się początków religji w podświadomości i tłumaczenie jej wartości skutkami praktycznemi są próbami wyjścia ze ślepej uliczki, w jaką wszedł psychologizm religijny, odrzucając istnienie przedmiotowej rzeczywistości transcendentnej i jej poznawalność. Religja została uznana za czysto podmiotowy wytwór psychiki ludzkiej, uwarunko-

[1]) „L'action n'est donc pas un principe d'appréciation, mais une conséquence; une théorie ne trouve pas sa justification dans les faits; bien plutôt les résultats ont leur explication dans la théorie. Le vrai n'est pas une forme du bien ou une interprétation; le bien suppose le vrai". G. Michelet, dz. c. s. 95.

wany historycznym rozwojem ludzkości (Wundt), czy też dynamiką popędów (James, Freud). Następstwem jest relatywizacja religji. Zjawiska psychiczne, będąc uzależnione od poziomu kulturalnego, okoliczności życiowych, a przedewszystkiem od struktury psychicznej danej jednostki, podlegają ciągłym zmianom. Taki sam charakter posiada religja, będąca uprzedmiotowieniem dążeń życiowych — nie jest bezwzględna, niezmienna, jak niemi nie są stany podmiotowe człowieka.

Lecz taki wniosek stoi w sprzeczności z ogólnem pojęciem religji i z rolą, jaką ona odgrywa w życiu ludzkiem.

Ludzkość przechodzi radykalne przemiany — na widowni dziejów pojawiają się coraz to nowe narody, na gruzach jednej kultury wyrastają inne, w ciągu tylu wieków człowiek poczuł się silniejszy, wyzbył się wielu złudzeń i tylu poglądów tradycyjnych, a jednak nie zarzucił religji. Z niespotykaną w historji wytrwałością wierzył w realne istnienie świata transcendentnego, od niego uzależniał swój los, starał się nawiązać z nim stały stosunek i swe życie układał według wyższych wymogów. To niewzruszone przekonanie o realnem istnieniu rzeczywistości religijnej nie może być wytworem osobistych pragnień ludzkich, bo wtedy szłoby po linji popędów, dając im możność wyładowania się i sankcjonując wszystkie ich przejawy. Tymczasem religja wkracza w życie jako czynnik hamujący i kontrolujący. Ona wprawdzie budzi nadzieje, rodzi uczucie zadowolenia, jest źródłem wielu uczuć przyjemnych, a jednocześnie nakłada tyle obowiązków, narzuca tyle ograniczeń, tak bardzo krępuje rozwój popędów, że wydaje się być jakąś siłą obcą, narzuconą z zewnątrz, wobec której człowiek musi być uległy i której więzy nieraz boleśnie odczuwa. Jeżeliby człowiek sam nakładał sobie tego rodzaju więzy i stworzył przykre dla siebie fikcje, to już dawno powinien wziąć z niemi rozbrat. Zwłaszcza dzisiaj, gdy ludzkość uwolniła się od wielu złudzeń i stworzyła tyle nowych wartości!

Wobec zjawisk religijnych należy zająć inne stanowisko — że one są rezultatem uświadomienia przez człowieka wyższej transcendentnej rzeczywistości, która, choć zmysłami niedostrzegalna, głęboko wkracza w jego życie, nastawia

je ku sobie i wywołuje reakcje psychiczne — w postaci aktów religijnych.

Pęd religijny nie może być tylko projekcją podmiotowych pragnień ludzkich, czyli rzutowaniem w próżnię. Jest on odpowiedzią duszy ludzkiej wobec dobra, ku jakiemu jest nastawiona i przekonana o jego istnieniu. W przeciwnym razie stanęlibyśmy wobec zagadki nierozwiązalnej, która byłaby prawdziwą tragedją życia ludzkiego i zrodziłaby tępą rezygnację, tak obcą postawie religijnej.

W ostatnich latach zaznacza się w filozofji silna reakcja przeciw psychologizmowi.[1]) Najradykalniej przeciwstawia się mu fenomenologja. Jej twórca, Husserl, wykazał, że logika, jako nauka teoretyczna i formalna, stoi w opozycji do psychologji, która jest nauką empiryczną o faktach i nie może mieć charakteru normatywnego. Nie wszystko więc da się sprowadzić w życiu ludzkiem do zjawisk psychicznych. Jeżeliby, naprzykład, prawa logiczne miały podłoże psychologiczne, wówczas byłyby tylko prawdopodobne, nieścisłe i ulegające zmianom, — czego o nich nie można powiedzieć.[2])

Niemniej skutecznie zwalczany jest psychologizm przez dzisiejszy realizm krytyczny (Külpe), który wykazuje przedmiotowość poznania umysłowego, a tem samem ubocznie obala podstawowe twierdzenie, że prawdy religijne są jedynie uprzedmiotowieniem pragnień ludzkich. Nie jest przesadą twierdzenie Astera, że psychologizm jest dziś naukowo przezwyciężony.[3]) Osłabienie jego wpływów naukowych odbije się dodatnio na religji. Filozoficzna obrona niezmiennych, absolutnych praw, rządzących życiem ludzkiem (prawa logiczne, objektywność poznania i t. p.) odda

[1]) Zwłaszcza psychoanaliza Freuda napotyka na coraz większy sprzeciw w kołach naukowych. Ostatnio prof. Bumke odmawia jej charakteru nauki i sprowadza do kategorji sztucznej, nieuzasadnionej i z gruntu fałszywej teorji. Podobnie wyraża się o niej drugi specjalista prof. Hoche. Por. *Philosophisches Jahrbuch.* B 44 (1931) s. 287 n.

[2]) *Logische Untersuchungen.* 2 Bd. Halle 1922 (I wyd. 1900). — W. Moog, *Logik, Psychologie und Psychologismus,* Halle 1929 (zwłaszcza rozdział „Husserls Kritik des Psychologismus" s. 7—36).

[3]) *Zur Religionsphilophie in der Gegenwart* (Archiv. f. Philosophie und Soziologie B. 33 (1929) s. 109).

nieocenione usługi religji, która opiera się na tych właśnie założeniach.[1]) Ona głosi przynależność człowieka do świata transcendentnego. Uznanie tej przynależności nie jest tylko dziełem uczucia, czy popędów, nie jest rzutowaniem ducha ludzkiego w próżnię, ale koniecznością życiową, narzuconą nam przez myśl i wolę.

Równowaga życia ludzkiego zależy od stopnia tego uzależnienia. Jeżeli punkt ciężkości życiowej przesuwa się w kierunku ja ludzkiego, wówczas rozluźniają się wiązania ducha ludzkiego i następuje jego kryzys. I przeciwnie, ściślejsze zadzierzgnięcie węzłów z Absolutem, uznanie niezmiennych, koniecznych norm życiowych i naukowych i oparcie się na nich jest rękojmią rozwoju człowieka. Źródło sił ducha ludzkiego leży nie w nim samym, lecz w Bogu.

---

[1]) Gruntowną krytykę psychologizmu religijnego ze stanowiska historycznego podaje w swej najnowszej pracy Wilhelm S c h m i d t, *Handbuch d. vergleichenden Religionsgeschichte.* Ursprung und Werden der Religion. Münster 1930.

Ks. Dr. Józef Pastuszka.

Przewrót w ekonomice społecznej.[1])

Żyjemy w epoce kapitalizmu. W miejsce dawnej przewagi urodzenia od stu lat zgórą przewaga majątkowa zawładnęła krajami cywilizacji zachodnio-europejskiej. Związek między ludźmi stał się związkiem czysto gotówkowym: *cash nexus.* To panowanie kapitału określono kłamliwie jako panowanie najzdolniejszych. W istocie równocześnie miały miejsce tak olbrzymie postępy w dziedzinie techniki, jakie nie istniały nigdy przedtem w tym stopniu, a tem mniej w tak zawrotnem jak dzisiaj tempie. Ci, którzy ich dokonali, nie są jednak identyczni z właściwymi panami świata. Są jedynie na ich żołdzie, wykonują ich rozkazy, urzeczywistnienie myśli wynalazców zależy od aprobaty i subwencji kapitalistów i następuje dla ich dobra i korzyści, a nie dla dobra całego ogółu.

Początek swój wywodzi dzisiejszy stan rzeczy z trzech haseł rewolucji francuskiej: wolności, równości i braterstwa. Głębsze zastanowienie pouczyło nas jednak, że c e l e m współżycia nie może być nieograniczona w o l n o ś ć, której w zorganizowanem społeczeństwie w pełnej doskonałości być nie może. Istota bowiem wszelkiego współżycia polega na współzależności wszystkich członków społeczeństwa. Celem państwa czy ludzkości całej może być tylko dobro powszechne, które osiągnąć da się tylko z pewnym koniecznym, choć bynajmniej nie całkowitym uszczerbkiem wolności. Hasło r ó w n o ś c i okazało się sprzecznem z rzeczywistością.

[1]) Odczyt inauguracyjny na rozpoczęcie r. szk. 1931/2 w Politechnice Lwowskiej.

Przyroda stworzyła nieskończoną rozmaitość, która nigdy nie ulegnie zmianie, owszem potęguje się ciągle i utrwala w drodze dziedziczności. Różnica sił fizycznych, zdolności umysłowych, cech charakterów rzuca się nam ciągle w oczy. Równoczesne głoszenie haseł równości i wolności, jako wprost ze sobą sprzecznych i niemożliwych do pogodzenia, wytłumaczyć da się jedynie brakiem przemyślenia sprawy do końca. Hasło trzecie, braterstwo, pozostało kopciuszkiem, pomiatanym i zepchniętym w ciemny kąt, na który nikt nie zwracał uwagi.

Wedle wskazań ekonomiki liberalnej wolna gra sił gospodarczych doprowadzić winna zawsze do najlepszego rezultatu. Zwolennicy wolnej konkurencji rozumieli wprawdzie, że wobec nadmiaru produkcji część jej pozostać musi niesprzedana, ale każdy zosobna spodziewał się, że tym, który nie sprzeda, będzie nie on, ale jego rywal. Grał więc *va banque* i jak w każdym hazardzie, często przegrywał. Poza tem wszyscy widzieli w wolnej konkurencji jeden z objawów walki o byt, powszechnej wszak w całej przyrodzie. Jeśli w walce tej zwyciężali w istocie często nie najlepsi ale tylko najsprytniejsi, poczytano to za najsilniejszy dowód, że życie gospodarcze nie ma nic wspólnego z etyką. Niebawem jednak przewaga karteli międzypaństwowych położyła kres złudzeniu, pozbawiając wszelkich szans powodzenia każdą produkcję luzem idącą i demaskując tem samem hasło wolnej konkurencji.

Ostatni cios zadało temu, dziś frazesowi bez treści, przesilenie obecne, przechodzące rozmiarami i trwałością wszystkie poprzednie, i dotąd perjodycznie towarzyszące panowaniu kapitalizmu. Na całej kuli ziemskiej wzrasta produkcja tak rolnicza jak i przemysłowa, zatrudniając wobec postępów racjonalizacji coraz mniej ludzi. Liczba bezrobotnych wzmaga się w zatrważający sposób, a dawni odbiorcy towarów odpadają. Nawet w Polsce, produkującej w stosunku do zachodu jeszcze często zacofanemi metodami, przemysł węglowy w pięcioleciu 1923—1927 wykazuje wzrost z 36 do 38 miljonów ton przy równoczesnym ubytku robotników z 225.000 na 113.000, a więc okrągło o połowę. Gdy w dawniejszych latach znajdowało u nas zajęcie 93—97%

ogółu robotników najemnych, dnia 1/1 1931 r. liczba bezrobotnych wynosiła okrągło 10%, ściśle 299.800 zarejestrowanych w państwowych urzędach pośrednictwa pracy, co stanowi 12·7% członków Kas chorych. Od tego czasu liczba bezrobotnych wzrosła jeszcze. Poza tem znaczna liczba bezrobotnych nie jest w urzędach pośrednictwa pracy zapisana. Razem z rodzinami trzeba liczyć, że mamy w Polsce chwilowo co najmniej 1,200.000 ludzi pozbawionych zupełnie środków utrzymania.

Z drugiej strony zapotrzebowanie towarów przemysłowych zachodnio-europejskich skurczyło się i kurczyć się będzie nadal. Rosja i Azja przestały sprowadzać na większą skalę wyroby przemysłowe z zagranicy dążąc do samowystarczalności, a to samo próbują dziś czynić państwa wschodnio i środkowo-europejskie, wśród nich i Polska — mimo nacisku na nie ze strony Genewy w kierunku otwarcia granic i mimo snobizmu licznych jeszcze amatorów towarów zagranicznych. Jeśli nie chcą dać się ujarzmić pod względem gospodarczym i tem samem zachować tylko pozorną niezawisłość polityczną, muszą wszak dążyć do czynnego bilansu handlowego, póki istnieją w każdem państwie odrębne waluty i odrębne fundacje kruszcowe w bankach biletowych dla zabezpieczenia tych walut. Państwa środkowo-europejskie sądzą słusznie, że jeśli w ciągu zaledwie dwóch pokoleń wieku XIX Niemcy, Stany Zjednoczone i Japonja mogły z państw rolniczych przedzierżgnąć się w mocarstwa rolniczo-przemysłowe o zasięgu światowym i tem samem uratować swój czynny bilans handlowy, to i one potrafią to uczynić bodaj w tym stopniu, by zaspokoić w zupełności zapotrzebowanie wewnętrzne. Zrozumiały, że uznanie za trwałą obecnej swej niższości pogrążyłoby je na zawsze w zależność ekonomiczną od państw zachodu i że wobec wyższych cen towarów przemysłowych a zniżkowej tendencji płodów rolniczych czyli wobec rozwartości t. zw. nożyc stałyby się dłużnikiem, nie mogącym w przewidzialnym czasie się wypłacić. Póki więc istnieją odrębne państwa, odrębne waluty, odrębne banki biletowe, obowiązane dbać o pokrycie własnych banknotów, każde państwo zosobna dążyć musi do osiągnięcia pewnego bodaj stopnia samowystarczalności.

Ale ten stan rzeczy utrwala oczywiście i pogłębia dzisiejsze przesilenie.

W tych warunkach zdawałoby się, że prosta logika wskazuje, co czynić wypada państwom żalącym się na własną nadprodukcję z tego powodu, że za mało mają odbiorców. Oto produkcję dostosować do zapotrzebowania i wytwarzać tylko tyle, ile sprzedać można, co oddawna z najlepszym skutkiem czynią fabryki wszelkiego rodzaju, należące do wielkich związków spółdzielczych, angielskiego i szkockiego. Ale przemysł zachodnio-europejski nie chce dać za wygraną. Narzuca Europie środkowej dyktat karteli międzynarodowych, wywiera presję w kierunku ciągłego zmniejszania ceł, usiłuje przy pomocy presji politycznej utrzymać stan posiadania, zdobyty wśród zgoła odmiennych warunków. Ale mimo wszystko nieopatrzna produkcja ciągle się wzmaga, ceny więc spadają, bankrutują wielkie fabryki, przewracają się największe banki.

Ekonomika liberalna występuje tedy z dalszym wnioskiem obniżenia ciężarów podatkowych, świadczeń socjalnych i płac robotniczych oraz niszczenia nadmiaru surowców jak kawy, bawełny, nafty, zboża — zamykając oczy na ogrom nędzy, szerzącej się o miedzę od nadmiaru. Mamy dziś na kuli ziemskiej co najmniej 22,000.000 bezrobotnych, a więc ludzi, chcących i mogących pracować, a pozbawionych bez własnej winy pracy. Olbrzymia ta armja, w której liczono same głowy rodzin, przedstawia faktycznie 100,000.000 ludzi głodnych i marznących mimo nadmiaru zboża, kukurydzy, kawy, nafty i bawełny. Wszak w sześcioleciu 1925—1930 łączne zapasy ziarna i mąki w samej Ameryce niemal się potroiły. I w oczach tych 100,000.000 głodnych ekonomika liberalna ośmieliła się zniszczyć w Brazylji 120.000, według innych 650.000 worków kawy; w Argentynie ogromne masy kukurydzy zużyto na karmę dla bydła lub spalono; w Stanach Zjednoczonych projektuje się spalenie 4,000.000 bali bawełny i zakaz dalszej uprawy aż do wyczerpania zapasów i wzrostu cen; w Oklahomie wobec spadku cen nafty do 20 cts. za baryłkę rząd stanowy zabronił dalszego jej wydobywania, a w Polsce pojawiły się w roku zeszłym arty-

kuły o „klęsce urodzaju" i szeptane narazie wnioski palenia „nadwyżki" zboża celem „poprawienia" cen.

Skąd ta masa zbrodni i niedorzeczności, jakie popełnia ludzkość, skąd to barbarzyństwo dzisiejszej pseudo-kultury, skąd to straszne krótkowidztwo grożące krwawym porachunkiem całej cywilizacji nowoczesnej?

Z miesiąca na miesiąc, z roku na rok pociesza się nieświadomy rzeczy ogół zapewnieniem, że przesilenie niebawem się skończy i że nastaną znów tłuste lata. Utwierdziła się mistyczna wiara w jakąś cykliczność stanu gospodarczego, w perjodyczny przypływ i odpływ, wobec którego wystarcza badać z założonemi rękami zmieniającą się ciągle konjunkturę gospodarczą. Jest to jednak oczywiście stanowisko zupełnie błędne i beznadziejne. Nie może być lepiej dopóty, póki nie nastąpi dostosowanie rozmiarów produkcji do zapotrzebowania. Ekonomista amerykański Edward Filene z Bostonu w wydanem świeżo dziele twierdzi słusznie, że należy 1) zbadać, czego ludziom potrzeba i to tylko produkować, 2) że trzeba towar ten oddawać ludziom po niskiej cenie, bo tylko taką mogą oni i chcą zapłacić, a wreszcie 3) należy masy tak postawić gospodarczo, aby miały siłę kupna i czas wolny na korzystanie z zakupionych towarów, inaczej bowiem i najlepsza produkcja na nic się nie zda.

Ekonomika liberalna nie może dostrzec tego prostego sposobu wyjścia, bo musiałaby wtedy uznać, że wywody jej wiszą w powietrzu. Nauka gospodarstwa społecznego nie jest bowiem wcale nauką o bogactwie i sposobach jego wytwarzania, jak dotąd twierdzono, nie zajmuje się wcale sprawą bogacenia się jednostek, co należy do ekonomiki prywatnej, lecz wyłącznie bada drogi gospodarczego rozwoju gromady ludzi skupionej w naród czy państwo. Konsumcja, będąca zaspokojeniem potrzeb, nie może być wtedy traktowana jako przyczepek czy dodatek, jak to ma miejsce w systemach ekonomicznych szkoły liberalnej, lecz wyrasta na część główną i zasadniczą, skoro dla niej tylko, czyli inaczej mówiąc właśnie w intencji zaspokojenia wszystkich członków społeczeństwa podejmować się winno wysiłek produkcji. Czyż może być godziwszy i wznioślejszy cel, szlachetniejsza przyczyna, tłumacząca sens wszelkiej pracy, ani-

żeli ta, by nie jednostkom przymnażać bogactw, ale całemu ogółowi ludzkiemu dostarczyć możności zaspokajania jego potrzeb? Na głowę ludności przypada w Polsce zaledwie $^1/_4$ część pszenicy, przypadającej na Belga lub Francuza a prawie połowa ilości przypadającej na Niemca; mniej niż $^1/_4$ część cukru, zjadanego przez Duńczyka, Holendra, Amerykanina czy Anglika, mniej niż $^1/_5$ część bawełny, zużywanej przez Anglika; Amerykanina, Belga, a $^1/_4$ część używanej przez Francuza. Mamy wielkie zadanie dopędzenia Europy zachodniej a przynajmniej zbliżenia się do niej w dziedzinie pełniejszego niż dotąd zaspokojenia potrzeb ogółu. Produkcja jest więc li środkiem, konsumcja celem, nie naodwrót. Dlatego przedewszystkiem trzeba myśleć o celu, a potem dopiero naginać do niego środki. Postępując odmiennie popełniamy najjaskrawszy błąd logiczny. Z tego odwrócenia wartości i przestawienia pojęć wyniknąć muszą i inne konkluzje, aniżeli te, które dotychczas głosił liberalizm gospodarczy.

„Tanio kupować, drogo sprzedawać", oto wedle liberalizmu tajemnica i źródło materjalnego powodzenia jednostek. Ale czy wykonanie tego programu jest naogół możliwe? Wszak, aby ktoś tanio kupował, trzeba, aby ktoś drugi tę tanio kupioną rzecz tanio mu sprzedał, a czyni to tylko, gdy będzie sam w przymusowem położeniu. A na to żeby ktoś drogo sprzedawał, trzeba, żeby znalazł się ktoś drugi, który znów pod wpływem naglącej potrzeby dany towar przepłacił. Na połowę ludzi robiących dobre interesy wypadłaby w ten sposób druga połowa zrujnowanych. Niepodobna więc twierdzić, aby tyle sławione i pozornie tak proste hasło liberalizmu gospodarczego było wogóle wykonalne dla całości jakiegokolwiek ludzkiego zbiorowiska.

Wedle liberalizmu jest to zupełnie naturalne, że cena towarów winna być tem większa, im więcej ludzi go poszukuje, im on więc jest pożyteczniejszy i bardziej pożądany, tudzież im mniej pojawia się go na targu. Ale czy to jest zasługą sprzedającego, że towaru jest mało lub że może on przynieść nabywcy wynikającą może z chwilowego upodobania szczególną korzyść? Jakiem prawem korzystać ma sprzedawca z okoliczności, nie tkwiącej w samym towarze,

ale w wielkości jego zaofiarowania na targu? czyż przy oznaczaniu cen towarów codziennej potrzeby a tem bardziej ceny rąk roboczych, t. j. płacy, argumentacja tego rodzaju byłaby uznana za dopuszczalną? Ale wielki przemysł zastrzega sobie przywilej cen konjunkturalnych, potępiając równocześnie wszelkie żądanie podwyżek płac z racji małego zaofiarowania rąk roboczych jako prosty wyzysk. Rozumuje przytem błędnie, że płace uiszcza się z uszczerbkiem zysku przedsiębiorczego i że przeto interesy przedsiębiorcy i robotnika są ze sobą sprzeczne, tudzież że wspólny ich interes wyraźnie przeciwny jest interesowi konsumentów. Tymczasem przeciwieństwo jest prawdą. Tylko dobrze płacony robotnik powiększyć może zastęp konsumentów, tylko taniość towaru rozszerza koło kupujących. A zysk przedsiębiorczy nie płynie bynajmniej z kieszeni konsumentów i robotników, ale jest prostym rezultatem rozmiarów konsumcji.

W walce o panowanie gospodarcze liberalizm powołuje się na sojusznictwo techniki. I prawdą jest, że coraz doskonalsze wynalazki naszej doby umożliwiają bardzo znaczne zwiększenie produkcji przy równoczesnem coraz mniejszem zapotrzebowaniu sił ludzkich, działają przeto pozornie w kierunku powiększenia bezrobocia. Duch ludzki jednak, zdobywając coraz to szersze dziedziny, wznosząc się coraz wyżej, nie może liczyć się z potrzebami gospodarczemi ludzi, raczej je wyprzedza i toruje im drogę. Ale tak się dzieje dlatego, że wynalazczość ludzka jest duchowego a nie materjalnego początku, brak więc granic dla ducha nie dowodzi niczego w dziedzinie przywilejów tych, którzy wytwory ducha zdołali dla siebie nabyć i na własną korzyść spożytkować.

Produkcja nowoczesna nie mogłaby obejść się bez kapitału. Ale ten kapitał technice potrzebny nie jest w istocie i nie powinien być niczem innem, jak tylko sługą ducha ludzkiego, podobnie jak jego wytwór, maszyna, niczem innem nie jest jak tylko sługą pomyślności ludzkiego rodzaju. Każdy więc, kto wielki kapitał uczynił panem społeczeństwa i ukorzył przed jego tronem dobro całości, popełnia tak samo błąd logiczny, jak bałwochwalca upatrujący bóstwo w dziele rąk własnych. Inwestycje kapitałowe

służą w naszych oczach z tem samem powodzeniem ustrojowi komunistycznemu w Rosji sowieckiej, jak gdzieindziej kapitalistycznemu i jak niewątpliwie służyłyby i ustrojowi solidarystycznemu, o ile tylko dyrektorowie i inżynierowie zakładów przemysłowych, a więc właściwi twórcy nowych wartości, będą w rezultacie produkcji i zbytu zainteresowani i w miarę powodzenia otrzymają udziały w zysku. We wszystkich tych wypadkach nieodzownym jest sam kapitał, ale nie zgoła obojętna okoliczność, czy należy on do jednostek czy do państwa, czy wreszcie do całego ogółu złączonego stałem i przyjaznem współdziałaniem, zmierzającem do wspólnego dla wszystkich celu.

Jeśli liberalizm zaleca oszczędność jako ostatni wyraz mądrości i ogłasza ją jako najlepszy sposób rozcięcia gordyjskiego węzła niedomagań społecznych, to zataja, że w epoce, w której źródłem właśnie największych majątków nie jest praca i oszczędność, ale szczęśliwa spekulacja i hazard, oszczędność może być zaledwie drugorzędnem źródłem majątku. Poza tem zaś może niem być tylko pod warunkiem stałości i budzącego pełne zaufanie pokrycia waluty danego państwa. Jeśli więc przemysł eksportowy tęskni za inflacją w tej lub owej formie, a równocześnie deklamuje o oszczędności, popada w rzeczywistą sprzeczność. Oszczędność w razie inflacji byłaby bowiem najgorszym środkiem, a zalecenia godną jest tylko, jak długo środki wymienne cieszą się powszechnem u wszystkich zaufaniem.

Umieszczanie kapitałów własnych zagranicą i w obcych walutach uchodziło zdawna w świecie poglądów liberalnych za wynik praw czysto osobistych wolnego obywatela, praw, których władza państwowa nie ma prawa ograniczać ani nawet w nie wglądać. Okazało się jednak na przykładzie Niemiec, że samolubna działalność jednostek w tym kierunku pociąga za sobą podkopanie waluty własnej i ruinę gospodarczą państwa. Wielu twierdzi, że zjawisko to znane i w Polsce jest u nas bardzo rozpowszechnione mimo, że gospodarka skarbowa Państwa i Banku Polskiego powodu do obaw nie nastręczają. Defetyzm w Polsce jest więc rzeczowo, nawet ze stanowiska interesu egoistycznego, pozbawiony zupełnie podstaw. Ale nawet gdyby nasze położenie

geograficzne lub inne przyczyny napełniały lękliwych właścicieli gotówki pewnemi niepozbawionemi pozornych bodaj racyj obawami, należałoby uprzytomnić sobie niewątpliwy fakt, że zakupywanie obcych walut i trzymanie ich zagranicą pogarsza tylko niebezpieczeństwo dla Państwa, którego pomyślny rozwój jest warunkiem pomyślności gospodarczej jednostek. Właściciele lokowanych zagranicą sum nie zdają sobie z tego sprawy, że wycofując z obrotu gospodarczego miljonowe kwoty zaostrzają chorobę anemji gospodarczej, na którą kwęka organizm państwa i tem samem podcinają gałąź, na której siedzą. Podobne zjawisko w Niemczech wywołało ostatecznie reakcję ze strony władzy rządowej. Nakazano tam składanie w pewnym terminie zeznań w sprawie depozytów umieszczonych zagranicą oraz oddanie wszystkich posiadanych obcych walut i dewiz po kursie przymusowym Bankowi Rzeszy. Po upływie wyznaczonego terminu zarówno posiadanie depozytów pieniężnych zagranicą jak i posiadanie choćby w kraju dewiz i walut zagranicznych zagrożone zostało utratą praw obywatelskich, więzieniem i grzywną, sięgającą do wysokości całego majątku winowajcy. Ponieważ zaś mogłaby zachodzić obawa, że ustawa ta wobec obowiązkowej dyskrecji banków stałaby się bezskuteczną, wypracowano projekt ustawy tej treści, że banki obowiązane są udzielać wszelkich żądanych wyjaśnień na każde żądanie komisarza bankowego w tym celu ustanowić się mającego. Jeśli i ta druga ustawa przyjdzie do skutku, przypuścić należy, że już pierwsze zasądzenie rzuci popłoch między złych obywateli, stanowiąc równocześnie najwymowniejszy środek agitacyjny za pierwszeństwem dobra publicznego przed wszelką prywatą.

Mówi się dużo o konieczności kapitalizacji w każdem a zwłaszcza w naszem społeczeństwie. Postulatu tego istotnie niepodobna bagatelizować. Duże majątki w rękach przedsiębiorczych i dzielnych są w zasadzie pożądane, rozumie się o ile bezmyślny i marnotrawny a niekiedy antypaństwowy sposób ich użycia nie uchyla w całości owych korzyści. Póki atoli ludzie lokują oszczędności swe zagranicą, niema żadnego powodu, aby im gromadzenie dalszych kapitałów i wywożenie ich z kraju ułatwiać. Gdyby sumy trzymane

dziś przez polskich kapitalistów w bankach zagranicznych wróciły do kraju, wielki przemysł nasz mógłby wyzwolić się może z upokarzającej komendy karteli międzypaństwowych, a nasza bankowość mogłaby wydatnie zniżyć procenty od pożyczek do normy zachodnio-europejskiej, co w krótkim czasie podniosłoby zamożność w całem państwie. Poza tem kapitalizacja może mieć jako korzystne następstwo w najlepszym razie przedewszystkiem wzmożoną produkcję, a więc wedle naszego ujęcia dopiero rzecz wtórną wobec pierwszorzędnej — zaspokojenia potrzeb. Wynika stąd, że o ileby kapitalizacja stała na przeszkodzie zaspokojeniu elementarnych życiowych i kulturalnych potrzeb ogółu, tym ostatnim należałoby zawsze i bezwzględnie przyznać pierwszeństwo — ważniejszem jest bowiem usunięcie bezrobocia, aniżeli dalsze powiększanie dochodów warstw zamożnych.

W przeszłości greckiej, rzymskiej, feudalnego średniowiecza rozumiano powszechnie, że na wszelkiej własności ciążą obowiązki. Głosiły to wszystkie religje, wszystkie systemy filozoficzne, a jedne i drugie miały wpływ na opinję powszechną, wyłamanie się zaś z pod jej wymagań pociągało za sobą ogólną pogardę. Dopiero ustrój kapitalistyczny przyniósł lekceważenie zaleceń wszelkich religij i systemów filozoficznych, rozwiązanie wszelkich krępujących człowieka hamulców i uznanie pieniądza za jedynego władcę i pana.

Szczególnie w Polsce nieuzasadnioną jest gorliwość, z jaką zwolennicy liberalizmu ekonomicznego w Polsce bronią u nas interesów złotej międzynarodówki, tej samej, która usiłuje pozbawić nas gospodarczej niezawisłości, uzależniając od siebie Polskę w kartelach międzypaństwowych, bronią więc tego wielkiego a obcego kapitału, który już dziś pod różnemi formami miał z końcem r. 1929 do żądania w Polsce 10 miljardów 328 miljonów złotych, w czem długów państwa i samorządów 4 miljardy 7 miljonów, a reszta w obligacjach i listach zastawnych, kapitałach zaangażowanych w przedsiębiorstwach polskich, kapitałach przedsiębiorstw zagranicznych w Polsce, kredytach gotówkowych przedsiębiorstw polskich, zobowiązaniach bankowych, kredytach z tytułu handlu zagranicznego i z innych tytułów. Obrona kapitalizmu i liberalizmu gospodarczego u nas, to

utwierdzenie obcego panowania w Polsce, co trzeba sobie nareszcie jasno powiedzieć.

Im goręcej pragniemy, by istniała dalej własność prywatna, owa podstawa wszelkiej twórczości i wszelkiego postępu, im lepiej rozumiemy, jak groźne następstwa dla niezawisłości i kultury polskiej pociągnęłaby za sobą doprowadzona do wybuchu rozpacz i nienawiść mas, tem silniej przejąć się winniśmy ideałami solidaryzmu, budującego system nowej ekonomiki na zasadach etycznych, na podstawie obowiązków a nie przywilejów własności prywatnej, tem dalej od siebie odepchnąć zwodnicze hasła liberalizmu, tak sprzecznego z szlachetną naturą polską, prowadzącego do zguby wszystkie społeczeństwa, nawet posiadające dawne tradycje handlowe, wśród których ciasna jego doktryna czas dłuższy zdołała narzucić się bezkrytycznemu ogółowi.

Bez całkowitego odrzucenia wszystkich zasadniczych, dziś zmurszałych haseł głoszonych przez liberalizm, bez zastąpienia ich nowemi, wysnutemi z etyki i z faktu, że współżycie jednostek bez niej nie byłoby zgoła możliwe, niema mowy o uspokojeniu krajów cywilizacji zachodniej, którym grozi dziś tak w ustawicznych przesileniach, jak i ostatecznie w wielkich rewolucjach socjalnych zupełna zagłada.

Ostatnia to chwila ratunku, w której kierunek solidarystyczny w gospodarstwie społecznem dobija się uznania i zwolennikom swym obiecuje wyzwolenie. Ze wszystkich stron grozi katastrofa, tylko ta jedna pozostała furtka ku pomyślnej przyszłości. Oby nią poszedł śmiało i bez wahania naród nasz i ci, którzy za losy jego są odpowiedzialni.

Prof. Leopold Caro.

Henryk Sienkiewicz w zwierciadle anegdoty.

Gdy w roku 1900, w czasie pamiętnego jubileuszu, Ferdynand Hoesick odwiedził Sienkiewicza w jego warszawskim mieszkaniu, to wśród wielu osobliwości zobaczył tam również, wiszący na ścianie wykwintnej komnaty, wspaniały portret dostojnika kościelnego w purpurze. Był to wizerunek pradziada Sienkiewiczowskiego po kądzieli, arcybiskupa Cieciszowskiego: „Pradziad mój, wspomina znakomity pisarz, z linji macierzystej, który przez lat 56 nosił biskupią infułę pisał i drukował wiele".[1]) Były też ze strony matki inne jeszcze pokrewieństwa z magnatami pióra: z Łuszczewską (Deotymą) i z Joachimem Lelewelem. Po mieczu mógł Sienkiewicz dziedziczyć nie tyle zdolności pisarskie, ile raczej żyłkę do wojaczki, bo jego przodkowie w tej linji ochoczo sługiwali pod znakami Marsa, który tym sposobem pospołu z Muzami hojdał kolebkę przyszłej gwiazdy na nieboskłonie rodzimego piśmiennictwa. O rzeczywistych astronomicznych gwiazdach, jakie świeciły pani Sienkiewiczowej w chwili narodzin syna, co miał tyle chluby przysporzyć rodzicom, zgoła niewiadomo, choć sprawa godna zastanowienia.

Uhodowawszy się zdrowo, Henryś wcześnie dorwał się do książek: „Pierwsze moje wrażenie wsi i przyrody przywiązało mnie do ziemi i do ludu, a zamiłowanie do literatury rozwinęły we mnie stare księgi, których pełny kufer znalazłem u babki na strychu i dzięki nim, jako dzieciak jeszcze zapoznałem się najpierw z pisarzami złotego wieku:

[1]) F. Hoesick: *Sienkiewicz i Wyspiański.*

Rejem, Kochanowskim, Górnickim, Skargą, Birkowskim, Orzechowskim i innymi. To byli moi nauczyciele polskiego języka. [1])

O czem marzył ten chłopak, grzebiący z upodobaniem w kufrze, pełnym staropolskich klasyków, co mu chodziło po głowie, jakie zamiary i urojenia?

Najpierw chciał być rycerzem, potem Robinzonem Cruzoe, a wreszcie przeczytawszy *Żywot Napoleona* — genjalnym wodzem. [2]) Bębnienie gramatyki łacińskiej i kucie wzorów algebraicznych poszło w kąt, a plac boju odzierżyły powieści, z któremi młodociany Sienkiewicz zmagał się dzielnie i wiele ich trupem położył: „Nigdy nie byłem celującym uczniem, ani w szkołach początkowych, ani w gimnazjum, byłem czem innem zajęty: czytałem powieści. Bardzo często, gdy trzeba było się uczyć, ja zagłębiałem się w Walter-Scocie, lub Dumasie". [3]) W tem ciągłem przestawaniu z mistrzami pióra, urabiał się zmysł literacki i łatwość wypowiadania się na piśmie. Sienkiewicz, jako uczeń V klasy drugiego gimnazjum był ulubieńcem nauczyciela Wojciecha Grochowskiego, polonisty, o czem ciekawe wspomnienie przekazał wielce zasłużony około bibljografji znakomitego pisarza, Stefan Demby. Razu jednego wzmiankowany Grochowski dał swym uczniom do wyboru dwa wypracowania klasowe: albo „Mowa ucznia, kończącego gimnazjum, do nauczycieli i kolegów po otrzymaniu świadectwa dojrzałości", albo „Mowa Żółkiewskiego do rycerstwa polskiego pod Cecorą". Jak widać, zacny pedagog miał słabość do krasomówstwa. I pewnie zgoła nie zauważył, że jego benjaminek miał także słabość, ale do udzielania natychmiastowej pomocy towarzyszom, bardzo oziębłym dla retoryki. Poprostu pisał ściągaczki. Na uwagę siedzącego obok Konrada Dobrskiego, iż dla innych zaniedbuje siebie, odparł mniej więcej tak: dla siebie napiszę „Mowę Żółkiewskiego", a ten przed bitwą nie mógł się bardzo długo rozwodzić. Podobno

---

[1]) F. Hoesick: *Sienkiewicz i Wyspiański.*

[2]) List do Ignacego Balińskiego: *Wieczory Rodzinne*, 5 stycznia 1900 r.

[3]) Jeremiasz Curtin: *Moje znajomości z Sienkiewiczem. Tyg. Ilustr.* 1888 r. marzec.

„mowa" udała się wyśmienicie i Grochowski rozpływał się nad nią.

A zatem Dumas i Walter Scott również przydali się na coś — była to szkoła stylu. Szkołą patrjotyzmu lub raczej uświadomienia obywatelskiego stał się, przypadkiem zresztą, dom ciotki Konstancji Cieciszowskiej, gdzie częstym gościem bywał niejaki Kazimierz Łapczyński, powstaniec listopadowy, posieleniec sybirski, otoczony sławą ofiarnika i bohatera. Zdaje się, że obok tych wzniosłych przymiotów szczycił się nadto lubym przymiotem gadulstwa. Prawił tedy o tem, gdzie był i co cierpiał, znajdując wdzięcznego słuchacza w osobie siostrzeńca pani Konstancji. Nauki i kazania wcale nie poszły w las, bo oto pewnego dnia zapalny młokos wręczył wiarusowi jakiś rękopis. Jak się okazało, był to cały traktat o sposobie uwolnienia Polski.

Wiarusowi wielce przypadło do smaku tak wczesne rozbudzenie uczuć narodowych, ozwał się przeto: dobrze, że myślisz o Polsce, myśl dalej, a może co dobrego stąd wypadnie.[1]) I rzeczywiście po latach wypadło karmazynowe epos siedemnastowiecza. W progi Szkoły Głównej zawitał Sienkiewicz w r. 1866. Zrazu poświęcił się studjom lekarskim. Rychło jednak rzucił je, przenosząc się z nastaniem roku 1867 na oddział historyczny Wydziału historyczno-filologicznego. To go więcej kusiło, niż trupy i prosektorja. A właśnie wtedy toczyły się boje młodych ze starymi, boje zaprawne wrzawą i hukiem papierowych granatów oraz szrapneli, pękających od czasu do czasu na łamach różnych czasopism i dzienników. Sienkiewicz trzymał się na uboczu. Inni brali się za czuby, inni wychodzili na grube ryby w środowisku studenckiem. On nie. „Był wszakże w szczupłem gronie Wydziału historyczno-filozoficznego, pisał w *Prawdzie* 1884 r. Aleksander Świętochowski, student który niczem nie zapowiadał wysokiego talentu i żył zupełnie poza wyborowem kołem. Pamiętam tylko, że idąc raz z nim przez ulicę zdumiewałem się nad jego biegłością w rozpoznawaniu herbów na arystokratycznych gmachach i karetach, oraz nad znacznym zasobem wiedzy z historji rodzin szlacheckich. Była to

[1]) M. Dąbrowski, *Głos Narodu*, styczeń 1917 r.

wszakże jedyna niezwykła w nim cecha. Wątły, chorowity, w audytorjum rzadko widzialny, w życiu studenckiem nie przyjmujący żadnego udziału, przed egzaminami mocno zakłopotany i na uboczu trzymający się, zwracał na siebie tak słabą uwagę kolegów, że gdy po ukończeniu Uniwersytetu Kotarbiński upewniał nas kilku, że Sienkiewicz napisał piękną powieść *Na marne*, roześmialiśmy się serdecznie i zapisali tę wiadomość na rachunek złudzeń powiatowej sympatji jednego Podlasiaka dla drugiego".

Już w r. 1869 cichy i jakby odludkowaty żak Wszechnicy Warszawskiej (haniebnie zmoskiewszczonej) ukuł sobie twarde zasady powieściopisarskie, którym zostanie wierny do końca swego zawodu. Już wtedy snuł jakieś zamysły twórcze i zwierzał się z nich przed Konradem Dobrskim. Główną troską młodego pisarza była zbieżność jego powieści z powieścią Orzeszkowej: *W klatce*. Ale pocieszał się, że jego wielka a bezwiedna współzawodniczka ujmuje rzecz bardziej miękko, po niebiańsku, on zaś realistycznie. Oto co pisał z Bielic 26 września: „tylko to powieść będzie więcej z nieba, moja — z ziemi; tam aniołowie upadli i doskonali, u mnie ludzie, takbym chciał przynajmniej".[1]) Jednocześnie głosił się przed Konradem Dobrskim rycerzem idealizmu i piękna, zapowiadał, że podejmie w obronie ich walkę stanowczą, upartą, zawziętą. Wiemy, że słowa dotrzymał, zawsze miarkując idealizm — realizmem, oraz realizm — idealizmem.

Warszawa swego czasu zachwycała się Litwosem. Rozrywano *Gazetę Polską*, gdzie błyszczały dowcipem i stylem odcinki, zamaskowane tym pseudonimem. Warszawska płeć nadobna rozrywała też oczyma samego Litwosa, bo chłopak był niepospolicie urodziwy. Nie wiedzieli jedni i drudzy i zwolennicy feljetonów Litwosa i zwolenniczki jego własnej osoby, ile cierpiał ten Pegaz, wprzągnięty do taczki dziennikarskiej. Gbur redaktor, suchy mantyka, Józef Sikorski, zamęczał go piłą „faktów". Kazał klecić śmiertelnie nudne ględołki. Za każdy przebłysk talentu mścił się kazaniami o niesumienności dziennikarskiej, o lada jakiem peł-

[1]) *Tyg. Ilustr.* 1901 Nr. 2.

nieniu obowiązków. Przyczem jego ołówek gilotynował najpiękniejsze zdania, najbłyskotliwsze dowcipy. Oczywiście biedny Litwos wił się, jakby go przypalano katowskiem narzędziem. Chciał rzucić mozolne gazeciarstwo. Szczęściem redakcję objął wkrótce Edward Leo, człowiek całkiem innego pokroju, no i ten poznał się na młodym współpracowniku, darząc go przyjazną swobodą w zakresie pomysłów feljetonowych.

Poza urzędowemi godzinami orki dziennikarskiej Sienkiewicz obracał się wśród paczki szczerych przyjaciół. Mieszkał podówczas z Leopoldem Mikulskim przy Niecałej Nr. 8. Opodal kwaterował Bruno Mayzel i miał szczęście dosyć często gościć Litwosa łącznie z innymi „pozytywistami". Wieczory schodziły na gawędach, w których Sienkiewicz rzadko brał udział: „w gronie towarzyszów nie wyróżniano go wcale; chociaż on sam wyróżniał się swojem jestestwem. Pamiętam, gdyby dzisiaj, te szlachetne młodzieńcze rysy, tę smukłą postać o wejrzeniu melancholijnem, posępnem, czy marzącem. Zazwyczaj małomówny, zamyślony, jakby ciałem tylko znajdował się pośród nas, szybując myślą gdzieś hen daleko".[1]) Wogóle Sienkiewicz zawsze stronił od zgiełku i lubił samotność. Tu i ówdzie uczęszczał z musu. Zato w kółku najbliższem, poufnem rozkrochmalał się zupełnie, sypał dowcipami i zniewalał prostem a wytwornem obejściem. Spokrewniony po kądzieli z Deotymą, chadzał przez grzeczność na jej „uczty" szpikowane patosem, a nierzadko też improwizacjami „natchnionej wieszczki". Śmieszyły go w istocie sybilijskie dziwactwa Deotymy, raziła jej napuszoność, ale mimo to patrzył zapewne z ciekawością na ludzi, którzy ją otaczali, a zwłaszcza na ich uroczyste miny w czasie „olimpijskich posiedzeń": „Daleko wcześniej jeszcze (na lat kilka czy nawet kilkanaście przed Trylogją), opowiada Ignacy Chrzanowski, na jednym z owych wieczorów literackich, podczas kolacji, powstała „natchniona wieszczka", ujęła „kielich" i wzniosła „zaimprowizowany" toast na cześć obecnego księcia Lucjana Woronieckiego, uczestnika powstania listopadowego:

[1]) *Fragment młodocianych wspomnień o Henryku Sienkiewiczu*, Warszawa 1924.

Pięknie mitrę mieć na głowie,
Piękniej jeszcze oręż w ręce,
Więc, Panowie, wznoszę zdrowie
I rycerskie i książęce.

Na „uczcie" był obecny także dobry znajomy Deotymy bankier Wolf. Sienkiewicz, wysłuchawszy z uśmiechem toastu, nachylił się do sąsiada i szepnął mu do ucha:

Pięknie krymkę mieć na głowie,
Piękniej kto w procentach zdziera,
Więc, Panowie, wnoszę zdrowie
Wolfa żyda i bankiera". [1])

Pewnego dnia po Warszawie rozeszła się pogłoska, że miły Litwos, że dowcipny, zabawny, cięty, rzewny, poetyczny Litwos wyjeżdża. I to nie byle gdzie, bo nie do Rakowca szosą, której soczysty wizerunek nakreślił w swojej *Chwili obecnej*, nawet nie do Nałęczowa, ale poprostu do Ameryki. Łatwo powiedzieć, taki kawał drogi! Przyjaciele spuścili nosy na kwintę, a Bruno Mayzel zakrzątnął się wedle uczciwego pożegnania, oczywiście u Andzi Czuleńskiej, w zacisznej restauracyjce, gdzie Sienkiewicz stale jadał obiady. Wciągnięto Chłapowskiego, męża nadobnej Heleny Modrzejewskiej, Edwarda Leo i wielu innych. Były toasty i mnogie rzewności, jak to zwyczajnie przed obliczonem na czas dłuższy rozstaniem. Wkońcu wypadło pójść na dworzec, gdzie czekał sztab niewieści z główno-dowodzącą panią Heleną Chłapowską, vulgo Modrzejewską na czele: „było to w sobotę 19 lutego 1876 r., w dzień jasny, słoneczny, przy lekkim przymrozku. Wprost od Andzi, około godziny 2 z południa z Wierzbowej, ulicą Niecałą przez Ogród Saski z torebką podróżną przez ramię udał się Sienkiewicz z całem gronem biesiadników na dworzec Wiedeński. Tu oczekiwała go już płeć piękna z Heleną Modrzejewską na czele. Znakomita artystka żegnała przyszłego arcymistrza słowa polskiego widocznie wzruszona z pełnemi łez otrzyma. A gdy pociąg ruszył, długo jeszcze powiewały chusteczki w stronę wychylającego się z okien wagonu autora *Hani*" [2]) Autor *Hani* odpłacił za ów żal serdeczny monetą szczerozłotą

[1]) *Głos Narodu* 25. XII. 1921.
[2]) Bruno Lezjam, j. w.

mianowicie: *Listami z podróży*. 9 maja 1876 r. w Nr. 102 *Gazety Polskiej* ukazał się pierwszy list, w którym Sienkiewicz wspomniał i o błocie pod Warszawą i o Towarzystwie Ubezpieczeń: „Ot, widzi kochany pan, mówił K. Chłapowski, urzędnik Towarzystwa, do Brunona Mayzela, pisał list, myśląc o nas". [1])

Dziewicze lądy Ameryki przeczarowały duszę młodego pisarza. Wdarło się do niej słońce podzwrotnikowe, owionął ją szeroki podmuch stepu i oceanu, zaszumiały nad nią puszcze ogromne, tajemnicze, niezbadane, otoczyła ją cisza dzikich pustkowi, niezmącona natręctwem mrowia ludzkiego. Sienkiewicz odprężył się, wytchnął i zhardział. Nabrał skwaterskiej tężyzny. Widać to po stylu *Listów*: w miarę krzepkim, jędrnym, zwartym, w miarę rzewnym i zadumanym. Nie odrazu jednak wędrowiec nasz zamknął się w pustelni Anaheim. Czas jakiś bawił w San-Francisco, dokąd i później zjechał w związku z przybyciem Heleny Morzejewskiej na gościnne występy artystyczne. Punktem zaczepienia był dla niego Juljan Horain, korespondent *Gazety Polskiej*. Rychło zawiązały się inne znajomości: „był tam także Henryk Sienkiewicz, który w San-Francisco zamieszkał u Juljana Horaina. Był to naówczas trzydziestoletni mężczyzna o melancholijnym wyrazie twarzy, ale oczach tak bystrych i światłem inteligencji bijących, że mimowoli zwracał na siebie uwagę". [2]) Taką sylwetkę kreśli Zbigniew Brodowski, jeden z amerykańskich znajomych Sienkiewicza. W San-Francisco koczowała nieliczna, ale dobrana paczka Lechitów. A trzeba przyznać, że wpadało się tu na niebyle jakich oryginałów, wprost na typy, ulepione ręką szczodrej Fortuny ku uciesze powieściopisarza. Znakomity był pułkownik Krzyżanowski, co widząc Modrzejewską we łzach z powodu nagany jakiegoś amerykańskiego pludry, choćby dyrektora teatru, ośmielającego się krytykować jej angielszczyznę, huknął basem: ależ mocidziko, to skończony osieł. Nie takiemu durniowi sądzić taką artystkę. Znakomity był również milkliwy, chudy, długi jak tyczka od chmielu, kapitan Franciszek Wojciechowski, obieżyświat, weteran z wojny powstańczej 1831 roku, u któ-

[1]) Bruno Lezjam. j. w.

[2]) *Tyg. Ilustr.* 1901: *Dwie chwile z życia Modrzejewskiej.*

rego Sienkiewicz stał czas jakiś kwaterą. Ale najznakomitszy, najprzedniejszy, niezastąpiony był kapitan Korwin-Piotrowski, mąż olbrzymiej statury, z bielmem na oku, z dłonią dwukrotnie większą, niż dłoń przeciętnego mężczyzny i językiem mogącym śmiało poruszać młyny. Zarówno Modrzejewska jak Brodowski, którzy zostawili o nim wspomnienia (*Czas* 1910 r. i *Tygod. Ilustr.* 1901) nie mogą się wydziwić jego rubasznym obyczajom, jego polszczyźnie, trącącej myszką, a nadewszystko jego łgarstwom, wołającym o pomstę do zdrowego rozsądku. Jak się zapędził, to łgał parę godzin zrzędu, zwłaszcza o swych podbojach miłosnych na lądzie i na morzu: „Sienkiewicz, opowiada Brodowski, odrazu przylgnął do niego i odwiedzał go codzień. Grał z nim w szachy, lub wyciągał go na dykteryjki, w których kapitan był mistrzem prawdziwym. A skoro wpadł w ferwor opowiadania, to tak łgał, że aż się kurzyło, zwłaszcza na temat swych miłosnych podbojów po wszystkich częściach świata. Razu pewnego i to w mej obecności rzekł Sienkiewicz z uśmiechem sobie tylko właściwym, z poza którego zawsze jakaś głębsza myśl wyglądała: — Wiesz kapitanie, że ja ciebie jeszcze kiedyś uwiecznię. A bodaj ci się pysk skrzywił — odrzekł, śmiejąc się stentorowym głosem Piotrowski". [1])

W takiem otoczeniu czerstwiał zmysł epicki, wrodzony Sienkiewiczowi, ale cokolwiek uwiędły, cokolwiek zwarzony warszawską gorączką dziennikarską. Teraz nikt nie poganiał wyobraźni biczem mozołu i obowiązku. Mogła swobodnie rozrastać się, wzbierać sokami i dojrzewać, aby następnie wydać pyszne owoce. Samotność, wspaniała i groźna przyroda, ludzie niezwykli, zakrojeni typowo, nieco romantycznie, a nieco po sarmacku, wszystko to razem wzięte pochłaniało uwagę artysty, poiło go rozkoszą barw, kształtów i wyrazistych sylwetek ludzkich. Samorzutnie rozsiały się w duszy młodego twórcy zarodki eposu: „Do dawnego pokolenia, wspomina Modrzejewska, należał również inny weteran z powstania listopadowego, sędziwy kapitan Franciszek Wojciechowski, stary towarzysz Piotrowskiego, znany w Kali-

[1]) *Tyg. Ilustr.* 1901 Nr. 4.

fornji jako „kapitan Francis". U niego to przemieszkiwał obecnie Sienkiewicz po swym przyjeździe z Anaheimu. Ja nie znałam go bliżej, pamiętam tylko, iż był bardzo wysoki, chudy i małomówny. Opowiadał mi Sienkiewicz, jak raz w dzień słoneczny przechadzał się piaszczystą drogą z zażywnym i barczystym kapitanem Piotrowskim i chudym jak tyka kapitanem Wojciechowskim, a idąc w środku między nimi zobaczył na ziemi cień własny pomiędzy cieniami dwóch owych kapitanów: małą a zwinną sylwetkę pomiędzy otyłą i zamaszystą postacią Piotrowskiego, a chudą i cichą figurą Wojciechowskiego. I ta dziwna trójca cieniów tak uderzyła jego wyobraźnię, iż mówił, że coś o tem napisze". [1]) Cienie te, jak w czarnoksięskiej latarni, zjawiły się w *Trylogji*, są to: Zagłoba, Wołodyjowski, i Podbipięta.

Wypłoszony ukazaniem się Heleny Modrzejewskiej na widnokręgu San-Francisco, Sienkiewicz opuszcza błogosławioną Anaheimską dolinę, gdzie na współkę ze skwaterem Dżakiem stawiał dom, drwa rąbał i polował, żegna swoją czarowną sielankę pierwobytu i znowu pogrąża się w zgiełku miejskim. Lecz nąsycona olśniewającą urodą obcej ziemi dusza zaczyna tęsknić za Ojczyzną, za bielonemi chatami wsi polskiej i za zieloną wstęgą miedzy, na której cicho polne grusze siedzą: „Sienkiewicz siadywał na progu z łokciami na kolanach i chwilami kąsał szczękami powietrze. Pewnego wieczoru zdybaliśmy znów Paprockiego, jak płakał, wsparty o drzewo; i tak spostrzegliśmy, że nas męczy tęsknota za krajem. Ażeby ją zmódz zmianą wrażeń przeniesiono się do Anaheim-Landing, gdzie Sienkiewicz robił honory... puszczy". [2]) Żal i tęsknota, jak dwa chciwe żeru sępy, spadły na tę małą gromadkę dobrowolnych wygnańców. Z takich przeżyć mógł się urodzić *Latarnik*, uosobienie polskiego tułactwa, które zewsząd otacza głuchy żywioł i bezbrzeżna sierocość.

W roku 1877 Sienkiewicz odpływa do Europy. Po długotrwałej włóczędze ukazał się znowu w grodzie syrenim, którego wdzięki, ponęty, czary, a zwłaszcza porządki uliczne i bruki, właśnie przedewszystkiem bruki, wiernie opisywał

[1]) *Czas* 1910.
[2]) *Czas* j. w.

jako kronikarz *Chwili obecnej*. Teraz sławy przybyło. Cudne nowele zyskały mu nadzwyczajny rozgłos, pomnażany jeszcze tajemniczym romantyzmem zamorskich przygód: „Dla publiki warszawskiej — pisał swego czasu Bolesław Prus — zbytecznem będzie wspominać, że bohaterem bieżącego miesiąca wogóle, a tygodnia w szczególności jest wielkiego talentu autor, p. Henryk Sienkiewicz... Nigdzie w minionym karnawale nie zgubiono tyle serc i nie zamieniono tylu par kaloszy, co na wieczorach, na których bywał on sam. Nareszcie spotykając co krok fryzury *à la* Sienkiewicz, wiedząc, że młodzi panowie jeden po drugim zapuszczają hiszpanki, starają się mieć posągowe rysy i śniadą cerę, postanowiłem poznać jego samego". [1]) Powszechną uwagę zwracała na siebie męska uroda Sienkiewicza, uroda bardzo swoista, wytworna i szlachetna: „Sienkiewicz był skończenie pięknym mężczyzną, stwierdza Czesław Jankowski w garści wspomnień osobistych, drukowanych w *Sfinksie* 1917 r. Nie był to typ polski, jakiego wzorem nad wzorami jest naprz. Wojciech Kossak... ale sam Sienkiewicz, okrom cech wytwornej rycerskości nie przypominał bynajmniej swoich najpopularniejszych Selimów, Bohunów, Wołodyjowskich. Niewątpliwie za młodu, zwłaszcza w okresie amerykańskiej podróży skry się sypały z bujnego temperamentu, lecz brawury i animuszu zdarzały się tylko błyski. Rychło bardzo Sienkiewicz spoważniał. Nie tyle może spoważniał, ile wypolerował się na dżentelmana *sans reproche*. Robił już podczas pisania *Ogniem i mieczem*, tedy w przededniu wielkiej sławy, a w trzydziestym zaledwie którymś roku życia wrażenie znakomicie oszlifowanego brylantu. Wyraźmy się: wysoko estetycznej, autentycznej rzeźby helleńskiej *kalos k'agatos*. Cudnej głowy młodego Sienkiewicza wróconego z Ameryki do Warszawy nie zapomnę nigdy. Antinous chyba nie był piękniejszy".

W dziejach powstawania Trylogji dużą rolę odegrał Kubala *Szkicami historycznemi* z czasów rebelji kozackiej i potopu szwedzkiego, ale czyż można przemilczeć tu jedno ciche imię, takie pokorne a tak czcigodne, imię Dyonizego

[1]) Cyt. wdł. F. Hoesicka: *Sienkiewicz i Wyspiański*.

Henkiela, doradcy współuczestnika, żywą cząstkę rozrostu epopei Sienkiewiczowskiej. Uczcił go Weysenhoff w swym pamiętniku literackim, uczcił serdecznie, czule, tkliwie, słowem pełnem wzruszenia. Sienkiewicz też mocno kochał „Dyonizego pustelnika", był z nim w poufnej zażyłości. Dyonizy Henkiel, ten osobliwy człowiek, przeżywał nawskróś cudze tragedje, porywy i radości twórcze, jakby swoje własne, najrodzeńsze. Śledził szczegóły, badał całość, ważył styl, szperał w drobiazgach, kłócił się z autorem, toczył z nim bitwy o piękno pomysłu. Z jego to porady Sienkiewicz zmienił pierwotny tytuł *Wilcze Gniazdo* na *Ogniem i Mieczem*. A skoro w 1900 roku otrzymał w darze od narodu Oblęgorek, to w pierwszym rzędzie zaprosił na wywczasy Dyonizego Henkiela, starego powiernika, aby rozprostował kości po ciągłem ślęczeniu przy biurku. Praca nad Trylogją toczyła się wartko, z dnia na dzień, z odcinka na odcinek. Dziwny to był zaiste sposób tworzenia wobec czekającego za drzwiami chłopca z redakcji i tłoczącej się aż tu do pracowni rozpasanej ciekawości ludzkiej. Bo gdy rycerska Rzeczpospolita zaszumiała na łamach *Słowa*, zaszumiało też w kraju. Nazwisko Sienkiewicza rozpłonęło wszędzie, jak wici, wzywające na pospolite ruszenie wszystkie rasowe potęgi, drzemiące w narodzie. Odwieczna klechda wstała z mogił, wstała jak ogromny skrzydlaty lew, sfinks dziejów. Jej twórca przechodził różne koleje. W tym czasie osierociał, zmarła mu wielce kochana żona, Szetkiewiczówna z domu. Aby ją ocalić, Sienkiewicz jeździł do różnych uzdrowisk. Napróżno. *Potop* powstawał przy łożu chorej, skazanej na śmierć istoty. W takich warunkach trudno było niekiedy duszę, rozbitą nieszczęściem, skleić i poddać nakazowi twórczego instynktu. A powszechnie czekano na dalszy ciąg Trylogji, na dalsze cuda. Dookoła *Ogniem i Mieczem* potworzyły się jakby baśnie, a jednak rzeczywiste: „kiedyś pamiętniki może i historje literatury wspominać będą, że kiedy wychodziło *Ogniem i Mieczem*, nie było rozmowy, któraby się od tego nie zaczynała i na tem nie kończyła, że o bohaterach powieści mówiło się i myślało jak o żywych ludziach, że małe dzieci w listach do rodziców po zdrowiu swojem i swego rodzeństwa donosiły o tem, co zrobił Skrze-

tuski, albo co Zagłoba powiedział, że kiedy młode panienki pisały lub chciały pisać do autora, żeby na miłość boską nie zabijał Skrzetuskiego, to matki i babki sędziwe w błogosławieństwach swoich ze łzami prosiły, żeby synowie ich synów mieli takie jak on dusze. Jak legenda wyglądać będą opowiadania o tej pani, co zapytana przy powitaniu, czy jej się stało co złego, że taka smutna, odpowiedziała: Bar wzięty, — o tym pacierzu, który ktoś mówił za duszę Podbipięty i aż w połowie spostrzegł się sam, że to wymyślona śmierć i wymyślona dusza. A to wszystko to szczera prawda przecie i szczery tylko dowód, jak my figurami tej powieści żyjemy, jak one opanowały nam wyobraźnie i serca". [1])

Trylogja swoim rozmachem, swoją tężyzną, swoją radosną, mimo wszystko, polskością nieciła wiarę wśród rozbitków, krzesała nadzieję wśród wątpiących. Przyszłość wydobędzie z zapylonych pamiętników niejeden dowód jej czarnoksięstwa i mocniej jeszcze zaświadczy, że płaszcz na jej duchu nie był wyżebrany, lecz świetnościami dawnych przodków świetny. Tych kilka tomów musiało starczyć za oręż, za siłę, za rządców, za wojsko, za szkołę, za całą widomą chwałę państwa, które uciemiężał zaborca, musiało budzić takie uczucia, jakie budzi dorodna, niepodległa Ojczyzna: „Sienkiewicz potęgą swego talentu — zeznaje Tadeusz Hołówko — przypomniał swemu pokoleniu tę przeszłość, jak przypomina się dawny sen, który się śniło, a którego po przebudzeniu nie pamięta się, chociaż tkwi podświadomie gdzieś tam na dnie duszy. Lecz to nie był sen, jeno zapomniana rzeczywistość, którą każdy nosił w sobie, biorąc ją w spadku od przodków razem z krwią, która jak z kielicha do kielicha, z pokolenia w pokolenie się przelewała. I oto każdy po przeczytaniu trylogji zaczynał odczuwać, że tkwi w nim wspomnienie tamtych minionych czasów, że krążą w żyłach jego te same krople krwi, które krążyły ongi w żyłach tych, którzy tamtych czasów byli uczestnikami lub świadkami". [2]) Rodaków Sienkiewicz całkiem pozyskał, zjednał i poddał nieugiętej władzy swego eposu. Ale i mniej wrażliwy naskórek czytelników cudzoziemskich był mile po-

[1]) St. Tarnowski: *Henryk Sienkiewicz*, Kraków 1897.

[2]) T. Hołówko: *Przez dwa fronty*.

drażniony. Ciekawscy zagraniczni, tak samo naiwnie, jak ciekawscy rodzimi, łykali wielotomowy romans tylko bez tej patrjotycznej, szlachetnej zresztą nadętości, a poprostu ze zwykłą chętką do rzeczy ostro zaprawnych wojną, przygodą i miłością. „Któregoś wieczora — pisał Jan de Mitty w *Gaulois* 1901 roku — spojrzałem do nowego romansu Sienkiewicza *Ogniem i Mieczem*. I czytałem go przez całą noc, cały następny dzień, a wieczorem dopiero zamknąłem ostatnią stronicę. Jest to romans, jakich już nikt nie pisuje. Nigdzie, jak sądzę, w żadnem opowiadaniu historycznem nie ujawniono tyle werwy, tyle ruchu, tyle siły. Jest to najwyższa, jaką sobie można wyobrazić wizja epoki. Zda się, że przeniesiono nas w owe czasy. Przeżywamy te chwile trosk i śmierci, widzimy opustoszałe stepy, batalje, pobojowiska, wyludnione miasta, najazdy, zgiełk tłumów, pola krwią zalane, całą Polskę z XVII wieku gorącą, wojowniczą, namiętną". [1])

Sława Sienkiewicza obok powszechnej radości wzniecała gdzieniegdzie gorzką niechęć, była powodem kwasów, złośliwych wynurzeń i żółciowej krytyki. Zwłaszcza nie dawała spać Zygmuntowi Kaczkowskiemu, twórcy doskonałych powieści Nieczujowskich, ale człowiekowi o mniej doskonałym charakterze. Jego napaść na Sienkiewicza, upozorowana tysiącem życzliwych, jadowicie życzliwych, zastrzeżeń, pochwał, uprzejmostek, pokazuje jasno, niby na dłoni, że laury Sienkiewiczowskie parzyły go nader mocno. Nie mógł ścierpieć autora, który rósł jak na drożdżach, gdy on sam już cokolwiek klapnął i dawno się pióra nie imał. Miało to swój dobry skutek. Stary rogacz dźwignął się, rzucił wygodne legowisko i znowu pociągnął w ostępy historycznego powieściopisarstwa. Kaczkowski, dźgnięty trylogją, rychło puści w świat *Abrahama Kitaja* i *Olbrachtowych rycerzy*, swój rzec można arcytwór. Narazie wysoce rozdrażniony echami grzmiącej chwały *Ogniem i mieczem*, wylewa tylko kubeł zawiści. W *Gazecie Lwowskiej* oraz w *Wędrowcu* 1884 r. ukazuje się sążnista ocena twórczości Sienkiewicza, szumnie zatytułowana: *Zygmunt Kaczkowski o pismach H. Sienkiewicza*,

[1]) J. Lorentowicz: *Sienkiewicz w Europie. Tyg. Ilustr.* 1916.

czyli mniej szumnie a bardzo rzeczowo: przestrogi dojrzałego męża dla młokosa, co się piórem zabawia. Są tu ciekawe nawet trochę śmieszne podejścia. Oto Kaczkowski wpada nagle w górnolotne pochwały, by rychło zbić je doszczętną naganą. Więc: wspaniała wyobraźnia, doskonały pomysł, osoby jak żywe, język dosadny, rozmach epopeiczny, tylko bieda że wyobraźnia dzika, pomysł skoszlawiony, charaktery zamazane, język grubijański, a duch dziejów oddany, że pożal się Boże. „Powiastka jego *Bartek zwycięzca* zasługuje na potępienie bezwzględne, albowiem sprawia na nas wrażenie jednocześnie ckliwe i wstrętne". A to dopiero wynalazek myśli sobie czytelnik, lepszy niż jajko Kolumba! Nie koniec przecież na tem, bo „przedtem musimy zrobić uwagę, że równie przykre na nas sprawia wrażenie język, jaki znajdujemy w tych obydwóch powiastkach. Jeżeli bowiem treść jest nieopatrznem skrzywieniem rzeczywistości, a zarazem śmiertelnym grzechem przeciwko kardynalnym zasadom poezji i sztuki, to wykład ich nie jest czem innem jak tylko równego potępienia godnem przedrzeźnianiem ludowego języka". Ależ dosyć! Kto odmawia Sienkiewiczowi „poezji", kto nazywa jego nowele „skrzywieniem rzeczywistości" a kryształowy styl „przedrzeźnianiem ludowego języka", kto sięga dla poparcia swych widzimisię aż do teologji po grzech śmiertelny i po potępienie wieczne, ten zaprawdę, sam chyba nie żywi wielkiej nadziei, by został zbawiony.

Z innych polskich znakomitych pisarzy zabierali głos: Tomasz Jeż i Bolesław Prus. Obaj sądzili *Ogniem i mieczem* dosyć surowo, obaj wytykali uchybienia i niedociągnięcia, obaj widzieli dziury, ale przynajmniej nie w całem, tylko naprzykład w realiźmie opisów ukraińskich, lub batalistycznych, w obrazie ówczesnych stosunków społecznych i t. d. Często boczyli się nie bez słuszności: „Autor — powiada Jeż — powinien był na Ukrainę, nim się do pisania *Ogniem i mieczem* wziął, pojechać i tam rok jaki przemieszkać, rozpatrzeć się, osłuchać i ludzi rozpytać".[1]) Rada wcale mądra. Sienkiewicz nigdy zbytnio nie wzruszał się tem, co o nim

[1]) *Przegląd Tygodniowy* 1884 r.

pisano i mówiono. Podobno krytyki rzadko czytywał.[1]) Wcale nie przez zarozumiałość, gdyż skądinąd wdzięcznie przyjmował rady i wskazówki. Może wprost żałował czasu na oglądanie samego siebie w krzywem zwierciadle plotki, zachwytu lub nagany. Zaiste niewiadomo, co mu większą przykrość sprawiło, filipiki Brzozowskiego, czy „monografja" Józefa Nowińskiego? Najpewniej ani to ani owo. „Powodzeniem nie gardzi, pisze o nim Antoni Zaleski w II tom. *Towarzystwa Warszawskiego* (byłoby to pozą), ale gdyby go zabrakło, sądzę, iż nie uskarżałby się wcale i nie kiwnąłby nawet palcem, aby je sztuczną posiąść drogą. W rezultacie wszystko, co o nim i na niego piszą, zarówno dobrze, jak źle, mało go obchodzi, nie dlatego aby był tak bezdennie zarozumiały, ale skutkiem pewnej w tym kierunku apatji i znieczulenia nerwów. Trzeba jakiejś bardzo wybitnej i istotnej powagi, by zdanie, które o nim wygłosiła krytyka mogło go zainteresować. W całem powodzeniu *Ogniem i mieczem* oraz *Potopu* jedno mu tylko zrobiło zadowolenie, to mianowicie, iż dochód, jaki mu te powieści przyniosły, umożliwił troskliwą kurację chorej żony. Poza tem, jak napaści nie zrobiły na nim żadnego wrażenia, tak i pochwały sprawiły względne tylko zadowolenie, o tyle tylko, że mógł je pokazać żonie i tem jej sprawić przyjemność... W sądach o innych czasem aż do słabości wyrozumiały, czyni to zapewnie głównie z obawy, aby go o małostkową zazdrość nie posądzić". Nigdy więc nikomu nie odpowiadał na zarzuty, najwyżej stawał w obronie ogólnych założeń swojej twórczości. Ale wtedy chodziło mu bardziej o idee, niż o jednostki. Dlatego właśnie zwalczał naturalizm Zoli i pogląd Brandesa na powieść historyczną, jako na rodzaj przestarzały i niedorzeczny. Smak miał wytrawny, chociaż zamknięty w pewnych granicach, nie doceniał naprzykład Wyspiańskiego. niezbyt rozumiał Norwida, koso patrzał na t. zw. Młodą Polskę. Wogóle przekładał nadewszystko prostotę: „innym razem — zapisuje Ignacy Chrzanowski we swych wspomnieniach o Sienkiewiczu — kilka lat później, na pytanie którego z wielkich poetów najczęściej czyta, od-

[1]) Ob. Anna L e o: *Wczoraj*. Warszawa 1929 r.

powiedział mniej więcej tak: Słowackiego, bo go najwięcej lubię. Mickiewicza kocham i uwielbiam, ale go codziennie czytać nie potrzebuję, bo go noszę w duszy we krwi. — A Krasińskiego? — Krasińskiego nie mogę często czytać, uznaję jego wielkość, ale cóż, kiedy ja nie lubię koturnów. No, a Norwida? Sienkiewicz uśmiechnął się i zaczął deklamować:

Błogosławione pieśni malinowe.

Poczem dodał: Nie, do śmierci nikt we mnie nie wmówi, żeby Norwid był wielkim poetą. Kiedyś w młodości skrzywdziłem Szarzyńskiego pisząc, że ma mozolną formę. Ale Norwida nie skrzywdzę, kiedy powiem, że mozolna forma jest jego śmiertelnym grzechem". [1])

Sienkiewicz miał w sobie dużo olimpijskości, dużo spokoju i miary. Nie dawał się ponosić humorom: „Sienkiewicz był z natury umysłem doskonale zrównoważonym — wspomina Juljan Ochorowicz — spokojnym, panującym nad sobą. Rozwaga nie stłumiła w nim uczuć, ale te uczucia niełatwo wylewały się nazewnątrz... Nie nosił serca na dłoni, jak większość jego rodaków, nie całował się z dubeltówki, nie mówił na wiatr, nie unosił się słomianym ogniem, nie przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot, rozmyślał nad wszystkiem długo i ściśle, nie dopuszczając w niczem krańcowości". [2]) Po zwymyślaniu, jakie spotkało Sienkiewicza ze strony Kaczkowskiego, dość zabawnie, a przedewszystkiem bardzo znamiennie brzmi taka wiadomość: „z dawnych powieściopisarzy polskich najbardziej lubił Kaczkowskiego. Kiedy piszący te słowa (t. zn. Ig. Chrzanowski), przygotowując do druku *Wybór powieści* Kaczkowskiego, radził się Sienkiewicza, które powieści „nieczujowskie" możnaby pominąć, usłyszał odpowiedź: Stanowczo żadnej". [3])

Przez sienkiewiczowską zadumę, przez jego małomówność przebijał niekiedy ostry dowcip, niby złocisty grot słoneczny, wystrzelający z ciemnych chmur. Dowcip wykuwany na różne sposoby: i sposobem złotniczym, mięko, ostrożnie,

---

[1]) *Głos Narodu*, j. w.
[2]) *Szkoła Główna Sienkiewiczowi*, Warszawa 1917.
[3]) *Głos Narodu* j. w.

i sposobem płatnerskim mocno, hartownie i sposobem kowalskim hucznie, dźwięcznie. Zdarzały się celujące powiedzenia, aż drapieżne w swojem przystawaniu do rzeczy i zjawisk. Były też fraszki nieco Rabelaisowskie. Były nakoniec opowiastki, zręcznie spięte u szczytu klamrą pointy: „w gronie kolegów i przyjaciół — czytamy u Ferdynanda Hoesicka — nie skąpił nigdy słowa. Był doskonałym narratorem i wiedział o tem. Wiedział także o tem, że go słuchano inaczej, niż innych. Chętnie też zabierał głos i opowiadał bądź o swoich przygodach z czasu podróży do Ameryki, Afryki i Konstantynopola, bądź o wrażeniach życia potocznego w Warszawie i w Krakowie, w te bowiem dwa miasta był doskonale „wżyty" i znał wszystkie ich towarzyskie sfery. Opowiadania jego wywoływały niejednokrotnie wybuchy śmiechu. Umiał on utrzymać do końca uwagę słuchacza w natężeniu i doprowadzić go do poinťy, którą zwykle zaznaczał dyskretnie, usuwając siebie, jako opowiadającego na plan dalszy. Ile w tych opowiadaniach było dowcipu, ile finezji, ile talentu, ile bystrej spostrzegawczości i doskonałej znajomości ludzi, o tem wiedzą najlepiej ci, którym dane było słyszeć bezpośrednio z ust Sienkiewicza jego żywe słowo". [1]) Pani Anna Leo w książce *Wczoraj* daje kilka próbek Sienkiewiczowskiej wesołości. Raz naprzykład, a było to w Krakowie, gdzie podobizna autora Trylogji krążyła w licznych odbitkach wśród wielbicieli i wielbicielek, raz więc w czasie przechadzki po mieście Sienkiewicz zauważył, że jakieś młode kobiety zatrzymały się na jego widok i krzyknęły: o Sienkiewicz! Serdecznie ubawiony skłonił się swym naiwnym podziwiaczkom i rzekł: Tak, Sienkiewicz, ale rodzony brat, bliźniak... tamtego. Kiedyindziej ułożył on na poczekaniu doskonałą humoreskę. Opowiadał zatem, że będąc w teatrze ujrzał przecudną kobietę, siedzącą o jeden rząd przed nim. Kobieta miała boski profil, oczy gwiaździste, usta koralowe, ramiona jak bogini Wenus. Poprostu istota niebiańska. Przypadkowy odkrywca tej czarownej piękności tonął w najwyższem uniesieniu, chwytał każde jej westchnienie, każdy błysk oczu, każdy cień uśmiechu. Tymczasem na

[1]) *Sienkiewicz i Wyspiański*, j. w.

dworze padał obfity deszcz i bębnił po dachu budynku teatralnego, i chlupotał gdzieś w rynnach i szemrał na liściach drzew, i nawet zdaje się trochę zaciekał do przybytku Melpomeny. Bogini słuchała miarowego szumu pogrążona w głębokiem rozmarzeniu. Poczem usta jej otworzyły się, a z nich wypłynęły takie słowa, zwrócone do sąsiada: A to ci chlapie!

Z opowiadań Sienkiewicza wysnuwały się nieraz całe nowele, zwłaszcza z opowiadań o przygodach myśliwskich i o wrażeniach podróżniczych. Słuchacze wisieli wtedy na ustach opowiadającego. Ferdynand Hoesick wspomina, że czyjaś słabiutka ramota, czyjś niedonoszony płód literacki, przedzierżgnął się znienacka w zetknięciu z żywem mistrzowskiem słowem Sienkiewicza w drobne arcydzieło wyrazu i plastyki. Hoesick srodze się zawiódł, gdy zajrzał do oryginału. Znalazł tam bowiem beznadziejną szarzyznę. I wtedy przekonał się, że cały czar tkwił w Sienkiewiczowskiej opowieści. Józef Kallenbach także był pod osobistym urokiem twórcy *Quo Vadis*, którego poznał w Rzymie gdzieś około 1886 r. i z którym przeżył niezapomniane chwile. Na Monte Pincio, przechadzając się wieczorami, gdy na bezchmurnem niebie płonęły spokojne zorze, gdy od cyprysów słały się po ziemi ostre, podłużne cienie, Sienkiewicz gwarzył z Kallenbachem o różnych sprawach i przedmiotach: „Sienkiewicz nie był skłonny do zwierzeń w liczniejszem gronie, natomiast w czasie przechadzek rzymskich chętnie przebywał myślami w kraju i mówił o ówczesnych stosunkach politycznych i gnębiących uciskach. Nie pomnę już dobrze przy jakiej sposobności poruszał sprawę prześladowania unitów na Podlasiu. Nie w formie anegdoty, ale na dowód heroicznego przywiązania unitów do Kościoła, zaczął Sienkiewicz opowiadać rzeczywiste zdarzenie z życia młodej pary podlaskiej, która, aby uniknąć przymusowego ślubu prawosławnego w cerkwi schizmatyckiej kryła się po lasach, aż ją ksiądz Polak legalnie związał stułą katolicką. W toku przypadkowego opowiadania na Monte Pincio rosła nam w oczach prześliczna nowela, pełna uroku dusz miłujących się wiernie i zwalczających zawzięcie najrozmaitsze przeszkody, stawiane

przez popa prawosławnego i żandarmów rosyjskich". [1]) O tym pomyśle noweli unickiej podał również wiadomość A. Grzymała-Siedlecki w *Czasie* 1916 r. Oto jak sam Sienkiewicz wypowiadał chęć opracowania tak ponętnego wątku: „Opowiadano mi w tych dniach historję dwojga narzeczonych z zaścianka Jaworki którzy w 63 roku, gdy wieś z rozkazu Murawiewa została spalona, a ludność wzięta na Syberję, ukrywali się przez 10, wyraźnie przez dziesięć lat w lasach. Prawie wierzyć się nie chce, ale temat tak piękny i to życie leśne tak mnie nęci, że byle jaki tydzień wolniejszy zrobię nowelę".

Niestety, zamiar pozostał tylko zamiarem. Inne obrazy, inne zagadnienia porwały wyobraźnię i zapaliły umysł Sienkiewicza. Stanął przed nim pełen Hamletycznego uroku człowiek bez dogmatu, ten, który przebywając na wyniosłych tarasach, zawsze ponad mrówczym światem pracy i zabiegów o utrzymanie życia igra z rozumem, igra z uczuciem, igra z postępkami, dopóki rzeczywistość za pośrednictwem złamanej miłości nie wciągnie go w tryby swoich żelaznych praw. Wytworny esteta, przybierający w każdem zdarzeniu odpowiednio zastosowane artystyczne pozy, ginie jak Werter, ale nie jako Werter uczucia, tylko jako Werter próżniackiego estetyzmu: „Co do mnie, lubię ludzi rozwiniętych, wyrobionych nerwowo i szukam ich tam, gdzie mi ich znaleźć łatwiej. Lubię ich tak, jak lubię dzieła sztuki, piękną naturę, piękne kobiety. Pod względem estetycznym posiadam nerwy nietylko wyrobione, ale może nawet przerafinowane. Składa się na to i ich przyrodzona wrażliwość i wychowanie jakie odebrałem. Ta estetyczna wrażliwość daje mi tyle samo uciechy ile przykrości, ale wyświadczała i wyświadcza mi ona jedną wielką przysługę, mianowicie chroni od cynizmu, czyli od ostatecznego zepsucia i zastępuje mi poniekąd zasady moralne. Nie popełniłbym wielu uczynków nie tyle może dlatego, że są złe, ile dlatego, że są szpetne". [2])

Bardzo ryzykownie jest wysondowywać z bohatera powieści — przyczynki do badań nad „nagą duszą" autora. Tym razem rzućmy jednak na tło wynurzeń Płoszowskiego

[1]) *Tyg. Ilustr.* 1924 r.

[2]) *Bez dogmatu*, tom I.

orzeczenie Antoniego Zaleskiego o Sienkiewiczu: „natura to nawskroś estetyczna, która wielu rzeczy nie popełnia głównie dlatego, że się niemi brzydzi i że jest za bardzo wykwintna“ [1]) Wniosek? jedynie ten, że Sienkiewicz był estetą w każdym calu, że kochał piękno i prześwietlał niem wszystkie dziedziny życia. A można także domyśleć się, że w takie postacie jak Petronjusz, lub Płoszowski, wszczepiał trochę pierwiastków osobistych. Posądzano go, że zwłaszcza przy odtwarzaniu współczesnego bezdogmatowca, epikurejczyka czciciela pięknej linji bytu — korzystał częściowo ze wzoru jaki istniał namacalnie, w kręgu bliższych znajomych. Posądzano, że tutaj, przez kalkę powieściową został przerysowany Karol Potkański: „trzeba przyznać, pisze Fr. Bujak w *Życiu i działalności Potkańskiego*, że oddziaływały tu także może pewne rysy schyłkowości i przerafinowania, płynące z delikatności, czyli raczej braku zdrowia. Na tem tle, opinja, że Potkański był pierwowzorem Płoszowskiego wydaje się prawdopodobną, choć muszę stwierdzić, że zapytywany w tej mierze Sienkiewicz dał mi po pewnym namyśle odpowiedź przeczącą“. [2])

[1]) *Towarzystwo Warszawskie*, tom II.

[2]) *Pisma pośmiertne Karola Potkańskiego*, tom I.

(Dokończenie nastąpi).

Zygmunt Falkowski.

Techniki malarstwa dekoracyjnego ściennego i ich trwałość.

W umieszczonym w jednym z poprzednich numerów *Przeglądu Powszechnego* [1]) interesującym artykule p. Waśkowskiego o „Polichromji kościoła w Czernichowie" znajduje się pod koniec ustęp, który nasuwa cały szereg zastrzeżeń, przedstawiając niezupełnie trafnie sprawę trwałości zarówno omawianej polichromji, jak i malowideł dekoracyjnych ściennych wogóle. Zapatrywania, wyrażone przez p. Waśkowskiego są — naogół biorąc — bardzo rozpowszechnione, tem bardziej, że kwestja trwałości technik malarskich jest nietylko wśród szerszej publiczności, ale nawet wśród malarzy mało znana i mało rozumiana. Nie można się temu nawet tak bardzo dziwić; malarz interesuje się przedewszystkiem sprawą doraźnego wyniku artystycznego, a strona fizyczno-chemiczna procesów, które decydują o trwałości, jest ze względów psychologicznych dla niego odsunięta na dalszy, nawet bardzo daleki plan, tem bardziej, że przeważnie brak mu odpowiedniego przygotowania naukowego, by rozumiał istotę tych procesów. Są one jednakże obecnie w zasadzie dobrze znane, były bowiem przedmiotem studjów całego szeregu uczonych, a wyniki tych badań były niejednokrotnie już uprzednio nieświadomie stwierdzone przez obserwacje, poczynione na dziełach sztuki dawnych i współczesnych.

Mimo to dotychczas pokutują w literaturze i w opinji powszechnej niektóre zapatrywania, zasadniczo sprzeczne

[1]) T. 191, str. 353.

zarówno z teorją jak i z praktyką, i takie właśnie zapatrywania są między innemi zawarte w owym ustępie artykułu p. Waśkowskiego, brzmiącym w następujący sposób:

„Kościół jest malowany temperą, zatem z biegiem lat farby się nietylko spatynują, ale mogą one wskutek zmian temperatury zblednąć, zgasnąć w swoich żywszych ogniskach, stracić na wartości w miejscach silniejszego akcentu. A powtóre po długich, jak najdłuższych dziesiątkach lat, wilgoć zacznie żreć malaturę i farba zacznie odpryskiwać i odpadać. Nie jest to przecież technika fresco, która pozwala dziełu sztuki przetrwać setki lat".

Tutaj najpierw chcielibyśmy wiedzieć, jaką właściwie techniką została polichromja wykonana. Określenie: „temperą" mówi niezmiernie skąpo, bezmała tyle, ileby mówiło powiedzenie „pędzlami". Nazwa bowiem „tempera" (od łac. temperare, co znaczyło pierwotnie „miarkować, hamować" a następnie „osłabiać, mieszać, rozcieńczać") ma bardzo wiele znaczeń, i bez bliższego podania, jaka to była tempera, nie można sobie wyrobić szczegółowego pojęcia o jej trwałości.

Przez technikę tempery rozumie się całkiem ogólnie użycie takiego spoiwa do farb, które w stanie świeżym daje się dowolnie rozcieńczać wodą, po wyschnięciu jednak staje się w wodzie nierozpuszczalne [1]). Ściśle biorąc, w tem szerokiem ujęciu mieściłoby się i fresco; to jednakże oddziela się jako osobną technikę. Znakomity fizykochemik niemiecki Ostwald, który w swej wszechstronności i zbadaniu technik malarskich liczne poświęcił publikacje, w swych „Malerbriefe" [2]) wylicza cztery odrębne klasy reakcyj, na których można oprzeć bardzo wiele technik temperowych, zaznaczając jednak, że prawdopodobnie możnaby znaleźć jeszcze więcej takich klas reakcyj „temperotwórczych".

Praktyka jednak nie wyzyskuje wszystkich możliwości teoretycznych, i zwykle nazwą tempery oznaczamy tych kilka najważniejszych metod: tempera żółtkowo-olejna, gumowo-olejna, kazeinowa, woskowo-mydlana, żelatynowa wzgl.

[1]) Eibner, *Encyklopädie der techn. Chemie von Ullmann*, Bd. 7, S. 708, 1919.

[2]) Leipzig, Hirzel, 1904, S. 141.

klejowa, białkowa, wreszcie skrobiowa. Metody te dadzą się zredukować do dwóch względnie trzech z pomiędzy klas przewidzianych przez Ostwalda. Najczęściej, gdy mowa poprostu o temperze, ma się na myśli pierwszą z tych metod, to jest żółtkowo-olejną. Polega ona na tem, że żółko jaja zawiera w swym składzie tak zwaną witellinę, która ma własność emulgowania tłuszczów: jeżeli tłuszcz rozetrzemy z żółkiem, to on rozbija się na niezmiernie drobne kuleczki, które już się z sobą nie łączą, i tworzą zawiesinę w postaci białej pasty, dającej się wodą rozcieńczać. Jest to fakt znany doskonale w życiu codziennem, gdyż w ten sposób robi się w kuchni majonez, będący zupełnie takim samym układem, jak i spoiwo temperowe, z tą jedynie różnicą, że do majonezu używa się oliwy jadalnej, do tempery zaś oleju schnącego, zwykle lnianego. Jeżeli z tą cieczą temperową zarobimy proszek barwny, to można uzyskaną w ten sposób farbą malować; po wyschnięciu następuje podwójna zmiana chemiczna: mianowicie białko (albumen), znajdujące się w t. zw. żółtku w ilości nawet większej niż w t. zw. białku jaja, wysycha i staje się nierozpuszczalne, olej zaś ulega wkrótce utlenieniu, przechodząc w tak zwaną linoksynę, ciało stałe, podobne zewnętrznie do żywicy, oczywiście również nierozpuszczalne w wodzie, i w ten sposób warstwa farby zostaje utrwalona na podwójnej drodze (to drugie utrwalenie jest więc takie samo jak w zwykłem malarstwie olejnem, w którem jednak z natury rzeczy niema uprzedniej rozpuszczalności w wodzie). Ta technika temperowa używana jest już od wieków średnich, i panowała powszechnie w malarstwie sztalugowem, zanim została stopniowo zastąpiona przez technikę olejną, co miało miejsce szczególniej od początku wieku piętnastego, rzekomo od czasów braci van Eyck w Gandawie, jak podaje Vasari; w rzeczywistości wiadomości o użyciu farb olejnych (z olejem lnianym) spotykamy już u Heracliusa, w t. zw. Manuskrypcie lukkańskim i w „Schedula" Theophilusa, to jest w wieku IX do XI; w malarstwie dekoracyjnem ściennem spotykamy się z farbami olejnemi już w w. XIII w Anglji i Francji, w sztalugowem we Włoszech w w. XIV; bądź co bądź znalazło ono szersze zastosowanie, jak wyżej wspomniano, do-

piero począwszy od w. XV. Tempera jednak nie znikła zupełnie mimo rozprzestrzenienia się używania farb olejnych, i długo jeszcze używano techniki mieszanej, mianowicie podmalowując obraz temperą, a powierzchu używając farb olejnych przeźroczystych (lazurujących), przez co uzyskuje się nadzwyczaj intensywne efekty soczystości; zresztą sposób ten i dzisiaj bywa używany.

Do tempery żółtkowo-olejnej analogiczna jest gumowo-olejna, gdzie zamiast białka pierwszem spoiwem jest guma arabska, a olej schnący ustala farbę ostatecznie. Technika ta mniej jest używana, niż poprzednia. Jeszcze rzadsza jest obecnie technika woskowo-mydlana, niegdyś szeroko stosowana w malarstwie bizantyńskiem; wosk specjalnie preparowany, tak zwany punicki (sposób przyrządzania podaje już Dioskorides w I lub II wieku po Chr.) emulguje się ługiem z popiołu drzewnego (zatem roztworem potażu) przez częściowe zmydlenie, i ta emulsja służy jako środek malarski już to sama, już to za dodaniem do niej oleju lnianego, również w postaci emulsji.

Farba klejowa, zawiesina proszku barwnego w ciepłym roztworze kleju lub żelatyny, również jest farbą temperową, której nierozpuszczalność po wyschnięciu można w różnoraki sposób osiągnąć, np. dodając do roztworu odrobinę jakiegoś rozpuszczalnego chromianu, lub spryskując wyschnięte malowidło roztworem formaliny; w pierwszym razie żelatyna czy klej traci własność rozpuszczania się w wodzie dzięki procesowi fotochemicznemu (temu samemu, który — oczywiście w inny sposób — bywa stosowany w niektórych technikach reprodukcji na drodze fotograficznej); w drugim razie dzieje się to na drodze czysto chemicznej wskutek utworzenia się nierozpuszczalnego związku z formaldehydem, którego nadmiar odparowuje bez wpływu na malowidło.

Bardzo ważną techniką temperową jest kazeinowa. Kazeina czyli sernik należy do ciał białkowych i w stanie czystym w wodzie się nie rozpuszcza, rozpuszcza się natomiast w silniejszych kwasach i w ciałach alkalicznych, z któremi tworzy połączenia. W mleku znajduje się w roztworze, dzięki właśnie temu, że tam jest połączona z wapnem, ciałem o własnościach alkalicznych. Jeżeli jednak mleko kwa-

śnieje, to jest jeżeli w niem pod wpływem fermentacji utworzy się słaby kwas, zwany mlekowym, to wypiera on kazeinę, sam łącząc się z wapnem, a ona wydziela się, powodując ścięcie się mleka. Jak wiadomo, tę ściętą kazeinę można we właściwy sposób odcedzić, wytwarzając przez to tak zwany „ser krowi", względnie twaróg, będący praktycznie biorąc niczem innem jak kazeiną, sernikiem, z pewną ilością wody. W ten też sposób otrzymuje się kazeinę w przemyśle, gdyż jest to produkt technicznie bardzo ważny, służący do rozmaitych celów, np. do wyrobu różnych mas plastycznych, jak powszechnie znanego galalitu. Do wyrobu sernika używa się oczywiście mleka chudego, jak najstaranniej pozbawionego śmietanki, to jest tłuszczu. Kazeina pęcznieje w wodzie silnie, lecz się nie rozpuszcza; za dodaniem jednak małej ilości sody, boraksu, amoniaku i t. p. rozpływa się na masę śluzowatą, bardzo lepką, która też doskonale klei; podobnie działa i wapno gaszone, i tem się tłumaczy fakt dodawania mleka do zaprawy murarskiej jeszcze w starożytności, o czem pisze Pliniusz Starszy; używania sera krowiego chudego, zarobionego z wapnem gaszonem, do sklejania rozbitych naczyń porcelanowych lub glinianych, marmuru i t. p. I do farb wapiennych dodawano zdawna mleka z tegoż samego powodu; świadectwo znajdujemy już we wspomnianym manuskrypcie lukkańskim w w. VIII. Taki roztwór alkaliczny kazeiny można również zmieszać przez zemulgowanie z olejem schnącym, jak przy zwykłej temperze, przez co oba procedery stają się prawie identyczne. Ale i bez dodatku oleju tempera kazeinowo-amonjakalna staje się też po wyschnięciu zupełnie nierozpuszczalną w wodzie wskutek zupełnego ulotnienia się tego środka, który kazeinę wprowadził do roztworu.

Pomijam tu dalsze metody, podpadające pod określenie tempery, białkową i skrobiową, bo wystarczy co do nich wspomnieć, że białko odgrywa znaczną rolę i przy temperze zwyczajnej, a tempera skrobiowa (krochmalna) jest mniej używana, choć ma przed białkowemi (a są niemi zarówno żółkowo-olejna, jak klejowa, kazeinowa i białkowa) tę zaletę, że mniej ulega zniszczeniu przez gnicie w dostępie wilgoci.

Zapoznaliśmy się z najważniejszemi odmianami t. zw. tempery; ale w żadnym wypadku nie można dojść, czemuby którakolwiek z nich miała „wskutek zmian temperatury zblednąć, zgasnąć w swoich żywszych ogniskach, stracić na wartości w miejscach silniejszego akcentu". Nic podobnego nie jest możliwe z powodów fizyko-chemicznych, i nigdy niczego podobnego nie spotkałem w dostępnej mi literaturze. Zapewne, że w razie wystawienia malowidła na bardzo wysoką temperaturę, np. wskutek pożaru świątyni, zniszczałaby i polichromja temperowa; ale chyba nie taką zmianę temperatury miał p. Waśkowski na myśli; niema techniki, którąby taką próbę wytrzymała, bo i emalja czy glazura ceramiki barwnej czy wreszcie mozaika popękałaby czy stopiła się. Sądzę, że p. Waśkowski raczej myślał o normalnych różnicach temperatury, wynoszących w przybliżeniu od $+20^0$ w lecie do -20^0 w zimie w nieopalanym kościele; ale takich różnic temperatury nie obawia się żadna technika malarska, nawet chyba enkaustyka, to jest malowanie barwnym woskiem; wszak cudowne portrety enkaustyczne doszły do nas ze starożytności, mianowicie z Egiptu, gdzie przecież temperatura $+20^0$, u nas wysoka, jest raczej niską. Bezpośrednio więc z powodu zmian temperatury niema się co obawiać zmian w wartości barw polichromji.

Inaczej ma się rzecz z wpływem wilgoci. Tu rzeczywiście zmiany są możliwe, tak jak w każdej technice, nie wyłączając freskowej. Technika freskowa, której zaczątków szukać trzeba jeszcze w odległej starożytności, z tych dawnych wieków przyniosła sobie pewien nimb świetności; szeroka publiczność odnosi się do niej z wielkim respektem i poważaniem, a i malarze naogół podobnie o niej sądzą. Rzecz jednak dziwna, że ci sami malarze, gdy im przyjdzie wykonać malowidło ścienne, unikają techniki freskowej jak ognia. Tłumaczy się to wszakże bardzo prosto, jeżeli bez ogródek powie się, jaki jest stan istotny, diametralnie przeciwny opinji ogólnej, a mianowicie: technika freskowa jest najprymitywniejszą,[1]) a równolegle z tem najnieudolniejszą, najmozolniejszą i nie zapewniającą twórcy osiągnięcia zamie-

[1]) Oczywiście abstrahując od tak ciekawych i artystycznie wysoko stojących rysunków ściennych jaskiniowców z neolitu.

rzonego artystycznie celu. Specjalnie zaś u nas musi być uważana za bardzo nietrwałą, a różni się od innych technik na niekorzyść tem, że o restaurowaniu podniszczonego fresku nie może być mowy naprawdę.

Takie przedstawienie sprawy nie może być gołosłowne, tem bardziej, że trzeba wykazać niesłuszność twierdzenia p. Waśkowskiego o nadzwyczajnej trwałości fresku, i niesłuszności żalu, który jest zawarty w cytowanym ustępie i następnem zdaniu („Szkoda —"), że polichromja czernichowska nie została wykonana freskiem. Jednakże — choć w krajach gorąca i suchości rzecz może się mieć nieco inaczej — u nas technika freskowa nie może być trwała.

Fresk był znany już w czasach zamierzchłych naszej cywilizacji, znali go jak się zdaje Egipcjanie, a malowidła ścienne kultury minojskiej na Krecie w słynnym Labiryncie w Knossos są prawdopodobnie tą techniką wykonane; używali jej Grecy za czasów Peryklesa i kiedyindziej, lecz pomniki ich działalności w tym kierunku nie doszły do nas. Obficiej są nam znane freski z czasów rzymskich, przedewszystkiem z zasypanych przez Wezuwiusz Herkulaneum i Pompei, a z nieco późniejszych czasów malowidła ścienne katakumb Rzymu i Neapolu. Potem znika zamiłowanie do tej techniki prawie zupełnie, tak że fresków późniejszych już prawie nie znamy, aż dopiero pod koniec wieków średnich następuje nowy nawrót do tego sposobu malowania, poczynający się mniej więcej w w. XIV, może nawet XIII. Rozkwit techniki freskowej osiągnął apogeum we Włoszech w XVI wieku, gdy niemal wszyscy wielcy mistrze Odrodzenia nią się posługiwali do wytworzenia niedoścignionych arcydzieł. W w. XVIII następuje ponowny zmierzch fresku, i dopiero pierwsza połowa w. XIX widzi znów pewien jego rozwój, bardzo ograniczony w porównaniu z tem, co było za czasów Renesansu.

Wspomniane wyżej wady fresku są ściśle związane z jego techniką. Jakżeż się wykonywa malowidła takie? Tu trzeba przypomnieć, że każda technika malarska, z wyjątkiem takich, które można uważać za rysowanie, a zatem: pastelu, kredy, węgla, ołówka, — wymaga dwóch składników farby: po pierwsze proszku barwnego, po drugie spoiwa, które

ten proszek przytwierdza do podłoża. O spoiwach tempery jużeśmy mówili; w innych mamy z ważniejszych: w malarstwie olejnem — olej schnący, zwykle lniany, w akwarelowem — gumą arabską lub podobną. We fresku spoiwem jest wapno gaszone (wodorotlenek wapniowy), które pierwotnie jest rozpuszczalne w wodzie, ale zczasem przechodzi w węglan wapniowy, zatem w kamień wapienny, wapień, już nie rozpuszczalny. W celu wykonania malowidła freskowego tynkuje się ścianę zaprawą murarską, starannie przyrządzoną z czystego, bardzo czystego, wapna i piasku, wygładza pośpiesznie i jeszcze pośpieszniej maluje na tej powierzchni farbami wodnemi, dopóki ona jeszcze jest świeża. Już na drugi dzień powierzchnia taka nie nadaje się do malowania, gdyż nie łączy się dobrze z farbą, nie wiąże jej dostatecznie. Aby wyjaśnić, na czem to polega, musimy wyjaśnić proces chemiczny, jaki tam zachodzi.

Wapno gaszone, znajdujące się w zaprawie murarskiej, to jest — chemicznie biorąc — wodorotlenek wapniowy, jest silną bardzo zasadą, inaczej mówiąc ma wielką tendencję do łączenia się z kwasami lub ich bezwodnikami, aby utworzyć odpowiednie sole. Taką solą jest np. właśnie węglan wapniowy, tworzący się bardzo łatwo pod wpływem powietrza atmosferycznego, gdyż to posiada zawsze w swym składzie ogromne bezwzględnie, choć procentowo nieznaczne, ilości dwutlenku węgla, owej podstawy życia roślinnego, a przez to i całego życia istot uorganizowanych na ziemi. Dwutlenek węgla zaś jest bezwodnikiem kwasu węglowego, który się z niego wytwarza w zetknięciu z wodą, np. znajdującą się w zaprawie murarskiej.

Cóż dzieje się na powierzchni świeżo namalowanego fresku? Jasną jest rzeczą, że przedewszystkiem paruje woda z jego powierzchni, co powoduje, że z głębszych warstw tynku dyfunduje nazewnątrz woda, nasycona wodorotlenkiem wapniowym, a ten, stykając się z powietrzem, wytwarza węglan wapniowy, którego mikroskopijne kryształki, zestalając się, wiążą ziarenka farby z podłożem, które też równocześnie zamienia się stopniowo na węglan wapniowy. W ten sposób warstwa farby zostaje w sposób zupełnie jednolity związana z podłożem, i stanowi z niem całość.

Inaczej jest, gdy po upływie kilkunastu godzin powierzchnia tynku już się pokryła warstewką węglanu wapniowego: wtedy woda wapienna nie dyfunduje już tak łatwo z głębszych warstw zaprawy, a wytwarzający się z niej węglan wapniowy już nie tworzy jednolitej i ciągłej struktury z podłożem, — które już teraz nie bierze udziału w procesie zestalania się, — lecz osadza się poprostu na powierzchni, nie wiążąc farby tak dobrze z tynkiem, farba więc łatwo odłuszcza się i odpryskuje. Dlatego więc nie można przygotowywać powierzchni zaprawy na więcej, niż na robotę jednego dnia.

Dlatego też ten sposób techniki freskowej, klasyczne buon fresco, przedstawia ogromne trudności dla malarza. Pracę trzeba wykonywać kawałkami; nie jest możliwe naszkicowanie i podmalowanie całości i wypracowanie następnie szczegółów. Po dniu roboty trzeba obciąć nożem tynk niezużyty i starannie nałożyć obok świeżą jego warstwę, bacząc, by nie splamić malowidła już definitywnie wykończonego, bo poprawka jest wykluczona. Trzeba również starannie dobrać farbę, by miała ten sam ton i to samo natężenie, jak miała wczorajsza, dziś już podeschnięta, która więc teraz wygląda inaczej, niż wczoraj, a nowa musi się zgadzać z wczorajszą; zresztą barwy po wyschnięciu wyglądają całkiem inaczej (znacznie bielej) niż na świeżo, tak, że malować trzeba zupełnie inaczej, niż się pragnie widzieć w stanie ostatecznym. Jest to ogromnie trudno, i najlepsi mistrzowie pędzla popełniali w tym kierunku ogromne błędy. Ciekawe jest przeczytać w książce Schicka,[1]) jak z temi trudnościami walczył wielki Böcklin w Bazylei, i jak ich nie zdołał przezwyciężyć: cienie wypadały za jasno, pozornie jasne partje ciemniały; jasno-żółto zielona łąka, przezierająca przez ciemne zarośla na pierwszym planie, wyglądała po wyschnięciu jako ciemno-zielone plamy na szarawo-białem tle i t. d. Zapewne, że wielka wprawa w malowaniu freskowem pozwoliłaby może uniknąć grubszych błędów, ale któryż z dzisiejszych malarzy ma taką wielką wprawę we fresku! a bądź co bądź nawet dla wprawnego artysty przed-

[1]) *Tagebuch - Aufzeichungen über Arnold Böcklin,* Berlin 1902, s. 160.

stawia ta technika znaczny element niepewności, czego nie można zapisać na jej korzyść. Jak wspomniałem, poprawki gotowego malowidła są niemożliwe, gdyż nałożona wtedy farba nie trzyma się dobrze powierzchni i odłuszcza się, jak zwykła pobiałka. Dlatego takie poprawki i retusze jest się zmuszonym robić inną techniką, klejową, czy temperową, której natura jest oczywiście zupełnie inna niż fresku, i dlatego prędzej czy później znów w tem miejscu muszą wystąpić niepożądane zmiany, wymagające dalszych retuszów, oczywiście znowu nie ostatecznych, i tak idzie dalej.

Dalszą wadą zasadniczą tej techniki jest bardzo znaczne ograniczenie palety: wapno gaszone bowiem jest substancją bardzo energicznie działającą, która nietylko potrafi zeżreć ciała organiczne, ale rozkłada i wiele związków natury mineralnej. Stąd większości farb malarskich nie można używać do fresku: zatem żadnych laków, gumigut, karminów, i t. p., ale nawet tak zwykle trwała i użyteczna farba, jak błękit pruski, jest wykluczona, gdyż z wapnem zamienia się natychmiast na plamę rdzy. Ale i wiele farb mineralnych ulega rozkładowi z wapnem, jak liczne farby ołowiowe, biel ołowiana (kremska), żółcienie chromowe i t. p. Pozostają więc na palecie prawie tylko farby ziemne, ochry, ultramaryna i nieliczne inne. Nie można też twierdzić, by takie przymusowe ścieśnienie palety było zaletą techniki.

Warstwa barwna fresku, jest, jak wyżej przedstawiłem, zrośnięta z podłożem w sposób tak ścisły, jak w żadnej innej technice [1]); stąd też dzieli solidarnie jego losy, co ma często bardzo niemiłe konsekwencje. Ściana, mur, na którym się obraz maluje, jest układem dość skomplikowanym: w jego skład wchodzą kamienie, cegła, piasek, wapno, woda użyta do gaszenia wapna i do rozrobienia zaprawy murarskiej. Wszystko to są ciała wzięte bezpośrednio z przyrody

[1]) Z wyjątkiem s g r a f f i t a, gdzie rysunek j e s t tynkiem; technika ta wychodzi jednak poza ramy naszych rozważań, nie jest to bowiem polichromja, lecz rysunek jednobarwny. Dla objaśnienia dodam, iż w tej technice zaprawę murarską miesza się z farbą, prawie zawsze z węglem lub sadzą dla otrzymania rysunku czarnego lub szarego, a potynkowaną tą mieszaniną ścianę bieli powierzchownie; wreszcie ostrem narzędziem wycina się na świeżo w pobiałce rysunek, który występuje czarno (lub wogóle barwnie) na białem tle.

lub mało co przerobione, a w każdym razie nie odczyszczane chemicznie; stąd też zawierają one w sobie prawie zawsze niepożądane zanieczyszczenia, czasem wprowadzone w czasie przeróbki. Ciała te, o ile są rozpuszczalne, zostają wyługowane przez wodę, znajdującą się w zaprawie murarskiej lub tworzącą się w niej wskutek chemicznego procesu tężenia tynku, i z tą wodą dyfundują nawskroś muru aż na powierzchnię zaprawy i tam, wskutek wyparowania wody, wykrystalizowują w warstewce barwnej, rozsadzając ją. Dlatego wszystkie materjały budowlane w takich wypadkach muszą być dobierane i przyrządzane bardzo starannie: piasek musi byc siany i przemyty, cegła nie może zawierać części rozpuszczalnych, podobnież i kamień; wapno winno być jak najczystsze, a nawet woda nie może być bylejaka. Wszystkie niedopatrzenia w tym kierunku odbijają się na trwałości obrazu. Ale praktyka poucza, że takich czystych materjałów często niepodobna znaleźć. Cegła prawie zawsze zawiera rozpuszczalne siarczany sodu, potasu, magnezu, wapnia; siarczan wapniowy tworzy się też często w wapnie przy wypalaniu go węglem, który zawsze zawiera pewną zawartość siarki, stąd też pożądane jest używanie wapna wypalonego nie węglem, lecz drzewem (dawne freski oczywiście nie były narażone na niebezpieczeństwo z tego źródła, wobec nieużywania węgla kamiennego w poprzednich wiekach). Dalej woda wprowadza sole rozpuszczalne, i to nietylko te, które się w niej pierwotnie znajdowały, gdy była użyta do gaszenia i rozrabiania wapna, ale i te, które przez dyfuzję przenikają z mokrego gruntu do murów i w nich się wznoszą kapilarnie wraz z wodą, wciąż wsysane przez nią (od tego zresztą możnaby się zabezpieczyć przez umieszczenie nieprzepuszczalnej warstwy izolacyjnej między dolną a górną częścią muru); wreszcie, szczególnie w naszym klimacie, niepodobna prawie się ustrzec od zacieków, spowodowanych opadami atmosferycznemi. A wszystkie zanieczyszczenia zostają, jak podniosłem poprzednio, przez włoskowatość doprowadzone w nieunikniony sposób do powierzchni, gdzie wykrystalizowują, rozsadzając warstewkę barwną i powodując jej odpadnięcie. A nawet i bez tego nie da się w zupełności uniknąć zniszczenia, szczególniej, gdy współdziała

wilgoć z bezwodnikiem węglowym w atmosferze. Wiemy, że temuż bezwodnikowi zawdzięcza tynk swe twardnienie; ale gdy już raz stwardniał, a dwutlenek węgla obficie dopływa wobec wilgoci (doskonałe warunki po temu ma się w kościołach w zimie: na zimnych murach osadza się wilgoć pochodząca z pary oddechu tłumu, a zarazem z tegoż samego powodu zwiększa się ogromnie w powietrzu zawartość dwutlenku węgla), to nierozpuszczalny węglan wapniowy przechodzi na powierzchni w rozpuszczalny dwuwęglan, przechodzący do roztworu, przez co następuje rozluźnienie warstwy barwnej; wilgoć może nawet wraz z farbą spływać, a w każdym razie, gdy przy wysychaniu odtwarza się węglan wapniowy, nie wiąże on już tak farby zpowrotem, która staje się jeszcze bardziej podatną do zaatakowania ponownego; zczasem warstwa ta odłuszcza się lub zbiera się w postaci gronkowatych grupek, a za dotknięciem odpada. Równocześnie warstwa tynku, w którą owa wilgoć częściowo wsiąknęła, pęka, i powstają szczeliny, ułatwiające dalsze działanie wilgoci.

Wpływ warunków klimatycznych widać doskonale na zachowaniu się fresków z różnych epok i z różnych miejsc; podczas gdy freski pompejańskie, przez blisko dwa tysiące lat chronione grubą warstwą suchego popiołu od wahań wilgotności i temperatury (przypominam, że nie zmiany temperatury jako takie, ale spowodowane niemi wahania wilgotności mogą szkodzić zarówno freskom jak i innym malowaniom), zachowały się stosunkowo bardzo dobrze, z nielicznemi spękaniami tynku, to freski z czasów Odrodzenia, np. malowidła Michała Anioła w kaplicy Sykstyńskiej, okazują już bardzo liczne i znaczne spękania, ale i tak są nierównie lepiej zachowane, niż freski wykonane np. w zimnym i wilgotnym klimacie Niemiec w XIX wieku, które po upływie zaledwie kilkudziesięciu lat są przeważnie tylko ruinami. Tem bardziej, że w miastach, szczególnie przemysłowych, atmosfera walnie przyczynia się do zniszczenia: w powietrzu unosi się kurz i sadza, osadzające się się na szorstkiej powierzchni fresku, a ze spalanego węgla wytwarza się zawsze dwutlenek siarki, który z węglanem wapniowym tynku (tak samo jak z wapieniami budowlanemi, z marmurem archi-

tektury i pomników) wytwarza ostatecznie gips, przyczem często farby ulegają zmianie chemicznej i barwnej, a w każdym razie zwierzchnia warstwa zupełnie się zmienia, kruszeje i zczasem odpada. Spękania zaś tynku, tak doskonale pomagające niszczącemu działaniu wilgoci, bezwodnika węglowego, kwasu siarkowego, kurzu, sadzy i innych czynników atmosferycznych, są nieuniknione, bo są nieodzowną konsekwencją reakcji chemicznej, na której polega technika freskowa: przejście bowiem wodorotlenku wapniowego w węglan wapniowy, jak również i wysychanie koloidalnej, plastycznej masy zaprawy, powoduje zmniejszenie się objętości; warstwa tężejąca ściąga się i pęka.

Łatwiejsze nieco w wykonaniu, niż „buon fresko" jest „fresco secco", w którem pozwala się warstwie tynku częściowo nawet stwardnieć, co umożliwia traktowanie odrazu większych płaszczyzn i nie zmusza do tak wielkiego pośpiechu w robocie; powierzchnię taką zwilża się bezpośrednio przed malowaniem zapomocą wody wapiennej (lub barytowej, która ma bardzo podobne własności do roztworu wodorotlenku wapniowego), a farby zaprawia się również jednym z tych roztworów lub miesza z niewielką ilością wapna gaszonego. Jednak ułatwienie malowania zostaje w kierunku niekorzystnym zrównoważone daleko słabszem przyleganiem warstwy barwnej, z powodów omówionych już przy buon fresco, i malowidło jest jeszcze mniej trwałe.

Próbowano zmodyfikować technikę freskową w różny sposób, tak, aby uniknąć jego wad, ale dotąd się to nie udało; do najbardziej znanych prób należy wprowadzenie przez Schlotthauera w r. 1846 tak zwanej stereochromji, nad której udoskonaleniem pracowali zarówno znakomici malarze jak Kaulbach, jak i jeszcze znakomitsi chemicy, jak Liebig i Pettenkofer. Technika ta polega w zasadzie na tem, że na specjalnie przygotowanej zaprawie po jej wyschnięciu maluje się farbami wodnemi, a następnie rozpyla się na powierznię obrazu roztwór szkła wodnego, który z materjałami dodanemi do zaprawy wytwarza nierozpuszczalne sole, przedewszystkiem fluorokrzemian potasu i krzemian wapniowy, które wiążą farbę do podłoża tak silnie, że można obraz zmyć gorącą destylowaną wodą celem usu-

nięcia soli rozpuszczalnych. Próby robione na mniejszą skalę były zachęcające, ale freski stereochromiczne Kaulbacha w Neues Museum w Berlinie tak szybko uległy gruntownemu spękaniu i zniszczeniu, że już chyba stereochromji nie używa się do malarstwa artystycznego, choć w malarstwie fasadowem bywa często stosowana w formie zmodernizowanej.

Widzimy więc, że technika freskowa nie posiada, szczególnie w naszym klimacie, żadnych specjalnych zalet, ale zato liczne wady: trudność wykonania, niepewny wynik artystyczny, szczupłość palety, nietrwałość, niemożność restaurowania. Temu można przeciwstawić zaledwie chyba długowiekową tradycję, świetność dzieł wielkich arcymistrzów przeszłości, i tak zwany „styl monumentalny", wyrażenie bardzo nieokreślone, które Ostwald w cytowanem dziele sprowadza do koniecznego ograniczenia zarówno palety jak i przedmiotów, gdyż fresk nie pozwala np. na silne efekty świetlne, nie dające się w żaden sposób osiągnąć farbami wapiennemi, przez co odpada z musu traktowanie naturalistyczne, i następuje konieczność traktowania przedmiotu w sposób niejako abstrakcyjny, powiedzmy więc stylizująco-dekoracyjny. Ale takie traktowanie przedmiotu, ograniczenie sposobu przedstawienia go i uszczuplenia palety, może artysta sam dobrowolnie u siebie przeprowadzić, nie potrzebując dawać go sobie narzucić przez niewystarczalność techniki.

W powyższem zestawiłem właściwości ważniejszych technik malarstwa dekoracyjnego ściennego na tyle obszernie, szczególnie co do fresku, by można sobie wyrobić wyobrażenie o ich trwałości. Widzimy, że niema techniki absolutnie trwałej, bo takiej być nie może; wszystkie używane mają swoje wady i swoje zalety, trzeba więc w każdym wypadku zosobna rozważyć i zdecydować, który wybrać sposób wykonania. A na wybór taki ma wpływ cały szereg względów nietylko artystycznych, ale i realnych: więc trudność techniki, możność restaurowania (tę musi się koniecznie przewidzieć), wreszcie — *last but not least* — koszta, z któremi tak się musi liczyć nasze ubogie społeczeństwo. Gdyby nie ten ostatni wzgląd, należałoby chyba wybrać mozaikę, która,

nie będąc wprost malarstwem, jednakże na niem jest bezpośrednio oparta, a daje takiż sam rezultat zdobniczy, zapewniając największą osiągalną dotychczas niezmienność i trwałość. Tę trwałość zawdzięcza mozaika temu, że nie jest ona właściwem malarstwem, i wskutek tego rola spoiwa została dla oka zredukowana prawie do zera, a w każdym razie zmiany chemiczne spoiwa, — które w tym wypadku nie jest dokładnie wymieszane z proszkiem barwnym, lecz służy do prawie niewidocznego nazewnątrz zlepienia sporych bryłek „pasty", to jest szkła barwnego — nie mają żadnego wpływu na wygląd obrazu.

Oczywiście najidealniejszą techniką — zarówno w malarstwie ściennem jak i sztalugowem — byłaby taka, gdzie wpływ spoiwa został usunięty przez całkowite obywanie się się b e z niego. W malarstwie sztalugowem znamy dobrze taką technikę: to pastel, który, o ile jest chroniony od uszkodzeń natury mechanicznej, jest najtrwalszą ze wszystkich technik [1]), co brzmi trochę paradoksalnie. Wrażliwość pastelu na silny wstrząs, dotknięcie, potarcie, jest powszechnie znana; jednak staranne i umiejętne zaszklenie (mało który zawodowy oprawiacz obrazów wie, jak to należy robić!) potrafi temu w znacznej mierze zaradzić, a wrażliwość na wstrząs nie jest znów tak wielką, jak sobie zwykle wyobrażamy. Jako przykład mógłbym przytoczyć z własnego doświadczenia, że widok pastelowy Generalifu, malowany przez Wyczółkowskiego w Granadzie, przyjechał z Hiszpanji do Krakowa, a następnie towarzyszył mi z Krakowa do Fryburga w Szwajcarji, by wreszcie — może definitywnie — do Krakowa powrócić; mimo tak dalekich podróży koleją jest dotąd zupełnie nie uszkodzony. Dla pewności jednak stosuje się czasem utrwalacz do pastelu, będący np. słabym roztworem szelaku w spirytusie, lub lepiej roztworem kazeiny w wodzie z dodatkiem nieco boraksu lub węglanu amonowego i spirytusu. Utrwalacz taki, rozpylony na powierzchnię pastelu, zwiększa znacznie jego wytrzymałość mechaniczną, niewiele tylko zmieniając wygląd: przede-

[1]) Ob. co do tego obszerne umotywowanie w cytowanych *Malerbriefe* O s t w a l d a.

wszystkiem malowidło traci na aksamitnym i puszystym wyglądzie, staje się jakby surowsze w wykonaniu i odrobinę ciemnieje.

Otóż takie utrwalanie pastelu umożliwiło Ostwaldowi obmyślenie nowej techniki „pastelu monumentalnego", w której maluje się na powierzchni, przyrządzonej jak do fresco secco, zapomocą ogromnych lasek pastelowych, utrwala roztworem kazeiny, następnie garbuje kazeinę zapomocą roztworu octanu glinowego, a wreszcie po wyschnięciu naciera parafiną, dla uchronienia od działania wilgoci. Takie malowidła nie obawiają się ani działania deszczu ani nawet zmywania strumieniem wody z hydrantu. Rzeczywiście dekoracje takie wykonywał na większą skalę Sascha Schneider, i podobno okazały się bardzo trwałemi. Obszerniejszych doświadczeń jednak, o ile mi wiadomo, brak jeszcze, a przedewszystkiem malowania, wykonane dopiero przed dwudziestu mniej więcej laty, nie przeszły jeszcze próby czasu; ale oczywistą jest rzeczą, że i w tym wypadku los obrazu jest ściśle związany z losem podłoża, i wady zaprawy murarskiej i warstwy tynku muszą się odbić na trwałości malowidła.

Rekapitulując więc widzimy, że wedle dzisiejszego stanu nauki jakąkolwiek techniką artysta się wypowie w dekoracji ściennej, zawsze można z równą słusznością podnieść zastrzeżenia co do trwałości dzieła, jak i bronić użytego sposobu malowania. W naszym zaś klimacie na pierwszeństwo zasługiwałyby te techniki, które — wobec nieuniknionych zmian i niszczenia malowidła zczasem — pozwalają dokonywać naprawek i restauracji, a tym warunkom czynią zadość i techniki temperowe, którąkolwiek z nich wybierze artysta malarz.

Tadeusz Estreicher.

Emigracja polska rolna we Francji.

(Dokończenie).

b. Życie społeczne.

Przechodzę do charakterystyki życia społecznego polskiej emigracji rolnej. Dla większej zwięzłości i przejrzystości ujmę ją w trzech punktach. Najpierw omówię w krótkiem streszczeniu prawa i przywileje, przyznane polskim emigrantom rolnym pod względem społecznym przez urzędowe układy francusko-polskie, następnie podam ich wykonanie i trudności, jakie im nastręcza życie, wreszcie omówię najważniejsze organizacje, które swą pracą starają się ulżyć doli emigranta polskiego w naszej dziedzinie.

O ile chodzi o życie społeczne polskich emigrantów rolnych we Francji — aktami urzędowemi regulującemi są konwencja francusko-polska, dotycząca opieki społecznej, z dnia 14 października 1920 roku, układ wykonawczy konwencji z dn. 3. XI 1926 r., oraz szereg protokułów posiedzeń konferencyj rocznych francusko-polskich.

Prawa i przywileje społeczne polskiej emigracji rolnej według owych aktów urzędowych dają się ująć w następujących punktach:

1. Polscy emigranci we Francji mają zapewnione prawo korzystania narówni z robotnikami francuskimi ze wszystkich dobrodziejstw społecznych francuskich, jako to praw regulujących sprawę ubezpieczeń, wypadków przy pracy, chorób, niezdolności przy pracy, bezrobocia i t. p. i to zarówno tych, które już istnieją, jak i tych, które będą ogłoszone w przyszłości.

2. Rodziny polskie, narówni z rodzinami francuskiemi, mają prawo do zapomóg dla licznych rodzin, jeśli te rodziny przebywają we Francji.

3. Wszelkie te pomoce wypłacane lub ciężary ponoszone z tego tytułu obciążają jednak właściwie państwo polskie, bo po odpowiedniem przerachowaniu ulegają zwrotowi.

4. Zwrotowi nie podlegają tylko: a) koszta poniesione dla chorych, których choroba nie była wynikiem stanu chorobliwego zapoczątkowanego w Polsce, ale skutkiem epidemji; b) koszta za starców, nieuleczalnych i t. p., którzy zapadli mając już 15 lat pobytu we Francji; c) tych, których choroba jest zawodową i mają już 5 lat pobytu we Francji; d) wreszcie tych wszystkich chorych, którzy przyjechawszy zdrowymi zapadli po 5 latach pobytu;

5. Prawo zakładania zakładów dobroczynnych, intelektualnych i społecznych, przyznane robotnikom polskim; z pod tego prawa wyjęte są jedynie właściwe związki zawodowe polskie. Robotnicy polscy mogą jedynie należeć lub nie do związków zawodowych francuskich, mogą też w nich piastować urzędy, ale nigdy nie mogą stanowić większości zarządu;

6. Wreszcie w 6-tym punkcie dałyby się ująć prawa, przyznane polskim robotnikom w zakresie kupna ziemi i innych nieruchomości, z tem jednak zastrzeżeniem, że pewne okolice, gdzieby była obawa o charakter narodowy francuski, będą wyjęte z pod tego prawa.

Jak widzimy, nawet pomimo tych ograniczeń dukumenty urzędowe przyznają dość wiele polskim emigrantom we Francji. Niestety życie codzienne, regulowane wieczną walką o byt i prawa, wprowadziło interpretację niezawsze nawet taką, jaka widnieje w konwencjach. Słabsze ilościowo i jakościowo emigracyjne społeczeństwo polskie musiało z konieczności być daleko ustępliwsze niż rząd, traktujący na zasadzie równy z równym.

Nie sposób tu przeprowadzić krytyki życiowej całokształtu postanowień konwencyjnych, ograniczę się więc do streszczenia paru punktów z tego, co podałem w rozdziale wspomnianej już mej publikacji francuskiej.

Weźmy chorych. Wieśniak polski silny i zdrów, bo tylko takich przepuszcza komisja lekarska, do tego bardzo niechętnie zwracający się do lekarza, jeszcze niechętniej

odnosi się do lekarzy francuskich (lekarze kształceni w Polsce nie mają prawa praktyki we Francji) i francuskich szpitali. Konwencja przyznaje pracownikowi polskiemu świadczenia narówni jak dla robotnika francuskiego, ponadto przewiduje ona dość liczne i uciążliwe dla Polski zwroty ciężarów. Niemniej jednak, aż nazbyt często słyszy się ubolewanie szpitali francuskich na zbytnie ciężary ponoszone dla emigrantów polskich. Nierzadko zaś przychodzi spotkać się z dobrowolnem i bardzo niechętnem odmawianiem hospitalizacji, stosowaniem wymagań, formalności często nie różniących się od szykan. Źródłem tego niechęć, jaką czują Francuzi, a zwłaszcza lud francuski do wszystkiego co jest obcem.

Albo drugi dział — wypadki przy pracy. Znowu konwencje zapewniają równość z robotnikiem francuskim, życie zaś czyni ją nieledwie iluzoryczną. Różnice, istniejące między płacami rzeczywistemi, a płacami służącemi za podstawę do obliczeń rent odszkodowania; nadzwyczaj długa procedura sądowa w załatwieniu tych bodaj niekończących się spraw, zresztą bardzo częstych tam, gdzie jak w północnej Francji robotnicy rolni pracują ciągle jeszcze na polach dawnych walk; dość częste zmiany pobytu robotników i t. p. czynią, że prawdziwa krzywda dzieje się naszemu robotnikowi.

Albo trzecie źródło bolączek — kobieta i dziecko. Istnieją trzy rodzaje pomocy przewidzianych przez społeczne ustawodawstwo francuskie dla tego rodzaju potrzebujących pomocy. Są to pomoce przewidziane dla położnic, dla licznych rodzin i dla dziewcząt-matek. Powinny z nich korzystać zarówno rodziny polskie jak i francuskie. Niestety, formalizm administracyjny, wrogie nastawienie mas francuskich, propaganda niemoralna oraz rozpustny stan wsi francuskiej utrudniają, jeśli nie niweczą całkowicie korzyści płynące z tekstów urzędowych. Liczne rodziny polskie wypędza się precz; ani gospodarz, ani gmina nie chcą ponosić nałożonych prawem ciężarów; brak pomocy, szyderstwa z rodzin licznych, a z drugiej strony rozpustny wyzysk kobiet i dziewcząt polskich, zdanych po samotnych fermach

na łaskę i niełaskę swych panów — oto życie polskich mas robotniczych.

Nieprzebierająca w środkach presja, asymilująca polskich emigrantów, dopełnia obrazu. Asymilacji zaś tej siłą rzeczy sprzyjają i warunki ekonomiczno-osiedleńcze emigracji polskiej.

Środkiem zapobiegawczym tym niedomaganiom, wyzyskowi i asymilacji byłyby szkoły polskie, organizacje robotnicze, kościół polski, oraz czynna rola czynników państwowych polskich. Niestety, z pośród tych środków zaradczych jedne albo wcale nie istnieją, a inne, o ile istnieją, to albo tak są skrępowane szeregiem najprzeróżniejszych ograniczeń, albo też taki wiodą żywot suchotniczy, że rezultaty ich pracy są znikome.

Nie istnieją więc najpierw szkoły polskie dla polskich robotników rolnych. Emigracja rolna jest tak rozproszona, że nigdzie dotąd nie udało się wśród owych 75.000 robotników rolnych zorganizować szkółki polskiej. Drogą wyjścia byłyby tu centra napół fabryczne, jak cukrownie, cegielnie, fabryki nawozów sztucznych i t. p. Niestety *quantum* 65 dzieci, wymagane jako minimum przez władze francuskie do otwarcia szkółki polskiej, nadto sezonowy charakter robót rolnych i związana z nim ruchliwość polskich robotników, uniemożliwiają tę pracę.

Jako możliwe pozostają tylko dwa rozwiązania: albo organizować, kosztowne zresztą bardzo, bursy i internaty przy szkołach istniejących w osiedlach polskich fabrycznych lub kopalnianych, albo ograniczyć się do tego, co będą mogli uczynić w tym względzie sami rodzice przy pomocy dostarczonych im elementarzy i książek. Ten ostatni sposób jest praktykowany i popierany przez polskie organizacje i polskie duchowieństwo, niestety skutki są minimalne, a to głównie dzięki przeciwnym i bardzo przebiegłym wysiłkom szkół francuskich i francuskiego duchowieństwa.

Praca polskiego duchowieństwa wśród polskiej emigracji zarówno pod względem narodowym jak i katolickim jest również bardzo mało skuteczna. Po pierwsze dlatego, że nad ową 75-cio tysięczną rzeszą, rozsianą po całej Francji, pracuje zaledwie czterech kapelanów polskich stałych

i paru księży studentów; a powtóre dlatego, że wobec rozsypki, w jakiej ci emigranci rolni żyją, ich praca może być tylko bardzo dorywczą, ograniczającą się do dwóch lub trzech wizyt rocznie wśród bardzo wielu kolonij.

Mniej skuteczną jest bodaj jeszcze praca czynników urzędowych polskich. Nie mówiąc już o tem, jak ciasny zakres działania pozostawiają konwencje francusko-polskie polskim władzom we Francji, Ambasada i 8 istniejących konsulatów polskich są tak zawalone pracą korespondencyjną, paszportową, interwencyjną, że nie mogą nic prawie pomóc zanikającej świadomości narodowej polskich mas wychodźczych.

Stosunkowo wiele czyni jeszcze prasa polska, niestety wpływ jej ogranicza się jedynie do pokolenia dorosłego. Od paru lat istnieje wprawdzie i specjalny miesięcznik, przeznaczony dla dzieci i młodzieży, jak dotąd nie zdołał on jednak pozyskać sobie szerszego wpływu.

To samo bodaj odnosi się również i do Towarzystw robotniczych polskich. Te same względy, które uniemożliwiają powstanie szkół i pracę duchowieństwa, paraliżują również i wysiłki organizacyj robotniczych. Robotnicy rolni są zbyt rozproszeni, zbyt związani swą pracą od świtu do nocy, bardzo często, jako pochodzący z byłego zaboru rosyjskiego, analfabeci i dlatego i na ten środek liczyć nie można.

Jedną jedyną organizacją, która najwydatniejszą pomoc niesie emigrantom, która ich broni przed wyzyskiem, przed nędzą i wynarodowieniem, jest organizacja t. z. Opiek polskich. Jest to organizacja napół urzędowa, napół prywatna. Subwencjonowana przez państwo polskie spełnia ona bardzo różnorodną rolę. Celem głównym jest opieka społeczna: pomóc radą i pośrednictwem, stać się pośrednikiem i tłumaczem pokrzywdzonych, biurem pośrednictwa pracy i t. d. Ubocznie zaś ma stać się szkieletem całego życia polskiego, skupić przynajmniej w pewnych określonych dniach rozproszonych, urządzić obchód lub uroczystość narodową, stać się siedzibą polskich towarzystw, organizatorką kursów, wypożyczalnią książek i pism polskich i t. d. Słowem mają te opieki bronić, krzepić na duchu, pomagać w potrzebie,

uświadamiać i podtrzymywać ducha narodowego. Zapoczątkowane w 1923 r. (najstarsza z nich Opieka w Paryżu datuje się już z 1908 r. kiedy to pierwsi emigranci polscy stanęli na francuskiej ziemi, szukając chleba), dziś są już one w liczbie 11 rozrzucone po całej Francji, kompletując w ten sposób pracę placówek konsularnych. Niestety ostatniemi czasy nietylko rozwój ich, ale podobno i sama ich egzystencja została zachwiana. Nasze stosunki budżetowe, pewien kryzys na francuskim rynku pracy, objawiający się w bezrobociu, osłabiły nasze polskie stanowisko. Dla ich wyeliminowania powstały podobne im francuskie komitety opieki nad emigrantami i podobno rząd polski nosi się z zamiarem zlikwidowania swoich opiek, a przynajmniej zredukowania ich do liczby czterech. Nie ulega wątpliwości, że osłabi to bardzo ducha naszych mas wychodźczych które bardzo szybko zostaną stracone dla Polski.

c. Życie religijne.

Życie religijne polskiej emigracji we Francji nie jest zagwarantowane żadnemi prawno-państwowemi aktami. W konwencjach emigracyjnych, zawartych przez rządy polski i francuski, niema o życiu religijnem żadnej wzmianki. Jedynie kontrakt pracy, zawierany przez robotnika i pracodawcę francuskiego ma punkt, dotyczący świętowania niedzieli. Zasadą, z której wychodzi w tym względzie kontrakt jest zasada równości robotnika polskiego z robotnikiem francuskim. Art. 3 brzmi więc jak następuje: „W czasie żniw i sianokosów robotnicy polscy winni pracować tę samą ilość godzin, co ich towarzysze francuscy. Winni więc oni wtedy pracować i w dni niedzielne".

Na pierwszy rzut oka owa zasada równości robotników polskich i francuskich wydaje się zupełnie słuszną. Po bliższem przyjrzeniu się jej jednak nie może być uważaną za sprawiedliwą. Robotnik francuski w swych masach nie jest katolickim, praktyk religijnych nie zna prawie zupełnie, nie wie co ma z sobą zrobić w dzień wolny od zajęć. Jedynemi zebraniami, na które uczęszcza, są kina i zabawy komunalne. Zebrania te prawie wyłącznie odbywają się wieczorem. Robotnik francuski pracuje więc bez żadnych trudności

w niedzielę do południa, ubiera się dopiero pod wieczór i idzie na zabawę. Zabawę tę kończy późno w noc. W poniedziałek robotnicy rolni najczęściej pracę swą rozpoczynają dopiero koło południa. I dlatego zrównanie z takim robotnikiem naszego polskiego robotnika było niesprawiedliwością. Ponieważ zaś niełatwo jest zmienić wiekowe tradycje, robotnicy polscy przywykli do świętowania zaczęli się skarżyć na tę niesprawiedliwość, zaczęli się buntować, a ponieważ duchowieństwo polskie podtrzymywało ze zrozumiałych zresztą powodów ten nastrój, poczęto powszechnie przemyśliwać nad zaradzeniem złemu.

Trzy ważniejsze etapy dają się zauważyć w tej sprawie. Pierwszymi wyjątkami z pod powyżej przytoczonej zasady równości były te, które poczyniono dla robotników polskich w sprawie większych swobód w świętowaniu niedzieli. Drugim etapem było zezwolenie osiedlania się po kolonjach polskim kapelanom, a trzecim uchwalenie pewnych postanowień ochronnych, już jeśli nie dla życia religijnego w ścisłem znaczeniu, to przynajmniej dla życia moralnego. Rozpatrzmy bliżej te etapy.

Najtrudniejszem było zapoczątkowanie pewnych wyjątków. I jeśli bowiem delegacja polska dla spraw emigracyjnych w r. 1919 czuła wyraźny lęk i niechęć do spraw religijnych, to tem więcej odczuła to jeszcze delegacja francuska. Wdać się w układy dotyczące religji było nietylko obawą podyktowaną przez brak kompetencji, ale przedewszystkiem obawą przed stworzeniem dla Francji wielce ryzykownego precedensu. Bo przecież państwo, które samo nazywało się neutralnem, a właściwie tchnęło duchem nienawiści do Kościoła katolickiego, nie mogło ze spokojnem sumieniem, nawet z innem państwem świeckiem zawierać układów co do spraw religijnych. Na nieszczęście dla radykałów francuskich, a na szczęście dla emigracji polskiej ta polityka strusia nie mogła potrwać długo. Mając ludność w 75% katolicką, Polska nie mogła mieć i innej emigracji, ta zaś za nic zadowolnić się nie chciała i coraz natarczywiej domagała się swobody świętowania. Mowa tu głównie o polskich robotnikach rolnych. Tam bowiem, gdzie jak w fabry-

kach i kopalniach, dzień pracy regulowały lub gwarantowały zwyczaje lub umowy syndykatów, trudności były mniejsze. Powoli, prawnie przynajmniej jeśli nie faktycznie, zwyciężyli jednak robotnicy rolni. I oto zmiany, które wprowadzono odnośnie do owego wypoczynku niedzielnego: „W czasie sianokosów i żniw robotnicy polscy winni pracować tę samą ilość godzin, co i ich towarzysze pracy francuscy. W tych dniach winni oni pracować nawet i w niedzielę, lecz tylko w razie gwałtownej potrzeby. Mają oni prawo do tych samych korzyści, względnie premij, co i robotnicy francuscy". „W niedziele i święta robotnicy polscy, wzorem robotników francuskich, winni wykonywać niezbędne roboty koło bydła w takich jednak godzinach, by to nie przeszkadzało im brać udziału w nabożeństwach". „Wszelkie dni świąteczne — dodaje kontrakt tytułem informacji — obchodzone będą według kalendarza francuskiego".

Łudziłby się ten, ktoby sądził, że takie ujęcie daje już robotnikowi polskiemu żądaną swobodę dla jego praktyk religijnych. Niemniej jednak przynajmniej kontraktowi robotnicy, a wślad za nimi i inni emigranci polscy mogli już odtąd, w razie ewentualnych zatargów, powstałych na tem tle, odwołać się na te wyjątkowe prawa, dozwalające im pewne minimum praktyk religijnych.

Niestety zbyt ogólnikowe brzmienie tego tekstu nastręczało i nastręcza do tej pory bardzo wiele okazyj do nieporozumień i zatargów. Główna zaś tego przyczyna leży w odmiennej psychice ludu polskiego i francuskiego. Gospodarz francuski, nawet pomimo woli zbyt wielki nacisk będzie kładł na ową równość z areligijnym i niepraktykującym robotnikiem francuskiem, emigrant zaś polski będzie pragnął diametralnie różnego od sposobu francuskiego — polskiego sposobu świętowania niedzieli. I jeśli pracodawca francuski pragnąłby nie wypuścić robotnika przed południem, to znów robotnik polski pragnąłby pójść do kościoła, lub przynajmniej świętować jak w Polsce, nie chce w żaden sposób pracować w niedzielę więcej ponad dwie lub trzy godziny wczesnym rankiem przy niezbędnej obsłudze bydła. Zatargi te ustaną chyba tylko wtedy, gdy kontrakty określą

ściśle czas i godziny pracy świątecznej, albo też gdy robotnik polski faktycznie utraci uczucia religijne, jak je utracił bezbożny i nie praktykujący robotnik francuski.

Pewne realizacje pierwszej z tych możliwości zawdzięcza już emigracja polska staraniom władz polskich, niestety i druga z tych możliwości, zanik religijności wśród polskich robotników dzięki niedostatecznej opiece duszpasterskiej staje się coraz groźniejszą.

Oto parę danych, które zobrazują nam stan owej opieki duszpasterskiej wśród polskiej emigracji we Francji.

Opiekę duszpasterską nad emigrantami polskimi we Francji pełni Polska Katolicka Misja z Rektorem na czele, którym z ramienia Prymasa Polski, jako przedstawiciela Episkopatu polskiego, jest obecnie ks. prałat Leon Łagoda. Początków obecnej Misji należy szukać już dość dawno, bodaj, że w czasach popowstaniowych, kiedy to wraz z patrjotami polskimi zmuszeni byli i niektórzy z kapłanów polskich opuścić kraj i szukać schronienia na wolnej ziemi francuskiej. Ostatnim przedstawicielem tej dawnej politycznej emigracji polskiej na ziemi francuskiej był długoletni Rektor Misji ks. Postawka. W czasach odrodzonej Polski pierwszym z Rektorów był ks. Szymbor ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy. Organizację dzisiejszej Polskiej Katolickiej Misji we Francji ułożyli wspólnie biskupi polscy wraz z biskupami francuskimi, po wzajemnie wymienionych wizytach. Rektor Misji z siedzibą w Paryżu podlega zasadniczo dwom zwierzchnikom: jednym z nich jest arcybiskup Paryża, drugim prymas Polski — jeden i drugi z tych zwierzchników delegują następnie swego przedstawiciela, który już bezpośrednio czuwa i opiekuje się Misją. Obecnie Misja liczy około 50 kapelanów polskich, paru księży Francuzów, którzy nauczywszy się po polsku obsługują placówki polskie i około 50 placówek duszpasterskich, obsługiwanych regularnie. Prócz tego istnieje jeszcze kilkanaście placówek, obsługiwanych dorywczo bądź przez najbliższych kapelanów stałych, bądź też przez księży studentów polskich, przebywających na wydziałach francuskich. Podzieleni na dekanaty kapelani ci dzielą się jak następuje: w Paryżu pracuje 7-u, w okolicach Paryża czyli w t. zw. dekanacie paryskim

6-u; w dwóch departamentach kopalnianych północnej Francji, Nord i Pas de Calais, tworzących dekanat północnej Francji 19-u; w Alzacji i Lotaryngji, czyli dekanacie wschodniej Francji 8-u; w centralnej i południowej Francji, czyli t. zw. dekanacie południowym 8-u. Liczba wiernych, obsługiwanych przez jednego kapelana polskiego, waha się między 3.000 i 10.000.

W te liczby nie wchodzi jednak mniej więcej jak piąta część emigracji polskiej, która ze względu na swe wielkie rozproszenie, oraz z racji braku księży polskich jest pozbawiona wszelkiej pomocy religijnej. Bywają to centra polskie dość znaczne, sięgające tysiąca i dwóch — jeśli chodzi o emigrantów przemysłowych i kopalnianych; najczęściej są to okręgi rolne. Departamenty, grupujące do 8.000, nie mają nieraz i nie miały nigdy księdza stałego. To też głównie wśród tych ostatnich tysiące ludzi żyje, rośnie, rodzi się i umiera, nie mając możności nigdy ujrzeć księdza, któryby przemówił do nich ich własnym językiem, podniósł ich na duchu, dźwignął w upadku, rozgrzeszył i wprowadził na nowo na drogę cnoty. A jak niezbędnym jest tam ów kapłan, jak wiele dobrego może on tam sprawić! Narzeka się często na nędzę materjalną, na wyzysk i niesprawiedliwości, jakie cierpią nieraz owe masy wychodźcze, wszystko to jednak niknie wobec tego zepsucia moralnego, tego rozprzężenia obyczajów, wyzysku i gwałtów, jakie cierpią emigranci, a zwłaszcza emigrantki polskie, z których połowa traci niewinność jeszcze w czasie pierwszego roku swego kontraktowego pobytu we Francji.

Ogólnie biorąc, pomimo takiego stanu rzeczy emigranci polscy we Francji, jeszcze bardzo chętnie korzystają z pomocy religijnej. I jeśli duch słabnie, to raczej przypisać go należy trudnym warunkom, w jakich się znajdują, dużej zależności, o ile chodzi o robotników rolnych, od swych wrogich dla Kościoła pracodawców, brakowi dostatecznej liczby księży polskich i t. p. warunków zewnętrznych, niż dobrowolnych odstępstw. Przeciwnie nawet, jeśli tylko znajdzie się ksiądz gorliwy, sumienny, to na rezultaty nie czeka się długo. Zaufanie mają ci ludzie ogromne do swych duszpasterzy, zahartowani zaś trudnościami, broniąc się przed

wyzyskiem i wynarodowieniem, stają się szybko wysoce wartościowemi jednostkami zarówno na polu narodowem jak i religijnem. I tak w ten sposób znowu jak przez lata niewoli duchowieństwo polskie staje się prawdziwą ostoją religji i polskości.

Przechodząc teraz do warunków, w jakich pracują ci księża polscy, należy wyraźnie podzielić je na dwie kategorje. Do pierwszej, wygodniejszej i łatwiejszej, należy duszpasterstwo przemysłowe i górnicze, a do drugiej, mniej licznej, ale zato daleko trudniejszej, duszpasterstwo wśród emigracji rolnej.

Zacznijmy od tej drugiej. Polska ludność rolna zachowała daleko lepszego ducha pobożności i gorliwości. Podziwu godną jest ona, gdy się patrzy z jakiemi trudnościami, z jakim heroizmem spieszy, by wykorzystać przyjazd polskiego kapłana na misję do niej. Na czczo od świtu robią po kilka i kilkanaście kilometrów drogi pieszej do stacji, jadą po kilkadziesiąt kilometrów, przezwyciężają wszelkie możliwe trudności, wynikające z nieznajomości kraju i języka, byle tylko spełnić swój obowiązek religijny. I żeby to chociaż wzamian za ich trudy ów ksiądz polski mógł im poświęcić jakiś dłuższy czas, choćby z pół godziny każdemu raz na rok. Niestety nabożeństwo polskie pomiędzy jednem a drugiem nabożeństwem francuskiem, krótkie kazanie, bo brak czasu na dłuższe, chwila spowiedzi, bo czekają masy, komunja święta, śluby lub chrzty, a nierzadko jedne i drugie dla rodziców i ich nielegalnych dzieci, kilka chwil wspólnej pogawędki z tymi, którzy chcieli lub mogli czekać na koniec spowiedzi — i wyjazd w dalszą drogę do siebie lub wprost do następnej placówki. Jedynem życzeniem i jedyną prośbą tych poczciwych ludzi przy pożegnaniu się z kapłanem, to pytanie i prośba zarazem, kiedy znów przeżyją takie święta. Bardzo często widzi się wtedy łzy w oczach nawet u starszych i poważnych ojców i matek, nie mówiąc już o samotnych dziewczętach, które najtrudniejsze chyba ze wszystkich mają warunki. Niestety, jeśli chodzi o rozproszone masy emigracji rolnej, którą poza czterema punktami stałemi odsługują głównie księża studenci, bardzo rzadko mogą im oni obiecać drugą taką wizytę w tym sa-

mym roku. I znowu czyż taki sposób pracy można naprawdę nazwać duszpasterstwem? Czy on daje przynajmniej to minimum kontaktu osobistego, jaki winien łączyć duszpasterza z owieczkami, które mają go znać i za nim iść?

W placówkach przemysłowych i górniczych jest pod tym względem daleko lepiej, ale i tam kapelani polscy, mając do obsłużenia parę rozległych parafij i moc pracy organizacyjnej, upadają wprost pod nawałem obowiązków.

Wracając teraz do podanego niedawno podziału na etapy, jakiemi szła poprawa warunków polskiej emigracji we Francji, tak jak odnośnie do pierwszego z nich życzyćby sobie należało lepszego unormowania prawnego życia religijnego, tak znów odnośnie do organizacji i pracy polskiej Katolickiej Misji należałoby jej dopomóc, wysyłając na jej częste i gorące prośby więcej, niż to się czyni dotąd, księży.

Przechodząc wkońcu do trudności, z jakiemi muszą walczyć duszpasterze polscy we Francji, podzielę je na dwie różne grupy: pierwszą z nich to przyczyny porządku materjalnego, a drugą, przyczyny porządku psychologicznego.

Do trudności porządku materjalnego należy najpierw wszędzie mniejsze lub większe, ale zawsze wielce uciążliwe rozproszenie dusz zwierzonych opiece polskiego kapelana. Kapelani w centrach przemysłowych mają najwyżej po parę kościołów do obsłużenia, ale zato ci, którzy obsługują emigrację rolną, mogą uczynić wszystko, co tylko dla nich będzie możliwem: zużytkować ogłoszenia kościelne, korespondencję w formie cyrkularzy czy okólników, poczynić ogłoszenia w prasie i t. p. — dobrze będzie jeśli w ten sposób powiadomią oni połowę, druga połowa, którąby podobnie jak pierwsza chętnie pospieszyła na apel, nie zdoła się dowiedzieć o Misji, lub nie puszczą jej ich pracodawcy.

Drugą trudność stanowi brak środków lokomocji. Eksploatacje rolne niezawsze znajdują się na drogach komunikacyjnych, które łączą zazwyczaj miasta i osady, ale wprost przeciwnie znajdują się bardzo często po najbardziej zapadłych kątach. Żądać od ludzi, by zeszli czy zjechali się do jakiegoś centrum, znaczy to często, wymagać od nich rzeczy niemożliwej. Trzeba więc samemu dotrzeć do nich. A wtedy co za niewolnicze skrępowanie godzinami pocią-

gów! ileż straty czasu na wyczekiwanie połączeń! co za umęczenie! Wreszcie co za zależność od ludzi! Po wioskach i osadach, podobnie jak i w Polsce, niema przecież hoteli ani restauracyj, a więc ciągle taki kapelan jest na cudzej łasce. Robotnicy polscy, choćby i chcieli przyjąć swego księdza, nie mają gdzie, bo ich warunki mieszkaniowe są najczęściej okropne. Dość powiedzieć, że po dziś połowa bodaj polskich emigrantów rolnych mieszka w barakach z desek i blachy. Francuzi zaś, tak gospodarze jak i księża, nie grzeszą zbytkiem gościnności, jedni i drudzy przez znaną i do przesady wyrachowaną francuską oszczędność, a drudzy często przez niemniej znaną i powszechną nędzę.

Co się tyczy trudności, które nazwałem psychologicznemi, to z pośród nich na większą uwagę zasługuje najpierw niechętne i bodaj, że już miejscami wrogie ustosunkowanie się do Polaków i do polskiego księdza społeczeństwa francuskiego i francuskiego kleru. Nie bez winy jest tu jednak i nietaktowne, a nieraz i awanturnicze zachowanie się Polaków i samych polskich księży. Francuzów bowiem traktują nieraz tak, jak traktowało się wrogich nam ciemiężców, Moskali czy Niemców. Nic wtedy dziwnego, że bywają zgrzyty i wypadki zupełnie uzasadnionej nieufności, jaką Polaków darzą i tak już niechętni wszelkim cudzoziemcom Francuzi.

Ważniejszą jednak jest druga przyczyna, jaką stanowi świadomość słabej asymilacji elementu polskiego wraz z świadomością roli, jaką przy niej pełni kapelan polski. Walka z tym ostatnim to walka z tak zwaną przez Francuzów irrydentą polską. By ją złamać, wszystko jest dobre, nie wyłączając choćby takiego zaiste drakońskiego ustawodawstwa, jak ustawa o automatycznem przyjmowaniu obywatelstwa francuskiego, podług której dzieci tych, co urodzili się we Francji są już *de iure* obywatelami francuskimi, ponadto ograniczenie polskiego szkolnictwa (prywatną szkółkę wolno otworzyć dopiero dla 65 dzieci), i t. p. Ponieważ zaś duchowieństwo francuskie należy do tych, co hołdują bardzo silnie duchowi nacjonalizmu (dowodem tego choćby głośna sprawa „Action Française"), a drugiej strony i duchowieństwu polskiemu także nie brak patrjotyzmu, przeto okazyj do nieporozumień moc.

Zwiększają się te tarcia i ze względu na ściśle kościelne trudności, jako to mały i ciasny zakres spraw jurysdykcyjnych, przyznawany przez kurje francuskie kapelanom polskim, ich duża zależność od proboszczów francuskich, wreszcie nieuregulowane dotąd prawa t. zw. *iura stolae*, nieustępliwość wzajemna w wyznaczaniu godzin nabożeństw, ciągle zachodzące koincydencje i t. p. Sporo z tych trudności doszło już dziś jednak do wzajemnej świadomości i zarówno jedna jak i druga strona dokładają wysiłków, by je usunąć.

Życzyćby sobie należało, aby to nastąpiło jak najprędzej. Tymczasem bowiem stan religijny emigracji polskiej we Francji psuje się coraz bardziej. Zwłaszcza demoralizacja i coraz większe radykalizowanie się tych mas wychodźczych postępują bardzo szybko. Świadomość narodowa słabnie również. Wprawdzie wysiłków wśród tych, co pracują na miejscu, nie brak, mając jednak do zwalczania bardzo wiele trudności, tracą oni ducha i zapał i chęci do pracy. Społeczeństwo więc u nas w kraju, winno zasilać ich kadry nowemi siłami, darzyć sympatją i wszelką dostępną dla niego pomocą, jeśli nie chce całkowicie stracić tych mas i jeśli nie chce, by ci, którzy wrócą, stali się czynnikami zamętu i zepsucia.

Ks. Dr. L. Poszwa.

Fragment z nieznanego pamiętnika J. B. Zaleskiego.

(Pobyt w klasztorze de la Grande Trappe koło Mortagne w r. 1843).

Po upadku powstania listopadowego, w czasie ciężkich dni tułactwa w emigracji polskiej budziła się coraz silniej tęsknota ku ideałom religijnym, dochodząca nieraz do ascezy. Oparcia dla zamierzeń politycznych i dążeń w odzyskaniu wolności upatrywano w dziedzinie ducha i odrodzeniu moralnem jednostek i ogółu. Fragmenty z nieznanych dotąd notatek autobiograficznych Bohdana Zaleskiego znajdujące się w rękopisie (bez sygnatury) Bibljoteki Jagiellońskiej [1]) stanowią bardzo bogaty materjał, w którym znajdujemy wspaniały obraz odrodzenia religijnego jednostek na emigracji.

Poeta za namową przyjaciół zamierzał opisać swe życie i pracę nad pamiętnikiem rozpoczął, lecz w bardzo późnym już wieku, bo mając lat 75, kiedy mu ani wzrok ani siły nie wystarczały, by sprostać zadaniu. Napisał tylko dn. 1 czerwca 1876 r, wstęp do pamiętnika, [2]) w którym podaje pobudki skłaniające go do pisania autobiografji. „Żywot mój nijaki — czytamy tutaj — nie błyszczy świetnemi czynami ni dziełami. Dumania poetyckie i patrjotyczne bóle są całą jego treścią. Wzgląd jeno na dziwnie piękny okres czasu i na znamienitych rówieśników moich podaje

[1]) Przed śmiercią Bohdan Zaleski wyraził życzenie, by pozostałą po nim spuściznę rękopiśmienną oddać Bibljotece Jagiellońskiej. Rękopisy te otrzymała Bibljoteka od syna poety Dionizego Zaleskiego w roku 1925.

[2]) Drukowany w *Korespondencji* J. B. Zaleskiego (Lwów 1904, t. V, str. 183—184), wydanej przez syna.

pióro mi do ręki. Kochali mię wielcy i rozgłośni w Ojczyźnie mężowie. Otóż głównie radbym wypowiedzieć w świętej prawdzie, co wiem o nich dobrego, albo pięknego ku zbudowaniu ziomków. O sobie, ile możności, pisać będę ogólnikowo i pobieżnie". Charakterystyka współczesnych ludzi i stosunków była zatem celem, jaki przyświecał Zaleskiemu. Z rozpoczętej pracy prócz wstępu pozostał jeszcze spis rozdziałów pamiętnika, ogłoszony również drukiem w korespondencji poety.[1]) Nadto w rękopisach zachowała się kartka, na której poeta umieścił najważniejsze daty swego życia, oraz wymienił ludzi, z którymi się stykał.[2]) Jako materjał do opracowania całokształtu wspomnień miały służyć notatki spi-

---

[1]) *Korespondencja* J. B. Zaleskiego, t. V, str. 184—185.

[2]) Oto tekst: „Okres pierwszy od 1802—1812. Dziecinne lata — Bohatyrka — Medwedówka — Kaniów — Czuczynka — Jerczyki — Krzywice i odjazd do szkół do Humania.

Okres drugi od 1812—1820. Lata szkolne, Rafał Ratowski, Pius Groza, Grabowski, Goszczyński, Krechowiecki i odjazd do Warszawy.

Okres trzeci od 1820—1830. Życie stołeczne — K. Brodziński, J. Mroziński, J. Lelewel, M. Mochnacki — Leszczynówka, Kutno, Płock, Sochaczew, Powązki.

Okres czwarty od 1830—1832. Powstanie listopadowe — wojna — Dobre — Stanisławów — Grochów — i t. d. Zakroczym — Kwarantanna w Brodnicy — Oświęcim — Lwów i odjazd na tułaczkę.

Okres piąty od 1832—1836. Szamotanie się polityczne w Paryżu — Powrót do wiary — Mickiewicz, Jański, Witwicki — K. Różycki — Sèvres, Fontainebleau i t. d. i wyjazd do Strasburga.

Okres szósty od 1836—1846. Lata twórczości poetyckiej, Strasburg, Robertsan, Molsheim, Dyzia — Marsylja — Podróż do Włoch — Mamcia — Endoume — Paryż — Fontainebleau — Beaune — Towiańszczyzna — Podróż do Włoch — Zygmunt Krasiński — Podróż morska na Wschód — Neapol, Malta, Smirna, Bejrut, Jaffa, Jeruzalem — Kwarantanny w Smyrnie i na Malcie, Rzym — Brzegi Renu — Ostenda — Trapiści — Smętki, tęsknoty, klasztorek Zmartwychwstańców — Kostusia — Badenweiler — Ludwik i Celiński — Zosia — Trappe — Józia — Wyjazd do Alzacji, Kolmar, Olenberg, Bourbonne les Bains, Witwicki, Józef, Ożenienie się z Zosią.

Okres siódmy od 1846—1868. Żywot w stanie małżeńskim, Hyeres, Podróż z żoną do Włoch — Paryż — Passy — Fontainebleau — Marjan — Józefa — Dionizy — Karol — Kazimierz — Stefan — Powrót do Paryża — Częste niemoce Józefa i żony — Bafiniolskie utrapienia — Śmierć Józefa — Wyjazd do Hyeres żony i Józi — Choroby śmiertelne Darcia Dyzi, Zosi mojej.

Okres ósmy od 1868 ... Wdowieństwo smutne.

sywane bardzo drobnem właściwem Zaleskiemu pismem, w formie dzienników na luźnych karteczkach, lub w notesikach i kalendarzykach, dotychczas nieznanych nawet Tretiakowi w jego monografji o Zaleskim. Najwcześniejszy w rękopisie zachowany dzienniczek pochodzi z r. 1843, zaczynając się od 10 lutego do 15 lutego, drukiem został ogłoszony przez Dionizego Zaleskiego we wspomnianej już *Korespondencji* ojca (s. 250—253). Późniejsze, robione z dnia na dzień notatki, jak zresztą cały dzienniczek, składają się z czterech małych karteczek od 7—25 listopada i zawierają opis przeżyć duchowych z czasów rekolekcyj, odbytych przez Zaleskiego w klasztorze Trapistów. Z r. 1844 mamy notatki składające się z 11 kartek małego formatu, pod wspólnym tytułem „Mój dzienniczek pisany w Paryżu". Opowiedział tutaj poeta o swych przeżyciach poczynając od 1 stycznia do 7 lutego. Z następnego roku zachował się tylko dzienniczek pisany od 9 do 16 sierpnia w klasztorze alzackim Trapistów w Oelenberg, składający się z czterech karteczek. Później następują notatki z rekolekcyj odprawionych po raz drugi w klasztorze de la Trappe w r. 1846, pisane w kalendarzyku formatu 16-ki. Pierwsza kartka tych notatek, rozpoczętych 1 czerwca, została wyrwana, tak, że dzienniczek zaczyna się dopiero 4 czerwca a urywa na 2 lipca. Z r. 1847 mamy tylko na dwóch karteczkach notatki z dn. 12 marca z pobytu w Ermitage Hyerskim nad morzem. W r. 1848 dzienniczek pisany w Paryżu na czterech kartkach kalendarzykowych rozpoczyna się 14 lipca a kończy na 21 tegoż miesiąca. Obok oryginałów tych wszystkich notatek zachowały się również w rękopisie Bibljoteki Jagiellońskiej ich kopje, pisane przez Dionizego Zaleskiego, a nadto również kopje (oryginałów brak) dzienniczków z lat 1851—1859 i z 1861 roku.

Naogół wspomniane notatki Bohdana Zaleskiego są dorywcze i nieciekawe, dając mało faktycznego materjału. Wyjątek stanowią zapiski robione w czasie pobytu w klasztorze de la Grande Trappe (1843) i w Oelenbergu (1845). Są one dłuższe, przedstawiają wyrazisty obraz uczuć religijnych Zaleskiego i sięgają głęboko w jego przeżycia psychiczne. Chcąc jednak należycie je zrozumieć i ich wartość ocenić, trzeba rzucić okiem na drogi, któremi rozwijały się poglądy religijne Bohdana Zaleskiego.

Do czasu poznania Mickiewicza uczucia religijne nie odgrywały u Bohdana wielkiej roli, sprawy wiary traktował jako do-

datek do patrjotyzmu. Zetknąwszy się w Paryżu z Mickiewiczem, dał się porwać jego ideologji, której podstawą było wówczas silnie rozbudzone uczucie religijne. Mickiewicz, rozczarowany do polityki emigracyjnej, całą duszę zatapiał się w mistycyźmie. Już podczas pobytu w Rzymie powrócił do wiary lat dziecinnych, a po długiem niebywaniu poszedł do spowiedzi w Rzymie. Podczas pobytu w Dreźnie rozczytywał się w utworach mistycznych Saint Martina i filozofa niemieckiego Baadera, a ów nastrój religijny odzwierciedlił się w kompozycji trzeciej części *Dziadów*. Zamieszkawszy w Paryżu w dalszym ciągu pozostał Mickiewicz pod urokiem lektury mistycznej, co nawet zwróciło uwagę Bohdana Zaleskiego, który wspomina o rozmowach prowadzonych u Adama w tym duchu, zimą 1833 roku. Przejęty potęgą religji pragnął Mickiewicz politykę oprzeć na podstawach katolicyzmu, o czem pisze w liście z dn. 23 czerwca 1932 r. do Lelewela. Zaleski, utrzymując serdeczne stosunki z Mickiewiczem, szybko przejmował się jego poglądami. Pod wpływem dotychczasowych przyjaciół, M. Mochnackiego i Lelewela, teorje polityczno-społeczne Bohdana miały charakter patrjotyczno-liberalny i demokratyczny, a religja stała na uboczu. Tymczasem z ust Mickiewicza usłyszał budujące hasła odrodzenia narodowego w duchu religijnym, a czytając pozostające jeszcze w rękopisie *Księgi pielgrzymstwa* spotkał się z koncepcją wielkiej misji ewangelicznej, jaką miała prowadzić polska emigracja. Ówczesna korespondencja Zaleskiego najlepiej maluje, jak silnie przejął się poeta poglądami głoszonemi przez Mickiewicza. W liście do Nabielaka z dnia 3 listop. 1832 r. pisał: „Tułacze polscy powinni być orężnym zakonem, zgodnie opowiadającym po Europie nową wiarę, za grzechy i zbrodnie królów". Nietylko teoretycznie głosił hasła katolicyzmu Zaleski, ale i czynnie zamanifestował swoją religijność zaciągając się w szeregi Braci Zjednoczonych, stowarzyszenia założonego przez Mickiewicza dn. 19 grudnia 1834 r. Celem stowarzyszenia, jak głosił akt założenia, było „modlić się codziennie za siebie, ojczyznę i bliźnich, za przyjaciół i nieprzyjaciół; przykazania Pańskie słowy i uczynki wypełniać, przykładem swym rodaków do tego zachęcać". Warunkiem przyjęcia do Braci Zjednoczonych było odprawienie spowiedzi. Długo wahał się Bohdan Zaleski, zanim zdecydował się na akt pokuty. Dzięki jednak ułatwieniom, jakie poczynił prezes stowarzyszenia Jański przystąpił

do spowiedzi dn. 24 listop. 1834 r. Wyplątawszy się z polityki emigacyjnej po rozwiązaniu sekcji Batignolles Towarzystwa Demokratycznego przez rząd francuski dn. 8 paźdz. 1835 r., mógł się poeta niepodzielnie poświęcić towarzystwu Braci Zjednoczonych i sprawom religijnym. Niedługo jednak pozostawał w ścisłej łączności z Braćmi Zjednoczonymi, gdyż już w połowie grudnia tegoż roku opuścił Paryż, wraz ze swym krewniakiem i nieodstępnym towarzyszem niedoli emigracyjnej, Józefem Zaleskim, udał się do Strasburga. Tutaj jednak nie ostygł zapał religijny poety, a dzięki wykładom filozofa Bautain'a religja znalazł uzasadnienie i pogłębienie filozoficzne. Zaleskiemu odpowiadały w zupełności wywody Bautain'a, upatrującego jedyne kryterjum prawdy w objawieniu. O tem, jakiej siły nabrały przekonania religijne Bohdana, najlepiej świadczy list z dnia 10 lipca 1836 r., będący odpowiedzią na wahania i wątpliwości wobec zagadnień wiary, jakie podnosił jego przyjaciel, Karol Wodziński: „Muszę cię kiedyś wyłajać za twój pół sceptycyzm i zato, że śmiałeś nazwać katolicyzm zbyt materjalnym. Katolicyzm materjalny! toż mają być bardziej duchowe protestantyzm, filozofizm?" — pisał Zaleski, a dalej umieścił osobiste wyznanie: „Wszystko co dziś piszę, poemata, niepoemata, opieram na opoce wiary, bo na piaskach wolnego rozumu nic zbudować nie mogłem i nikomu to się nie uda".

Niemało także przyczyniło się do pogłębiania religijności poety poznanie Dionizji Poniatowskiej (druga połowa września 1836 r.), siostrzenicy Józefa Zaleskiego. Dionizja była dla Bohdana wcieleniem marzeń i tęsknot za Ukrainą, za poezją i miłością, to też nic dziwnego, że zapłonął ku niej głębokiem uczuciem. Ona natomiast darzyła poetę uczuciem macierzyńsko-siostrzanem, jak to widać z listów, trochę dumna, że może się stać przewodniczką jego natchnień poetyckich i kierowniczką duchową. Z natury marzycielka, była typem romantycznej bohaterki. Lubiła na skrzydłach fantazji, odrywając się od rzeczywistości, wzlatywać w krainę ideału. Swoim patrjotyzmem i religijnością starała się spotęgować uczucia religijno-patrjotyczne Bohdana, co też w zupełności się jej udało, jak tego dowodzi poemat Zaleskiego *Duch od stepu*, napisany w listopadzie 1836 r. bezpośrednio po odwiedzinach w Kehl. Rozwinął tutaj Zaleski swoje poglądy historjozoficzne i stanął w obronie uczuć religijnych, potę-

piając współczesne pokolenie za brak wiary. Polska przedstawiała dla Zaleskiego nie męczennicę niewinną, jak dla Mickiewicza, czy Krasińskiego, i wcale nie była Chrystusem narodów, ale pokutnicą za grzechy własne. Zmartwychwstanie narodu ściśle było związane z odrodzeniem religijnem w duchu katolickim. Po napisaniu *Ducha od stepu* nie opuścił poetę nastrój religijny. Wyjechawszy wraz z Józefem Zaleskim w styczniu 1837 r. na południe Francji, zatrzymał się w cichej wiosce Endoume i tutaj nawiedziła go fala natchnienia, której owocem były wiersze o charakterze religijno-kontemplacyjnym: *Mdła cisza, Nieskończoność* i *Sam z pieśnią*. Jego towarzysz Józef Zaleski donosił wtedy (17 października 1837), Semenence i Kajsiewiczowi, iż Bohdan „siedzi na skale wysoko nad morzem, między pokurczonemi sosenkami w altance i tam święte swoje pieśni pisze". Dumania religijne i modlitwy z czasów cichego życia w Endoume znalazły także odzwierciedlenie w licznych listach do dawnych przyjaciół z towarzystwa Braci Zjednoczonych: Piotra Semenenki i H. Kajsiewicza, których prosił nawet poeta o dostarczenie książek treści religijnej, jak Kulczyckiego *Specimen ecclesiae Ruthenicae* (Roma 1733), a w liście do Edwarda Duńskiego z dnia 20 kwietnia 1838 roku znajdujemy wiadomość, że zamierzał przetłumaczyć *Wyznania* św. Augustyna. Pobudką było zapewne powstanie sekcji Braci Zjednoczonych pod nazwą Bractwa św. Stanisława, którego członkowie mieli rozpocząć przekłady dzieł pobożnych.[1])

Później jednak zaniechał poeta myśli o tłumaczeniach, a nakłoniony przez Mickiewicza zajął się sprawowaniem opieki nad braćmi rzymskimi, t. j. Kajsiewiczem i Semenenką, oraz dwoma nowymi kandydatami do stanu duchownego: Duńskim i Turowskim, dla których zbierał fundusz potrzebny na utrzymanie i studja teologiczne w Rzymie. Dzięki roli jałmużnika, jaką przyjął Bohdan na siebie, stosunki między nim, a braćmi rzymskimi zacieśniły się jeszcze więcej i korespondencja z natury rzeczy była częstsza. Zbliżenie, jakie wtedy nastąpiło między nimi, miało wielkie znaczenie dla późniejszego stanowiska poety wobec Towianizmu. Wystąpienie Towiańskiego, który olśnił i pociągnął najznamienitszych przewodników emigracji, głęboko zaniepokoiło

[1]) Tretiak Józef: *Bohdan Zaleski na tułactwie* 1831—1838. Kraków 1913, cz. I s. 285 i nast.

Bohdana. Co myślał z początku o Towiańskim, świadczy notatka z r. 1841, znajdująca się na luźnej karteczce, również w rękopisie Bibl. Jagiell.: „Stefan, Józef i ja, jako katolicy i praktykujący, byliśmy już w posiadaniu całkowitej prawdy. Dlatego przeraziliśmy się wieścią o zjawieniu się Towiańskiego. Stefan był kędyś u wód francuskich. Ja z Józefem w Beaume. List Adama z wierszykiem *Słowiczku mój* wprawił mnie zrazu w osłupienie, a potem w niewysłowioną trwogę czy czasem przy chorej żonie umysłowo nie obłąkał się i sam. Co spieszniej wyruszyliśmy z Józefem do Paryża dyliżansem. W drodze drżeliśmy w sercach widocznie targani przez Aniołów Stróżów. Nie jedliśmy ani pili z prostracji moralnej". Niejeden przeżywał podobne obawy i wahania, co Zaleski, bo prawowierność Towiańskiego zrazu nie ulegała wątpliwości.

Przystąpienie Mickiewicza do Towiańszczyzny mocno zakłopotało Zaleskiego, który przecie pod jego wpływem wyzwolił się z religijnej obojętności. Mickiewicz usiłował pozyskać dla nowej nauki dawnego przyjaciela, jak to widać z korespondencji Bohdana. Zaleski początkowo zachowywał się odpornie wobec namów Mickiewicza, ale później skłonny był przystąpić do Towiańszczyzny. Powstrzymywali go od tego kroku bracia rzymscy. Nowowyświęcony ksiądz Semenenko, zatrwożony głęboko wieściami o propagandzie Towiańskiego, w obszernym liście do Bohdana ogromnie ubolewa, nad omamieniem Adama i dowodził, iż Towiański „jest człowiek poza kościołem uczący", a jako najlepsze lekarstwo i najrozsądniejszą radę zalecał Bohdanowi zachowanie cierpliwości wobec nowej nauki. Uwagi Semenenki w znacznym stopniu uspokoiły Bohdana, nie zdołały go jednak zupełnie wyrwać z rozterki. Aby zdobyć spokój wewnętrzny, za namową swego nieodstępnego towarzysza, Józefa Zaleskiego, decyduje się poeta na pielgrzymkę do Ziemi świętej. Wyjazd Zaleskiego do Ziemi św. miał przerwać wszelkie nici sympatji dla Towiańszczyzny, jednakże pielgrzymka do grobu Chrystusa nie przyniosła moralnego spokoju poecie. Nie ukoiło go nawet widzenie się z Dionizją Poniatowską w Ostendzie w połowie września 1843 r. Nie wiedział czy dalej prowadzić żywot świecki, czy też usunąć się w ciszę klasztorną. Już dawniej myślał wstąpić do zakonu Trapistów, jak to widać z listu Dionizji Poniatowskiej, datowanego z Bolonji 18 czerwca 1843 r. Chodziło mu tylko o po-

zwolenie Ojca św. i uzyskanie pewnych przywilejów, w co jednak bardzo wątpiła jego duchowa opiekunka, a łatwo upadającego na duchu poetę starała się pocieszyć pisząc: „Rozważywszy o zakonie Trapistów zdaje mi się, że pozwolenia u Ojca nie uzyskasz nigdy; boję się, żeby z odmówieniem tego pozwolenia nie przyszło zniechęcenie do wszystkiego co dobre... Czekaj cierpliwie, aż cię Pan powoła, ale się nie usuwaj". [1]) Chcąc wreszcie wrócić do równowagi duchowej i przeciąć wszelkie wątpliwości, postanawia Bohdan odprawić rekolekcje zamknięte w klasztorze. Wybrał zakon Trapistów, aby może bliżej zetknąć się z regułą, pod którą zamyślał żyć później, a także pomny słów Semenenki i Kajsiewicza, którzy w Trapie spędzili na rozmyślaniach pobożnych czas jakiś, a życie klasztorne zbawiennie na nich oddziałało; Kajsiewicz pisał, iż bardziej skruszony, przejęty, zbudowany wyszedł stamtąd, niż gdyby tysiąc tomów najmoralniejszych przeczytał. W smutnym i ponurym nastroju jechał Bohdan do klasztoru Trapistów, rozgoryczony z powodu utraty drogich przyjaciół: Mickiewicza i Goszczyńskiego, niepewny o swoją przyszłość, wątpiący w natchnienie poetyckie.

W jaki sposób znalazł rozwiązanie dla swoich wątpliwości i wrócił do równowagi duchowej, opowiada sam w swych notatkach robionych w klasztorze de la Grande Trappe, których tekst podajemy według rękopisu Bibljoteki Jagiellońskiej.

Dnia 7 listopada 1843 około południa zakołatałem do furty klasztoru De la Grande Trappe. [2]) Odźwierny zaraz mi sprowadził ojca Makarego, do którego miałem list od generała Mycielskiego. Ojciec Makary przyjął mnie jak najuprzejmiej i wypytywał się z ciekawością o generała, który się u niego począł był spowiadać parę temu tygodni i uradował się bardzo na wiadomość o dalszych postępach swego pokutnika. Z dziedzińca na dziedziniec i po korytarzach podawali mnie sobie milczkiem święci mnichy, aż do przełożonego, który odebrał tylko list zalecający ks. Duńskiego i wydał natychmiast rozkaz, by mnie przy-

[1]) *Listy Dionizji Poniatowskiej do Bohdana i Józefa Zaleskich.* Kraków 1900, t. I, s. 87.

[2]) Opactwo, od którego poszła nazwa zakonu, założone w r. 1140, za papieża Innocentego II, leżące na pograniczu Normandji, cztery mile, od Mortagne. Tretiak (*Bohdan Zaleski na tułactwie.* Kraków 1914, cz. II, str. 217) mylnie podaje iż Bohdan wraz z Józefem Zaleskim, swoim dalekim krewnym, około 20 paźdz. udali się do klasztoru Trapistów.

jęto do mieszkań gościnnych. Ojciec pilnujący porządku w domie gościnnym powitał mnie z całą dobrodusznością nieświecką, zaprowadził na górę i dał do wyboru kilka pokoików. Obrałem za radą ojca parę pokoików, w których nie dymi z komina. Ojciec Makary ze swej strony zalecił wnet braciszkowi Jean de la Croix, przeznaczonemu do usługi, aby mi na niczem nie zbywało. Osadowiłem się tedy w moich pokoikach jak mnich, ukląkłem przed krucyfiksem i wyspowiadałem Panu w skrusze i pokorze wszystkie nędze swoje. Chcę się leczyć, chcę osobliwie leczyć chore serce, w którem zwątpiało mi, zgorzkniało na śmierć. Utraciłem święty pokój i pogodę, bo zmarnowałem dary i łaskę Bożą we mnie. Poezja moja nie była z Ducha Świętego ale z krwi, i nie służyła prawdzie ale światu, nie goniła za pięknością absolutną ale za pięknością względną, za pyłkami jeno piękności, która jest cała i zupełna w Bogu. Trapię się tem w sumieniu, w piekielnych samoudręczeniach, dręczę naokoło najukochańszych swoich. Obrzydłem Bogu i ludziom i sobie samemu. Czy przebłagam zapalczywość Pańską wiszącą nade mną? Mam wiarę, wierzę, iż nie pragnie grzesznika, lecz domaga się, aby się poprawił i żył. W pokucie więc moja nadzieja; straszna jest sprawiedliwość Boża, ale miłosierdzie największą jest sprawiedliwością względem człowieka, ułomnego i wystawionego na pokusy stworzenia. Panie, Panie odpuść mi winę moją i w łasce nowej powołaj do pracy przy nadchodzącym Czasie Wielkim,[1]) który przeczuwam wszystkiemi wnętrznościami. Domine! dona me facere voluntatem Tuam! Panie! nie mam zasług, aleć modli się za mnie kilkoro także miłych. Dionizja,[2]) Józef, Stefan,[3]) to jak aniołowie Twoi czyści i biali. Będęż im na drodze kamieniem obrazy? Nie daj Boże! chcę w proch się rozsypać, aby odrodzić się, zmartwychwstać. Panie! niech się wola, wolność moja raz na zawsze skruszy. Pięknością Twoją uwięź ją! Niech Cię chwalę w pokorze, prostocie tych świętych Twoich, w pokorze, prostocie ludu naszego, niech Cię chwalę wespół z nimi, teraz i na wieki wieków, amen. Nie umiem się modlić, bo zbrudziłem serce i usta, brzydkie grzechy pokalały je na rozpacz i sromotę moją. Niegodzienem chwalić Pana mego.

W gorzkich bolesnych rozmyślaniach płakałem przy kominie i pod krucyfiksem, wcześnie się pokładłem do łóżka i bez obiadu. Dumałem wciąż o nikczemności i zatwardziałości mojej, sen straszny. Dionizja niby umarła, ale ten cios zniosłem nie z rezygnacją chrześcijańską, jak mię uczyła, ale z piekielną jakąś dusznością, w ocknieniu powtarzałem jeszcze wiersz Malczew-

[1]) Zaleski, podobnie jak inni polscy romantycy, spodziewał się, że przyjdzie epoka Chrystusowa, którą nazywa Wielkim Czasem.

[2]) Poniatowska.

[3]) Witwicki Stefan, poeta, przyjaciel Bohdana jeszcze z czasów uniwersyteckich.

skiego: „na to jej lamę woził, żeby całun szyli". Od 2-ej aż do $4\frac{1}{2}$ bolałem w łóżku nad sobą, biedziłem się z grzechami, które mi, jak brzydkie zmory, stawały przed oczyma duszy. Potem znowu jakiś sen niemiły, ale go już wcale nie pamiętam.

8 listopada, środa. Obudziłem się raniutko przed piątą, miesiąc świecił w okienko. Byłem po raz pierwszy na Mszy w ubogim kościółku Trapistów. Modliłem się gorąco i rzewnie, i lżej mi było na sercu. Modliłem się od $7\frac{1}{2}$ do 9-ej, póki trwało nabożeństwo. Rozrzewniał uroczysty śpiew mnichów zasłonionych przepierzeniem, które dzieli kościółek na dwie równe niemal połowy. Nad przedsionkiem jest galeryjka dla penitentów świeckich, z której słuchają Mszy. Było nas 8 czy 9. Po Mszy śniadanie w refektarzu dla świeckich, śniadanie postne, ale obfite. Milczenie uroczyste i czytanie ksiąg nabożnych. Na śniadanie także było nas 8. Cały dzień rozpamiętywałem o grzechach moich i o poprawie. Bolałem, to cieszyłem się w nadziei miłosierdzia Bożego. Czytałem z ewangelji według Świętego Mateusza trzy pierwsze rozdziały. Potem przejrzałem uważnie ustęp do książki *Exercitia S. P. Ignatii di Lojola, auctore R. P. Aloisio Bellecio,*[1]) do której chcę się zastosować podczas moich rekolekcyj. Słodko i święcie rozmarzył mnie list Dionizji do matki i stąd wziąłem pochop do pisania o tych listach jej takich lotnych, genjalnych a budujących. Byłem na nieszporach i na obiedzie. Dobrze mi, cicho, wszakże lepiej i ciszej było w Endoume. Wieczór ojciec prefekt gościnny przyszedł do mnie. Rozmawialiśmy przez kilka minut o Ziemi świętej, niezmiernie uprzejmy. Rozpamiętywałem o nędzy swej przy kominie. Modlitwa i do łóżka.

9 listopada, czwartek. Z rana Msza śpiewana, śniadanie. Bolałem aż do nieszporów nad ułomnościami swemi. Przeglądałem listy (Dionizji), z wielkiem zbudowaniem. Potem wpadłem w zakamieniałość, jątrzyłem serce żalami, na Józefa[2]), w których acz jest cząstka prawdy, powinienem jednak wszystko zapomnieć, aby przebłagać słuszniejsze zagniewanie Pańskie, na mnie krnąbrnego i zapamiętałego złośnika. Niesmak, nuda, zły humor, znaki oczywiste małoduszności zatrwarzają mnie tem częściej, że stały się oto moją niejako chorobą chroniczną. Co ze mną stanie się, mój Boże! Pokonałem w sobie tyle wad i przywar, a tejże gniewliwości nie przezwyciężę? Brzydki ten osad namiętności wygasłych będzież brudził do końca duszę? I smutek mój mgła, wyziew ziemski nigdyż nie podniesie się do góry, aby lunąć deszczem? Miłowałem na tej ziemi wiele i wielu, i smutek mój bez granic, jak była miłość bez granic. Panie! o Panie! wiem zło, wiem początek i siedlisko złego, ale gdzież i jaki ratunek? Pokory, prostoty, posłuszeństwa — szepce głos anioła, ale czy się już

[1]) Zapewne w wyd. H. Marietti, 1835 r.
[2]) Zaleskiego.

zdobędę na nie stary i niekarny grzesznik. Trzeba próbować się, walczyć, aż Pan ześle moc i łaskę swoją zgóry. Wieczór cały jątrzyłem się coraz grzeszniej.

10 listopada, piątek. Raniej niż dni poprzednich poszedłem do kościoła, modliłem się długo i we łzach. Rozrzewniali mnie święci mnisi, w prochu korzący się przed Panem. A jaż grzesznik jak się oto kajam. W sercu gnuśne utyski, na ustach zwietrzałe słowa. Och, Boże mój, zmiłuj się nade mną! Dopóki duch mój nie skruszy się, nie zapali wielką wiarą i miłością — daremna praca. Cały dzień przepędziłem na modlitwie, czytaniu, to rozmyślaniu pobożnem. Nabożeństwa i posiłek wedle porządku tu zakonnego. Gotowałem się trocha do spowiedzi. Wieczór po nokturnach przyszedł do mnie do stancji spowiednik, ojciec Makary. Cóż to za święty mnich! Spowiadał mnie *stante pede*. Z jakąż mądrością Bożą ozwał się? Ile pociech wylał na zbolałe serce? Lekarz duszy! Nie zapomnę nigdy głębokich nauk, jakie mi dał. Tak mi było błogo klęczącemu, jakbym samego Chrystusa Pana słuchał. Ojciec Makary był ongiś profesorem St. Sulpice, niewątpliwie mało jest księży tak uczonych i wymownych, a jeszcze mniej tak świątobliwych. Oświadczył mi, że będzie zawsze na mojem zawołaniu, dość posłać po niego braciszka Jana. Po wyjściu ojca Makarego modliłem się w łzach i gorąco, wzruszony aż do głębi serca świeżą nauczką. Co to za święty Pański ten O. Makary.

11 listopada, sobota. Zawsze to samo w życiu zewnętrznem. Nabożeństwo i posiłek w oznaczonych regułą godzinach. Po śniadaniu modliłem się, to rozpamiętywałem z medytacyj św. Ignacego, kiedy przybył z Paryża mój drogi Józef.[1]) Z miłością niewysłowioną rzuciliśmy się wzajemnie w objęcia. Po krótkiej wizycie u mnie musiał pójść do swojej celijki. Przywiózł mnie listy księdza Piotra[2]) i Dionizji, których jednak nie tknąłem, aż do końca medytacyj. Wciąż mi stał na myśli ojciec Makary, a co dziwnego, że w radach jego były myśli i wyrazy jakby z ust Dionizji wyjęte. Tak świętość zawżdy i wszędy przez różne usta jednako przemawia. Mój zły humor już był minął, jakby mi go ręką odjął ojciec Makary, a powalił mnie z nóg list księdza Piotra. Zaszlochałem na głos, jak dziecię, taki ten list serdeczny, anielski. Daje mi całą miłość swoją, nawzajem miłość za miłość daję mu teraz i na wieki. Teraz dopiero zrozumiałem tę podniosłą i świętą duszę. Boże, błogosław mu! błogosław nam wszystkim w jedności braterskiej wołającym ku Tobie, pracującym na chwałę Twoją i pożytek ojczyzny. A co już mówić o liście Dionizji? Jeden z najmilszych jakie mam w zbiorze, taki słodki,

---

[1]) Tretiak (op. cit. II. 217) podaje mylnie, że Józef Zaleski wyjechał jednocześnie z Bohdanem do Trapistów.

[2]) Semeneńki.

rzewny, rozumny, a pełen miłości dla mnie w Bogu. I ja sarkam na ludzi? Boże mój, Boże, jaki grzesznik i bluźnierca. Otoczyłeś mię oto Panie jakby aniołami swymi! aniołami, których wypiastowałem sam dla Ciebie. Ukorz się duszo moja i łzami w proch spływaj! wołaj, chwała Ci, chwała, chwała Panie i Boże mój. Kilka godzin przepłakałem śród modlitwy i serdecznego rozradowania. Medytacja. Wieczór gotowałem się do Św. Komunji. Józefa widuję tylko przy śniadaniu i obiedzie, a w kościele modlimy się obok siebie i czasem słówko sobie szepniemy pociechy i miłości.

12 listopada. Niedziela. Wstałem raniutko, ale krzątając się w stancji, aby ulżyć braciszkowi Janowi w posłudze, nie miałem czasu należycie przygotować się do Komunji Św. Braciszek Jan przyszedł po mnie o (godz.) $5^1/_2$, aby zaprowadzić do wnętrza kościółka, gdzie wpuszczają tylko przystępujących do Przenajświętszego Sakramentu. Byłem trochę roztargniony śród tych niemych potrąceń w kościele. Na chórze jednak i potem w ordynku mnichów modliłem się szczerze i gorąco. Po Komunji aż do śniadania modliłem się na trybunie swojej coraz to rzewniej i słodziej. Cały niemal dzień jako przy niedzieli zajęły nabożeństwo wspólne to medytacje w domu. Wieczór mi Pan Bóg natchnął piękną myśl bractwa świeckiego Zmartwychwstania Pańskiego. [1]) Pobiegłem do kościoła polecić się Panu Jezusowi i Matce Przeczystej. Może z tej myśli urodzić się coś arcypożytecznego dla biednej Polski.

13 listopada. Poniedziałek. Postanowiłem zwięźlejsze pisać notatki, codzień bowiem to samo jak w życiu zewnętrznem klasztornem, tak i w życiu wewnętrznem. Walka w duszy trwa, modlitwa niech cicha płynie w łono Ojca. Dziś cały dzień upłynął na czytaniu to rozmyślaniu pobożnem. Fantazja nasuwała wciąż najmilsze obrazy z przeszłości: ocknąłem się jednak łatwo z jałowych tych marzeń. Wstaję teraz codziennie o 5-ej.

14 listopada. Wtorek. Wstałem zaraz po 4-ej, a o 5-ej już byłem w kościele. Medytacje św. Ignacego czytam teraz rano i wieczór, aby środek dnia mieć wolny do pracy, jeśli Bóg pobłogosławi. Czytałem też bruljon podania D(ionizji) do Ojca Ś. piękna i szlachetna dusza, jak zawżdy i wszędzie.

15 listopada. Środa. Medytacje rano i wieczór. Rozdumywałem plan Bractwa Z(martwychwstania) P(ańskiego). Boleść porodzinna. Eljasz [2]) mi się przypomniał. Uderzyłem w płacz. Panie, Panie, i z tej strony grzechy, same grzechy. Nie mogłem się ukoić nawet w kościele. Potem znowu skargi i wstręt ku ludziom. Wieczór po medytacjach uspokoiłem się zupełnie.

16 listopada. Czwartek. Obudziłem się pogodny i silny wolą i jasnowidzący w przyszłości. W kościele modliłem się długo

---

[1]) Poeta nigdy nie zrealizował swego zamiaru.
[2]) Starszy brat poety.

i gorąco. Czułem co i jak należy począć ku poprawie własnej i bliźnich. Potem znowu zamąciło się w sercu, utyskiwania na przyjaciół przemogły mego ducha. Duch wrócił potem. Uciszyło się w sercu i rozwidniło w myślach. Plan mego Bractwa, jak wielki poemat, poemat całego życia wyobraził mi się jasno we wszystkich szczegółach. Pomóż Boże wykonać to dzieło! a spokojnie i radośnie umrę bez żalu, żem wydziedziczony przez ojca z mojej cząstki dobra na tej ziemi; owszem wszystko a wszystko poświęcę w ofierze, będę żył pokorny i czysty i cichy i biały, jak aniołowie Pańscy. Skupię w to całą wolę moją, a łzami, skruchą, rezygnacją wyjednam łaskę Ojca niebieskiego. Chodziłem do kościoła modlić się o błogosławieństwo zamiarowi. Prosiłem też Józefa, iżby się na intencję moją pomodlił. Czytałem długo w noc *Egzercycje* Św. Ignacego. Cudownie piękne.

17 listopada. Piątek. Zaspałem nieco. Dopiero o 7-ej wyszedłem do kościoła i modliłem się aż do 9-ej. Jakoś potem umysł mi ociężał, nie mogłem o niczem dumać z natężeniem. Myśl czepiała się po przeszłości, jak po falach. Wieczór spowiadałem się u mego kochanego ojca Makarego. Po spowiedzi pogodny i słodki dumałem jakiś czas miłe o moich tam na Ukrainie i polecałem ich Bogu. *Egzercycje*, modlitwa i do łóżka.

18 listopada. Sobota. Modlitwy w kościele gorące i strzeliste. W domu za powrotem czułem się w natchnieniu poetyckiem po wielu, wielu miesiącach, ale zakazałem sobie nawet przypominać z *Potrzeby Zbaraskiej* [1]) przez wzgląd, że jestem na rekolekcjach duchownych. Siadłem do stolika zapisać notatkę, a że byłem pełen ducha, jak nigdy nie pamiętam, notatka zamieniła się w piękny artykuł, niejako treść nowej i ważnej książki *O powołaniu poetów w społeczności*. Myślę to pisać w kształcie listów do Dionizji, [2]) bo też i wiljią jej urodzin przyszła mi ta piękna i wielka idea. Może to D(ionizja) modlitwami swemi wyjednami powrót Ducha Św. Da Bóg nie zmarnuję już płocho natchnień moich. Z natchnieniem wróci i pogoda i pokój i wszyst-

[1]) *Potrzeba Zbaraska*, utwór Zaleskiego mający urzeczywistnić jego marzenie o stworzeniu epopeji kozackiej, skończona, według listu pisanego do Mickiewicza 20 listop. 1839 r. Uważał ją początkowo za arcydzieło, jak to widać z listów do Mickiewicza i Goszyńskiego (zob. *Korespondecja* J. B. Zaleskiego, Lwów 1900, t. I, str. 151, 152, 160, 165); później jednak po przeczytaniu pierwszych pieśni *Beniowskiego* Słowackiego, zmienił zdanie i poemat swój zatrzymał w tece.

[2]) Czy istotnie zamiar wykonał niewiadomo; cała korespondencja D. Poniatowskiej, przechowywana długo w klasztorze Benedyktynek w Paryżu została zniszczona z woli jednego jej spadkobierców, jak się dowiadujemy z notatki Dionizego Zaleskiego, syna poety, umieszczonej jako przypisek przy kopji pamiętników ojca, które własnoręcznie przepisał (rks Bibl. Jagiell.) W związku z pierwotnym planem pozostała tylko notatka ogłoszona drukiem przez Dionizego Zaleskiego w *Korespondencji J. B. Z.* Lwów 1900, t. I, s. 263—266 pisana prawdopodobnie jeszcze u Trapistów, jak wskazuje data listopad 1843 r.

ko bez czego tak ciężko grzeszyłem codzień przeciwko woli Opatrzności. Otóż pierwszy owoc samotności w Bogu! Tak byłem poruszony do głębi serca, że drżałem od świętego zapału. Modliłem się na podziękę z całą gorącością duszy. Do późna w nocy czytałem to dumałem wciąż o rzeczach świętych. Chwała! chwała! chwała Panu na niebiesiech! czuję się jakby całkiem przemieniony.

19 listopada. Niedziela. Obudziłem się w nocy przed 2-ą, zaraz ukląkłem do nabożeństwa. Święto Dionizji, święto mego anioła pocieszyciela, który przyleciał był z Ukrainy orzeźwić mnie w omdleniu, nauczyć wielu, wielu rzeczy bożych, a więc modlić się, modlić się potrzeba bez końca i z całego serca. Raniutko przed 5-ą poszedłem komunikować na intencję mojej siostrzyczki w Bogu. Komunikowaliśmy obydwa z moim Józefem wespół z mnichami. Józef mi trochę cierpi na fluksję. Na sumie byłem znużony i jakiś senny, modlitwa nie płynęła mi wedle serca. Dzięki Bogu za wszystko dobre i złe, już teraz szemrań zarzekam się na zawsze. Ach! jak ja lubuję w świętej tej samotności. Da Bóg na wiosnę na dłuższy czas zamknę się w Trappie. Ścisły post mnichowski wcale nie szkodzi memu zdrowiu, owszem czuję się lżejszy, ochoczy do pracy i do pracy poważniejszych. Jeśli co na chwałę swoją Bóg natchnie obszerniejszego, radbym to pisać u Trapistow. W lecie musi tu być cudownie, miły pobyt, teraz dokucza nieco zimno, ale mieliśmy dość gorąca w Syrji i Palestynie. Między kościółkiem a celą, jako przy niedzieli, na modlitwie i dumaniu zbiegł mi dzisiejszy dzień, a modliłem się i dumałem w pełności ducha; każda myśl i słowo chwaliły Pana, że wylał tu na mnie tyle łask, że mi dał na przewodnika, niby cherubina świętego, Dionizję, w której odzwierciadla się wszystko co święte, wielkie, piękne, ideał o jakim śniłem i pieśniłem. Odwiedzałem wielokrotnie Józefa i w kościele polecałem go Bogu gorącą modlitwą, bez żalu, że zwątpił był o mnie, że nie przytulił mnie kiedy byłem w ciemności, chłodzie i niedostatkach moich. Ale on temu nie winien, miłość i cześć ludzka wywalcza się pracą i zdaniem się zupełnem na wolę Bożą, a ja w tem zgrzeszyłem strasznie. Wina więc moja nie Józefa. I wszyscy przyjaciele wątpią już o mnie oprócz D(ionizji), która pomimo kwasów moich, nudy i rozczarowania przeniknęła mnie do głębi i współczuła i tuliła do anielskiego serca, nie patrząc na szpetność i złośliwość swego znarowionego brata ze stepu. Błogosławieństwo jej zato Pańskie! i błogosławieństwo Pańskie wszystkim ukochanym czy wątpią, czy nie wątpią o mnie. Dla miłości Chrystusa zapomnę raz na zawsze uraz, bo i on ma wiele do zapomnienia, więcej niż komu bądź na ziemi! Panie, miłosierdzia Twego wzywam w skrusze! nie karz mię za nieprawości moje. Napomknąłem ostrożnie Józefowi o stanie obecnym mojej duszy. Muszę być baczny w mowie, bo każde słowo nie-

wcześnie wyrzeczone, już tem samem zamiera, zabija swoje ciało, czyn, staje się poronieniem duchowem. W pożyciu i rozmowie z ludźmi potrzeba modlić się w myśli do Ducha Św., aby sam kierował słowem na zbudowanie bliźnich, nie na zgorszenie. Nadewszystko unikać należy ironji, bo ironja przymiot szatański *par exellence*, ostatni stopień degradacji ducha, kiedy już nie wierzy, nie miłuje, nie spodziewa się, t. j. kiedy się już zmaterjalizował. W stosunkach towarzyskich najlepsze jest wszelako milczenie, milczenie zakonne,[1]) nieźle byłoby je wprowadzić i do stosunków domowych. Myślę w tym względzie przypisać sobie regułę. Korzyść z milczenia wieloraka i oczywista, unika się obrazy Bożej, zyskuje się czas, uśmierzają się w sercu pasje i waśń, i nie zużywa się niepotrzebnie siłę daną na usługę Bogu i społeczności. Słowo jest to obosieczny miecz, który lepiej, żeby zostawał w pochwie, aż do chwili walki. Cały dzień dzisiejszy piersi pałały mi duchem, świętym zapałem i miłością. Wieczór z książki *Pratique de la perfection chrétienne*[2]) czytałem kilka rozdziałów o czystości, rzecz sama z siebie wyborna, wiele rad zbawiennych, ale sposób pisania rozlekły i forma wyraźnie Jezuicka. Modliłem się długo, pokładłem się i usnąłem z modlitwą.

20 listopada. Poniedziałek. Ocknąłem się nieco późno, ale usposobiony na duchu wybornie. Na dworze słota i ciemno. Modliłem się w kościele gorąco za siebie i za Józefa, który wciąż cierpi na fluksję. Ma (się) wszelako dziś lepiej. Po śniadaniu czytałem, jak codzień, ewangelję, a potem dalsze rozdziały o czystości. O tej cnocie chrześcijańskiej miałbym wiele do powiedzenia, bo niemal przez dziesięć lat dobijam się o nią, walcząc codzień pokusy. Bóg sam jeno tę cnotę daje, o, jakie nie czyni cuda w ciele grzesznem. Wczoraj odebrałem od Józefa przedostatni list D(ionizji), który ongi w Paryżu przy pierwszem czytaniu wydał mi się jakiś niedobry. Nieprawda, skutek to był złego humoru. Co tam w nim świętości! Smutek jakiś nieziemski, jakby anioła, który omdlewa w pracy. Niby dumka ukraińska, żywa wcielona ta moja Dionizja. Nie mogłem się nacieszyć tym listem i podobno pierwszy to na smutną naszą nutę...[3]) Pisałem potem notatki i byłem w usposobieniu dość dobrem, ale nie tak już ognistem jak dni poprzednich. Czytałem *Sur la perfection chrétienne*, ale mię Jezuita trochę znudził, pisze bo rozwlekle i niesmacznie. Modlitwa, sen.

21 listopada. Wtorek. Dzień ofiarowania N. P. Marji. Komunikowaliśmy obydwa z Józefem na Mszy o 6-ej. Byłem w dość rzewnem usposobieniu. Po śniadaniu w osobliwszy wpadłem hu-

[1]) Trapistów według reguły obowiązuje ciągłe milczenie, tem też tłumaczą się refleksje poety, przejętego życiem klasztornem.

[2]) Rodriguez le R. P. Alvarez, *Pratique de la perfection chrétienne*. Trad. de l'espagnol par l'abbé Regnier Desmarais, nouv. éd. Paris 1813.

[3]) Dwa słowa następne zamazane: oboje...

mor. Na sumie już nie wiedzieć skąd zaczęła (snuć) imaginacja jakieś wesołe puste obrazy, że utulić śmiechu nie mogłem. Nic wprawdzie grzesznego w tem nie było, jakieś myśli, to słówka dowcipne uwijały mi się po głowie jedna po drugiej, i nie sposób było wyjść z tego niemiłego wcale stanu duszy. Cały niemal dzień przechichotałem nie wiedzieć z czego. Na wieczór smutek owiał mnie jak mgła i w takiej mgle usnąłem.

22 (listopada). Środa. Nienadzwyczajnie, przecież nieźle się miałem na duszy. Pisałem notatki o Mickiewiczu, a w kościele roił mi poemat w niewyraźnych jeszcze rysach, ale już mogłem rozpoznać niektóre kształty. Treść jego Widzenia Jeruzalemskie.[1]) Modliłem się i czytałem ochoczo.

23 (listopada). Czwartek. Od rana jakieś omdlenie na siłach duchownych. Niczem rozruchać się nie mogłem. Czytałem o *Perfekcji* i liryki Goszczyńskiego, ale mi wydały (się) niesmaczne, a nawet gdzie niegdzie jałowe. Umysł ciężki, serce jakieś gniewliwe podsycały różne myśli to przypomnienia, waśniące mnie z przyjaciółmi i znajomymi. Ku wieczorowi zaczęło się wyjaśniać w duszy, i myśli i uczucia przychodziły pomału do równowagi, aż wkońcu ucieszyły się w harmonji i dumałem o swoich planach i widokach na przyszłość. Modliłem się rzewnie i z dumaniami pokładłem się do łóżka.

24 listopada. Piątek. Już od rana pogodnie i jasno było w myślach. Myśliłem o Ukrainie i o testamencie moim politycznym. Modlitwa też w kościele szła z głębi serca, gorąco i strzeliście. Po śniadaniu czytałem ewangelją i *De imitation*, to modliłem się. Ochoczym do pracy duchowej. Obaczymy. Pisałem trochę w notatkach, a więcej dumałem o planie Bractwa [2]) i dobrze jasno widziałem co z tego być może ku chwale Bożej i ku pożytkowi ojczyzny i matczyny mojej. Spowiadałem się po raz ostatni u kochanego ojca Makarego. Wieczór znowu dumałem o swojem, [3]) to modliłem się o łaskę, moc i błogosławieństwo boże.

25 listopada. Sobota. Wstałem po pierwszej w nocy, o 3-ej komunikowaliśmy w kapliczce na intencję chorego brata Walerjana Chełchowskiego. [4]) Dzień sobotni, a więc modliłem się także za moją Ukrainę. Byłem jakoś nieswój, ociężały, opadły całkiem z sił. Zasmakowałem jednak w Rodriguezie [5]) i przeczytałem ze zbudowaniem wiele rozdziałów o modlitwie. Wieczór ożywiłem się w najlepsze i dumałem, dumałem, aż do snu.

26 listopada. Niedziela. Dziś także komunikowaliśmy o 3-ej

---

[1]) Temat ten nasunął się Zaleskiemu zapewne w związku z niedawno odbytą podróżą do Ziemi św., nigdy jednak nie został opracowany.

[2]) Bractwa świeckiego Zmartwychwstania Pańskiego.

[3]) Prawdopodobnie: o swoich.

[4]) Chełchowski, jeden z dawniejszych przyjaciół poety.

[5]) To zn. w dziele p. t. *Pratique de la perfection*...

na intencję Matki Polski na Mszy, którą odprawił ojciec Makary za zapłatą. Dziś cały dzień w kościele, to w medytacjach. Byliśmy z wizytą u przeora i nawzajem przeor nas nawiedził. Miły bardzo człowiek. Jutro o 3-ej znowu msza zapłacona na intencję moich zamiarów. Boże błogosław im. O 7-ej w podróż do Mortagne i do Paryża. Ledwie nie płaczę tak mi żal mojego tu spokoju klasztornego. Niech Bóg będzie pochwalon i za chwilkę!

Irena Turowska.

Przegląd piśmiennictwa.

Prof. Karol Adam: Istota katolicyzmu. Przekład autoryzowany ks. J. Korzonkiewicza. Książnica Akcji Katolickiej N. 12. Księg. Św. Wojciecha Poznań. Str. 357.

Książka Ks. Adama, profesora teologji katolickiej w Tybindze, należy postawić w tym szeregu, w którym miejsca poprzednie zajmowali tak wielcy teologowie niemieccy 19 stulecia, jakimi byli Möhler i Scheeben i jakim mógł być Schell, gdyby niektóre jego zbyt oryginalne pomysły nie pokłóciły go tu i ówdzie z ścisłą ortodoksją katolicką. Tamci, a za nimi Adam, stwarzają coś, co możnaby nazwać filozofją całego katolickiego dogmatu, a czerpią światło nie z podejrzanych latarek idealizmu niemieckiego, jak to było w modzie w początkach 19 stulecia, lecz z najczystszego ogniska, jakiem są księgi święte, a zwłaszcza listy św. Pawła. Chodzi im o wprowadzenie myślących katolików w sam rdzeń nauki objawionej, w sam głąb dokonanego przez Chrystusa dzieła. Tylko tamci starsi, Möhler, Scheeben i inni, zwracali się do kolegów w ciężkich traktatach, ks. Adam mówi i pisze dla ogółu inteligentnych katolików. Książka mówi o tem czem jest w istocie Kościół Chrystusowy, ale w odpowiedzi na to pytanie przesuwa się przed nami nieledwie cała dogmatyka katolicka, ujęta pod jednym kątem widzenia, ugrupowana około centralnej idei — Kościół jako ciało mistyczne Chrystusa, jako Chrystus żyjący dalej w swem rozwijającem się dziele.

Takiego głębszego ujęcia chrystjanizmu, dającego światło dla wielu praktycznych zagadnień, potrzeba niezmiernie współczesnemu światu, i temu światu chrześcijańskiemu, który często swoją nadprzyrodzoną pozycję ocenia zbyt powierzchownie i światu zewnętrznemu, nieprzyjaciół i niechętnych, którzy tak często z Kościołem walczą i Kościół spotwarzają, nie znając go dobrze. Dlatego napisanie takiej książki należy poczytać autorowi za wielki czyn obywatelski w Królestwie Chrystusowem. A polski tłumacz, który świetnie naszemu językowi tę pracę, pomimo trudności, przyswoił, także zyska wdzięczność w swojem katolic-

kiem społeczeństwie. Książka ks. Adama zasługuje na usilną propagandę wśród inteligencji polskiej, tak iżby wydania jej szybko następowały jedno po drugiem.

Ks. J. Urban.

Stanisław Małachowski-Łempicki: Strącone korony. Z dziejów wolnomularstwa polskiego. Skład gł. u Gebethnera i Wolffa, Warszawa, str. 80.

Nowy ten przyczynek badacza rzeczy masońskich w przedrozbiorowej i porozbiorowej Polsce stanowi wyzyskanie aktów procesu Wilkoszewskiego w latach, 1927-1929 w Warszawie, b. masona 33 stopnia tak zw. rytu szkockiego. Przeciwko Wilkoszewskiemu wdrożono śledztwo o wyjaśnienie znaczenia pieczęci niegdyś przez niego, jako masona, sporządzonych dla jednej z lóż warszawskich. Na pieczęciach tych były tego rodzaju emblematy, jak korony lecące w powietrzu, sztyletem przebite, kolumny pogruchotane itp., w czem rząd podejrzewał istnienie w masonerji polskiej wyższych stopni tendencyj antymonarchicznych. Autor tej pracy ustala kiedy masonerja t. zw. rytu szkockiego 33 stopniowa poczęła się wciskać do lóż polskich, kto z polskich masonów ją przedstawiał, a także, że rzeczywiście w ideologji tej masonerji pielęgnowano ideę walki z tronami i papiestwem, jakoby zemstę za spalonego na stosie w 14 wieku W. mistrza templarjuszów, Molay'a. Ze źródeł polskich, zwłaszcza z akt śledztwa w sprawie Wilkoszewskiego autor wyprowadza wniosek, że możemy być pewni patrjotyzmu polskich masonów i dążenia do uzyskania niepodległości, lecz, że o otwartej walce ich z ustrojem monarchicznym, jako takim mowy być nie może. Zwłaszcza ostatni W. mistrz masonerji polskiej, także mason 33 stopnia, generał Różniecki, był przecież figurą całkowicie zaprzedaną Rosji i caratowi. Tym sposobem autor ubocznie osłabia wywody apologetów masonerji polskiej co do jej wybitnych zasług w walkach przeciwko Rosji. — Ubocznie dowiadujemy się od p. Małachowskiego-Łempickiego, że masonerja rytu szkockiego w Polsce wskrzeszonej została zaprowadzona znowu w r. 1923. Co do dzisiejszych celów tej szkockiej masonerji, to „trudno powiedzieć — według autora — jaką siłę posiada obecnie ryt szkocki Dawny i Przyjęty i czy walczy dziś z koronami i tiarą". Dodaje wszakże: „możebyśmy mogli odnaleźć wpływy jego w dziejach Meksyku, Portugalji lub w Hiszpanji". Cytuje autor (str. 10) liczne bulle papieży, w których masonerja została potępiona i słowa obecnego papieża z r. 1929 zwrócone do pielgrzymki polskiej, w której Pius XI przestrzegał przed przewrotnemi zasadami i zgubnemi wpływami sekty masońskiej także w Polsce.

Ks J. U.

Forst de Battaglia Otto: Der Kamf mit dem Drachen. Eine Abrechnung mit den falschen Grössen der Zeit. Verlag für Zeitkritik. Berlin 1931, str. 293.

Nazwisko poważne, a frapujący, niemal sensacyjny tytuł i takaż okładka, przedstawiająca obrzydliwą potworę smoczą pełzającą po... książkach! Ze zrozumiałem zdziwieniem i zaciekawieniem zabieramy się do czytania. W Prologu Autor zaprasza czytelnika jako towarzysza wędrówki w piekło współczesnej literatury niemieckiej, zanim jednak próg tych piekieł przestąpi, rzuca interesującą syntezę i głęboko pomyślane porównanie duchowego oblicza współczesności z takiemż obliczem średniowiecza, przechylając się swojemi sympatjami na stronę tego ostatniego. W średniowieczu pociąga go pewność, ład, harmonja i jedność; wartości tych pozbawiona jest teraźniejszość, miotana zwątpieniem i rozbita i skłócona; pisze więc swoją książkę, by wykazać, że ta jego synteza jest usprawiedliwioną i słuszną. Ogranicza się wyłącznie do literatury niemieckiej; znając ją świetnie, wnika w jej ideologję, w jej rzekomą narodowość i niemieckość, w jej wartości twórcze i literackie, wykazując ogromny procent grafomanji, blagi, autoreklamy, pierwiastków nie narodowych, lecz obcych. Książka Battaglii jest jednym z coraz częściej podnoszonych głosów protestu przeciw upadkowi sztuki wogóle, a literatury w szczególności. We Francji Mauclaire w szeregu artykułów, ogłaszanych w *Figaro* i *L'Ami du Peuple,* wystąpił ze zdumiewającą śmiałością przeciw rozpanoszonej bladze i przeciw skrajnemu dekadentyzmowi, jakim jest współczesne malarstwo i plastyka, demaskując przytem wschodnio-semickie pochodzenie tych prądów. Artykuły jego wywołały zdrowy odruch i otrzeźwienie w bezmyślnej masie inteligencji (co za przykry, a jednak rzeczywisty paradoks!), dającej się wodzić za nos gromadzie degeneratów i wrogów kultury zachodniej. Książka Battaglii jest podobnym protestem, tem ważniejszym, że protestujący jest jednym z pierwszych znawców współczesnej europejskiej literatury, umysłem szerokim i uniwersalnym w najlepszem tego słowa znaczeniu. Ten uniwersalizm i międzynarodowość daje mu szerokość poglądów, daje niezliczone sposobności do zestawień i porównań. A dla nas Polaków książka Battaglii jest tem sympatyczniejsza i bardziej interesująca, ponieważ chyba po raz pierwszy nasza literatura współczesna jest postawiona narówni z piśmiennictwem innych zachodnich narodów. Polskie nazwiska wracają często. Autor zarzuca Niemcom brak znajomości Polski i polskiej literatury, bogatej w talenty i dzieła wartościowe, o interesującej ideologji, zachęca wydawców niemieckich, by więcej troszczyli się o propagandę literatury niemieckiej we Francji i Polsce, by hojniej wysyłali egzemplarze recenzyjne do czasopism francuskich i polskich, wymieniając między nimi, oprócz naszego pisma, jeszcze *Przegląd Współczesny, Pamiętnik Warszaw-*

ski i *Wiadomości Literackie*, krytyków zaś i pisarzy niemieckich i warstwy czytające a myślące wzywa do zbliżenia się kulturalnego z sąsiadami Niemiec, nietylko dla celów pokoju światowego, ale dla ożywienia, odświeżenia literatury niemieckiej i dla rozszerzenia jej horyzontów.

Książka Battaglii ma jednak jeszcze inne znaczenie! Nasza literatura i nasza sztuka wogóle przechodzi podobne choroby, jak sztuka niemiecka i europejska. Czas by był najwyższy, by i u nas znalazł się rycerz nieustraszony i zrobił porachunek „mit den falschen Grössen der Zeit".

Ks. St. Bednarski.

Dr. Aurel Kolnai: Sexualethik. Sinn und Grundlagen der Geschlechtsmoral. Paderborn 1930, Ferdinand Schöningh. Str. XII+447. (Brosz. 8 Mk., opr. 10 Mk).

W ostatnich dziesiątkach lat, pod wpływem warunków dzisiejszych a w dużej części i szkoły Freud'a dało się zauważyć spotęgowane zainteresowane zagadnieniami seksualnemi, które znalazło swój wyraz także w licznych pracach naukowych. Z pomiędzy tych ostatnich do szczególnie cennych zaliczyć należy wymienione powyżej dzieło Dra Kolnai, poprzedzone przedmową profesora uniwersytetu wiedeńskiego, H. Eibl'a. Jak sam autor zaznacza, niema ono być ani systemem praktycznej etyki płciowej ani zbiorem wskazań wychowawczych; nie jest ono również pracą historyczną ani porównawczym przeglądem różnych systemów; nie wchodzi w zagadnienia biologji ani medycyny — lecz chce, na podstawie rzeczywistych danych, objąć całą sferę seksualną człowieka, wniknąć w jej istotę i w świetle tem „spojrzyć prosto w oczy" łączącym się z nią najważniejszym problemom etycznym. Jest to więc pewnego rodzaju filozofja seksualna, która naukowemi metodami chce dotrzeć do jądra kwestji, by następnie wyciągnąć ostateczne życiowe wnioski, wyjaśnić je i uzasadnić.

Toteż za najważniejsze należy uznać dwie pierwsze części tej pracy, poświęcone zagadnieniom ogólnej natury, jak analiza seksualizmu (stosunek wzajemny płci), jego właściwości i przejawy, oraz płynące stąd główne wytyczne etyki płciowej. Osiągnięte tu wyniki znajdują swe bliższe zastosowanie w trzeciej części książki, która przechodzi poszczególne dziedziny życia, między niemi zagadnienia miłości i małżeństwa, wstydliwości, nadużyć i zboczeń płciowych. Ostatnia część mówi o „społecznej moralności seksualnej" — prawodawstwo, problem rodziny, urodzeń i wychowania. Streszczać tych rzeczy w recenzji niepodobna, tak ogromne jest bogactwo myśli i materjału, zawartych w tej książce. Trzeba ją przeczytać samemu i radzimy to wszystkim osobom, dojrzałym, które pragną pogłębić w sobie znajomość

tych zagadnień, a zwłaszcza tym, którzy rozwijając działalność wychowawczą, chcą utrzymać się na poziomie dzisiejszych wymagań. Książka Dra Kolnai, przyjęta z uznaniem w świecie naukowym, poda im zasady zdrowe; jeżeli niektóre szczegóły mogą u kogo budzić zastrzeżenia, to jednak całość napisana jest w duchu dobrym, zgodnie z zasadami etyki chrześcijańskiej.

Ks. St. Podoleński.

Opieka Społeczna w województwie Śląskiem. Zbiór ustaw i rozporządzeń. W opracowaniu Dr. Stanisława Grocholskiego i Edwarda Chwalewika. Warszawa 1931, nakł. Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Str. 852 in 8.

Wobec rozwijającego się nieustannie prawodawstwa społecznego odczuwano u nas oddawna potrzebę systematycznego zestawienia, któreby pozwoliło najszerszym sferom zorjentować się w jego całokształcie i poszczególnych przepisach. Toteż prawdziwą przysługą było podjęcie się tej pracy przez znawców owej dziedziny, Dra S. Grocholskiego i E. Chwalewika, którzy w latach 1929 i 1930 wydali dwa zbiory ustaw i rozporządzeń w zakresie opieki społecznej, jeden ogólny dla całego kraju, drugi obejmujący specjalne przepisy dla województw poznańskiego i pomorskiego. Zakończeniem ich dzieła jest wydany świeżo trzeci i ostatni tom, odnoszący się wyłącznie do województwa śląskiego, na którego terytorjum obowiązuje do dziś dnia pewna ilość przepisów prawa niemieckiego, względnie pruskiego, oraz austrjackiego, ze zmianami i uzupełnieniami, wprowadzonemi przez ustawodawstwo polskie, ogólnokrajowe lub śląskie. Ze względu na praktyczny charakter wydawnictwa zamieszczono w niem, podobnie jak w poprzednich tomach, także niezbędne wyjaśnienia i orzeczenia Najwyższego Trybunału Administracyjnego. Porządkowy i alfabetyczny skorowidz rzeczowy ułatwiają orjentowanie się w materjale.

Ks. St. Podoleński.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa:

Henryk Sienkiewicz: Pisma w układzie Ign. Chrzanowskiego. T. XXXVI. Nowele. Str. 254.
Stanisław Dzikowski: Egzotyczna Polska. Z myśliwskiej włóczęgi. Str. 244.
Janusz Meissner: Rekord. Str. 176 z 10 ilustr.
Jerzy Brzęczkowski: Wraki. Powieść. Str. 176 z 10 ilustr.
Jan J. Fischer: Pod żaglami. Str. 110 z licznemi ilustr.
Ign. Chrzanowski: Chleb macierzysty Ody do młodości. Wyd. 4, str. 53.
Zdzisław Kleszczyński: Tyran. Powieść. Str. 303.
Stanisław Szpotański: Wróżka. Powieść. Str. 283.
Jerzy Ostrowski: Kobuz. Powieść. Str. 243.

Nakł. Herdera i Ski, Freiburg im Breisgau:

Dr. Bernhard Bartmann: Grundriss der Dogmatik. 2 Aufl. Str. XII+261.

Waldemar Gurian: Der Bolschewismus. Einführung in Geschichte und Lehre. Str. XI+337.

Peter Dörfler: Der Bubenkönig. Don Bosco und seine Schlingel. Str. VI+206, z ilustr.

Nakładem różnych:

Władysław Komorowski: Daleki Wschód w międzynarodowej polityce gospodarczej. Warszawa 1931, Kasa Im. Mianowskiego. In gr. 8⁰, str. XVI+680.

Kardinal Stanislaus Hosius. Gedenkschrift zum 350 Todestag. Herdersche Buchhandlung, Braunsberg. Str, 242.

Zofja Jabłońska-Erdmanowa: Oświecenie i romantyzm w stowarzyszeniach młodzieży wileńskiej. Nakł. Tow. Przyjaciół nauk w Wilnie, 1931, str. 206.

Olgierd Zukowski: Stalowe rekiny. Krótka historja i opis łodzi podwodnych. Warszawa, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, str. 87.

Sprawozdanie Sodalicji inteligencji męskiej w Warszawie za r. 1930—1931. Str. 32.

Józefa Sicińska: Rys historyczny Sodalicji Marjańskiej Pań w Rzeszowie. Str. 27.

XII Sprawozdanie Zjednoczenia Młodzieży Polskiej, r. 1930. Poznań, str. 86.

Dr. M. Cecylja Łubieńska S. S. U.: Kardynał Fryderyk Boromeusz, twórca „Ambrozjany" Odb. z *Czasu*, str. 11.

Roman Dmowski: Świat powojenny i Polska. Wyd. 2, Warszawa, nakł. Niklewicz, Załuska i Ska, 1931, str. XIII+371.

Sprawozdanie Zarządu głównego z działalności Stowarzyszenia Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół powszechnych za rok 1930. Warszawa 1931, str. 160.

Ks. Mateusz Jeż: Przed Najśw. Sakramentem. (Poezje). Kraków 1931. Str. 86 i 1 ilustr.

Wybór pism kaznodziejskich Bossueta. Tłum. M. M. Paciorkiewicz. („Skarbiec mistrzów kaznodziejstwa" t. I). Poznań, księg. św. Wojciecha. Str. VIII+209.

Karol Badecki: Polska komedja Rybałtowska. Pierwsze zbiorowe i krytyczne wydanie. Lwów 1931, Wyd. Zakładu Nar. Im. Ossolińskich. Str. XXII+802.

Michał Farbman: „Piatiletka". Plan gospodarczy Sowietów. Warszawa 1931, „Droga". Str. 135.

Aleksander Hertz: Ludzie i idee. Warszawa 1931, „Droga". Str. 232.

Dom Prosper Gueranger Z. B.: Rok liturgiczny, T. IV. Okres siedemdziesiątnicy. Tłum. ks. St. Świetlicki i ks. H. Nowacki. Sandomierz 1931. Str. 431.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ustawy antykościelne w Hiszpanji. — Rozwój akcji unijnej na Kresach Wschodnich.

Praca ustawodawcza Kortezów hiszpańskich w dziedzinie spraw kościelnych idzie po linji, której obawiali się nawet krańcowi pesymiści. Nazywa się to, jak zwykle, oddzieleniem Kościoła od Państwa, ale wiadomo, jak rozmaita treść może być podłożona pod to określenie. Rozdział Kościoła od Państwa bywa najrozmaiciej pojmowany i niemniej rozmaicie stosowany w praktyce. W Stanach Zjednoczonych, lub w Belgji, istnieje także rozdział Kościoła od Państwa i urzędowo religja jest uważana za rzecz ściśle prywatną, ale w tych krajach cieszy się ona zupełną wewnętrzną swobodą swego życia i urządzeń, przy pewnem nawet życzliwem ustosunkowaniu się władz państwowych do Kościoła. We Francji a jeszcze bardziej w Meksyku rozdział Kościoła od Państwa pojmowany jest już inaczej; tam państwo, z zasady areligijne, ustosunkowuje się do religji jako do organizacji wymagającej stosowania pewnych represyjnych środków i ograniczeń. Wreszcie w Rosji Sowieckiej dochodzi rozdział Kościoła od Państwa do odmówienia Kościołom charakteru nawet prywatno-prawnego i do otwartej wojny z religją, skazaną w zasadzie na zupełną zagładę. W Hiszpanji narazie nie weszły Kortezy na drogę całkowitego naśladowania Rosji sowieckiej, wszakże radykalna część przedstawicielstwa narodowego niedwuznacznie zdradza, że takie naśladownictwo bardzoby jej życzeniom odpowiadało. Narazie ustawy, które w Kortezach już przegłosowano, zbliżają się do typu rozdziału Kościoła od Państwa według pojęć i praktyki francuskiej, a może nawet meksykańskiej. Wzorem Francji ogłoszono Hiszpanję za republikę, nie posiadającą żadnej państwowej religji. Rozdział Kościoła od

Państwa ma przedewszystkiem polegać na tem, że Kościół, po pewnym przejściowym okresie, ma być pozbawiony materjalnych dotacyj ze skarbu, a trzeba tu przypomnieć, że dotacje dotychczasowe były tylko obowiązkiem ciążącym na skarbie z tytułu skonfiskowanych już dawniej majątków kościelnych. Następnie przez wprowadzenie monopolu państwowego na nauczanie ma być zniszczone szkolnictwo, utrzymywane dotąd przez zgromadzenia zakonne, a nawet ma być usunięta nauka religji z wszystkich szkół, z pozostawieniem Kościołowi prawa uczenia katechizmu w odrębnych zakładach, ale pod kontrolą państwa. Tutaj Hiszpanji za wzór posłużył już Meksyk. Majątek zgromadzeń zakonnych, który po poprzednich niejednokrotnych konfiskatach zdołał się odbudować dzięki prywatnej hojności katolików hiszpańskich, ma być znowu skonfiskowany, zakony „zobowiązujące się do posłuszeństwa władzom innym, niż państwowe", zostają zupełnie usunięte z granic kraju. Ostatni punkt jest widocznie wymierzony przeciwko zakonowi Jezuitów, ku czemu za pretekst musiał posłużyć istniejący w tymże zakonie czwarty ślub, jakim Jezuici zobowiązują się do posłuszeństwa papieżowi w sprawach prac misyjnych. „Teologowie" radykalizmu hiszpańskiego dopatrzyli się w tym ślubie jakiegoś szczególnego niebezpieczeństwa dla republiki hiszpańskiej, zapominając, po pierwsze, że dla katolików jakiegokolwiek kraju władza papieska bynajmniej nie jest władzą obcą, po drugie, że do posłuszeństwa Stolicy Apostolskiej w sprawach religijnych i kościelnych obowiązani są wszyscy katolicy, choćby do żadnego zakonu nie należeli, już na mocy swojej przynależności do Kościoła katolickiego. Słowem, rozdział Kościoła od Państwa, dekretowany przez Kortezy hiszpańskie, możnaby przyrównać do rozdziału dwóch przyjaciół, którzy szli pewien czas w zgodzie, z których wszakże jeden nagle przedzierzgnął się w bandytę; postanowił oddzielić się od dotychczasowego towarzysza podróży, ale najpierw poprzenosił z jego kieszeni do swojej wszystko, co tamten posiadał, a następnie, zamiast iść z nim jak dotąd pod pachę, chwycił go za gardło i w takiej opiece chce go dalej prowadzić.

Radykalne uchwały Kortezów hiszpańskich trzeba w znacznej mierze złożyć na odpowiedzialność katolików hiszpańskich. Zawinili oni w rozmaity sposób: dawniej zbytnio opierali się o opiekę państwową, zaniedbali wewnętrznej organizacji własnych sił, a w okresie ostatnich wyborów do Kortezów powstrzymali się w znacznej części od głosowania dla zaznaczenia swej niechęci do dokonanego przewrotu. Tym sposobem monarchiści hiszpańscy, bez jakiejkolwiek korzyści dla samej monarchji, osłabili siły ka-

tolickie w przedstawicielstwie narodowem do tego stopnia, że obrońcy religji i Kościoła znaleźli się w niem w kompromitującej mniejszości. Ci, którzy bronili w Kortezach Kościoła, czynili to z wielką energją i zapałem. Po uchwaleniu wrogich Kościołowi paragrafów, ogłosili oni orędzie do narodu hiszpańskiego, wzywając go do dalszej obrony swych wolności religijnych. Podobnież uczynili ci nieliczni, bo dwaj tylko członkowie republikańskiego rządu, którzy otwarcie przyznawali się do katolicyzmu i w rokowaniach z przedstawicielem Stolicy św. obiecywali dołożyć starań, by nie dopuścić do uchwalenia wrogich Kościołowi ustaw, a przynajmniej stępić ostrze ich radykalizmu. Pp. premjer Zamorra i minister spraw wewnętrznych Maura po uchwaleniu radykalnych paragrafów ustąpili ze swoich stanowisk. Ten gest lojalności zapewne godzien jest uznania, inne wszakże pytanie czy wpłynie dodatnio na dalszy rozwój wypadków.

Ze strony katolickiej objawiają się silne odruchy w obronie praw religji i Kościoła. Protesty przeciwko prześladowczym paragrafom pokryły się miljonami podpisów, episkopat hiszpański jeszcze przed uchwaleniem tych artykułów Konstytucji wystąpił z publicznem ostrzeżeniem, że radykalne uchwały mogą stać się zarzewiem wojny religijnej; przeciwko laicyzacji szkół protestuje licznie nawet młodzież akademicka na niektórych uniwersytetach. Czy te wszystkie objawy budzenia się świadomości religijnej w kraju i wierności Kościołowi katolickiemu zdołają wpłynąć na radykalny odłam Kortezów i skłonić go do rewizji własnych uchwał, o tem trzeba raczej wątpić i zapewne Kościół hiszpański znajdzie się niezadługo na swojej krzyżowej drodze. Na niej dopiero będzie zmuszony do ściślejszego zszeregowania swoich sił i do wydobycia z siebie całej potęgi katolickiego ducha. Nietylko na poszczególnych wiernych, ale na całych Kościołach sprawdzały się już niejednokrotnie słowa św. Pawła: *Virtus in infirmitate perficitur.*

O akcji unijnej na Kresach Wschodnich nie pisaliśmy na tem miejscu już więcej niż rok. Kilka bardzo ważnych faktów, jakie w niej do tego czasu zaszły, wymaga poświęcenia jej znowu nieco uwagi.

Najważniejszem posunięciem, dokonanem w dziedzinie tej akcji, było mianowanie w styczniu r. b. wizytatora apostolskiego dla parafij obrządku wschodnio-słowiańskiego w Polsce, w osobie J. E. ks. biskupa Mikołaja Czarneckiego z zakonu OO. Redemptorystów gałęzi wschodniej. Właściwie stan rozwoju pracy unijnej na kresach domagałby się już utworzenia odrębnych biskupstw tego obrządku. Jednak ta sprawa napotyka na pewne trudności, wynikające z istnie-

nia konkordatu, żądającego na tworzenie nowych jednostek administracyjno-kościelnych zgody polskiego rządu. W uzyskaniu tej zgody wyłoniły się jakieś pono trudności i Stolica Apostolska zadowoliła się narazie przysłaniem swego wizytatora, pozostawiając wiernych obrządku wschodnio-słowiańskiego nadal pod jurysdykcją biskupów łacińskich.

Mianowanie wizytatora apostolskiego wywołało rozmaite komentarze i obudziło różne uczucia. Nikogo oczywiście nie dziwi, że ten krok Stolicy świętej mocno niepodobał się rządzącym sferom Cerkwi prawosławnej, które też poczęły zdradzać nerwowe zaniepokojenie, a nawet, uznały za potrzebne założenie specjalnego czasopisma *(Słowo)*, poświęconego walce z katolicyzmem, a zwłaszcza z akcją unijną. Natomiast konsekwentnego katolika musiało najbardziej niemile dotknąć wystąpienie na terenie sejmu przedstawiciela stronnictwa, uważającego się u nas za katolickie *par exellence*, który w mianowaniu ks. biskupa Czarneckiego dopatrzył się jakiegoś niebezpieczeństwa dla Polski, obejścia przez Stolicę św. konkordatu i z tego tytułu wysunął przeciwko rządowi polskiemu zarzut przeoczenia interesów państwowych. Z ust przedstawiciela rządu autor interpelacji otrzymał rzeczowe wyjaśnienie, z którego wszakże wyczuwało się, że i sfery rządowe nie są zadowolone z nowej nominacji. Tymczasem ks. biskup Czarnecki, wypełniając dane sobie przez Stolicę Apostolską zlecenie, po odbyciu konferencji z księżmi biskupami łacińskimi diecezyj, w których znajduje się obrządek wschodnio-słowiański, dokonał objazdu wszystkich ośrodków pracy unijnej, zaznajamiając się na miejscu z jej dotychczasowemi metodami i wynikami. Przy tych objazdach, które prasie prawosławnej (a nawet jednemu dziennikowi „katolickiemu") posłużyły za pretekst do rozmaitych napaści tak na osobę wizytatora apostolskiego, jak i na całą akcję unijną, ks. Biskup doznawał jak najlepszego przyjęcia nietylko ze strony unitów, lecz także ze strony części ludności prawosławnej. Lokalne władze państwowe, zapewne według instrukcyj, otrzymanych zgóry, zachowały się względem osoby Wysłannika papieskiego naogół z poprawną, ale chłodną rezerwą. Nawiasem trzeba tutaj nadmienić, że jednocześnie z wizytacją ks. biskupa Czarneckiego na Kresach Wschodnich odbywał się, jakby dla dania satysfakcji prawosławiu w Polsce, objazd biskupa prawosławnego Szymona z Krzemieńca po unickich dotąd parafjach Małopolski zachodniej i organizowanie przezeń parafij prawosławnych z tej części ludności unickiej, która przez agitację, sięgającą jeszcze przedwojennej doby, została przygotowana do odstępstwa od Kościoła katolickiego. Objazd biskupa Szymona i jego wojownicze wystąpienia przeciwko katolicyzmowi, napiętno-

wane dobitnie przy pewnym wypadku przez ks. arcybiskupa Mańkowskiego, cieszyły się zupełną swobodą i honorową asystą przedstawicieli władzy państwowej. Przy zestawieniu tych dwóch jednoczesnych wizytacyj, ks. biskupa Czarneckiego i biskupa Szymona, najlepiej się okazuje, ile słuszności posiadają skargi warszawskiej prasy prawosławnej na rzekomy brak równouprawnienia wyznania prawosławnego w Polsce z zajmującem naczelne stanowisko w państwie wyznaniem katolickiem.

Przy wizytacji ks. biskupa Czarneckiego musiała się ujawnić wielka bolączka akcji unijnej na Kresach — brak dostatecznej ilości pracowników. Dlatego, przypuszczać należy, że na skutek przedstawień wizytatora apostolskiego w Rzymie, Stolica Apostolska zadecydowała jak najszybsze uruchomienie osobnego Seminarjum Duchownego w Dubnie na Wołyniu, które już przed kilku laty zostało otwarte przez J. E. ks. Biskupa łuckiego, nie mogło się wszakże rozwinąć z powodu braku poparcia odpowiednich czynników i braku uposażenia. Obecnie Seminarjum w Dubnie zostało podniesione do godności kolegjum papieskiego i szczodrze przez Ojca św. pieniężnie poparte. Właśnie 13 października r. b. dokonało się jego uroczyste otwarcie. Rozpoczęto od otwarcia pierwszego kursu filozofji, na który przyjęto 15 wychowanków. Rektorem tego zakładu został O. Antoni Dąbrowski T. J., dotychczasowy mistrz nowicjatu gałęzi wschodniej OO. Jezuitów w Albertynie.

Na kilka tygodni przed otwarciem Seminarjum w Dubnie, mianowicie w dniach od 1 do 3 września r. b., odbywała się w Pińsku druga Konferencja Unijna. Od swojej poprzedniczki z roku ubiegłego różniła się udziałem wybitnych gości z episkopatu polskiego z ks. metropolitą mohilewskim Edwardem Roppem na czele, obecnością wizytatora apostolskiego, ks. biskupa Czarneckiego, i większą niż było na pierwszej liczbą uczestników. Konferencja ta, podobnie jak pierwsza, wywołała żywe zainteresowanie części prasy polskiej. Niestety trzeba stwierdzić, że dzienniki, które ją omawiały, zwłaszcza dzienniki wileńskie, popuściły zawiele cugli swojej fantazji. Zaznaczano np. jakąś przeciwstawność drugiej Konferencji w stosunku do pierwszej, podczas gdy w rzeczywistości obie one szły po tej samej linji — szukania jak najlepszych metod dla rozpoczętej pracy unijnej i były dziełem tych samych osób. Rezolucje, powzięte na drugiej Konferencji pińskiej, są znane z komunikatu Katolickiej Agencji Prasowej. Wygłoszone na Konferencji referaty i streszczenie dyskusji będą ogłoszone w swoim czasie w Pamiętniku Zjazdu.

Na czoło tych rezolucyj wysuwa się rezolucja, doma-

gająca się ożywienia w nowych ośrodkach unijnych kultu Najśw. Eucharystji. Wiadomo jakie znaczenie dla życia religijnego posiada ten kult w Kościele katolickim, a niemniej wiadomo, z drugiej strony, jak mało ten kult, choć bogato ujawniający się w samej liturgji wschodniej, ma praktycznego znaczenia i jak mało wywiera wpływu na życie religijne ludności prawosławnej. Na Kresach Wschodnich, gdzie istniała niegdyś Unja Brzeska, kult Najśw. Sakramentu był bogato rozwinięty, czego wyrazem było święto Bożego Ciała w Kościele unickim i złączone z niem procesje teoforyczne. Święto Bożego Ciała tak głęboko się przyjęło wśród ludności unickiej, że nawet grabarz Unji Siemaszko nie odważył się go skasować i uczynić dniem roboczym, tylko na miejsce szczególnej czci Najśw. Sakramentu wprowadził na ten dzień obchód *wozsojedinienja Unjatow*, t. j. pamiątkę skasowania unji kościelnej i w tym charakterze Cerkiew prawosławna dotąd ten dzień święci, co jednak prostej ludności wierzącej w wielu miejscach nie przeszkadza uważać tego dnia za święto analogiczne z katolickiem Bożem Ciałem. Otóż druga Konferencja pińska, między innemi postanowieniami, dotyczącemi ożywienia kultu Eucharystji, uchwaliła wniosek uczynienia w ośrodkach unijnych z tego świętowanego przez ludność dnia prawdziwego święta ku czci Najśw. Sakramentu. Oczywiście zależeć to będzie jeszcze od przyzwolenia Rzymu. Polemiczna prasa prawosławna, która w zachowywaniu przez misjonarzy akcji unijnej wschodniego obrządku, identycznego z obrządkiem prawosławnym, dopatruje się podstępu, powinnaby cieszyć się, że ta akcja unijna zamierza wprowadzić pewien szczegół, który ją będzie odróżniał od prawosławia. Tymczasem w jednym z organów warszawskiej metropolji prawosławnej już spotkaliśmy się z zarzutem z tego powodu, że unja, uchwalając wnioski o ożywieniu Eucharystji, wchodzi na drogę latynizacji obrządku wschodniego. Często także stawia się w tejże prasie zarzuty, skierowane do unickiego Kościoła w Galicji z powodu wprowadzenia w nim do obrządku wschodniego różnych elementów liturgji łacińskiej i zwyczajów łacińskich. Chciałoby się naszym prawosławnym postawić wyraźne pytanie: jak wolicie, wielebni ojcowie, czy żeby unja zachowywała całkowicie wasz obrządek i dopuszczała się tym sposobem „podstępu“ w przeciąganiu prawosławnych do Kościoła katolickiego, czy też, żeby pewnemi odrębnościami obrządkowemi i obyczajowemi odróżniała się od was, co przecież ma podobno utrudnić postęp akcji unijnej wśród prawosławnych?

Rezolucja, dotycząca języka, w jakim w świątyniach nowo-unickich ma być głoszone słowo Boże, zaznaczająca

wyraźnie, że językiem tym ma być język rodzimy wiernych, zatem dla Polaków polski, Ukraińców ukraiński, Białorusinów białoruski i Rosjan rosyjski, stwierdza, że akcja unijna na naszych kresach nie chce dać się użyć za narzędzie jakiejkolwiek polityki wynaradawiającej, lecz usiłuje być wszystkiem dla wszystkich. Tym sposobem zostały rozwiane rozmaite podejrzenia złośliwe, jakoby akcja unijna rusyfikowała ludność nierosyjską, i przygotowywała w Polsce grunt dla przyszłej Rosji. Akcji unijnej, jak to w swojem przemówieniu na początku drugiej Konferencji pińskiej dobitnie zaznaczył J. E. Ks. Biskup piński, powinna przyświecać jedynie myśl Boża z usunięciem nabok wszelkich względów politycznych. Ta rezolucja, podobając się naogół publicyście z *Kurjera Wileńskiego*, p. *wicz*-owi, wywołała jego zdziwienie z powodu wzmianki o języku polskim. Zapytuje on, czy są jacyś i czy mogą być unici narodowości polskiej? Możnaby ze stanowiska Konferencji nawzajem zapytać p. *wicz*'a, czy nie zdziwiłoby go, gdyby w tem wyliczaniu języków zabrakło języka polskiego, czy takie pominięcie nie wzbudziłoby podejrzenia, że w akcji unijnej ma się na względzie interesy wszystkich grup narodowościowych, z wyjątkiem tylko polskości? Niechaj p. *wicz* wyobrazi sobie jeszcze jaką kolubrynę z takiego pominięcia zbudowałby przeciwko akcji unijnej np. jego kolega publicystyczny ze *Słowa!* Czy obecnie są jacy unici narodowości polskiej na Kresach — nie wiem i zdaje się misjonarze unijni dotychczas z nimi się nie spotkali, ale zapewne znane są p. *wicz*'owi obliczenia p. Olgierda Czarnowskiego w *Sprawach Narodowościowych* (październik 1929, str. 451), według którego znajduje się w Polsce zgórą pół miljona autentycznych Polaków wyznania prawosławnego. Nie ręczę za ścisłość obliczeń p. Czarnowskiego, ale jeżeli one przynajmniej w części opierają się na rzeczywistości, to może akcja unijna dotrzeć i do tych Polaków prawosławnych, owszem możeby wypadało nawet pracę od nich rozpocząć, a w takim razie wyraźne wymienienie języka polskiego w rezolucji, dotyczącej języków, jako narzędzi propagandy unijnej, jest całkowicie uzasadnione.

Inna rezolucja drugiej Konferencji pińskiej, mianowicie dotycząca używania wyrazu „prawosławny" tak w liturgji, jak i poza liturgją odnośnie do katolików wschodniego obrządku, niepokoi jeszcze bardzo stałego krytyka akcji unijnej na łamach wileńskiego *Słowa*, p. W. Ch. Nie wdając się w dyskusję z p. W. Ch., którego wystąpienia przeciwko pracy unijnej, przeciwko Albertynowi i t. d. przechodzą poniekąd w chorobliwą manję, uważamy za potrzebne objaśnić na tem miejscu, że inkryminowany wyraz „prawosławny", znajdujący się w liturgji obrządku wschodniego, z woli Stolicy Apostol-

skiej ma być w niej utrzymany; oznacza on przecież wyznawców prawej wiary, a za takich Kościół katolicki nie może uważać kogo innego, jak swoich własnych synów. Jeżeli tym wyrazem oznaczają się także poodrywane od jedności kościelnej Kościoły wschodnie, jeżeli im nazwa ta jest nadawana w mowie potocznej nawet przez katolików, to zachodzi potrzeba wyjaśnienia prawdziwego znaczenia wyrazu „prawosławny" i stopnia słuszności w jakim te lub inne grupy wyznaniowe wyrazem tym się posługują. I to właśnie wskazała wyraźnie odnośna rezolucja drugiej Konferencji pińskiej.

Tegoroczna Konferencja z ubolewaniem stwierdziła ciągłe trwanie w społeczeństwie polskiem, a zwłaszcza w prasie polskiej, nieporozumień co do prowadzonej na kresach akcji unijnej. Wyraźnie wrogie ustosunkowanie się do niej jednego z dzienników wileńskich, chcącego uchodzić za pismo katolickie, spotkało się nawet z wyraźnem potępieniem w specjalnej końcowej rezolucji Zjazdu. Jak dotąd dziennik, który miano na względzie, nie zmienił swego stanowiska. Nie tracąc nadziei także na jego otrzeźwienie pod tym względem, prasa konsekwentnie katolicka powinna wyraźnie od jego stanowiska odseparować się, wyjaśniając społeczeństwu polskiemu istotę, cele i metody tej dziedziny katolickiej akcji w Polsce, jaką stanowi praca misyjna nad pozyskaniem odłączonych braci wschodnich dla jedności katolickiej.

Ks. Jan Urban T. J.

Niedola Nauki Polskiej.

Ostatni tom *Nauki Polskiej* [1]) jest bardzo aktualny i powinien, naszem zdaniem, być groźnem *memento* zarówno dla Rządu jak i dla całego społeczeństwa. Z różnego punktu widzenia stwierdza on już nietylko naszą przysłowiową młodszość kulturalną, ale wprost katastrofalne cofanie się na polu nauki i oświaty. Ofiarą kryzysu gospodarczego padła pierwsza nauka i oświata, gdy powinna była paść ostatnia, a padła pierwsza, bo była najłatwiej dosiągalna i najbardziej bezbronna. Szkody wynikłe z zahamowania twórczości naukowej, o ile to zahamowanie będzie krótkotrwałe, dadzą się jeszcze, choć z wielkiemi trudnościami, powetować, ale gdyby ten zastój miał trwać dłużej, trzebaby nam z rozpaczą patrzeć w przyszłość. Dowody aż nader liczne na prawdziwość tych horoskopów znajdujemy w omawianym tomie *Nauki Polskiej.*

[1]) *Nauka Polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój.* T. XIV. Warszawa Wydawnictwo Kasy im Mianowskiego. 1931, str. 404.

Prof. Stanisław Zaremba zastanawia się nad zagadnieniem utylitaryzmu i czystej nauki (str. 21) i zbija niezmiernie szkodliwą, a niestety bardzo rozpowszechnioną i napół oficjalną w Polsce opinję, że rozwój nauki czystej ma małe znaczenie, o ile idzie o poprawę stanu gospodarczego kraju. Na szereg interesujących przykładów pokazuje autor, że właśnie badania i prace zupełnie bezinteresownie prowadzone, bez jakiejkolwiek myśli o ich praktycznych zastosowaniach, przyniosły ludzkości największe utylitarne korzyści. Swoje zniewalające oczywistością wywody kończy przypomnieniem powiedzenia Pasteura, przypisującego klęskę 1870 r. „niedbałości i wzgardzie, którą Francja miała dla wielkich prac umysłowych, w szczególności w zakresie nauk ścisłych".

Że na taką niedbałość może najsłuszniej skarżyć się i nauka polska, dowodem jest praca Czesława Łapińskiego: *Katedry i siły naukowe w państwowych uczelniach akademickich w Polsce* (str. 27—96). Autor zadał sobie trud zbadania i zestawienia stanu personalnego państwowych uniwersytetów polskich, stanu obsadzenia katedr, wieku profesorów, liczby asystentów i t. d. i na podstawie zebranego materjału sporządził 30 tablic statystycznych, wyciągając przytem wnioski niezmiernie doniosłe dla przyszłej organizacji nauki polskiej. Dowiadujemy się więc najpierw, jakie i w jakim stopniu poszczególne dziedziny wiedzy są reprezentowane na uniwersytetach. I tak Uniw. Jagielloński przoduje wśród innych uniwersytetów liczbą katedr antropologji, historji, filologji, nauk o sztuce, prawa i rolnictwa, słabo zaś jest uposażony w katedry nauk biologicznych. Lwowski posiada większą liczbę katedr z dziedziny nauki o ziemi (geologja, paleontologja, geografja, astrofizyka, mineralogja), historji, filologji, nauk o sztuce i prawa, ubogi jest w katedry medyczne, biologji i chemji. Warszawski natomiast przoduje w liczbie katedr nauk biologicznych, historycznych i filozoficznych, słabo zaś zaopatrzony jest w katedry nauk o ziemi, prawa, antropologji i nauk o sztuce. U. Wileński jest wogóle bardzo słabo obsadzony, a szczególnie upośledzone są nauki humanistyczne, ekonomiczno-społeczne i rolnicze, Poznański zaś ma przewagę po stronie katedr biologicznych, chemicznych, i ekonomiczno-społecznych. Politechnika Warszawska posiada lepiej rozbudowany dział architektury i elektrotechniki, oraz większą liczbę katedr technicznych wogóle, zato Politechnika lwowska posiada dział rolniczo-lasowy. Nauki teologiczne mniej więcej jednako reprezentowane są na 4 uniwersytetach, posiadających wydziały teologji, razem obejmują 60 katedr z 26 profesorami zwyczajnymi, 12 nadzwyczajnymi, 7 kontraktowymi i 15 zastępcami profesorów. Bardzo niski procent profesorów zwyczajnych (przy innych grupach nauk wynosi on zawsze przynajmniej 55 i więcej), a wysoki odsetek profesorów kontraktowych i zastępców jest niestety wielkiem niedomaganiem nauk teologicznych

w Polsce i świadczy o braku kandydatów odpowiednio przygotowanych na katedry.

W dalszym ciągu swych wywodów autor zestawił porównawczy stan liczbowy profesorów i zastępców pod względem wieku. Wyodrębnił 5 grup, pierwszą grupę stanowią najmłodsi do 35 r. życia, drugą od 36 do 45, trzecią od 46 do 55, czwartą od 56 do 65, wreszcie do ostatniej zaliczył tych, którzy ukończyli lat 65. Rozpatrując poszczególne działy nauk, stwierdza bardzo smutny, a czasem wprost katastrofalny stan obsadzenia niektórych dziedzin wiedzy. Najgorszą jest sytuacja nauk ekonomiczno-społecznych; nie posiadają profesorów grupy pierwszej, niższy niż przeciętny odsetek grupy drugiej, a większy niż przeciętny 4-tej i 5-tej; jeśli zaś dodamy, że liczba docentów tych nauk jest bardzo niska, bo zaledwie 8 (U. Warszawski i Wileński nie posiada żadnego), to rzeczywiście musimy sytuację określić jako rozpaczliwą. Podobnie nie wesoło przedstawia się przyszłość nauk o ziemi, nauk antropologicznych, prehistorji i chemicznych, tak niesłychanie ważnych dla obrony kraju i rozwoju rolnictwa i przemysłu. Stosunkowo najlepiej postawione są pod tym względem nauki matematyczno-fizyczne, historyczne, prawnicze i nauki o sztuce i teologiczne, ze względu na większą liczbę docentów, lub przewagę sił młodszych. Z Uniwersytetów najbardziej jest zagrożonym Lwowski, potem Krakowski, najlepiej zaś stoi Poznański, mając najniższy procent katedr nie obsadzonych i wysoki grupy 2-giej i 3-ciej.

Po tych zestawieniach autor wyciąga ogólne wnioski tak co do stanu nauki polskiej, jak co do jej przyszłości. Na 822 katedr w państwowych szkołach wyższych 50 katedr jest nieobsadzonych, stąd pierwszy wniosek, że potrzeba 50 kandydatów na profesorów. Dalszych 46 katedr jest obsadzonych przez profesorów, którzy ukończyli już 65 lat życia, potrzeba więc na ich miejsce 46 kandydatów, czyli razem z poprzedniemi 96. Bliższe rozpatrzenie obsadzenia poszczególnych dziedzin wiedzy, bez porównywania ze stanem uniwersytetów w krajach zachodnich, nasuwa konieczność utworzenia przynajmniej 100 nowych katedr. Nie można również w ogólnej kalkulacji zapominać, że nietylko w ciągu roku ubędzie mniej więcej 50 profesorów, którzy przekroczyli 65 r. życia, ale i wśród młodszych umrze pewien choćby tylko nieznaczny procent. Liczbę ewentualnych zgonów w roku autor oblicza na podstawie faktycznego stanu rzeczy z lat poprzednich na 15. Sumując te wszystkie dane i rozkładając plan rozbudowy 100 wymienionych katedr na lat 10, autor dochodzi do wniosku, że przez pierwszych 5 lat (1931—1935) potrzeba będzie rocznie 57 gotowych kandydatów na profesorów, w okresie zaś następnych po 39. Tymczasem obecny stan posiadania uniwersytetów państwowych co do liczby sił przygotowywanych do objęcia naukowych katedr jest niepomyślny. Na ogólną liczbę katedr 822 jest

zaledwie 268 docentów, a więc tylko 32·6%. Znaczna większość katedr nie posiada zupełnie docentów, najgorzej przedstawiają się działy dla ekonomicznego stanu państwa najważniejsze, a mianowicie nauki techniczne, chemiczne, weterynaryjne, farmaceutyczne, leśnicze, a częściowo ekonomiczno-społeczne i rolnicze. Z braku docentów korzysta w dobie kryzysu rząd i od czasu do czasu znosi poszczególne katedry, jak to świeżo uczyniono z katedrą historji sztuki kościelnej na wydziale teologicznym Uniw. Jagiellońskiego.

Te wszystkie obliczenia Autora, oparte na ścisłym materjale statystycznym, w ogólnym wyniku nasuwają bardzo smutne refleksje co do przyszłości nauki polskiej. Dla pełności obrazu należy dodać, że życzenia i postulaty autora są raczej za małe, za skromne, niż przesadzone. Aby się o tem przekonać, wystarczy zanalizować np. tablicę przedstawiającą nam stan nauk historycznych, jednych z najlepiej postawionych, i teologicznych. Otóż z analizy tej dowiemy się, że istnieje tylko jedna katedra nauk pomocniczych historji (w Krakowie), tylko dwie katedry historji kultury, dwie katedry historji Europy wschodniej; Uniw. Poznański nie posiada katedry historji polskiej, a daremniebyśmy szukali jakichś katedr specjalnych, od których się roi np. po uniwersytetach niemieckich. Na czterech katolickich wydziałach teologicznych mamy zaledwie 1 katedrę właściwej apologetyki, a tylko 3 teologji fundamentalnej, ani jednej katedry historji dogmatu, ani jednej patrystyki, ani jednej psychologji religji, ani jednej katedry teologji wschodniej, tak ważnej dla Polski, ani jednej języka starocerkiewnego, po jednej liturgiki, katechetyki, filologji biblijnej, historji sztuki kościelnej, po dwie homiletyki i socjologji, a zatem w ogólnym wyniku stan, używając wyrażenia bardzo łagodnego, smutny. Mniej więcej podobnie jest i w innych działach.

Narzuca się więc pytanie: jaki tego powód. Uniwersytety przepełnione młodzieżą, a kandydatów brak nawet na te bądź co bądź bardzo nieliczne w porównaniu z zagranicą katedry. — Główną przyczyną jest więcej niż liche, stawiające nas w rzędzie najbardziej zacofanych narodów, uposażenie nauki polskiej.

Nauka jest bardzo kosztowną; przygotowanie się do objęcia katedry uniwersyteckiej z nielicznemi wyjątkami jest nie dopomyślenia bez studjów zagranicznych; minimalny odsetek młodzieży może sobie pozwolić w naszych polskich warunkach na dodatkowe studja specjalne z funduszów dostarczanych przez rodziców, a bardzo często ci, którzy mogli sobie na taki luksus pozwolić, nie garną się do dalszej pracy ściśle naukowej, wybierając znacznie intratniejsze zawody praktyczne. W tych więc warunkach konieczną jest pomoc państwa i społeczeństwa, któraby umożliwiła młodym, a objawiającym odpowiednie zdolności i ochotę

absolwentom uniwersytetów dalszą pracę. Tymczasem — niestety — pomoc taka właściwie nie istnieje.

Nasze Towarzystwa naukowe, z Akademją Umiejętności na czele, bardzo zasłużone dla polskiej nauki, robią niewiele dla przygotowania przyszłych uczonych, ponieważ uznają i pomagają przeważnie dopiero uczonym gotowym, z dyplomami, z „nazwiskiem" i sławą. Pewne i to nawet poważne nadzieje można było przywiązywać do Funduszu Kultury Narodowej, niestety, z jednej strony karygodne, wstrętne warcholstwo polskie, a z drugiej obecny kryzys gospodarczy nadzieje te przynajmniej na najbliższą przyszłość rozwiały. Ogólna suma istniejących stypendjów tak rządowych jak i prywatnych jest minimalna, a poszczególne zapomogi są przeważnie tak niskie, że właściwie bezwartościowe. A na dodatek robi się wszystko, aby do reszty uniemożliwić przygotowanie kandydatów na katedry uniwersyteckie. W granice niedorzeczności wchodząca biurokracja głosi hasło, że każdy skończony absolwent uniwersytetu musi praktykę swoją czy nauczycielską czy zawodową zacząć na prowincji, w jakiejś zapadłej dziurze, w której o jakiejkolwiek pracy naukowej i mowy być nie może, a jeśli się znajdą szczęśliwcy, których los wygnania nie spotka, to i tak w obecnych warunkach, wobec 30 godzin obowiązkowych szkoły, nie licząc w to licznych zajęć dodatkowych, możliwość pracy naukowej młodych ludzi schodzi do zera; dodajmy jeszcze liche uposażenie, a będziemy mieli przybliżony obraz rozpaczliwej wprost nędzy nauki polskiej w przyszłości.

Obraz ten jednak stanie się jeszcze czarniejszy, kiedy przeglądając w dalszym ciągu XIV tom *Nauki Polskiej*, zaczniemy robić porównania niedoli nauki naszej z jej stanem i z opieką, jaką się cieszy w narodach zachodnich, a zwłaszcza w Niemczech. M. Bogucki daje sprawozdanie o Instytutach badawczych niemieckich z zakresu przyrody i medycyny, a nie podpisany sprawozdawca streszcza działalność *Notgemeinschaft der Deutschen Wissenschaft* w r. 1928, 1929. Dostaje się czegoś w rodzaju zawrotu głowy, gdy się czyta te litanje liczb i nazwisk i znowu liczb, podających sumy uposażeń, zapomóg, stypendjów. Podobnych doznaje się wrażeń, gdy się czyta o inwestycjach na cele naukowe we Włoszech (Królewska Akademja Włoska i Włoskie instytuty naukowe i badawcze), w Belgji (z działalności Narodowego Funduszu Badań Naukowych w Belgji od 1928 do 1930, z działalności *Fondation Universitaire* w Belgji), we Francji, Stanach Zjednoczonych, a nawet w Hiszpanji. Zamykając spory tom, który z największem zainteresowaniem przeczytało się od deski do deski, doznaje się uczucia najgłębszego przygnębienia. Zarówno w pewnych odłamach prasy, jak i w dyskusjach lansowane są celem „pocieszenia" tych, którzy załamują ręce nad rozpaczliwym stanem nauki polskiej, uwagi, wskazujące na trudności i ograniczenia, na jakie narażoną jest nauka również i w narodach zachodnich

z powodu kryzysu gospodarczego. Tego rodzaju uwagi uważamy za bardzo szkodliwe usypianie czujności społeczeństwa. Nauka w krajach zachodnich została rozbudowaną i uposażoną tak wspaniale, że pewne konieczne i przejściowe ograniczenia są mało, a nawet nic nie znaczące, gdy tymczasem u nas było dużo zapału i rozmachu, dużo wielkich i mądrych planów, pomyślne początki, ale przedewszystkiem najwięcej mizerji finansowej. Mogą sobie Niemcy znosić jakąś luksusową katedrę czy fundację, ale obcinać i zabierać tę odrobinę jaka była u nas, to podpisywać wyrok śmierci na własną naukę i konsekwentnie na własny naród. Cytowane wyżej słowa wielkiego Pasteura, powiedziane o Francji z r. 1870, można powtórzyć dosłownie o Polsce. Oby w niedługiej przyszłości nie zapłaciła ona za wzgardę nauki hańbą, podobną do hańby Sedanu i paryskiej kapitulacji!

Wśród reszty nie wymienianych już przez nas artykułów na szczególną uwagę zasługuje jeszcze jeden. Zawiera on uwagi J. Rutkowskiego o przeroście organizacji nauki (str. 110). Autor bardzo słusznie wskazuje na niebezpieczeństwa i szkody, jakie przynosi nauce przerost organizacyjny. Przerost ten upatruje w niedostosowaniu stawianych i urzeczywistnianych projektów organizacyjnych zarówno do sił finansowych, będących do dyspozycji, jak i do istniejących sił intelektualnych..

Konkretnie przerost taki objawia się niewspółmiernem do sił faktycznych tworzeniem towarzystw naukowych tak ogólnych jak i specjalnych, zakładaniem zbyt licznych czasopism naukowych, urządzaniem za częstych zjazdów naukowych. Jeśli weźniemy pod uwagę np. czasopisma, to nie trudno stwierdzić licznemi przykładami, że za wielka ich liczba z konieczności musi prowadzić do popierania, względnie przynajmniej tolerowania pospolitego grafomaństwa, do wymuszania od uczonych prac niedojrzałych, szkicowych, do zapychania arkuszy mnóstwem małowartościowych i nikogo nie interesujących przyczynków, albo wreszcie do wydawania poszczególnych numerów nie w terminie określonym na tytułowej karcie, ale od przypadku do przypadku, kiedy się uda jako tako numer zapełnić, a właściwie pozapychać. To samo *mutatis mutandis* trzeba powtórzyć i o wydawnictwach zbiorowych, księgach pamiątkowych, rocznikach regjonalnych. Uczeni zanudzani są i zamęczani przez wydawców i inicjatorów prośbami o artykuły; w prospektach wracają mniej więcej te same nazwiska; uczeni obiecują współpracownictwo, dla braku czasu nie mogąc na termin wywiązać się z obietnicy, zwlekają i opóźniają ukazanie się wydawnictwa, które wychodząc przez kilka lat, jeszcze nieskończone staje się już przestarzałem. Zbyt liczne i zbyt zróżniczkowane towarzystwa naukowe, często powoływane do życia dzięki ambicji poszczególnych jednostek czy grup, bez liczenia się z możliwościami rozwoju w danem środowisku, również nie przyczyniają się do postępu nauk. Z towarzystwami na-

ukowemi łączą się ściśle zwykle przez nie urządzane zjazdy naukowe. Doniosłość ich jest oczywistą, ale z drugiej strony za często, za tłumnie urządzane, przeładowane masą w wielu wypadkach podrzędnego znaczenia referatów, przynoszą, jak uczy doświadczenie, niewiele korzyści. W końcowych swych uwagach podnosi autor jeszcze jedno niebezpieczeństwo i jedną bolączkę współczesnej nauki polskiej, którą nazywa mikrografją naukową, przyczynkarstwem, przeciwstawiając mu brak prac szeroko zakreślonych, koncepcyj wielkich. Za główny środek zaradczy słusznie uważa Rutkowski przedewszystkiem koordynację przedsięwięć i prac naukowych, współpracę i porozumienie towarzystw naukowych, podział pracy i konsekwentne przeprowadzenie powziętych planów.

Ks. St. Bednarski. T. J.

Pracownicze Związki Zawodowe w Polsce.

Przed paru laty zamieściliśmy w *Przeglądzie Powszechnym* (lipiec — sierpień 1929 r., str. 192) sprawozdanie o pracowniczych Związkach Zawodowych w Polsce, skreśliliśmy zwięźle ich charakter i rozwój, w okresie zaborczym i za czasów niepodległości. Wydany ostatnio przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej, a opracowany przez p. Ludwika J. Dąbrowskiego *Rocznik Pracowniczych Związków Zawodowych* (str. 104 in 4°), uzupełnia te wiadomości, uwzględniając przesunięcia organizacyjne do dnia 31 grudnia 1928 r. Pomimo, że sprawozdanie to jest spóźnione, zamieszczamy je jednak, gdyż jest to najświeższe i jedyne zestawienie ogółu organizacyj zawodowych w Polsce i mimo braków, o jakich poniżej wspominamy, pozwala zorjentować się w tej ważnej, a mało znanej dziedzinie.

Przyczyną opóźnienia i różnych niedokładności *Rocznika* jest brak przepisów prawnych, któreby nakładały na związki zawodowe obowiązek składania rocznych sprawozdań Ministerstwu Pracy i Opieki Społecznej. Wydawcy musieli więc poprzestać na rozpisaniu dobrowolnej ankiety, na którą spora liczba Związków nie dała żadnej odpowiedzi lub nadesłała niedokładne. Dość powiedzieć, że na 662 formularzy, rozesłanych do poszczególnych związków, nie otrzymano odpowiedzi na 318 czyli 48%.

Zauważyć jednak należy, że najliczniejsze i najsprawniejsze organizacje zawodowe nadesłały swe sprawozdania. Tak naprz., o ile chodzi o organizacje robotnicze, z pośród ogólnej liczby 382 związków zawodowych tylko 190 nadesłało odpowiedź na ankietę, lecz liczbowo reprezentują one mniej więcej 85% ogółu zorganizowanych robotników.

W *Roczniku* niniejszym zatrzymano ten sam, co w poprzednim, podział związków na: robotnicze, umysłowe i państwo-

we. Rozgraniczenie to, jak już tłumaczyliśmy dawniej, nie jest wszakże bezwzględnem, ponieważ pewna ilość pracowników umysłowych i spora państwowych znajduje się w Centralach związków robotniczych.

Zanim przejdziemy do właściwego sprawozdania, musimy nadmienić, że związki zawodowe obejmują zaledwie część ogółu pracowników, których liczba w Polsce, podług obliczeń szacunkowych na dzień 31 grudnia 1928 r., wynosiła łącznie około:

1) 250.000 pracowników umysłowych
2) 2,950.000 „ fizycznych, w czem:
   a) 1·5 miljona rolnych
   b) pozostali zajęci:
      149·5 tys. w górnictwie
      65·5 „ w hutnictwie
      534·6 „ w przemyśle przetwórczym
      63·8 „ w warsztatach amunicji i kolej.
      7 „ w elektrowniach i wodociągach
      200 „ w komunikacji
      10 „ w zakład. użyteczności publ.
      186 „ służby dom. i chałupników
      134·2 „ bezrobotnych zarejestr.

Z powyższej liczby, przeszło trzech miljonów osób, tylko niecały miljon jest zorganizowany w Związkach Zawodowych, jak to ilustruje poniżej zamieszczona tablica:

Wyszczególnienie	ogółem	w tem związki:		
		robotnicze	prac.umysł.	prac. sam. i państw.
Liczba związków r. 1926 . .	325	155	109	61
„ „ r. 1928 . .	328	190	90	48
Liczba członków r. 1928 zarejestrowanych . . .	791.876	539.934	65.924	186.018
płacących *)	594.386	382.025	50.199	162.162
Dochody w złotych r. 1928 .	13,405.541	5,921.096	1,650.689	5,833.756
Nakład roczny czasopism r. 1928	9,967.144	4,990.814	477.300	4,499.030

*) Zwracamy uwagę na dużą rozbieżność pomiędzy liczbą członków „zarejestrowanych", a „płacących"; tę ostatnią należy uważać za bardziej odpowiadającą rzeczywistości.

Jak widać, częściowo z powyższego zestawienia, a przedewszystkiem ze sprawozdań poszczególnych organizacyj, rok 1928 wykazuje pewne wzmożenie siły ruchu zawodowego, objawiające się w liczbie związków. Przyrost ten zaznaczył się jednak silniej tylko w organizacjach robotniczych, które w porównaniu z r. 1927 zyskały około 70 tys. nowych członków; związki pracowników umysłowych zdobyły 23 tys. członków, a związki pracowników państwowych i samorządowych straciły ich blisko 9 tys.

Najpokaźniej pod względem liczby i rozwoju przedstawiają się Związki Zawodowe Robotnicze. W r. 1928 li-

czyły one 190 związków (mowa jest o tych które nadesłały sprawozdania), w nich zaś (dnia 31 grudnia) 587.960 członków zarejestrowanych, z czego 417.958 płacących. Z pośród tych związków było 91 skupionych w następujących Centralach:

Wyszczególnienie	liczba związków	liczba członków	
		zarejestrow.	płacących
Związek Stowarzyszeń Zawodowych	21	199.733	172.009
Zjednoczenie Zawodowe Polskie. .	6	207.079	123.408
Centrale Chrześcijańskich Związków.	39	94.475	59.616
Centralne Zrzeszenie Klasowych Związków Zawodowych . . .	10	25.442	16.380
Zrzeszenie Wolnych Związków Zaw.	2	6.020	6.020
Związki „Praca"	2	15.720	8.274
Związki „Praca Polska"	11	13.163	10.951
Związki inne	99	26.328	21.300

Finansowa strona związków zawodowych robotniczych poprawiła się znacznie w r. 1928, w porównaniu z rokiem ubiegłym; dochody ich podniosły się o 21·2 %, a wydatki o 20·8 %. Wydatki te szły w sporej części na akcję zapomogową wśród członków (bezrobotni, strajkujący), na pomoc prawną, cele administracyjne, propagandowe i wydawnicze (czasopisma zawodowe), a w drobnej naogół części na cele kulturalno-oświatowe. Pozycje powyższe, o ile chodzi o stosunek ich do całości wydatków, różnią się bardzo w poszczególnych organizacjach, tak że niepodobna podać przeciętnej sumy, któraby odtwarzała wierny obraz budżetu ogółu robotniczych związków zawodowych. Całość ich dochodów zamykała się w r. 1928 sumą 5,921.096 zł, a wydatków 5,453.895 zł.

Ruch zawodowy pracowników umysłowych w Polsce, młody w porównaniu z ruchem robotniczym i organizacyjnie niedostatecznie jeszcze skrystalizowany, rozwija się znacznie wolniej. O rzeczywistym jego stanie trudno sobie wyrobić pojęcie, gdyż w roku sprawozdawczym na ogólną liczbę 158 związków tylko 90 nadesłało odpowiedź na ankietę. Ze sprawozdań tych wynika, że ogólna liczba członków wzrosła, w porównaniu z r. 1927, o 8·6 %, finansowy zaś stan pogorszył się o 7 %; dochód roczny na jednego członka wynosił w r. 1927 — 38·40 zł, a w r. 1928 — 32·88 zł.

Na podstawie zdobytych danych ogół zorganizowanych pracowników umysłowych skupiał się z końcem 1928 r. w 92 związkach, które liczyły 65.924 członków zarejestrowanych, a w tem 50.199 płacących. Z pośród nich około 10 tys. członków, skupionych w 8 związkach zawodowych, należało do Central robot-

niczych; pozostali zgrupowani są w następujących Centralach zrzeszonych pracowników umysłowych:

Wyszczególnienie	liczba związków	liczba członków	
		zarejestrow.	płacących
Centralna Organizacja Zw. Zawod. Pracow. Umysłowych	16	19.357	10.775
Polska Konfederacja Prac. Um. . .	3	2.392	2.316
Federacja Zw. Zaw. Prac. Um. . .	2	7.959	7.945
Generalna Federacja Pracy. . . .	2	167	167
Pozostałe Związki	62	26.539	20.757

Finansowa siła wymienionych wyżej Central nie jest jednak bynajmniej proporcjonalną do liczby członków. Podczas kiedy Centr. Organizacja Zw. Zaw. miała w r. 1928 dochodów 355 tys. zł. to osiem razy liczebnie słabsza Polska Konfederacja P. U. miała 106 tys. zł., a Federacja Zw. Zaw. 220 tys. zł. Pozostaje to, obok wysokości wkładki, także w związku z liczbą członków płacących; podczas kiedy w Centr. Organizacji Zw. Zaw. blisko 9 tys. członków zarejestrowanych nie płaciło wkładek, to w pozostałych obu Centralach liczba niepłacących wynosiła 76 i 14 członków.

Ostatnia grupa: związków zawodowych pracowników państwowych i samorządowych okazuje się w świetle sprawozdań najniekorzystniej; na ogólną bowiem liczbę 122 związków tylko 47 nadesłało odpowiedź na ankietę i to jeszcze dość różnej wartości. Z innych również przyczyn trudno sobie wyrobić jasne pojęcie o stanie tych organizacyj, ponieważ pewna ich liczba (przeszło 75 tys. członków) należy do Central robotniczych albo pracowników umysłowych. O ile sądzić można z nadesłanych danych, liczba członków płacących w organizacjach pracowników państwowych i samorządowych spadła w roku 1928 o czwartą przeszło część w porównaniu z rokiem ubiegłym; obniżyły się również w tym okresie ich dochody o 9·6 %, a wydatki o 11·8 %. Spadek ten zaznacza się wszakże w stosunku do ogółu związków, pojedyncze bowiem z nich podniosły się pod względem liczby członków i finansowym. Pozycje wydatków na pewne określone cele — zapomogi, pomoc prawna, cele kulturalno-oświatowe, budowa domów — są w poszczególnych związkach zupełnie niejednolite, tak że trudno tu podać jakieś przeciętne dane.

Owe 47 związków zawodowych pracowników państwowych i samorządowych, które nadesłały odpowiedź na ankietę, liczyły w r. 1928 — 186.018 członków zarejestrowanych, w czem 162.162 płacących. Z pośród nich 7 związków, obejmujących 75 tys. członków, należy do Central robotniczych i pracowników umysłowych;

z pozostałych pewna liczba związków, skupiających w sobie 32.300 członków płacących, należy do Centralnej Komisji Porozumiewawczej Związków Zaw. Pracownikow Państwowych. Łączny dochód wszystkich 47 powyższych organizacyj wynosił w r. 1928 — 5.834 tys. zł., wydatki 5.144 tys., majątek przeszło 7 miljonów złotych. Do osób, objętych temi organizacjami, należą: nauczyciele i profesorowie uczelni państwowych, urzędnicy sądownictwa oraz administracji państwowej i samorządowej, pracownicy kolei, poczt i telegrafów, niżsi funcjonarjusze państwowi.

Tak przedstawia się w zarysie obraz pracowniczych związków zawodowych w naszym kraju, w świetle danych ostatniego *Rocznika*. Przypatrując się jego szczegółom odnosimy wrażenie, że wydanie zupełnie pewnego sądu o całości tego ruchu w roku 1928 jest niepodobnem. Poszczególne związki są znakomicie zorganizowane i zasobne, liczne inne wegetują lub zamierają, a stan ten ulega ciągłym przesunięciom, zależnie od zmieniających się stosunków gospodarczych. Dziś zapewne musiał on ulec znacznemu pogorszeniu, gdyż warunki współczesne — ekonomiczne, społeczne i polityczne — mniej sprzyjają życiu organizacyjnemu, przynajmniej w dawnych jego formach.

Ks. St. Podoleński T. J.

Jubileuszowy Kongres Przeciwalkoholowy w Krakowie.

Dnia 10 lipca 1904 r. cicho i bez rozgłosu odbywał we Lwowie swoje obrady I Zjazd Abstynentów Polskich. Ówczesny prezes Tow. „Eleuterja", prof. dr. Benedykt Dybowski zagaił zebranie, poczem składano sprawozdania z działalności poszczególnych Kół Tow. „Eleuterja", zjazd zaś zakończyły cztery referaty o walce z alkoholizmem, jej znaczeniu i metodach. Minęło od tej chwili lat 27, kiedy w Krakowie w dniach 11—13 X. 1931 r. zebrał się Jubileuszowy X Kongres Przeciwalkoholowy. Zebrał się on pod protektoratem Prezydenta Rzeczypospolitej i zgromadził delegatów towarzystw antyalkoholowych z całej Polski. Inauguracja zjazdu, który trwał trzy dni, odbyła się w największej sali Krakowa, złotej sali Domu Katolickiego, gromadząc przedstawicieli Episkopatu, władz państwowych, instytucyj naukowych i miejskich, oraz tysiączną rzeszę publiczności. Można było tu naocznie się przekonć, jak zmieniło się społeczeństwo polskie w stosunku do zagadnienia walki z alkoholizmem. Dziś nie potrzeba już niemal nikogo przekonywać o szkodliwości używania alkoholu — w zgodnej walce z tym wrogiem zdrowia moralnego i fizycznego ludzkości kroczą uczeni i duchowieństwo, lekarze i pedagogowie, starsi i młodzież, miasto i wieś. Pijaństwa bronią, użycie alkoholu popierają ci — co ciągną z tego finansowe korzyści, oraz stokroć

groźniejszy wróg trzeźwości — nałóg i namiętność ludzka. Walkę więc z tymi wrogami podjął dziesiąty Kongres antyalkoholowy, mobilizując wszystkie możliwe do użycia siły.

Kongres rozpoczął się uroczystem nabożeństwem w akademickim kościele św. Anny, celebrowanem przez J. E. ks. biskupa Stanisława Rosponda. Kazanie wygłosił ks. Józef Godaczewski T. J., poczem odbyła się wspaniała inauguracja w złotej sali Domu Katolickiego. Wstępny referat wygłosił prof. dr. Paweł Gantkowski, ujmując stosunek alkoholizmu do życia narodu w świetle obecnej wiedzy lekarskiej. Dalsze obrady toczyły się na zebraniach plenarnych, których odbyło się cztery, oraz w dziesięciu sekcjach, a mianowicie sekcji duszpasterskiej, akcji katolickiej, pedagogicznej młodzieży, lekarskiej, wojskowej, kolejowej, kobiecej, społecznej i ogólnej.

Niemożliwością byłoby podać w krótkiem sprawozdaniu treść wszystkich, wygłoszonych referatów, ograniczymy się jedynie do niektórych, bardziej interesujących ze względu na szerokość, poruszanego przez nie zagadnienia.

Sekcja duszpasterska odbyła jedno zebranie, które zaszczycił swą obecnością J. E. ks. metropolita, Adam Stefan Sapieha. Przedyskutowano na niej główne zagadnienia metody i celu walki z alkoholizmem w pracy duszpasterskiej kapłana: znaczenie wiedzy z dziedziny alkoholizmu dla życia kapłańskiego (prof. dr. Paweł Gantkowski), znaczenie abstynencji w życiu kapłańskiem, co za nią przemawia (ks. szamb. Henryk Szuman) i jaki jest jej stosunek do ideału nowożytnego duszpasterza (ks. dr. Jan Ciemniewski), metodę walki z alkoholizmem i propagowania abstynencji w szkole (ks. kat. Antoni Cząstka), przy konfesjonale (ks. prof. dr. Władysław Wicher) i na ambonie (ks. Franciszek Kwiatkowski T. J.); rolę bractw wstrzemięźliwości (ks. prałat Kazimierz Niesiołowski), działalność duszpasterską — abstynencką wśród młodzieży wiejskiej (ks. Aleksander Rogóż), oraz ratowanie alkoholików w parafji (ks. Józef Czempiel). Sekcja akcji katolickiej odbyła również zebranie z czterema referatami, które wygłosili prof. A. Seelieb, prof. dr. Paweł Gantkowski, ks. Tadeusz Gałdyński, oraz Kazimierz Kalinowski. Prelegenci przedstawili znaczenie pomocy nadprzyrodzonej dla walki z alkoholizmem w ramach organizacyj katolickich. Referat zaś ks. Gałdyńskiego przedstawił rezultaty katolickiego ruchu abstynenckiego w szeregu państw europejskich.

Specjalne znaczenie posiadała sekcja pedagogiczna, problemy bowiem w jej obradach poruszone dotyczyły wychowania młodego pokolenia. Jaki jest sąd młodzieży o przyczynach alkoholizmu w społeczeństwie, mogli zebrani ocenić na podstawie wyników ciekawej ankiety, omówionej wyczerpująco przez dyr. Bronisława Duchowicza. Referat p. Heleny Gogulskiej poruszył stosunek

alkoholizmu do pracy społecznej nauczyciela. P. Paweł Letniowski wykazał korzyści, jakie zapewnia walka z pijaństwem działaczom oświatowym; p. Bronisława Bobrowska podniosła dodatni wpływ, jaki wywiera bezalkoholowa kolonja letnia, a ks. Stanisław Krawczyk określił niebezpieczne skojarzenia psychiczne, powstające skutkiem używania alkoholu w przyjemnych warunkach. Rolę harcerstwa w ruchu abstynenckim ujął p. Stanisław Sedlaczek, wpływ alkoholu na sport, a sportu na propagandę trzeźwości przedstawił prof. dr. Eugenjusz Piasecki. Dwa zebrania, które odbyła sekcja młodzieży w połączeniu ze Zjazdem kół młodzieży abstynenckiej wypełniły trzy referaty, charakteryzujące stosunek młodzieży do abstynencji. Poruszono tu problem walki młodzieży z alkoholizmem (dr. Tadeusz Strumiłło), znaczenie abstynencji dla rozwoju silnego charakteru (ks. Antoni Cząstka), oraz metodę pracy abstynenckiej wśród młodzieży (Tadeusz Ołpiński). Sekcja lekarska ujęła problem alkohologji z naukowego i społecznego punktu medycyny, oświetlając w licznych referatach problem walki z alkoholem, ze względu na szkodliwość jego dla zdrowia ludzkości.

Zagadnieniom znaczenia trzeźwości dla sumiennego spełniania obowiązków zawodowych poświęcono referaty zebrań dwu dalszych sekcyj, a mianowicie wojskowej i kolejowej.

Sekcja kobieca posiada specjalne znaczenie ze względu na ważną rolę, jaką mogłyby odegrać kobiety w Polsce w walce z pijaństwem. Szereg praktycznych rad i uwag podały referaty pań Zofji Koskowej, wojewodziny Zofji Kwaśniewskiej, Zofji Jurowej i Janiny Breyerowej, wywołując ożywioną dyskusję.

Odmienne tematy poruszyła sekcja społeczna. Szczere zainteresowanie wywołały referaty p. Władysława Wacha, który przedstawił metody i środki pracy antyalkoholowej na wsi, czerpiąc z bogatego zasobu doświadczenia osobistej pracy w tej dziedzinie, oraz ks. dr. Ferdynanda Machay'a podającego przykłady czyto ze swej duszpasterskiej pracy w zapadłej wiosce orawskiej Zázrivie, czy też na emigracji Polaków we Francji. Problem odciągnięcia niższych warstw od kieliszka, przez dostarczenie im interesujących, godziwych rozrywek, podnoszących moralnie i kulturalnie, przedstawiła p. Irena Kosmowska. Socjologję alkoholizmu poruszył dr. Andrzej Niesiołowski, a p. Tadeusz Ołpiński na podstawie paroletnich obserwacyj przedstawił problem prohibicji amerykańskiej w świetle faktów.

Zebranie sekcji ogólnej zbliżało się niemal zupełnie do charakteru zebrań plenarnych, zarówno przez treść swych referatów, jak i brak dyskusji. Ujmowano tu zagadnienie alkoholizmu tak z państwowo-narodowego punktu (Marjan Sławiński) jak lekarskiego (dr. Stanisław Breyer, dr. Henryk Biernacki), społecznego (Władysław Swiątecki) i historycznego (dr. Andrzej Wojtkowski i Jan Broda); wreszcie przedstawiono ciekawe wyniki ankiety

w sprawie używania alkoholu przez młodzież akademicką w Wilnie, wykazujące znaczne spożycie alkoholu wśród młodzieży tak męskiej, jak i żeńskiej (prof. dr. Kazimierz Karaffa-Korbutt).

Zebrania plenarne (poza inauguracyjnem) odbywały się w Auli Uniwersytetu Jagiellońskiego. Referaty na nich wygłaszane podawały bądź syntezy historyczne, medyczne, prawnicze, czy też przedstawiały różne dziedziny życia, w których alkohol odgrywa specjalnie wybitną rolę destrukcyjną. Historję alkoholu i wpływ jego na dzieje narodów przedstawił dłuższym referatem prof. U. J. dr. Leon Wachholz.

Referat prof. Uniw. Stef. Batorego dr. Maksymiljana Rosego przedstawił i unaocznił na podstawie kliniczno-eksperymentalnych badań wybitnie ujemny wpływ alkoholu na mózg i sprawność psychiczną człowieka. Interesujący wykład ilustrowany był tablicami 500 krotnie powiększonych preparatów anatomicznych kory mózgowej. Okiem przyrodnika ocenił problem alkoholizmu prof. U. J. Emil Godlewski, podając w swym wykładzie ciekawe ujęcie życia ludzkiego, jako ciągu ustawicznych przemian rozwojowych, pozostających w zależności od zewnętrznego świata. Do ujemnych tegoż wpływów zaliczyć trzeba pijaństwo, deprawujące etycznie, umysłowo i fizycznie. O psychologji wstrzemięźliwości wygłosił referat prof. dr. Tadeusz Strumiłło.

Nieco odmienny charakter miały referaty prawnicze. Alkoholizm w świetle projektu kodeksu karnego przedstawił dr. Bolesław Czuhajowski, wykazując niedostateczne orzeczenia paragrafów, które uwalniając od winy, popełnionej w stanie pijaństwa — nie posiadają dostatecznej sankcji karnej dla opilstwa. Jakie są obecne warunki walki z alkoholizmem, na podstawie istniejących ustaw i praw, przedstawił dr. Stanisław Skalski, nawołując społeczeństwo do przestrzegania przepisów i zwracania uwagi na wykroczenia łamiących ustawy. Tu zaliczyć można również wywody p. Michała Orzęckiego, domagającego się ustawy prohibicyjnej w Polsce. Zagadnienie kryminologji alkoholicznej ujął referat dr. Stanisława Jankowskiego. Ponury temat „alkohol i zbrodnia", na mocy statystyki wykazał, że przeszło połowa (w Polsce 66%) karalności sądowych i przestępstw, wywołana jest nadużyciem alkoholu. P. Wanda Woytowicz-Grabińska, przedstawiła w świetnie ujętym referacie wpływ alkoholizmu na przestępczość nieletnich. Czerpiąc z bogatego materjału faktów, z jakiemi codzień niemal, jako sędzia dla nieletnich stykać się musi, poruszyła prelegentka bolesne zagadnienie zgubnego wprost wpływu rodziców-alkoholików na moralny i fizyczny rozwój ich dziecka. Praca na tem polu jest olbrzymia, niestety w Polsce brak zakładów dla dzieci alkoholików, a sądów dla nieletnich przestępców, leczących ich duszę, miast karać ich niezawinione winy, istnieje zaledwie trzy. Toteż brak akcji ze strony społeczeństwa i jego bierność pomaga szerzeniu się małoletnich przestępców.

Niemniej wstrząsającem było przemówienie p. Jana Reytana, który poruszając problem fałszywego wstydu uleczonych alkoholików dał wzruszającą i głęboką, choć nie bez patetycznych akcentów spowiedź nałogowca-alkoholika, wołającego do społeczeństwa o nieodtrącanie i pomoc dla jednostek, nawróconych z nałogu. Poetyczną zaś wizją ujął p. Kazimierz Kalinowski straszne i smutne dziedzictwo pierworodnych dzieci — małżeństw alkoholików.

Cenne były uwagi, dotyczące walki z alkoholizmem. Szereg postulatów w tej kwestji wysunął p. Mikołaj Skiba. Nie należy zdaniem jego zapraszać ludzi na kursy i pogadanki antyalkoholiczne, trzeba do społeczeństwa iść i szukać słuchaczy. Znaleźć ich można łatwo w wojsku i szkole, tam też rozwinąć należy propagandę, a jak z doświadczenia wynika, tak władze wojskowe, jak szkolne udzielają najdalej idącej pomocy i ułatwień. Teren mniej wdzięczny, choć konieczny to ludność wsi i miasteczek, zgromadzona po nabożeństwie przed kościołem, lub na jarmarku, Żywe słowo bowiem skuteczniej działa niż drukowane broszurki, ulotki i artykuły. W jaki zaś sposób do walki z alkoholem wciągniętą i zużytkowaną być może literatura, przedstawili w swych referatach dr. Stanisław Kopczyński i Jan Szymański. Pierwszy z nich wykazał na twórczości dramatycznej Szekspira, jak genjalnie potrafił ten wielki dramaturg odczuć i scharakteryzować stany alkoholiczne bohaterów swych tragedyj; p. Jan Szymański natomiast omówił odpowiednie wyjątki z twórczości Krasickiego. Zakończeniem obrad zebrań plenarnych był referat p. Marji Moczydłowskiej-Niekraszowej, który omawiając formy i metody pracy przeciwalkoholowej w chwili obecnej, wskazał na wybitną rolę, jaką powinna odegrać w tej walce kobieta polska. Uzupełnieniem tych uwag była lekcja praktyczna alkohologji, przeprowadzona przez p. Marję Niesiołowską, z uczennicami klasy 3-ej szkoły ćwiczeń przy Państw. Seminarjum Naucz. Żeńsk. w Krakowie. Przysłuchiwało się jej z żywem zajęciem około tysiąca osób, w większości sfer nauczycielskich, oraz młodzieży seminarjów nauczycielskich.

Przez cały czas Kongresu otwarta była w sali kolumnowej gmachu Związku Młodz. Przem. i Ręk. wystawa antyalkoholowa, urządzona przez Okręgowy Związek Kas Chorych i Kasę Chorych w Krakowie. Wystawa zgromadziła cały szereg eksponatów, unaoczniając zgubne skutki alkoholizmu i metody walki z pijaństwem. Przy wystawie uruchomioną została pod kierownictwem p. Eug. Jelonka specjalna księgarnia wydawnictw antyalkoholowych. Towarzyskiemu zapoznaniu poświęcono bardzo miły wieczór w pierwszy dzień zjazdu, w salach gmachu Zw. Mł. Przem. i Ręk., poprzedzony odegraniem przez Koło Amatorskie Zw. Mł. utworu p. Eli Oleskiej p. t. „Dom Życia", unaoczniającego walkę ludzkości z alkoholem — trucizną, podawaną jej przez szatana.

Oceniając rezultaty Kongresu przedewszystkiem podkreślić należy wspaniałą organizację, umożliwiającą w krótkim stosunkowo czasie trzech dni, obrady dziesięciu sekcyj z liczbą przeszło 70 referatów. Toteż niestrudzonemu organizatorowi Zjazdu p. Kazimierzowi Kalinowskiemu, jak i p. Janowi Szymańskiemu należą się od wszystkich uczestników zjazdu słowa szczerej i niekłamanej podzięki i uznania. Wyniki Kongresu ujęły wnioski i rezolucje w liczbie kilkudziesięciu, uchwalone na ostatniem zebraniu plenarnem. Naczelnym postulatem było żądanie przywrócenia zmienionej obecnie ustawy antyalkoholowej z dn. 23 kwietnia 1920 roku; inne wnioski i rezolucje dotyczyły specjalnych dziedzin obrony i propagandy trzeźwości.

Kongres udał się w zupełności, wykazując silny i zwarty, a coraz liczniejszy front propagatorów trzeźwości. Zakończyć ten krótki rys obrad można życzeniem, by wyrażone tam ideały zrealizowały się w niedalekiej przyszłości, kładąc trwałe podwaliny pod duchową i fizyczną tężyznę przyszłych pokoleń polskich.

Dr. Marjan Pelczar.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 31 października 1931.

Jak bronić małżeństwa?

Referat prof. K. Lutostańskiego, wygłoszony 25 października r. b. w sali Sądu Najwyższego w Warszawie o projekcie nowego prawa małżeńskiego, musiał zwrócić na siebie uwagę prasy polskiej. Wszak o zawartości tego projektu, jak również o ideowych i prawnych podstawach, na jakich wspierała się przy jego układaniu Komisja Kodyfikacyjna, referował nie kto inny, jak sam jego redaktor. Dlatego z okazji tego referatu ukazało się w dziennikach wiele artykułów, uwag i polemik zarówno ze strony katolickiej, projektem K. K. zaniepokojonej, jak i ze strony zwolenników projektu, przyjmujących go z aplauzem.

Z tego słusznego zainteresowania się publicystyki tak doniosłą sprawą wyławiamy jednak jeden charakterystyczny i nieco kompromitujący szczegół, świadczący o tem jak tego rodzaju zainteresowania wybuchają u nas łatwo, by nie mniej łatwo stać się niebawem przedmiotem zapomnienia. Z niektórych artykułów dziennikarskich możnaby sądzić, że zawartość projektu Komisji Kodyfikacyjnej zdradzona została dopiero teraz przez prof. Lutostańskiego, a dotychczas należała do nieprzeniknionych tajemnic. Otóż nie jest to ścisłą prawdą. Prawdą jest, że prace nad projektem małżeńskim w podkomisji i obrady w samej Komisji Kodyfikacyjnej osłonione były pewną konspiracyjnością, ale tajemnica została już dawno zdekonspirowana. Niektóre dzienniki, omawiające obecnie projekt K. K., jako dopiero co poznany z referatu prof. Lutostańskiego, pisały o nim już parokrotnie dawniej. Ta okoliczność świadczy o krótkości pamięci, a pośrednio o niezbyt wielkiem przejmowaniu się daną sprawą,

jeśli się o niej zapomina do tego stopnia, że po kilku miesiącach wydaje się nową rewelacją.

Już przed kilku laty rąbka zasłony, pokrywającej tajemnicze roboty w K. K. nad kodeksem małżeńskim, uchylił sekretarz Komisji, prof. Rappaport i wtedy niemało na ten temat pisano. Wiosną 1926 r. Księża Biskupi wystąpili z odezwą do rządu (przedmajowego), wyrażając zaniepokojenie pracą Komisji Kodyfikacyjnej. Rok temu prof. Uniwersytetu Jag., p. Stan. Gołąb, będący także członkiem K. K., szczegółowo referował w Naukowym Instytucie Katolickim w Krakowie zawartość projektu i referaty jego dały podłoże do ożywionej dyskusji w tymże Instytucie w ciągu paru wieczorów, o czem dzienniki krakowskie *(Czas* i *Głos Narodu)* umieściły dobre sprawozdania, powtórzone lub streszczone także w dziennikach innych miast. W kilka miesięcy później był drukowany głos J. Em. Kardynała Prymasa o wygotowanym przez K. K. i złożonym rządowi projekcie prawa małżeńskiego, który to projekt został scharakteryzowany przez najwyższego Dostojnika Kościoła w Polsce jako najbardziej zbliżony do ustawy bolszewickiej; wyrażona też była wówczas nadzieja, że nie znajdzie się chyba w Polsce taki rząd, któryby dopuścił, aby tego rodzaju projekt stał się obowiązującą ustawą. Znaliśmy zatem dostatecznie zawartość i wartość elaboratu K. K. i nie musieliśmy czekać na „rewelacje" samego jego redaktora. Co było w referacie prof. Lutostańskiego względnie nowem, to wyłuszczenie zasad, jakiemi kierowano się w K. K. przy układaniu projektu, a które zasługują na rozpatrzenie i osądzenie także ze stanowiska nauki katolickiej. O krótkiej pamięci naszej publicystyki pozwoliłem sobie powiedzieć parę powyższych słów, bo obawiam się, by i obecne zainteresowanie się projektem K. K. nie było tylko owem ewangelicznem poruszeniem raz na rok stojącej wody, poczem sadzawka uspokoi się aż do chwili jakiejś nowej rewelacji, naprz. że projekt, o którym mowa, został uchwalony przez sejm...

Tak ważnej sprawy, jak przygotowywanie nowego jednolitego prawa małżeńskiego, nie wolno katolikom ani na chwilę tracić z uwagi, a w tej chwili należy zmobilizować wszystkie siły, by wypracowany przez K. K. projekt nietylko

nie stał się ustawą, ale żeby nawet nie został wniesiony do sejmu. Do zajęcia stanowczego negatywnego stanowiska wobec tego projektu wzywają nasi Księża Biskupi w swojem orędziu z dn. 10 listopada całe katolickie społeczeństwo. Występując do tej walki musimy się dobrze uzbroić, stanowisko nasze jasno określić i gruntownie uzasadnić, natomiast strzec się łatwych, ale niegłębokich sposobów stawiania kwestji, bo niemi zamiast sprawie oddać przysługę, moglibyśmy jej zaszkodzić. Dlatego, zamierzając określić to, co w walce przeciwko projektowi K. K. uważam za istotne, chcę przedtem przestrzec przed pewnemi sposobami bronienia katolickiego stanowiska, które wydają się mnie nie dość skutecznemi, a nawet mogącemi zaszkodzić katolickim żądaniom.

Pierwszym z tych sposobów jest odwoływanie się do Konstytucji z r. 1921 i do Konkordatu jako do formalnoprawnej podstawy. Wiadomo, że wprost ani Konstytucja ani Konkordat nie dotyka ustawodawstwa małżeńskiego. W Konkordacie naszym jest to luka,[1]) która świadczy, że albo w rokowaniach o ten konkordat sprawa ustawodawstwa małżeńskiego nie była poruszana, albo układające się strony nie doszły w niej do porozumienia. Można więc w kwestji ustawodawstwa małżeńskiego powoływać się jedynie na pewne paragrafy (podobnie jak i na artykuły Konstytucji), które wprost o małżeństwie nie mówią, ale z których możnaby taki czy inny obowiązek państwa względem katolickiego punktu widzenia logicznie wydedukować.

Tak też postąpiono w paru artykułach dziennikarskich, jak również w różnych protestach i adresach przeciwko stanowisku zajętemu przez Komisję Kodyfikacyjną. Powoływano się zatem na przyznane przez Konstytucję katolicyzmowi „naczelne miejsce" między wyznaniami, następnie na to, że według tejże Konstytucji Kościół „rządzi się własnemi pra-

[1]) Nietylko polski Konkordat, ale i inne, jak nprz. pruski, bawarski, rumuński nie dotykają prawodawstwa małżeńskiego. Znalazło ono natomiast uwzględnienie w Konkordacie z Litwą z r. 1927 przez przyznanie małżeństwom kościelnym skutków cywilnych, a jeszcze obszerniej w Konkordacie z Italją, który oprócz takiegoż przyznania uznaje właściwość sądów kościelnych w sprawach małżeńskich.

wami", wreszcie na przewidziany w art. 4 Konkordatu obowiązek władz cywilnych do udzielania Kościołowi pomocy *(brachium saeculare)* przy wykonywaniu postanowień i dekretów kościelnych. Z tych paragrafów dedukuje się obowiązek państwa do uzgodnienia swego prawodawstwa małżeńskiego, przynajmniej o ile jest mowa o małżeństwach katolików, z prawem kościelnem.

Niewątpliwie z ducha Konstytucji i Konkordatu wynika obowiązek normowania w zgodzie z Kościołem spraw zarówno państwo, jak i Kościół obchodzących, ale o ile chodzi o komentowanie pisanych paragrafów, to obawiam się, że w tem naszych kanonistów, a tem bardziej urządzających protesty kapłanów, pobiją profesorowie i adwokaci, pracujący w Komisji Kodyfikacyjnej czy też w Sejmie. I jeżelibyśmy nie zdołali znaleźć innych argumentów na wzmocnienie naszych pozycyj, jak tylko formalne odwoływanie się do istniejących ustaw, albo gdybyśmy to czynili choćby obok innych dowodzeń, to skutek może być odwrotny, niż jaki myślimy osiągnąć. Dla jednych paragrafy są niezrozumiałe, innym nasza wykładnia wydaje się niepewną, zresztą ani Konstytucja, ani żadna ustawa ludzka nie jest nietykalną, wszak tyle się mówi o rewizji Konstytucji!

Przyjrzyjmy się szczegółowo prawniczej argumentacji. Powoływano się na „naczelne" stanowisko katolicyzmu między innemi wyznaniami. Na to odpowiedziano już z drugiej strony: tak, ale w tymże artykule powiedziano: „między równouprawnionemi wyznaniami", a zatem katolicyzmowi przyznane jest tylko pierwszeństwo honorowe, nie dające rzeczowych przywilejów. Pisano, że „Kościół rządzi się własnemi prawami". Na to przyszła odpowiedź: w tem my Kościoła nie zamierzamy krępować. Jeśli ustawa państwowa będzie inna, niż kodeks prawa kanonicznego, nie będziemy mieli nic przeciw temu, gdy Kościół nie uzna naszych małżeństw lub rozwodów za ważne. Katolik dobry i Kościołowi posłuszny nie uda się do nas po rozwód ani po ślub cywilny, my ze swojej strony ślub kościelny uznajemy za ważny i skutki cywilne mu przyznajemy, — nie widzimy przeto, byśmy krępowali Kościół w wykonywaniu przezeń jego jurysdykcji, nie możemy tylko z prawa kościelnego czynić

ustawy obowiązującej wszystkich obywateli państwa, skoro co najmniej 25% ludności do katolicyzmu nie należy.

Co się tyczy art. 4. Konkordatu, przewidującego pomoc władz państwowych przy wykonywaniu postanowień i dekretów kościelnych, to do naszego wypadku możnaby usiłować zastosować punkt *c* pomienionego artykułu. Brzmi on, jak następuje: „we wszystkich innych wypadkach, przewidzianych przez ustawy obowiązujące". Gdyby pod mianem „ustaw" można było rozumieć tutaj prawo kanoniczne, to oczywiście państwo obowiązanem byłoby do okazania *brachium saeculare* także wyrokom sądów duchownych w sprawach małżeńskich, a tem samem nie mogłoby, nie naruszając Konkordatu, stanowić ustaw wchodzących w kolizję z prawem kościelnem, w którego wykonywaniu ma okazywać swoją pomoc. Owszem, należałoby z takiego postawienia kwestji wnioskować, że z chwilą wejścia w życie Konkordatu z r. 1925 powinny były utracić moc prawną wszystkie ustawy państwowe, w czemkolwiek niezgodne z Kodeksem prawa kanonicznego, w szczególności prawo małżeńskie, obowiązające w b. zaborach pruskim i austrjackim, a co do niektórych punktów także prawo małżeńskie b. zaboru rosyjskiego. Nie wiem czy obrony tej tezy podejmie się kanonista, natomiast wiadomo, że ze strony instytucyj państwowych jest stosowana wykładnia przeciwna. Już w debatach sejmowych nad zawartym Konkordatem, mianowicie na posiedzeniu w dniu 24 marca 1925 r., wyjaśniano, że w przytoczonym powyżej punkcie *c* art. 4-go Konkordat ma na myśli li tylko ustawy państwowe. Otóż naprz. w zaborze pruskim ustawa obowiązująca zarówno teraz, jak i w czasie zawierania Konkordatu, wcale się nie liczy z kościelnem prawem małżeńskiem. W b. Kongresówce, gdzie się prawo państwowe małżeńskie pokrywa w znacznej części z prawem kościelnem i gdzie jest uznana wyłączna właściwość sądów kościelnych w sprawach małżeńskich, państwo respektuje wyroki tych sądów, ale tylko o tyle, o ile prawo kościelne nie rozchodzi się z ustawą państwową (naprz. ustawą z r. 1836). Za to umieją uchylać się od działania katolickiego prawa małżeńskiego zainteresowani, jużto przenosząc się do innej dzielnicy Polski, gdzie mogą korzystać

z innej ustawy państwowej, jużto przechodząc na inne wyznanie, czemu państwo przy istnieniu tolerancji religijnej zapobiec nie może.

Że zarówno Konkordat, jak Konstytucję brano pod uwagę w Komisji Kodyfikacyjnej przy redagowaniu projektu prawa małżeńskiego, stwierdził to prof. Lutostański w swoim liście do *Kurjera Warszawskiego* (N 310 z dn. 12 listopada b. r.), twórcy projektu jednak nie upatrywali w swem dziele formalnego naruszenia ani pierwszego ani drugiej. Naszem zdaniem, może zbyt lekko prześlizgnęli się ponad owym punktem *c* art. 4 Konkordatu, tu kowiem projekt ich niewątpliwie przewiduje cofnięcie sankcyj prawa państwowego, przysługujących w dniu zawarcia Konkordatu, przynajmniej w pewnym zakresie i na części terytorjum Rzeczypospolitej prawu małżeńskiemu Kościoła. Stanowiłoby to naruszenie jednostronne przez państwo, że tak powiem, „stanu posiadania" Kościoła, uznanego przez dwustronną umowę konkordatową. Tak wszakże zredukowane znaczenie Konkordatu w sprawie małżeństwa nie pokrywa się z wszystkiemi postulatami, jakie katolicy mają do postawienia w kwestji prawa małżeńskiego i nie może zatem służyć jako dostateczna dla nich podstawa prawna.

Następujący sposób walki, którego możeby lepiej było zaniechać, jest powoływanie się na ściśle określony stosunek procentowy ludności katolickiej do ludności innych wyznań w Polsce. Licząc oba główne obrządki, t. j. łaciński i grecki, katolicy stanowią, według statystyki, 75% ludności kraju, jest więc podkreślane w naszej publicystyce, że tak przeważająca większość ma prawo domagać się od państwa uwzględnienia swych postulatów w prawie państwowem. Otóż, kiedy chodzi o prawodawstwo małżeńskie, bałbym się przemawiać w imieniu aż 75 % całej ludności państwa. Wogóle bałbym się odwoływać do zasady większości, jako decydującej. Gdyby nas było nie 75 %, lecz tylko 49 %, czyżby postulaty katolickie straciły na wartości? Mnie się zdaje, że lepiej będzie powoływać się na słuszność naszych żądań, niż na liczbę naszą. Do argumentu liczby wogóle nie mam zaufania. Hiszpańscy katolicy mogli powoływać się na to, że stanowią 98 % ludności kraju, a oto patrzymy tam na uchwa-

lanie wrogich Kościołowi ustaw. Czy ta większość w Kortezach, która te ustawy (także dość radykalną ustawę małżeńską) przeprowadza, została wybrana do parlamentu przez owe pozostałe 2 % niekatolików? Zapytajmy szczerze siebie, czy gdyby zarządzono plebiscyt w sprawie ustawy małżeńskiej, moglibyśmy liczyć, że za stanowiskiem katolickiem opowiedzą się wszyscy owi katolicy ze statystyki i paszportu? Do liczby katolików, objętych statystyką, należą także bodaj że wszyscy ci członkowie Komisji Kodyfikacyjnej, którzy zwalczany przez nas projekt ułożyli, a chyba do zwalczania samych siebie mandatu nam nie dadzą. Ale mniejsza o nich, bo oni stanowią znikomą liczbę. Lecz czy możemy występować w imieniu naszej „katolickiej" inteligencji, tej inteligencji, która zaczytuje się Boy'em, która w wielkiej mierze zainteresowana jest w dopuszczeniu ślubów cywilnych i rozwodów? Co do klasy robotniczej, to wiemy pod jak silnemi wpływami socjalizmu ona pozostaje, a wszak śluby cywilne, rozwody, sądownictwo małżeńskie świeckie i t. d. — to stałe postulaty socjalizmu wszystkich odcieni, nawet najłagodniejszych. Wreszcie mamy lud wiejski, który w olbrzymiej masie jeszcze odznacza się religijnością i w rozwodach najmniej jest zainteresowany. Zapewne, gdy się rzuci hasło: chcą nam narzucić rozwody, brońmy się! będzie łatwo naszych chłopów a zwłaszcza ich żony pozyskać dla masowego protestu przeciwko takiemu zamachowi na małżeństwo, ale czy ten protest wytrzyma próbę, kiedy inteligent partyjny, zwolennik rozwodów, „wytłumaczy" swoim wyborcom-chłopom, że nie chodzi o „narzucanie" im rozwodów, ale o „pozwolenie" na nie tym, którzy ich chcą sami? Może to zbytni pesymizm, ale obawiam się, że ewentualny plebiscyt, lub wybory pod hasłem reformy prawa małżeńskiego mogłyby nam urwać dużo z tych katolików, wykazanych przez statystykę, a to „dużo" w połączeniu z inowiercami może nie stanowiłoby już *quantité negligeable,* lecz bodaj czy nie większość. Słowem, uważałbym za bardziej wskazane pozostawić na boku demokratyczną zasadę, iż mniejszość powinna się dostosować do większości, by snać zasady tej nie obrócono przeciwko nam, katolikom. I gdy w naszym ustroju większość decyduje i może zadecydować także

w sprawie prawa małżeńskiego, to niezmiernie pilnem zadaniem katolicyzmu, zamiast odwoływania się do statystycznej większości, będzie formowanie usilną pracą katolickiej większości z przekonania, od czego jesteśmy zdaje się jeszcze dosyć daleko.

Wreszcie obawiam się jeszcze jednego sposobu bronienia stanowiska katolickiego w omawianej przez nas sprawie. Boję się ogólnikowych haseł, jak również stawiania na jednej linji postulatów o niejednakowej doniosłości.

Hasłem ogólnikowem byłoby domaganie się, aby ustawa państwowa małżeńska we wszystkiem zgadzała się z prawem kanonicznem Kościoła. Takie ogólnikowe żądanie jest wprawdzie do postawienia łatwe, ale przy bliższem rozpatrzeniu sprawy okazuje się, że jest ona nierównie więcej skomplikowana. Wyłania się mianowicie szereg wątpliwości, powiedzmy „kazusów", które domagają się konkretnej i jasnej odpowiedzi. Przypuśćmy, że obecny projekt prawa małżeńskiego zostanie złożony *ad acta* (o co właśnie usilnie walczyć mamy) — wtedy zapewne zostanie powołana nowa komisja do opracowania nowego projektu. Chyba jest pożądane, aby się ona składała nie z samych tylko masonów i żydów, z którymi katolicyzm dopiero pertraktowałby jako ze stroną drugą (Państwo!) o to, aby ich elaborat był zgodny z prawem kościelnem. Przypuśćmy zatem, że w komisji zasiada paru dobrych katolików, może nawet księży-kanonistów i wpływa do omówienia kwestja formy zawierania związków małżeńskich. Oczywista rzecz, że dla katolików trzeba zostawić, zgodnie z prawem kanonicznem, kościelną formę zawierania małżeństw i takim małżeństwom zapewnić wszystkie skutki prawne wobec państwa. Lecz zaraz nastręcza się „kazus": podług prawa kanonicznego nieważne są małżeństwa, zawarte nie przed proboszczem katolickim, o ile przynajmniej jedna strona urodziła się w katolicyźmie. Jak więc postąpić z takim subjektem, który był katolikiem, lecz katolicyzm porzucił, przechodząc na inne wyznanie lub ogłaszając się bezwyznaniowcem? Stworzyć dla niego śluby cywilne, ważne wobec państwa? Otóż wtedy odstępuje się już od prawa kanonicznego i rodzi się pytanie czy zasiadujący w Komisji Kodyfikacyjnej dobrzy katolicy mogą na taki

artykuł ustawy dać swe przyzwolenie, czy też, o ile są w większości, mają tego rodzaju ludzi prawnie zmusić do ślubu katolickiego, a jeśli w Komisji stanowią mniejszość czy mają ją demonstracyjnie opuścić? Wotowanie za ślubami cywilnemi dla odstępców od katolicyzmu zgodne byłoby z przyjętą zasadą tolerancji religijnej i z literą Konstytucji, że nikt nie może być przymuszony do udziału w funkcjach religijnych (art. 112), a do takich funkcyj chyba należy ślub kościelny. Ten sam „kazus" nasunie się także wszystkim katolickim posłom w Sejmie i Senacie, ministrom i Prezydentowi Rzeczypospolitej przy uchwalaniu, względnie ratyfikowaniu i ogłaszaniu prawa małżeńskiego. A jest to w tym zakresie nie jedyny taki „kazus"; można dodać także pytanie: czy paszportowy katolik, który do kościoła chodzić nie chce, w sakramenta nie wierzy, ale i jawnego odstępstwa od katolicyzmu nie zgłasza, będzie mógł korzystać z ewentualnych fakultatywnych ślubów cywilnych? Czy po dopuszczeniu takich ślubów, choćby tylko dla jawnych odstępców od wiary, warunki ich ważności mają być określone w państwowej ustawie małżeńskiej, i czy o ich ważności lub nieważności *in concreto* mają decydować sądy cywilne? W tych wszystkich wypadkach katolik, powołany do współpracy ustawodawczej w państwie, powinien mieć jasno urobione sumienie, inaczej bowiem musieliby chyba tacy posłowie, w obawie popełnienia grzechu, uchylać się od głosowania, pozostawiając całą pracę ustawodawczą — w państwie katolickiem — masonom, protestantom i żydom.

Jak widzimy, z wielu kłopotliwych sytuacyj nie wyprowadzi się nikogo ogólnikowym nakazem stosowania się do prawa kościelnego. Trudnościom — a nie są one chimeryczne, lecz rzeczywiste — należy zajrzeć odważnie w oczy i tak czy inaczej je rozwiązać. Dotąd, niestety, takiego jasnego stawiania kwestji jakby się unikało.

A trzeba będzie koniecznie postawić ją jasno i jasne rozstrzygnięcie zdobyć czy to drogą poważnych dyskusyj w kołach fachowych, czy nawet drogą orzeczenia kompetentnych władz kościelnych. Do tego celu przydałoby się, sądzę, pogłębienie pojęcia tolerancji religijnej, którą wielu ma na ustach, nie dość zdając sobie sprawę z jej rozciągłości

i zastosowań, ustalenie rozróżnienia między tolerancją dogmatyczną a cywilną i określenie jak wierzący katolik ma godzić tolerancję cywilną z dogmatyczną wyłącznością Kościoła. Kościół stojąc na stanowisku dogmatycznem, nie uznaje naprz. legalności żadnych sekt chrześcijańskich, które w jego oczach są organizacjami opartemi na herezji lub buncie. Stąd nie może uznać ich za równouprawnione z sobą organizacje, ani ich władz za prawowite władze Chrystusowego Kościoła; stąd zasadniczo zwolenników tych sekt czy „kościołów" uważa za poddanych swoim prawom, tylko poddanych zbuntowanych, najczęściej także klątwą kościelną obłożonych. Z tego swego stanowiska Kościół zejść nie może; kiedy chodzi o prawdę Chrystusową i o jedność Kościoła Chrystusowego, musi on być zasadniczo nietolerancyjny. Ale inna sprawa jest z tolerancją cywilną. Kościół nie potępia państw, które licząc z faktycznem rozbiciem religijnem obywateli, zapewniają wszystkim tolerancję religijną i równość wszystkich wobec prawa państwowego. Konsekwentnie nie potępia i tych katolików, którzy biorąc udział w prawodawstwie przykładają rękę do uchwalenia tego rodzaju tolerancji i ułożenia w myśl jej szczegółowych ustaw, ani sędziów i urzędników, którzy w praktyce ustawy takie względem inowierców będą stosowali, chociaż niekiedy stosowanie ich nie będzie zgodnem z prawem ich Kościoła. Przykład: reglamentacja przez urzędników-katolików przejść z wyznania katolickiego na inne, nie uznawanych ani przez dogmat ani przez prawo kanoniczne Kościoła.

Gdzieindziej ta delikatna, ale jakże praktyczna kwestja jest szeroko omawiana przez literaturę katolicką, żeby wspomnieć tylko o książce O. Vermeerscha, obecnie profesora Uniwersytetu Gregorjańskiego w Rzymie p. t. *La Tolerance* (Paris, 1912). U nas, o ile wiem, tę kwestję obszernie i *ex professo* omawiał ostatni ks. biskup sufragan Janiszewski przed kilkudziesięciu laty.

Dotknęliśmy już ubocznie zagadnienia dopuszczalności ślubów cywilnych w pewnym zakresie. Co sądzę o projekcie, wprowadzającym śluby cywilne z zastrzeżeniem, iż te same skutki prawne przysługują także ślubom, zawartym w kościele (wogóle zawartym według przepisów uznanych

w państwie wyznań) — o tem pisałem przed dwoma laty na tem miejscu [1]). Wyraziłem tem wątpliwość czy musimy koniecznie walczyć przeciwko ślubom cywilnym, jako fakultatywnym obok kościelnych. Wyrażonej tam wątpliwości dotąd nikt nie zdołał we mnie rozproszyć, nawet długie i ponawiane artykuły polemiczne przeciwko mnie ks. Biskupskiego w *Ateneum Kapłańskiem* raczej utwierdziły mnie w mojej wątpliwości. I dzisiaj wydaje mi się, że ci z katolików, którzy zwalczają projekt dopuszczenia ślubów cywilnych w jakiejkolwiek postaci narówni ze zwalczaniem rozwodów, nie osiągną pierwszego celu, a osłabią skuteczność walki przeciwko rozwodom. Orędzie Episkopatu Polski z dn. 10 listopada r. b. kwestję formy zawarcia małżeństwa, jakkolwiek w projekcie K. K. zajmuje ona wiele miejsca, pomija milczeniem, natomiast Pasterze Kościoła całą uwagę skupiają na projekcie dopuszczenia rozwodów i ten zamiar kategorycznie potępiają i odrzucają,

Bo rzeczywiście ta część projektu K. K. zasługuje na stanowczy sprzeciw uświadomionych katolikow, a trzeba wszystko uczynić, by także inni ludzie dobrej woli, chociażby nie wrażliwi na wyznaniowe pobudki, katolickie stanowisko uznali za słuszne. Niestety, jak w innych żądaniach przesadę, tak pod tym względem trzeba stwierdzić niejaki wśród polskich katolików defetyzm. Zadawalniamy się zwykle żądaniem, by ustawa państwowa zagwarantowała nierozerwalność k a t o l i c k i e g o małżeństwa, gdy tymczasem żądanie takie nie powinno być uważane za maksymalne, ale chyba za minimalne, w ostateczności. Integralny postulat z naszej strony winien brzmieć: państwo nie powinno dopuścić ż a d n y c h r o z w o d ó w, nawet dla małżeństw niekatolickich, nawet niechrześcijańskich. Kiedy chodziło o formę zawierania małżeństw, mieliśmy do czynienia z pozytywnem prawem k o ś c i e l n e m, tutaj, gdy chodzi o nierozerwalność małżeństwa, spotykamy się z prawem mocniejszem, bo n a t u r a l n e m. Wszak według nauki Kościoła, wyłożonej za-

[1]) Artykuł „Małżeństwo między państwem a Kościołem", *Przegl. Powsz.* czerwiec 1929. Patrz także broszurę moją: *O zdrowe ustawodawstwo małżeńskie w Polsce*, Kraków 1929, nakładem Wydawnictwa Księży Jezuitów.

równo w encyklice Leona XIII „Arcanum", jak i w encyklice Piusa XI „Casti connubii", nierozerwalność małżeństwa wypływa z natury samegoż związku małżeńskiego, nawet niezależnie od jego sakramentalnego charakteru u chrześcijan, a zatem jest właściwą także małżeństwom „niewiernych". Ten nierozerwalny węzeł — żeby posłużyć się słowami Piusa XI — „od początku tak się zrósł z małżeństwem, że żadnej władzy świeckiej nie podlega".

Tej nierozerwalności naturalnej (od której nauka katolicka czyni jeden wyjątek w tak zw. „privilegium paulinum") winniśmy bronić nietylko dla siebie, ale także dla wyznawców wyznań innych, odmawiając państwu jakiejkolwiek władzy rozwiązywania ważnie zawartych małżeństw. Nawiasem dodajmy, że jeśli w polskiem prawie małżeńskiem ta zasada nierozerwalności związku małżeńskiego nie zostanie przyjęta dla wszystkich, to trudno będzie obronić ją skutecznie dla katolików. Przecież, skoro niepodobna przy istnieniu tolerancji religijnej przeszkodzić ustawą państwową porzucać katolicyzm, jakże będzie można przeszkodzić innym wyznaniom dawać tego rodzaju uciekinierom z katolicyzmu rozwody, jak się to zresztą na szeroką skalę praktykuje? A jeżeli będą istniały rozwody cywilne dla bezwyznaniowców, to chcący rozwieść się katolicy zapewne i z tego „dobrodziejstwa" skorzystają. Możnaby wprawdzie żądać dla małżeństw katolickich tego przywileju, by zawarte w kościele śluby nie podlegały rozwiązaniu przez sądy innowiercze lub cywilne nawet po odstępstwie zainteresowanych od katolicyzmu. Przy istnieniu rozwodów dla innych byłby to przywilej dla katolicyzmu, lecz przywilej taki mógłby się znowu stać okazją dla wielu do unikania ślubu kościelnego, właśnie by nie zamknąć sobie możliwości uzyskania rozwodu na wypadek „niedobrania się" małżeństwa.

Domagamy się wszakże nierozerwalności małżeństwa dla wszystkich nie jedynie dlatego, by zagrodzić wszelką drogę do rozwodów dla katolików. Występujemy tutaj w imię obowiązującego wszystkich prawa naturalnego i w imię dobra ogólnego. Zasada nierozerwalności małżeństwa jest w naszych oczach nie mniej ważną od zasady szanowania cudzego życia, wolności i dobrej sławy. I dlatego prawo-

dawca katolicki nie powinien przykładać ręki do stworzenia ustawy, dopuszczającej rozwody dla kogokolwiek, jak nie wolno mu przykładać ręki do tworzenia ustaw, któreby uprawniały kradzież, proste zabójstwo i t. p.

Domagając się takiej nierozerwalności małżeństwa, nie motywujemy jej samą sakramentalnością małżeństwa; nie wszystkich związki są sakramentalne i nie dla wszystkich ten dogmatyczny wzgląd byłby zrozumiały i przekonywujący. Nierozerwalność małżeństwa naturalna wypływa ze społecznego jego znaczenia, z jego naturalnych celów, wreszcie z natury samej obietnicy, która prawdziwe małżeństwo kojarzy. Z zapoznania tych względów i z dopuszczenia rozwodów płyną nieobliczalne skutki szkodliwe dla społeczeństw.

Wejdźmy trochę głębiej w zagadnienie. Autorzy projektu z K. K. sami uznali jako zasadę „trwałość" małżeństwa, sądzili jednak, że od tej słusznej zasady można będzie i trzeba będzie poczynić pewne wyjątki. Jakie względy nimi kierowały w dopuszczeniu tych wyjątków? Z referatu prof. Lutostańskiego dowiedzieliśmy się, że podkreśliwszy wyłączną suwerenność państwa w zakresie ustawodawstwa i sądownictwa w sprawach małżeńskich, suwerenność pozwalającą nie oglądać się na inne organizacje i powagi, nawet na Kościół katolicki, członkowie K. K. spasowali natychmiast z tak akcentowanej przez siebie suwerenności na rzecz „wymogów życia", które domaga się coraz większych „odchyleń" od uznanej zasady. Mówiąc prościej, ustąpili przed naporem tych, dla których zawarte małżeństwo staje się niewygodnym ciężarem, który zrzucić pragną, ci stróżowie dobra ogółu ustąpili przed słabościami, namiętnościami i niesumiennościami jednostek...

Wiemy, w jakiej mierze ustąpili i ile wyłomów chcą dopuścić w zasadzie „trwałości" małżeństwa. Wiemy, jaką szeroką bramę otwarli dla rozwodów, zasłaniając ją nieco wstydliwie uprzednią separacją, i ile powodów „wystarczających" wynaleźli, a nawet, że dopuścili rozwód „bez żadnego powodu", jedynie na wspólne żądanie bezdzietnych małżonków. Nie będziemy tutaj owych powodów do rozwodu ani wyliczali, ani analizowali; dwa albo pięć mniej czy tyleż więcej — nie zmienia to istoty rzeczy. Istotną

tutaj jest rezygnacja prawodawcy z uznanej przezeń za słuszną zasady wobec przeciwnych obyczajów czy domagań się jednostek. Możnaby nawet dziwić się, że przewidziano tylko tyle powodów do rozwodu, ile ich podano w projekcie i zapytać, czy nie byłoby ekonomiczniej podać ich odrazu więcej, by nie być zmuszonym co lat kilka do uzupełniania tego katalogu stosownie do wymogów życiowych? Przypuszczamy bowiem, że znajdzie się wielu ludzi, którzy elaborat p. Lutostańskiego uważać będą za niedość szeroki, nie dość „życiowy"...

Kiedy się przyjmie zasadę, że zadaniem ustawodawstwa jest niejako tylko kodyfikacja faktycznie istniejących w społeczeństwie obyczajów i to obyczajów nie tradycyjnie usposobionej części społeczeństwa, lecz części rewolucyjnej, dążącej do coraz większej swawoli, to wchodzimy na grząski grunt relatywizmu etycznego. „Naturalne prawo etyczne staje się pustym dźwiękiem, a ustawy tracą swe znaczenie hamulców na samowolę i wychowawcze, ustawodawstwo zaś wlecze się w ogonie obyczajów, wytwarzanych przez jednostki, dla których każde prawo będzie jarzmem. Prawo wtedy nie stoi już na straży ideału człowieka, wyzwalającego się ze swych słabości, obywatela ofiarnego, lecz idzie w służbę „ideału ułatwionego życia", jak niedawno nazwał ktoś nawet w *Wiadomościach Literackich* dążenia do wyzwolenia się z pod panowania religijnych i moralnych więzów.

A kiedy się raz wstąpi na drogę ustępstw dla takiego „ideału", trudno będzie znaleźć kres tej drogi. Przykład tych krajów, które dopuściły u siebie rozwody, poucza, że to cofanie się przed naporem wymagań „życia ułatwionego" jest właściwie ruchem lawiny, coraz większe sprawiającej spustoszenie. We Francji przy uchwalaniu ustawy rozwodowej obiecywano, że ona uzdrowi obyczaje, owszem, że w krótkim czasie spowoduje zmniejszenie się liczby rozwodów. Rzeczywistość zadała kłam temu optymizmowi. Jeżeli nie ustawa, to jej komentowanie przez sędziów (jakże często osobiście zainteresowanych!) szło i idzie stale po linji coraz większego ułatwiania rozwodów, a przemyślność zainteresowanych jednostek także stara się stwarzać nawet sztucznie i umyślnie fakty, przewidziane jako wystarczające do rozwodu.

Jeżeli legislatywa i sądownictwo państwowe swoją „omnipotencję" zaangażują w służbę owego „ideału ułatwionego życia", to czem usprawiedliwią przed wyznawcami tegoż ideału jakiekolwiek krępowanie ich resztkami dawnej moralności, opieranie się wciąż nowym ich żądaniom? Kiedy się poczuło swą kompetencję do przedziurawienia w kilkunastu punktach tamy prawa naturalnego, dlaczegóżby państwo nie posiadało kompetencji do dalszych dziurawień? Jak w wielu innych rzeczach, tak i w zakresie prawa małżeńskiego, jedynie Sowiety wyciągnęły (zresztą nie odrazu) wszystkie konsekwencje z obalenia prawa naturalnego, dopuszczając rozwody bez podawania jakichkolwiek powodów i bez ograniczeń, a następnie uznawszy wogóle wszelką reglamentację małżeństw za niepotrzebną i nieusprawiedliwioną. W ten sposób w Rosji bolszewickiej rodzina właściwie przestała istnieć, jako instytucję prawną poprostu ją zlikwidowano. Sowiety, w dziwnej napozór sprzeczności ze swą teorją absolutnego panowania kolektywu nad jednostką, w zakresie seksualnego życia poszły do krańców po drodze „ułatwienia życia" jednostkom, jednak dziwną tę sprzeczność popełniły celowo, pragnąc przez to rozbić rodzinę, jako ostatnią instytucję, opierającą się ideologji komunizmu. Ale jaką „racją stanu" kierowali się panowie z Komisji Kodyfikacyjnej, przebiegając połowę przebiegniętej przez Sowiety drogi, — ku likwidacji małżeństwa — zaiste trudno dociec.

Nie będziemy tu powtarzali znanych dowodzeń dlaczego dopuszczenie jakichkolwiek rozwodów uważamy za sprzeczne z naturą i celami związku małżeńskiego. Krótko mówiąc, redukują się te względy do dwóch: dobra potomstwa i samej natury przyrzeczenia małżeńskiego, albo jeśli kto woli — natury miłości małżeńskiej. Interesy potomstwa bierze pod uwagę także projekt K. K., ale jakże nieśmiało i niekonsekwentnie! Tu nie chodzi jedynie o zabezpieczenie materjalne dziecka, ale o takie pojęcie rodziny, by ona była stałą tego dziecka podporą, by w niej dziecko stanowiło nieodłączną część całości. Taką pewność i rękojmię dla dziecka niewątpliwie daje tylko małżeństwo absolutnie nierozerwalne. Być może, że w wypadkach poszczególnych dziecko nawet padnie ofiarą złego pożycia swych rodziców,

i na te wypadki należy obmyśleć i moralne i prawne środki obrony dziecka, nie może to jednak być osiągane drogą rozrywania związku małżeńskiego. Może na takiem rozerwaniu związku rodziców jakieś dziecko wygra nawet (nie bardzo łatwo należy temu wierzyć!), niewątpliwie jednak wyjdzie to na szkodę wielu innych dzieci, których rodzice, zachęceni perspektywą możliwego rozwodu, łatwiej się sprzeniewierzą swoim przyrzeczeniom, a w konsekwencji i swoim obowiązkom względem potomstwa. Prawodawca jednak winien dbać nie o to, by ustawa uwzględniła życzenie i interes tej czy innej jednostki, lecz by służyła dobru jak największej liczby jednostek w społeczeństwie. Od spoistości i trwałości rodziny niewątpliwie dobro to zależy w wielkiej mierze, ustawa zaś dopuszczająca rozwody wywiera ujemny i niszczący wpływ na ogół małżeństw, zapewniając im bezkarność, owszem pomoc państwową na wypadek dopuszczenia się czynów, osłabiających czy niweczących spoistość życia rodzinnego.

Tu dochodzimy także do owego drugiego względu, który domaga się absolutnej nierozerwalności małżeństwa, nawet tam, gdy niema potomstwa. Normalnie związek małżeński poczyna się w uczuciu miłości, a byt swój uzyskuje w obopólnem przyrzeczeniu stałej, żadnem terminem czasu nieokreślonej, wierności. Przyrzeczenie to w naszym języku nazywa się „ślubem", to jest obietnicą równą przysiędze, gdzieindziej wprost — „przysięgą" *(le serment)*. Cała właśnie dostojność małżeństwa płynie stąd, że jest to przyjęcie na siebie pod przysięgą pewnych obowiązków, pewnej ofiary i zaparcia osobistego — na zawsze, „aż do śmierci", jak brzmi używana u nas formuła. Tkwi w tej przysiędze jakiś szczególny moment wzniosłości moralnej człowieka, zupełnie obcej we wszystkich rodzajach „miłości" przelotnej i chwilowych zobowiązań, począwszy od prostej prostytucji, a kończąc na „małżeństwach na próbę". Na straży tej dostojności małżeństwa winno stać prawo publiczne, przysięga małżeńska winna otrzymywać sankcję tego prawa, by składający ją nie wykonywał jej lekkomyślnie, oszukując stronę drugą a często i samego siebie. Otóż dopuszczenie jakichkolwiek rozwodów tę sankcję usuwa, ła-

miącemu swe słowo i przysięgę zapewnia bezkarność i okazuje pomoc, by mógł takąż przysięgę złożyć komu innemu. Projekt naszej K. K. wprost podsuwa nowożeńcom tę perspektywę i zachęca do niej, oznajmia im bowiem, że jeśli zechcą, to po paru latach próby — o ile dzieci mieć nie będą — wolno będzie im rozejść się choćby bez żadnego rzeczowego powodu, jedynie po dokonaniu prostej formalności sądowej. Propaguje się tu zatem nie co innego, jak „małżeństwa na próbę", i właściwie wszystkie zawierane związki traktuje się w chwili ich zawierania jako związki próbne. Być może, że państwo nie znajdzie sposobu zapobiegnięcia i takim związkom na próbę, jak nie może znaleźć skutecznego lekarstwa na plagę prostytucji — ale niechaj przynajmniej do takich kojarzeń się nie zachęca ustawowo, a tem mniej niechaj takich związków nie chrzci czcigodnem mianem „małżeństwa". Niechaj będzie oddane *suum cuique*: komu cześć — cześć, komu wzgarda — wzgarda. Inaczej państwo dopuszcza się jakiegoś fałszerstwa, niemniej wstrętnego od fałszowania towaru, obdarzanego nie należącą mu etykietą.

Zmierzamy do końca naszych wywodów. Nietylko jako katolicy, dbali o zachowanie w społeczeństwie prawa Bożego, ale jako obywatele państwa, rozumiejący, jakie znaczenie ma dla niego spoista nierozerwalna rodzina, powinniśmy domagać się takiej ustawy małżeńskiej, któraby nie znała żadnych rozwodów w prawnie zawartych związkach. Tutaj wchodzą względy nietylko wyznaniowe, ale także *salus reipublicae*.

Przeciwko takiemu maksymalistycznemu żądaniu zapewne będą wytaczane ciężkiego kalibru argumenty. Jakto? wszystkie państwa dopuszczają rozwody, a my jedni w świecie mamy stanowić wyjątek? A czy nie pogwałcimy przez to tolerancji religijnej względem obywateli innych wyznań, dopuszczających rozwody? Z temi argumentami rozprawiliśmy się dwa lata temu,[1]) tam więc naszych czytelników odsyłamy. Tutaj odpowiadamy krótko. Wykluczając rozwody nie będziemy osamotnieni, będziemy bowiem mieli — po

[1]) W wyżej cytowanej broszurze: *O zdrowe ustawodawstwo małżeńskie w Polsce*, część 2.

rewolucji hiszpańskiej — po swojej stronie jeszcze Włochy, które nigdy, ani za liberalnych masońskich rządów, ani przy dzisiejszej „omnipotencji państwowej" faszystów nie chciały słyszeć o rozwodach jakichkolwiek i dla kogokolwiek. Niechaj nasi zwolennicy rozwodów udowodnią, że we Włoszech jest więcej z tego powodu nieszczęśliwych małżeństw, albo że wynikają stąd dla państwa jakieś szkody — w porównaniu z Francją czy Stanami Zjednoczonemi. Nieuznawanie rozwodów nie jest także gwałceniem sumienia religijnego, bo żadna religja — o ile wiem — nie uważa rozwodów za jakąś pozytywną wartość, którejby bronić należało; wszystkie natomiast wyznania patrzą na nie jako na ustępstwo czynione słabościom ludzkim, którym sprzeciwić się nie mają dosyć siły. Katolicyzm tę siłę widzi w naturalnem prawie boskiem, przez Chrystusa Pana najsilniej stwierdzonem w słowach: *Co Bóg złączył, niechaj człowiek nie rozłącza!* Ustawodawstwo polskie niechaj uzna to prawo i uszanuje je. Nie widzimy, by na innej drodze wywiązało się ze swego zadania służenia dobru Rzeczypospolitej.

Ks. Jan Urban T. J.

Narcyzy Żmichowskiej powrót do literatury.

Przywrócenie do użytku współczesnych dzieł Narcyzy Żmichowskiej nastąpiło w chwili bardzo odpowiedniej, mianowicie w chwili wzmożonego tętna życia religijnego. Czas odkryć u utalentowanej i niezwykłej kobiety znaczenie prawdziwe utworów. Dość długo była ona na nieznane i nieczytane klasyfikowana, jako autorka „postępowa", pionierka emancypacji kobiet.

Aneksja ta opierała się na takiem samem nieporozumieniu, jakie miało miejsce z Orzeszkową. Na podstawie paru rozstrzygnięć spraw społecznych w duchu ówczesnego postępu (kwestja pracy kobiety żydowskiej) zaliczano ją do autorek liberalnych, postępowych. Zapomniano o „Bańce mydlanej", „Zygmuncie Ławiczu i jego kolegach", o niektórych wypowiedziach w „Ad Astra" i t. d. Tymczasem w całokształcie swej twórczości daleka była Orzeszkowa od światopoglądu materjalistyczno-bezwyznaniowego, zwłaszcza w ostatnich latach swego życia.

To samo było ze Żmichowską. Była ona za równouprawnieniem kobiet w dziedzinie wykształcenia, pracy zawodowej. Zwalczała konwenansy, formy bezduszne życia towarzyskiego, żądała prawa dla uczucia, szczerości, rozwoju indywidualnego. Ale chociaż z jej otoczenia wychodziły krańcowe emancypantki, doprowadzające pojęcie swobody wyboru aż do wolnej miłości (Julja Molicka-Wojkowska, która zginęła w walce ze społeczeństwem), to w jej własnych utworach i listach nie można znaleźć ani jednego sformułowania, któreby odpowiadało poglądom współczesnych wrogów rodziny.

Tak samo jej radykalizm społeczny nigdy nie był zbyt rewolucyjny.

Pod wpływem brata Erazma, emigranta z roku 1831, przejęła się zasadami demokratycznemi, brała udział w ruchu 1846 roku, nawet przebywała kordon małopolski, jako emisarjuszka. Odpokutowała swój udział w pracach narodowych paroletniem więzieniem w Lublinie (w 1849 roku). Ale już w roku 1863 jest po stronie Białych, przyjaźni się z Jurginsem i Ruprechtem, potępia powstanie. W liście do brata Erazma pisze wtedy: „Cały swój system polityczny zamknęli w jednem życzeniu: chcą się dać zabić".

Ulegała ona w latach późniejszych wpływom pozytywizmu, ale nie dochodził on u niej nigdy do zupełnej skostniałości materjalistycznej. Zawsze nad zapałem do wiedzy, nad nawoływaniem do celów realnych unosi się wiara, myśl o wieczności, o zbawieniu. Musnęło nieraz i ją po lekturze Littré'go, Johna Stuart'a, Mill'a, Comte'a mroźne tchnienie determinizmu filozoficznego. Rozprawia o „wierze nadkościelnej", o konieczności, o prawach nieubłaganych. W latach 1870—72 pisze: „Od dogmatyki ludy zapadają w apatję i obojętność duchową".

Ale w utworach jej, przeznaczonych dla ogółu, nie dla przyjaciół, którym można powierzyć nawet upadki swe i zwątpienia, jest wyraźny światopogląd religijny, wyczucie nieśmiertelności, Boga, odpowiedzialności moralnej. I przesilne, przepiękne dążenie do doskonałości, pojętej zupełnie po chrześcijańsku. Chociaż nigdzie autorka nie przedstawia, jak ma wyglądać wcielenie tych zasad.

Stanisław Tarnowski, (do którego, mówiąc nawiasem, warto powrócić w dobie renesansu katolickiego) spostrzegł te właśnie cechy u Żmichowskiej. Trafnie zauważa, że refleksje autorki, mają charakter tak ogólnikowy, że nie wywołują sprzeciwu:

„W tych pismach, — pisze w tomie VI swej wielkiej Historji Literatury, — pojęcie życia ukazuje się, jako aspiracja wysoka, ale ogólnikowa". Powstaje chęć zainterpelowania: „Wskaż mi i powiedz: dokąd i którędy?" I wypadnie „odpowiedź tak ogólnikowa, że każdy musi się na nią zgodzić, lecz nikt jej zastosować nie może".

Dla ogólników religijnych i etycznych w dziełach wykładnikiem nieraz są listy, znacznie realniejsze. W dziełach są te linje, które zupełnie prosto i niezachwianie ułożyły się w umysłowości poetki. W listach wężowią się, załamują, wykrzywiają linje pytań, wahań, zwątpień i bólów. W nich przemawia nieraz rzeczywistość. Widzimy ją, jak wodę pełną szlamu, cząstek w niej zawieszonych, gazów z procesów gnicia. A w dziełach rzeczywistość ukazuje się, jako woda przejrzysta, destylowana.

Ale bo też dzieła Żmichowskiej pomimo tych naleciałości, pomimo że napada na idealizm, same wyrosły z najczystszego idealizmu. A idealizm jest naturalnem podłożem, na którem rozwija się religja. W okresie materjalizmu silna dawka idealizmu Żmichowskiej jest przygotowaniem do poważnej pracy duchowej, z której może wyniknąć poślubienie prawdy na wieczność.

Niedarmo, pomimo przejęcia się Żmichowskiej wiedzą, pomimo apologji rozumu w znaczeniu pozytywistycznem i eksperymentalnem, pozostała jej na zawsze nazwa entuzjastki. Silny prąd uczucia, wznoszącego ku zaświatom, poczucie, że życie jednostkowe wybiega poza szranki widzialności, dążenie ku doskonałości uczyniły ją na zawsze bliską dzieciom Bożym. Pomimo zboczeń, zabłąkań się, przedzierania się przez gąszcze i manowce ku prostemu gościńcowi.

Żmichowska nie miała szczęścia za życia, nie ma go też po śmierci. Za życia doczekała się zaledwie jednego wydania swych dzieł (nakład Jana Jaworskiego w 4 tomach, Warszawa. 1861). Z wydania tego, zawierającego dużo usterek, była mocno niezadowolona. Najlepszy jej utwór, „Poganka", nie ukazał się za jej życia w wydaniu oddzielnem, tylko w piętnaście lat po wydrukowaniu w *Przeglądzie Naukowym* został powtórzony w tem jedynem za jej życia wydaniu zbiorowem.

Odkąd drugie, pośmiertne wydanie (1885 roku) zostało wyczerpane, nikt nie mógł zapoznać się z dziełami Gabrjelli, nie sięgnąwszy do bardzo zakurzonych półek bibljotek. W roku 1919, w stuletnią rocznicę jej urodzin, wmurowano tablicę pamiątkową na domu przy ul. Miodowej, gdzie mieszkała, gdzie zbierało się kółko entuzjastów i entuzjastek

przy ogniu kominkowym. Wydano broszury o Żmichowskiej, ale nie było w żadnej księgarni ani jednego jej utworu. Bez echa przeminął wybór pism z roku 1901 z przedmową Ignacego Chrzanowskiego.

I oto w roku 1929 zaczyna się renesans Żmichowskiej. I wskrzeszenia jej w pamięci naszego pokolenia podejmuje się człowiek najbardziej jej obcy duchowo, człowiek, który sam się do tej obcości przyznaje i linję jej twórczości wypacza. Żmichowska wkraczająca do XX wieku pod rękę z Boyem Żeleńskim, jako impresarjem — czy widział kto większy paradoks dziejowy!

Wielką paradoksistką jest historja. Kiedy w 1929 roku ukazała się nakładem Domu Książki Polskiej „Biała Róża" i „Czy to powieść?" i „Poganka", zaś w 1930 — listy Żmichowskiej do Wandy z Grabowskich Żeleńskiej p. t. „Narcyssa i Wanda" w wydaniu tegoż Domu Książki Polskiej, oraz „Poganka" nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej, imię szlachetnej entuzjastki splątało się niepowrotnie z imieniem apostoła amoralizmu i wolnych obyczajów.

Boy swoim zwyczajem zaczął „odbronzawiać" bezbronną, bo spoczywającą w grobie autorkę. Pod jej burzliwą przyjaźń z Pauliną Zbyszewską (którą odsłonił Maurycy Mann, w roku 1916 w studjum „Poganka" Narcyzy Żmichowskiej, geneza, źródła, artyzm i idea utworu, Wende i Ska) podłożył insynuacje bardzo dwuznaczne, a przy ówczesnej obyczajowości nierealne. Podkreślił pewną rewolucyjność w zachowaniu się i wszystkie śmiałe a młodzieńcze wybryki Żmichowskiej. Dość, że ucharakteryzował ją na emancypantkę najgorszego gatunku, na championkę rozluźnienia, rzucającą wyzwanie społeczeństwu, strzelającą sofizmatami, na dławiącą się w dziewictwie erotomankę.

Boy zaczął późno przeglądać listy Żmichowskiej do Wandy Grabowskiej, spuściznę po matce, przyjaciółce i długoletniej korespondentce Żmichowskiej. Dawniej, kiedy zaszła mowa o Żmichowskiej, miał dla matki tylko „sceptyczne słówka, któremi nieraz studził jej (matki) egzaltację". W Żmichowskiej znalazł to, co mógł na miarę swoją. Jej entuzjastycznym przyjaźniom i przywiązaniom rodzinnym dał dwuznaczne interpretacje — nietyle wyrażone wprost, co dające

się wywnioskować z zestawienia cytat i z niedomówień krytyka. Podkreślił emancypacyjne dążności Żmichowskiej, sławiąc ją, jako niedoszłą George Sand i nawet Colette, rozdmuchał jej pozytywizm, jej przejęcie się naukami ścisłemi, jej studja nad Renanem, Mill'em, Darwinem („w jedynie wolnych przy cygarze chwilach cytuję Darwina „O człowieku" list do W. Grabowskiej 28. III. 1873), wysławił jej niezależność od opinji, samodzielność sądu, nienawiść hipokryzji, męskie ujęcie kwestyj". Opisał, jak zwalczała młodzieńczy idealizm Wandy Grabowskiej, cokolwiek zdawkowy, nieprzystosowanie jej do życia, brak silnej wobec niego postawy.

Ale obok tego nie zaznaczył, ile idealizmu i wysokiej ideowości było nawet w jej nawoływaniu do praktyczności, samodzielności życiowej, w pochłanianiu dzieł deterministów. Od pierwszej do ostatniej stronicy nie zboczyła Żmichowska z drogi religji cokolwiek „nadkościelnej", ale zawsze religji. I cały typ jej duchowy w opanowaniu, ofiarności, społecznictwie swojem, w dążeniu do doskonałości jest na antypodach Boya z jego materjalizmem, erotomanją, walką z wszelkiem uduchowieniem, z jego płytkiem wolnomyślicielstwem.

Tak, zaiste, ironja dziejów jak fala wyrzuca na brzeg dziwotworne zjawiska. Straszna to paradoksistka — historja.

Żmichowska, oprócz dzieł, zostawiła listy. I listy te, pełne mądrych refleksyj, jędrnych sformułowań, zajmujące z punktu widzenia języka, stanowią część jej spuścizny literackiej. Jako komentarz, trzeba podłożyć pod nie życie autorki. A więc znowu sprowadzanie literatury do biografji...

Pierwiastek biograficzny zajął niepomiernie wiele miejsca w historji literatury, w krytyce retrospektywnej. Ponieważ wzrasta reklamiarstwo, a zatraca się skromność i wstyd, już i żyjący autorzy są wydani na łup ciekawości publicznej, lub sami się wydają. Niby chodzi o to, żeby znajomość autora ułatwiła zrozumienie jego dzieła. „Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen".

Tymczasem zastanówmy się, czy lepiej zrozumiemy i odczujemy, powiedzmy „Dziady", gdy się dowiemy, że właśnie Maryla Wereszczakówna dała pochop do tej erupcji liryki romantycznej? Czy inne wrażenie estetyczne wywrze „Poganka", gdy szperacze nam wywloką i dowiodą, że nie-

szczęśliwa przyjaźń z Pauliną Zbyszewską stransformowała się w tragedję Benjamina? Czy innemi się nam wydadzą strofy brylantowe Juljusza, gdy się dowiemy z rewelacyj Przesmyckiego (*Chimera,* tom X), że jedna z entuzjastek, Zofja Węgierska-Mielęcka to pierwowzór Helois, Atessy i t. d.?

Dzieło twórcze jest zawsze czemś tak swoistem i odrębnem, że krytycy dotąd nie wynaleźli metod dla jego objaśnienia. Transpozycja języka emocji i obrazów na język pojęć — oto czem bywa najczęściej krytyka. Rzadko trafi się krytyk-twórca, znajdujący dla dzieła równoważnik artystyczny, krytyk-impresjonista — jedyny rodzaj, uznawany przez Wilde'a w „Intentions".

Do krytyki literackiej przeniesiono metody naukowe i bruździą one już od stulecia prawie. Objaśnienie zjawiska to wplecenie go w łańcuch przyczynowości. Co jest przyczyną utworu? Osobowość twórcy i nacisk na niego otoczenia i czasu. Otóż powiadają, że jeżeli dzieło powiążemy z przeżyciami osobistemi pisarza, ustalimy przyczynę dzieła.

Czy związek historji pisarza z utworami tłumaczy je nam naprawdę? Zdarzało się tak, że pewne przeżycia pisarzy wywoływały w nich wstrząs, były laską Mojżeszową, pod której uderzeniem tryskało źródło ze skały. Ale nieraz w utworach zawarte były nie realne przeżycia, lecz życiowy niedosyt autora. To, co nigdy się nie stało, a czego pożądała dusza poety. Utwór taki można przy wnikliwszem poznaniu okoliczności życia twórcy związać przyczynowo z tem, czego mu b r a k o w a ł o. Ale tu już zawsze się wkracza w dziedzinę hipotez.

W tej pracy biograficzno-krytycznej chodziłoby jednak o z r o z u m i e n i e d z i e ł a. Dzieło jest sprawą główną i źródłem zainteresowania autorem. Tymczasem dzieje się odwrotnie. Z dzieła wyprowadzamy i budujemy sylwetkę autora, dzieło prowadzi nas do zrozumienia jego psychologji, tajnych sprężyn jego duszy.

Dla dzieła, rozkoszowania się niem, zrozumienia jego idei bez znaczenia jest, czy prototypem Helois była Zofja Węgierska, czy Joanna Bobrowa. Ale dla poznania samego poety, dla ustalenia jakiemi drogami rzeczywistość u niego

przeciskała się w fikcję, dla zbadania psychologji jednostki wybitnej ma to bezsprzecznie znaczenie.

Praca krytyka polega obecnie na tem, że na podstawie dzieł rekonstruuje się zmysłową i umysłową osobowość poety. A czy był wzrokowcem, czy słuchowcem, czy zapachowcem? Który ze zmysłów działał najsprawniej? Czy przeważał u niego pierwiastek muzyczny, czy malarski? Czy był erotomanem, czy też człowiekiem oderwanym od świata zewnętrznego?

Takie rozważania mają znaczenie, ale dla psychologji, nie zaś dla literatury i wcale do tej ostatniej nie należą. Okazem takiej krytyki, gdzie się idzie od dzieła na poszukiwanie autora i to krytyki biograficznej doprowadzonej do absurdalnej krańcowości, jest „Serce nienasycone" Adamczewskiego. Miejsce centralne w takiej krytyce zajmuje autor, nie zaś dzieło.

Biografizm rozkwitł na tle kultu wielkiego człowieka, podsycany przez plotkarsko-sensacyjne popędy publiczności. Obecnie w dobie rozkwitu powieści biograficznej nakoniec znaleziono zastosowanie dla materjału, nagromadzonego przez różnych Hoesicków. Bo nie przyszedł jeszcze czas, by opracowali go psychologowie.

Inna sprawa, że takie biografje i powieści biograficzne dalekie są od „Żywotów" Plutarcha i rola ich będzie całkiem inna. Życiorys Balzac'a, Wilde'a lub Verlaine'a, zaiste, nie zbuduje młodych pokoleń, ani też starszych nie skrzepi w cnocie. Rozszerza tylko znakomicie naszą realną, doświadczalną wiedzę o człowieku. Ale jest to sprawa uboczna i niezależna od dzieła.

W dziele chodzi o te wartości nieważkie, o wyraz, o barwę, które są tajemnicą talentu. I nie można powiedzieć, aby, pomimo mozolnych analiz stylu i treści, krytycy dopocili się do wykrycia tej tajemnicy. Żeby potrafili naprawdę powiedzieć, czem np. nie Hugo, lecz dzieła Hugo różnią się od dzieł Leconte de Lisle'a i t. d. Jest muzyka stylu i barwa emocji inna w każdem dziele i określić ją zaiste trudniej, niż wyłowić z dzieł fragmenty osobowości autorskiej, jak pocięte członki Ozyrysa z Nilu i złożyć je w całość.

Dzieło tłumaczy autora, jest łatwym do odczytania pa-

limpsestem. Ale nie osobnika, choćby twórczego, choćby wybitnego trzeba poza niem szukać. Dzieło wyraża nietylko indywidualność, lecz prądy nurtujące epokę. Dzieło zawiera nieraz zapowiedzi zaledwie wykluwającej się przyszłości.

Tego szukać potrzeba. Podchwycić powiewy nadchodzącej przyszłości... Określić jakość formy, zrozumieć, czy jest ona nowym miechem na młode wino, czy naczyniem za małem, które trunek fermentujący będzie musiał rozsadzić?

W centrum pracy krytyka musi być dzieło, nie autor.

Zwłaszcza ustać powinno pozagrobowe szpiegostwo i wywlekanie spraw poufnych. Jeżeli nie obchodzi to nic dusz wyzwolonych i zbawionych, to dusze jeszcze pokutujące, jeszcze łańcuchem przewin z pewnemi kompleksami życiowemi aż do ich wygaśnięcia związane mogą cierpieć. Istnieje wszakże dusz obcowanie...

Dobrze byłoby uczynić sprawiedliwość Żmichowskiej, zajmując się tylko jej dziełami, nie tykając jej biografji. Ale tym razem mamy do czynienia z życiem, które było samo prawie utworem artystycznym o pewnem zaokrągleniu. Na losach jej wycisnęło piętno życie narodu, z którem najściślej była związana. I dlatego warto podać życiorys w głównych zarysach, uważając życie autorki za dramat, pisany krwawemi nićmi uczuć rozdartych, sączącemi się z pod cierni, które wtłoczyła na czoła wybrane niewola.

Narcyza Żmichowska (pseudonim Gabryella), urodziła się na Podlasiu, w roku 1819. Pochodziła ze skromnej rodziny ziemiańskiej, bardzo licznej i bardzo do siebie przywiązanej. Ślad tego idealnego życia rodzinnego pozostał w opisie rodziny Benjamina w „Pogance". Matkę straciła przy urodzeniu, wychowywała ją stryjenka. W jej dworze zetknęła się ze światem podań i pieśni ludowych, który położył piętno na jej utworze „Porządki". Skończyła pensję pani Wilczyńskiej i Instytut guwernantek. W dzieciństwie, jeszcze na pensji, postanowiła iść do powstania i wyrabiała w sobie wytrzymałość przez różne umartwienia fizyczne, które nawet szkodliwie odbiły się na jej zdrowiu.

Z rodziną Zamoyskich wyjeżdża w roli nauczycielki do Paryża. Zagranicą styka się ze swym bratem Erazmem, emigrantem z roku 1830, który wpaja w nią ideały demokra-

tyczne. Po powrocie do kraju bawi przez dwa lata w Wielkopolsce, jest w kontakcie z Libeltem, Moraczewskimi, marzy o założeniu pensji, pojmując ją, jako zadanie społeczne. Brak środków staje temu na przeszkodzie. W 1846 roku bierze udział w ruchu ludowym ks. Sciegiennego. Po przejęciu jej listów przez policję rosyjską w 1847 roku dostaje się wraz ze swą byłą przyjaciółką, Pauliną Zbyszewską, do więzienia w Lublinie. Tam spędza dwa i pół lata. Wtedy pod wpływem Tekli Dębskiej (Listy do Tekli Dębskiej 1890) jest może najsilniej religijna. Wyczúcie ręki Bożej nad nami pomaga jej znosić więzienie, znaleźć zawsze postawę pełną godności wobec prześladowców.

Po wyjściu z więzienia z początku w Lublinie, potem po różnych dworach i w Warszawie je już do końca życia twardy chleb nauczycielski. Latami jej rozkwitu literackiego były 1846—47. Wtedy wyszła „Poganka", potem „Księga Pamiątek". Wtedy w domu Anny i Hipolita Skimborowiczów zbierało się grono „entuzjasto-przeglądowe", opisane później przez Skimborowicza (pod pseudonimem Sfinx, w *Bluszczu* 1880 roku). Byli to współpracownicy *Przeglądu Naukowego* i ich przyjaciele. Żmichowska tych najbliższych swoich scharakteryzowała w „Obrazku wstępnym" do „Poganki" i komentarza dostarczył w wiele lat potem Skimborowicz, a po śmierci Żmichowskiej — jej listy.

Rok 1863 przyniósł rozdźwięk między poetką a jej ukochanymi (np. Bibianną Moraczewską i in.) Żmichowska trzymała z Białymi i uważała powstanie za bezcelowe, kiedy pisała: „Cały swój system polityczny zawarli w jednem życzeniu: chcą się dać zabić" — jak to przypomina późniejsze ujęcie w „Warszawiance" Wyspiańskiego! We wczesnej młodości, nim ją Erazm nawrócił na wiarę demokratyczną, wzdragała się przed robotą podziemną. „Tajne stowarzyszenia nie są w charakterze politycznym narodu", pisała do Erazma w roku 1843. W listach do Seweryna Elżanowskiego również powstaje na konspiracje. Ciężki przełom wywołało pewnie u niej więzienie, ale w 1863 roku należy podziwiać jej przenikliwość polityczną, która odgadła przegraną — przegraną, jaką już raz w wieku lat 11 musiała przeżyć po roku 1830. W listach swych kreśli straszny zaiste obraz

przeżyć tragicznych narodu, po którym przeszedł kozak, żandarm i szubienica. Jako świadectwa historyczne mają te listy wartość niespożytą i miejsce w muzeum martyrologji naszej.

Życie Żmichowskiej było napozór blade, gdyż nie zaznała miłości. Astronoma Baranowskiego, starającego się o jej rękę — odrzuciła, nie chcąc małżeństwa bez miłości. Ale było to życie niezwykłe, ozłocone przyjaźnią. Przyjaźń ta niekiedy popadała w wyłączność i doprowadzała do dramatów. Tak było z ową utalentowaną i egoistyczną Pauliną Zbyszewską, która olśniła Narcyzę, jak Aspazja Benjamina i stała się pierwowzorem dla najświetniejszego utworu jej — dla „Poganki".

Żmichowska dla tego najbogatszego i najboleśniejszego przeżycia swojego znalazła słowa i obrazy tak barwne i tak silne, jakby je dyktowało uczucie miłosne. Natężenie, bogactwo, pełnia uczucia dla ludzi, zainteresowanie dla nich, uczynność (Żmichowska pisze w jednym z listów o jakichś tasiemkach i materjałach, które wyszukiwała dla krewnej, czy przyjaciółki po kramach) są na miarę dziś wcale nie spotykaną.

Dziś upadek duchowy pokolenia jest tak wielki, rozlewność życia tak jest okrojona przez depresję ekonomiczną, przez zubożenie, przez zanik energji, że ta bujność i egzaltacja uczucia zdumiewa nas i trąci dla nas przesadą.

Ludzie są okratowani, oddzieleni grubemi prętami niewidzialnemi od siebie. Nawet na upodobaniach literackich to się odbiło. Dusza innych ludzi, ich świat wewnętrzny mało interesuje współczesnych. Skąd upadek powieści psychologicznej, a rozrost powieści przygód, powieści sensacyjnej i kryminalnej.

Celem życia społecznego jest zjednoczenie grup i jednostek we wspólnej najwyższej jedności — w Bogu. Prawdziwe zainteresowanie, prawdziwą troskę o to, czy dusza ludzka pójdzie wgórę czy wdół, troskę o jej los ostateczny i o jej drogi doczesne ma tylko Kościół, jego apostołowie i spowiednicy. Te utwory, które uczą gorącej atmosfery zainteresowania i przywiązania między ludźmi stoją na linji wielkiego ruchu religijnego, co na orędziach Namiestnika

Chrystusowego i Biskupów, jak na skrzydłach wzbija się coraz wyżej, łącząc się z odrodzeniem społecznem. Dlatego z wyjątkowej historji kółka entuzjasto-przeglądowego muszą nowocześni troglodyci czerpać zamarłą wiedzę serca, odczytywać z jej kart hieroglify miłości, których sens zatopiono w erotomanji.

Zdumiewającym jest rozrost w XIX i XX wieku romansu z pominięciem uczuć przyjaźni, rodzinnych i wszelkich wogóle zainteresowań. Odbiło się to na życiu. Powieść, poezja, teatr urabiają nasze uczucia, a nietylko je odzwierciadlają. Ale dla ludzi żyjących pełnią idei Chrystusowej nabierają siły i znaczenia uczucia anielskie, bezinteresowne, uczucia dla współpracowników ideowych, rodziny, tych, dla których się pracuje, których się dźwiga i nawraca. Olbrzymie bogactwa psychologiczne drzemią wszędzie, przysypane rumowiskami bud jarmarcznych. Jak złoża podziemne, niezauważane są i nieznane. Potrzeba uderzenia potężnego kilofa, by je na jaśnię wydobyć, potrzeba twórczej dłoni, by je w obieg między ludzi puścić i rozklejnocić niemi ciemne schroniska egoistycznegn hedonizmu, tem głupszego, że właśnie ku wymijaniu prawdziwego szczęścia służy.

Grono, które gromadziło się w mieszkanku Żmichowskiej na ulicy Miodowej pod l. 3 lub u Skimborowiczów po aresztowaniu Żmichowskiej (po roku 1849) rozproszyło się nieco. Z niektórymi nastąpiło oziębienie lub zerwanie ze względów politycznych (z Moraczewską). Niektórzy poginęli (Jurgens, Dembowski), inni odjechali daleko (muza Słowackiego — Zofja Mielęcka-Węgierska). Ale do końca życia Żmichowskiej zostało grono osób, związanych z nią najżywszą przyjaźnią i korespondencją, jak świadczy o tem już pięć tomów wydanych jej listów.[1])

Pod koniec życia, już po roku 1863 skarży się ona czasem w listach na oziębłość stosunków poza tem gronem wybranem, na brak braterstwa w społeczeństwie.

„Serce moje więcej ma do przyjaźni, niż do miłości talentu", pisze Narcyza. I potwierdza w liście do Grabow-

[1]) Listy do Tekli Dębskiej, 1890, Listy, tomów III, Warszawa 1906; Narcyssa i Wanda, listy do Wandy Grabowskiej. Dom Książki Polskiej, Warszawa 1930.

skiej (CXXXIII): „Ze wszystkich dobrych rzeczy przez ciebie wyliczonych znalazłam jedną tylko, jednej tylko użyłam — jednej choć w części dosłużyłam się: przyjaźni idealnej i stosunków. Nie chciałabym za przeszłość i przyszłość niczego lepszego nad to, co mam; chciałabym niezawodnie sama być lepszą, korzystać więcej, częściej się radować, bliżej stanąć — ale nikogo z was, moi drodzy, najdroższi, zmienić nie chcę."

To wyjątkowe promienne zjawisko związku duchowego entuzjastek tłumaczono matrjarchatem, który zapanował w społeczeństwie po powstaniach, gdy tylu najwybitniejszych mężczyzn wyginęło. „Teraz my kobiety najwięcej od siebie wzbogacić się możemy", pisze Żmichowska (Listy do T. Dębskiej XVIII). Czy tylko wyjątkowe stanowisko kobiet, czy sam romantyzm był przyczyną? Bo nie zapominajmy, że jeszcze to są lata 1846—1876, że jeszcze romantyzm żyje. Maurycy Mann w swem studjum o „Pogance" zbija famę epigonizmu, która oplątała się dokoła tego utworu. Żmichowska jest o 7 lat młodsza od Krasińskiego. Za jej życia debiutuje już realista Korzeniowski, który się tak „Poganką" zachwycił, że całe ustępy recytował z pamięci. Ale jednocześnie tworzą jeszcze Słowacki, Goszczyński, Zaleski. Za życia Żmichowskiej umarł Mickiewicz i nasza autorka odczuła tę śmierć, jako cios osobisty, o czem pisze w liście do Grabowskiej (CLXV). Nie była więc jej poezja pogrobową. Tradycja romantyczna była żywa, myśl szybująca po bezbrzeżach abstrakcji („przekrwienie kosmologiczne", jak wyraził się jeden z krytyków Żmichowskiej) w osobach Kremera, Libelta, Trentowskiego było karmią codzienną.

Atmosfera jeszcze romantyczna przesycona już i norwidyzmem (Norwid 1821—1883) wydawała podobny język, styl nasiąknięty temiż wyobrażeniami, nawet melodję wiersza. Jakże podobny rytm i muzyka wewnętrzna wiersza Żmichowskiej „Podarunek" do wiersza Norwidowego z utworu „Cywilizacja":

Pożegnałem co kochałem.
Podarunek łączy nas:
Jedną ręką przestrzeń dałem,
Drugą ręką dałem czas.

A u Żmichowskiej:

Zapłakała — przeżegnała,
Pierścioneczek dała swój...

Nasi filozofowie romantyzmu mieli wyobraźnię olśnioną wymiarami astronomicznemi, epokami geologicznemi i nieskończonością boską i kosmiczną. Tytaniczne obrazy Jean Paula Richtera (wspomina go w listach Żmichowska) pociągały i naszych poetów, z Krasińskim na czele. Podobieństwo stylu, rekwizytów poetyckich uderza u Kremera, Libelta i t. d., a naszej autorki. W „Wyjątkach z podróży kobiety" Żmichowska pisze:

„Przede mną bastjony, mury twierdzy w ciemne, niewyraźne zlały się kształty i zawisły nad wodą cieśniny, jak pobratnie im skały i opoki. Księżyc zdala błyszczał na morskich bałwanach i dalej jeszcze, niż księżyc dosięgnął promieniem, mglistą masą leżał ląd Afryki, z lewej strony szumiała śródziemna odnoga, z prawicy odpowiadał jej stłumiony ryk oceanu, a nad morzem i oceanem, nad cieśniną i lądami wznosiło się pyszne gwieździste sklepienie niebios.

„Duch Boży ku nauce ludzi wyrył słowa mądrości swojej na wszystkich cudach natury; zjawiskami widzialnego świata mówi o prawdach wieczności, a kto głoski pisma Bożego składać potrafi, kto duszą zachwyci nieustającą pieśń przyrody, ten tylko żyć będzie w prawdzie i w Bogu."

A oto z „Estetyki" czyli „Umnictwa Piękna" Libelta:

„Nareszcie plastyka wyrazowa przegląda ze stepów wysoką trawą powiewnych, bujnemi pastwiskami umajonych. Jeżeli dochodzimy, jakie jest plastyczne ich piękno, znajdujemy odrazu, że tak piękno zielonego stepu, jak piaszczystej pustyni, jak wreszcie zwierciadlanych wód oceanu jest bezkształtowym bezmiarem, niezmierzonością bezforemną, wzniosłością wynikającą z pojrzenia na płaszczyznę bez granic. Rozległości ich gubią się w nieskończoność i unoszą ducha naszego tem wrażeniem nieskończoności do Boga."

Kremer w „Listach z Krakowa":

„W samej naturze nawet piękność jest tak różna. Ona jest inną, gdy morskie zwierciadła ciche i milczące przezierają się w błękitach niebiańskich, a inną, gdy grzmotną burzą

rozkołysane fale, rozdymając się i przepadając w otchłani, powstają i giną na nieskończonej przestrzeni."

„A cóż dopiero się dzieje w państwie sztuki, kędy już piękność ma właściwą ojcowiznę swoją. Bo sztuka piękna jest zaślubieniem skończoności doczesnej z nieskończonością wiekuistą ducha."

Wspólność atmosfery epoki jest widoczna z tych urywków. Zaiste, łatwiej było czytać filozofję, nawet gubiącą się w abstrakcjach, gdy ujęta była w styl tak łatwy i poetyczny, niż teraz, gdy ciężkie empirjo-krytycyzmy i ich pozostałości oraz relatywizmy, gdy nadmiar terminologji naukowej i formalne ujęcia logiczne jak drut kolczasty, odpędzają profana od filozofji. Lejąca się bez przestankowań, nierozczłonkowana, nieuwypuklona w miejscach ważniejszych myśl Brzozowskiego o ileż jest mniej strawna od starych Kremerów i Libeltów, od których Brzozowski jakże mało się nauczył!

Ci filozofowie, piszący językiem wspólnym z poetami, dają w swych dziełach *etiudy* językowe dla wszystkich literatów. Za mało wykorzystane.

Atmosfera romantyzmu otaczała Żmichowską ożywczym ozonem.

Niewygasłe były wspomnienia filomacko-filareckie, podsycane potajemną lekturą „Dziadów". I wzór koła filaretów żywy jest w narodzie.

Żeńskiem wydaniem Filaretów były Entuzjastki. W formie nowoczesnej, w terminach odmiennych, z wybujałością i mimozowatością kobiecą demonstrowały światu, czem być może związek ludzki, oparty na porozumieniu duchowem, opromieniony altruizmem.

I trzeba mu przyznać gorętszą atmosferę, więcej tonów i odcieni, więcej subtelności, bardziej czynne oddanie się przyjaciołom, czynne nawet w drobiazgach.

I w życiu filareckiem i u Entuzjastek celem był najwyższy rozwój moralny, doskonałość. Na tej drodze dusze silniejsze pociągały za sobą słabsze.

Godnem uwagi jest, że to czysto kobiece ugrupowanie, chociaż włączyło niektórych mężczyzn, nigdy nie przybrało formy organizacyjnej, określonej. Myśl entuzjastyczna promieniować usiłowała czasem choćby na tych wykładach,

które urządzała prywatnie Żmichowska, na tym zalążku uniwersytetu latającego.

Może była przyczyną niechęć Żmichowskiej do konspiracyj, (a jawnie żadne związki istnieć nie mogły) dość, że odrębny prąd duchowy formy organizacyjnej nie przybrał. Może dlatego nie wpadł w spłycenie i nie spospolitował się w umysłach mierniejszych. Charakterystycznem to jest jednak ze względu na przewagę kobiet w tem gronie, gdyż formalne ujęcie myśli, często ją ograniczające i więżące, gdyż tworzenie organizacyj, przytłaczających później samocelowością żywą treść jest zaiste wynalazkiem mężczyzn.

Drugą stroną dziwnie harmonijną tej twórczości jest dążenie do Boga, do doskonałości. Żmichowska całem uczuciem jest naturą religijną, chociaż rozum wciąż jej bruździ. Zbądźmy więc naprzód ten dysonans w jej myśleniu. Zawdzięcza go pozytywizmowi, który wtargnął na poetyczne ruiny romantyzmu, jak handlarz przyziemny i hałaśliwy, taksujący wśród wspaniałego krajobrazu tylko wartość cegieł jeszcze nie zmurszałych.

Ciekawem jest, że pozytywizm Żmichowskiej mniej się odbił na jej utworach. Zato z całą swobodą i rozpędem wypowiada się w listach. Chociaż wyrażała się w listach, że co może pomyśleć, to może i napisać, jednak było to widocznie tylko brawurowe powiedzenie. Żmichowska zanadto była patrjotką i pedagogiem (Tarnowski uważał jej powieści za dydaktyczne), by nie brała na siebie pełnej odpowiedzialności społecznej, by rzucała myśli bez zastanowienia, czy nie będą iskrami, padającemi na strzechę.

Zrobi rozgraniczenie między przekonaniem, wiarą a wiarą praktykującą („Wyj. z podróży kobiety"), wygłosi apologję pierwiastków lucyferycznych („każda rozbudzona w duszy naszej wątpliwość jest wprost rozkazem Pańskim, który nas ku wyższej sferze doskonałości popycha" — czyż to nie Słowackiego rola Lucyfera?), tu i ówdzie wytoczy przed Bogiem skargi, pytania, rewindykacje o cierpienia i grzechy ludzkości. Ale niema nigdzie takiego w jej pismach rozwichrzenia ideowego, jak w listach.

Jeżeli mówi o Watykanie, to „bez papieskich zbrodni". O pobożności, o wokacji zakonnej wyraża się „odurzenie".

Uważa wpływ sekciarstwa za zbawczy — nawet mormonów — czy, że ruch myślowy wywołują? Studjuje religje wschodu, zabiera się do badania inicjacji egipskiej. Mówi o stolikach i metempsychozie. Ileż tu zboczeń, dziś zwanych teozofją! Jaka namiętna obrona wolnego badania i wątpienia (Niepisma bezimiennej autorki).

Towianizmowi sprzyja, choć go krytykuje. Nie zna go przytem, zarzucając Towiańskiemu powstrzymywanie się od czynu, nie rozumiejąc jego nauki o realizacji, nie odróżniając chwilowej abstynencji politycznej od wcielania w życiu idei ewangelicznej.

Od różnych rozwichrzeń teozoficznych, które tak silnie wpłynęły również na Słowackiego i nawet Krasińskiego w „Niedokończonym poemacie", przechodzi Żmichowska do monistów, ateistów, materjalistów. Gnozy uczy jej zapewne Buckle i Draper. Darwin i Renan dopełniliby zamętu w jej głowie, gdyby...

Gdyby własnym sądem nie skorygowała determinizmu, przeciwstawiając mu wolny rozwój moralny. „Prawdą dla mnie jest moralne udoskonalenie człowieka", pisze. „Wbrew teorjom Buckla et compagnie na nic się nie zdâ oświata bez umoralnienia, wiedza bez zdolności, zdolność bez skłonności ku dobremu".

Rzuca wyznanie, że poczucie konieczności może z życiem pogodzić, ale nie zawsze jej to wystarcza. W „Pismach bezimiennej autorki" przeprowadza dysputę między przedstawicielem rozumu naukowego a przedstawicielem wiary i kończy twierdzeniem, że pewność osiągnąć może człowiek tylko sam, własną pracą wewnętrzną. O szukaniu samemu prawdy, o tem, że tylko własnym wysiłkiem można ją osiągnąć, niejednokrotnie pisze („Do prawdy i ku prawdzie człowiek sam tylko iść może").

Wszystko więc dobro do osiągnięcia ma człowiek w sobie, we własnych zasobach duchowych, we własnem nasileniu woli. Ta „nadkościelna" sawantka zda się nic nie wiedzieć o łasce i pomocy zwyżej. Energiczne żądanie, by człowiek oparł się na samym sobie, jest jakby antycypacją nietzscheańskiego indywidualizmu.

Naukowość i protest przeciwko uczuciu były produktem

i epoki, i roku 1863. W liście XXXII do Grabowskiej poetka pisze:

„Ludzkie rzeczy koniecznie trzeba r o z u m e m ludzkim owładnąć i tak urządzić, aby do boskich nie przeszkadzały; ludzkie rzeczy koniecznie trzeba po ludzku robić — po ludzku — na podstawie chemji, fizyki, mechaniki i rachunków. Wielu poczciwych tem zbłądziło, że zaczęto budować na podwalinach abstrakcyjnych sylogizmów lub religijnych uczuć pierwej, nim owładnęło ziemskie dotykalne materjały. Za karę teraz będzie trzeba aż po piersi w ziemię się zakopać — sił muskularnych nabrać. Sił! Mocy! Sił! Możności!"

To już pozytywizm, ale pozytywizm trącący Wyspiańskim. Ten sam krzyk o realizację, o twórczość, o wyrwanie się z bezwładu, o wejście do historji przez opanowanie wolą rzeczywistości.

Pojęcie konieczności lub zagłębienie się w mgławicach i epokach geologicznych było dla Żmichowskiej nie tylko środkiem zapomnienia na piekący ból narodowy. Wierzyła ona wraz z plejadą pozytywistów, radykałów socjalnych i rozczarowańców romantyzmu, że istotnie jakiś lepszy byt da się przy pomocy fizjologji i chemji zbudować. Gorzej było, że mroziła swym pozytywizmem osoby, zostające pod jej wpływem, pełne jeszcze młodzieńczego idealizmu. Pewnie ma na sumieniu tak ufną i przywiązaną Wandę Grabowską, a może i inne wyznawczynie i uczennice.

„Wymagasz od siebie, pracy, tworzenia szczęścia, piękności. Ja cię niby za fałdy długiej sukni przytrzymuję" pisze do Wandy. Gdzieindziej kiedy ta zawiadamia o czytaniu Biblji, Żmichowska zauważa: „Dalekobym wolała, żebyś się do jakiej nauki wzięła".

Zimny prysznic na czoło młodocianej idealistki — duszy gorącej. Nieosobliwa przysługa w przyjaźni, w której Żmichowska chciała dodawać bodźca do twórczości, dobra, doskonałości.

Wszystko to prawda. Religijność Żmichowskiej czasem trąci zegarowym deizmem z Bogiem — mechanikiem, „który ukrył siebie w swoich dziełach".

A jednak Żmichowska chce urządzać rzeczy ludzkie tak, aby do boskich nie przeszkadzały. U nas teraz odwrotnie

wyrzuca się, jako balast niepotrzebny, wszystkie rzeczy boskie, które do użycia i ziemskich interesów przeszkadzają.

To już jest wiele. Trzeba jednak przyznać, że dwie linje równoległe — samowoli badania, naukowości materjalistycznej i wiary, nieograniczonej wolności na drogach wyzwolenia i doskonałości nie zbiegły się u niej nigdy. Jak w dyskusji z Hieronimem i Krzysztofem („Niektóre pisma bezimiennej autorki"), w dyskusji między rozumem badawczym a wiarą pozostawiła autorka czytelników bez rozwiązania, bez ostatecznej odpowiedzi, tak też było w jej życiu.

Dużo pisano i ona dużo pisała w listach do przyjaciół o tem, czemu nie mogła większości utworów dokończyć, czemu zagadnienia, przeprowadzane przez fajerwerki dowcipnej dyskusji, porzucała bez odpowiedzi. Stały na przeszkodzie rzekomo nieszczęścia narodowe, ciężkie warunki życia, niesprzyjająca atmosfera kulturalna. Uważnie przeczytawszy jej dzieła i listy, musimy gdzieindziej umieścić źródło tego bezwładu: dwie linje, któremi biegła jej myśl, nie zeszły się nigdy.

Czasem wody dwóch rzek w odmiennych warstwach ziemi płynących zlewają się ze sobą. I długo w tem zlewisku walczą smuga ciemna i jasna. Tak i w twórczości Żmichowskiej.

Można jednak śmiało powiedzieć, że entuzjazm i romantyzm był jej bardziej właściwy i pokrewny, gdyż odbił się w twórczości artystycznej. A w twórczości tej działają siły poświadome, pozarozumowe. Nawet, jeżeli jest tak przepojona refleksją, jak twórczość Żmichowskiej.

Był to bowiem okres, gdy poeci filozofowali, a filozofowie poetyzowali. Niewiele się różnią dialogi i analizy Żmichowskiej od rozważań Libelta lub Kremera. Słowa niektóre — synonimy nieskończoności i boskich pierwiastków we wszechświecie, określenia ludzi (poczciwy — co tak nie licuje ze Żmichowską, która zuchwale i mocno występowała wobec świata) — toż te same, jeżeli nie z ich dzieł, to z atmosfery epoki wzięte.

A jednak z tych refleksyj i dysput, grawitujących między katechizmem a Buckle'm i Darwinem wynurzają się posągi wyraźne, nie przez żywioł nieujęty, lecz przez rękę artysty ocio-

sane. Żmichowska po mistrzowsku kreśli sylwetki osób, przeprowadza studja charakterów. Charakterystyki osób, zebranych przy ogniu kominkowym w obrazku wstępnym do „Poganki", charakterystyka Marji Reginy w „Księdze Pamiątek", Marynki w „Kasi i Marynce", osób działających w „Czy to powieść?", wreszcie arcydzieło analizy psychologicznej — „Biała Róża" — wszystko to są szkice mistrzowskie, choć przeważnie niedokończone.

Przejście od romantyzmu do realizmu zaznaczyło się może tylko w jednym utworze „Czy to powieść?". Atmosfera romantyczna w te doskonałe, nowoczesne analizy wnosi ton fałszywy. Silne wymaganie rzeczywistości, realizacji, czynu, produkcyjności kłóci się z atmosferą utworów. Jest to atmosfera sztuki i ludzi wyjątkowych, utalentowanych, atmosfera stylizowana, sublimowana ponad powszedniość. Środowisko Gabrjelli odbarwiane jest ze zjawisk poziomych, zbyt realnych, pospolitych. Typy Żmichowskiej — to kwiaty cięte, z łodygami zanurzonemi w czystej wodzie, zawartej w wazonie kryształowym.

Nie wynikało takie traktowanie rzeczywistości z braku obserwacyjności. Potrafiła Żmichowska w „Księdze Pamiątek" zupełnie realistycznie odmalować scenę hulanki złotej młodzieży. Ale poprostu interesował ją świat inteligencji, zajmującej się sztuką, dość zamożnej, by mieć czas na roztrząsanie problematów.

I nieraz między męskie, jakże jędrne i trafne sformułowania wsuwa się okres pretensjonalny, coś słodkawego i sentymentalnego. Helusia ze swą improwizacją („Księga Pamiątek") jest poprostu nie do zniesienia. Żmichowska rozbłyska talentem, gdy, jak klingą sztyletu, miga dowcipem, złośliwością, dialektyką. Tak jest w „Białej Róży".

Kiedy się czyta utwory tej tak długo zapomnianej autorki, żal porywa, że zamiast chemji, mineralogji, ekonomji politycznej, geografji nie przestudjowała podstaw teorji literatury, że wówczas zapomniano nawet o prastarych Elsnerach i Królikowskich i nikt się nie bawił w określenia, czem utwór beletrystyczny być powinien?

Ale cóż zarzucać Żmichowskiej, kiedy Żeromski, Mi-

ciński nie potrafili wyeliminować ze swych powieści publicystyki i filozofji. Po iluż to latach!

Oczywiście powinien poeta poznać prądy, myśli, krążące w jego współczesności. Jeżeli jednak abstrakcją i naukowością zbytnio umysł przepoi, jeżeli pojęcia będą górowały nad emocjami, jeżeli refleksyjność zabije obserwację, wtedy artysta w nim zmarnuje się i wykolei. W Krasińskim, jako poecie, ileż refleksja spustoszeń dokonała! Tylko Słowacki potrafił nawet prawdy naukowe przetransponować w strofy i obrazy.

Jeżeli supremacja naukowości w społeczeństwie rozwinęła krytycyzm i pomogła do zorganizowania życia zewnętrznego, to dla literatury okazała się fatalną. Zrobiono bo z nauki natychmiast obowiązek narodowy i poeci zamiast tkwić w wielkich ogólnych linjach rozwoju zabrali się do mikroskopu i uczenia się szczegółowego.

Chociaż Żmichowska nie przeładowywała utworów owocami lektury, ale naukowość paraliżowała u niej plastykę i rozmach artystyczny. Dysputy na Miodogórzu wzmagały nastawienie czasami dydaktyczne, zawsze zaś dialektyczne, tak sprzecze z istotą utworu artystycznego.

W tej dialektyce utopiła Żmichowska wszelką dramatyczność. W jej utworach są dialogi, niema akcji, niema scen wybuchających rozwiązaniem. Najwięcej tego pierwiastku dramatycznego jest w „Pogance", najwięcej więc jest ona dziełem sztuki.

Słodkawa wzniosłość trochę w stylu „Nocy" Iounga jest u Kremera, Libelta, jest u Żmichowskiej. Czemu jej niema u Słowackiego, Krasińskiego, chociaż także wyrażają nastroje kosmiczne i religijne, chociaż mają tak silny patos patrjotyzmu? Czy nie dlatego, że u Żmichowskiej były to rzeczy bardziej wyimaginowane i przemyślane, niż przeżyte? Wszak sama pisze o małej swej wrażliwości i ubóstwie przeżyć. Ale w wieku protokułowania rzeczywistości i odrzucania ozdobności, w wieku nienawidzącym szybowania nad obłokami i myśli o niebie, patos i ogólniki filozoficzne Żmichowskiej nie znajdywały oddźwięku.

W liście XXIII pisze Żmichowska do Grabowskiej: „Jeśli mię po kilkudziesięciu latach nikt a nikt nie wspomni, to

i cóż złego? — może nawet trochę głębszy, cichszy i zupełniejszy wieczny odpoczynek; ale jeśli ktoś piórem i językiem moje imię z grobu po długim czasie wyciągnie, to niechże na cośkolwiek się przyda, a przyda się wtenczas tylko, gdy prawdzie posłuży".

Czy mogą pisma Gabrjelli prawdzie posłużyć, pomimo różnych zboczeń i pysznego zaufania we własne siły, w to że tylko własną wolą można coś poznać i wypracować w sobie, że nawet pociechę u siebie tylko zaczerpąć można?

Są rozsiane na kartach jej pism perły uczucia i myśli. Nanizać je na nić, wybrać z pośród szkiełek udających klejnoty — a powstanie naszyjnik wspaniały.

Wędrówki Adeodata... kończą się smutnem westchnieniem: „Jakże łatwą jest miłość bliźniego na puszczy i na cmentarzu!" Jest tam wyrażone silnie, głęboko pragnienie, by słowa Ewangelji weszły naprawdę w życie.

„Niech pan raczej bez wszelkiej przenośni powie — odzywa się Adeodat — że gdy ludzie zaczną kształcić moralną swoją naturę i sumienie swoje, to dopiero na gościniec prawdziwego postępu się wydostaną. Jeśli o królestwo niebieskie starać się będą, reszta przydana im zostanie. Nadużywano tych świętych wyrazów Ewangelji, utworzono z nich jakąś formułkę ascetycznego wyrzeczenia się i ubóstwa, tymczasem w nich tkwi najpraktyczniejsza, najważniejsza zasada ekonomji społecznej. Póki się ludzie nie zaczną starać o to, co jest dobre, sprawiedliwe i święte, póty im zawsze brakować będzie nawet tego, co jest wygodne, przyjemne i potrzebne". Czyż to niepodobne do orędzia Biskupów w sprawie obecnego kryzysu? Żmichowska musiała życiem stwierdzić wyznawaną prawdę. Oburzały ją rozmowy teologiczne na herbatkach, przy chrupaniu makaroników, rozmowy, które były przesiewaniem słów bez najmniejszej intencji, by kosztem ofiary z mienia lub czasu kiedykolwiek ciałem się stały.

Z listów jej wynika, że była oczytana w Piśmie św. i nawet Ojcach Kościoła. To prawie równocześnie z Renanem. Umarła jedna z jej przyjaciółek, Zofja Kaplińska. Chciano wydać po jej śmierci ułożoną przez nią książeczkę do nabożeństwa. I Żmichowska pisze do niej przedmowę

i wybiera teksty z Ewangelji, Psalmów, Ojców Kościoła. Okazuje się, że zna to wcale biegle. We wstępie do tej książeczki takie napisała słowa: „Celem życia nie jest szczęście, celem życia nie cierpienie, celem życia jest doskonałość. Rozkosz i boleść, smutek i radość, łzy i uśmiechy — to są tylko dodatkowe, pomocnicze środki, któremi Bóg naturę i człowieka ku coraz wyższej doskonałości wznosi".

W utworach jej wszędzie, często mówi się o zbawieniu; jest to troską nieodstępną Żmichowskiej. Ale obok tego chce gwałtownie królestwa Bożego i na ziemi:

„Zanadtośmy się przyzwyczaili słuchać o przeciwieństwach, o sprzecznościach dobra ziemskiego z nieziemskiem, duchowem — czas już, byśmy ich harmonję pojęli nakoniec. Czytałam różne książki, widziałam różnie pracujących ludzi: otóż nigdzie nie znalazłam żadnej takiej prawdy dowiedzionej, któraby się z najwyższą prawdą „zbawienia" nie zgadzała.

Realizacja idei Bożej, zlanie dróg ziemskich z ostatecznym celem wieczności, oto melodja wtórująca jej twórczości. „Praca dla ludzi — to szczęście tak wielkie, że je sądziłam niekiedy w sobie najwyższym egoizmem tylko", — pisze Żmichowska. Wszak ta praca — to wcielenie zasad Ewangelji! Nie wolno wyznawać usty, nie czynem.

Dlatego dowcipnie, błyskotliwie, ironicznie maluje ludzi nijakich, żyjących sobą, jak małże w skorupie: matkę Białej Róży, Dionizego, rozmówców Adeodata. Obniżenie polotu duchowego w społeczeństwie poprostu ją nękało. A i ona ze swym radykalizmem miłości i ofiary nie była uznawana i rozumiana. Choćby tylko wspomnieć zarzuty Wincentego Pola... Chciała królestwa Bożego na ziemi za jaskrawo, za krańcowo, za romantycznie...

Ale my wyszliśmy już z nudnych mielizn przeciętności z czasów, gdy wierzący byli letnimi. Jeżeli potrzeba wyrazić żar, poryw w wieczność, niepaktowanie ze złem — szukać możemy tego wyrazu u Żmichowskiej, chociaż lśniąca zbroja jej prawdy czasami się powlekała rdzą zwątpienia.

Nieraz, nieraz te erupcje serca głodnego wartości najwyższych „prawdzie posłużą".

Anna Zahorska.

Henryk Sienkiewicz w zwierciadle anegdoty.

(Dokończenie).

Po napisaniu *Quo Vadis* Sienkiewicz stał się nagle sławny na całym świecie. Do myrry uwielbienia narodowego, dołączyło się kadzidło zagraniczne. Zczasem przyszło i złoto. Pisarz osiągnął pełnię swego rozwoju, wchodził w okres plennej męskiej całkowitej dojrzałości. Ten wewnętrzny rozrost to krzepkie „uznanie się we własnem jestestwie" — wybornie oddał pędzel Pochwalskiego. Spojrzmy na takie trzy wizerunki. Oto Witkiewiczowski portret Litwosa, dalej jakaś podobizna Sienkiewicza, robiona w San Francisco 1887 r., wreszcie pyszny obraz mistrza Pochwalskiego (1890). Z pierwszego wychyla się ku nam śliczna młodzieńcza twarz, owiana mgłą smutku i rozmarzenia — to autor *Hani*, na drugiej, na owej amerykańskiej podobiźnie widzimy spokojny harmonijny, zadumany profil 30-letniego mężczyzny — to autor *Listów z podróży* i *Szkiców węglem*, a podostatek na płótnie 1890 roku przykuwa do siebie wzrok dorodne, patrycjuszowskie oblicze męża w pełni sił, oblicze nacechowane powagą i jakiemś głębokiem zamyśleniem — to autor *Bez dogmatu*. W miarę przechylenia się wiosny ku latu i lata ku jesieni życia rośnie, wzmaga się i pogłębia szczególne piętno smutnej zadumy, charakteryzujące Sienkiewiczowską urodę. Obraz Pochwalskiego uwydatnia je znakomicie. Cała dusza skupiona tu w oczach, patrzących na świat z tęsknym spokojem ale bez złudzeń, ze spokojem mędrca, a z tęsknotą artysty. Jest to pod wieloma względami klasyczny wizerunek Sienkiewicza. Taka

głowa zasługuje na to, aby ją uwieńczył laur światowy — myśli bezwiednie każdy, kto ją ogląda na tym portrecie.

Ale sława nie zjawiła się odrazu. Trzeba ją było wywalczać, trzeba ją było mozolnie wyrabiać. Dużo psuły liche tłumaczenia, zaślubione z niechęcią zagranicy do obcych pisarzy. Francuski przekład *Bartka zwycięzcy (Bartek vainqueur)*, dokonany przez Neyrouda w 1886 r., opatrzył przedmową Theodor Wyzewa. Niech mu jej Bóg nie pamięta. Zbeształ tu bowiem Polaków za marzycielstwo, lenistwo, ospalstwo, bezpłodność cywilizacyjną, słowem dał prztyka w nos i poklepał po ramieniu. Ładna zachęta dla czytelników *Bartka zwycięzcy*. Dalsze tłumaczenia szły oporem. Jeszcze nasz pisarz nie nabył pokupności rynkowej. Dopiero od *Quo Vadis* wydawcy zagraniczni będą zeń ciągnąć kokosowe zyski, nie krępując się nadmiernie wymaganiami prawa i honoru. Wydawca *La Revue Blanche*, Natanson, pierwszy odkrył złotą żyłę, rzucając na rynek francuski zbiorowy przekład *Quo Vadis* (podpisany nazwiskiem Kozakiewicza i Janasza). Nakład rozchwytano. W ciągu sezonu puszczono w obieg 260 wydań. Współzawodnicy żółkli z zazdrości. Zaczęto się dobijać o Sienkiewicza. Wydania rosły, jak grzyby po deszczu.

Co innego wszakże kieszenie doigroszów, a co innego dobre imię u znawców, co innego poklask gminu, a co innego pochwała wybrańców. Pod tym względem *Quo Vadis* przechodziło dolę rozmaitą. Wśród róż nie brakło cierni. Zwłaszcza we Francji. Tu powieść rzymska, sławiona przez jednych jako arcydzieło, uważana była przez drugich za miernotę, którą niesłusznie wydęto do rozmiarów arcydzieła: „Powiadacie, że *Quo Vadis* jest dziełem prześlicznem, pisał E. Stoullig *Les annales du théatre?* Szacownem jedynie i niebywale przecenionem. W każdym razie daleko mu do *Męczenników* starego, klasycznego Chateaubrianda i malowniczego *Salambo* Flauberta. *Fabiola* bardziej skomplikowana — oto wszystko. Arcydzieło?. Nie, prosta powieść awanturnicza o wiele bardziej banalna, niżby się zdawało. Rzecz wykonana na sposób Dumasa ojca, bardziej staranna, bardziej nerwowa być może, ale bez tego zdumiewającego dialogu, którym Dumas posługiwał się, jak wirtuoz, bez jego miłego

daru inwencji, jego ruchu opętańczego i lekkości dotknięcia. Ciężkie to, surowe; co do postaci, które wywołują tyle uniesień, odnaleźć je można prawie wszędzie, lecz nadewszystko u naszego niewyczerpanego gawędziarza narodowego. Co do erudycji autora, jego znajomości świata rzymskiego, niech mi wolno będzie powiedzieć, że to modny efekt, czysty efekt: dość zajrzeć do Tacyta, Swetonjusza". [1]) Teodor de Wyzewa był powściągliwszy w gburowatych określeniach i porównaniach, lecz wcale nie taił, że upojenie tłumu do niczego nie zobowiązuje krytyka o wyższym poziomie wymagań. Rozgłos *Quo Vadis*, zdaniem jego, krzywdzi Sienkiewicza. Dzięki temu rozgłosowi poszły na szary koniec dzieła istotnie wartościowe, niepospolite i bardzo swoiste, *Trylogja*, oraz *Krzyżacy*, gdzie w całej okazałości rozbłysnął epicki zmysł powieściopisarza, stwarzającego niezapomniane postacie i świetne obrazy środowiska. [2])

Mimo wszystko wziętość *Quo Vadis* ciągle rosła, nabierając doprawdy cech niesamowitych. Lorentowicz powiada, że należy ono do najbardziej poczytnych książek wieku XIX. [3]) Pędzel, dłuto i srebrny ekran szerzyły wśród tłumów znajomość jego treści, reklama wkładała je w ręce setek tysięcy czytelników różnego pokroju, od głów koronowanych do ubogich szewców i rzemieślników. Fredergo Verdinois, włoski tłumacz rzymskiej powieści Sienkiewicza, wpadł na pomysł, żeby wykwintny egzemplarz przekładu ofiarować królowej Italji. Zapytał autora, czy nie ma nic przeciwko temu. Oczywiście przeszkód nie spotkał. Verdinois uzyskuje posłuchanie na dworze królewskim, wręcza książkę i odtąd... królowa podobno każdą osobę, którą jej przedstawiano, zaszczycała rozmową o *Quo Vadis*. Także dobry i uroczyście feudalny środek reklamy. [4]) Sława Sienkiewicza wzrastała w stosunku prostym do popytu na jego dzieła, a tem samem i do pęcznienia trzosa wydawców. Smutne to, lecz prawdziwe, że idąc na Kapitol trzeba przechodzić najpierw przez

[1]) Cyt. wdł. M. Brahmera: *Literatura Polska we Francji. Przegląd Współczesny*. Nr. 15, 1923.

[2]) *Revue des Deux Mondes* 15. VIII 1900.

[3]) Ob. *Tyg. Ilustr.* 1916.

[4]) Ob. F. Hoesick: *Sienkiewicz i Wyspiański*, j. w.

kieszeń różnych groszorobów, szczelnie zaszytą, bo Sienkiewiczowi niewiele stąd kapnęło. Jakichś kilka drobiazgów (obrazy, rzeźby), jakichś kilka, skąpych zresztą w porównaniu z zarobkami honorarjów od europejskich i amerykańskich rekinów księgarskich, zaniepokojonych pieniędzmi, wyciśniętemi z cudzej pracy i z cudzej sławy. Oto wszystko.

W gruncie rzeczy Sienkiewicz jednak biedy nie zaznał. Juści w czasach młodzieńczych bywało kuso. Chudy literat miewał kłopoty z komornem i obiadami. Ale to wszystko nic, gdy się pomyśli o nędzy, jaka trapiła młodego Reymonta. To nawet dostatek, to prawdziwe zapusty. Nikt bowiem Litwosa nie wypędzał z cukierni, jako obdartusa, nikt nie stróżował nad nim w przedpokoju redakcyjnym, obawiając się o palta współpracowników. Później nadeszły lata całkiem tłuste, dochody bywały spore, często niespodziewane, jak naprz. owe nagłe odruchy sumienności u wydawców.

Dużo gotówki obracał Sienkiewicz na podróże. Jeździć lubił niepomiernie. Polować także. Był zamiłowanym myśliwym. Jego powieści, jego listy podróżnicze obfitują w pyszne opisy łowów. Swojscy Nemrodzi i ci w skórzniach, w zgrabnie skrojonych kurtkach z angielskiemi dubeltówkami w ręku i ci w juchtowych buciskach, w świtkach z jednorurkami, obwiązanemi w sznurki — pochłaniali jednym łykiem te mistrzowskie opisy: „...z Sienkiewiczem polował każdy od magnackiego nemroda do Sonntagsjaegra, jak wasz sługa, bodaj, że do kłusownika w siermiędze. Bo przypominam sobie takiego Walka, co z „Sienkiewiczem" w małogoskiej puszczy włóczył się, pod opaloną sosną o zaraniu, na szaraka czatując. Przypominam sobie, jak raz w zaufaniu wyrzekał przede mną na pana Zagłobę, że przez niego „takiego jak ciele" kota chybił. „Wyszedłem o wschodzącem słonku — żalił się — żeby co utrącić. Przysiadłem pod lasem na „schodnego". Czekam... Czekam... Miało się jakby na słotę i „kuse" żerowały długo. Przykucnąłem pod sosną. Bartłomiejowe żytko już dobrze okryło ziemię. Koty tu i ówdzie nabobczyły. Czekam... czekam... Zaczęło mi się cnić. Niewiele myślący, ile że kurzyć nie można, wydobywam książczynę i dalej na „chybcika". Czytam... czytam... Pan Zagłoba jedzie i spotyka nasze wesele... Jak się szlach-

cic rozhulał, a upił, tak go i przycapili, ale się gracko wywinął. Zdjął mię śmiech. Nie strzymałem gęby... a tu... trzeba trafu, zda mi się spojrzeć, kica bruzdą jak miesięczne cielę. Wstrzymałem dech, ale późno. Wyplułem mu z jednej... na nic. Jeno kosmykiem wionął, i tylem go widział — dokończył". [1])

Po przygodach, jakich doznał w Afryce, strzelając do krokodyli i nosorożców, Sienkiewicz zamierzał zwiedzić Indje i tam spróbować szczęścia w zetknięciu z groźnym królem dżungli — tygrysem. Jaka szkoda, że zamysł rozwiał się. Prawdopodobnie zyskalibyśmy jeszcze jedno arcydzieło prozy myśliwsko-podróżniczej, dyszące bujną dorodnością krainy baśni i nadludzkiej poezji, krainy węży, tygrysów i słoni, arcydzieło, naprażone podzwrotnikowem, szaleńczem, pijanem słońcem: „Ale dość już „czytanego" zwłaszcza, że najlepszą wolą nacechowany komentarz w porównaniu z całością arcydzieł, ma się tak, jak szarak lichy do królewskiego zwierza. Lepiej w zakończeniu przypomnieć, że nasz Sienkiewicz i w polskich kniejach i na prawidłowych polowaniach, często gęsto stając, rozprawiał się ze zwierzyną, jak pan Wołodyjowski z tatary. Więc zanim wielki pisarz znów w zamorskie ruszy kraje, a ma w zamiarze podróż do Indyj, zanim polskiej literaturze jeszcze więcej arcydzieł przysporzy, w zakończeniu tej notatki wołam, póki pora, w zastępstwie myśliwskiej braci: Żyj że nam żyj szczęśliwie wybrańcze w zdrowiu i mocy na chwałę ziemi, która cię wydała". [2])

Tu już brzmi pogłos uroczystości jubileuszowych 1900 r. Zahuczało wtedy w kraju. Przygotowania, zjazdy, narady, trochę polskiej gorącej hałaśliwości, trochę sporów, nieporozumień a dużo, bardzo dużo naszej swojskiej narodowej donkiszoterji, walczącej ze wszystkiemi wiatrakami na rozdrożach niewoli. Pięknie, że chciano uczcić zasługę pisarza i obywatela, ale brzydko, że zwalono nań przy tej sposobności całą Ojczyznę z przyległościami wydętych retoryką mów jubileuszowych. Zaprawdę była w tem jakaś

[1]) K. Laskowski: *Henryk Sienkiewicz jako myśliwy*. Warszawa 1901.
[2]) K. Laskowski: j. w.

chorobliwość, dziś niemile rażąca. Na plan pierwszy wysforowało się zagadnienie daru narodowego. Doktór Karol Benni, powiernik Sienkiewicza, miał zapuścić wędkę w głąb najtajniejszych jego pragnień i wyłowić stamtąd najskrytsze pragnienia. Wziął się do tego szparko i dochodził rzeczy ustnie i listownie. Dowiedziano się zatem najpierw, że Sienkiewicz chciałby posiadać kamienicę na Starem Mieście: „najbardziejby mi dogadzało, skoro mam być obdarowany, zwierzał się przed Bennim, gdybyście mi ofiarowali kamienicę na Starem Mieście“ [1]). Jakoś się jednak później ta kamienica gdzieś zapodziała i Komitet Jubileuszowy znowu biedził się, co tu ofiarować znakomitemu pisarzowi. Znowu wysłano Benniego. Znowu Benni rozmawiał i pisał listy, aż wkońcu stwierdził, że Sienkiewicz najchętniej przyjąłby kawał ziemi, bo jak się wyraził: „Ziemia byłaby najbardziej nobliwa jako dar“ [2]) Komitet zaczyna szukać odpowiedniej posiadłości. Wreszcie wybiera Oblęgorek w Kielecczyźnie, dawną własność Tarłów. W roku 1883 (roku rozpoczęcia druku *Trylogji*) rejent kielecki Mieczysław Halik nabył Oblęgorek od Leontyny z Sieroszewskich hrabiny Tarłowej i tenże rejent sprzedał go Komitetowi obchodu jubileuszowego w 1900 r. Sienkiewicz początkowo rad był z nabytku. Zadowolenie objawiał całkiem szczerze: „W tej chwili bawią u mnie Curtinowie, pisał do Benniego, którzy fotografują od rana do wieczora Oblęgorek, razem ze wszystkiemi kurami i kaczkami, dla jakiejś ilustracji amerykańskiej. Czekam Cię w niedzielę, w poniedziałek, we wtorek każdego dnia tygodnia z równą radością. Zaś ta radość byłaby w takim tylko wypadku większą, gdybyś namówił ze sobą na tę wycieczkę Henkiela, którego przy tej sposobności najserdeczniej i najmocniej zapraszam na dni, tygodnie i miesiące stosownie do tego, jak będzie mógł i chciał. Ale nawet krótki pobyt na wsi dobrzeby mu zrobił. Oblęgorek, a raczej najwyższa w nim miejscowość, Barania Góra, ma około 400 metrów wysokości, powietrze jest więc prawie górskie i istotnie cudowne. Muszę także przyznać, że poło-

[1]) Cyt. do art. J. Czempińskiego: *Gdzie Sienkiewicz mieszkał. Naokoło Świata,* 1904 r.

[2]) Hoesick. Ob. cyt.

żenie jest bardzo ładne“ [1]). Później wypłynęły nawierzch liczne braki. Pałacyk zaciekał, był wilgotny i zimą trudny do opalenia. Spora część wspaniałej bibljoteki Sienkiewiczowskiej została dzięki temu uszkodzona. A co najgorsze, majętność, wynosząca 540 morgów, nie dawała wcale dochodu, była więc ze stanowiska ekonomicznego raczej kłopotem, niż zyskiem.

Rok jubileuszowy dał się Sienkiewiczowi porządnie we znaki. Jubilata zasypywano papierową, a dręczono obchodową wdzięcznością. Stosy listów, rozpraw, artykułów zwaliły się do jego pracowni. Wszędzie dybano na jego obecność. Rozrywały go pomiędzy siębie różne dzielnice, jak bachantki Orfeusza. Co to naprzykład działo się we Lwowie, gdy tam zawitał swego czasu: „Dreszcz stu tysięcy ludu zdobył się wreszcie na jedno słowo: Przyjechał! Wtedy stało się coś dziwnie pięknego: tysiąc czy dwa tysiące młodzieży zapaliły pochodnie, smolne, krwawe, błyskotliwe, migające i syczące; dodawszy do tego ten blask, który bił z młodych rozognionych oczu, można sobie wyobrazić jak się stało jasno na wielkiej ulicy, wiodącej od dworca kolei. Efekt był jak z bajki, niewidziany... W ten szał burzy, w ten krzyk radości, w to huczne morze wjechał Sienkiewicz. Siedział w powozie z jakimiś pięknymi Polakami w kontuszach, dwa siwe araby w zaprzęgu wyrzucały dumnie głowami i tańczyły pięknie, jakby wiedząc kogo wiozą. Sienkiewicz się uśmiechał jakoś dziwnie, rzewnie i tak jakby tym uśmiechem ratował się od łez“ [2]).

Zapewne jednak ani uczty, ani dary, ani księgi pamiątkowe, ani wszystkie hołdy drukowane i mówione nie napełniły go tą radością, tem poczuciem własnej potęgi, jakiem napełniłby go mogła króciutka wiadomość o cudzie zmartwychwstania polskości w zniemczałym Ślązaku, cudzie sprawionym przez *Trylogję*. Zjawisko to, godne zewszechmiar uwagi badacza tajników rasy, opisał Józef Ujejski w małej książeczce p. t. *Na zgon Sienkiewicza* (Kraków 1917 r.). „Umarł przed niewielu laty na Śląsku bogaty Niemiec z pol-

[1]) Hoesick j. w.

[2]) Kornel Makuszyński: *Wspomnienie, Wiadomości Literackie*, Nr. 43 1924 r.

skiej kiedyś rodziny Olszewskich. Sam nigdy po polsku nie umiał, żonę miał Niemkę i dzieci jego pewnie nigdy o Polsce nie słyszały. Otóż ten człowiek, umierając, dziwny pozostawił testament: synom swoim przekazał majątek z tym warunkiem, że staną się Polakami. I to nie z imienia tylko. Mieli nauczyć się po polsku i w Polsce zająć stanowiska. Gdyby warunku nie dopełnili, cały majątek miał przejść na... Henryka Sienkiewicza. Czy oszalał ten Niemiec? Nie! Jemu tylko wpadł przypadkiem do ręki niemiecki przekład *Ogniem i mieczem* i doczytał się w nim własnej polskości".

Huczny jubileusz nie spłoszył Muzy powieściowej. Sienkiewicz siedział właśnie na *Krzyżakami*. Robota była uciążliwa, bo popierwsze brakło źródeł do odtworzenia języka epoki, podrugie skąpe też jedynie znajdywało się szczegóły co do codziennego pożycia, obyczajów, narowów, tudzież wszelakich przywar i zalet ówczesnych ludzi. Wiele trzeba było zdać na domysł, na wyczucie. Pisarz obrał środki, mające chwalebną przeszłość w dziejach eposu. Uprościł charaktery ludzkie, docierając do ostatnich pokładów typowości i następnie zarówno styl jak ogólne wzięcie bohaterów powieści nasycił ludowością: „Ludzie z tej epoki, mówił do Ferdynanda Hoesicka, nietylko u nas, lecz gdzieindziej to natury grube, których umysły wcale nie przewyższały inteligencji naszych dzisiejszych fornalów i parobków, Maćków i Wojtków" [1]). Ciekawe, że w roku jubileuszowym Sienkiewicz odrzekał się już od powieści historycznych. Może go nużyło ślęczenie nad pożółkłemi kartami kronik? Znowu wabiła go współczesność, podobnie jak ongiś po wyładowaniu energji duchowej w *Trylogji*. Współczesność, a nadto jeszcze scena, której desek dotknął jako autor *Na jedną kartę* i *Czyja wina?*: „W każdym razie będzie to moja ostatnia powieść historyczna, potem będę pisał tylko rzeczy współczesne, jednotomowe, a noszę się także z myślą napisania kilku rzeczy dla sceny" [2]). Z językiem *Krzyżaków* Sienkiewicz parał się bardzo mozolnie. Czytał stare zabytki, lecz za ich pośrednictwem stykał się z językiem czternastowiecza nieco ze-

[1]) Hoesick j. w.
[2]) Ibidem.

sztywniałym, przygiętym do czcigodnego namaszczenia pergaminów, malowanych ozdobników, farb inkaustów i różnych innych świętych narzędzi sztuki pisarskiej. Jak gadano na codzień? Jak dźwięczała powszednia mowa, zwyczajna pogwarka włodyków, mieszczuchów, dworzan, białogłów grodzkich i wiejskich? O tem słuch i wid zaginął. Wiedziony czujnym zmysłem artystycznym, powieściopisarz sięgnął do skarbca gwary ludowej, zwłaszcza podhalańskiej i wydobył stamtąd celniejsze okazy wysłowienia, brzmiące jędrnie, okazale, a czasem i cokolwiek archaiczne, bo narzecza gminne są naogół bardziej zachowawcze, niźli mowa warstw wykształconych.

Przykrą stroną wielkiej poczytności była dokuczliwość, choć bodaj częściej bezceremonjalność tłumaczów. Jedni z nich zanudzali listami i swoją obecnością, inni popełniali jawny rozbój literacki, nie licząc się wcale z jego ofiarą. Poczciwy Jeremjasz Curtin nie odstępował Sienkiewicza na krok i spadał, jak grad z nieba, w najmniej oczekiwanej porze. A skoro w przekładach dobrnął do *Krzyżaków*, utknął na dobre. Tak oszołomił go język powieści. Na tej swoistości języka, na tej dziarskiej jego krzepocie *Krzyżacy* zyskali wiele. Ucierpiał natomiast zajadły tłumacz. Nie mógł bowiem poradzić sobie z natłokiem wyrażeń dosadnych, ale rzadko używanych w potocznej mowie literackiej. Pocił się, szperał po słownikach, niejednokrotnie ze słabym wynikiem: „Raz np. może była godzina 9 rano, mówi sam Sienkiewicz, słyszę dzwoni ktoś. Kto? Curtin. Wchodzi, wita się, powiada, że już dziś od 6-tej rano tłumaczył *Krzyżaków*, lecz utknął na wyrażeniu, którego nie może znaleźć w żadnym polsko-angielskim słowniku, którego znaczenia nawet się nie domyśla. Jakież to wyrażenie? — Ażeby „cię wciórności", What is it wciórności?[1])" Niewiadomo czy gorliwy Curtin zrozumiał Maćkowe wciórności po długich i szczegółowych objaśnieniach, ale zato na pewno trafił wkrótce na inne również zawiłe powiedzenia Zgorzelickich, Bogdanieckich, lub Spychowskich dziedziców. Wszelkie takie wyjaśniania, wszelkie kładzenie łopatą w łeb, wszelkie grzeczno-

[1]) Hoesick Ob. cyt.

ściowe odpowiedzi na pisma zgoła obojętne solennie nużą. To też lekkiem zniecierpliwieniem tchnie następujący list Henryka Sienkiewicza do Roberta Wolffa, poruszający sprawę przekładu *Jamioła* dla wiedeńskiej *Die Zeit*. Przekładu miała dokonać Polka, pani Gusti-Byk z Brodów. „Kochany Panie. Odpisz Pan jej od siebie, że Byki i Jałówki z Brodów powinny ryczeć po polsku, a ode mnie, że nic nie szkodzi, jeśli *Jamioł*, który był tłumaczony 10 razy na niemiecki, zostanie przetłumaczony raz jedenasty[1])".

Pisanie, rozumiane, jako obowiązek przetapiania myśli w słowa, niewiele rozkoszy przyczyniało Sienkiewiczowi. Raczej go męczyło. Na pytanie jednego ze znajomych, kiedy go można najprędzej zastać w domu, odpowiedział, że wtedy, gdy pracuje. Przyczem nadmienił, iż takie odwiedziny ucieszą go niewymownie, podsuwając świetną sposobność, aby wykręcić się od pisania. „Autor *Ogniem i mieczem*, opowiada Ferdynand Hoesick, pisze nie bez mozołu, a te godziny, które spędza przy biurku, nie należą dla niego do najprzyjemniejszych. Swoją drogą zawsze pracuje przynajmniej po 4 godziny dziennie, co w Zakopanem przypadało na porę pomiędzy 11-tą przed a 3-cią po południu. W tych godzinach zamknięty w swym pokoju, był niewidzialny dla gości, w tych godzinach pracował". [2]) Rozmaicie się działo. Niekiedy wyobraźnia, jak tęgi wicher z pyłów śnieżnych, wydmuchiwała ze słów czarodziejskie, nieznane kształty, ale częściej żmudnie, wolno, rzeźbiła w glinie mowy, wlokąc za sobą całą jej ociężałą bryłowatość: „...na pytanie, jak pisze? wspomina Juljan Ochorowicz, odpowiedział mi ze szczerością w głosie: „Dla mnie pisanie to katorga". Znając z innych zeznań rozkosze twórczości poetyckiej, musiałem być zdziwiony tą odpowiedzią. Bliższe jednak badanie okazało, że określenie powyższe, choć może przesadne, nie było jednak dalekiem od prawdy. Sienkiewicz przedewszystkiem długo obmyślał i przetrawiał wszystko, co miał pisać aż do najdrobniejszych szczegółów. Przyjemność więc tworzenia przypada na ten okres pracy, a nie na samo pisanie. Samo pi-

[1]) *Przegląd księgarski*, 15. IV. 1928 r. Nr. 16.
[2]) Hoesick j. w.

sanie nie mogło być przyjemnem, raz dlatego, że ze względu na poruszane tematy, musiał ciągle myśleć o cenzurze, powtóre ponieważ przyzwyczaił się nie poprawiać, tylko przepisywać całe stronice, gdy mu się coś nie podobało, potrzecie ponieważ pisał zawsze z numeru na numer, a więc pod naciskiem terminu, metoda bardzo zdradliwa, możliwa jedynie dla wielkich talentów, a w każdym razie osłabiająca samą przyjemność pisania". [1])

Powodzenie życiowe zdolne było wygładzić trudności zawodu pisarskiego. Sienkiewicz mógł słyszeć o sobie różne sądy: przychylne i wrogie, miłe i nieprzyjemne, bądź co bądź nigdy nie spotkał się z lekceważącem milczeniem, a spotykali się z niem nawet tacy olbrzymi, jak Słowacki, lub tak głębokie osobistości, jak Norwid. Po wyjściu *Ogniem i mieczem* zapanowała jakaś opętańcza gadatliwość. Kto żyw, śpieszył dzielić się swemi wrażeniami z ogółem. Wrzało w redakcjach, w salonach, w towarzystwach, wrzało na ulicy i na poddaszach. Ten literacki dur, przyprawiający społeczeństwo o zawrót głowy, nie bardzo podobał się Aleksandrowi Świętochowskiemu: „jeszcze druk powieści nie był ukończony, pisał w *Prawdzie* 1884 r., a już w warszawskich i zagranicznych pismach polskich łajano prasę za „obojętność" względem tego „arcydzieła", zaledwie wyszła w świat rzucano się do rysowania i malowania jej scen, przedstawiano z niej żywe obrazy w teatrze i w cyrku".

Tak wśród oklasków, zachwytów i uwielbień Sienkiewicz doszedł do Nagrody Nobla (1905 r.). Już bez niej należał do grona ludzi zamożnych, rzadkie zjawisko na lechickim Parnasie, gdzie wyznawcy Muz z urzędu klepią biedę. Sienkiewiczowi życie oszczędziło kolców.

Rok 1905 przeżył on w znacznem podnieceniu. Oczywiście, zdala od barykad, zdala od spienionej, gryzącej carskie i społeczne wędzidła ulicy. Jawnie i ze sporą dozą wyniosłości potępiał ruch rewolucyjny. Zalecał praworządność i praworządne, a co najmniej „rozumne szałem" sposoby walki o niepodległość. Tymczasem dookoła widział szaleństwo bezmyślne, wyuzdane, dzikie i zgubne. Owocem

[1]) *Szkoła Główna Sienkiewiczowi*, j. w.

tych gorączkowych chwil i tych posępnych rozważań była powieść *Wiry*, naszpikowana gadaniną społeczno-polityczną, najsłabsza z dzieł Sienkiewicza. Krytykowano ją zażarcie: „Miałem wrażenie, pisał Adolf Strzelecki w *Sfinksie* 1910 r., że obraz tych dni wytworzył sobie Sienkiewicz na podstawie tego, co czytał po dziennikach, co słyszał, co mu opowiadano, a więc na podstawie pośredniej informacji, a nie bezpośredniej obserwacji, intuicja zaś, która jedynie w takich warunkach przyjść by mogła z pomocą, zawiodła go tym razem zupełnie. Rewolucji w jego powieści nie widzi się, nie czuje, słyszy się tylko o niej i ma się wrażenie, że wre i huczy ona nie tuż w pobliżu, za ścianami domu miejskiego, czy wiejskiego dworu, ale gdzieś bardzo daleko, za morzami, za górami, jeszcze dalej, niż boje pod portem Artura i Cuszymą".

Podówczas właśnie w czerwonych oparach przewrotu zaczęła wschodzić gwiazda Żeromskiego, pełna łez i krwi. Piewca nędzarzy, gnieżdżących się po zaułkach żydowskich i po śmierdzących klitach robotniczych, piewca „ludzi bezdomnych" zaczął coraz mocniej wywierać niesamowity czar. W podminowanej rewolucją Warszawie miał dużo zwolenników, wyznawców i chwalców. „W czasach ostatnich, donosił Teodor Jeske-Choiński w *Liście z Warszawy*, skierowanym do *Przeglądu Powszechnego*, wyrzuciła grupa warszawskich radykalistów i socjalistów na sam szczyt powieści polskiej Stefana Żeromskiego, zamianowawszy go genjuszem bez skazy. Żeromski jest w istocie pisarzem utalentowanym, lecz tylko jako nowelista liryczny, jako doskonały psycholog proletarjatu inteligentnego. Szerszego obrazu, większej ilości charakterów i wypadków jego oko krótkowidza ogarnąć i w całość jednolitą, przejrzystą złączyć nie umie. Powieściopisarz musi być dobrym kompozytorem, czem Żeromski nie jest, ale że wyznaje zasady radykalne, które są dziś w Warszawie w modzie, jak był kiedyś w modzie pozytywizm, przeto stał się genjuszem parafji socjalistycznej. Daleko zdolniejszym od niego jako powieściopisarz jest Reymont, jedyny, zdaniem mojem, urodzony powieściopisarz młodszego pokolenia. Reymonta jednak zaćmił obecnie blask robionej bardzo umiejętnie sławy Żeromskiego. Ten blask sztuczny

przygaśnie zczasem, a wówczas zabłyśnie Reymont. Warszawa, wrażliwa, zmienna, żądna nowości, jak Paryż, nie klaska długo swoim znakomitościom. Rok, dwa, trzy i obojętnieje dla „sławnych". Najdłużej wytrzymał Sienkiewicz, nietylko utalentowany, ale jednocześnie szczęśliwy i życiowo rozumny, co się rzadko godzi z talentem artystycznym. Lecz i on obecnie blednie. O każdej jego powieści rozprawiało dawniej całe miasto, ostatnie zaś jego dzieło *Na polu chwały*, jakkolwiek wcale niegorsze od poprzednich, przeszło bez wrażenia. Nikt o niem nie mówi, usunęły je na stronę wojna, socjalizm, polityka. Ze wszystkich beletrystów warszawskich jedyny Sienkiewicz umiał sobie zdobyć niezależność materjalną, do czego przyczyniła się składka narodowa. Wszyscy inni, albo pomarli w ubóstwie (Junosza, Dygasiński), albo walczą ciężko o byt, niepewni nigdy jutra".[1]) Oto Warszawa roku 1905, rozpolitykowana, przesiąknięta czerwienią socjalistyczną, nasłuchująca ech wojennych, gotowa do skoku w przepaść, dodajmy Warszawa widziana w tym wycinku oczami zachowawcy, przeciwnika tumultów, zamieszek, i wszelkiego odwracania porządku rzeczy naopak - rewolucyjnie. Zacny Teodor Jeske-Choiński, odzywając się z przekąsem o „genjuszu" Stefana Żeromskiego, zjadł na przekąskę bezstronność i przenikliwość krytyczną. Ha, trudno.

Sienkiewicz nie urzeczywistnił swej zapowiedzi że *Krzyżacy* to ostatnia jego powieść historyczna. Zdjęła go pokusa, aby pociągnąć śladem legjonów włoskich Henryka Dąbrowskiego, zapragnął odetchnąć powietrzem obozowisk, wsłuchać się w śpiewki żołnierskie, przyłożyć rękę do serca tej Polski, co wyhołubiła Mickiewicza, Polski kontuszowo-żabotowej, zapatrzonej w orły Napoleońskie. „Romantyzm, mówił kiedyś, jest tem w literaturze, czem legjony w historji. Ocalił duszę narodu". Nowa powieść wróżyła wiele. Zostały z niej wprawdzie szczątki, ale i z tych szczątków, z tych strzępów wieje przepych mocnego dzieła". Ostatnia powieść Sienkiewicza, pisał 1918 roku Jan Lechoń, nie została ukończona. Urywa się w chwili, gdy z ponad pyłu Via Salaria strzela w niebo kopuła Św. Piotra i Legjon Polski przyklęka przed

[1]) *Przegląd Powszechny* listopad 1905, str. 300.

matką kościołów, pokłon jej dając od dalekiej Ojczyzny" [1]). Tutaj, do Rzymu, jak powiada ślicznie Lechoń, przyszedł Sienkiewicz ostatni raz pokłonić się za wiedzę łacińską i za wiarę katolicką. Zaciągnął dług i zwrócił go sumiennie.

A dług wobec Ojczyzny spłacał swoją czcią, swojem imieniem, swoją sławą. Ilekroć coś groziło narodowi, zasłaniał go tarczą własnej godności, uznaną na całym świecie. Gdy rząd pruski wywłaszczał chłopów wielkopolskich, gdy powódź niszczyła zbiory, gdy Björson rzucał oszczerstwa, gdy nakoniec straszliwa wojna ogarnęła pożogą ziemię polskie, wyzuwając ze schedy tysiące biedaków, Sienkiewicz nigdy nie milczał, nigdy nie trawił czasu w bezczynności, zawsze uderzał w zło słowem i czynem. Ankieta, zwrócona do wybrańców ludzkości, aby ocenili bezwstyd prawa o wywłaszczaniu przypiekła żywcem barbarzyństwo pruskie. Europa raz jeszcze dowiedziała się, gdzie jest siedlisko współczesnych Hunnów. Niełatwo było strawić oskarżenie człowieka, który sięgał rozgłosem aż za Ocean. Robactwo prusacze roiło się, jakby je kto polał wrzątkiem. Naogół pisma niemieckie tylko półgębkiem wzmiankowały o ankiecie. Sienkiewicz chciał i tu dotrzeć. Zdarzyło się, że B. Szarlitt, bawiący w Wiedniu, porozumiał się z baronem Alfredem Bergerem i ten z całą dworskością oddał łamy swego dziennika *Österreichische Rundschau* do całkowitego rozporządzenia Sienkiewicza. Pisarz nie omieszkał skorzystać ze sposobności. Nakreślił *List otwarty*, który Szarlitt przełożył na język niemiecki i przesłał do redakcji rzeczonego pisma. Wydrukowano. W Niemczech powstał rumor. Spadły gromy na barona Bergera. Ambasador Rzeszy robił wstręty hrabiemu Aerenthalowi. Zmuszono *Österreichische Rundschau*, aby zamieściła odpowiedź niemiecką. Odpowiadać porwał się minister Raschdau. No i oczywiście wysmażył jakąś urzędową lichotę, zabawną niekiedy przez swoje brednie: „Kiedy tłumaczyłem Sienkiewiczowi, (który słabo tylko znał język niemiecki), wspomina B. Szarlitt, te elukubracje Raschdau'a z rękopisu, mistrz raz po raz śmiał się serdecznie, poznawszy, że każde niemal zdanie, wypowiedziane przezeń

[1]) *Pro arte et studio*, 1918 r. Z. XV.

w rozprawie *Prusy a Europa*, osiągnęło u Niemców zamierzony skutek. Swój zaś rękopis tej rozprawy wręczył mi Sienkiewicz „na pamiątkę wspólnej pracy dla dobra rodaków“ [1]).

Słońce powieściopisarskiego genjuszu Sienkiewicza rozbłysło jeszcze raz wspaniale w niewielkiej książce dla młodzieży pod nagł. *W pustyni i w puszczy*. Można ją nazwać arcydziełem. Przewiewa ją wskroś niesłychana rzeźkość, radosność i tężyzna. Graniczy ona z baśnią, z ideałem, podniecającym młodociane dusze do najtrudniejszych wysiłków. Są tu poza tem opisy tak barwne, że aż mrużą się od nich oczy. Ten polski Robinzon Cruzoe, ten Plutarch niepełnoletnich wiąże się tajemnie z jednym żałobnym cieniem, mianowicie z ukochanym a przedwcześnie zmarłym synkiem Stefana Żeromskiego Adamem: „Adaś przypadł nadzwyczajnie do serca Henrykowi Sienkiewiczowi. Pasja do przygód, poszukiwanie niebezpieczeństwa, marzenie o wielkich wyprawach — podobały się w młodzieńczyku znakomitemu narratorowi, który wtedy właśnie na wyspie Plumanach pisał swój świetny utwór dla młodzieży p. t. *W pustyni i w puszczy*. Bohater nowej powieści tak się zespalał w umyśle pisarza z żywym chłopcem, że często żywego Adasia Henryk Sienkiewicz nazywał przez pomyłkę „Stasiem“ [2]).

O wiele zabawniejsze było spotkanie z drugim Stasiem, tym razem już z dorosłym, cokolwiek krnąbrnym i siejącym wśród ludzi statecznych popłoch, łącznie ze zgorszeniem. Mowa o Stanisławie Przybyszewskim. Sienkiewicz odrobinę boczył się na wyczyny „Młodej Polski“. Przebąkiwał nawet o rui i porubstwie, jako zasadniczym wątku niektórych młodych autorów. Utyskiwał, że na takiej strawie chcą trzymać społeczeństwo, potrzebujące zdrowia i siły. Z drugiej strony zachowywał się względem nich z całą dworskością, ale chłodno. Natomiast Przybyszewski jak najlepiej czuł się w „Synagodze Szatana“, w gronie swoich cyganów i włóczęgów. Z taką pstrą bracią umiał gawędzić. O czem jednak mówić z Olimpijczykiem Sienkiewiczem? „Kochał swoich

[1]) *Tyg. Ilustr.* 1924 Nr. 43,

[2]) *O Adamie Żeromskim wspomnienie*. Warszawa-Kraków 1926,

łazików, wspomina Boy, nie miał natomiast sobie nic do powiedzenia np. z Sienkiewiczem. Paradne było spotkanie Stacha z Sienkiewiczem w Zakopanem. Sienkiewicz, który lubił potrosze kokietować „młodych", dowiedziawszy się, że Przybyszewski jest niezdrów, poszedł do niego pierwszy z wizytą. Stach przyjął go z atencją, ale absolutnie nie wiedział o czem z nim gadać; zakłopotany chodził w milczeniu po pokoju, wkońcu zbliżył się, położył gościowi rękę na ramieniu i rzekł swoim poufnym szeptem: — Panie Henryku, napijmy się wódki. Jedynie ten kto pamięta ówczesne stanowisko i „fason" Sienkiewicza, oceni w całej pełni smak tej anegdoty" [1]).

Tragiczne lato roku 1914 zaskoczyło Sienkiewicza wieścią o wojnie na wywczasach w Oblęgorku. Wojna! Co ona przyniesie? Jaki pożytek lub jaką krzywdę? A przedewszystkiem którędy przejdą jej niszczące płomienie? Jaką rolę odegra lud polski? Co go czeka? Może bezdomność i nędza? Te i wiele innych pytań nasuwała Sienkiewiczowi posępna groza chwili. Niepokój szarpał mu duszę. Widać go, widać te noce bezsenne, to chwytanie do rąk byle płachty dziennikarskiej, aby o czemś się dowiedzieć, coś poznać, co przez się było niepoznawalne, ogromne, niezależne od woli człowieka, widać ten cały bolesny zamęt uczuć i myśli w *Pamiętniku*, który Sienkiewicz prowadził od pierwszych dni wojny. W Oblęgorku stawił się potajemnie, wiedziony głęboką żołnierską wdzięcznością za Skrzetuskich, Kmiciców i Wołodyjowskich, patrol Beliny: „Przecież my musimy — opowiada Bolesław Wieniawa Długoszowski — mu się zameldować, my pierwsi polscy ułani, toć trzeba nam zasalutować przed twórcą *Ogniem i Mieczem, Potopu* i *Pana Wołodyjowskiego*. Czyż nie on nas wychowywał, czyż nie on nas przygotował do żołnierki?" Przybyli więc ułani pod okienko i zapukali. Sienkiewicz wyszedł na krótką pogawędkę. Ogarnął stroskanem wejrzeniem ich pierwotny rynsztunek, lichą odzież, dziarską minę i bardzo niepewną dolę. Na jego twarzy malował się cichy a głęboki smutek, urodzony z rozmyślań nad przyszłością narodu. „Patrzałem

[1]) *Kurjer Poranny* 15. VI. 1930.

na twarz jego bladą, o rysach jakby zmęczeniem czy chorobą wyciągniętych, subtelnych i niezmiernie wykwintnych, na przysłonięte szkłami mądre, przenikliwe, zatroskane przytem oczy i ze wzruszeniem, nad którem nie mogłem, nawet nie chciałem panować, myślałem: to on-to jest człowiek, który mej młodości dał wrażenia najgłębsze, najżywsze, niezapomniane" [1]).

Rychło Sienkiewicz opuścił Oblęgorek. Wyjechał do Krakowa, gdzie stanął na tymczasowem pomieszkaniu u szwagra Janczewskiego. Wypadki wojenne rozwijały się z zadziwiającą chyżością. Zbrodnia serajewska urosła w ohydnego potwora zbrodni światowej. Rzeź powszechna już była przesądzona. Sienkiewicz gryzł się zwłaszcza wiadomościami z kraju. Źle sypiał. Daremnie szukał zapomnienia w książkach. Treść ich nie odpowiadała potędze rzeczywistych zdarzeń. Wiało z nich papierową martwotą. Jeden Szekspir wytrzymał próbę czasu, naładowanego grozą i klęską: „Często po kilka nocy zrzędu nie mogłem zamknąć oczu, więc, jak to się zwykle czyni w takich razach, próbowałem czytać od wieczora do ranka. Lecz i to nie prowadziło do niczego. Brałem książkę za książką, powieść za powieścią i odrzucałem jedną po drugiej. Myśl moja była tak dalece zajęta czem innem, że nie rozumiałem co czytałem. Wobec wielkości wypadków, jakieś zagadnienia psychologiczne lub dramaty uczuciowe wydawały mi się czemś tak marnem i błahem, że wprost nie mogłem pojąć, dlaczego zajmowały mnie poprzednio. Ponieważ bibljoteka w domu krewnych, w którym się zatrzymałem, była nieźle zaopatrzona, więc przerzuciłem w ten sposób wiele książek, a wreszcie trafiłem na Szekspira. I wtedy zaszło coś dziwnego. Oto pokazało się, że Szekspira, którego dramaty widywałem na wszystkich scenach europejskich i którego nie wiem ile razy odczytywałem poprzednio, mogę czytać, mogę rozumieć, mogę odczuwać. Jego jednego". [2]) Sienkiewiczowskie rozumienie położenia było nadzwyczaj proste, chociaż zarazem przeniknięte najgłębszą mądrością plemienną: „Wkrótce po

[1]) *Patrol Beliny w Oblęgorku. Wiad. Liter.* 1924 Nr. 43.

[2]) *Pisma zapomniane*, wyd. Ignacy Chrzanowski, Lwów 1922.

wybuchu wojny r. 1914, powiada Ignacy Chrzanowski, Sienkiewicz przybył z Oblęgorka do Krakowa. Na pytanie jednego z dobrych znajomych warszawskich, bawiącego w Krakowie (p. J. B.): Komu Pan życzy zwycięstwa? odpowiedział: Djabłu samemu, byleby pobił Niemców". [1])

Tymczasem zwolna odsłaniało mu się jego własne powołanie wśród zawieruchy dziejowej. Oto całe tłumy biedaków tracą wskutek działań wojennych dach nad głową. Zostawiają pogorzeliska siedlisk rodzinnych, a idą na tułaczkę, na życie koczownicze, nędzne, pełne strachu i upodlenia. Większość tych nędzarzy — to rodacy. Im podać dłoń pomocną, ich odziać, nakarmić, otoczyć opieką i zapewnić im jaki taki przytułek, oto najszczytniejsze powołanie tego syna Ojczyzny, któremu wiek podeszły nie przysłonił widokiem osobistej wygody — widoku na nędzę Rzeczypospolitej, rodzącej się we krwi i łzach. Tak powstał Komitet szwajcarski z Sienkiewiczem na czele. Należy mu się w zupełności dostojne miano: Komitetu ocalenia powszechnego polskich nędzarzy wojennych. Znowu sława i ogólna cześć w świecie cywilizowanym wyświadczyły niejedną przysługę. Znowu Sienkiewicz wychodził do walki o dobro plemienia. Znowu rzucał na szalę swoje głośne imię, aby przeważyć bezmiar ucisku i krzywdy. I dokonywał rzeczy arcydziwnych. „W Kanadzie, pisał dnia 1 listopada 1915 r. do jednego ze znajomych, traktowano Polaków, poddanych austrjackich i niemieckich — bardzo źle. Internowano ich, o ile nie byli obywatelami kanadyjskimi, nie dawano im pracy etc. Napisał o tem do mnie ksiądz Franszkanin, prosząc o list tego rodzaju, żeby go można było wydrukować w pismach. Napisałem... i obecnie ten sam ksiądz donosi mi jaki był skutek. Oto internowanych uwolniono, sympatje dla nich wzrosły, pracę dają im chętnie, a co więcej we wszystkich szkołach, do których chodzą dzieci polskie, wyznaczono z pośród Polaków płatnych nauczycieli polskiego języka". [2])

W ostatnim roku życia 1916 Sienkiewicz obchodził na

---

[1]) *Głos Narodu* 25. XII 1921.

[2]) I. Chrzanowski: *Henryk Sienkiewicz.* Kraków 1917.

cudzej ziemi 70-lecie swych urodzin. Kraj nie zapomniał o tem, chociaż szalała nad nim burza wojenna. Żołdak pruski, moskiewski, austrjacki kwaterował w Polsce, jak w karczmie zajezdnej. Wszędzie po drodze widzieć można było zimne popieliska spalonych wsi i dworów. Cywilizowany i barbarzyński rabunek hulały w najlepsze, odejmując mieszkańcom od ust ostatni kęs chleba. Mimo to naród polski nie zapomniał o Sienkiewiczu. Nie mógł zapomnieć, bo wszakże twórca *Trylogji* opisał już kiedyś taki jeden straszny potop, a teraz wśród huku dział brzmiało znowu jego imię głosem pociechy i miłosierdzia. Wszak nie kto inny, tylko On poruszył serce świata — okropną dolą polskich uciekinierów i tułaczów. Składano mu więc w 70-tą rocznicę urodzin gorące życzenia i hołdy: „W dalekiej gościnnej ziemi obchodzisz Czcigodny Panie, pisał ksiądz Bp. W. Bandurski, dzień Twych urodzin. Niemałą dla ogółu polskiego radością byłby obchód dnia tego w Ojczyźnie, gdybyś pomiędzy nami mógł być i na pracę rodaków Twych zbliska patrzyć. Z tysiącem ludzi stykać się muszę, w spełnianiu obowiązków pasterskiego urzędu, a teraz czasu wojny zarówno z żołnierzami polskimi w poleskich okopach, jak z nieszczęśliwymi tułaczami i z chorymi po szpitalach rozmawiać mi przychodzi, i dlatego wiem dobrze, naoczny niejako świadek duchowych potrzeb rodaków naszych, czem dla nich są Twe książki. Czytane są tak żarliwie, z taką ochotą i z taką radością, jakby były najżywszym napojem, od którego siła duszy zależy. Dla tych, co po szpitalach skazani na bezczynność, stwarzasz najpożądańszy świat, którym rozkoszuje się stęskniona za domem, za Ojczyzną dusza, wyobraźnia przechodzi orzeźwiającą kąpiel siły i rozmachu, zakazuje zwątpienia, przeczy beznadziejnemu smutkowi i uczy się wierzyć w niespożytą moc narodu". [1])

Nic nie zdołało w Sienkiewiczu zmylić czujności narowej. Ani wir wypadków, ani złudzenia, ani rachuba. Zgoła nic. Ani jedna potęga ziemska, dopiero sama ziemia zluzowała ją z posterunku na spoczynek wieczny: „Czytałem ciągle, a przynajmniej od czasu do czasu, w gazetach o roz-

[1]) Ks. Bp. Wł. Bandurski: *Krwi ofiarnej cześć.* Warszawa 1928.

maitych moich orjentacjach. Czasem się to przykrzy. Wprawdzie i ja często timeo Danaos, ale moje stanowisko jest proste. Uczuciowo jest przyjazne dla tych, którzy chcą i mogą zapewnić nam jak najwięcej samodzielności i rozwoju, ale faktycznie, póki jestem prezesem Komitetu, który musi mieć dostęp do wszystkich dzielnic, jest ściśle neutralne. Przestrzegam tego tak dalece, że gdy mnie rząd francuski zaprosił do zwiedzenia frontu, odmówiłem. Nie brakło mi ochoty widzieć wojnę zbliska, tak, jak ją oglądał zaproszony Ruyard Kipling. Ale ponieważ trzebaby było oświadczać się z sympatjami, widywać figury urzędowe, podlegać wywiadom dziennikarskim, więc wolałem się wstrzymać. Kosztowało mnie to dużo, ale trudno". [1]) Wyrzekł się zatem objazdu linij bojowych. Nie znęciła go myśl obejrzenia zbliska tego kotła piekielnych czarownic, w którym warzyła się nowa Europa. Poświęcił się trudom cichym, mozolnym. Oddał się jałmużnictwu. Wielki karmazyn ducha wyciągnął rękę, jak żebrak, by ciułać grosze na osierociałą nędzę polską: „Najpilniejszą obecnie rzeczą jest ratować zagrożone przez głód i nędzę życie polskie. To ważniejsze od wszelkich romantyzmów i realizmów politycznych". [2])

I z temi słowy zeszedł do grobu dnia 16 listopada 1916 roku.

---

[1]) I. Chrzanowski: *Henryk Sienkiewicz.* Kraków 1917.
[2]) Ibidem.

Zygmunt Falkowski.

Katolicyzm socjalny w niezawisłej Belgji.

(Szkic historyczny).

Rok temu Belgja obchodziła setną rocznicę odzyskania państwowej niepodległości. Przeszedłszy panowanie monarchów hiszpańskich, austrjackich, aneksji francuskiej i unji personalnej z Holandją, zachowała Belgja mimo wszystko odrębność narodową, jak raportował do Paryża w r. 1813 o Belgijczykach prefekt francuski, markiz de la Tour du Pin: Ten naród nie jest ani angielskim ani austrjackim ani antyfrancuskim, lecz jedynie belgijskim. [1])

Rewolucja, jaką się posłużyła Belgja w r. 1830 dla oderwania się od Holandji, była dla wielu rzeczą niezrozumiałą. Boć złączona z Holandją, rozporządzającą rozległemi kolonjami i rozgałęzionym handlem światowym, posiadała znakomite warunki dla rozwoju swego przemysłu. Holandja ze swą wysoką hodowlą bydła, a Belgja z rozwiniętą kulturą rolną nadawały się jak dwie siostrzyce do wzajemnego pożycia we wspólnym organiźmie państwowym. Mimo to wzięły górę względy polityczne, narodowe i religijne i w swych zamiarach Belgja nie zawiodła się. Bo w ciągu jednego wieku swej niezależności politycznej potrafiła wzbić się na szczytowe stanowisko największych potęg ekonomicznych i kulturalnych narodów.

Kolejami swych dziejów zbliżyła się także do odległej Polski. Bo kiedy belgijska „Unja patrjotyczna" w dniu 16 października 1830 r. proklamowała rewolucję i ogłosiła własną konstytucję „des Belges et des leurs droits" (Belgijczyków i ich praw), przekreślając odnośne artykuły traktatu wiedeńskiego, w tej właśnie

[1]) *Histoire de la Belgique Contemporaine* I, 32.

chwili wybuchło na ziemiach polskich powstanie listopadowe, które Belgijczykom ułatwiło odzyskanie wolności politycznej. Z wdzięczności za to rząd belgijski powołał generała Skrzyneckiego w skład dowództwa swej armji.

Belgja dała wyraz swej łączności z Polską później niejednokrotnie. W kopalniach belgijskich robotnik polski znalazł pracę w pokaźnej liczbie (około 70.000). Kapitały belgijskie zasiliły przemysł polski w sumie jednego miljarda franków. Wielka postać niedawno zmarłego prymasa - kardynała Józefa Dezyderjusza Mercier'a dała liczne dowody swej sympatji dla Polski. On wielokrotnie nawoływał swój naród do składek na rzecz ubogich w Polsce i do modlitw za „męczennika narodów", jak nazywał Polskę. On w czasie nawały bolszewickiej, gdy najbliżsi sąsiedzi nie chcieli przepuszczać broni do Polski i radzili zdać się na łaskę bolszewików, podniósł głos, wzywając narody do spieszenia z pomocą Polsce. A gdy w r. 1924 delegacja polska składała mu hołd i gratulacje z okazji 50-letniego jubileuszu kapłańskiego, kardynał zakończył swe podziękowanie słowy: „Powiedzcie narodowi polskiemu, że żywię dla niego najwyższy podziw i szacunek". Dodajmy jeszcze ów szczegół, że kiedy w marcu 1931 r. izba handlowa polsko-belgijska brukselska obchodziła dziesięciolecie swego istnienia, na bankiecie dla uczczenia chwili urządzonym, jeden z ministrów Devez, wobec przedstawicieli Polski w swem przemówieniu nazwał Belgję dłużnikiem Polski, gdyż tylko powstaniu listopadowemu, mówił, Belgja przed 100 laty mogła wywalczyć sobie niepodległość. To też gdy w r. 1920 znalazł się w Belgji rząd, który zdawał się zapomnieć o tym długu i sprzeciwił się przewozowi amunicji dla wojsk polskich przez Antwerpję, skoro naród belgijski dowiedział się o tem, rząd natychmiast runął. Przyszedł nowy rząd, który starał się uiścić z dawnego długu wdzięczności, udzielając Polsce pomocy.[1]) Polska dla Belgji żywi z tego powodu żywą sympatję i powtórzyć mogła w stuletnią jej rocznicę odzyskania niepodległości słowa dyplomaty angielskiego Nothomba, wypowiedziane przy podpisaniu protokułu, gwarantującego niezależność Belgji: Jest dla mnie wielką pociechą, że przychodzi mi wierzyć, iż Belgja nie zginie nigdy, bo powstało dla Europy prawo, by nigdy nie zginęła.[2])

[1]) *Głos Narodu* d. 28. 3. 1931.

[2]) *Histoire de la Belgique Contemporaine* I, 85.

1. Ogólne uwagi o Belgji katolickiej i socjalnej.

Z okazji tej wielkiej rocznicy narodowej, jaką ochodziła Belgja ubiegłego roku, pragniemy podać wiązankę szczegółów z jej wysiłków i walk, jakie prowadzić musiała w ciągu minionego stulecia na terenie akcji katolicko-socjalnej. Podajemy je na podstawie dwóch głównie dzieł: 1) *Histoire de la Belgique Contemporaine* 2 t., 2) Arthur Verhaegen, *Vingt-cinq années d'Action sociale.*

Mały ten kraj, nie dochodzący swym obszarem ani dziesiątej części naszej Polski,[1]) posiada osobliwe właściwości. Przez Belgję przeszły przeróżne herezje religijne, którym dzielnie i skutecznie przeciwstawiał się zawsze uniwersytet lowański. Belgja przeszła religijne prześladowanie francuskiego dyrektorjatu rewolucyjnego, silny nacisk ze strony kalwinizmu holenderskiego i liberalne panowanie własnego rządu. We wszelkich trudnościach Belgja potrafiła dać sobie jednak radę. Dzięki niezwykłej aktywności katolików w życiu publicznem i szkole katolickiej pozostała głęboko katolicką, a w ostatniej walce z liberalizmem odniosła triumfalne zwycięstwo.

Przedewszystkiem należy podnieść, że duchowieństwo belgijskie od 40 lat prowadzi intensywną i podziwu godną działalność na dwóch terenach, jakiemi są szkolnictwo i praca socjalna. Kolegja biskupie i zakonne wydają wielką liczbę powołań duchownych, zakonnych i misjonarskich i ludzi świeckich, którzy z poświęcenia obejmują mniej intratne stanowiska w szkołach katolickich, zrzekając się lepiej płatnych posad w zakładach rządowych. Zakony dostarczają wielką liczbę nauczycieli dla kolegjów, szkół zawodowych i powszechnych.

Oprócz szkolnictwa charakterystyczną cechą katolicyzmu belgijskiego jest ruch socjalny, w którem duchowieństwo parafjalne dokonuje wielkich dzieł. I tu również były wielkie trudności do zwalczenia. Powstało między katolikami rozdwojenie i długo trwały tarcia (w latach 1893—1905) między skrzydłem konserwatywnem a demokratycznem, zanim dopiero interwencja episkopatu, a wreszcie Stolicy Apostolskiej położyły temu kres. Zacięte walki z liberalizmem i socjalizmem trwają do dziś. Katolicy przetrwali jednak wszelkie ogniowe próby, skoordynowali

[1]) Cały obszar kraju wynosi 29.151 km².

swe siły i utworzyli jeden zwarty obóz, tworząc coraz to nowe dzieła socjalne.

Zaczęło się od głośnych kongresów katolickich w Mechlinie (1865—67) i Leodjum (1886—90). Za niemi powstawały kapitalne organizacje socjalne jak — Federacja katolickich dzieł socjalnych belgijskich (1867), gildy rzemieślnicze, wprowadzone przez prof. Jerzego Hellepute'a (1878), Związek chłopski — Boerenbond (1890), robotnicza Liga Demokratyczna Belgijska (1891), Generalny Sekretarjat chrześcijańskich unij narodowych (1904), Konfederacja chrześcijańskich syndykatów (1909), Generalny Sekretarjat zawodowych unij żeńskich belgijskich (1912), Katolickie Towarzystwo Młodzieży Belgijskiej (1919).

Wszystkie te dzieła socjalne popierał episkopat wraz z klerem. Biskupi wyznaczali księży na dyrektorów diecezjalnych i okręgowych biur socjalnych. Kler niższy, zwłaszcza w okolicach flamandzkich, pisze Wilmotte, z pochodzenia i przekonania ducha plebejskiego, rzucał się odważnie do walki i pracy socjalnej, zakładając po parafjach syndykaty rolnicze, kasy kredytowe, towarzystwa ubezpieczeniowe i inne [1]). Belgja pod względem akcji socjalnej może nam służyć za przykład godny naśladowania. Posiada ona najbardziej zwarty katolicki obóz polityczny. Na polu katolickiego szkolnictwa odnosi najświetniejsze sukcesy. Po wzory dla katolickiej akcji wśród młodzieży, zwłaszcza młodzieży robotniczej, zwracają się zewsząd. Mali rolnicy zorganizowali się w katolickim Boerenbondzie tak świetnie, jak nigdzie.

2. Dwa obozy polityczne.

Belgijczycy już od samego zarania odzyskanej niezawisłości politycznej podzielili się na dwa obozy polityczne: katolicki i liberalny.

Była to spuścizna po rządach francuskich, a jeszcze więcej holenderskich. Pewna część narodu, idąc za hasłami wolterjanizmu i tendencjami febronjańskiemi powołała do życia partję radykalną p. n. *la Societé patriotique,* a jej przywódcy byli znani pod nazwą *les radicaux Vonekistes* z siedzibą w Leodjum. Wzmogli się za czasów panowania francuskiego, kiedy przyszło prześladowanie religijne. Gdy jednak terroryści jakobińscy posunęli się do tego rodzaju gwałtów, że wypędzili prymasa, opróżnili trzy stolice biskupie, znieśii klasztory i zagrabili majątki kościelne, gdy znie-

[1]) *Histoire* I, 565.

siono uniwersytet lowański, kapituły, seminarja duchowne, korporacje religijne, zamknięto kościoły, zabroniono w nich dzwonić, obalano krzyże, wypędzano duchownych, tak że ci musieli celebrować w kryjówkach t. zw. *messes aveugles*, w czasie których wierni o tej samej godzinie zgromadzali się na cmentarzach, placach publicznych lub przed drzwiami zamkniętych kościołów, wówczas sami vonekiści wystąpili przeciw rządom francuskim, tak że kiedy w miejsce wojsk napoleońskich pojawili się na ziemi belgijskiej kozacy rosyjscy, powitano ich z radością jako zwiastunów wolności.

Liberalizm wzmógł się silnie pod panowaniem holenderskiem, kiedy król Wilhelm I, otoczony ludźmi dawnego reżymu francuskiego, masonerją francuską i obozem liberalnym rozpoczął walkę z episkopatem i katolikami. Wypędził z Belgji przedstawiciela Stolicy Apostolskiej, biskupa gandawskiego obłożył banicją, katolików usunął ze wszystkich urzędów publicznych, a nawet podsuwał myśl utworzenia schizmy przez założenie kościoła narodowego, niezależnego od Rzymu.

W tej całej robocie wspomagali pilnie króla liberali, rozpisując się szeroko w swej prasie o rzekomem niebezpieczeństwie klerykalnem, nazywając katolików jezuitami, kwadratowemi czapkami, na co katolicy odwzajemniali się im podobnie. Liberali wystąpili do otwartej walki z Kościołem. [1])

Nawet kiedy pod wpływem doktryn de Lamennais'a przyszło do zbliżenia między nimi a obozem katolickim, co przyniosło Belgji niezawisłość, nie przestali liberali manifestować swych przekonań antykatolickich. W latach 1830—46 urządzali w tym celu liczne demonstracje, a w r. 1841 na kongresie brukselskim, któremu przewodniczył wielki mistrz masonerji francuskiej, założyli towarzystwo polityczne „l'Alliance liberale", któremu nadano takie zasady programowe: bronić władzy cywilnej przed ujarzmieniem kleru; zreorganizować naukę szkolną wyłącznie pod kierownictwem władzy cywilnej; zapewnić jej wszelkie środki dla zniszczenia szkół katolickich. Obóz liberalny, ilekroć był pewny władzy państwowej, stale trzymał się tych zasad, a największy konflikt między katolikami a liberałami rozegrał się na tle kwestji szkolnej.

---

[1]) Por. *Histoire* II, 25.

Tymczasem trzon narodu, jaki stanowiły szerokie warstwy ludowe, opierały się silnie duchowo i życiowo na religji i stały wiernie przy Kościele katolickim. Kiedy więc zwolennicy liberalizmu, idąc za swemi programowemi wskazaniami, odrzucali wierzenia religijne katolików i odnosili się wrogo do Kościoła, uważając go za czynnik reakcyjny, to sprawiło, że wśród żywiołów katolickich nastąpiła refleksja. Wśród szerokich warstw narodu wzmógł się duch religijny i przywiązanie do Kościoła. W oczach wierzących Belgijczyków Kościół przedstawiał się jako widomy obrońca tradycyj i swobód narodowych. Pod naporem brutalnych rządów francuskich i władcy holenderskiego, idącego na walkę z episkopatem i katolikami, katolicy belgijscy występowali pod nazwą *patriotes* albo *royalistęs*, jako obóz przeciwstawiający się nowemu reżymowi, niezgodnemu z duchem i przeszłością narodową, która nie znała ani centralizmu państwowego ani walki państwa z Kościołem.

Rozdwojenie w narodzie było widoczne. Zarysowały się wyraźnie dwa obozy. Jeden z nich szedł ręka w rękę ze rządem i popierał jego politykę antykatolicką. Była to partja liberalna, która sobie sama taką nazwę nadała. Drugi obóz stanowili katolicy, skupiający się około episkopatu i duchowieństwa, który stał w silnej opozycji do rządu. Obóz liberalny składał się z burżuazji miejskiej, katolicy opierali się na masach ludowych. Tak ułożyły się wewnętrzne stosunki belgijskie za czasów panowania francuskiego i holenderskiego i stały się podłożem dla rozwoju wypadków po uzyskaniu wolności politycznej.

Do wzajemnego zbliżenia się obydwóch obozów ze sobą przyszło dopiero w chwili, gdy chodziło o zdobycie niezawisłości politycznej dla Belgji. W styczniu 1829 r. zawarły obydwa obozy wspólną „Unję narodową", około której zgrupował się cały naród. W następnym roku nastąpiło usunięcie władz holenderskich, ogłoszenie własnego *Gouvernement provisoire* i Konstytucji. Katolicy zyskali wolność nauki, liberali wolność prasy. Przy wyborach dla odbycia kongresu narodowego katolicy uzyskali przeważającą większość głosów.

Unja nie dała się długo utrzymać. Wyłamali się z niej liberali. Katolicy pozostawali w niej nawet wtedy, gdy wskutek Unji przy wyborach ponosili klęskę po klęsce. Dopiero gdy w r. 1857 liberali poczuli się na siłach, uzyskawszy dla siebie większość

mandatów, i wystąpili z programem wprost antyreligijnym, przedstawiając katolicyzm jako obskurantyzm umysłowy, a kler za niebezpieczeństwo narodowe, wtedy katolicy widzieli się zmuszonymi wyrzec się unjonizmu. Odtąd obóz katolicki począł przyjmować coraz więcej charakter wyznaniowy, a nietylko narodowy, występując jako obrońca atakowanej religji i Kościoła. Stosunki zaostrzały się jeszcze bardziej, gdy wychodziły encykliki papieskie, potępiające doktryny liberalne. Walki rozgrywały się głównie na terenie kwestji szkolnej.

Konsekwencją wzrastających różnic ideowych było powstanie oddzielnej politycznej partji katolickiej, której dotąd nie było. Wzmocniono w tym celu prasę. Obok istniejącego dziennika *Journal des Bruxelles* powstały w latach 1852 i 1853 dwa inne w Bruges i Gandawie. One dawały impuls do zakładania po okręgach towarzystw katolickich („Associations Catholiques"), które w r. 1868 zjednoczyły się we „Fédération des Cercles catholiques et des associations conservatrices".

Zwartość obozu wzmocniły kongresy katolickie. Pierwszy z nich odbył się w r. 1863 w Mechlinie, w którym wzięły udział wszystkie ugrupowania katolickie i znaczna liczba wybitnych osobistości z zagranicy. Kongres zrobił na katolików belgijskich wielkie wrażenie. Partja katolicka wytworzyła własny program, a do wyborów w następnym roku szła z silnym rozmachem. Nie odniósłszy zwycięstwa, przeszła do opozycji. Przyczyną klęski było rozdwojenie w sferach katolickich. Jedni z katolików szli za wolnościowemi prawami, jakie przyznawały obywatelom nowe konstytucje państwowe, drudzy byli im przeciwni; korzystali z tego liberali, głosząc, że wolność konstytucyjna chce obalić klerykalizm. Rozdwojenie katolików sprawiało, że we walkach wyborczych partja liberalna była stale górą i trzymała ster państwa w swych rękach. Dopiero w r. 1884 szala zwycięstwa przechyliła się na stronę obozu katolickiego. W Belgji aż do wystąpienia socjalizmu na arenę polityczną życiem publicznem kierowały dwa obozy — katotolicki i liberalny.

3. Początki współczesnego katolicyzmu socjalnego.

Belgja była niegdyś schronieniem dla różnych reformatorów socjalnych. Tu przebywał anarchista Babeuf, francuscy zwolennicy Saint-Simonizmu, Blankizmu i Fourjeryzmu, nacjonalizacji

ziemi (de Colins, L. de Potter), tu zjawił się P. Proudhon ze swą teorją „la propriété c'est vol" (własność to kradzież), którego tezy bronili Hektor Denis i Guillaume de Greef, w Belgji przebywał K. Marx (1845—48) i jego przyjaciel Fryd. Engels, a kollektywistyczna międzynarodówka K. Marxa znalazła fanatycznego propagatora w osobie Cezarego de Paepe (1842—90).

Nic w tem nie było dziwnego. Belgja posiadała sprzyjające warunki dla wszelkiej wywrotowej roboty wśród warstw zarobkujących. Do takich dogodnych okoliczności należał brak ochrony pracy ze strony ustawodawstwa i surowe rygory prawne co do zakazu prawa koalicji. Za istnienie wszelkich organizacyj dążących do zmiany warunków pracy karano robotników aresztem do trzech miesięcy i wyżej, a przywódców ruchu więzieniem od 2 do 5 lat. Robotnicy tworzyli albo tajne towarzystwa rewolucyjne albo występowali pod formą towarzystw ubezpieczeniowych. Te ostatnie miały rację i powodzenie, bo na czas powstania państwa belgijskiego przypadały wielkie kryzysy gospodarcze. Urzędowe biura dobroczynności wykazywały 560—670 tysięcy osób potrzebujących wsparcia. Największy kryzys panował w latach 1846—54. Zarobki robotników przemysłowych spadły tak nisko, że były zarobkami prawdziwie głodowemi. Równocześnie wzrastała drożyzna. Kilogram chleba kosztował 0·70 fr, a zarobek dzienny sięgał najwyżej do 2 fr. Pierwsze lata niezawisłości Belgji były czasem zastraszającego pauperyzmu.

Ciężka depresja gospodarcza musiała wyłonić ze siebie kwestję socjalną, w ostrej formie. Nie było komu jej rozwiązywać. W polityce ścierały się dwa poglądy co do interwencji państwa w sprawach pracy. Koalicja była robotnikom prawnie zakazaną; za strajki jakie wybuchały w Gandawie w latach 1857—61 wtrącono do więzienia 1000 robotników. Dopiero w r. 1866 zapadła uchwała parlamentu zniesienia zakazu koalicji.

W akcji socjalnej brał czynny udział także obóz katolicki. Katolicy przechylali się do kierunku interwencjonizmu. Jako główny przedstawiciel idei katolickiej wystąpił Edw. Ducpetiaux, inspektor generalny dobroczynności i generalny sekretarz pierwszych kongresów katolickich. On w broszurze *L'Organisation de l'industrie moderne* [1]), skreślił program socjalny, który wzięto pod

[1]) *Histoire* II, 281.

obrady Kongresu Katolickiego w r. 1867, oraz w głównej mierze przyczynił się do założenia organizacji *Fédération des sociétés ouvrières catholiques.*

Założenie Federacji Katolickich Towarzystw robotniczych było dla katolickiej akcji socjalnej pierwszorzędnej doniosłości. Zjednoczyła ona w sobie różne instytucje ludowe jak: towarzystwa wzajemnej pomocy, spółdzielnie, patronaże młodzieży, bibljoteki katolickie, towarzystwa kulturalne, rozrywkowe, konferencje św. Wincentego a Paulo, a nawet religijne. W chwili swego założenia liczyła do 500 instytucyj, mających w r. 1872 około 55 tysięcy członków. Była ona silną przeciwwagą do socjalistycznej międzynarodówki. Odbywała liczne kongresy (w liczbie 32 w ciągu 24 lat), poświęcone kwestjom socjalnym.

Przywódcy Federacji, jak Klemens Bivort zwany „papieżem Klemensem" stali się zczasem wybitnemi osobistościami w kraju. Do takich należał także przemysłowiec Gustaw de Jaer, który w organie Federacji *Economie Chrétienne* rozwijał ideę ruchu chrześcijańsko-demokratycznego jako wyzwolenia stanu robotniczego z pod zależności burżuazji i przeciwstawienie się radykalnej międzynarodówce. Program socjalny Federacji rozwijali następnie ludzie tej miary, jak prof. K. Perin, Wareg-Massalski (Polak), Artur Verhaegen, Leon Mobile, Ducpetiaux, stając się pierwszorzędnem ogniskiem kulturalnem chrześcijańskiej demokracji.

W skład Federacji wchodzili wprawdzie przedstawiciele różnych poglądów socjalnych. Katolicy belgijscy byli głęboko przesiąknięci doktryną liberalną i sądzili, że wystarczą patronaże, dobroczynność, a nawet tylko osobisty wpływ, by kwestję socjalną rozwiązać i warstwy ludowe uspokoić. Trzeba było dopiero silnych uderzeń, by umysły skierować na drogę wielkich i głębokich reform socjalnych. W pewnych jednak momentach występowali jednolicie, zwłaszcza wobec grożącego niebezpieczeństwa socjalnego ze strony wzrastającego w siłę socjalizmu.

Do kapitalnych i twórczych środków, które wykuwały nowe poglądy i budziły katolików do czynu, należały kongresy katolickie. Były one manifestacją życia katolickiego i warsztatem pracy socjalnej. Wzięto wzór z niemieckich Katholikentagów. Pierwsze kongresy odbyły się w Mechlinie w latach 1863, 1864, 1867. Potem nastąpiła przerwa. Następne kongresy odbywały się

w Leodjum w latach 1886, 1887, 1890, prowadzone przez biskupa Doutreloux. Kongresy w Mechlinie z r. 1891 i 1909 zajmowały się ściśle sprawą robotniczą, a ten ostatni już syndykatami robotniczemi i patronażami młodzieży. Kongresy katolickie sprawiły, że akcja katolickiego szkolnictwa i ruch socjalny nie osłabły i pozostały charakterystyką katolicyzmu belgijskiego.

Jako drugą siłę twórczą należy zaliczyć publiczne występy trzech wielkich biskupów, a wreszcie Stolicy Apostolskiej w sprawie narastającej kwestji socjalnej.

Pierwszym z nich był biskup moguncki W. E. Ketteler, który pierwszy z wyżyn autorytetu biskupiego uderzył na błędne doktryny liberalne ekonomiczne, wzbudził socjalnego ducha chrześcijańskiego i sprawił, że Niemcy wyprzedziły swą polityką socjalną wszystkie inne narody.

Podobną rolę odegrał biskup genewski Mermillod wśród narodów romańskich. Wypędzony przez wpływy kalwińskie ze swej ojczyzny, otoczony aureolą męczennika, przebywał na wygnaniu przez 10 lat (1873—1883). Odwiedzał Francję i Belgję, gdzie jako znakomity mowca wygłaszał kazania, odbywał konferencje, na których zwracał uwagę na położenie warstw ludowych i występował jako obrońca wydziedziczonego proletarjatu. Powróciwszy do Szwajcarji, założył znaną Unję międzynarodową (1883 r.), złożoną z wybitnych katolików zachodnio-południowej Europy dla studjowania problemu socjalnego. Jako przedstawiciele belgijscy weszli do Unji: Leon Collinet, G. Hellepute i d'Ursel. [1]) Unja na sześciu sesjach wypracowała cały program reform socjalnych, które papież Leon XIII włączył do swej encykliki robotniczej.

Trzecim trybunem katolicko-socjalnym był biskup Doutreloux, który w swej stolicy Liège urządził trzy kongresy międzynarodowe, jak już mówiliśmy. One wstrząsnęły opinją publiczną, poruszając aktualne kwestje z bieżących stosunków socjalnych.

Do nich należał także kard. Manning, który z okazji trzeciego kongresu w Liège nadesłał biskupowi Doutreloux wysoce znamienny list, wzywając w nim kongresistów i katolików konserwatywnych do zmiany frontu, dając katolikom nową orjentację i drogę wytyczną dla najbliższej polityki socjalnej. [2])

[1]) *Histoire* II, 318.

[2]) A. Verhaegen, *Vingt-cinq années*, str. 66.

Po odbytych kongresach miała przyjść realizacja sformułowanych programów. Rzecz natrafiła na trudności. Trzeba było przystąpić do zakładania robotniczych syndykatów chrześcijańskich. Nie zdołano się jednak zdecydować, czy zakładać syndykaty mieszane czy czysto robotnicze. Dyskusja na ten temat trwała przez pięć lat. Rzecz rozstrzygnęła dopiero encyklika *Rerum Novarum*, która obydwom formom syndykatów nadała równouprawnienie.[1]) Rzym przemówił i kwestja została rozwiązana. Na stanowisku encykliki stanął kongres w Mechlinie 1891 r., list pasterski biskupa Doutreloux z 1894 r., zbiorowy list pasterski episkopatu belgijskiego z r. 1895. Wśród katolików znikła niezgoda na tym punkcie. Odtąd rozpoczął się okres rozwoju robotniczego syndykalizmu chrześcijańskiego.

Budowy chrześcijańskiego ruchu robotniczego na zasadach syndykalizmu podjęła się nowa organizacja katolicka p. n. „Belgijska Liga Demokratyczna" *(La Ligue Démocratique Belge)*. Na czele Ligi stanęli dwaj inżynierowie J. Hellepute i A. Verhaegen, a obok nich jeden z profesorów seminarjum duchownego w Leodjum, ks. Pottier.

Już na samym początku nasuwały się wielkie trudności. Sprawa robotnicza nasuwała takie kwestje, jak płacy, strajku, potrzeby syndykatów, znaczenia spółdzielczości, co sprawiało, że wiele grup katolików odnosiło się wrogo do robotniczych syndykatów chrześcijańskich. Potrzeba było sporej dozy zaparcia się ze strony chrześcijańskich robotników, by wytrwali przy katolickim sztandarze i nie przeszli do socjalizmu. Odbijało się to jednak na rozwoju syndykatów chrześcijańskich i skutek był taki, że kiedy w r. 1901 liczba członków w syndykatach chrześcijańskich wynosiła 16 tysięcy, socjalistyczne syndykaty były silniejsze ośmiokrotnie.

Drugim przeciwnikiem, z jakim syndykalizm chrześcijański miał do walczenia, był socjalizm. Jak na terenie politycznym trzeba było katolikom staczać z partją liberalną długie walki głównie w dziedzinie sprawy szkolnej aż do ostatecznego zwycięstwa, tak znowu gdy chodziło o rozwiązanie zagadnień socjal-

[1]) Słowa encykliki: „Z przyjemnością spostrzegamy, że coraz więcej powstaje tego rodzaju stowarzyszeń: czy to samych robotników, czy przedstawicieli obu stanów".

nych przypadło katolikom we walce o duszę robotnika rozprawić się ze socjalizmem.

Socjalizm belgijski jest dawnej daty. Już z odzyskaniem niepodległości poczęły się ukazywać pierwsze jego przebłyski, a w następnem dziesięcioleciu rozpoczął się gwałtowny najazd socjalizmu na katolicką Belgję. Powstawały placówki radykalne różnego typu jako pierwsze komórki socjalistyczne. Za jedną z pierwszych należy uważać gandawską organizację tkacką z r. 1857, która stała się zawiązkiem pierwszej kooperatywy socjalistycznej *Vooruit* i centrali syndykatu *Centrale du textile.* W Gandawie powstała pierwsza polityczna grupa socjalistyczna w r. 1874. Dwaj główni agitatorzy socjalistyczni, Anseele w Gandawie i Bertrand w Brukseli, organizowali lokalne grupy polityczne, syndykaty, kasy ubezpieczeniowe, kooperatywy spożywcze i banki ludowe, tak, że w r. 1885 mogły odbyć pierwszy kongres socjalistyczny w Brukseli jako polityczna partja socjalistyczna. I kiedy katolicy spierali się, ze sobą o legalizację unij zawodowych w okresie ukazania się encykliki *Rerum novarum*, socjalistyczne syndykaty liczyły już 70 tysięcy członków, nie wliczając zaciągniętych do kas ubezpieczeniowych i kooperatyw. Zyski osiągnięte z kooperatyw szły na propagandę, utrzymanie sekretarjatów i na wybory.[1])

Na destrukcyjną robotę i spustoszenie religijne, jakie szerzył socjalizm wśród robotników, zwracali uwagę niejednokrotnie biskupi belgijscy na kongresach katolickich, wzywając do uniwersalnej pracy duszpasterskiej, by zdobywać zpowrotem utracone dusze, wydarte przez socjalizm.[2]) Lecz dopiero krwawe rozruchy, połączone z rabunkami, do jakich doprowadziła wywrotowa agitacja socjalistyczna w r. 1886, otworzyły oczy na grożące społeczeństwu niebezpieczeństwo, kiedy musiano je stłumić ostatecznie zbrojną siłą. One dopiero stały się punktem wyjścia dla katolic-

[1]) Dla zapewnienia sobie zwycięstwa w akcji wyborczej socjaliści wysunęli hasło równego i powszechnego prawa głosowania. Na kongresie w Liège 1901 r. uchwalono zdobyć je urządzeniem generalnego strejku i rewolucji. W r. 1902 wywoływano zaburzenia uliczne. Sprowadzono z zagranicy agitatorów, głównie z Francji. Domy ludowe socjalistyczne stały się zbrojowniami, a prasa socjalistyczna ogłaszała sprzedaż „des revolvers a bon marché". (*Histoire* II, 215).

[2]) Por. *Histoire* II, 580.

kiej akcji socjalnej w nowym stylu, dostosowanej do zmienionych warunków socjalnych.

W tym samym roku 1886 odbył się właśnie pierwszy kongres katolicki leodyjski, na którym zebrani biskupi belgijscy wystosowali silny apel do katolików. W tym samym duchu przemawiali premjer gabinetu katolickiego Bernaert, przedstawiciel episkopatu niemieckiego biskup Korum z Trewiru i ks. Winterer, poseł niemieckiego Centrum katolickiego. Do króla wysłano gorący adres. Wszystkie trzy kongresy leodyjskie stanęły na tem samem stanowisku co do problemu socjalnego, domagając się przywrócenia zrzeszeń korporacyjnych, interwencji ustawodawczej państwa i oparcia wszystkich organizacyj katolickich o podstawy religijne.

Wytyczne programu wymagały wpierw stoczenia rozstrzygającej walki najpierw z liberalizmem, a następnie ze socjalizmem. Praca katolicko-społeczna rozpoczęta z rokiem 1886, nabrała potężnego impulsu przez encyklikę *Rerum novarum* i trwa z niespożytą siłą do dziś. Dzisiejsze hasło „Akcji Katolickiej" dodaje nowych sił dziełom socjalnym wzniesionym na ołtarzu Kościoła i Ojczyzny.

4. Akcja socjalna przed powstaniem Ligi Demokratycznej Belgijskiej.

Mentalność Belgijczyka różni się znacznie od naszej. Jako ilustracja może służyć następujący szczegół. Przy zwiedzaniu generalnego sekretarjatu syndykatu chrześcijańskich urzędników prywatnych w Antwerpji postawił autor jego kierownikowi pytanie, czy istnieje oprócz tego analogiczna organizacja neutralna. Rzucone pytanie wywołało zdziwienie. My nie rozumiemy, odpowiada zagadnięty, by wśród nas pracowników mógł się znaleźć taki, któryby bez kierunku ideowego mógł pojmować działalność socjalną. Każdy z nas, chcąc należeć do swej organizacji zawodowej, zwraca się albo na prawo albo na lewo, wstępując czy do chrześcijańskiego czy socjalistycznego syndykatu. Innej drogi nie ma. Idea jest duszą organizacji. Istniejące syndykaty liberalne, jako neutralne, są znikome i nie odgrywają w Belgji żadnej roli w ruchu socjalnym.

To nad wyraz znamienne oświadczenie pozwala nam zrozumieć, dlaczego już od samego zarania współczesnego ruchu po-

litycznego i socjalnego w Belgji spotykamy się z obozami o wyraźnych rysach ideowych.

Warstwy ludowe skupiały się pod skrzydłami idei katolickiej, a burżuazja grupowała się w obozie liberalizmu, wrogiego katolicyzmowi. Dzieliły ich poglądy życiowe, rozpatrywane pod kątem religijnym. Obóz katolicki stał pod egidą episkopatu, a nawet w pewnych momentach pod bezpośredniem kierownictwem Stolicy Apostolskiej. Katolicy byli zespoleni nietylko samą organizacją kościelną, lecz zarazem przez prasę katolicką, świeckie asocjacje socjalne, jak *Associations Catholiques*, zakładane w poszczególnych miejscowościach, przez późniejszą ich Federację, kongresy katolickie i akcję wyborczą do ciał prawodawczych. Rozwój życia i wypadków zespalał katolików coraz silniej w jednem środowisku, jakiem była najpierw Federacja, a następnie Liga Demokratyczna Belgijska. Federacja powstała pod naciskiem liberalizmu, a Liga pod naporem drugiego wroga—socjalizmu.

Jak działalność polityczna katolików miała swą przełomową chwilę w r. 1884, odniósłszy przy wyborach do sejmu i senatu zwycięstwo nad partją liberalną i ujmuje ster rządu w swe ręce, tak dla socjalnej działalności katolików belgijskich punktem zwrotnym stały się wypadki marcowe w r. 1886, kiedy na ulicach miast przemysłowych powstały krwawe rozruchy robotnicze jako dzieło wywrotowego socjalizmu. Katolikom otworzyły się wówczas oczy. Było to w samą porę, bo właśnie na ten rok biskup leodyjski Doutreloux przygotował swój pierwszy kongres katolicki, który akcji socjalnej miał nadać nowy impuls i kierunek, przystosowany do zmienionych stosunków.

Dotąd praca socjalna koncentrowała się w towarzystwach socjalnych, patronackich i dobroczynnych. Przedewszystkiem odszczególniały się Konferencje św. Wincentego a Paulo, istniejące w Belgji już od r. 1843, które zajmowały się odwiedzaniem chorych, roztaczały opiekę na młodzieżą w szkołach i patronażach, oraz były uzupełnieniem urzędowych biur dobroczynności.

Drugim terenem socjalnych prac katolików były patronaże, podzielone na sekcje chłopców i dziewcząt, a grupujące w sobie znaczną liczbę młodzieży. [1])

[1]) W r. 1886 było w Bruges 19 patronaży, liczących 804 chłopców i 2.257 dziewcząt, w Gandawie w patronażach było 2.750 młodzieży. (Verhaegen, *Ving-cinq années*, str. 8).

Dalszą gałęzią pracy socjalnej były katolickie towarzystwa robotników, sfederowane od r. 1858 w „Fédération des sociétés ouvriéres catholiques". Towarzystwa, zakładane z inicjatywy duchowieństwa, odbywały perjodyczne zjazdy. Episkopat zachęcał kler do pracy w tych towarzystwach, by przez nie przeciwdziałać międzynarodówce. W propagandzie Federacji zasłynął przemysłowiec z Saint-Nicolas G. de Jaer, który przestrzegał, by się nie łudzić istniejącemi organizacjami, bo dla rozwiązania kwestji robotniczej patronaże i dobroczynność nie wystarczają.

Ostrzeżenie wobec wzmagającego się socjalizmu i bezreligijności wśród robotników, nie było bezpodstawne. Katolicy działali wiele na polu oświaty i dobroczynności. Zakładano oświatowe towarzystwa robotnicze, przytułki dla biednych, patronaże dla dzieci, kasy ubezpieczeniowe na czas choroby i bezrobocia, dostarczano biednym w środowiskach przemysłowych artykułów pierwszej potrzeby, a nawet piwa i tytoniu po zniżonej cenie, by tylko warstwy robotnicze utrzymać przy religijności i dobrych obyczajach. Mimo wszystko jednak wielka liczba rodzin robotniczych trzymała się zdala od akcji katolickiej i kleru, raczej pozostawała pod wpływem liberalizmu i indyferentyzmu religijnego, by przejść następnie do socjalizmu. Dzieci posyłano raczej do neutralnej szkoły rządowej, utrzymując, że szkoły katolickie istnieją tylko na to, by lud trzymać w ucisku i niewoli. Zdawały sobie z tego sprawę niektóre koła katolickie, które na zjazdach Federacji i kongresach mechlińskich podnosiły, że należy w sposób zdecydowany zająć się kwestją socjalną, jeżeli jej rozwiązania nie chce się oddać wrogom wiary. Jednak przez cały szereg następnych lat katolicy, choć byli świadkami krwawego dramatu komuny paryskiej, poprzestawali tylko na pracy oświatowej, dobroczynnej i na patronażach, a stali zdala od robotniczego ruchu socjalnego, aspiracyj ludowych i instytucyj ekonomicznych. Dopiero wielkie rozruchy proletarjackie w r. 1886 w środowiskach przemysłowych otworzyły katolikom oczy i zaraz nazajutrz po nich powstała „Fédération des cercles catholiques et de Associations conservatrices" dla polepszenia losu klas zarobkujących.

Początek katolickiej pracy socjalnej dzisiejszego typu wyszedł z miasta Gandawy. Przyczyniły się do tego dwa wydarzenia. Jednem był szybki wzrost socjalizmu wśród robotników,

a drugiem były klęski, poniesione przy wyborach do Rad pojednawczo-rozjemczych.

Zwyciężeni przez socjalistów robotnicy inaczej myślący utworzyli w r. 1880 Związek antysocjalistyczny p. n. „Vrije Kiczersbond", przekształcony po wypadkach roku 1886 na Ogólne Stowarzyszenie robotniczo-mieszczańskie (Association générale des ouvriers et des bourgeois), na którego czele stanęli dwaj wybitni działacze, Gustaw Eylenbosch zecer i Herman Rouse akademik-farmaceuta. Rouse szkolił pierwszych działaczy i przystąpił do wydawania tygodnika *De Lichtstraal* (Promień światła), a G. Eylenbosch założył Federację towarzystw robotniczych wzajemnej pomocy, co socjalistów wprawiło w szał wściekłości. Zebrania mogła urządzać Federacja tylko przy pomocy policji, ze względu na napady, urządzane przez socjalistów.

Za towarzystwami kas ubezpieczeń poczęły powstawać syndykaty robotnicze, a wraz z niemi wypłynął na widownię publiczną robotnik tkacki Leon Bruggeman, który poświęcił wszystkie swe siły dla syndykalizmu antysocjalistycznego. Syndykat robotników tkackich przez niego założony pod hasłem „Dieu et la loi" Bóg i prawo, musiał prowadzić zaciekłe walki z socjalistami. Odbywały się na zebraniach wyrzucania przez okna, wzywania na pomoc policji, prześladowanie przez socjalistów chrześcijańskich robotników przy pracy. Bruggeman, mając za sobą $1^1/_2$ tysięczną armję robotników i robotnic tkackich, dawał silne cięgi „czerwonym", jak zwykle nazywał socjalistów, czerpiąc argumenty z własnych przeżyć jako robotnik, zarobkując we fabryce od 7-go roku życia. Jego pogrzeb w styczniu 1911 r. zamienił się na wielką manifestację robotniczą. [1])

Katolicy gandawscy pierwsi zwrócili uwagę społeczeństwa na sytuację socjalną i położenie klasy robotniczej. Wyższe sfery społeczne patrzyły ciągle na robotnika tylko przez okulary akcji dobroczynnej i patronackiej. Dopiero w r. 1885 zjawił się z wykładami na uniwersytecie lowańskim Albert hr. de Mun, który sferom wyższym otworzył nowy świat idej, zwrócił uwagę na powstałą kwestję socjalną i jej niebezpieczeństwa, na doktrynę rewolucyjną socjalizmu i program socjalny Kościoła. Kościół żąda dla robotnika, wykładał hr. de Mun, nie samego miłosierdzia,

[1]) A. Verhaegen, *Vingt cinq années*, str. 44.

ale sprawiedliwości, obrony jego interesów i ustawodawstwa socjalnego. Trzeba iść do ludu, by robotnika poznać i umiłować, przypatrzeć się, jak on pada ofiarą demagogji i karmi się bezbożnością. Wystąpił on jeszcze później na kongresach leodyjskich, gdzie przemawiając na temat kwestji socjalnej, określił ją jako opłakane położenie robotników, współczesne barbarzyństwo, a przyjście z pomocą klasie robotniczej według wskazań Kościoła nazwał „chrześcijańskim socjalizmem", „katolicyzmem socjalnym", nawrotem społeczeństwa w życiu socjalnem do tradycji katolickiej i Bożego prawa.[1])

Kongresy leodyjskie głównie pod wpływem wystąpienia hr. de Mun, oraz listu kardynała Manninga sprawiły, że zdecydowano klasom niższym przyjść z pomocą i utworzyć przeciwwagę do socjalistycznych zamierzeń rewolucyjnych.

Wzięto się więc do dzieła. W Gandawie powstał *Komitet* „Comité d'oeuvres sociales", który miał powoływać do życia nowe potrzebne instytucje i organizacje socjalne. Myślano najpierw o zakładaniu spółdzielni spożywczych na wzór socjalistycznych. Lecz zarzucono tę myśl ze względu na małych samodzielnych kupców i przemysłowców. Natomiast w r. 1888 przystąpiono do zakładania towarzystw wzajemnej pomocy („des secours mutuels") p. n. „Vrede" — La Paix, które rozgałęziły się w potężną dziś organizację katolickich kas ubezpieczenia społecznego z główną siedzibą w Gandawie.

Drugiem dziełem Komitetu było założenie tygodniowego czasopisma socjalnego *Het Volk — Le Peuple* jako przeciwstawienie do socjalistycznego organu *Voornif*, wychodzącego w Gandawie.

Uchwały kongresów leodyjskich i poczynań Komitetu zalegalizowało wkrótce pojawienie się encykliki *Rerum Novarum*, która stała się *vade mecum*, dla działaczy społecznych i chrześcijańskich przywódców ludowych. Robotnicy belgijscy, stojący poza socjalizmem, przyjęli encyklikę z entuzjazmem. Ich organ gandawski *Het Volk* nazwał zjawienie się encykliki triumfem zsyndykalizowanych robotników chrześcijańskich, których w kołach niektórych katolików uważano za pół-socjalistów. Zebrany kongres mechliński (1891 r.) zajął się szczegółowo myślami zawartemi w encyklice.[2])

[1]) Verhaegen, str. 56.
[2]) Verhaegen, str. 76—80.

Akcja socjalna, zapoczątkowana przez kongresy mechlińskie i leodyjskie nie była jednolita, nie miała ani ustalonych typów organizacyjnych ani central. Z inicjatywy czynników lokalnych powstawały różnorodne ośrodki pracy socjalnej, które na swój sposób i własną odpowiedzialność prowadziły akcję. Na czoło ruchu wysunął się cały szereg działaczy, pochodzący z klasy robotniczej jak: zecerzy, robotnicy tkaccy, księgarscy, piekarscy i inni. Jedni z nich prowadzili syndykaty i kasy zapomogowo-ubezpieczeniowe, drudzy byli kierownikami drukarni, czasopisma, spółdzielni; np. Filip de Munnynck, robotnik rzeźbiarski był naczelnym redaktorem organu *Het Volk* i znakomitym mowcą wiecowym. Wszyscy byli prawdziwymi pionierami i wielce zasłużonymi apostołami katolickiej akcji socjalnej.

Cały ruch katolicko-socjalny, zróżniczkowany i istniejący pod różnemi nazwami obejmował następujące ośrodki organizacyjne: 1. Gilda rzemieślników w Lowanjum. 2. Towarzystwa wzajemnej pomocy „Vrede" (La Paix) w Antwerpji. 3. Gilda rzemieślników w Bruges. 4. Gilda w Saint-Nicolas. 5. Federacja katolicka w Mons. 6. Federacja demokratyczna okręgu brukselskiego. 7. Zjednoczenie robotników w Charleroi. 8. Partja demokratyczna Centrum w Roeulx. 9. Gilda rzemieślników w Courtrai. 10. Liga robotnicza w Lokereu. 11. Gilda rzemieślników w Roulers. 12. Unja chrześcijańsko-demokratyczna okręgu leodyjskiego. 13. Federacja robotnicza okręgu Namur. 14. Liga robotnicza antysocjalistyczna w Gandawie. [1])

Owe pierwotne organizacje katolickie zakreślały sobie szerokie cele. [2]) Dzieliły się przeważnie na gildy rzemieślnicze i federacje robotnicze. Wszystkie instytucje i dzieła socjalne, skupiające się około okręgowych gild i federacyj, uważały sobie za wspólny obowiazek przestrzegać społeczeństwo przed grożącem złem ze strony socjalizmu i pokrzyżowania zapędów czerwonych agitatorów. Tak naprz. działalność gildy rzemieślniczej w Courtrai sprawiła, że nie dopuszczono zupełnie socjalistów do okręgu.

Z pośród wszystkich wyszczególniła się akcja Ligi antysocjalistycznej robotników gandawskich, która w szczególniejszy

---

[1]) Verhaegen, str. 128.

[2]) Bliżej o nich Verhaegen str. 93.

sposób była nastawiona na walkę z socjalizmem, przyjąwszy nazwę „Ligue ouvrière antisocialiste de Gand" z programem opartym o trzy zasadnicze normy: religja, rodzina i własność. Do Ligi przystąpiły w r. 1890 kółka robotnicze, syndykaty, kasy zapomogowe i inne towarzystwa kulturalne w liczbie 14, liczące około 6 tysięcy członków.

Ponieważ Liga gandawska daje typowy obraz działalności socjalnej katolików podówczas, którą szczegółowo skreślił jej twórca i przywódca Arthur Verhaegen w książce *Vingt-cinq années d'Action sociale,* przeto podamy z niej niektóre szczegóły.

(Dokończenie nastąpi.)

Ks. Dr. A. Mytkowicz.

J. B. Zaleski w klasztorze Oelenburg.

Dwudziestodniowy pobyt w klasztorze de la Grande Trappe koło Mortagne [1]) uspokoił chwilowo stargane nerwy poety, jednak mimo bardzo pobożnie odprawionych rekolekcyj nie znalazł Bohdan dostatecznej wskazówki na rozdrożu życia. Powziął wprawdzie w Trappie myśl założenia świeckiego bractwa Zmartwychwstania Pańskiego i zamierzał urzeczywistnić swój plan, a tem samem znaleźć cel życia, niestety powrót do Paryża i zetknięcie się z rzeczywistością znowu go rozgoryczyły; spostrzegł, że niełatwo mu będzie założyć bractwo Zmartwychwstania Pańskiego, i pisał w swym dzienniku pod datą 15 stycznia 1844 r.: „zewsząd mnie otaczają prozaiczni ludzie, ani sposób przy nich się rozgrzać. Dusze rówieśne, ogniste daleko — w Towiańszczyźnie, to aż na Ukrainie". Miał wprawdzie jeszcze nieliczne kółko dawnych dobrych znajomych między którymi byli Stefan Witwicki i Józef Tomaszewski, ale serce wyrywało się do Mickiewicza, którego pragnął widywać i dlatego uczęszczał nawet na jego prelekcje. Słuchając wykładu, wygłoszonego dn. 16 stycznia 1844 r., w którym Mickiewicz bronił misji Towiańskiego, nie mógł się oprzeć Zaleski urokowi dawnego przewodnika duchowego i z żalem pisał tego dnia w swoim dzienniczku: „szkoda genjuszu i prawd, które poza Kościołem z taką mocą rozgłasza". Oprócz goryczy do dawnych przyjaciół gnębił poetę brak natchnienia, i znowu stawało przed nim pytanie: co począć, jaką ustalić sobie drogę życia? Przyjaciele namawiali go do małżeństwa z Zofją Rosengardtówną, młodą pianistką, uczennicą Chopina, którą Zaleski

[1]) Por. *Przegląd Powszechny*, listopad 1931, str. 227.

poznał po powrocie z klasztoru de la Grande Trappe. Rosengardtówna nie kryła się zupełnie ze swojemi uczuciami i z wrażeniem, jakie na niej wywarł melancholijny poeta, ale Zaleski nie mógł się zdecydować i pisał listy pełne uczuć opiekuńczo-braterskich. Gdy przyszło do rozwiązania niepokojącego dla Rosengardtówny zagadnienia, Zaleski w liście z 17 grudnia 1844 r. pisał: „Jest inny sposób uświęcenia naszych stosunków, ale nie wolno mi o nim pomyśleć, póki chodzę w żałobie, póki chodzimy w żałobie po Matce. Stan tułacki to osobny zakon Boży. Mnich ja, Zośko, sierota po wszelkiej piękności, po wszelkich pieszczotach tego świata" (*Koresp.* II. 7). Bólem patrjotycznym starał się poeta osłaniać tęsknotę za dawnym ideałem swego serca Dionizją Poniatowską, lecz z drugiej strony zbyt mu dokuczało osamotnienie i brak celu życia. Chcąc wybrnąć z wątpliwości i zdobyć natchnienie do pracy, znowu, jak przed dwoma laty, udaje się na rekolekcje do Trapistów, tym razem do Alzacji w Oelenburgu, a przeżycia, rozmyślania i postanowienia, jakie tam powziął odzwierciedliły się w podanych niżej notatkach znajdujących się w rękopisie (bez sygn.) Bibljoteki Jagiellońskiej.

Tęskno nam było w Strasburgu po wyjeździe Kostusi Rzewuskiej [1]), którą odprowadziliśmy aż do Manheimu 25 lipca. Ze ściśnionem sercem wróciłem w stan zwyczajnego żywota tutejszego. Postanowiliśmy nawiedzić zamieszkałych tu towarzyszów wygnania. 26 lipca po napisaniu listów do Tomaszewskich [2]) i Zosi [3]) poszliśmy na postny obiad, a potem do Kazia Szwykowskiego, jedynego katolika między bracią Strasburską. Umówiliśmy schadzkę u Marjusza Brzozowskiego na wieczorną godzinę, a tymczasem oddaliśmy wizytę starszemu Makowskiemu, który nam ułatwił interesa na statku parowym. Brzozowski uprzejmie nas przyjął. Światły to i arcyznakomity rodak, a mój kolega uniwersytecki. Chodziliśmy razem na przechadzkę i aż do późna w noc rozprawialiśmy o różnych przedmiotach dotyczących Polski. Nazajutrz widzieliśmy Aleks(andra) Makowskiego, Duchowskiego i współukraińca Grozę. Po południu wyjechaliśmy do Molsheim dla odwiedzenia starych znajomych. Weszerowstwo i cała rodzina wielce nam byli radzi. Cały dzień następny przedumałem samotnie, to

[1]) Rzewuska Konstancja, siostra Dionizji Poniatowskiej.

[2]) Tomaszewski Józef, kolega z ławy szkolnej poety; chciał nawet dać mu swoją córkę Józefę za żonę.

[3]) Rosengardtówna Zofja, pierwszy raz widziała Bohdana Zaleskiego po powrocie z klasztoru de la Grande Trappe 29 list. 1843, poznała go w miesiąc później, a 26 list. 1846 została jego żoną.

z Józefem [1]) w lubej okolicy, gdzie przed ośmiu laty tyle natchnień poetyckich upolowałem. Tu napisałem *Duch od stepu* [2]). Tu po odjeździe Nisi [3]) tyle dni przebolałem. Za powrotem do Strasburga przeżyłem kilka dni to sam, to w towarzystwie Brzozowskiego i Szwykowskiego. Wkońcu zapoznałem się bliżej z księdzem Maliszewskim. Ksiądz to ladaco, ale światły i oryginalny antykwarjusz słowiański. Niektóre jego hipotezy są arcydowcipne i może niejedna da się kiedyś sprawdzić. Oj, szkoda tego człowieka!

W Kolmarze smutno, nudno było kilka dni. Umilił nam nareszcie pobyt przyjazd kochanych Ludwika [4]) i Antoniego [5]). W parę dni dojechali do Monachjum, a my zostali sami, samiuchni. Napadły też dawne humory. Józef pojechał do biskupa i przewiózł rekomendację do Trapistów w Oelenburg [6]).

9 (sierpnia) koło południa ruszyliśmy po drodze żelaznej do Lauterbach. Po obiedzie postnym w cichej mieścinie, gdzie ubawił nas tylko artylerzysta francuski rozmawiający ze zbiegiem bawarskim, udającym się do Algieru, udaliśmy się na piechotę do klasztoru o trzy kwadranse drogi odległego. W jakiejś wiosce zachodziliśmy na nieszpór do kościółka. Kościółek był pełny, bo przy dniu uroczystości parafji, a celebrował właśnie przeor z Trappy. Stanęliśmy w Oelenburg około trzeciej i jeszcze zastaliśmy koniec nieszporów. Żywo przypomniał mi się klasztor w Mortagne. Też same wewnętrzne urządzenia. Święta pustynia, cicho i miło naokoło. Z jednej strony góry Wozgez, z drugiej śliczna dolina ku Renowi. Po nieszporach przybyło do parloaru do nas dwóch mnichów z pokłonem, aż do nóg w imię Pańskie. Śliczny obrządek pokory i pozdrowienia chrześcijańskiego. Chodziliśmy razem do kościoła na Anioł Pański. Potem wszyscy czterej znów do parloaru, a jeden z księży odczytał rozdział 12 z księgi III *De imitatione* [7]). Braciszek gościnny zaprowadził nas na górę do pokoju. Stancyjki ubogie i szczupłe, ale schludne. O 5 obiad, modlitwa i rozmyślania. Zapowiedziany spowiednik nadszedł wieczorem. Staruszek miły i świątobliwy, rozmawiał z nami pół godziny. Na jutro spowiedź. Dałem na Mszę za duszę ojca, bo jutro św. Wawrzyńca. Salve wspólne z mnichami w kościele. W domu przedłuższe nabożeństwo.

[1]) Zaleski Józef, daleki krewny poety, jego nieodłączny towarzysz emigracyjny.

[2]) W list. 1836 r. w Molsheim pozostał pod wpływem miłości do Dionizji Poniatowskiej, jeden z najwybitniejszych utworów Zaleskiego *Duch od stepu,* w którym pełno osobistych reminiscencyj i wspomnień ze świeżych przeżyć.

[3]) Poniatowska Dionizja.

[4]) Jankowski Ludwik, krewny poety, przebywający w Berlinie na studjach.

[5]) Celiński Antoni, również studjujący w Berlinie, wielbiciel poezji Zaleskiego.

[6]) Oelenburg, położony koło Mulhouse'y w Alzacji.

[7]) Thomas à Kempis *De imitatione Christi.*

10 sierpnia. Dzień Św. Wawrzyńca. Wstałem przed 4-ą [1]). Pociemku niepodobna było trafić do kościoła zwłaszcza, że tyle jest korytarzy na lewo i na prawo; a więc ukląkłem do modlitwy, potem przygotowałem się do spowiedzi. Około 6-tej zapukał do drzwi świątobliwy ks. Augustyn. Najmilszy starzec, ileż nie wylał pociechy na zbolałe serce moje, w serdecznej, a prostej mowie swojej? Niech będzie Pan pochwalony za natchnienie jakie nam dał odwiedzenia Trappy tutejszej! Wyraźnie palec Jego Boży w tem. Dziesiątek lat dobiega jakom się nawrócił do praktykowania wiary, a oto na drugi dziesiątek omdlałemu na siłach przysyła już pomocnika w świętym mnichu swoim. Ściśle zastosuję się do rad i przepisów jakie mi podyktuje. Czas, o czas powstać mi z grzechów i coś postanowić już dla zbawienia duszy. Na intencję mego ojca przystępowałem do komunji ś-tej w orszaku wszystkich mnichów. Józef mój takoż. Rzewnie i długo modliłem się. Po obiedzie ks. Augustyn przyszedł z książkami. Kruciuteńko zabawił. Nieszpory. Po nieszporach nawiedził mnie ks. przeor. Mówiliśmy o dolegliwościach Kościoła bieżących, o Szwajcarji, Jezuitach i t. p. Wstąpiłem na chwilkę do Józefa. Czytałem długo w kościele i w domu Ś-go Franciszka Salezego: *Introduction à la vie dévote* [2]). Modliłem się, dumałem aż do kolacji, potem znowu Salve w kościele, i dumałem długo pobożnie. Przenieśliśmy się do wygodniejszych już pokojów i obszerniejszych.

11 sierpnia. Poniedziałek. O 2-giej po północy wstałem i okutany płaszczem pobiegłem na jutrznię do kościoła. Śpiew się rozlegał na chwałę Bogu i w sercu czułem się lepszy niż na świecie. Po Mszy ś-tej, której wysłuchałem o 4-tej, znużony nieco usnąłem na parę godzin. Usposobienie wciąż pobożne. O. Augustyn przyniósł nowych książek i kilka seksterników swoich własnych o różnych przedmiotach religji. Opowiedział mi pokrótce i budująco swój żywot przeszły i dzisiejszy ustawicznej ofiary. O. Augustyn z rodu Holender był kiedyć bogatym i świetnym światowcem, zanim wybrał sobie stan Trapisty. Nie śmiałem zapytać się o pobudki, które skłoniły go do zerwania ze światem. Muszą być niemało ważne. Ojciec przełożony, to jest superior, oddał nam wizytę. Człowiek poważny i ujmującej wielce powierzchowności. Rozmawialiśmy o rzeczach potocznych. Czytaliśmy parę godzin z Józefem seksterna O. Augustyna. Są to arcypożyteczne uwagi, bo z doświadczenia świętego wyczerpane. Rozmawialiśmy z Józefem wesoło o biedach tego świata i o własnych. Zjawił się ku wieczerzy O. Augustyn i obudwom nam powiedział rodzaj kazania o ufności w miłosierdziu bożem, ukraszone mnogiemi cytacjami i przypowieściami o różnych świętych ludziach. Rozczulił nas i oświecił bardzo, a kiedyśmy całowali mu kolana

[1]) W rękopisie ponad wierszem dopisane: o 3-ciej.
[2]) Zapewne wydanie: Lille 1821.

wydzierał nam się jak oparzony. Ma prostotę i słodycz prawdziwie dziecka i gołębia. Nie mówię już nic o nabożeństwach, bo dzień tu w Trappie przedzielają mnogie modlitwy w kościele. Zwykle [1]) towarzyszymy z Józefem na wszystkich nabożeństwach, jakie mają kilkakrotnie na dzień, rano i wieczór. Po trapistowsku takoż kładziem się spać wcześnie.

12 sierpnia. Wtorek. Po Mszy rannej o 4-tej dumałem sobie błogo w rozrzewnieniu religijnem. Potem czytałem niemal cały dzień *Introduction à la vie dévote,* czytałem w niewysłowionem uczuciu sympatji. Cóż to za kochany ten ś-ty Franciszek Salezy! dziecinny, anielski, a serdeczny i rozumny. Książka jego po wszystkie wieki będzie wzorem pisania chrześcijańskiego. Obozujemy oto na czas przy wyćwiczonem dzielnie wojsku pańskiem. Ojciec Augustyn wedle swego autoramentu podmustrowuje nas trochę. Trapiści to stara gwardja Chrystusowa, nasi Zmartwychwstańcy [2]) to młoda gwardja, a my? my, kozactwo Boże, niesforne, niekarne, aż strach. Puszczamy się niekiedy gwałtownie naprzód, a najczęściej wtył. Ale niechno korpus pobije wroga, a obaczy świat jak wpadniemy mu we flankę, a wsiądziem na kark. O. Augustyn przyniósł nowych książek kilka i list do matki tutejszej trapistynki, pisany na kilka dni przed śmiercią. Niedługo dziś trwała rozmowa. Józef wziął się pocichu do czytania jakiejś zachwalonej homilji, a ja wpadłem w swój nieznośny humor. Kwasiłem się resztę dnia i aż we śnie. Stan to arcygrzeszny, ale niema nań rady.

13 sierpnia. Środa. Od rana miałem usposobienie dobre do pracy. Przeczytałem wiersze Mickiewicza treści pobożnej [3]). Przypomnienie długiej z nim zażyłości boleśnie uciskało serce. Mój Boże! jaka to wielka strata dla Kościoła i Polski, że uwierzył w bałamuctwa Towiańskiego i cały swój genjusz tem zbezwładnił. A dla mnie jakie opłakane wciąż sieroctwo po takich przyjaciołach, Seweryn [4]) i Karol [5]). Kto mi kiedy ich zastąpi? Jałowy mój żywot będzie już na zawsze, ale święć się wolo Boża! Myśliłem o filozofji słowiańskiej Libelta i o świecie boskim trzecim Trentowskiego. Zarozumiałe marzenia zagorzalców przeciw Kościołowi Chrystusowemu. Trentowski ubódł mię do żywego nieprzyzwoitością wyrażeń swoich o katolicyzmie. Nędzny języcznik ze szkoły Kalwina, on stawia się narówni z Chrystusem wynalazkiem pustego u m y s ł u. Przypomniałem sobie walkę Jana Kochanowskiego ze współczesnymi Kalwinami, taką zaciętą co do rzeczy i przewy-

[1]) Przekreślone: rano i wieczór.

[2]) Zgromadzenie Zmartwychwstańców powstało w Rzymie, pierwszym przełożonym był Piotr Semenenko.

[3]) Pięć wierszy Mickiewicza, które ukazały się w t. VIII wydania jego dzieł z r. 1836, a mianowicie: Arcy-Mistrz, Rozum i wiara, Mędrcy Rozmowa wieczorna, Aryman i Oromaz.

[4]) Goszczyński Seweryn, który uległ nauce Towiańskiego.

[5]) Różycki Karol.

bornie wypowiedzianą w jego *Satyrze* i *Zgodzie*. Przyszła mi myśl napisać wiersz p. t. *Papieżnik*, w którymbym wychłostać mógł należycie filozoficznych naszych pyszałków. Wątek zaczął mi się snuć okwicie z wyobraźni, ale uczułem znużenie. To da Bóg później wezmę się do pracy. Po obiedzie kochany O. Augustyn zawitał do nas. Podyktował mi plan i modlitwy Bractwa, postanowionego na cześć Niepokalanego Poczęcia Panny Marji dla uproszenia o dobrą śmierć i rychłe wyzwolenie z czyśca. Ochotnie przyjąłem je. Oj, święty, najmilszy nasz ojciec spowiednik, dziecinnej, gołębiej prostoty. Wieczór zachmurzyłem się po swojemu, jakby żółć nagle rozlała się. Widzę codzień wyraźniej, że to hipochondrja.

14 sierpnia. Czwartek. Dumałem z rana o filozofach naszych Cieszkowskim, Trentowskim, Libelcie, o wpływie jaki mogą wywrzeć na kraj. Nie lękam się o lud nasz i o drobną szlachtę, bo jeden i drugi pałają po dziś dzień najczystszą wiarą, ale szkoda młodzieży akademickiej, którą okłamują na wstępie do życia. Dzięki Bogu, że mój Karol [1]), Ludwik [2]) i Antoni [3]) nie hołdują wcale nowościom tym filozoficznym. Hej, hej, i filozofja słowiańska i intuicja i świat boski, świat trzeci rozbiją się jak tyle już podobnych światów o mękę Pańską. Darmo się troskać tem i smucić. Ojciec Augustyn powiedział nam prześliczną naukę o życiu pobożnem, słuchaliśmy z wielkiem zbudowaniem przeszło godzinę. Oj, święty, anielski to mąż wyhodowany oto na pustyni, a o którym świat ani się dowie nigdy. Napisałem liścik do Tomaszewskiego z podziękowaniem całej rodzinie za życzliwe dla mnie chęci. Zawsze myślę, że w Józi T(omaszewskiej) Bóg mi przeznacza żonkę, towarzyszkę reszty dni. Święć się wola Jego. Czytałem *Introduction à la vie dèvote*. Przygotowałem się do zwyczajnej spowiedzi. Jutro dzień wielki, uroczysty, to przystąpić mamy do ś-tej Komunji. Modliłem się gorąco w kościele i domu, błagałem o wstawienie się za nami Pocieszycielki utrapionych, Opiekunki sierót. Wigilja, post ścisły klasztorny.

15 sierpnia. Piątek. Dzień Wniebowzięcia Najświętszej Panny Bogarodzicy. O północy byliśmy już w kościele ze świętymi mnichami. Modliliśmy się rzewnie i długo. Na parę godzin pokładliśmy się do łóżka. O 5-tej znowu śpiewy i Msza ś-ta. O 9 znów nabożeństwo większe, na którem wespół z bracią zakonną przystępowaliśmy do Stołu Pańskiego. O 2-giej śpiewy w kościele, o 3-ciej nieszpor, o 7-mej godzinki i różaniec, i cały niemal dzień upłynął na modlitwie. Oby Bóg ją, acz niegodną, przyjął za grzechy przez wysługi Chrystusa Pana i Matki Jego, której ukoronowanie w niebiesiech obchodzi oto Kościół. Ufny, pogodny i we-

[1]) Sienkiewicz Karol, kolega poety z Rady batignolskiej.
[2]) Jankowski Ludwik.
[3]) Celiński Antoni.

soły byłem cały dzień, pomimo znużenia i bólu głowy. Roił mi się jakiś hymn o Wniebowzięciu, ale nie miałem gotowej formy, t. j. że natchnienie dopiero mogłoby przyjść. Czytałem w krótkich przerwach ś-go Franciszka. Wieczór ucałowałem czule mego Józefa i po modlitwie niebawem usnąłem. Sny lekkie, błogie i obudzenie pogodne, jak za dawnych czasów.

16 sierpnia. Sobota. Ranek przedumałam o rzeczach świętych, to o rzeczach tyczących się li osobistości. Czytałem świątobliwego Franciszka Salezego. Potem przeglądałem Libelta i smutny *Przegląd poznański* Koźmiana [1]). Doprawdy smutny, taki chłód z niego wieje, chociaż poczciwy Jaś szczery katolik. Wątpię, aby dziennik ten uczynił jakie wrażenie w kraju. Narazie odradzałem Koźmianowi wydawnictwo, ażeby porwać i zapalić młodzież polską i kobiety potrzeba inszego rodzaju daru, potrzeba mieć coś, z płonącej dialektyki Mochnackiego, a nawet coś z jego inwektywy; zgoła potrzeba umieć pisać i śmiało i dziarsko, jak Mochnacki. *Przegląd* płód poroniony krytyki, nędzniejszy jeszcze od artykułów rozumowanych, jakaś w nich ciężkość i pedanterja nieznośna. Daj Boże, aby następne numera były lepsze. Najzacniejszy ojciec Augustyn i braciszek Karol wielce mnie zbudowali swojemi słowy i uczynkami. Och, uczynki, uczynki to grunt! Karol mi służy doprawdy, jak nigdy żaden zapłacony. Wieczór czytałem Józefowi kawałek odpowiedzi Trentowskiego Kozłowskiemu [2]) napisanej z najniegodziwszą złośliwością. Oburzył się Józef i wyszedł z pokoju. (Następnie wykreślone 14 linijek przez syna poety Dionizego).

---

[1]) *Przegląd Poznański*, czasopismo idące po linji reakcji katolickiej, zaczęło wychodzić w r. 1843, redaktorem był ks. Jan Koźmian.

[2]) Kozłowski Feliks ks., przeciwnik Trentowskiego; gorący zwolennik filozofji katolickiej w dziele p. t. *Początki filozofji chrześcijańskiej włącznie z krytyką Br. F. Trentowskiego*, Poznań 1845.

Irena Turowska.

Przegląd piśmiennictwa.

Nowe powieści.

Stanisław Szpotański: Wróżka, Gebethner. — Zdzisław Kleszczyński: Tyran, Gebethner. — Stefan Flukowski: Pada deszcz, nakł. „Kwadrygi". — Stanisław Dzikowski: Egzotyczna Polska, Gebethner. M. H. Szpyrkówna: Karjera Haneczki, wydaw. „Rój". — Jerzy Ostrowski: Kobuz, Gebethner. — Janusz Meissner: Rekord, Gebethner. — Halina Górska: Nad czarną wodą, wyd. „Rój". — Wiktor Przecławski: Samotny naród, nakł. tygod. *Wiarus*. — Jerzy Brzęczkowski: Wraki, Gebethner.

„Wróżka" Szpotańskiego jest książką ciekawą, dobrą i inteligentną. Głównym motywem powieści są zagadnienia medjumizmu, a raczej jasnowidztwa. Zbyt często spirytyzm i hipnotyzm są używane w powieściach jako tani i łatwy efekt, tu przeciwnie: kwestja jest ujęta rzeczowo, fakty opowiedziane mają wszelkie cechy autentyczności, uwagi o nich czynione są ciekawe i rozumne. Problem jest postawiony naukowo, nie urasta w żadną metodę filozoficzną ani religijną, przeciwnie autor zdaje się stać na gruncie nauki chrześcijańskiej (zaledwie jedno lub drugie zdanie trochę niejasne co do reinkarnancji i stosunku ze zmarłymi wymagałoby sprostowania). Opisywane zjawiska są ujęte jako zjawiska sił przyrodzonych, nie dość jeszcze zbadanych i znanych. Jako takie są traktowane poważnie, a wszelkie bawienie się niemi, eksperymenty denerwujące a bezcelowe są potępione, jako rozrywki szkodliwe i niestosowne. Postać jasnowidza Jaszowskiego jest najoczywiściej rysowana dokładnie według postaci Osowieckiego, człowieka, któremu jest przypisywana dziwna siła jasnowidzenia. Cała jego charakterystyka i podawane szczegóły o sposobie w jaki widzi rzeczy dla innych zakryte, są ogromnie ciekawe.

Talent Szpotańskiego ma w sobie coś bardzo rzetelnego, a jego twórczość jest dziwnie silnie związana z rzeczywistością; mamy zawsze wrażenie, że Szpotański pisze o rzeczach i ludziach istniejących, i ta dziwnie wyraźna rzeczywistość jest w jego książkach ciekawa. Są one dla nas rodzajem dokumentów życia. Życie

i ludzie z „Wróżki" noszą też na sobie cechy autentyczności i przez to są nam bliscy i bardzo interesujący. Uwagi zaś czynione na marginesie tego życia są inteligentne, wnikliwe, nieraz zabawne i dowcipne.

Tylko znowu, podobnie jak w powieści o Szeli, powieść jest pod koniec „puszczona". Doskonale skonstruowana fabuła, która trzyma czytelnika w żywem napięciu, nie znajduje należytego rozwiązania. A czytelnik jest istotą ciekawą, to też nie zdziwiłabym się, gdyby autor był nagabywany pytaniami, co właściwie stało się z Gozmurem? Przyznam się, że ta kwestja bardzo mnie intryguje.

A może autor da nam na to kiedyś odpowiedź zajmując się dalej losem bohaterów „Wróżki"? Bo choć ciągu dalszego nie zapowiada, ale treść książki dość go się domaga. Już trudno: powieść ma swoje odwieczne prawa i jakichkolwiek się w niej dopatrujem walorów i intencyj, chcemy zawsze wiedzieć czy Numa wyszła za Pompiljusza...

Taki ciąg dalszy przyjęlibyśmy z radością, bo powieści takie jak „Wróżka" pisane dobrze, kulturalnie i inteligentnie, powieści ideowo zdrowe a moralnie uczciwe są zawsze korzystnym nabytkiem w ubogiej naszej literaturze beletrystycznej.

„Tyran" K l e s z c z y ń s k i e g o jest książką niesłychanie charakterystyczną dla rozpowszechnionych dzisiaj pojęć moralnych. Jest typowym przykładem, jakie są dzisiaj pojęcia etyczne ludzi „porządnych". Dlatego warto jej się bliżej przyjrzeć.

Treść tej książki jest następująca: Marta Gronowska, osoba piękna i młoda, męża swego nie kocha. Jest osobą uczciwą, wszystkie otaczające ją hołdy odpycha. Ale spotkawszy inżyniera Grawinę zakochuje się w nim od pierwszego wejrzenia. Walczy z tą miłością jednak, wyznaje ją Grawinie, potem ucieka przed nim poprzez całą Europę. Po wielu perypecjach i nieporozumieniach spotyka się zakochana para w Wenecji. Tam spędzają młodzi kilka uroczych tygodni, jeżdżąc gondolami i zwiedzając miasto. Do romansu właściwego nie dochodzi, bo Marta chce zostać „uczciwą". Za uczciwy sposób wyjścia z tej sytuacji uważa rozmowę z mężem, a potem rozwód. Tymczasem przychodzi wiadomość, że Gronowski przegrał cały znaczny swój majątek w Monte Carlo. Trójka powieściowa zjeżdża się w Wiedniu. Marta według programu wyznaje mężowi miłość do Grawiny. Gronowski jest złamany i zdesperowany, nie wiemy dobrze czy stratą majątku (swego i żony), czy wyznaniami Marty. Zdaje się, że mimo oziębłego stosunku do niej kocha jednak żonę po swojemu. Marta widząc jego rozpacz postanawia projekty szczęścia z Grawiną odłożyć do stosowniejszej pory. Opuszczenie męża bogatego uważała za rzecz zupełnie uczciwą, ale opuszczenie męża zrujnowanego uważała za podłość. Grawina uznaje ten jej punkt widze-

nia. Tymczasem Gronowski, rywalizując z żoną w szlachetności, nie chce być dla niej zawadą, zwłaszcza, że nie może jej już otoczyć takim zbytkiem jak dotychczas, i popełnia samobójstwo. To samobójstwo Gronowskiego jest przeprowadzone równie „szlachetnie" jak zdrada Marty: Gronowski symuluje wypadek samochodowy, na to, żeby Marta nie miała wyrzutów sumienia. Wypadek ten inscenizuje tak, żeby nikt inny nie był narażony i żeby jak najmniej kłopotu było ze sprowadzaniem ciała jego do kraju. Po wielu jeszcze walkach wewnętrznych, po usunięciu przez Grawinę „skrupułów" Marty co do wyjścia za człowieka, którego kocha, ale którego (słusznie zresztą) uważa za przyczynę śmierci swego męża — (skrupuły Grawiny, o ile miał jakie, rozwiały się zupełnie, gdy dowiedział się, że kilka lat temu Gronowski miał kochankę, która zresztą nigdy nie mogła w jego sercu zwyciężyć miłości do żony) — młoda para pobiera się i cieszy się szczęściem niezmąconem. Sens powieści jest taki, że moc miłości (Tyrana) jest niezwyciężona i próżno jest z nią walczyć.

Z książki tej, w której zresztą niema ani jednego rażącego słowa ani obrazu, wynika, że złamanie wiary mężowi, miłość poza małżeństwem jest zła tylko w pewnych okolicznościach i w pewnych formach; są natomiast sposoby i okoliczności, które robią z niej rzecz uczciwą a nawet szlachetną. Żona, która wyznaje miłość jakiemuś mężczyźnie i przeżywa z nim idyllę miłosną, jest zupełnie uczciwą, o ile nie dopuści do ostateczności. Romans może mieć z tym człowiekiem znowu w sposób uczciwy, o ile o tem męża zawiadomi i oficjalnie go opuści. O ile mąż nie jest na tyle taktowny, żeby się zabić jak Gronowski, sytuację taką sankcjonuje się fikcją rozwodu i fikcją ślubu, a ludzie, którzy w ten sposób nawiązali romans nie pokątny, ale publicznie ogłoszony, są ludźmi porządnymi i szlachetnymi! Tak właśnie miała zamiar postąpić porządna, czysta i szlachetna pani Marta.

Nie chcę być źle zrozumianą: nie dlatego „Tyran" jest książką o fałszywej ideologji, że autor przedstawia konflikt kobiety nieszczęśliwej w małżeństwie i zakochanej w kimś innym; treść książki nie stanowi o jej moralności; może pisarz przedstawiać najgorsze zbrodnie i wykroczenia, o moralności utworu decyduje moralna postawa autora wobec opisywanych faktów i ludzi, fakt czy dobro nazywa dobrem a zło złem, czy też przeciwnie pojęcia te odwraca i myli. W tym wypadku Kleszczyński uważa postępowanie Marty za doskonałe i wysoce szlachetne, podczas gdy my musimy je uważać za z gruntu złe i fałszywe. To też książka ta o wszystkich pozorach książki dobrej i uczciwej, pisana najwidoczniej w dobrej wierze i będąca na pewno i w przekonaniu autora i wielu czytelników książką wysoce etyczną — jest najlepszym dowodem jak bardzo niestety pojęcia t. zw.

etyczne odbiegły od jedynie zdrowych i pewnych podstaw bezkompromisowej etyki katolickiej.

Pod względem literackim „Tyran" nie przedstawia żadnego interesu. Jest to książka o zręcznie zrobionej i zajmującej choć trochę trącącej sensacją fabule, poza tem zupełnie płytka i przeciętna.

Choć możnaby dużo zarzutów zrobić książce Flukowskiego „Pada deszcz", to jednak dla uniknięcia nieporozumień trzeba ją odrazu zaliczyć do prawdziwej literatury i to do dobrej literatury. Jest pisana dobrze i wykazuje u młodego autora talent rzetelny, silny i bardzo obiecujący.

Książka ta nasuwa uparcie na myśl porównania z dziedziny plastyki. Pierwsza nowela „Zapach księżyca" (słusznie przez autora nazwana opowiadaniem irracjonalnem) przypomina jakieś chaotyczne studja i szkice ołówkiem; nie można dokładnie zrozumieć co przedstawiają, ale pojedyncze szczegóły są kreślone plastycznie i sugestywnie. Nowele z życia zwierząt („Sen psa i sen kota") są raczej słabe. Najciekawszy i najlepszy jest utwór ostatni (nowelą nazwać go nie można) „Listy do matki", zajmujący pół książki. Te „Listy do matki" to silny, mocny w wyrazie drzeworyt, jakiś rysunek czarny i biały o wypukłych, plastycznych konturach. Jest w tym utworze duża siła, jest głębokie męskie uczucie, ale przedewszystkiem jest obraz, nastrój, plastyka. Słowa są ważkie, pełne wyrazu, wypukłe. Każde z nich to mocne, śmiałe cięcie dłutem. Ma się wrażenie, że autor ma swój kąt widzenia otaczającej go rzeczywistości, a co najważniejsze — ten swój sposób widzenia umie nam narzucić. Umie sprawić, żebyśmy przez jego okulary na ludzi i rzeczy spojrzeli. A to jest pierwszym warunkiem talentu. Trzeba ufać, że młody autor pozbędzie się jeszcze pewnych rozwlekłości, pewnych jakby dla efektu wkładanych niejasności i mglistości, pewnych bardzo młodzieńczych ponurości i że polska proza zyska w nim rzetelnego i pełnego talentu pracownika, pisarza znającego wagę słowa i jego twórczą, sugestywną moc.

Należy żałować, że książka ta tak dobrze pisana jest zepsuta kilkoma (dosłownie mówię kilkoma) drastycznemi obrazami i wyrażeniami zawartemi w dwóch nowelach („Zabić lisa" i „Sen kota"). Szkoda jest tem większa, że całość daleka jest od tak często dziś w beletrystyce spotykanych nastrojów erotycznych i niezdrowych, a wyżej wspomniane obrazy są w opowiadaniach nieistotne i łatwo ich było uniknąć. Niemniej jednak są zbyt ostre, aby móc przejść nad niemi do porządku dziennego.

Wielu ludzi uważa myślistwo za zabytek barbarzyński i okrutny, a jednak łowy mają w sobie coś dziwnie pociągającego i uroczego, coś świeżego i fascynującego. Przekonywuje nas

o tem raz jeszcze ładna i pełna wdzięku książka Dzikowskiego „Egzotyczna Polska".

Autor ze strzelbą na ramieniu przebiega poleskie błota, Litwę, Wołyń, Białą Ruś, Żmudź. A choć jego zapał myśliwski nie pozwolił mu przeoczyć ani żadnego cietrzewia, ani nawet marnej kaczki, to jednak w swoich włóczęgach widzi on także i otaczający go pejzaż, i kraj i ludzi. Widzi i rozumie ciężkie i pracowite życie dzisiejsze na wschodnich naszych kresach, ocenia jego warunki, widzi potrzeby, pamięta o świetnej, bohaterskiej przeszłości tych ziem, ciągle niszczonych i ciagle odkwitających życiem tak bujnem i bogatem, o jakiem my, ludzie uporządkowanego i dokładnie a skąpo odmierzonego zachodu, pojęcia nie mamy.

Któryś z krytyków zarzucał Dzikowskiemu, że opisom swoich myśliwsko-krajoznawczych wypraw dał tytuł „egzotyczna" Polska. Niestety tak mało znamy nasz kraj, że tytuł ten jest zupełnie usprawiedliwiony; zresztą egzotycznem wydaje nam się to, czego nie widujemy na codzień, co jest inne od otaczającego nas życia. Przyjechawszy w taką nową a więc pełną tajemnic i niespodzianek okolicę dostrzegamy w niej urok, barwę i charakter, których nie widzą ludzie tam mieszkający.

A ponieważ autor „Egzotycznej Polski" ma najwidoczniej dar, aby odczuć wszystko, co piękne i charakterystyczne dookoła niego, niechby ze swoją strzelbą jeździł dalej po Polsce; wszędzie, nietylko na kresach trafiłaby się jakaś zwierzyna, a wszędzie dostrzegłby piękno teraźniejsze i legendę bogatej przeszłości. I może warte opisu wydałyby mu się nietylko poleskie błota, i północne wrzosowiska, ale i wzgórza miechowskie miękką falą opływające horyzont, i szalejąca w swem bogactwie roślinność na pachnącym życiem proszowskim czarnoziemie, a kieleckie drogi dostarczyłyby na pewno sumy egzotycznych i pełnych emocyj wrażeń...

Książki takie, jak książka Dzikowskiego, są nietylko miłe do czytania, ale i pożyteczne: uczą nas bowiem znać i kochać całą Polskę i na pewno dzielnie się przyczyniają do tak ważnego dziś dzieła unifikacji ziem naszych.

„Karjera Haneczki", M. H. Szpyrkównej jest książką zarazem i ładną i irytującą. Jest ładna rzewnym, ciepłym iście kobiecym sentymentem, jakimś głębokim a mądrym liryzmem refleksji, a przedewszystkiem pewnym urokiem bajki, bajki-powieści z nieprawdziwego zdarzenia. Takie powieści pisywano zanim wymyślono, że powieść ma być realistyczna, psychologiczna, społeczna i t. d., ot tak, poprostu dla radości mówienia, a i czytania, o rzeczach ładnych, miłych, ciekawych a nieistniejących w życiu. Książka ta daje nam przyjemny odpoczynek po powieściach, które mają pretensję malować życie takiem jakiem ono

jest; jest ona dobrowolnie i świadomie nieprawdopodobna i zabawnie nie liczy się z żadnemi możliwościami i prawdopodobieństwami.

Jest w niej prześliczna panienka, oczywiście sierota, wychowywana przez zacnych staruszków w puszczy Białowieskiej. Jest tam zdrowa, szczęśliwa, skromna i dobra. Jest jakaś „fée carabosse", stara dziwaczna ciotka, oczywiście bogata, otoczona psami i papugami, której kaprys wyrywa młodą dziewczynę z jej puszczy. Jest i zacny młodzieniec, kochający Haneczkę, chmurny, szlachetny i dumny, i sielskie zaręczyny gałązką bzu, i przewrotna złotowłosa kokietka, i miłość romantyczna do pięknego tenora, spotkania z nim w księżycowe noce nad morzem, i czarny przewrotny charakter uwodziciela, i intrygi pieniężne i wyłudzanie pereł. Są pałace, miljony, zabawy, podróże, przeczucia, Riviera. Przed oczarowanemi oczyma dziewczynki z puszczy otwierają się tajniki zbytku, tajniki szmatek, strojów, flirtu i... pieniędzy.

Wszysko to jest ładne i pełne wdzięku. Jest to inteligentnie artystycznie zrobiona „comedia del arte" powieści. A stereotypowa bohaterka Kopciuszek-królewna to także sylwetka szczerze, prawdziwie i bardzo odważnie kobieca.

Ale ta całość ładnie pomyślana i ładnie w ogólnych zarysach wykonana jest zepsuta szczegółami dziwnie irytującemi: te panie z arystokracji, które biegają po parku w szalach zarzuconych na nocne koszule (nie w żadnych złych intencjach, tylko tak uważając to za strój na wsi zwyczajowo przyjęty), ten praktykant, który się nie dość przykłada do „młockarni", ten pensjonat, w którym uczą jedynie dobrych manier i „five ocklоków", te hrabiny i księżne, które co drugie słowo mówią, że „osoby z naszej sfery się nie dziwią", „nie rozglądają" i t. d. to wszystko szczegóły i obrazki, które przypominają Mniszchównę z jej najgorszego okresu, a raczej parodję jej książek „Na ustach grzechu". Dość jesteśmy przyzwyczajeni w Polsce do powieści z życia arystokracji, pełnych najnieprawdopodobniejszych bredni tego rodzaju, ale rażą nas te rzeczy u pisarki tej miary co Szpyrkówna i choć to rzeczy małe, jednak jakąś fałszywą nutą psują jej śliczną, na naiwnie i nieprawdopodobnie stylizowaną powieść. A tak łatwo było tego uniknąć, trochę subtelniej cieniując szczegóły. Godzimy się chętnie na naiwny, fantastyczny obrazek, ale rażą nas w nim błędy rysunkowe.

Do uwypuklenia tych rażących nas błędów przyczynia się na pewno już nie niedbała, ale wprost niechlujna korekta.

Dodawać nie potrzeba, że książka Szpyrkównej jest książką z gruntu uczciwą i porządną i że jako dobrą i miłą rozrywkę można ją polecić każdemu.

Na końcu dowiadujemy się, że ciąg dalszy powieści ukaże się niebawem p. t. „Skłamane szczęście", a jakiekolwiek zarzuty możnaby autorce stawiać, każdy co czytał „Karjerę Haneczki",

przeczyta na pewno i ten ciąg dalszy, aby się dowiedzieć jak najprędzej jakie były dalsze losy bohaterki uwikłanej w małżeństwo z ponurym a tajemniczym hrabią węgierskim!

„Kobuz" Jerzego Ostrowskiego to powieść egzotyczna, osnuta na tle życia kolonistów w brazylijskim interiorze. Spotykamy tu te same charakterystyczne szczegóły o tamtejszych stosunkach, co w niedawno tu omawianej powieści tegoż autora „Cathangara". Ale trzeba przyznać, że fabuła pierwszej powieści była żywsza i bardziej zajmująca. „Kobuz" to raczej szereg szkiców z nad brzegów Rio Negro, związanych ze sobą luźno historją tytułowego bohatera Polaka, zawadjaki i awanturnika. Choć sama powieść nie przedstawia szczególnego interesu, to jednak dzieje zakładania nowej kolonji w głębi niedostępnych lasów tropikalnych są dosyć ciekawe. To też prawdopodobnie książka ta zainteresuje wiele osób, zwłaszcza z pośród młodzieży, która zawsze lubi opowiadania o stosunkach nieznanych i przygodach nadzwyczajnych.

W serji książek „Liljowych", wydawanych przez Gebethnera, ukazał się nowy tom nowel Meissnera „Rekord".

Meissner jest, jak wiadomo, lotnikiem, przeważna część jego utworów to opowiadania lotnicze i trzeba przyznać, że w tych opowiadaniach celuje. Umie jak nikt oddać poezję i emocje lotu, przekonywująco przedstawić przeżycia, nastroje i radości człowieka w powietrzu, człowieka, który ptakowi ze stali życie swoje powierzył, który się z nim zżył i opanował go. To też i w świeżo wydanym zbiorze nowele mające za temat ten bliski autorowi żywioł są najlepsze. Przeżywamy szczerze grozę lotu polarnego profesora Risoëra, śmiejemy się serdecznie z pilota-patałacha, który nie umie wylądować i jadąc z Warszawy do Włocławka trafia do Dęblina, a opowiadaniami o swoich bohaterskich czynach podbija serca wszystkich panien...

Natomiast nowele inne są słabsze. Są pisane jak wszystkie rzeczy Meissnera żywo, barwnie i z miłą prostotą, ale tak nic nowego nie przynoszą, że czytając je zawsze mamy żal, że autor nie mówi nam o tem, o czem tak pięknie i zajmująco mówić umie.

Opisywane przez niego romanse i romansiki nie są ani bardzo ciekawe ani zawsze bardzo budujące. Moralną ich stroną zresztą mało się autor zajmuje; romans, rozwód, powtórne małżeństwo to rzeczy w jego opowiadaniach obojętne i drugoplanowe. Ale właśnie dlatego, że nie podchodzi do tych zagadnień wogóle z punktu moralnego, że ich nie sądzi i nie omawia a raczej szkicuje je jako tło czy to do opisania szczególnych warunków lotu, (jak w „Rekordzie") czy do efektywnego „coup de théâtre" (jak w noweli „Przez radjo") trudno więc wytaczać mu o to

procesu, a mimo — powiedzmy — tych etycznych niedokładności, książki jego żadną miarą potępić nie można.

Wszystko razem wziąwszy, jest to książka, która nikomu zaszkodzić nie może, a czyta się ją dość miło i gładko.

„Nad czarną wodą" Haliny Górskiej jest powieścią w rodzaju powieści Korczaka, pisaną niby to dla dzieci, a przeznaczoną dla dorosłych, właściwie dla pedagogów. Jest to historja grupy dzieci ze sfer najbiedniejszego proletarjatu miejskiego, zbierających się w świetlicy dla nich założonej. Książka jest pisana inteligentnie i dobrze, jest szczera, miejscami wzruszająca, zwłaszcza gdy opisuje straszne warunki, w których te dzieci żyją i wychowują się.

Nie przynosi jednak tak jak książki Korczaka żadnych specjalnie ciekawych przyczynków do pogłębienia psychologji dziecka. Postacie są dość szablonowe i trochę za wiele deklamacji o szlachetności, prawości i innych wzniosłych uczuciach. Uderza zupełne pominięcie motywów religijnych w pracy nad wyrobieniem moralnem i duchownem dzieci. Zresztą zasady wygłaszane są uczciwe, szlachetne i rozumne i absolutnie w niczem ani pojęć religijnych ani katolickiej etyki i moralności nie obrażają.

Nakładem tygodnika „Wiarus", organu podoficerów, wyszła w rocznicę bitwy grochowskiej powieść historyczna, osnuta na tle powstania listopadowego „Samotny naród" W. Przecławskiego.

Jest to dzieło raczej popularne, przedstawiające dokładnie i przystępnie wojskową historję roku 1831, gdy niedołęstwo wodzów zmarnowało najlepsze siły narodu i nie umiało wyzyskać najkorzystniejszych warunków walki. Dość banalny wątek powieściowy jest najsłabszą stroną tego utworu, natomiast sylwetki historyczne są skreślone prawdziwie żywo i przekonywująco, a niektóre sceny odznaczają się głęboko dramatycznem napięciem. Cała książka jest przeniknięta żywym i szlachetnym patrjotyzmem i jako przyczynek do poznania naszej przeszłości i podnieta do jej umiłowania, nadaje się do popularyzowania jej w najszerszych kołach.

Tytuł powieści Brzęczkowskiego „Wraki" jest symboliczny. Wrak to okręt rozbity, szczątek okrętu, bądź to zatopiony, bądź pływający po morzu jak straszące widmo. Wrakami w tej powieści jest dwoje ludzi, rozbitków życiowych, Polak Derecki, ex-oficer rosyjskiej marynarki, który dostawszy się do Polski pędzi marny żywot jako urzędnik jakiegoś przedsiębiorstwa a tęskni ustawicznie za morzem — i Rosjanka, emigrantka, która była żoną pułkownika carskiego a także zdaje się dziewczyną

uliczną, szpiegiem i agitatorem; mówię „zdaje się", bo z powieści Brzęczkowskiego nie wie się wielu rzeczy na pewno.

Na udręczenie czytelników te dwa wraki nie poszły na dno, tylko rzucone przez los na polskie wybrzeże w Hallerowie (zresztą w charakterze kuracjuszów, nie topielców) rozprawiają przez cały tom o rzeczywistościach byłych, teraźniejszych i przyszłych, o stawaniu się życia, o różnych trawiących ich tęsknotach i wspomnieniach. Jak przystało na umysły wyższe, rozmawiają w sposób tak górnolotny, że nieraz trudno ich zrozumieć. Jak przystało na bohaterów powieści niebanalnej, są zawsze popychani jakiemiś impulsami wewnętrznemi, gdzieś biegną, gdzieś jadą, coś mówią, sami nie wiedzą dlaczego — zdaje się im — tak przynajmniej twierdzą, że im się mięszają rzeczywistości. To jest bardzo prawdopodobne, bo i czytelnik często nie wie, czy jest mowa o teraźniejszości, czy o przeszłości.

Te wszystkie wewnętrzne udręczenia i wątpliwości kończą się oczywiście romansem... w wieży, romansem kilkudniowym. Trzeba przyznać, że autor oszczędził nam bliższych szczegółów tego romansu, natomiast korzystając z faktu, że powieść odbywa się nad morzem nie poskąpił szczegółów anatomicznych o spotykanych na plaży kuracjuszach.

Najlepszą częścią tej powieści są uwagi, a raczej długie monologi Rosjanki Maryny o spotykanych w restauracjach i dancingach ludziach. Uwagi te są inteligentne i wykazują dużo spostrzegawczości. Te wnikliwe refleksje o społeczeństwie powojennem, zresztą dość zgryźliwe i pesymistyczne, są jedynemi przebłyskami talentu młodego autora. Jeśli talent ten istnieje, czego mimo słabości utworu zaprzeczyć się nie da, to wiele jeszcze pracy leży przed młodym pisarzem, zanim motyl wydobędzie się z krępującego go kokonu.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Ks. Dr. K. Gołębiewski C. S. S. R.: Psychologja twórczości Słowackiego. (Okres przedmistyczny). Toruń 1930. Nakładem Koła Toruńskiego Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych.

Dziedzina psychologji twórczości była w naszej nauce przez długie czasy mocno zaniedbana i ostatnie dopiero lata przyniosły ciekawsze w tym kierunku próby. Zainteresowaniem cieszyła się tutaj przedewszystkiem postać Słowackiego.

Badania te jednak były naogół tylko epizodycznie traktowane, szersze zadanie zakreśliły sobie jedynie prace psychoanalityczne. Prace te jednak dbały nietyle o zebranie faktycznego materjału, ile raczej o apriorystyczne niejednokrotnie snucie wniosków, któreby się pokrywały z naczelnemi koncepcjami freudyzmu.

Dopiero studjum ks. Gołębiewskiego pierwsze zajęło się ustaleniem w sposób systematyczny tych wszystkich czynników, które się składały na psychologję twórczości Słowackiego. Naturalnie w szkicowanej rozprawie nie mógł autor wyczerpać tak bogatego tematu zacieśniając go ze względu na źródła i zakres, oraz ograniczając go do okresu przedmistycznego. Ze względu na zakres ominął badacz najciekawszą, ale i najtrudniejszą psychogenetyczną stronę zagadnienia; pod względem źródłowym autor wyprowadzał swoje tezy bardziej na podstawie, mniej czy więcej wyraźnych zwierzeń samego poety, aniżeli na podstawie analizy jego dzieł, które pośrednio dopomogłyby nieraz do należytego oświetlenia problemu. Punktem wyjścia dociekań, który daje autorowi zarazem klucz do wyjaśnienia mechanizmu twórczości Słowackiego jest jedno zdanie z listu z dn. 20 X 1831 gdzie poeta pisze:

„Wojaż daje bardzo wiele wyobrażeń, szkoda tylko, iż wszystko ukazuje się mniej pięknem, jak było w imaginacji i potem zostają w pamięci dwa obrazy: jeden taki, jak powinien być oczami wymalowany, drugi piękniejszy dawniej wytworzony w imaginacji. Kiedyś wytworzy się trzeci, najpiękniejszy z imaginacji i sennego przypomnienia i połączy w sobie wszystko najpiękniejsze z tych dwóch obrazów".

Subtelna analiza tego wyznania, oparta na wnikliwie zebranych zwierzeniach samego poety, pozwala autorowi na bliższe określenie, jaką rolę odgrywały w twórczym procesie poety przeżycia rzeczywiste, marzycielskie, oraz estetyczno-twórcze. Uzyskane na tej drodze wyniki nie przynoszą wprawdzie jakichś rewelacyjnych nowości, niemniej mają one przecież dla ogólnej orjentacji dużą wartość, dając obfity materjał uporządkowany w obraz jasny i przejrzysty. Ścisły objektywizm badacza sprawia że dzieło ks. Gołębiewskiego korzystnie odbija od różnych śmiałych psychologicznych hipotez. Nigdzie za grosz dowolności, wszystkie twierdzenia ostrożnie postawione są zawsze uzasadnione odpowiedniemi cytatami.

Jedno może zarzucilibyśmy wzmiankowanej rozprawie: praca pisana ogromnie oszczędnie, nosi tak dalece charakter analityczny, że autor ani razu nie pokusił się o szerszą syntezę, nie umieścił nawet pożądanej reasumpcji swych dowodów na końcu. Nie pomylimy się prawdopodobnie przypuszczając, że przedsięwzięcie to odłożył aż do zupełnego wyczerpania tematu, t. j. do chwili ogarnięcia całego życia poety. Jeśli tak to należałoby badaczowi szczęśliwego wykonana planu jak najprędzej życzyć, sądząc bowiem po dotychczasowych rezultatach będzie to dzieło zarówno użyteczne jak i interesujące.

Dr. J. M. Święcicki.

Ks. Dr. Józef Lubelski: Historja Kościoła katolickiego. Tarnów 1931, str. 176.

Podręcznik szkolny, dotyczący dziejów i rozwoju Kościoła, ma z natury rzeczy na oku nietylko cele dydaktyczne, ale i pedagogiczne. To też musi uwypuklać momenty jasne i budujące, a możliwie jak najmniej poruszać sprawy przykre, nieodłączne od wszelkich działań ludzkich. Jednakowoż powyższa tendencja, usprawiedliwiona i słuszna, o ile utrzymana w właściwych granicach, nie może się posuwać za daleko. Z tą chwilą bowiem wypacza ona całokształt obrazu, zwłaszcza jeżeli łączy się z jednostronnością w ocenie osób i prądów przeciwnych Kościołowi. Ten sposób ujmowania dziejów koliduje nawet z głębiej pojętemi zasadami miłości i sprawiedliwości chrześcijańskiej, które nakazują uszanować cnotę nawet u przeciwnika i nikomu nie przypisywać *par force* złych intencyj, chyba, że się ma na to zupełnie pewne dowody. Powyższe zasady obowiązują nietylko w stosunku do żywych, lecz również wobec zmarłych i katolicki historyk powinien ich bezwzględnie przestrzegać. O ile chodzi o podręcznik szkolny, to w grę wchodzą nadto poważne względy pedagogiczne. Książka napisana z wyraźną tendencyjnością, nie zdobędzie autorytetu wśród młodzieży, która orjentuje się dobrze co do jej wartości, bo te same rzeczy częściowo przerabia na godzinach historji powszechnej. Jeżeli tedy świecki podręcznik historyczny (np. W. Zakrzewskiego) wykazuje wyższość nad podręcznikiem kościelnym, to spostrzeżenie powyższe zaczerpnięte z własnej obserwacji może doprowadzić umysły młode i niedość wytrawne do błędnego przeświadczenia o niższej wartości nauki i kultury katolickiej. Oczywiście tak fatalnych rezultatów pedagogicznych trzeba się wystrzegać jak najusilniej i dlatego musimy dołożyć wszelkich starań, by nauka historji kościelnej nie ustępowała w niczem kursowi świeckiej historji, szczególnie pod względem objektywizmu i krytycyzmu. Również w tej ostatniej dziedzinie dawniejsze podręczniki historji kościelnej nie były wolne od zarzutów, bo podawały jako fakty historyczne wiadomości legendarne lub niepewne i nie uwzględniały należycie wyników najnowszych badań naukowych. Z prawdziwą tedy przyjemnością należy skonstatować, że książka ks. Lubelskiego, która niedawno opuściła prasę drukarską, odbija korzystnie od swych poprzedniczek dawniejszego typu. Nie zdołała się może uwolnić zupełnie od tradycyjnego nastawienia, lecz postęp ku lepszemu jest widoczny i wiele pocieszający. W drażliwej kwestji opowieści niepewnych obrał autor właściwą drogę, bo albo opuszcza te wiadomości, albo zaznacza ich wątpliwy historyczny charakter, względnie podaje je na odpowiedzialność cytowanego źródła. Usterki się znajdą, lecz niema ich stosunkowo wiele. Tak np. historyczność legji tebańskiej św. Maurycego nie bardzo

jest murowana. Ważniejszym jest brak uwypuklenia niezwykle charakterystycznej cechy ustroju pierwotnego chrześcijaństwa t. j. decentralizacji i stopniowego przejścia do systemu centralistycznego. Przy sporze o inwestyturę nie podkreślono jego skomplikowanego charakteru. Sprawa św. Stanisława przedstawiona naogół dobrze, ale nie widzę potrzeby podtrzymywania tradycji o zabójstwie św. Stanisława na Skałce, skoro prawdopodobniejszą jest teza T. Wojciechowskiego, że św. Stanisław zginął na skutek wyroku sądowego; okoliczność nie przedstawiająca zresztą żadnego znaczenia dla oceny wartości moralnej patrona krakowskiej diecezji. Wszystkie te niedociągnięcia nie uwłaczają jednak wartości podręcznika, tem bardziej, że w dużej mierze zostały spowodowane brakiem miejsca. Autor ujął bowiem rzecz krótko ze względów praktycznych, aby łatwiej można było wyczerpać materjał w seminarjach nauczycielskich i szkołach zawodowych, gdzie uczy się historji kościoła tylko przez jeden rok. Książka da się zastosować również w gimnazjach, które przerabiają powyższy przedmiot przez dwa lata, ponieważ przy ważniejszych ustępach podana jest starannie dobrana lektura, pozwalająca pogłębić i rozszerzyć dotyczący materjał. Układ jest przejrzysty, podział dziejów prosty na trzy okresy: starożytny, średniowieczny i nowożytny, dużo miejsca poświęcono wypadkom najnowszym, dzięki czemu uczeń zostaje wprowadzony w aktualne zagadnienia współczesnego życia katolickiego. Liczne ilustracje objaśniają i urozmaicają treść, szczególnie ustępy, poświęcone sztuce kościelnej. Wolno się w tedy spodziewać, że książka ks. prałata Lubelskiego odda rzetelne usługi naszej szkole średniej i znajdzie zarazem chętnych czytelników wśród szerszych warstw inteligencji katolickiej, pragnących pogłębić swą wiedzę religijną.

Mieczysław Niwiński.

Władysław Eugenjusz Czapliński: Opozycja wielkopolska po krwawym potopie (1660–1668). Kraków 1930. Prace Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego. Nr. 8.

Tytuł niewiele mówi zwykłemu czytelnikowi, a przecież chodzi tutaj o dramatyczne niezwykle karty. Wszak przedmiotem dzieła jest jedna z wielkich prób reformy Rzeczypospolitej, sprawa elekcji *vivente rege*, którą udaremnił rokosz Lubomirskiego— moment przełomowy nietylko dlatego, że walka *inter Maiestatem et Libertatem* dochodzi teraz do szczytowego napięcia, ale też i w polityce szerokich rzesz szlacheckich odbędzie się zasadniczy przewrót. Podkopaną zostanie ostatecznie ciągnąca się od Władysława IV orjentacja francuska, antagonizm sarmacko-rakuski stępi swe ostrze, a przemianom tym patronować będzie po-

stać Wielkiego Elektora, w którym szlachta widzi nie swego przyszłego wroga, ale — wręcz przeciwnie, protektora złotej wolności.

Naturalnie przeważającą rolę musiała odegrać w rozwoju wypadków szlachta wielkopolska. Z punktu widzenia tak zaniedbanej historji polskiego regjonalizmu, czeka jeszcze na opracowanie ciekawe studjum, któreby mogło szczegółowo przedstawić dosyć osobliwą postawę tej prastarej dzielnicy, od Ludwika Węgierskiego po dzień dzisiejszy zajmującej odosobnione niejako stanowisko, a wobec rządu uprawiającej zwykle opozycję.

Postulatowi temu w granicach określonych tematem czyni w zupełności zadość praca dr. Czaplińskiego. Ale nietylko pod tym względem posiada monografja niemałe znaczenie. Losy Wielkopolski zbyt ściśle zostały splecione z osobą Lubomirskiego, żeby i jemu autor nie musiał więcej poświęcić miejsca. Wprawdzie zagadnienie powyższe rozwinął szeroko Korzon w swojej „Doli i niedoli", niemniej jednak do dna samego sprawy nie dotarł, materjału całego nie wyczerpał. To też losy rokoszu i rokoszanina zyskują w omawianem dziele, dzięki nowym szczegółom na ciekawem oświetleniu, a nadewszystko wyraziście się uwydatnia wysunięta już kilkakrotnie w historjografji teza, idąca w kierunku odgraniczenia ideologji mas szlacheckich i buntowniczego marszałka. Jak z przytoczonych faktów wynika, szlachta miała nietylko świadomość, że występuje przeciw bezprawnemu postępowaniu Jana Kazimierza, ale także uważała się w prawie do wystąpienia z orężem w dłoni, na podstawie konstytucyj uchwalonych z analogicznej okazji — po rokoszu Zebrzydowskiego. Szczupłe ramy tematu nie pozwoliły historykowi na poruszenie prawnej strony rokoszu, jąk też i uniemożliwiły mu rozplątanie pewnej do dziś dnia dostateczne nierozświetlonej zagadki — dlaczego zwycięski rokoszanin zgiął po mątewskim triumfe swoją głowę przed znienawidzonym władcą.

Nie brak również w tej pracy interesujących nowości. Uwypuklenie więzów łączących Wielkopolskę z Brandenburczykiem szczegółowe opracowanie leaderów republikańskiego ruchu Leszczyńskiego oraz Grzymułtowskiego, demagoga szlacheckiego i płatnego dworaka na przemiany, a nadewszystko przedstawienie budzącego się ruchu szlacheckiego, spowodowanego królewską nieoględnością — oto najważniejsze zdobycze.

Drobne niedomagania pracy łatwe są do wytłumaczenia. Autor dbając o zachowanie wzorowego objektywizmu, unika często wypowiedzenia swojego zdania, wskutek czego niekiedy ostateczny jego sąd, jak np. w sprawie rokoszu Lubomirskiego, jest nieustalony, co zresztą należy złożyć na karb niedostatecznych źródeł. Nie winą też historyka, ale ograniczonych ram wydawnictwa jest zbyt lakoniczny wstęp oraz nazbyt prędkie zakończenie, które to usterki zaciążyły nieco na kompozycji całości. Niedociągnięcia te

w niczem nie ujmują dziełu rzetelnej wartości; jeżeli dodamy, że rzecz napisana żywo i przejrzyście, to uznać musimy, że dorobek naszej historjografji powiększył się o jedną cenną pozycję.

Dr. J. M. Święcicki.

Rocznik Wołyński. Tom II. Pod redakcją Jakóba Hoffmana. Równe 1931. str. X+584, 2 mapy i 1 tablica barwna.

Nauczycielstwo wojewódz. wołyńskiego, zgrupowane w Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych Okręgu Wołyńskiego, podjęło szczęśliwą myśl wydawania corocznej publikacji, zawierającej monograficzne badania regjonalne terenu ich pracy. Nie licząc narazie na możność wypełniania pierwszych roczników własnemi wyłącznie badaniami, zwrócono się do przedstawicieli nauki polskiej z prośbą o nadsyłanie prac, dotyczących Wołynia. Inicjatywa ta spotkała się z nader życzliwą odpowiedzią i szereg uczonych obiecał swą współpracę. O rozwijającem się zainteresowaniu i wzroście badań nad Wołyniem świadczy fakt, że gdy pierwszy tom „Rocznika Wołyńskiego" liczył 164 strony i mieścił w sobie osiem rozpraw, obecny drugi tom liczy 584 stron, a zawiera 19 prac.

Jedenaście początkowych rozpraw obejmuje historję Wołynia od najdawniejszych czasów, aż po okres wojny światowej. Znajdujemy więc opracowania: „Wołyń pod panowaniem Litwy" (Dr. St. Zajączkowski). „Wołyń w Koronie (1569—1795)" (Dr. Wł. Tomkiewicz), „Udział Wołynia w powstaniu Kościuszkowskiem" (Jadwiga Hoffman), „Wielka prowincjonalna loża Wołyńska" (St. Małachowski-Łempicki), „Życie literackie Krzemieńca w latach 1813—1816" (M. Danilewiczowa), „Wołyń w walce 1831 r." (Jakób Hoffman), „Boremelskie boje" (St. Przewalski), „Legja litewsko-wołyńska 1831 r." (Jadwiga Hoffman), „Pamiętnik (1863 r.)" (A. J. Chranicki), „Wołyniacy na Syberji" (Dr. M. Janik) i „Walki o redutę Piłsudskiego" (Jakób Hoffman). Wszystkie powyższe prace z wyjątkiem autentycznego pamiętnika Chranickiego, uczestnika walk powstania styczniowego, oraz pamiętnikarsko ujętych wspomnień J. Hoffmana, o walkach na reducie Piłsudskiego, są opracowane z pełną naukową sumiennością, zaopatrzone w odsyłacze i bibljograficzny wykaz literatury. Poza swym, lokalnym charakterem dają szereg cennych nieraz przyczynków do historji całej Polski. Szkoda jedynie, że z przyczyn niezależnych od redakcji nie mogła znaleźć się w tym roczniku, odłożona do następnego tomu praca o Wołyniu za Rurykowiczów.

Historję sztuki reprezentuje praca Dr. M. Walickiego, omawiająca „Średniowieczne cerkwie Włodzimierza", ilustrowana artystycznie wykonanemi fotografjami resztek romańskich zabytków średniowiecznego budownictwa.

Nauki przyrodnicze objęły trzy tematy, a mianowicie: „Z ge-

ologji Wołynia" przez St. Matkowskiego, oraz dwie botaniczne rozprawy „Zespół wisienki stepowej i jego sukcesja" przez Józefa Panka i „Badania nad geograficznem rozmieszczeniem i biologją azalji pontyjskiej w Polsce", podane przez St. Mackę, (przedruk z Rozpr. Wydz. mat.-przyr. Pol. Ak. Um. tom LXIX dz. B. Nr. 4.). „Obrzędy i wierzenia ludowe w okresie świąt Wielkiej Nocy", próbę studjum etnograficznego podaje znany już z podobnej pracy, umieszczonej w tomie pierwszym, p. Nazar Dymnycz.

Jako bodziec do prac z dziedziny geografji Wołynia należy uznać pracę Dr. W. Ormickiego, podającą wskazówki, jaką wartość mają „Samodzielne badania geograficzne na prowincji". Specjalną zaś wartość posiadają „Nazwy topograficzne zebrane we wsi Gródek pow. rówieńskiego" przez p. Piotra Kołomyja, — jest to bowiem próba wciągnięcia w regjonalne badania naukowe miejscowej ludności. Ten obfity szereg rozpraw kończy „Bibljografja Wołynia" przez Jakóba Hoffmana, a uzupełniają indeksy i spisy. Podkreślić należy, że prawie każda praca posiada francuskie lub niemieckie streszczenie wyników badań, co stawia „Rocznik Wołyński" w rzędzie wydawnictw naukowych ważnych i dla zagranicznej nauki. Sumienny i umiejętny dobór ilustracyj, duża i przejrzysta mapa Wołynia, dołączona na końcu tomu, czynią z tego wydawnictwa pierwszorzędny wzór pracy regjonalistycznej. Toteż z zainteresowaniem należy oczekiwać niemniej zapewne wartościowych, dalszych tomów „Rocznika Wołyńskiego".

Dr. Marjan Pelczar.

Kościół katolicki w Rosji. Materjały do jego historji i organizacji. Wydawnictwo Sekretarjatu Arcybiskupa mohylowskiego, metropolity Rosji. Zeszyt I. Warszawa 1932, str. 123. Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha, Poznań. Cena egz. zł. 5.—.

Sekretarjat przebywającego na wygnaniu w Warszawie metropolity katolickiego Rosji zapoczątkował pożyteczne wydawnictwo, mające gromadzić materjały do historji Kościoła w dawnem imperjum carskiem, a obecnie ateistycznej Bolszewji. A żeby wydawnictwo zainteresowało i obcych, każdy artykuł obok tekstu polskiego ma być podany również w tłumaczeniu francuskiem. Pierwszy zeszyt, mogący być uważanym rodzaj „wstępu" do wydawnictwa, mieści pięć prac. Pierwszą z nich jest szkic: „Prace Jezuitów w Rosji", skreślony przez ks. J. Urbana. Drugą — ks. Dra D. Kołpińskiego: „Początki katolicyzmu obrz. wsch. w Rosji". Następnie ks. arcybiskup F. Karewicz daje wspomnienia „Z dziejów pracy unijnej w Rosji"; ks. prałat w. Płoskiewicz przedstawia jaką była „Władza biskupów katolickich w świetle prawodawstwa b. Imperjum rosyjskiego"; nareszcie p. A. Loster kreśli historję „Towarzystwa św. Wincentego à Paulo w Rosji". Prace te, z wyjątkiem studjum ks. Płoskiewicza, są albo tylko szkicami, albo

wydobytemi z pamięci wspomnieniami, może w szczegółach nie dość pełnemi i ścisłemi, ale są to zato wspomnienia ludzi, którzy w opisywanych wypadkach brali sami czynny udział. Wydawnictwo to powinno zainteresować polskie społeczeństwo, a dostępna cena pomoże do uprzystępnienia książki.

Ks. J. Urban.

Ks. Dr. Emil Szramek: Ks. Jan Kapica. Życiorys a zarazem fragment z historji Górnego Śląska. Katowice 1931, nakł. Komitetu uczczenia pamięci ks. Inf. Kapicy. Str. 94 i 1 ilustr.

Praca powyższa podaje życiorys jednego z najwybitniejszych kapłanów śląskich ostatniej doby. Ks. Infułat Jan Kapica, proboszcz w Tychach, gorliwy duszpasterz i wielki mowca, apostoł trzeźwości na Śląsku, ukochany przez lud, którego był szczególniejszym przyjacielem, zasłużył rzeczywiście, by uwieczniono jego pamięć jako kapłana. Nadto brał on żywy udział w ruchu narodowym polskim na Śląsku, przyczem zarówno w okresie zaborczym jak po odzyskaniu niepodległości, starał się zawsze jako polityk stawiać sprawę wiary ponad interesa partyjne. Książka niniejsza napisana z szczerym pietyzmem dla zmarłego, jest tem cenniejsza, że autor oddający się z zamiłowaniem studjom historycznym, dał nam w niej zarazem interesujący obraz historji Śląska z tych czasów.

H.

Marjan Hełm-Pirgo: Podanie o Hełmie. Z czasów walk o Pomorze w XII wieku. Opowiadanie dla młodzieży i starszych. Warszawa 1931, str. 45.

Dosyć często spotykamy w polskiem powieściopisarstwie tematy historyczne, a wśród nich sięgają niektóre i głębokiego średniowiecza. Ten okres wziął za tło swego opowiadania p. Hełm-Pirgo, dając w „Podaniu o Hełmie" bezpretensjonalny obrazek z walk pomorskich, za czasów Bolesława Krzywoustego. Szczęśliwie i bez konfliktów przeprowadzone losy miłości Zbigniewa, syna ubogiego grotnika do pięknej Zuleńki-miecznikówny krakowskiej, zakończone sielankową sceną oświadczyn wypełniają treść opowiadania, którego myślą przewodnią jest wyprowadzenie genezy herbu „Hełm" i miasta Chełmu — na podstawie bałamutnej i wątpliwej pod względem historycznej wartości — relacji Niesieckiego. Autor stara się o oddanie nastroju średniowiecza, lecz stylizacja niektórych momentów zbliżona jest raczej do czasów późniejszych. — Jeżeli opowiadanie to przeznaczone ma być dla młodzieży, może zbędnym byłby zbyt realistyczny opis śmierci Zyndrama. Całość jednak choć szkicowo potraktowana czyni naogół sympatyczne wrażenie.

M. P.

Waldemar Gurian: Der Bolschewismus. Einführung in Geschichte und Lehre. Wyd. Herder, Freiburg in Br. 1931, str. XI + 337.

O bolszewiźmie piszą wiele zagranicą. Jedni, entuzjaści komunizmu, zachwycają się zdobyczami gospodarczemi i kulturalnemi rewolucji, czyniąc jej propagandę; drudzy ukazúją w bolszewizmie morze krwi rozlanej, nędzy znoszonej, piekło w którem dopalają się resztki wolności człowieka i duchowych wartości cywilizacyjnych. Zrobiono także poważne wysiłki, by dokonać, o ile możności *sine ira et studio*, syntezy całej ideologji bolszewizmu, jego celów, metod i rezultatów i o ile możności objektywnie ocenić je. Do takich wysiłków należy zaliczyć książkę René Fülöp-Millera: *Geist und Gesicht des Bolschewismus*, która wyszła już pięć lat temu, a teraz książkę Guriana, która tylko co ukazała się na półkach księgarskich. Porównywując obie, należy pierwszej przyznać pierwszeństwo co do wszechstronności zainteresowań i literackich zalet autora; druga góruje koncentracją przedmiotu, głębszem ujęciem filozoficznem i zdecydowanem chrześcijańskiem stanowiskiem.

Guriana książka napisana z olimpijskim spokojem. Czytelnikowi niekiedy aż ciężko się robi, jak ta straszna krwawa, ognista rzeczywistość, jaką przedstawia dotąd trwająca rewolucja bolszewicka, układa się pod piórem Guriana w abstrakcyjne formuły i określenia. Jeśli mu coś narzuca się jako żywszy opis, jako materjał plastyczny, to odsuwa go do „bolszewickich dokumentów", któremi wypełnia prawie połowę (drugą) swej książki. Za to, unikając gubienia się w szczegółach, dociera Gurian do tego, co w bolszewizmie jest istotnem. Daje najpierw zarys tych warunków historycznych, które pomogły bolszewizmowi wybuchnąć właśnie nie gdzieindziej, tylko w Rosji, — następnie kreśli strukturę partji, jej dyscyplinę, — streszcza ideologję komunizmu, która jest konsekwentnie do końca wprowadzanym w życie materjalizmem, negującym świat ducha, a zatem nie mogącym cierpieć obok siebie religji, — nareszcie podaje cały ten gigantyczny wysiłek ku przebudowie świata i psychiki ludzkiej, rzeczowej krytyce nie ze stanowiska innej ideologji, ale wykazując przeciwieństwa między wizją przyszłości, którą ten wysiłek jest usprawiedliwiany, a rzeczywistością, jaką wytwarza. Tak przyszłe społeczeństwo socjalistyczne przedstawiało się Leninowi zarówno jak Marxowi jako rozumna planowa gospodarka społeczeństwa bezklasowego, wolna od wszelkiego przymusu ze strony państwa, które zniknąć musi, tymczasem dążenie do urzeczywistnienia tej wizji dokonywa się właśnie pod presją całego aparatu państwowego, tak, że teror z jednej a niewola mas z drugiej strony nietylko się nie zmniejsza, ale z każdym rokiem zwiększa się i staje się koniecznością w tym systemie. Bezklasowe, wytwarzające społeczeństwo utopji wciąż pozostaje w sferze utopji, w rzeczywistości kapitalizm prywatny przekształcił się na inną

formę kapitalizmu, na państwowy, kładący panowanie nad człowiekiem nie lżejszą ręką, jak tamten. Wytwarza się biurokracja nie mniejsza, niż za caratu i rozrastać się musi, by z jednej strony sprostać wszystkim zadaniom, jakie sobie bolszewizm stawia, z drugiej, by dać miejsce wszystkim karjerowiczom, którzy pod płaszczykiem komunistycznej frazeologji pragną osiągnąć swoje osobiste życiowe cele.

Te przeciwieństwa między utopją a rzeczywistością nie mogą, zdaniem autora, pozostać na zawsze; „czas przejściowy", w którym bolszewizm jakoby się znajduje w przejściu od kapitalizmu do socjalizmu, nie może trwać wiecznie, i dlatego Gurian spodziewa się jakiegoś załamania się systemu, nie wdając się wszakże w przepowiednie kiedy i jak to nastąpi. Czy jednak, zanim to nastąpi, nie sprowadzi bolszewizm katastrofy na resztę świata? Bolszewizm, jak mu to przyznaje autor, jest nietylko ślepą niszczycielską siłą, ale jest on sądem nad światem burżuazji, która go na łonie swem wyhodowała i swą ideologją, nie sięgającą poza materjalne cele, zaraziła. Czy ten świat pozna choćby w ostatniej chwili swoje grzechy i naprawi swoje braki? Jak dotąd, mało jest oznak zrozumienia i pokuty i dlatego przyszłość przedstawia się nam tak zagadkowo i groźnie. Dlatego głębsze poznanie ducha i celów bolszewizmu, winnoby wywołać wzmożoną pracę rządów i narodów nad usunięciem u siebie tych braków i grzechów, które dla bolszewizmu rosyjskiego są usprawiedliwieniem, a dla reszty świata groźnem *memento.*

Ks. J. Urban.

Michał Farbman: „P i a t i l e t k a", plan gospodarczy Sowietów. Przekład z ang. Wyd. „Droga", Warszawa 1931, str. 134.

Słynna „piatiletka" bolszewicka jest przedmiotem studjów zagranicznych ekonomistów i polityków. Czy się Sowietom uda jej realizacja? A jeśli się uda, to jakie skutki będzie miała dla samej Rosji i dla stosunków gospodarczych w krajach innych? Farbman, bywający często osobiście w Rosji i studjujący jej gospodarcze stosunki (o ile bolszewicy mu je chcą pokazać), dał obszerne studjum nad pięcioletnim planem w grudniowym zeszycie 1930 r. londyńskiego czasopisma: *The Economist.* Polska broszura, wydana przez *Drogę,* jest tłumaczeniem angielskiego artykułu.

Oparta na spostrzeżeniach osobistych z roku 1930, obecnie po roku praca Farbmana jest w znacznej części przestarzała. Autor uważa „piatiletkę" za nową rewolucję w Rosji, do której rewolucja z r. 1917 była tylko przygrywką. Istotę tej nowej rewolucji upatrują w tem, że stwarza ona nietylko nową technikę, ale „nową umysłowość". Jest to wzmożony entuzjazm pracy, podnoszący kolosalnie jej wydajność (przynajmniej ilościową, bo jakościowo dość marnie się ona przedstawia). Ten entuzjazm jest

wzbudzany i podtrzymywany sztucznie: „wszystkie metody, wszystkie zaklęcia, które można stosować w celu rozwinięcia ducha pracy i ofiary — pochlebstwa, umizgi, zawstydzanie, prośby, pogróżki, apelowanie do samolubstwa narodowego robotnika — są kolejno z uporem stosowane". W niektórych gałęziach stosuje się przymus pracy, w innym dzielnym środkiem wzmożenia produkcji jest współzawodnictwo pracy między różnemi pokrewnemi przedsiębiorstwami, przez rząd premjowane i t. d. Autorowi niezmiernie zaimponowały dodatnie wyniki maszynowego gospodarstwa w olbrzymich rolnych przedsiębiorstwach państwowych (sowchozach), jak również rezultaty w zakresie ciężkiego przemysłu, najważniejszego odcinka w planie pięcioletnim. „Piatiletka" może być urzeczywistnioną przed upływem zakreślonego terminu. Domyślamy się, że w roku bieżącym optymizm p. Farbmana musiał chyba ulec pewnemu ostudzeniu. Piatiletkę zrealizowano przeważnie rękami obcych, amerykańskich i niemieckich inżynierów, i za obce kapitały w postaci krótkoterminowych kredytów. Obecnie się okazuje, że Sowiety przechodzą krach finansowy i weksli nie mają czem wykupić. Załamuje się nawet sławetny dumping, bo „kołchozy", nie gorzej niż „kułacy", umieją sabotować widoki rządu sowieckiego i zboża na wywóz zagranicę za bezcen dostarczać nie chcą. Przed ukończeniem realizacji planu pięcioletniego zagranica, tyle razy wyprowadzona przez Sowiety w pole, zdaje się nieco zmądrzała i kredytów w nieskończoność przyznawać Sowietom nie myśli, owszem z powodu kryzysu u siebie (spowodowanego częściowo przez sowiecki dumping) na kredyt także pieniędzy nie ma. Słowem pod koniec 1931 r. widoki osiągnięcia celów „piatiletki" znacznie zmalały.

Ciekawe są w opowiadaniu p. Farbmana perypetje tworzenia „kołchozów", t. j. gospodarstw wiejskich kolektywnych. Miejscowi wykonawcy planów przesadzili zrazu w gorliwości; nietylko wydziedziczono „kułaków", ale usiłowano z „kołchozów" uczynić prawdziwe komuny. To się nie udało i Stalin zatrąbił na odwrót. Kiedy jednak przedsięwzięcie zredukowano do mechanizacji uprawy roli, dostarczono kredytów rządowych na maszyny, a uczestnikom „kołchozów" obiecano udział w zyskach proporcjonalny do tego, co do wspólnoty wnieśli, chłopi uznali dobre strony gospodarstw kolektywnych i organizacja „kołchozów" szybko posunęła się naprzód. Ale też wtedy przekonano się, że „mechanizacja a nawet kolektywizacja nie są zdolne do wcielenia idei komunizmu". Od niego właściwie Rosja jest dzisiaj tak daleka, jak była w początkach rewolucji. Zmieniają się tylko formy kapitalizmu i prywatnej własności, ale istota obojga pozostaje, bo jest oparta, dodajmy, na silnych instynktach natury ludzkiej. Przy uważnem czytaniu broszury Farbmana utwierdzamy się w przekonaniu, że komunizm pozostaje nadal... utopją.

Ks. J. Urban.

Aleksander Hertz: Ludzie i idee. Bibljoteka *Drogi*, tom 6. Warszawa 1931, str. 232.

Redakcja miesięcznika warszawskiego *Droga*, który skupia około siebie intelektualne siły obozu obecnie rządzącego w Polsce, wydała także kilka książek, objętych ogólną nazwą „Bibljoteka Drogi", na tematy aktualnych zagadnień politycznych, społecznych, ekonomicznych i filozoficznych. Wyróżnia się wśród tych publikacyj książka Aleksandra Hertza p. t. *Idee i ludzie*. Jest to właściwie zbiór pięciu niedługich prac, ogłoszonych już poprzednio jako artykuły.

Wszystkie te prace są nader ciekawe. Wyliczmy ich tytuły: Socjologja Vilfreda Pareto i teorja elit, Zmartwychwstanie Proudhona, Spór o inteligencję, Perypetje radykalnego sentymentalizmu i W oczekiwaniu nowego średniowiecza. Zaznajomienie polskiej publiczności z systemem szwajcarskiego socjologa, którym u nas mało się zajmowano (dotąd dwie czy trzy prace korzystające z jego teoryj), ma choćby dlatego duże znaczenie, że Pareto wywarł duży wpływ na ukształtowanie się włoskiego faszyzmu, który znowu znajduje admiratorów i mniej lub więcej szczęśliwych jego pionierów w innych krajach. Ciekawem jest także śledzenie wpływów ideowych socjalisty Proudhona, którego zna się zwykle tylko z wyrwanego jego zdania „własność jest kradzieżą", a który tem się biegunowo różni od Marxa, że swój socjalizm, raczej syndykalizm opierał na głębszych moralnych podstawach. Dla nas ciekawem jest naprz. zdecydowanie pozytywne stanowisko Proudhona względem rodziny i nierozerwalności węzła małżeńskiego. W trzecim artykule: „Spór o inteligencję" rozbiera różne zapatrywania na kwestję, czy inteligencja jest odrębną klasą w socjologicznem znaczeniu tego słowa. Autor przechyla się do zdania twierdzącego, wyznaczając inteligencji odrębną rolę w tworzeniu wartości kulturalnych. W „Perypetjach" autor ukazuje jaką rolę spełniały różne radykalne hasła i jakie ich były następnie losy. Najciekawszą jest praca ostatnia, zaznamiająca nas z poglądami dwóch rosyjskich myślicieli, Wippera i Bierdiajewa, którzy w obecnych warunkach kulturalnych i ekonomicznych, dopatrują się analogji ze schyłkiem świata antycznego i oczekują nowego „średniowiecza". Hertz z bardzo wielką trzeźwością i wnikliwą analizą rozpatruje wartość różnych historjozoficznych poglądów, ocenia też ostrożnie stopień prawdopodobieństwa realizacji przepowiedni co do przyszłości, ale zarazem wykazuje jak takie przepowiednie pomagają nam do poznania teraźniejszości i jak praktycznie wpływają na działalność ludzką, kształtującą przyszłość. Oczekiwania nowego średniowiecza wskazują na zmęczenie i zawód, jakich doznała ludzkość z wielu haseł, jakiemi ją chciał uszczęśliwić racjonalizm; ludzkość ta dziś wzdycha do jakiejś jednolitości, syntezy myśli i życia, ogląda się za autoryte-

tem. Stąd zrozumiały jest renesans religijny, jaki w umysłach inteligentnych często się objawia.

Autor książki zagadnień religijnych wprost nie omawia, z wielu wszakże ubocznych jego wypowiedzeń się można wnioskować, że jest to także natura religijna, dążąca do syntezy i mocnych podstaw życiowych. Przytem umysł jasny, logiczny, w sądachostrożny, umiarkowany, pisze przytem przejrzyście, przystępnie.

Ks Jan Urban.

Bertrand Russell: Małżeństwo i moralność. Warszawa, wyd. „Rój", 1931, 248. str.

Jeżeli towarzystwo wydawnicze „Rój" książkę Russella wydało w serji „Dzieła XX wieku", to chyba uważało ją za jedno z celniejszych dzieł najnowszej epoki! W rzeczywistości należy ona do najcelniejszych, ale celujących w rewolucyjności i lekkomyślności, z jaką ten angielski filozof traktuje najpoważniejszy temat. Rozdziały pierwsze, omawiające rozwój historyczny rodziny i moralności płciowej jest niesłychanie powierzchowny. Etyka chrześcijańska przedstawiona kompletnie fałszywie, bo imputuje Kościołowi uważanie za grzech płci jako takiej i wszystkiego, co się z nią wiąże. Tę insynuację, która ma usprawiedliwiać wszystkie wycieczki autora przeciwko moralności „konwencjonalnej", oparte zostały przezeń na tendencyjnie naciągniętym jednym ustępie z Listu św. Pawła do Koryntjan, z pominięciem tego, co Apostoł narodów pisze o małżeństwie gdzieindziej (naprz. w Liście do Efezów). W istniejącej moralności i pedagogice w oczach autora wszystko jest godne potępienia: i ideał czystości, i wierność małżeńska, i nierozerwalność małżeństwa. Ku czci miłości zmysłowej, prawda połączonej z duchową, pieje autor peany, ale chce, by wolno było te rodzaje miłości rozłączać, podobnie, jak chce rozłączenia między miłością a ojcowstwem i macierzyństwem. Rozwój ekonomiczny i społeczny, według autora, prowadzi do tego, że rolę ojca względem dzieci obejmie państwo. Macierzyństwo może stanie się także tylko zawodem, opłacanym przez państwo, a praktykowanym przez 25% kobiet, podczas gdy do zadania reproduktorów męskich wystarczy wyznaczyć 3% najlepiej zbudowanych mężczyzn. Inni i inne będą sobie używali miłości dzięki sterylizacji lub używaniu środków ochronnych bez obawy ciężarów rodzicielskich. By narody płodnością nie rywalizowały ze sobą i nie narażały ludzkości na wojny, przewiduje Russell, że jakaś władza nadnarodowa będzie przepisywała narodom wysokość dopuszczalną przyrostu ludności. Nie dodaje tylko co ta władza zrobi z nadwyżką, jeśli któryś naród przeholuje w wy-

pełnianiu zadania. Także ani słowa nie znajdujemy z tych zastrzeżeń, jakie ze stanowiska zdrowotności podnoszone bywają przez uczciwych lekarzy przeciwko środkom zapobiegawczym. Główne tezy Russella nie są pomysłami nowemi, znajdujemy je bowiem już w „Platonowej Rzeczypospolitej". Nie przyjęły się one dotąd jednak w ludzkości mimo wielkiej czci, jaką żywiono dla „boskiego Platona". Poczytywano je za grę wyobraźni, lub za jednostronność abstrakcyjnego racjonalizowania nie uwzględniającego najsilniejszych moralnych wymagań istoty ludzkiej.

Zdawałoby się może, że Russell pisze świadomie jedną więcej utopję albo satyrę, by obrzydzić ludziom rozpasanie moralne. Jednak nie, on występuje jako sędzia obyczajów tradycyjnych, jako reformator ludzkości i pomysły swe bierze na serjo. Książka jego u nas to jedno z ogniw tego łańcucha wystąpień przeciwko etyce chrześcijańskiej, jaki stanowi propaganda Boya, otwieranie poradni dla zapobiegania ciąży, pornograficzna literatura, no i projekt prawa małżeńskiego, opracowany przez Komisję Kodyfikacyjną.

Tłumaczyła książkę z angielskiego Helena Bołoz-Antoniewiczowa, zajmująca wybitne miejsce pośród polskich teozofów.

Ks. J. Urban.

Cecylja Walewska: W walce o równe prawa. Nasze bojownice. Warszawa 1930. *Kobieta Współczesna.* Str. 231 z ilustr.

Książka powyższa ma dać pewien obraz ruchu kobiecego w Polsce, mniej więcej od r. 1881 do wojny światowej. Przytoczone tu postacie kobiet „bojownic", w liczbie blisko 30, zostały rozklasyfikowane na grupę warszawską, najliczniejszą i najbardziej czynną, grupę krakowską i grupę kobiet zasłużonych na polu naukowem; nadmienić można, że z pośród literatek zalicza autorka do „bojownic" Konopnicką, lecz odmawia tego tytułu Orzeszkowej, choć przyznaje jej wielkie zasługi dla sprawy kobiecej. Galerję działaczek rozpoczyna pionierka feminizmu w b. Kongresówce, Paulina Kuczalska-Reinschmit, która „po raz pierwszy rzuciła hasło" bezkompromisowego zrównania kobiety z mężczyzną, poczem następuje reszta sylwetek, jedne skreślone dość szczegółowo, drugie zaledwie narzucone; osobny rozdział wymienia nazwiska innych kobiet, przeważnie pracujących w różnych żeńskich organizacjach, a kilka stron poświęcono również męskim orędownikom emancypacji.

Charakter tej książki nie jest naukowy, lecz raczej propagandowy, przejęty duchem bojowym i wzywający kobiety do dalszej walki aż do zupełnego zrównania. Ma ona bezsprzecznie niemałe znaczenie, jako zestawienie sporej liczby szczegółów o pionierkach ruchu kobiecego, oparte, jak mówi autorka, na ści-

słych danych i stwierdzonych „mocą bezpośrednich wywiadów"; potrzebuje jednak wielu uzupełnień, zarówno jako źródło, o niektórych bowiem osobach wiemy więcej, niż tu napisano, jak przedewszystkiem przy ocenie zasług pojedynczych działaczek. Autorka traktuje ten ostatni punkt zbyt jednostronnie; z entuzjazmem kreśli te kobiety, u których dostrzegła więcej ruchliwości, energji, przeżyć — a nie zastanawia się nad wartością ich działalności, czy i o ile ona przyniosła pożytek sprawie kobiety i społeczeństwa? Gdyby to uczyniła, wygląd książki zmieniłby się w niejednem miejscu. Z temy zastrzeżeniami witamy jednak nowe wydawnictwo jako pożądany przyczynek do czekającej dopiero na opracowanie rzeczowej historji ruchu kobiecego w Polsce.

Ks. St. Podoleński.

Stefan Vrtel-Wierczyński: Wybór tekstów staropolskich. Czasy najdawniejsze do r. 1543. (Lwowska Bibljoteka Slawistyczna, tom dwunasty). Lwów 1930. Nakład i własność K. S. Jakubowskiego 8⁰. str. XII, 1. nlb., 368.

Powstanie tej książki tłumaczy jej autor „potrzebą rewizji dotychczasowych wyborów najdawniejszych tekstów staropolskich", „szczegółowego i ścisłego porównania ich z rękopisami lub pierwodrukami i przedstawienia ich w postaci autentycznej, jak najbardziej zbliżonej do oryginałów", wrzeszcie chęcią udostępnienia studjującym w szerszej mierze utworów mało znanych, lub wcale nieznanych. Ważnym powodem było zapewne i to — czego autor nie mówi — że dla poważnego studjum uniwersyteckiego niema właściwie obecnie odpowiedniego wyboru tekstów staropolskich. „Przegląd zabytków językowych" Łosia jest już oddawna wyczerpany (drugie wydanie p. t. „Początki piśmiennictwa polskiego" nie zawiera prawie wcale tekstów), Drzewieckiego „Teksty do nauki języka staropolskiego", przeznaczone są dla celów szkół średnich i ogłoszone w pisowni zmodernizowanej, a przytem wykazują niezmierną różnicę poziomu między właściwym zbiorem tekstów, dokonanym przez Drzewieckiego, a uzupełnieniem, przeprowadzonem na poziomie uniwersyteckim przez Baudouina de Courtenay; wybory tekstów staropolskich, wydane w „Bibljotece Narodowej" przez Brücknera, Wierczyńskiego i Taszyckiego są dość szczupłe i ogłoszone również przeważnie w pisowni dzisiejszej, nie nadają się więc do studjów seminaryjnych. Najlepsza stosunkowo dotychczasowa chrestomatja staropolska Adama Antoniego i Mirosława Kryńskich, wydana powtórnie w r. 1925, nie opiera się na rękopisach, lecz na przedrukach, obejmuje zakres niezbyt wielki [1]), wreszcie w objaśnieniach bibljograficznych,

[1]) Dość powiedzieć, że brak w niej najciekawszej obyczajowo pieśni świeckiej t. j. Słoty „Pieśni o zachowaniu się przy stole!"

historycznych i językowych jest nieraz zapóźnioną w stosunku do dzisiejszego stanu badań.

Bliższe rozpatrzenie się w „Wyborze" Dra Wierczyńskiego, dyrektora bibljoteki uniwersyteckiej w Poznaniu i autora licznych i cennych badań z zakresu literatury staropolskiej i bibljografji, pozwala na zdanie sobie sprawy z sumy pracy, włożonej w przygotowanie książki, jak również z jej niepospolitej wartości dla zespołów dydaktycznych, jakiemi są seminarja uniwersyteckie. Śmiało można powiedzieć, że antologja staropolska Wierczyńskiego jest najlepszą ze wszystkich tego rodzaju zbiorów wydanych dotychczas. Najcenniejszą może jej zaletą jest oparcie wszystkich tekstów na rękopisach i pierwodrukach. Wyjątek od tej zasady stanowi zaledwo parę pozycyj, gdzie rękopis był niedostępny, jak np. Psałterz Florjański, lub pieśni łysogórskie. Dokładność w oddaniu tekstu, nie samego tekstu w zwykłem znaczeniu, lecz najdrobniejszych subtelności fonetyki, pisowni i grafiki, jest bardzo znaczna. Usterek, o ile mogę sądzić po porównaniu z rękopisem jednej pozycji, t. j. fragmentu kazań świętokrzyskich, prawie że niema, w czem może nadto być gwarancją znajomość rzeczy i długoletnia praktyka bibljograficzna wydawcy, będącą, jak wiadomo, pierwszorzędną szkołą akrybji. W miejscach wątpliwych obok własnych rozwiązań, wydawca przytacza lekcje poprzednich badaczy, pozostawiając w ten sposób wolny wybór czytelnikowi. Bardzo instruktywnem jest też potraktowanie przez wydawcę postaci graficznej nosówek staropolskich w sposób indywidualny, zależnie od wieku zabytku, w zgodzie z wynikami badań nad historyczną gramatyką polską. Podobnie indywidualnie zostały potraktowane skróty paleograficzne. Dokładność wydawcy uderza szczególnie w przedrukach najstarszych tekstów drukowanych polskich, w których zachowano wszystkie osobliwe znaki diakrytyczne pierwszych naszych impresorów — pierwszych zarazem prawodawców ortografji. Zamiar dydaktyczny, zrealizowany najszczęśliwiej, widać też w zestawieniach tekstów analogicznych, pochodzących z różnych epok rozwoju języka. Próby tego rodzaju były i w dawniejszych wydawnictwach. Wierczyński pierwszy zastosował system ten na szerszą skalę, uwzględniając nietylko momenty językowe, jak w zestawieniu fragmentów z psałterzów Florjańskiego, Puławskiego, Krakowskiego z r. 1532 i Wróblowego (1539), ale również i momenty ważne dla historji rozwoju drukarstwa polskiego, jak np. w zestawieniu dwóch wydań „Żywota Pana Jezu Krysta" Opecia z tego samego roku 1522, z których jedno wyszło z pod pras Hallera, drugie — Wietora. Znaczenie więcej historyczno-literackie, niż językowe, ma zestawienie kilku najstarszych tekstów „Bogurodzicy", obrazujące dobitnie stopniowe fazy narastania tej przedziwnej pieśni. Jako rezultat studjów wydawcy nad literaturą staropolską należy też uważać zestawienie tekstów wierszowanych polskich z analogicznemi tek-

stami czeskiemi, zestawienie mające wartość nietylko dydaktyczną ale i badawczo-naukową. Dobrym pomysłem jest również wprowadzenie zakończenia „Rozmowy mistrza ze śmiercią", które tak zręcznie odtworzył w staropolszczyźnie średniowiecznej na podstawie tekstu rosyjskiego ze schyłku XVI w. nieodżałowanej pamięci prof. Łoś.

Cenną wartością „Wyboru" jest dalej jego bogactwo i rozmaitość. Ilością pozycyj nie dochodzi może do ilości, zebranej w „Zabytkach" Kryńskich, ale przewyższa dawniejsze antologje obszernością przytaczanych fragmentow ale wykracza poza zaklęte koło tekstów, które uwzględniano dotychczas i stara się wyraźnie o wprowadzenie zabytków piśmiennictwa z najrozmaitszych zakresów, by podnieść zainteresowanie studjującego. Staranie to znać szczególnie w dziale rękopiśmiennych utworów wierszowanych i w dziale najstarszych druków. Do takich tekstów, nieuwzględnianych w dawniejszych antologjach, należą m. i. z rękopisów: bulla papieża Innocentego II z r. 1136, ów najstarszy zabytek języka polskiego, dzięki bogactwu i starożytności polskich nazw imiennych i topograficznych, jakie zawiera, nazwany słusznie przez Brücknera „złotą bullą języka polskiego", „Sprawa chędoga o męce Pana Chrystusowej", zabytek niewydany dotychczas drukiem w całości, a zachowany w jednym z rękopisów rewindykowanych z Rosji, kodeksy ustaw w większej ilości (bardzo pouczające zestawienie czterech kodeksów staropolskich), modlitewnik Ptaszyckiego (nigdy nie publikowany dotychczas), „Kronika Turecka" (t. zw. „Pamiętniki Janczara"), a z druków: „Ecclesiastes" z r. 1522 (nie przedrukowany dotychczas), „Psałterz" krakowski z r. 1532, „Żołtarz" Wróbla, zestawiony z „Żołtarzem" tegoż Wróbla w przeróbce Glabera z Kobylina, „Żywot św. Anny" przekładania Jana z Koszyczek, „Zielnik" Falimirza, kilka powieści staropolskich, Miechowity „Wypisanie Sarmacji", Glabera „Gądki o składności członków człowieczych", Erazma z Rotterdamu „Księgi, które zowią Język", a nakoniec interesujący dramat średniowieczny „Sąd Parysa" Lochera, nieprzedrukowany od czasów wydania Łopacińskiego z r. 1899. Dodajmy że konsekwencją w układzie całości, uwzględnienie rękopisów rewindykowanych, kierowanie się wynikami najnowszych badań w ustaleniu dat i nazw zabytków dokładne, zwięzłe i krytyczne notatki bibljograficzne połączone z krótką charakterystyką każdego zabytku, opisem rękopisu, względnie pierwodruku (zresztą nie zawsze) i jego historji, jednem słowem, wszystko świadczy o prawdziwie naukowem potraktowaniu zadania wydawcy. Uzupełnieniem książki jest słowniczek wyrazów czeskich i słowniczek wyrazów staropolskich, napotykanych w tekście. Zarzucono wydawcy (p. *Ruch Literacki* 1931, nr. 8 *Pamiętnik Literacki* 1931, z 1.), że słowniczek ten jest niezupełny. Jeśli tak jest, to przyczyną była zapewne zwykła tegoż

wydawcy ostrożność naukowa, zalecająca pozostawienie bez objaśnień wyrazów, których nie można było objaśnić bez wahań. [1])

Książka Wierczyńskiego, przeznaczona dla nauczania uniwersyteckiego, może być jednak też wcale interesującą lekturą dla zwykłego miłośnika staropolszczyzny, którzy po pokonaniu niewielkich trudności, z przyjemnością wżyje się w ducha polskiego średniowiecza. Serdeczne uczucie religijne, promieniujące z pieśni i apokryfów biblijnych, powaga etyczna, widniejąca w kazaniach, może i dziś jeszcze przemówić mu do duszy.

Dr. Z. Ciechanowska.

Encyklika J. Św. Piusa XI O chrześcijańskiem wychowaniu młodzieży. Na nowo przełożył i objaśnił Ks. Jan Korzonkiewicz. Nakładem Kancelarji Prymasa Polski 1931. Str. XVIII+103 i 1 ilustr.

Ostatnie Encykliki, o wychowaniu i małżeństwie chrześcijańskiem, należą bezwątpienia do najcenniejszych dokumentów, gdyż rzucają wiele światła na liczne trudności, jakie w związku z powyższemi zagadnieniami wyłoniły się w czasach obecnych. I oto świeżo otrzymaliśmy nowy, wzorowy przekład Encykliki o wychowaniu, dokonany przez ks. Prałata Korzonkiewicza. Szczególniejszą jego zaletą jest przejrzysty rozkład treści i liczne objaśnienia. W obszerniejszem słowie wstępnem uzasadnia ks. K. prawa Kościoła katolickiego do wychowania młodzieży na podstawie powierzonego mu przez Chrystusa Pana posłannictwa, i wykazuje w świetle historji i potrzeb dzisiejszych, jak pożyteczną jest dla ogółu ta misja. Potem następuje garść ogólnych wiadomości o Encyklice i dokładna dyspozycja jej treści, a wreszcie samo tłumaczenie, podzielone na ustępy, zaopatrzone nagłówkami z boku i poprzeplatane objaśnieniami w tekście. Gustowna szata wydawnictwa i zgrabny podręczny format są szczęśliwem uzupełnieniem całości.

Ks. St. Podoleński.

Peter Dörfler: Der Bubenkönig. Don Bosco und seine Schlingel. Freiburg im Breisgau 1931, Herder. Str. VI+206 (brosz. 2.80 Mk. opr. 4 Mk.)

W sporej liczbie rozeszła się już książeczka Dörfler'a „Der junge Don Bosco", opisująca pierwszych kilkanaście lat życia wielkiego Apostoła młodzieży pracującej. Obecnie wyszedł dalszy ciąg tego życiorysu, obejmujący lata czynnej pracy nad opuszczonymi chłopcami, pracy zdumiewającej świat zarówno ogromem poświęcenia, jak nowemi metodami, które tak okazały się sku-

[1]) Drugim zarzutem fachowych recenzentów jest niedokładność niektórych objaśnień językowych, wskazująca na potrzebę jak najszybszego ogłoszenia słownika staropolskiego, przygotowanego przez Akademję.

teczne na jednym z najtrudniejszych odcinków działalności wychowawczej. Książka, podobnie jak poprzednia, oparta na rzeczywistych wspomnieniach, napisana z życiem i barwnie, ozdobiona ilustracjami i barwną okładką, przeznaczona jest dla młodzieży, ale może oddać usługi i wychowawcom.

P.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakł. Księgarni św. Wojciecha, Poznań:

Kazimierz Wybranowski: Dziedzictwo. Powieść. Str. 381.

Jan Muron: Wyspa Hispanola. Powieść. Przekład Zofji Chrzanowskiej. Przedmowa Józ. Kisielewskiego. Str. XVI+375.

O. K. Sudbrack T. J.: Kuźnia Akcji Katolickiej. Apostołowie rekolekcyjni na front. Tłum. I. L. („Książnica A. Kat." nr. 13) Str. 82.

Emilio Salgari: Dramat na Oceanie Spokojnym. Przekład i przedmowa Józefa Birkenmajera. Str. XII+276, z 5 ilustr.

Henry Ghéon: Szafarz Bożych łask. Św. Jan Vianney, proboszcz z Ars. Tłum. K. Bobrowskiej. Str. 184 (3 zł.).

Bohdan Dyakowski: Badacz dalekiej Północy. (Benedykt Dybowski). „Bibljoteczka przyrodnicza". In 12⁰ str. 91, 15 rycin, 2 mapy.

Dr. Romuald Gumiński: Pogoda. („Bibljot. przyrodnicza"). In 12⁰, str. 109, 18 rycin, 4 mapy.

Florence Barclay: Biała ksieni z Worcester. Powieść. Przekład Klary Nawratilowej. (Kraków, Księgarnia Krakowska). Str. 252.

Stanisław Sedlaczek: Przeglądy i pokazy harcerskie. Musztra harcerska. Str. 103 z ilustr.

Henio. Dzieje duszy polskiego chłopca (1916—1928). Wyd. 2. In 12⁰, str. 138 z ilustr.

Nowenna do Najśw. Marji Panny, Królowej Serca Jezusowego. Wyd. 7. In 12⁰, strl 68.

Nakładem „Książnicy-Atlas", Lwów-Warszawa:

Stanisław Pawłowski: Francja, kraj i ludzie. Str. 80 i ilustr.

Bolesław Błażek: Przez kraj słonecznych dolin i górskiej głuszy. Wspomnienia z włóczęgi po Bułgarji. Str. 196 z mapą i ilustr.

T. M. Nittman: Pod ręką Fatmy. Z 16 ilustr. i mapką, str. 100.

Nakł. Herdera i Ski, Freiburg im Breisgau:

Peter Dehen: Leben und Gegenwart. Ein Führer für die gewerbliche Jugend. Str. VIII+104 (karton. 1.20 Mk.).

Robert Linhardt: Unser Glaube. Finführung in die Geisteswelt des katholischen Dogmas für gebildete Laien. Str. VIII+350.

Gerhard Rauschen: Patrologie. 10 u. 11 Aufl., neubearbeitet von Dr. theol. Berthold Altaner. Str. XX+442.

Bischof Dr. Conrad Gröber: Christus Pastor. Ein Bildnis des guten Hirten. Str. VI+150.

Linus Bopp: Wir sind die Zeit. Zur katholischen Zeit — Menschen — und Lebenskunde. Str. VIII+198.

Lexikon für Theologie und Kirche. 2 Auflage. III Band: Colorbasus bis Filioque. Str. VIII, kolumn 1040, z tablicami i ilustr.

Dr. Joseph Bernhart: Sinn der Geschichte. Dr. Hugo Obermaier: Urgeschichte der Menschheit. I tom wydawictwa „Geschichte der führenden Völker"). Str. XIV+348, 6 tablic i 14 ilustr.

Nakładem różnych:

Celina Stoińska: Krótkie rozmyślania dla młodzieży żeńskiej. Okres Adwentu i Bożego Narodzenia. Warszawa 1931, Wyd. Ks. Pallotynów. Str. 122.

Zofja Kossak: Die Walstatt von Liegnitz. Historischer Roman. Deusche Übertragung von Dr. Otto Forst-Battaglia. München, J. Kösel u Fr. Pustet. Str. 335.

Marja Rozbierska: Stefanek „dojrzał do nieba". Kraków 1932, nakł. Pań Kongregacji Dzieci Marji. Str. 80 z ilustr.

Adam Łada Cybulski: Z mroku jaśniejące Słowo — Walka z szatanem. O teatrze Stan. Wyspiańskiego. Paryż 1931, Gebethner & Wolff (Warszawa). Str. 152.

List J. Ś. Piusa IX o niezwykle ciężkiem przesileniu gospodarczem, bezrobociu i zbrojeniach wojennych. Tłum. J. E. ks. bisk. Okoniewski. Warszawa, Kronika Rodzinna. Str. 8.

Ks. Dr. Adolf Tymczak: Kościół jako Ciało mistyczne Chrystusa. Lwów 1931; Wyd. OO. Dominikanów. Str. 32.

Ks. Dr. Kazimierz Kowalski: Nauka św. Tomasza o miłosierdziu chrześcijańskiem. Tamże, str. 36.

Ustawy Sodalicji bł. Imeldy. Lwów 1931, nakł. Sodalicji. Str. 23.

Śpiewnik żołnierski. W układzie i opracowaniu Mjr. St. Lidzkiego Śledzińskiego i Kpt. Ad. Kowalskiego. Warszawa 1931, Wojskowy Instytut Nauk.-Wyd. Str. 86.

Okrużnoje Posłanie „Quadragesimo anno". Izdanie *Błagowiesta.* Paris (XIII. Avenue de la Soeur — Rosalie 10) 1931. Str. 76.

Stanisław Przybyszewski. Księga Pamiątkowa 26. IX. 1931. Poznań 1932. Str. 72 z ilustr.

Izydora Dąmbska: Prawa fizyki wobec postulatu prawdziwości twierdzeń naukowych. Odbitka. Lwów 1931, Książnica-Atlas. Str. 16.

Abbé Quinet: L'Appel du Christ aus pêcheurs d'ames. En marge du Catechisme. Paris 1931, Éditions „Spes". Str. 130.

Pamiętnik kursu duszpasterskiego w sprawie sekciarstwa i innowierstwa. Zebrał ks. B. Ciszak. Poznań, nakł. Związku kapłanów „Unitas", 1931, str. 256.

Paul de Jaegher S. I.: Confiance. Méditations. Louvain 1931, „Museum Lessianum" (Rue de Récollets 11); 2 t., str. 307+315.

Władysław Konopczyński: Kazimierz Pułaski. Życiorys. Kraków 1931, nakł. Polskiej Akademji Umiejętności. Str. XII+420 z 14 ilustr.

Polska. Odbitka z 13 tomu Wielkiej Ilustrowanej Encyklopedji Powszechnej. Kraków, Wyd. „Gutenberga". Str. 335, 2 mapy, 5 tablic barwnych i 13 czarnych poza tekstem, oraz 5 w tekście.

Henryk Łowmiański: Studja nad początkami społeczeństwa i państwa Litewskiego. Tom I. Wilno 1931, nakł. Tstwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Str. XVIII+444.

Studja Augustyńskie. (Dzieło zbiorowe) Warszawa 1931. Nakł. Polskiego Tstwa Teologicznego w Warszawie. Str. 124.

Wacław Lipiński: Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905 - 1918. Warszawa 1931. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy Str. XVIII+444.

Jan Zielewicz: Szkice filozoficzne. Kraków 1931, Gebethner i Wolff. Str. 83.

Ateneum Wileńskie. Czasopismo naukowe. Rocznik VIII, zesz. 3—4. Wilno 1930. Wyd. Tstwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Str. 418—1000.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Drugi wszechpolski kongres muzyki religijnej w Krakowie.

22 listopada r. b. upłynęło 28 lat od chwili, gdy papież Pius X ogłosił światu swoje wiekopomne *motu proprio* o muzyce kościelnej. Kościół katolicki zdawna był opiekunem i propagatorem wszelkiej prawdziwej sztuki. Pomijając wieki prześladowań, uniemożliwiających rozwój sztuki wokalnej, oraz nieliczne głosy Ojców Kościoła, którzy uważali wszelki śpiew za brak uszanowania względem Boskiego Majestatu, Kościół odnosił się do muzyki bardzo życzliwie. Św. Bazyli nazwał psalmodję „dziełem anielskiem", zaś św. Grzegorz Nazjanzeński „śpiewającem lekarstwem duszy". Celem zaś jej jest, według św. Justyna, przebłaganie Boga.

Pewne wpływy żydowskie i greckie widoczne są nietylko w liturgji, lecz także i w muzyce kościelnej. Jednakże od początku Kościół nie był biernym spadkobiercą dawnych tradycyj, lecz usiłował je przekształcić w swoim duchu. I tak wykluczono wszelką muzykę instrumentalną, oraz usunięto chromatykę i euharmonję (św. Klemens Aleksandryjski). Trzeba było jednak okresu kilku wieków, aby dla nowopowstałej religji wyrobić odpowiednik muzyczny w formie najdoskonalszej, najzupełniejszej a zarazem idealnie giętkiej i podporządkowanej liturgji przez uwypuklenie słowa.

Tą formą był chorał gregorjański.

Jest to śpiew jednogłosowy, oparty na gamach średniowiecznych doryckiej, frygijskiej, lidyjskiej i mixolidyjskiej, autentycznych i plagalnych, a więc różniących się mniej lub więcej znacznie od później przyjętych tonacyj. Skale te były djatonicznie ściśle przestrzegane, w przeciwstawieniu do muzyki dzisiejszej, w której znowu chromatyka i euharmonja zacierają granice między tonacjami, zmieniając je na t. zw. tonalności.

Drugą cechą charakterystyczną śpiewu gregorjańskiego jest ścisłe zespolenie tekstu muzycznego ze słowem. Naturalny rytm

słowa stał się rytmem melodyj gregorjańskich, zaś pojęcie taktu jest jeszcze zupełnie nieznane, i dlatego jest chorał ametryczny, t. j. nie podlegający dzisiejszym prawom, wynikającym z taktowania utworów. To też swoboda i bogactwo rytmiczne śpiewu gregorjańskiego — możemy to dziś śmiało twierdzić z perspektywy historycznej — są o wiele większe niż u klasyków i romantyków. Chorał gregorjański był, jest i zapewne pozostanie ideałem muzyki kościelnej.

Lecz język muzyczny zwolna się przekształca, dążąc od jedno do wielogłosowości. Ta polifonja, skądinąd będąca bardzo cennym nabytkiem artystycznym, coraz bardziej zaciera plastykę słowa. Muzyka świecka fachowa, na początku podporządkowująca się muzyce religijnej, w epoce renesansu odwrotnie zaczyna wywierać na nią silny wpływ.

Reakcja katolicka dążąca do unormowania stosunków kościelnych wpłynęła też i na muzykę kościelną. Z inicjatywy Kościoła powstaje w XVI w. drugi typ muzyki religijnej — t. zw. szkoła rzymska: Palestrina i jego następcy.

Zainteresowanie kompozytorów formami muzyki religijnej z biegiem czasu maleje, formy muzyki świeckiej z operą na czele stają się coraz bardziej popularne, a wpływ sztuki świeckiej i teatralnej na *ars sacra* staje się, według słów Piusa X, „fatalny". Śpiewy solowe w kościele przestają się różnić stylistycznie od aryj operowych, a nabożeństwa nabierają cech koncertów.

Wyrazem dbałości Kościoła o czystość tej *ars sacra*, jej powagę oraz namaszczenie i właściwy stosunek do liturgji, był szereg reform, zmierzających do podporządkowania muzyki czynnościom liturgicznym, usunięcia momentów zbyt świeckich i uproszczenia faktury muzycznej. Najważniejsze z nich były: reforma gregorjańska Soboru trydenckiego, oraz obecnie przeprowadzana Piusa X.

W swej Instrukcji ubolewa ten wielki papież „nad powszechnemi, a trudnemi do wykorzenienia nadużyciami w tej dziedzinie", „gdyż napróżno będziemy oczekiwali obfitości błogosławieństw nieba, jeśli nasz hołd Najwyższego Boga zamiast wznosić się, jako woń namaszczenia, przeciwnie podaje do rąk Pana bicze, któremi niegdyś Boski Odkupiciel wypędził ze świątyni jej niegodnych profanów". „Nie powinno się znaleźć w świątyni nic, coby zmniejszało pobożność i nabożeństwo wiernych, nic, co byłoby słusznym motywem wstrętu i zgorszenia, nic szczególniej, coby wprost obrażało poszanowanie funkcyj świętych".

Jak bardzo Piusowi X zależało na ukróceniu istniejących w muzyce kościelnej nadużyć dowodzi list do kardynała Respighiego z d. 8. XII. 1903, oraz dekret św. Kongregacji Obrzędów z d. 8. I. 1904, ogłaszający, że instrukcja papieska posiada z jego woli moc prawa, obowiązującego bezwarunkowo w całym Kościele.

To też wielkie uznanie należy się organizatorom kongresu

muzyki religijnej za to, że jednem z naczelnych zadań kongresu było dążenie do zapewnienia idei Piusowej tego poszanowania i skuteczności, które jej się słusznie w Kościele katolickim należą.

Kongres rozpoczął się 22 listopada r. b. sumą pontyfikalną w katedrze wawelskiej, celebrowaną przez ks. infułata M. Ślepickiego. Podczas nabożeństwa Tow. Śpiew. „Echo" wykonało „Missa Brevis" (1661) B. Pękiela, jednego z najznakomitszych kompozytorów polskich XVII wieku. Mszę Pękiela uzupełnił motet młodego i obiecującego kompozytora krakowskiego Wł. Poźniaka, napisany językiem archaizującym na wzór szkoły rzymskiej. Jednocześnie ze mszą w katedrze we wszystkich większych kościołach krakowskich odśpiewano cały szereg mszy gregorjańskich, oraz wielogłosowych łacińskich i polskich naszych kompozytorów.

Tegoż dnia o 12 w południe odbyła się akademja inauguracyjna w wielkiej sali domu katolickiego. Kongres otworzył ks. Władysław Wargowski, prezes Związku chórów kościelnych archidiecezji krakowskiej oraz Komitetu organizacyjnego kongresu. Po odczytaniu depesz do Ojca świętego i prezydenta R. P. przemówił w podniosłych słowach protektor kongresu J. E. ks. metropolita A. S. Sapieha, który użył między innemi bardzo słusznego i znamiennego zwrotu: „Religja która nie śpiewa, jest prawie umierająca". Część oficjalną zakończyło przemówienie przedstawiciela ministerstwa W. R. i O. P. p. Tretera. Następnie wykonano kantatę ks. Gruberskiego ku czci św. Cecylji, instrumentowaną dla kongresu przez K. Garbusińskiego. Ks. Feicht w świetnym referacie p. t. „Czyn Piusa X z perspektywy historycznej" wyjaśniał znaczenie tej epokowej reformy. Brak miejsca nie pozwala nam, niestety, na dłuższe omówienie tego doskonałego odczytu, chcemy jednak podkreślić słuszność poglądu ks. Feichta, że w miarę postępu chórów kościelnych w Polsce kompozytorzy chętniej dzieła religijne pisać będą. Akademję zakończyły wartościowe dzieła Walewskiego i Garbusińskiego, wykonane pod kierunkiem autorów.

Jednocześnie o g. 12 program zapowiadał recitale organowe p. J. Pasierba w kościele O. O. Jezuitów na Wesołej, p. P. Masteli w kościele św. Mikołaja i p. St. Profica w kościele Marjackim. Wśród recitalów organowych największe zainteresowanie jednak wzbudził koncert F. Nowowiejskiego w kościele Marjackim.

O godz. 8 wiecz. rozpoczął koncert muzyki staropolskiej słowem wstępnem profesor Z. Jachimecki, jeden z najlepszych w Polsce znawców tego okresu. Koncert należał do najbardziej interesujących, przedewszystkiem dzięki pierwszorzędnemu wykonaniu dzieł przez chór Tow. Oratoryjnego pod kierunkiem p. Barańskiego. Na specjalne wyróżnienie zasługuje przepiękne „In monte Olivett" Zieleńskiego. Zieleński jest najwybitniejszym kompozytorem polskim epoki przedrozbiorowej i reprezentuje na gruncie muzyki polskiej szkołę wenecką, obok rzymskiej najznakomitszą ze szkół włoskich.

W poniedziałek rano w kolegjacie św. Anny słyszeliśmy śpiewy gregorjańskie, wykonane przez kleryków seminarjów duchownych. Szczególniej piękne były: Graduale, Offertorium i Communio. Podniosłe wrażenie wywarł śpiew „Bogurodzica", która to pieśń jest właściwie naszym hymnem narodowym. Kierownictwo muzyczne spoczywało w rękach ks. W. Świerczka, zaś liturgiczne w rękach cenionego redaktora pisma *Mysterium Christi*, ks. dr. M. Kordela.

Po południu odbyły się recitale: chórowy w kościele ks. Misjonarzy na Stradomiu i p. Mistrzyka w kościele O. O. Jezuitów na Wesołej, ten ostatni z współudziałem „Echa Tatrzańskiego", jednego z lepszych chórów okręgu krakowskiego.

Zakończył kongres koncert muzyki religijnej współczesnej. Największe zainteresowanie wzbudziło „Veni Creator" Szymanowskiego na sopran solo, chór mieszany i orkiestrę. Dzieło to powstało na otwarcie Akademji Muzycznej w Warszawie.

Na pierwsze miejsce wśród najmłodszej generacji wysuwa się p. J. Maklakiewicz, autor symfonji „Święty Boże". Finał jej, wykonany na koncercie świadczy o wielkim polocie kompozytora i dużem poczuciu barw instrumentalnych.

Nieco odmienny w stylu jest „Magnificat" ks. Gieburowskiego. Autor potrafił zsyntetyzować harmonijnie pierwiastki archaiczne i modernistyczne. Bardziej konserwatywnie wypowiadają się p. p. Garbusiński w „Psalmie 116", Friemann w „Psalmie 90" i Walewski w mocnym fragmencie p. t. „Święty Pan Zastępów".

Kierunek koncertu spoczywał w wytrawnych rękach dyr. Walewskiego. Kapelmistrz wywiązał się z zadania pomyślnie, mimo licznych trudności technicznych i organizacyjnych.

Przed południem tegoż dnia obradował kongres pod przewodnictwem p. majora J. Niezgody. Po referatach p. A. Szykulanki, delegatki Tow. Muzyki Liturgicznej z Warszawy p. t. „Podstawy odrodzenia muzyki kościelnej w Polsce" i ks. W. Faustmana p. t. „W jakim kierunku winna pójść praca organistów i chórów w obecnym czasie przesilenia gospodarczego" nastąpiła ożywiona dyskusja. Wszyscy uczestnicy zgodnie podkreślali konieczność jak najszybszego zrealizowania nakazów Piusa X, co stanie się możliwe o tyle, o ile władza duchowna żądać będzie gruntowniejszego wykształcenia fachowego i muzycznego od organistów. Nalegano też na konieczność stworzenia w każdej archidiecezji polskiej jednego chóru wzorowego o charakterze reprezentacyjnym, o ile możności przy katedrze. W dyskusji wyłoniły się pewne różnice zdań co do możliwości szerszego zastosowania śpiewów gregorjańskich wobec trudności przedewszystkiem językowych i stylistyczno-muzycznych. Zastanawiano się także nad stopniem dopuszczalności muzyki ludowej polskiej w kościele ze względu na przepisy liturgiczne.

Cały kongres odbył się pod hasłem polskiej twórczości re-

ligijno-muzycznej. Aczkolwiek słyszeliśmy zdania, że wpłynęło to ujemnie na dobór kompozycyj, gdyż np. pominięcie Bacha w muzyce organowej musiało stworzyć znaczną lukę, tem niemniej uważamy jednak hasło, wybrane przez organizatorów, za zupełnie słuszne i usprawiedliwione, gdyż cele kongresu były nietylko muzyczne i religijne, lecz także i dydaktyczne, społeczne oraz narodowe.

Organizacja kongresu była wzorowa, a wiemy dobrze, z jakiemi trudnościami wszelkiego rodzaju komitet musiał walczyć, zanim dopiął swego celu. Należy się więc najwyższe uznanie ks. Wł. Wargowskiemu za jego pełną ofiarności pracę na polu krzewienia kultury religijno-muzycznej w Polsce.

M. J. Piotrowski.

Krytyczne położenie szkolnictwa powszechnego w Polsce.

Wśród zagadnień oświatowych, jakie czekały na rozwiązanie w niepodległej Polsce, do najważniejszych i najtrudniejszych należała sprawa szkolnictwa powszechnego, nietylko dlatego, że rozciąga się na ogół młodego pokolenia, ale i z powodu braków, pozostawionych nam w spuściźnie przez rządy zaborcze. Jeżeli bowiem w województwach zuchodnich (poznańskie, pomorskie i śląskie) i w województwie krakowskiem 90% młodzieży w wieku szkolnym (7—14, względnie 6—13 lat) uczęszczało do szkół powszechnych, to na pozostałych obszarach sytuacja była gorsza i na niektórych terytorjach wschodnich b. zaboru rosyjskiego odsetek uczących się dzieci nie dochodził nawet do 50%.

Przed Rządem młodego państwa polskiego stanęło więc mozolne zadanie naprawy tego stanu rzeczy — zorganizowanie sieci szkół, zaopatrzenie ich w środki naukowe i siły nauczycielskie — zadanie tem trudniejsze, że w okresie najcięższym wymagało ogromnych wkładów pieniężnych. A jednak nie można się było wahać, jeżeli wskazany w art. 118-ym Konstytucji i określony ustawami powszechny obowiązek szkolny miał być zrealizowany. Owszem należało się śpieszyć, by wykorzystać ten pomyślny a jedyny moment, że przez kilka pierwszych lat liczba uczniów szkoły powszechnej miała się zmniejszać, w związku ze zniżką urodzeń w czasie wojny światowej.

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przystąpiło też zdecydowanie do dzieła. Opierając sie na wydanej przez siebie w r. 1921 publikacji p. t. „Materjały do projektu realizacji powszechnego nauczania", opracowało taki projekt i zgodnie z nim objęło z początkiem roku szkolnego 1923/24 obowiązkiem szkolnym wszystkie dzieci, kończące 7-y rok życia

na obszarze województw centralnych (z wyjątkiem części wojew. białostockiego) [1]). Niestety trudności budżetowe (wtedy przypadła również stabilizacja waluty) nie pozwoliły na rozciągnięcie tej akcji na pozostałe obszary i w ten sposób jedyna szczęśliwa pora do wprowadzenia powszechnego nauczania została pogrzebana, a w każdym razie odwleczona na czas niewiadomy.

Tymczasem bowiem nadszedł okres szybkiego przyrostu dzieci, a z nim niebywałe wzmożenie potrzeb szkolnictwa powszechnego. O doraźnem zaradzeniu im nie mogło już być mowy, jedynem wyjściem było rozłożenie tej pracy na dłuższy czas. W tym celu należało zdać sobie naprzód sprawę z całości potrzeb, by na tej podstawie móc opracować konkretny plan działania i wykonywać go stopniowo w oznaczonych terminach.

Ponieważ miarą tych potrzeb była liczba dzieci potrzebujących szkoły, należało przedewszystkiem obliczyć w przybliżeniu ich ilość w ciągu lat następnych. Z polecenia Ministerstwa W. R. i O. P., a z pomocą Ministerstwa spraw Wewn. i Spraw Wojskowych oraz Gł. Urzędu Statystycznego, przeprowadzono więc w pierwszym tygodniu czerwca 1926 r. spis dzieci żyjących, urodzonych w latach 1913—1925. Dokonano go na obszarze całego kraju, z wyjątkiem stoł. miasta Warszawy, które miało dostarczyć liczb przybliżonych, oraz województwa wileńskiego, które spis taki urządziło z wiosną roku poprzedniego [2]).

Jako bezpośredni rezultat spisu otrzymano zatem szczegółowy wykaz 13-u roczników dzieci, w wieku od $^1/_2$—$13^1/_2$ lat życia, podług daty urodzenia i miejsca pobytu. Ogólna ich liczba wynosiła okrągło 8.112 tysięcy, poszczególne jednak roczniki różniły się znacznie, głównie z powodu zmian liczby urodzeń, spowodowanych wojną światową. Podczas kiedy rocznik z 1913 r. (dzieci urodzone w r. 1913) wykazywał w spisie 628 tysięcy dzieci to następne zmniejszały się coraz bardziej aż do przełomowego rocznika z 1917 r., liczącego tylko 394 tysięcy dzieci; od tego wszakże czasu rozpoczyna się silny i stały (z wyjątkiem 1924 r.) przyrost, który w r. 1925 doprowadza do 868 tysięcy dzieci [3]).

Otrzymane w spisie czerwcowym cyfry umożliwiły zdobycie

---

[1]) Do centralnych województw należą: stoł. miasto Warszawa, wojew. warszawskie, kieleckie, łódzkie, lubelskie, białostockie.

[2]) Wyniki spisu z czerwca 1926 r. i obu wspomnianych opracował, przy pomocy innych materjałów Ministerstwa W. R. i O. P., Marjan Falski w dwóch obszernych publikacjach, na których się tu opieramy: Wyniki spisu dzieci z czerwca 1926 r. w zastosowaniu do badania potrzeb szkolnictwa powszechnego (Warszawa 1928, Książnica-Atlas, in 4°, str. VI+96+88. Potrzeby szkolnictwa powszechnego w okresie wzmożonego przyrostu dzieci. 1929, tamże, in 4°, str. XXXII+96

[3]) Cyfr tych nie trzeba mieszać z liczbą urodzeń, gdyż oznaczają one tylko ilość dzieci żyjących w czerwcu 1926 r., a nie wspominają liczby zmarłych, wysokiej zapewne w najstarszych rocznikach.

tego, o co właściwie inicjatorom chodziło — przypuszczalnej liczby dzieci, jaka w ciągu lat następnych, od r. 1926/27—1939/40, będzie podlegała obowiązkowi szkoły powszechnej. Dane te osiągnięto drogą przyjętych metod statystycznych, przez zastosowanie do poszczególnych roczników normy dożycia i uzupełnienie ich prawdopodobną liczbą później (t. j. po czerwcu 1926 r.) urodzonych dzieci. Poniżej zamieszczona tablica podaje właśnie wyniki tych obliczeń. Dzieci w wieku szkoły powszechnej, liczących 7—14 lat życia, miało być na obszarze całego kraju (w tysiącach):

w roku szkolnym	dzieci		w roku szkolnym	dzieci	
1926/27	3.610	tys.	1933/34	5.202	tys.
1927/28	3.605	„	1934/35	5.412	„
1928/29	3.639	„	1935/36	5.604	„
1929/30	3.900	„	1936/37	5.727	„
1930/31	4.241	„	1937/38	5.830	„
1931/32	4.588	„	1938/39	5.981	„
1932/33	4.963	„	1939/40	6.071	„

Zestawienie powyższe, podstawowe w omawianem przez nas zagadnieniu, daje obraz przyrostu liczby dzieci w latach najbliższych, a tem samem miarę ogromu potrzeb, jakie w dziedzinie szkolnictwa powszechnego stanęły przed państwem polskiem. Zanim jednak przejdziemy do szczegółowego ich rozpatrzenia, musimy udzielić paru objaśnień co do charakteru i ścisłości cyfr tu podanych. Przedewszystkiem są one tylko przybliżone, i o ile chodzi o roczniki ostatnie, może nieco za wysokie. O ścisłości trudno tu zresztą mówić choćby dlatego, że spis z czerwca 1926 r. posiada wartość dość względną, gdyż sprawozdania nadsyłano ogólnikowe i nie sprawdzano ich później. Powtóre, zestawienie to daje jedynie wykaz dzieci w wieku szkolnym, a nie dzieci uczęszczających do szkoły powszechnej, co stanowi niemałą różnicę. Ponieważ zaś celem obliczeń było zdobycie przypuszczalnej cyfry uczniów szkół powszechnych tylko i to publicznych, przeto: 1) z podanej powyżej liczby dzieci w wieku szkolnzm (7—14 lat) należy wyłączyć dzieci uczące się w szkołach prywatnych (w r. 1927/28 ponad 107 tysięcy), dzieci uczęszczające do niższych klas szkoły średniej (w r. 1926/27 blisko 84 tys.), oraz zwolnione z jakichkolwiek przyczyn ze szkoły; 2) doliczyć natomiast trzeba dzieci mające więcej niż 14 lat życia, ale opóźnione i stąd uczęszczające jeszcze do szkoły poszechnej (w r. 1925/26 było takich blisko 386 tys.). Ponieważ jednak dwie te pozycje do pewnego stopnia się wyrównują, można więc cyfry, zamieszczone w powyższej tablicy, wziąć za podstawę do obliczenia potrzeb szkolnictwa powszechnego. Potrzeby te obejmują zwiększenie liczby etatów nauczycielskich, izb i tem samem budynków szkolnych, środków naukowych i mieszkań dla nauczycieli.

Co się tyczy etatów nauczycielskich ustalono cyfrę ich w ten sposób, że coroczną liczbę uczniów podzielono przez przeciętne obciążenie nauczyciela (etatowego) uczniami. Ponieważ obciążenie to może być różne, od maksymalnego — 60 uczniów, do ustawowego — 42 uczniów na jednego nauczyciela, przeto w obliczeniach uwzględniono obie krańcowe możliwości. W świetle tem zapotrzebowanie etatów przedstawia się następująco:

w roku szkolnym	etatów przy obciążeniu	
	maksymalnem	minimalnem
1928/29	69.329	72.677
1932/33	82.723	99.259
1939/40	101.186	143.696

Ponieważ w roku szkolnym 1925/26 było 65.367 etatów nauczycielskich, przeto chcąc nadążyć zapotrzebowaniu, należałoby corocznie dodawać po parę lub kilka tysięcy nowych etatów, podczas gdy dotąd dodawano ich po kilkaset.

W podobny sposób obliczono ilość izb lekcyjnych potrzebnych w przyszłości. Licząc się jednak z tem, że gdzieniegdzie nauka odbywa się rano i po południu, że zatem ta sama izba może być użyta dla podwójnej ilości uczniów, przyjęto jako dzielnik, oznaczający obciążenie jednej izby szkolnej dziećmi, liczbę 65 uczniów. W r. 1925/26 ilość izb lekcyjnych wynosiła ogółem 55.966, w latach zaś późniejszych zapotrzebowanie zapowiadało się następująco:

w roku szkolnym	izb lekcyjnych
1928/29	59.083
1932/33	73.588
1939/40	89.921

Oczywiście, o ile izby szkolne byłyby obciążone normalnie uczniami lub nauka odbywałaby się jednorazowo, dwie ostatnie pozycje w powyższej tablicy wzrosłyby do cyfry 88 i 133 tysięcy izb. W każdym razie nawet przy niższem zapotrzebowaniu musianoby co roku dodawać po parę lub kilka tysięcy nowych izb lekcyjnych, a ponieważ ze względów finansowych niepodobieństwem byłoby wystawić rok rocznie tyle nowych gmachów szkolnych, trzebaby czasowo uciec się do załatwienia tej sprawy drogą wynajmu.

Prowadzenie nauki w lokalach wynajętych powinno jednak być tylko prowizorycznem i dlatego równocześnie należałoby zająć się budową własnych gmachów szkolnych, rozłożoną na dłuższy okres czasu. Zdaniem p. Falskiego najodpowiedniejszem byłoby przyjęcie 20-letniego planu budowy, od r. 1928—1948, i w tych ramach opracowuje go też szczegółowo, choć na możność wykonania zapatruje się bardzo sceptycznie. Jeżeli bowiem uwzględni się, że już w r. 1925/26 mieściło sie 23.266 izb lekcyjnych w lokalach wynajętych, a tylko 32.700 we własnych,

owszem że z pośród tych ostatnich pewną liczbę trzeba będzie zastąpić niedługo nowemi, to przyjmując 20-letni plan musianoby corocznie budować 4.089 (przy mniejszem obciążeniu uczniami znacznie więcej) własnych izb, podczas gdy dotychczas budowano ich rocznie kilkaset do tysiąca. Dodajmy, że na tem nie koniec ponieważ oprócz izb lekcyjnych nieodzowną jest również budowa własnych mieszkań dla nauczycieli, przynajmniej na wsi; mieszkań zaś takich było bardzo niewiele, bo w r. 1925/26 na obszarze Rzeczypospolitej, bez Śląska, tylko 16.876 [1]).

Z tem wszystkiem nie w ilości i rodzaju potrzeb leży właściwa trudność, lecz w ich pokryciu; od tego zawisło wszystko. Przypatrzmy się więc, jak przedstawia się finansowa strona całego zadadnienia.

Trzy główne pozycje wchodzą tu w rachubę, które w razie realizacji przedłożonych powyżej planów musiałyby zostać uwzględnione w corocznym budżecie szkolnictwa powszechnego. Koszta budowy izb lekcyjnych i mieszkań nauczycielskich, rozłożonej na wspomniany okres 20-letni, obliczono — zależnie od maksymalnego lub minimalnego programu — na 3—5 miljardów złotych; rocznie należałoby zatem wstawiać na te cele 150—250 miljonów złotych, co w czasie owej dwudziestolatki wynosiłoby rocznie mniej więcej $^1/_3$ budżetu szkolnictwa powszechnego. Drugą pozycję tegoż budżetu stanowiłyby t. zw. wydatki „rzeczowe" na utrzymanie i remont szkół, obejmujące rocznie około 1.000 zł. od jednej izby szkolnej. Ostatnią wreszcie pozycją, najpoważniejszą bo pochłaniającą okrągło połowę budżetu rocznego byłaby opłata etatów nauczycielskich, przyczem jako przeciętny etat przyjęto sumę 3.000 zł.

Ogólna suma wszystkich powyższych pozycyj zmieniałaby się naturalnie z latami i naprz. w r. 1932/33 wyniosłaby około 465 miljonów złotych (w następnych latach więcej). Kto jednak ma ją pokryć? — Gdyby nawet, co p. Falski uważa za wykluczone, samorządy przyjęły na siebie przeważającą część kosztów budowy i utrzymania szkół [2]), mimo to państwo musiałoby wyłożyć w r. 1932/33 na samo szkolnictwo powszechne blisko 279 miljonów złotych. Takiej sumy nie wstawiono jednak dotychczas do budżetu szkolnictwa powszechnego, a przy dzisiejszych oszczędnościach tem mniej można się tego spodziewać w ciągu lat najbliższych. Niżej załączona tablica daje nam właśnie obraz, jak przedstawiał się dotąd konkretnie budżet Ministerstwa W. R.

---

[1]) Chodzi tu jedynie o mieszkania dla grona nauczycielskiego; mieszkanie bowiem kierownika szkoły włączone jest, o ile chodzi o budowę i koszta, do planu budowy szkoły (względnie izb lekcyjnych).

[2]) W myśl ustawy z dn. 17 lutego 1922 r., o zakładaniu i utrzymywaniu publicznych szkół powszechnych, uzupełnionej ustawą z dn. 22 grudnia 1925 r.

i O. P. w całości a w nim pozycja przeznaczona na cele szkolnictwa powszechnego: [1])

rok	Ministerstwo W. R. i O. P.	Szkolnictwo powszechne
	w miljonach złotych	
1924	235	133
1925	309	165
1926/27	288	168
1927/28	361	208
1928/29	432	230
1929/30	466	249
1930/31	443	261
1931/32	445	257
1932/33	348	212

Zestawienie powyższe wykazuje, że aż do r. 1930 budżet szkolnictwa wzrastał. A jednak, choć dzięki temu z każdym rokiem coraz więcej dzieci w wieku szkolnym kształciło się w szkołach — procent powszechności nauczania obniżał się stale, gdyż przyrost młodzieży był silniejszy, niż przyrost miejsc w szkołach. Tem boleśniej musiało naturalnie odbić się załamanie budżetu od r. 1930/31, a zwłaszcza obniżenie jego sumy na rok przyszły o blisko sto miljonów złotych. Dla szkolnictwa powszechnego jest to niemal katastrofą. Jeżeli już w r. 1929/30 przypuszczalnie około pół miljona dzieci w wieku szkoły powszechnej pozostawało poza jej murami [2]), to obecnie liczbę dzieci, skazanych na przymusowe nieuczęszczanie do szkoły, ocenia się na 800—900 tysięcy. A przecież w następnych latach musimy się liczyć z dalszym znacznym przyrostem!

Zaradzenie w całości tym potrzebom, tak aby wszystkie dzieci w wieku szkolnym znalazły w najbliższych latach pomieszczenie w szkole, jest zdaniem największych nawet optymistów wykluczone. Samorządy, poza niektóremi może miastami, nie mają dziś dostatecznych źródeł dochodów, by móc nadążyć

[1]) Cyfry, nawet przytaczane w oficjalnych źródłach, różnią się często między sobą zależnie od tego, czy wyrażają sumy preliminowane czy uchwalone w budżecie, czy rzeczywiście dane. Staraliśmy się oprzeć na miarodajnych sprawozdaniach, podając od roku 1924—1933/31 sumy faktycznie dane, w r. 1931/32 uchwalone, a na r. 1932/33 preliminowane. — Rok budżetowy rozumie się w latach 1924 i 1925 od 1 stycznia do 31 grudnia tegoż roku, w następnych zaś od 1 kwietnia jednego roku do 31 marca następnego. Nadmieniamy wreszcie, że w sumach wydanych na szkolnictwo powszechne, mieści się też szkolnictwo specjalne.

[2]) Pozornie rzecz przedstawiałaby się w r. 1929/30 inaczej, gdyż na 3.900 tys. dzieci w wieku szkoły powszechnej objęto nauczaniem 3.790 tys. (łącznie w szkołach powszechnych, publ. i pryw., oraz niższych klasach szkoły średniej). Należy jednak pamiętać, że między uczęszczającemi do szkoły znajdowało się około 380 tys. dzieci w starszym wieku (opóźnionych), których nie można więc wliczać do przytoczonej cyfry 3.790. tys.

potrzebom budowy nowych gmachów szkolnych. Zasiłki na ten cel ze skarbu państwa były dotychczas niewielkie: w latach 1924—1928/29 wyniosły ogółem 35.735 tys. zł., na 1929/30 i następny preliminowano 20.000 i 7.500 zł., a dano tylko 15.560 i 1.778 tys. zł. Pamiętać zresztą należy, że główną przeszkodę stanowi nie budowa szkół lecz etaty nauczycielskie, gdyż te są największym ciężarem dla skarbu państwa. Dlatego też zamiast powiększać ich liczbę stosownie do potrzeb i zgodnie z opracowanym planem, uszczupla się ją jeszcze w związku z dzisiejszemi oszczędnościami przez redukcję nauczycieli etatowych i kontraktowych.

Naturalnie to postępowanie czynników rządowych spotyka się z ostrą krytyką ze strony społeczeństwa, które zwraca uwagę, że oszczędności są za daleko posunięte i że należy je czynić gdzieindziej; rozstrzyganie jednak tej sprawy przekracza granice naszej kompetencji. Zadaniem naszem było poinformowanie Czytelników o groźnem położeniu naszego szkolnictwa powszechnego i pobudzenie do energiczniejszego szukania środków zaradczych. Sytuacja jest rzeczywiście niezmiernie trudna. Zgłoszono wprawdzie kilka projektów ratowania jej, lecz żadnego nie można uznać za zadawalniający. Po pierwsze każdy z nich odwołuje się do nowych podatków lub dodatków do podatków, a zatem dalszych ciężarów dla wyczerpanego już dziś społeczeństwa; powtóre zajmują się one sprawą budowy szkół, a nie rozwiązują trudności pokrycia nowych etatów nauczycielskich. Kwestję tę musimy jednak rozwiązać i to szybko, jeśli nie chcemy dopuścić, by niedługo parę miljonów dzieci w wieku szkolnym znalazło się poza nawiasem elementarnego nawet wykształcenia, lub przynajmniej opóźniło je znacznie. Sprawa jest nagląca i obchodzi nietylko nauczycielstwo szkół powszechnych, które z podziwu godnem poświęceniem znosi dziś przeciążenie pracą mimo redukcji uposażeń, nietylko nieszczęśliwych rodziców tych dzieci, które pozbawione są szkoły, ale całe społeczeństwo. Analfabetyzm i ciemnota mas, to cofanie się wstecz, to ogromna strata dla kraju, i materjalna i duchowa!

Ks. St. Podoleński T. J.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 30 listopada 1931.

Spis rzeczy tomu 192.

Artykuły.

Str.

Ks. Dr. A. Szymański: O odnowieniu porządku społecznego 3
Ks. St. Bednarski T. J.: Na przełomie 30
Ks. Dr. L. Poszwa: Emigracja polska rolna we Francji 51, 213
Z. Falkowski: Echa „Anhellego“ w prozie „Quo Vadis“ . . 71
Dusza Czara: Obłąkany poeta, Michał Eminescu 82
M. Niwiński: Przegląd polskiej literatury historycznej 1929—1930 (Dok.) 89
Ks. Dr. J. Pastuszka: Psychologizm religijny 145
Prof. L. Caro: Przewrót w ekonomice społecznej 166
Z. Falkowski: Henryk Sienkiewicz w zwierciadle anegdoty 177, 313
T. Estreicher: Techniki malarstwa dekoracyjnego ściennego i ich trwałość 197
I. Turowska: Fragment z nieznanego pamiętnika J. B. Zaleskiego 227
Ks. J. Urban T. J.: Jak bronić małżeństwa? 273
Anna Zahorska: Narcyzy Żmichowskiej powrót do literatury 291
Ks. Dr. A. Mytkowicz: Katolicyzm socjalny w niezawisłej Belgji 333
I. Turowska: J. B. Zaleski w klasztorze Oelenburg 351

Przegląd piśmiennictwa.

Jan Kucharzewski: Od białego caratu do czerwonego. T. IV. Wyzwalanie ludów. T. V. Terroryści. (Ks. J. Rostworowski) . . 109
Marjan Tyrowicz: Jan Tyssowski dyktator krakowski r. 1846. (Dr. M. Pelczar) 112
Ks. prof. Paweł Siwek T. J.: Konnersreuth w świetle nauki i religji. (Ks. J. Rostworowski) 113
Adam Bochnak: Ze studjów nad rzeźbą lwowską w epoce Rokoko. (Ks. St. Bednarski) 114

Str.

Wierchy. Rocznik powświęcony górom i góralszczyźnie. Rok ósmy. (Dr. M. Pelczar) 115
Martin Hürlimann: Die Schweiz. Landschaft und Baukunst (S. B.) 116
Bogdan Nawroczyński: Uczeń i klasa. (M. Piasecka) . . . 117
Eberhard Strauss: Wolf Hagenreuter. — Karlchen Zack: Wir unter uns... — Georg Lutz: Ruf um Mitternacht (S.) 119
Instrukcja dla Opiekunów Społecznych (S. Podoleński) . 119
John Galsworthy: Saga rodu Tarsytów. tł. Cetnerszwerowa. — Rychliński, Birkenmajer: Biała małpa, tł. Zofja Lasocka, Srebrna łyżka, tł. Tad. Jakóbowiec, Łabędzi śpiew, tł. Wanda Kragen. (Z. Starowieyska-Morstinowa) 119
Józef Roth: Hiob, tł. Józef Witlin (M. Starowieyska-Morstinowa) 122
Ks. J. Białecki: Rozmyślania dla kleryków. Część I Credo (J. A) 123
Ks. Stan. Kolipiński: Krótkie rozmyślania różańcowe. (J. A.) . 124
Prof. Karol Adam: Istota katolicyzmu. Przekład autoryzowany ks. J. Korzonkiewicza. (Ks. J. Urban) 244
Stan. Małachowski-Łempicki: Strącone korony. Z dziejów wolnomularstwa polskiego, (Ks. J. U.) 245
Forst de Battaglia Otto: Der Kampf mit dem Drachen (Ks. St. Bednarski) 247
Dr. Aurel Kolnai: Sexualethik. (Ks. St. Podoleński) . . 247
Opieka społeczna w województwie Śląskiem. (Ks. St. Podoleński) 248
Stanisław Szpotański: Wróżka. — Zdzisław Kleszczyński: Tyran. — Stefan Flukowski: Pada deszcz. — Stanisław Dzikowski: Egzotyczna Polska. — Jerzy Ostrowski: Kobuz. — Janusz Meissner: Rekord. — Halina Górska: Nad czarną wodą. — Wiktor Przecławski: Samotny naród. — Jerzy Brzęczkowski: Wraki. (Zofja Starowieyska-Morstinowa) 359
Ks. Dr. K. Gołębiewski C. S. S. R.: Psychologja twórczości Słowackiego (Dr. J. M. Święcicki) 367
Ks. Dr. Józef Lubelski: Historja Kościoła katolickiego (Mieczysław Niwiński) 369
Wł. E. Czapliński: Opozycja wielkopolska po krwawym potopie (Dr. J. M. Święcicki) 370
Rocznik Wołyński. Tom II. (Dr. Marjan Pelczar) 372
Kościół katolicki w Rosji (Ks. J. Urban) 373
Ks. Dr. Emil Szramek: Ks. Jan Kapica (H.) 374
Marjan Hełm-Pirgo: Podanie o Hełmie (M. P.) 374
Waldemar Gurian: Der Bolschewismus (Ks. J. Urban) . . . 375
Michał Farbman:: „Piatiletka“ (Ks. J. Urban). 376
Aleksander Hertz: Ludzie i idee (Ks. J. Urban) 378
Bertrand Russel: Małżeństwo i moralność (Ks. J. Urban) . 379
Cecylja Walewska: W walce o równe prawa (Ks. St. Podoleński) 380

Str.

Stefan Vrtel-Wierczyński: Wybór tekstów staropolskich (Dr. Z. Ciechanowska) 381

Encyklika J. Św. Piusa XI O chrześcijańskiem wychowaniu młodzieży (Ks. St. Podoleński) 384

Peter Dörfler: Der Bubenkönig (P.) 384

Nadesłane 124, 248, 385

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Październik: Zlikwidowanie konfliktu włoskiego. — Niepewności i obawy w Hiszpanji. (Ks. J. Urban) 127

Listopad: Ustawy antykościelne w Hiszpanji. — Rozwój akcji unijnej na Kresach Wschodnich. (Ks. J. Urban). 250

Na marginesie przesilenia teatralnego. (A. Waśkowski) . . 132

Najmłodsze pokolenie w Stanach Zjednoczonych. (Ks. St. Podoleński) 141

Niedola Nauki Polskiej. (Ks. St. Bednarski) 257

Pracownicze Związki Zawodowe w Polsce (Ks. St. Podoleński) 263

Jubileuszowy Kongres Przeciwalkoholowy w Krakowie. (Dr. M. Pelczar) 267

Drugi Wszechpolski kongres muzyki religijnej w Krakowie. (J. M. Piotrowski) 387

Krytyczne położenie szkolnictwa powszechnego w Polsce (Ks. St. Podoleński). 391